

PRZEGLĄD POLSKI.

ROK XII.

Kwartał II.

(Październik, Listopad, Grudzień).

Ogólnego zbioru tom 46.

(Zeszyty od 136 do 138).



W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI Drukarni „CZASU”
pod zarządem J. Łakocińskiego.

1877.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie II. rocznika XII.

	str.
Zwierciadło głupstwa, powieść, (dok.) napisał Ignotus .	3
Battista Guarino i jego Pastor fido, (przyczynek do dzie- jów literatury sielankowej), przez Lucyana Sie- mieńskiego	59
Nibelungów Niedola, pieśń druga, (czwarta B.) tłómaczył L. German	74
Urszula Ochmistrzyni Łabędzianka, i jej korespondencya polska z Piotrem Gembickim w roku 1627, przez Władysława Wisłockiego	95
Galicya we wrześniu 1877 roku, przez Stanisława Tar- nowskiego	123
Prałat Jan Koźmian	160
Cesarstwo Niemieckie. Dawniejsze i dzisiejsze stronnictwa polityczne, przez Seweryna Przerowę . .	187, 370
Szekspir w Polsce (Ciąg dalszy) przez Stanisława Tar- nowskiego	226, 435
Książe Józef Poniatowski, przez F. P.	267, 404
Nasze książki szkolne. I. O podręcznych psychologiach, przez Stefana Pawlickiego, II. Uwagi ogólne, III. O tłómaczeniach historii austriackiej, przez Au- gusta Sokołowskiego	299, 491
Plany pruskie podczas wojny rosyjsko-tureckiej w r. 1788 przez Waleryana Kalinkę	353
Przegląd literacki, przez Stanisława Tarnowskiego i X. Jana Siemieńskiego	328, 505
1) Wojciech Dzieduszycki, Ateny.	
2) X. Dr. W. Smoczyński, Rzym, jego kościoły i pomniki.	
Przegląd polityczny, przez Aleksandra Szukiewi- cza	174, 338, 510
† Lucyan Siemieński, przez Hugona Zatheya . . .	517
Wspomnienia pośmiertne	520
Wiadomości bibliograficzne	351, 521

ZWIERCIADŁO GŁUPSTWA.

POWIEŚĆ,

napisał

J G N O T U S.

CZEŚĆ TRZECIA.

(Dokończenie).

X.

Do czego prowadzą teatralne znajomości.

Tymczasem Bogoryi nie dobrze się wiodło w hotelowej służbie, co głównie ztąd pochodziło, że nie mógł nigdy zapamiętać, jakie kto potrawy u niego zamawiał, a gdy mu w jednej chwili kilkanaście osób objawiało swe gastronomiczne życzenia, taki chaos powstawał w jego głowie, że często przynosił krem zamiast sztukamięsy, a raki zamiast likieru. Tego rodzaju pomyłki wystawiały go na drwinki młodszej służby i zjednały mu w hotelu opinię „słabej głowy“.

Bardzo też był niezadowolony ze swego zajęcia.

Zdarzyło się w owym czasie, że siedział raz pewnego w teatrze w wyższych „regionach“ w towarzystwie jednej z artystek niższego rzędu.

Była to mała, żywa blondynka o wesołym spojrzeniu, i przedstawiła mu się jako panna Róża.

— Był pan kiedy na przedstawieniu Trawiaty? — pytała sąsiadka.

— Kilka razy.

— I nie poznaje mnie pan? — przecież to ja wchodzę tam w ostatnim akcie, podaję szklanke wody mojej pani i śpiewam: „Pan pojechał do Paryża! . . .“

— Rzeczywiście przypominam sobie . . . w różowej sukience, nie prawdaż?

— W różowej, w różowej.

— Wybornie pani wtedy swą scenę odegrała; przyznam się, że bardziej się przypatrywałem rumianej dziewczynie aniżeli samej Violecie.

— Jaki pan grzeczny. . . Mówię panu, że nie ma życia jak na scenie; wprawdzie nieraz gaży nie wypłacą, wprawdzie trzeba znosić kaprysy nieznosnych dyrektorów, ale za to jak się posypią oklaski, jak bukiet spadnie na scenę, to serce rośnie z radości, i jednej takiej chwili nie dałoby się za wszystkie majątki świata.

Bogorya nie mógł uważać, co się na scenie dzieje — tyle mu towarzysza naopowiadała różnych historyj, a żegnając się z nim powiedziała:

— Dziękuję panu za miłe sąsiedztwo . . . do widzenia . . . jeżeli pan na afiszu nie spotka mego nazwiska, to na każdej reprezentacyi jestem na tem samem krześle.

Po tygodniu serdeczna już pomiędzy nimi zawiązała się przyjaźń, pomimo że się po za teatrem nigdy nie widzieli.

Dziewczyna zaczęła się podobać Bogoryi — swym humorem umiała go zawsze rozweselić, a zapominając jako garson hotelowy o zamówionych słomkach lub pasztetach, nie zapomniał nigdy stawić się w teatrze o umówionej godzinie.

— Ot wstąp pan do teatru — namawiała go Róża po jakimś czasie — zajęcie w hotelu może korzystne, ale nie przystoi takiemu jak pan człowiekowi; zdaje mi się, że z pańskim głosem mógłbyś wybornie śpiewać Mefista w Fauście . . . zresztą spróbujemy.

Jakżeż nie zrobić próby, jeżeli tak przystojna zachęca dziewczyna. Bogorya też odśpiewał w jej mieszkaniu całą par-

tycyę, przypomniął sobie dawne czasy kiedy jeszcze był lwem salonowym i pomyślał, że wszelkimi sposobami będzie się starał wydobyć z tego poniżającego stanowiska, w którym się obecnie znajduje.

Poznawszy dziewczynę nie sądził nawet, aby miała jakie wpływy u dyrektora teatru; przekonał się jednak z czasem, że głos Róży miał tam pewne znaczenie, pomimo że nie była w łaskach u pani dyrektorowej.

Sprytna Róża do miesiąca zdołała tego dokazać, że pan Jan podziękował za służbę w hotelu i stawił się przed dyrektorem teatru.

— Proszę odspiewać aryę — przemówił do niego dyrektor po krótkiej wstępnej rozmowie.

Bogorya jak umiał najlepiej spiewał i musiał się dyrektorowi spodobać, skoro tenże z protekcyjną miną odezwał się:

— No! no! — mogę panu dać pięćdziesiąt złotych miesięcznie.

— Ależ to za mało, panie dyrektorze.

— Zresztą jeden benefis w lipcu.

— W lipcu nikt do teatru nie chodzi.

— Nowicyusz z pana; chcesz, żebym pozwalał na benefis wtedy, kiedy publiczność chodzi do teatru. . . . Zresztą dam sześćdziesiąt złotych miesięcznie i benefis w czerwcu.

Bogorya się zgodził, przystąpiono do spisania kontraktu, który tak opiewał:

I. Basso secondo p. Jan Bogorya pobiera 60 złotych miesięcznej gaży i benefis w czerwcu, po odciągnięciu kosztów reprezentacyi.

II. Spiewak obowiązany jest do czterech występów tygodniowo, a nadto podczas karnawału musi spiewać w chórach błaznów, które dyrekcyja urządza o północy na balach maskowych.

III. Jeżeli spiewak tydzień choruje, odciąga mu się jedną czwartą część gaży; jeżeli choruje miesiąc, nic mu się nie płaci; jeżeli się upije i kto inny musi go zastąpić. . .

— Ależ ja nie jestem pijakiem! odezwał się Bogorya z oburzeniem, a na takie punkta się nie zgodzę. . .

— Najporządniejszemu człowiekowi może się zdarzyć, że się upije — odezwał się z flegmą dyrektor, artyście częściej się to zdarza, albowiem żyje w wesołym towarzystwie.. Przekonasz się pan, że taki ustęp jest konieczny.. Zresztą jak pan widzisz, jestto drukowany formularz kontraktu dla wszystkich artystów, nie zechcesz pan być lepszym od innych. U artystek jest zamiast tego inny punkt, a mianowicie: jeżeli artystka kaprysi, spazmuje i z tego powodu zaniedba reprezentacy i t. d.

— Nie uważaj pan na takie drobnostki — odezwała się przytomna Róża, wszak to formularz drukowany...

A więc — czytał dyrektor dalej:

... jeżeli się upije, odciąga mu się 10 zł. z gaży.

IV. Jeżeli uchybi przeciw teatralnej karności, albo jeżeli w twarz uderzy jednego ze swych kolegów, odciąga mu się 10 zł. z pensyi.

— W ten sposób nie drogo muszą pana kosztować artyści, przerwał zniecierpliwiony Bogorya.

— Widocznie, że nie tak niekorzystne dla artystów są te kontrakty jeżeli mam u siebie śpiewaków po dwa lata — odpowiedział dyrektor.

— To nie długo, pomyślał Bogorya, ale widząc Różę mrugającą na niego, aby się na wszystko zgodził — podpisał kontrakt.

Primadoną opery była panna Silvia, przystojna brunetka o śmiałym spojrzeniu, z bardzo mocnym ale nie wyrobionym głosem. Na drugi dzień po zaangażowaniu Bogoryi miano dawać Don Juana. Rolę donny Elwiry grała oddawna Silvia, a Zerliny panna Leonia. Dyrektor jednak protegujący Różę chciał tym razem jej oddać partję Zerliny, a pannę Leonię usunąć z czasem z grona swych artystów.

W kołach teatralnych o niczem nie mówiono tylko o tej zmianie, panna Silvia, będąc przyjaciółką Leonii mówiła wprawdzie, że z nową towarzyszką grać nie będzie, ale dyrektor w to nie wierzył, wiedział bowiem, że artystka za kilka dni koniecznie potrzebuje pieniędzy.

Nadszedł wieczór, Bogorya stał za kulisami przypatrując się publiczności, z którą się miał wkrótce bliżej zapoznać. Grano uwerturę, w tem jakiś krzyk dał się słyszeć w garde-

robie. Bogorya pobiegł tam co prędzej i zobaczył następującą scenę:

Na jakimś starem tronowem krzesle siedziała Silwia w zwykłym ubraniu z papierosem w ustach, założywszy nogę na nogę; przed nią stał rozgniewany dyrektor w kapeluszu, a w pokoju mnóstwo już było artystów w kostiumach, w jakich za chwilę występować mieli.

— Pani musisz wystąpić! wołał dyrektor — nie zapłacę ani grosza, zawezwę komisarza policji.

— Głupis! Waćpan — odpowiedziała stoicznie panna Silwia i puściła mu kłęb dymu pod nos. Powiedziałam, że ze statystkami, z którymi pan romansujesz, występować nie myślę.

— Co? statystkami! wrzasnęła Róża stojąca za dyrektorem, gdybyśmy zaczęli liczyć z kim pani romansujesz toby gorzej było.

— Teraz nie o romansach mowa, ale o reprezentacji — wołał dyrektor — publiczność się niecierpliwi, słyszysz pani pukanie. Na Boga ubieraj się, dam ci 50 złotych za dzisiejszą reprezentacją.

— O pańskie pieniądze nie stoję — powiedziałam, że z dyrektorskimi kochankami śpiewać nie będę...

— Poczekaj pani! — krzyczał zdesperowany dyrektor — dzisiaj ustąpić muszę, bo publiczność niespokojna, ale porachujemy się później.

— Wołać panny Leonii — niech się ubiera!

— Ja ci tego nie daruję, odgrażała się Róża i jak niepyszna zaczęła zdejmować upięcie z głowy.

— Proszę się wynosić! zakomenderowała panna Silwia — teraz na mnie czas do ubierania, i z energią wzięła się do roboty.

Służąca co prędzej wyprosiła towarzystwo, podała bieliadła, czernidła, pudry, róże, suknie, kwiaty, wstążki, spódnice, i cisza zapanowała w garderobie przerywana uwagami artystki.

— A to łotr z tego dyrektora! Małpo! czemu mnie tak szarpiesz za włosy! palce ci skamieniały, czy co? podaj mi jajo!

Pukajcie tam, pukajcie! nauczcie się cierpliwości! Ah! jakżeś dzisiaj niezgrabna, tak cię trzepnę, że popamiętasz dzisiejszy wieczór! i t. d.

Tymczasem dyrektor wyszedł na scenę.

— Szanowna publiczności! odezwał się z patosem — Mocny ból głowy przeszkodził pannie Sylwii przybyć dość wcześniej do teatru, w ostatniej jednak chwili zupełnie jej się polepszyło i reprezentacya zaraz się rozpocznie.

Rzeczywiście w dziesięć minut rozpoczęła się reprezentacya, pannę Sylwię przyjęto rzesistemi oklaskami, a z którejś łóży padł na scenę przepyszny bukiet z następującem wierszykiem:

Szukałem długo w świecie ideału
Dobroci anioła — piękności Wenery,
I już ostygłem z pierwszego zapалу,
Sądząc, że myśli moje — to chimery...
W tem Cię spotkałem o cudzie natury:
Arko przymierza cnoty i urody,
A z czoła mego pierzchnęły znów chmury,
Mam znów ideał! — w sercu mojem gody! —

Domino.

Panna Sylwia przeszukała dokładnie bukiet, czy nie znajdzie w nim bransoletki lub pierścionka z brylantem — ale adorator nie był tak domyslnym, aby bukiet złotym obciążyć balastem.

Bogorya wyszedł z reprezentacyi z niemiłym wrażeniem, najbardziej go jednak to obeszło, że o ile zauważył, panna Róża musiała być rzeczywiście w zanadto ścisłych stosunkach z dyrekcją.

Zaledwie jednak miał dość czasu nazajutrz oczy otworzyć, a już weszła Róża do pokoju głośno trzaskając drzwiami.

— Nie *żenuj* się kolego, przyszedłam do ciebie w ważnym interesie — odezwała się biorąc z toalety fiaszeczkę z perfumami i hojnie się nimi oblewając. Widziałeś wczoraj tę jędzę? przed publicznością wygląda jak owieczka, a sługom na prawo i lewo policzki rozdaje. Rzucić u niej obelgę na najuczciwszą dziewczynę — dodała wskazując na siebie, to tak jak wypić kieliszek szampana. Będziemy już Bogu dzięki mieć inną primadonnę. Lola stara się dostać do teatru; koledze wiadomo że z niej wyborna śpiewaczka, koloratura przepyszna, nie taki

surowy głos jak u Sylwii. — Publiczność wprawdzie trzyma z Sylwią — ale i temu się poradzi. Trzeba ją koniecznie skompromitować...

— W jaki sposób? zapytał trochę zakłopotany Bogorya, — ja się do tego nie mieszam.

— Nie o wielkie rzeczy chodzi — trzeba być uczynniejszym kochany kolego. Wiesz, że ona ze mną nie chce śpiewać, zagradza memu losowi. Lola już obiecała, że ze mną wystąpi. Moja przyszłość od tego zależy.

— Więc czego pani żądasz? zapytał trochę zmięczony Bogorya.

— Po jutrze wystąpisz kolega z Sylwią w Fauscie. Ona ma krótką pamięć, bardzo łatwo zmylić ją w recitatiwach — jak jej fałszywą podrzucisz końcówkę — nie będzie wiedziała, co dalej śpiewać; stanie, spoglądnie na suflera, który także z nami będzie w zмовie i tak się skompromituje, że ją publiczność gotowa wygwizdać.

— Do żadnych intryg się nie mieszam — odpowiedział obruszony Bogorya.

— Jeżeli tak! — to kwita z przyjaźni! zawołała z gniewem Róża i tak prędko wybiegła, że pan Jan nie miał nawet czasu wyjaśnić jej powodów swojej odmowy.

Tego samego dnia w sali hotelu pod Melpomeną kilkanaście osób siedziało u stołu. Mąż Loli dawał obiad dla wpływowych osób na scenie i na parterze, aby zapewnić żonie poparcie pomiędzy publicznością.

— Od dawna pisałem — mówił redaktor dziennika „Przekora,” że Sylwia nie może się utrzymać na naszej scenie, organ głosu niemiły, szkoły żadnej, polem jej popisu może być jaki ogródek na prowincyi, ale nie pierwszy teatr stolicy.

— Nie ma wątpliwości, że pani Lola zwycięży, wtrącił Eugeniusz stary kawaler, honorowy marszałek dworu każdej wstępującej na scenę artystki. Mam ją przyjaciół na jaskółce, jak im powiem, że pani Sylwia szkodliwa dla naszej sceny — to ręczę, że zwyciężymy!

— Może jeszcze kieliszeczek? dogadywał usługny gospodarz.

— Nigdy nim nie gardzę — odpowiedzieli od razu: Eugeniusz i redaktor.

Nagle drzwi się otworzyły, do pokoju wpadła z wielkim krzykiem pani Lola i zemdlona rzuciła się na kanapę...

— Wody, wina, wody kolońskiej! wołali wszyscy, prócz męża.

Pan Eugeniusz doświadczony w podobnych okolicznościach biegł co prędzej, aby stanik rozcinać, ale pani Lola strętwiała o całość swej sukni, a otrzeźwiwszy się w tej chwili zatrzymała świętokradzką rękę.

— Patrzcie się panowie, cały bryt na nic poszedł!

Rzeczywiście towarzystwo spostrzegło, że ogon maturalnej sukni obłany był atramentem w najstraszniejszy sposób.

— To jeden z nich! to moi nieprzyjaciele! żaliła się pani Lola.

— Kto śmiał znieważać naszą artystkę? pytał redaktor, powiedz pani, a potrafimy się zemścić.

— Gdybym go znała? tyle wiem, że to jeden z moich wrogów. Przechodząc zapytał mi się: Czy w tej sukni wystąpisz na scenie koteczko? rzucił flaszkę z atramentem i znikł.

— Powiedział „koteczko“? zawołał znów z oburzeniem redaktor. A w zapale dodał Panowie! poprzysięgnijmy zemstę podłym przeciwnikom ubóstwianej naszej artystki!

— Zemstę przeciwnikom! zakrzyczeli wszyscy i sojusz swój zatwierdzili wypiciem nowego kielicha.

— Przynieś mi cytryny! wołała tymczasem pani Lola na hotelowego chłopca, i z wielkim zapałem wzięła się do wywabiania plamy z atramentu.

Podczas tej sceny w hotelu działo się wielkie spustoszenie w ogrodzie „Towarzystwa sadowniczego.“ Pan sekretarz Towarzystwa zwołał wszystkich chłopców i ogrodników i kazał im zrobić taką ilość bukietów, na jaką początkowy ogród zdobyć się tylko może. Zrywano więc róże i goździki, głowiastą sałatę i młode kalafiory, bobkowe liście i fiołki, co tylko rośło na grzędach.

— Nic nie szkodzi, z czego będą zrobione bukiety, dowodził pan sekretarz — byle ich było dużo... pani Sylwia musi zwyciężyć....

Z niecierpliwością oczekiwano najbliższego przedstawienia, w którym Sylwia wystąpić miała. Publiczność zgromadziła się nadzwyczaj licznie, jaskółka była przepełniona.

Sykania i gwizdania przywitały wchodzącą artystkę. Na te oznaki niezadowolenia, rzuciło Towarzystwo sadownicze taką ilość sałaty i kalafiorów na scenę, że stu osłów miałoby się czem żywić przez cały miesiąc.

Pani Lola oczekująca swego tryumfu w głębi łoży drugiego piętra zemdlła i upadła — tym razem w objęcia redaktora.

Całe to zajście miało jednak dla Bogoryi najsmutniejsze skutki, rozgniewana bowiem jeszcze bardziej Róża, że publiczność przyjęła tak gorąco Silwią i że jej dyrektor nie będzie mógł oddalić, nie małą część złości zlała na zdradzieckiego w jej mniemaniu pana Jana i doprowadziła do tego, że mu dyrektor po kilku próbach wypowiedział kontrakt.

— Wystaw pan sobie jaki głupi człowiek, mówił później o nim dyrektor do redaktora, sądził, że na scenie potrafi się obejść bez intryg; gdybyśmy grali tylko komedye księdza Bohomolca, w których sami występują mężczyźni, to możeby intryga daleką była od desek teatralnych, skoro jednak mamy za koleżanki kobiety, to prostą drogą nic za kulisami przeprowadzić się nie da.

XI.

Niefortunne spotkanie z panem Zefirynem i tegoż następstwa.

Sterana nawa Bogoryi osiadła znowu na mieliźnie; pozostałe wprawdzie z czasów hotelowych fundusze pozwalały jakiś czas odpocząć po trudach dziwaczego życia, ale nie dawały spokoju na przyszłość. Pan Jan najął mały pokój na trzecim piętrze i postanowił czekać na pomoc Baliela, o której przecież się spodziewał, że koniec końcem nadejdzie.

Mówiliśmy, że Bogorya z wielkiem zamięłowaniem oddawał się dawniej za czasów swej znajomości z Bagdadzkim astronomii, że nawet doprowadził do pewnych samoistnych badań. W wolnych chwilach nieraz wracał do ulubionej umiejętności, obecnie zaś nie mając zatrudnienia znów z większym niż kiedykolwiek zapałem oddał się swej nauce.

Teorya światła i analiza promieni słonecznych najbardziej go zajmowały. Miał nawet nie mały zbiór potrzebnych do tego przyrządów, które ustawił obecnie w swym pokoiku tworząc z niego małe obserwatorium.

Żył więc jak astronom, przesiadywał godzinami w nocy przy oknie, rozbiierał światło księżyca i pewnego dnia przyszedł do przekonania, że promień słońca padający w prostym kierunku ma te same właściwości co drut elektryczny, i że możnaby z łatwością telegrafować do mieszkańców słońca, gdyby się tam znalazł ktoś, ktoby na zapytanie w ten sam sposób dawał odpowiedzi. Sądził nawet, że wynalazek kumunikowania się w ten sposób z ludźmi mieszkającymi na słońcu jest kwestyą czasu, i że wkrótce będzie im można listy posyłać.

Myślał tylko nad wynalezieniem jakiejś lekkiej flaszki, któraby położona na prądzie światła słonecznego w mgnieniu oka poleciała w nieznane światy.

Z czasów kiedy był sekretarzem u pana Eposa, została mu pewna autorska ambicya — nie mógł więc przenieść tego na siebie, aby o swym ważnym wynalazku nie napisać rozprawy i nie umieścić jej w którymś z naukowych czasopism. — Na próżno jednak udawał się do kilku redakcyj, które go wyśmiały, jak gdyby nie chodziło o ważny przewrót umiejętności. Wydrukował więc broszurę „o telegrafach między ziemią a słońcem“ i z bijącym sercem oczekiwał krytyki poważnych autorów. Z niemałym jednak oburzeniem wyczytał w kilka tygodni w „Astronomicznym kwartaleiku“ następującą notatkę:

„Niejakiemu panu Janowi Bogoryi zdaje się, że odkrył sposób podróżowania na słońce. Broszurę jego w tym przedmiocie napisaną, polecamy wszystkim humorystom.“

Dzienniki pochwyliły naturalnie z przyjemnością tę wiadomość i w najniegodziwszy sposób zaczęły się wyśmiewać z Bogoryi

— Kopernik i Newton także służyli za cel pćsmiewiska i prześladowania! pomyślał Bogorya i zagłębiał się dalej w swoich badaniach.

Pewnego dnia wyszedł Jan na przechadzkę i spostrzegł przed sobą idącego mężczyznę, który dziwnie mu się zdawał podobnym do owego Zefiryndy Nałęczu, który go chciał swatać z perską księżniczką. Szedł za nim z kwadrans i przekonał

się, że to oczywiście ów oszust, zapuścił tylko faworyty i tym sposobem cokolwiek się zmienił.

— Mam cię ptaszku! zawołał Bogorya z radością, poszedł coprędzej do policyi, opowiedział pokrótce, że ów jego-ność jest oszustem, który go okradł na znaczne sumy i prosił aby go zaaresztowano.

Stało się jak Bogorya żądał, Zefiryna osadzono w tymczasowem więzieniu, a całą sprawę oddano panu Brzuszkiewiczowi sędziemu śledczemu dzielnicy.

Pan Jan był pewnym że Zefiryn nie stracił wziętych od niego pieniędzy, bo z natury był bardzo skąpym — cieszył się też, że przyjdzie znów do majątku i że się będzie mógł poświęcić swym astronomicznym badaniom, i zakupić potrzebne mu jeszcze przyrządy. Chodził więc codziennie do sądu z prośbami, aby jak najprędzej przeprowadzono rozprawę, ale pan Brzuszkiewicz odpowiadał zawsze jedno i to samo:

— Niech pan dobrodzieju będzie cierpliwym, zrobi się co tylko będzie można...

Po miesiącu takiego upominania się przychodzi do niego sądowy woźny z następującem pismem:

„Podejrzany o zbrodnię oszustwa z § 23049 ustawy karnej Zefiryn Nałęcz został na żądanie p. Jana Bogoryi aresztowany i osadzony w więzieniu śledczem. Ponieważ tenże Zefiryn Nałęcz nie ma własnych środków utrzymania, przeto wzywa się pana Jana Bogoryę, aby zapłacił za niego kosztą alimentacyi za jeden miesiąc w kwocie 100 złotych i złożył kaucyą w kwocie 200 zł. na dalsze utrzymanie poszlakowanego.

Jeżeliby p. Jan Bogorya w przeciągu trzech dni nie uczynił zadość temu wezwaniu, zarządzi się fantowanie i licytacja jego ruchomości celem pokrycia powyższej należitości “

— To sprawiedliwość! — zawołał Bogorya w uniesieniu do woźnego, powiedz Waspan swemu sędziemu, że jest błaznem albo oszustem, inaczej bowiem takiego wezwania wyłomaczyć sobie nie mogę. Sam na siebie nie wydaję 100 zł. miesięcznie na utrzymanie, a on mi każe taką kwotę płacić aresztantowi.

— Przyjmuję do wiadomości — co pan powiedziałeś — odrzekł z zimną krwią woźny.

Bogorya nie miał na razie pieniędzy, nie spieszył się też z zapłaceniem tej należitości, tem bardziej, iż sądził, że w tem państwie nie tak prędko upomną się po raz wtóry o pieniądze, skoro tak pomału prowadzą procesa. — Pod tym jednak względem omylił się bardzo; na trzeci bowiem dzień o ósmej z rana pojawił się ten sam woźny w towarzystwie dwóch pachołków. Przez szklane drzwi mieszkania z pięciu obdartych zaglądało żydów.

Biedny Bogorya protestował, gniewał się, chciał woźnego za drzwi wyrzucać, nic jednak nie pomogło, za pół godziny zlicytowano mu cenne dlań narzędzia astronomiczne, konieczne środki do osiągnięcia przyszłej sławy, do wynalezienia sposobu przesyłania listów na słońce.

Pan Jan nie mógł się uspokoić, oburzał się na ludzką niesprawiedliwość, a zapomniawszy nawet ubrać się pobiegł w rannym stroju wprost do biura Brzuszkiewicza i zarzucił go słowami gniewu i pogardy.

Sędzia stał nieporuszony, a ze stoiczną cierpliwością słuchając niegrzeczności skinął na woźnego, który niebawem wszedł z dwoma pachołkami.

— Cóż to? doraźna sprawiedliwość! — krzyknął Bogorya!

Brzuszkiewicz nic na to nie odpowiedział, ale zwracając się do pachołków rzekł:

— Wsadzić do fiakra i zawieść do szpitala. Woźny będzie prosił odemnie dyrektora szpitala, aby temu panu dał osobny pokój i miał go w obserwacyi, zdaje się bowiem że ma pomieszanie zmysłów.

Bogorya rzucał się, szarpał — nic nie pomogło, związano go jako furyata i odwieziono do zakładu.

Pan Brzuszkiewicz nie był tak samowładnym sędzią, jakby się to nam zdawało z dotychczasowego jego postępowania. — Kilka dni przed owem zdarzeniem dostał on następujące pismo od obrońcy Zefryna.

„Wysoki sądzie! Dziwnym zbiegiem najnieszczęśliwszych okoliczności padł mój klient ofiarą smutnego dla niego, a w ogóle pociesznego nieporozumienia. Nie poczuwając się do żadnej winy, a najmniej do zarzuconej mu zbrodni oszustwa domyślał się, że wskutek jakiejś niezrozumiałej dlań intrygi dostał się do więzienia. Kazał mi zatem śledzić, jakie powody mógł mieć

pan Bogorya zarzucając mu haniebną zbrodnię i wogóle kim jest ów człowiek, o którym mój klient nigdy dotąd nie słyszał.

Wskutek mozolnych badań doszedłem do przekonania, że pan Jan Bogorya jest obłąkanym, któremu się zdaje, że ktoś mu wielką skradł fortunę, przypadek zaś zrządził, że mój klient stał się ofiarą jego przywidzeń.

Przypuszczenie to będące już dzisiaj pewnością opieram na następujących faktach:

Jak wysokiemu sądowi wiadomo, ów Jan Bogorya wydał niedawno niedorzeczną książkę „O telegrafach między ziemią, a słońcem,“ a lat temu kilka jak wydrukował dzieło zdradzające także chorobliwy umysł „O samotności.“ Dzieła te przedkładałem wysokiemu sądowi, a przeczytawszy z nich zaledwie kilka kart, możnaby poprzestać na dalszych dowodach.

Całe awanturnicze życie tego pana, o którym z największą tylko trudnością potrzebne pozbierałem daty, najlepszem jest świadectwem, że pan Bogorya ma umysł niestały, nie mogący się zająć żadną poważną pracą, że szukał utrzymania w najróżnorodniejszych zajęciach, ale nigdzie nie mógł się ostać, gdyż łatwo się było poznać na jego dziwactwach.

Upraszam zatem wysoki sąd o łaskawe przeprowadzenie rozprawy w celu udowodnienia, że pan Bogorya jest obłąkanym i że w przystępie obłądu podniósł niegodny zarzut przeciw memu klientowi, a wskutek tego o uwolnienie Zefiryna Nałęczu z więzienia śledczego.

Na świadków powołuję następujące osoby:

1. Pana Eposa Sielankowicza, literata i właściciela dóbr.
2. JW. hrabiego Gustawa, ukończonego akademika z Berlina.
3. Pannę Balbinę, kapitalistkę, bez zajęcia.
4. Pana Floryana, właściciela hotelu pod tygrysem.
5. Dyrektora teatru, a wreszcie
6. Sądowego woźnego Guzika, który u pana Bogoryi przeprowadzał fantowanie.“

Ponieważ sprawa była trudna i dużo wymagała pisaniny, złożył ją tymczasowo p. Brzuszkiewicz do najskrytszej szuflady swego stolika, aby mu nie psuła humoru swoją obecnością, i postanowił wziąć się do niej jak tylko będzie miał cokolwiek wolniejszego czasu.

Za sześć tygodni nadeszła wreszcie owa oczekiwana dla klientów chwila, pan sędzia z niesmakiem oglądął podanie i kazał popisać cytacye dla świadków na drukowanych formularzach.

W naznaczonym terminie stawili się wszyscy świadkowie; sędzia zasiadł przy zielonym stole i dał głos zastępcy Bogoryi, wyznaczonemu z urzędu do tej czynności.

Zastępca adwokat Krętarski patrzył ciągle na zegarek, wdychał mówiąc: ani grosza się za tę sprawę nie dostanie, a czasu się traci bez liku! wreszcie odkrząknął i tak począł mówić:

„Jednego z mych klientów zawieziono do Bonifratrów, a gdy po raz pierwszy ujrzał się pomiędzy obłąkanymi zawołał z radością: raz przecież znalazłem się pomiędzy rozumnymi ludźmi! co dla jednego jest głupiem, dla drugiego jest mądrym i odwrotnie. Wyobrażenie o głupocie jest najrozmaitsze, a nikomu nie można tego udowodnić, aby miał pomieszanie zmysłów. Dla tego protestuję przeciw temu, aby świadkowie, których wysoki sąd zaprosił byli w możności osądzić stan umysłu mego klienta, im bowiem może on się wydawać nienaturalnym, ja zaś i wielu innych możemy podziwiać wielki rozum pana Bogoryi. Wszelkie dowody i zeznania, jakieby świadkowie złożyć mogli, są już w zasadzie fałszywe i do niczego prowadzić nie mogą. Proszę zatem o uwolnienie mego klienta z obserwacji lekarskiej i pozostawienie go losowi, kto bowiem na życie zarabiać i sam się utrzymywać może, ten nie potrzebuje opieki sądu.“

— Zastępca oskarżyciela nic nie ma do powiedzenia? zapytał sędzia.

— Wywody mego przeciwnika zanadto są sofistyczne — odpowiedział adwokat, aby w czemkolwiek mogły wpłynąć na tok sprawy, zrzekam się zatem wszelkiej odpowiedzi.

Przystąpiono zatem do przesłuchania świadków.

Pierwszy wystąpił pan Epos Sielankowicz, w fezie i kamizelce z tureckiego szala, wybierał się bowiem w podróż na Wschód.

— Czyś pan nie wyniósł przekonania ze stosunku jaki miałeś z panem Bogoryą, że ten jest niespełna rozumu? zapytał sędzia.

Badałem nieraz stan umysłu szaleńców — odpowiedział pan Epos — piłem nawet haszysz, aby studyować na sobie chwilowe obłąkanie, i rzeczywiście przyznać muszę, że te same symptomata, które wówczas czułem, spotykałem u pana Bogoryi. Dziwna jakaś namiętność do pisania dzieł o rzeczach, o których się nie ma najmniejszego wyobrażenia, chęć popisywania się swą wiedzą zdradzały, że umysł jego w niezwykłym znajduje się stanie. Co więcej, pan Bogorya zrywał się po nocach i głośno deklamował, także nieraz musiałem mu zrobić uwagę, że mi spać przeszkadza.

Proszę zanotować — odezwał się sędzia do młodego urzędnika — ważne zeznanie, podkreślić czerwonym ołówkiem. — Poczem zawołał.

— Pan hrabia Gustaw.

— Papa najzupełniej jest przekonany, rzekł Gustaw bawiąc się szklami, że pan Bogorya jest skończonym waryatem. Był moim sekretarzem w Berlinie, a gdy mnie dwie godziny w domu nie było, posyłał na policyą, aby mnie szukano. Papci było tego za wiele i wypowiedział mu miejsce.

— Panna Balbinka, kapitalistka! zawołał sędzia.

Balbinka z pewną gracyą się ukloniła i tak mówić poczęła:

— Gdybym wiedziała, że pan Bogorya na takie mnie narazi nieprzyjemności, że z jego powodu będę musiała jak jaka osoba niskiej kondycyi przekraczać progi sądowe! oh! tobym nigdy nie była pozwoliła na to, aby go ś. p. mój przyjaciel Olenda przyjmował do swego domu.

— Zwracam pani uwagę, że to do rzeczy nie należy przerwał sędzia.

— Za moją grzeczność, że się tutaj fatygowałam, obdarcza mnie pan sędzia słowami, których nie przywykłam słuchać.

— Nie chcę pani bynajmniej urazić, proszę tylko powiedzieć, czy pani uważasz Bogoryę za człowieka ze zdrowemi zmysłami, czy nie?

— Ś. p. mój przyjaciel Olenda mawiał zawsze, że głupiec z tego Bogoryi, a raz przybiegł nawet bardzo na niego zagniewany, gdyż brakiem rozumu skompromitował firmę.

— Bardzo ważne świadectwo — proszę podkreślić czerwonym ołówkiem.

— Następuje pan Floryan, dodał sędzia przekonawszy się, że podkreślono tamto zeznanie.

— Co do mnie, oświadczył właściciel hotelu, nie mogę wprawdzie utrzymywać, aby Bogorya był obłąkanym, gdyż służył w moim hotelu przez kilka miesięcy; tyle jednak mogę powiedzieć, że jest trochę głupkowskim, nie pamiętał co mu goście polecili i chodził jak gdyby myślał o czem innem, a nie o tem co do niego należało. Więcej nie mam nic do powiedzenia.

Wystąpił dyrektor teatru.

— W mojej operze był Bogorya zaledwie czterdzieści ośm godzin, poznałem bowiem natychmiast, że ma jakieś dziwaczne wyobrażenia, i że wpływałby demoralizująco na artystów.

Pozostał jeszcze woźny, a jego zeznania przemawiały stanowczo przeciw Bogoryi.

— Z przeproszeniem wysokiego sądu — perorował woźny, obwiniony śmiał na pana sędziego powiedzieć, że jest błaznem, chciał mnie za drzwi wytrącić, a tak się strasznie rzucał, że od razu poznałem, iż mu coś brakuje; to też drugim razem poszedłem już do niego z pachółkami, obawiając się jakiego wypadku. Dwa lata temu widziałem jak podobny waryat w przystępie złości na miejscu zabił przekupkę, miałem się też na bacności, a gdyby nie powinność byłbym nie przestąpił jego progu za żadne pieniądze.

— Zeznania woźnego Guzika zasługują na wielką uwagę, odezwał się sędzia, niemi też zamykam przesłuchanie świadków.

Obrońca nie żądał głosu, rozprawę zamknęto.

Na drugi dzień sąd wydał następujący wyrok:

„Zważywszy, że trzech świadków, a mianowicie pan Epos Sielankowicz, hrabia Gustaw, i woźny Guzik przytoczyli fakta dowodzące, że Jan Bogorya cierpi pomieszanie zmysłów;

Zważywszy, że trzej inni świadkowie, a mianowicie panna Balbinka, pan Floryan i dyrektor teatru zeznali, że tenże Jan Bogorya jest zupełnym głupcem;

Zważywszy, że Bogorya wprowadził w błąd sądy, rzucając potwarz na Jmci pana Zefiryne Nałęczu i posądzając go o oszustwo;

Zważywszy, że tym sposobem jego obłąkanie stało się szkodliwem nie tylko wspomnianemu panu Zefirynowi, ale co

więcej, może zagrażać innym spokojnym obywatelom państwa i naruszać porządek publiczny;

Zważywszy, że według zeznania lekarza szpitala głównego, tenże Bogorya, przy każdej sposobności wpada w gniew, w którym miota obelgi na sąd i na urzędową sprawiedliwość — i że obawiać się należy, aby jego obłąd nie przemienił się w niebezpieczną furję;

orzeka się co następuje:

Jana Bogoryę, jako człowieka, którego pomieszczenie zmysłów niebezpiecznem jest dla społeczeństwa, oddać należy do domu obłąkanych, pana Zefiryne Nałęcza zaś natychmiast uwolnić z więzienia śledczego, pozostawiając mu wolność poszukiwania strat jakie mógł mieć skutek swego uwięzienia na majątku rzeczzonego Jana Bogoryi.“

Wyrok udzielono w odpisie nadzorcy szpitali i polecono mu, aby go natychmiast wykonał.

Bogorya siedział w celi rozpaczając nad swym losem i myśląc nad tem, jak by się uwolnić z więzienia, gdy weszło kilku szpitalnych służących mierząc go bojaźliwym wzrokiem.

— Czego chcecie? cóż tam nowego? zawołał zniecierpliwiony swem położeniem Bogorya.

Na zapytanie nie było wszakże rozumnej odpowiedzi, ale sędziy wrzucili nań, jak na furyata worek z grubego płótna, i zawieźli do domu obłąkanych.

Tam miał pan Jan dość czasu rozpamiętywać nad swemi dziwnemi przygodami i przyszedł do przekonania, że nic łatwiejszego jak być okrzyczanym za głupca, a nawet za waryata; kilka niepowodzeń w życiu, kilka fałszywych kroków do tego wystarcza. — Im człowiek uboższy, im niżej stoi na szczeblach społeczeństwa, im mniej ma środków własnej obrony, tem mu łatwiej uchodzić za głupca. A biada temu, kogo raz zacznie prześladować owa ludzka duma, chcąc wszystkich poniżyć, a siebie tylko nad wszelkie wynosić mądrości — jak cień chodzi ona wtedy krok w krok za swoją ofiarą i szydcerzem ją prześladowuje spojrzaniem.

— Głupiec! głupiec! woła za nim bez ustanku, tak że prześladowany zwątpi nieraz sam o sobie i pyta z rozpaczą:

— Może rzeczywiście oni mądrzejsi odemnie?

Pewnego wieczora, gdy już cisza panowała w zakładzie, wszedł Baniel do celi Bogoryi.

— Na ciężką skazałeś mnie pokutę — zawołał pan Jan, na tak ciężką nie zasłużyłem!

— Daruj mi odrzekł Baniel — chciałem cię tylko przekonać jak byłeś niesprawiedliwym, patrząc na wszystkich z góry i zowiąc ich głupcami. Spoglądaj na świat okiem nieuprzedzonego mędrca, a pod błazeńską czapką znajdziesz nieraz wiele rozumu. Nie zniechęcaj się do ludzi, gdyż nie ma tak niskiego stworzenia, któreby cię czegoś nauczyć nie mogło.

— Zanadto twarde przeszedłem doświadczenia, abym w prawdziwość słów tych nie miał wierzyć. Pozwól mi przyjacielu wrócić teraz na świat, już w egoizmie zarozumiałości zasklepiac się nie myślę...

— Jeszcze jedna próba — odrzekł Baniel, próba która ci nie będzie trudna do przebycia. Przyszedłeś do przekonania, że nie wszyscy są głupcami, którzy za głupców uchodzą, porównaj jeszcze dwa społeczeństwa: mniemanych głupców i mniemanych ludzi rozumu, naucz się sądzić o ludzkich instytucjach, abyś się dowiedział, że w każdym społeczeństwie i w każdym dziele człowieka znajdziesz pierwiastek głupstwa i rozumu, a ktoby chciał rozum zupełnie od głupstwa rozłączyć, tenby chciał morze łyżką wyczerpać.

CZEŚĆ CZWARTA.

I.

Podróż Bogoryi do Neosparty.

Opis tej podróży wyjmujemy z pamiętników Bogoryi, które spoczywają dotąd w rękopisie i oczekują nakładcy. Oto jego słowa:

Zaopatrzony w list do prezydenta Rzeczypospolitej Neospartańskiej wybrałem się w podróż. Droga była utrudzająca wśród niezamieszkałych stepów, po pięciu jednak dniach konnej jazdy stanąłem na granicy ciekawego kraju. Z daleka już ujrzałem ślady wysokiej cywilizacji, kominy fabryk, nad-

graniczne gmachy i jakieś różnorodne budynki, których przeznaczenia nie mogłem sobie wytłumaczyć.

Ogromny żołnierz, taki rozrośnięty i barczysty, jak gdyby pochodził z północnych Niemiec, zatrzymał mnie na granicy. Pokazałem mu list do prezydenta — na co on nic nie powiedział, wskazał mi obok stojący dom, abym się tam udał; kilku Indyan i Europejczyków, którzy stanowili moją straż, musiało wrócić, gdyż list upoważniał tylko mnie samego do odwiedzenia ściśle zamkniętej Rzeczypospolitej.

Gmach, który mi wskazano, mieścił wielką salę ze szkła i żelaza. Mnóstwo tam było ludzi, a wszyscy jednakowo ubrani w wolne szaraczkowe suknie, podobne do europejskich. Z rozmów ich mogłem zaledwie kilka słów zrozumieć; mówili bowiem językiem neo-spartańskim, jakąś mieszaniną niemieckiego i angielskiego języka. — Na odgłos dzwonka weszło do sali kilkunastu wielkoludów podobnych do owego żołnierza i każdemu z obecnych po kolei kładli na głowę dużą banię szklaną, opierającą się na ramionach. Zapytałem się mego sąsiada po angielsku, co mają znaczyć te banie, nie dostawszy jednak żadnej odpowiedzi, czekałem spokojnie, co dalej z tego wyniknie? Ba! ale i do mnie zbliżył się jeden z wielkoludów i włożył mi na głowę podobną banię. Oddałem się spokojnie operacyi, domyślając się, że to może jakiś oryginalny sposób desinfekcyonowania przyjezdnych, którzy mogliby z zagranicy przywieźć zaraźliwe choroby; jakież było jednak moje zdziwienie, gdy na końcu sali otworzono drzwi do nadzwyczaj długiej szklanej rury, urządzonej wewnątrz w kształcie wagonów. Każdy zajął tam miejsce, a mnie los za sąsiada przeznaczył jakiegoś rudego obywatela. Zacząłem mówić do niego po niemiecku, ale spostrzegłem, że jeden drugiego nie może słyszeć. Sąsiad zobaczył jednak ruch moich ust i podsunął mi długą gutaperkową rurę, której jeden koniec przyłożył do mego ucha. Przyłożywszy więc drugi koniec do ust, zapytałem:

— Co z nami będą robić?

— Pojedziemy do Sparty, stolicy Rzeczypospolitej.

— Więc siedzimy w wagonach?

— W wagonach pędzonych siłą elektryczną, za dwie minuty będziemy w stolicy.

— To tak blisko do Sparty?

— Pięćset kilometrów...

Tutaj szybko jeżdżą! pomyślałem — i znów zapytałem:

— A na cóż te banie szklane?

Mój towarzysz roześmiał się i spoglądał na mnie na pół z lekceważeniem, na pół z politowaniem.

— Jak to? nie wiesz pan, odpowiedział, że prąd naciśkającego powietrza udusiłby nas, gdybyśmy nie mieli na twarzy ochronnych przyrządów. Pociąg przebiega przecież na minucie 250 kilometrów.

Zawstydziłem się z powodu mej niedomyślności i uciechłem. Nagle ciemno mi się w oczach zrobiło, uczułem gwałtowne szarpnięcie i zaledwie zmówiłem dwa Zdrowaś Marya, a już konduktor zawołał: Sparta! — a kilkunastu drabów wbiegło do wagonów, aby nas wysadzać. Nie dano mi się nawet opamiętać i oglądnąć, ale ani się pytając ani słuchając mych zapytań, wsadzono mnie do mniejszej rury, podobnej do szklanego słoja. Tym razem zaledwie jeden wyraz powiedzieć mogłem, a już słój zatrzymał się przed jakimś gmachem, a mój towarzysz wprowadził mnie na pierwsze piętro i krzyknął po angielsku: Prezydent!

Znalazłem się w wielkiej sali ze szkła i z żelaza, a na przeciw mnie ujrzałem małego człowieka z niezmiernie wysokim czołem, ubranego jak wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, których dotąd widziałem, z tym tylko wyjątkiem, że miał złote kółko przypięte na piersiach. Oddałem mu list od Balia; prezydent przebiegł go szybko i z wielką uprzejmością przywitał mnie i pytał o wiadomości z Europy. Zdziwiło mnie, że w sali nic nie było prócz mebli i dwóch bardzo wiernych kopij Apollina Belwederskiego i Wenery z Milos, a na ścianie po za biurkiem prezydenta wisiała wielka mapa, podobna do naszych map statystycznych.

— Musi się panu u nas dziwnie wydawać? zapytał prezydent, znajduje pan dużo nowości?

— Od samej granicy spotykają mnie niespodzianki, których sobie wytlómaczyć nie umiem.

-- Tak! panowie w Europie nie znacie jeszcze naszej

kolonii, abyś pan jednak o niej dokładne mógł wywieźć wyobrażenie, oddaj mi się na kilka dni w opiekę.

Z wdzięcznością przyjąłem propozycją, a prezydent nie tracąc czasu, zaczął mi zaraz profesorskim tonem wykladać treściwie o urządzeniach swej Rzeczypospolitej.

— Otóż — mówił on — nasza Rzeczpospolita założona w umiarkowanej strefie, gdyż jak panu wiadomo, klimat tej strefy najbardziej sprzyja rozwojowi cywilizacyi. Celem naszym jest osiągnięcie w jak najkrótszym czasie szczytu ludzkiej kultury i skłonienie całej ludzkości, aby nam uległa. Na podstawie najnowszych wyników wiedzy chcemy wychować społeczeństwo, któreby się w swych pracach przez żadne inne prześcignąć nie dało.

Mowę pana prezydenta przerwało usunięcie się jednej taffi z posadzki, kędy się ukazał stół zastawiony kilkoma potrawami.

— Otóż i nasz obiad — przerwał prezydent — obecnie w całym państwie obiadowa godzina i na stole każdego obywatela te same potrawy, gotowane w jednej fabryce, będącej zakładem państwa.

— Jak to? — w jednej fabryce? — spytałem z niedowierzaniem.

— Tak jest, tym sposobem oszczędza się siłę dwu milionów koni; nikt nie potrzebuje się bowiem troszczyć o jadło. Państwo gotuje śniadanie, obiad i kolację i rozsyła je elektrycznemi pociągami do każdej osady, a że ze Sparty do najdalejszych krańców Rzeczypospolitej za dwie minut dojechać można, więc jadło przybywa zupełnie świeże i ciepłe na miejsce.

Spojrzałem na półmisek. Zupa z jarzyn, surowe kotlety, chleb misternie upieczony z całych ziarn przenicy i jakiś napój stanowiły całą zastawę.

— Nasz obiad może panu nie będzie smakował — odezwał się prezydent — ale mogę ręczyć, że wyjdzie na zdrowie. Nasi chemicy obliczają bowiem: jaki stosunek części składowych pożywienia jest najwłaściwszy dla ludzkiego organizmu i według najściślejszych przepisów sporządzają potrawy.

Zupa nie była wprawdzie dobra, ale można ją było jeść, surowych kotletów w żaden sposób jednak nie mogłem do ust przybliżyć, tak je czuć było chlorkiem.

— Kotlety jak widzę nie smakują panu — zauważył prezydent — trzeba się przezwyciężyć. Surowe mięso, jak może panu wiadomo, sprowadza czasem solitera, aby się od tego uchronić, moczy się go pierwszej w chlorku, co jeszcze ma ten nadzwyczajny skutek, że chlorek desinfekcyonuje trzewia i oddała wszelkie choroby.

Westchnąłem głęboko i pomyślałem: bodaj to nasze nieracyonalne beefsteaki!

Po owym spartańskim obiedzie zapytałem prezydenta, coby za znaczenie miała owa mapa na ścianie, która z razu zwróciła moją uwagę?

— To mapa naszej ludności. Obywateli Rzeczypospolitej uzyskujemy za pomocą krzyżowania ras. W tym czerwonym pasie — mówił dalej wskazując na odpowiednie miejsce mapę — hodujemy obrońców ojczyzny. Produkujemy tam rasę ludzi silnych, barczystych, wytrwałych, bitnych, którzy od młodości do późnego wieku niczem się nie trudnią jak tylko gimnastyką, robieniem bronią, strzelaniem, a możesz pan sądzić, że tym sposobem dojdziemy wkrótce do armii, której się żadne wojsko na świecie oprzeć nie zdoła.

— A cóż robicie z ludźmi słabymi, wątłymi, którzy się i tam przytrafiać muszą?

— Obyczajem spartańskim nie pozwalamy dorastać kalekom, złe zaraz w początku zabijamy. I my mamy nasz Tajgetos! wprawdzie nie wynosimy tam żywych dzieci na pożarcie dzikim zwierzętom, ale lekarze trują w pierwszym tygodniu każde dziecko nie zdolne do fizycznego wykształcenia się. Ciała tych dzieci pali się i rozsypuje po wierzchołkach gór.

Gdym okazywał zdziwienie i oburzenie, dodał prezydent z flegmatyczną miną:

— Jest to największe dobrodziejstwo, jakie może państwo wyrządzić tym istotom — nie pozwala im się męczyć przez długie lata, ale skraca ich cierpienia. Dobrze to zrozumiany humanitaryzm. — Wracając jednak do mapy, muszę ją panu dalej wyjaśnić: szmat kraju oznaczony zieloną barwą, produkuje ludność rolniczą; są to nasze najurodzajniejsze posiadłości, spichrz całej Rzeczypospolitej; ten mały skrawek bruna-

tny mieści ludność fabryczną, a tamten niebieski przeznaczony dla części narodu, która się zajmuje umysłową pracą.

— A samo miasto, stolica Rzeczypospolitej — zapytałem — dla jakiej jest przeznaczona ludności?

— Tutaj mieszkają tylko funkcyonaryusze państwa, ludność wyborowa, wyprodukowana już w jednej z powyższych prowincyj.

Uśmiechnąłem się na widok małej figurki prezydenta, który nie przyniósłby zaszczytu postępowej hodowli ludzi; przypomniałem sobie jednak, co mi opowiadał Baliel, że prezydent nie dawno się osiedlił w Rzeczypospolitej, a poprzednio był profesorem filozofii w Berlinie. Pewne śmiałe reformy, z którymi wystąpił w Neo-Sparcie, a mianowicie ustawa o małżeństwie, zjednały mu taki rozgłos, że wyjątkowo został obrany jako cudzoziemiec do senatu, a później powołany na krzesło prezydenta. Sądząc, że mu przyjemność sprawię, pytając go o najważniejsze jego dzieło, o powyższą ustawę o małżeństwie, prosiłem go aby mi ją objaśnił.

— Rzec bardzo prosta — odpowiedział — wypływająca z kierunku naszej Rzeczypospolitej i zdrowych zasad rozumu. Nikt bez pozwolenia państwa żenić się nie może, najwyższy urząd krzyżowania ras bada każdego, kto się stara o to pozwolenie.

— Co się dzieje z takimi, którym urząd odmówi pozwolenia?

— Mogą się przydać w innej kombinacyi małżeńskiej, a jeżeli państwo uzna ich za nieprzydatnych do swoich celów, następuje banicya z Rzeczypospolitej. Takie banicye są jednak tylko tymczasową koniecznością, za lat bowiem kilkadziesiąt rasy obywateli Rzeczypospolitej tak się wykształcą, że nie zajdzie potrzeba wykluczania kogoś od reprodukcji.

Prezydent tak był łaskawym, że mnie zaraz zaprowadził do owej najwyższej magistratury krzyżowania ras.

— Przypatrzysz się pan w rzeczywistości temu, o czymś my mówili.

Weszliśmy do długiego budynku. Mnóstwo mężczyzn i kobiet czekało na lekarskie badania; wszyscy się kłaniali prezydentowi z uszanowaniem.

W osobnej galeryi zastaliśmy zebranych urzędników. Chodziło o małżeństwo młodego profesora historyi z córką rolnika. W zasadzie była zatem przeszkoda, człowiekowi pracującemu bowiem umysłowo wolno się żenić tylko z panną ze swej kasty.

Jak się obywatel nazywa? pytał się urzędnik delinkwenta.

— Agatokles. — Trzeba bowiem wiedzieć, że Neospartanie tylko greckie i łacińskie mają nazwiska.

Urzędnik zaczął szukać w wielkiej księdze spisu ludności i zaraz znalazł rodzinę Agatoklesów.

— To rodzina geniuszów! zauważył do prezydenta.

Zapytałem się: co znaczy to określenie? — Grzeczny prezydent zaraz mi wyjaśnił, że każda klasa ludzi dzieli się na trzy kategorie, osobno zapisane w księgach ludności. Do pierwszej należą rodziny geniuszów, zdolności pierwszej próby, do drugiej rodziny talentów, a do trzeciej zwykłe zdolności. Stosownie do tego są księgi geniuszów z kastą ludzi pracujących umysłowo, z kastą rolników, żołnierzy i fabrykantów.

— Nazwisko panny młodej? — pytał dalej urzędnik.

— Juno Sophia — odpowiedział ojciec za córkę, która się oblała rumieńcem i oczy na dół spuściła.

Przypatrzyłem się biedaczce: była rumiana, zdrowa i wcale przystojna. Odprowadzono ją do osobnego pokoju, gdzie miano badać jej fizyczne kwalifikacye. Tymczasem dwóch lekarzy zbliżyło się do Agatoklesa i dyktowało następujący protokół:

— Agatokles, Nr. 12ty drzewa genealogicznego, czoło wysokie na 13.02 centimetra, przewyższa zatem o 1.02 cent. przepisaną wysokość czoła jeniuszów; wypukłość głowy z tyłu znaczna, organ mowy mniej przydatny na profesora, zęby trochę zużyte; w przybliżeniu żyć może lat 59. Inne zdolności...

Wzgląd na szanownych czytelników nie pozwala mi przytoczyć dalszej treści protokołu, wchodzącego zbyt szczegółowo w fizyczne kwalifikacye człowieka.

Po chwili przyniesiono podobny protokół opisujący Junonę, z którego się okazało, że pretendentka stanu małżeńskiego ma dziwnym wypadkiem daleko więcej kwalifikacyi na matkę stanu żołnierskiego, aniżeli na matronę mającą wychować synów z zawodu umysłowego.

— Dziewięćdziesiąt pięć centymetrów szeroka w plecach — zauważył urzędnik.

Lekarze porozmawiali jeszcze z urzędnikami, poczem jeden z nich ogłosił wyrok: że państwo nie zezwala na małżeństwo Agatoklesa z Junoną, jemu każe sobie nowej szukać narzeczonej, a jej przykazuje wybierać męża ze stanu wojennego. Ażeby zaś uniknąć płaczów i prośb niepotrzebnych, wszystko tak było urządzone, że po ogłoszeniu wyroku w mgnieniu oka włożyli pacholki historyka w inną a Junonę w inną rurę szklaną i odwieźli do miejsca zamieszkania.

— Ależ to barbarzyństwo tak szybko ich rozdzielać! — zauważyłem do jednego z urzędników.

— Owszem, to wielce humanitarny uczynek; w ten sposób bowiem nie mają czasu rozwodzić wzajemnie swych żalów, uczucie nie zwiększa się w niepotrzebnych pożegnaniach, a oddalenie przyczynia się nie mało do tego, że wkrótce o sobie zapomną i staną tutaj w innej parze. W przeciągu roku, mój panie — dodał urzędnik z pewną dumą — po dziesięć razy staje czasem ta sama panna z coraz to innym kandydatem stanu małżeńskiego, dopóki nie dostanie pozwolenia.

— Mnóstwo przecież — zauważyłem, musi zostawać starami pannami.

— Ani jedna, gdyż każdą czterdziestoletnią pannę czeka banicya — to się jednak dość często zdarza, że mężatki uciekają ztąd do barbarzyńskich krajów.

Najwyższym urzędem jest biuro statystyczne, a tegoż organizacya mogłaby rzeczywiście wzbudzić podziwienie w Europie. Najdrobniejszy szczegół z życia neospartańskich obywateli jest tam zapisany i obliczony. Rzeczpospolita wie z największą dokładnością, ile kilogramów mięsa lub chleba zjada każdy z jej obywateli, ile wody wypije, ba nawet ile kroków na dzień zrobi. Wskutek tych obliczeń policya dochodzi do takich rezultatów, że wie naprzód o kilka miesięcy, który z Neospartanów zachoruje na zapalenie płuc, a który sobie gardło poderźnie. Dziwna bowiem rzecz, że w Rzeczypospolitej neospartańskiej daleko więcej się zdarza przypadków samobójstwa, aniżeli gdziekolwiek indziej na świecie. Tamtejsi uczeni tłómaczyli mi, że fakt ten nie jest szkodliwym, bo coś państwu

może zawadzić, że sobie odbierze życie obywatel, który nie ma już ochoty wykonywać swoich obowiązków?

W Nowej-Sparcie zupełnie niema pieniędzy. Biuro statystyczne prowadzi ogólne rachunki, a ponieważ państwo żywi i okrywa każdego obywatela, więc prywatny człowiek nie potrzebuje nigdy środka wymiany. Państwo odbiera zapłatę za swe dobrodziejstwa w pracy obywateli.

— A cóż robicie, jeżeli kto nie chce robić? jeżeli kto jest nałogowym próżniakiem — pytałem się urzędnika biura statystycznego.

— Nie posyła mu się śniadania lub obiadu, a zaraz wraca do pracy.

— Zupełnie jak u nas z dziećmi — odpowiedziałem.

Neospartanie nazywają wszystkie inne kraje barbarzyńskimi.

Po tyłu różnorodnych wrażeniach czekał mnie jeszcze tego samego dnia wielki koncert, na który mnie prezydent zaprosił. Miałem tam ujrzeć zebraną całą miejską publiczność.

Jedynie w rzeczach sztuki uznają Neospartanie europejskie powagi, z którego też powodu koncert rozpoczął się od jakiegoś utworu Wagnera. Siedzieliśmy w wielkim cyrku zbudowanym na kształt cyrków starożytnych, ławki publiczności były wszakże nakryte szklannym dachem. Publiczność nie ciekawa, gdyż będąc jednakowo ubraną, wygląda wielce jednostajnie. Wszyscy w sieraczkach, tak kobiety jak mężczyźni, a suknie tym samym zrobione krojem.

Zapytałem się z jakiego to powodu? na co mi odpowiadano, że każdy obywatel dostaje ubiór z fabryk państwa, po dwa garnitury do roku, a dla urzeczywistnienia demokratycznej idei wszystkie suknie są jednakie, nic bowiem tak jak ubiór nie daje sposobności do wyróżnienia się od swoich bliźnich. Zwierzęta jednego i tego samego gatunku jednaką sierścią są pokryte.

Ciekawy byłem wagnerowskiej muzyki. Jakież było wszakże moje zdziwienie, gdy się dowiedział, że nie ludzie będą grać, ale maszyny. Świst kotłów parowych uprzedził mnie o tem: proszę sobie wyobrazić skrzypce, basy, trąby, wszystko parowe. Dzikie zwierzęta pustyni byłyby puciekały na odgłos tej orkiestry.

Szczególniejsze w swoim rodzaju było jednak wykonanie hymnu skomponowanego przez obywatela Rzeczypospolitej Neospartańskiej pana Sophoklesa, wykonane na nowo wynalezionych organach działowych.

Zapytacie się co to za instrument? Bardzo prosty: Wystawcie sobie organy, w których zamiast piszczałek są powstawiane działa i to od najcięższego do najlżejszego wagomiaru. Za pociśnięciem jednego klawisza wypala jedno działo i wydaje mocniejszy lub słabszy odgłos stósownie do wielkości działła. Powstaje muzyka godna uszów Neospartańczyków!

II.

Po kilkodniowym pobycie w Sparcie pojechałem z prezydentem zwiedzać kraj. Zaczęliśmy od prowincyi ludzi przeznaczonych do umysłowych potrzeb Rzeczypospolitej. Prowincya ta jest terytoryalnie najmniejszą i wygląda jak wielkie miasto rzadko zabudowane, a pełne ogrodów. Ziemia bowiem jest tutaj przeznaczoną tylko na ogrody botaniczne, spacery, pola doświadczalne, wogóle ma służyć tylko do pomocy w nauce tamtejszej ludności.

Zaraz na wstępie uderzyło mnie, że cała ludność ma nadzwyczaj wysokie czoła, wypukłe głowy i pochylone barki. Wszyscy byli tutaj podobni do owego Agatoklesa, którego w Sparcie widziałem. Krzyżowanie ras doprowadziło więc do znakomitych rezultatów. Wysokie czoła łatwo sobie było wytłómaczyć, pytałem się jednak co mają znaczyć pochylone barki? Odpowiedziano mi, że naumyślnie hodują takich ludzi, aby ich nie męczyło schylenie przy pisaniu, lecz owszem było najmiłszem ich położeniem ciała.

Weszliśmy do kolonii pierwszej, kolonii filozofów, mających za zadanie rozstrzygnąć wszystkie dotychczas niewyjaśnione tajniki natury, a przedewszystkiem wynaleźć sposób robienia ludzi za pomocą maszyn. Neospartańska filozofia uważa bowiem za ostateczny cel nauki zupełne wyswobodzenie się z pod wpływów przyrody i dopiero wtedy będzie uważała swe zadanie za skończone, jeżeli stósownie do potrzeb państwa będzie można wytwarzać ludzi. Potrzeba np. znakomitego inży-

niера, a więc chemicy dodają do rozczyну, z którego robią ludzi, dwa grany amoniaku więcej — i jest inżynier; potrzeba wodza dla armii, naskrobią trochę kamienia piekielnego — i mają wodza.

Dotychczas doprowadzili do tego, że zrobili psa, który aportuje, i tę tylko posiada wadę, że nie ma węchu; zając może go w nos ugryźć, a pies się nie ruszy.

— Jestem jednak przekonany, mówił mi uczony, który tego psa wymyślił, że i tę trudność wkrótce przewyciężyć potrafię, a nowy mój pies będzie uławiał jak tylko zająca obaczy.

Zwróciło moją uwagę, że nigdzie, ani w stolicy, ani na prowincyi nie widziałem obrazów, ani żadnych rycin, a około dróg i domów stały wszędzie jak najgorsze kopie posągów Apollina i Wenery z Milos. Sądziłem, że Neospartanie mają jakiś szczególny kult dla tych bóstw starożytnych, dowiedziałem się jednak, że jestem w błędzie, te dwa posągi bowiem, jako uznane najpiękniejsze kształty ludzkie mają służyć za wzór wszystkim matkom i ojcom, do którego w produkowaniu przyszłych generacyj dążyć należy, wszelkie inne obrazy albo malowidła z tej samej przyczyny są wykluczone z domów, mogłyby bowiem wprowadzać odmiany od owych wzorów.

Zauważyłem wprawdzie, że wobec hodowania ludzi z wysokimi czołami i przygarbionym grzbietem trudno będzie dojść do kształtów Apollina lub Wenery, odpowiedziano mi jednak że z czasem da się wynaleźć sposób komprymowania mózgu w ten sposób, aby w jak najmniejszej objętości jak najwięcej miał siły. Wtedy już nie będzie potrzeby hodowania uczonych z wysokimi czołami ale kształt ludzki da się zbliżyć do ideału, jakim jest Apollo Belwederski.

Pozwoliłem sobie raz pewnego zwrócić uwagę prezydenta, że Rzeczpospolita nie jest bynajmniej ugruntowana na zasadach demokratycznych, jakby się to na pozór zdawać mogło, ale jest w najwyższym stopniu państwem kastowym, przewyższającym jeszcze dawne egipskie i indyjskie państwa. Człowiek jest tutaj niewolnikiem państwa, które tak dalece nim zawładnęło, że na kilka generacyj naprzód śmie mu wyznaczać stanowisko w społeczeństwie i nagina nawet jego naturę do swoich potrzeb i przywidzeń. Klasa

ludzi przeznaczonych do umysłowych potrzeb państwa, albo klasa wojskowa, jako przedstawicielka fizycznej potęgi stanie się kiedyś wyłącznie panującą i będzie na swoją korzyść wyzyskiwała inne kasty.

Pan prezydent czuł się trochę dotkniętym moją uwagą, a osobiwie słowem „kasty“ i w ogóle nie mógł pojąć, jak człowiek nienależący do szkoły berlińskich filozofów śmie krytykować wymyślane przez nich mądre instytucje. Mając wzgląd jednak na to że byłem gościem, odpowiedział mi. że harmonia i równowaga tak jest w Rzeczypospolitej wskutek podziału na klasy wybornie utrzymaną, że społeczeństwo tylko za wzajemnym udziałem wszystkich klas istnieć może!

— Jakimże sposobem, pytał, mogą wojskowi stać się potęgą wyłącznie rządzącą, jeżeli w danym razie rolnicy odmówią im chleba, a fabrykanci broni i odzieży?

Pomyślałem sobie, że nic łatwiejszego jak wydrzeć ten chleb i tę broń jeżeli się jest silniejszym, nie chciałem się jednak sprzeciwiać memu dostojnemu gospodarzowi, który o ile mi się zdaje, więcej posiadał w swej głowie filozoficznych teoryj aniżeli zdrowego rozsądku.

Niebawem pożegnał mnie prezydent, powołany do stolicy z powodu ważnych spraw państwa, a mnie polecił jednemu z najznakomitszych uczonych p. Nikomedonowi. Nowy przewodnik zaprosił mnie do siebie do domu i z uprzejmością opowiadał o szczegółach swego życia.

Z wielką ciekawością oglądałem u niego po raz pierwszy jedyną gazetę jaka wychodzi w Neosparcie. Wychodzi ona codziennie w pięciu tomach ułożonych w sposób encyklopedyczny, ażeby każdy stósownie do potrzeby lub ciekawości mógł w niej znaleźć wiadomość.

— Czy też o moim pobycie co napisali? pomyślałem i otworzyłem literę B. i rzeczywiście pod słowem Bogorya czytałem co następuje:

„Jeden z barbarzyńskich potentatów polecił Jego najdoskonalszej Wysokości, naszemu panu Prezydentowi podróżnika, niejakiego pana Bogoryę, który się chce przekonać o mądrości naszych instytucyj, o których rozgłośna sława obiega po całym świecie. Obywatelom rzeczypospolitej zakazuje się niniejszem, aby z tym podróżnikiem w jakiegokolwiek wchodzili sto-

sunki, a przyjmować go mogą tylko ci, którzy mają do tego upoważnienie od Jego najdoskonalszej Wysokości pana prezydenta.“

Zapytałem się mego gospodarza, coby to był za powód tak surowego zakazu. Wzbraniał się najprzód dać mi odpowiedzi, gdym mu jednak wytłómaczył, że za kilka dni wyjadę, i z Neospartanami nic nie będę miał więcej do czynienia, nabrał do mnie zaufania, a oglądnąwszy się na około, czy kto nie słucha, tak do mnie mówił:

— Bardzo mnie dziwi, że prezydent pozwolił panu zwiedzać naszą rzeczpospolitą, od lat pięciu jesteś trzecim dopiero Europejczykiem, którego ta łaska spotkała. Widzę, że jesteś prawym człowiekiem i nie zechcesz mojej zguby, powiem więc panu otwarcie, że rząd nasz boi się, aby przez zetknięcie się z zagranicą nie dostały się do nas idee rewolucyjne i aby się nie powiększyło stronnictwo niezadowolonych, boi się abyśmy nie poznali, że wszędzie lepiej aniżeli u nas.

— Jak to? — więc jest u was stronnictwo niezadowolonych?

— Zrób mi pan jedną obietnicę, to ci wszystko opowiem, możesz być nam nadzwyczaj użytecznym; jesteś jakby przysłanym przez Wielki Atom.

— Jeżeli to tylko będzie w mojej mocy — odpowiedziałem — i jeżeli tem nie naruszę praw gościnności.

— Zupełnie w twojej mocy, a wielkim swym czynem nie tylko że nie naruszysz praw gościnności, ale co więcej na wieki się zasłużysz około szczęścia tutejszych mieszkańców.

— Krótka moja prośba — dodał cicho i drżąc. — Czy nie masz niepotrzebnego ubrania i czy nie mógłbyś mi go podarować?

Spojrzałem na niego z niemałym zdziwieniem, zawahałem się co odpowiedzieć, sądząc, że mam przed sobą człowieka, któryby się u nas kwalifikował do Bonifratrów. Zaskoکیłem go jednak natychmiast, że z przyjemnością będę mu służył nowem paryskim ubraniem.

Nie widziałem w życiu większej radości! Szanowny Nikomedon ścisnął mnie i całował, dziękując za dar tak znakomity, a po chwili wyjaśnił mi całą doniosłość mego podarunku. Otóż jest on naczelnikiem stronnictwa niezadowolonych, które

stara się jednym zamachem zniszczyć rzeczpospolitą; rządy jednak spoczywają w bardzo silnych rękach, i sprzysiężenie łatwo się odkryć może. Wtedy nie ma dlań ratunku: albo śmierć, albo ucieczka. Ucieczka jednak jest niepodobną bez europejskiego ubrania, którego w całej rzeczypospolitej nie dostanie, bo państwo, jak wiadomo, wszystkich swych obywateli jednostajnem okrywa sukniem.

— Ależ cię łatwo poznać mogą, obywatelu Nikomedonie?

— Bardzo trudno, nikt nie przypuści na granicy, aby Neospartanin mógł mieć obcy ubiór, nie mając ani pieniędzy ani sukna, wydam się więc łatwo za posła europejskiego do prezydenta.

— A jakżeż się obejdiesz bez pieniędzy?

— Mam kilka dyamentów znalezionych w górach, te sprzedam za granicą.

Żał mi się biedaka zrobiło, dałem na początek nieco amerykańskiej monety. Nikomedon tak się tem rozczulił, że odtąd uważał mnie za największego swego dobrodzieja.

Mówiliśmy długo o stosunkach państwa, poczem zaprowadził mnie ukrytymi w podłodze drzwiami do wielkiej oświeconej piwnicy, w której spostrzegłem najróżnorodniejsze maszyny z niezrozumiałem dla mnie przeznaczeniem.

— To cała nasza nadzieja i cała przyszłość rzeczypospolitej — powiedział, wskazując na maszyny. Poczem mi wyjaśnił, że jedynem jego życia zadaniem jest wynaleźć taką chemiczną mieszaninę, której mała garść zdołałaby całe miasto Neo-Spartę wysadzić w powietrze.

Ostępiałem na takie zamysły, Nikomedon tak mi to jednak tłómaczył:

— Wszystkie sprężyny naszych nieszczęść gromadzą się w Neosparcie, tam się zespala owa despotyczna organizacja, która nam nie pozwala żenić się według woli, która nam truje dzieci, jeżeli nie urodzą się odpowiednio do jej widoków, tam spisują każde nasze poruszenie, kontrolują najmniejszą czynność. Jeżeli Neospartę wysadzimy w powietrze, wtedy pękła cała organizacja i każdy z nas może uciekać z tego nieszczęsnego kraju, albo zaprowadzić sobie rządy, jakie są u was w Europie.

Pytałem się Nikomedona, jacy członkowie należą do

sprzysiężenia? z pozorów bowiem sądząc, zdawało mi się, że w Neosparcie bardzo jest mało rewolucyjnych żywiołów.

— Więcej jak myślisz — odpowiedział Nikomedon — do stronnictwa niezadowolonych liczą się prawie wszyscy mieszkańcy naszej prowincyi i prowincyi fabrycznej; ludność zaś rolnicza i wojskowa najbardziej jest zacofaną.

Co do mnie, to ów brak pochopności w ludności rolniczej i fabrycznej do wywołania społecznych przewrotów tłómaczyłem sobie tem, że jedna i druga mogła mieć jeszcze jakieś złudzenia, jakieś nadzieje, podczas gdy neospartańscy uczeni najzupełniej zwątpili w swe instytucye, a mieszkańcy prowincyi fabrycznej, jak się to później przekonamy, najnieszcześliwsi prowadzili żywot.

Byłem zadowolony, gdym wyszedł z owej fabryki piekielnych machin, dreszcz mnie przechodził na samą myśl o strasznem ich przeznaczeniu. Groźne wrażenia miały się jednak wkrótce zatrzeć innego rodzaju widokiem.

Nikomedon obiecał mnie zaprowadzić po południu do szkoły małych dzieci; trzeba bowiem wiedzieć, że w owej rzezypospolitej nie matki lub niańki uczą mówić niemowlęta, ale i na nie państwo swe opiekuńcze rozciągnęło skrzydła.

O naznaczonej godzinie weszliśmy do dużego zabudowania, w którym ujrzelśmy kilkaset trzech- do pięcioletnich dzieci. Uderzyło mnie, że zamiast posadzki cały gmach wyłożony był pewnym rodzajem gutaperchowego bardzo miękkiego materaca.

Nikomedon wyjaśnił mi, że w ten sposób mogą dzieci swobodnie chodzić, a chociażby się przewróciły, nic złego sobie nie zrobią.

Pomiędzy dziećmi przechadzały się nauczycielki, zakładając im co chwila jakieś maszynki na usta podobne do owych przepasek, które suchotnicy noszą dla uchronienia się od wdychania zimnego powietrza. Ile razy jednak dziecku założono taką przepaskę, zdawało mi się, że krzyczy w niebogłosy, a przecież w sali tak było cicho, że brzęczenie muchy można było słyszeć.

Nikomedon znów przyszedł w pomoc mej niedomyślności.

— Jakto? u was nie znają tego praktycznego wynalazku? Te przepaski, które pan widzisz, są to maszynki do

neutralizowania głosu, a jak tylko nauczycielka widzi, że dzieciak ma ochotę płakać, natychmiast zakłada mu przepaskę, która głosu nie przepuszcza. Inaczej pomiędzy taką masą dzieci byłoby nie do wytrzymania.

Chcąc się popisać mądrością wychowanków Rzeczypospolitej, zgromadziła nauczycielka gromadkę dzieci około siebie i zaczęła im przy mnie zadawać pytania.

— Z czego się składa powietrze, którem oddychamy? — zapytała czteroletniego chłopca.

Dzieciak się namyślił, zmarszczył czoło, a po chwili śmiało odpowiedział:

— Z cukru i z mleka...

Nauczycielka bardzo była niezadowolona z tej odpowiedzi i tłómaczyła mi, że widok obcego człowieka, ubranego w odmiennie stroje, rozrywa uwagę dzieci i stał się powodem niedorzecznej odpowiedzi.

— Ten chłopak jednak, mój ulubieniec, będzie przytomniejszy — dodała wskazując na jakiegoś tłusciucha z bardzo wysokiem czołem.

— Jak daleko leży księżyc od ziemi? — zapytała go.

— Ptaszek śpiewa na dachu — odpowiedział chłopiec, widząc skowronka siadającego na szklanej tafli.

Rozgniewana nauczycielka uderzyła biedaka po palcach, chłopiec zaczynał krzyczeć, ale wprawna ochmistrzyni w tej chwili nałożyła mu pasek na usta, i odtąd widziałem wprawdzie najzabawniejsze miny na twarzy chłopaka, ale głosu jego nie słyszałem.

Pytałem się mego przewodnika, jakie zasady religii i moralności zwykli wpajać w dzieci?

— Przedewszystkiem mówimy im prawdę, mówimy im, że świat się składa z siły i materji i że wszystko powstało z atomu. Jedną tylko trudność zachodzi: w wytłómaczeniu im głównych zasad umiejętności, gdyż zawsze wyobrażają sobie ów atom jako ojca albo nauczycielkę, i ztąd jeszcze rodzi się w nich pewna niejasność pojęć. Sądzymy wszakże, że nasi pedagodzy zdołają z czasem przezwyciężyć te drobnostki i wyznają sposób wpajania w dzieci prawdziwych pojęć o świecie i jego istnieniu. Dążeniem naszym jest bowiem dojść do takiego systemu pedagogicznego, aby człowiek niczego się nie

uczył niepotrzebnie, żadnego nie widział przed sobą dzieła imaginacyi, słowem od dzieciństwa czystą się karmił prawdą.

Zwiedzałem jeszcze z Nikomedonem akademią, w której się młodzież kształci na uczonych, i z niemałym zdziwieniem zobaczyłem tam dwunastoletnich doktorów i piętnastoletnich profesorów, odzianych w togi i birety.

Dwóch takich mędrców mających razem lat dwadzieścia dwa, wiodło na posiedzeniu akademii uczoną dysputę nad istotą miłości. Jeden z nich w bardzo uczonej przemowie dowodził, że miłość jest nieświadomym w człowieku popędem, wzbudzającym nader szybki obieg krwi w sercu; drugi zbijał to twierdzenie, sądząc, że miłość jest w ludzkości pozostałością z czasów pierwotnych, z epoki barbarzyńskiej, i podobnie jak zabobon albo wiara w szatana nie dała się w zupełności wykorzenić, ale z czasem zniknie pod wpływem wzmagającej się cywilizacyi.

— Zapewne z tych panów żaden się jeszcze nie kochał? — zapytałem Nikomedona.

— Rzecz naturalna — odpowiedział tenże — że sami się nie kochali, ale czynili w szpitalu liczne spostrzeżenia nad zakochanymi.

— Jak to? czyż u was istnieje szpital dla zakochanych?

— Rzecz naturalna! wszak zdarzają się wypadki, że ten i ów młodzieniec nie chce wstąpić w związki małżeńskie, jeżeli mu biuro krzyżowania ras odmówiło pozwolenia. Zdaje mu się, że może żyć tylko z ową osobą, którą sobie obrał... Takich nieszczęśliwych zmusza się dyetą do wyszukania sobie innej narzeczonej, a jeżeli i to nie pomoże, oddaje się ich do szpitala jako umysłowo chorych.

— I czy bywają wypadki wyleczenia?

— Bywają. Właśnie ów młody doktor, którego przed chwilą słyszałeś dysputującego, opowiadał mi, że dziesięciu młodzieńców dyetą wyleczył z bardzo niebezpiecznego stanu zakochania.

— Jakaż to była dyeta?

— Przez cały rok żywił ich tylko marchwią, a za jedyny napój dawał ciepłą wodę.

— Taką dyetą nietylko z miłości, ale z życia można człowieka wyleczyć — odpowiedziałem.

Wróciwszy z akademii do domu, uczułem ból głowy, gorączkę, i nie wiem czy to skutkiem uciążliwej podróży, czy też neospartańskiego pożywienia dość mocno zachorowałem.

Nikomedon oświadczył mi, że musi dać znać do szpitala, aby po mnie przysłano. Prosiłem go bardzo, żeby tego nie czynił; ale oświadczył mi, że nie może na siebie tak wielkiej brać odpowiedzialności — nie wolno bowiem najbliższego nawet chorego pozostawiać w domu, tym sposobem bowiem łatwo rozszerzają się choroby, a zresztą w domu chory nie może mieć tak wybornej opieki jak w publicznym szpitalu.

Prośby moje na nic się nie przydały, znalazłem się za godzinę w szpitalu i ujrzałem około siebie ze dwunastu lekarzy. Każdy z nich po kolei do mnie przystępował i inną część ciała oglądał, każdy był bowiem specjalistą.

Mówiłem: że mnie głowa boli, jeden więc z lekarzy badał stan skóry na głowie, drugi przypatrywał się włosom przez mikroskop, inny nad brwiami się zastanawiał, a zanim doszli do oka, już z ośmiu mnie widziało. Dowiedziałem się w ten sposób z przerażeniem, że tam podział pracy pomiędzy lekarzami do takiej doszedł doskonałości, że inni są doktorowie do wielkiego a inni do małego palca, inni do prawego a inni do lewego oka, ba nawet dziurki w nosie mają swoich specjalnych lekarzy.

Trzeba było słyszeć, jak się ci liczni doktorzy zaczęli sprzeczać nad stanem mojej biednej głowy.

— Kolega nie masz o tem wyobrażenia, że ból głowy z żołądka może pochodzić — krzyczał jeden.

— Kolega nie możesz sądzić o lewej stronie głowy, nie znając natury lewego oka — wołał drugi.

Wśród tych sporów zasnąłem, a przebudziwszy się, zastałem przed sobą z piętnaście gatunków proszków, pigułek, mikstur, z których jedne miały być przeznaczone na uśmierzanie bólu w żyłę idącej pod samą skórą, inne miały działać na system nerwowy itd. itd.

Nie wiele myśląc, zmieszałem wszystkie te lekarstwa i wyrzuciłem za okno, a przespawszy się jeszcze kilka godzin, uczułem znaczne polepszenie i przekonałem się, że miałem zwykły katar.

Trzeba jednak było widzieć tryumf doktorów, gdy się z łóżka podnosił; pytali z dumą:

— Czyż macie takich lekarzy w Europie?..

Zwiedzanie akademii i choroba zbliżyła mnie do kilku słynnych uczonych, pomiędzy którymi znajdował się Aristoteles, jeden z najznakomitszych ludzi Neo-Sparty.

Miał on wielkie zadanie do rozwiązania. Uczni neospartańscy sądzili, że położenie geograficzne ich ojczyzny nie sprzyja w zupełności rozwojowi społeczeństwa i że chcąc doprowadzić ludzkość do idealnego stanu, trzeba by wyszukać kraj o zupełnie odmiennych warunkach. Neospartańskie towarzystwo geograficzne z wielką sumiennością badało wszystkie zakątki ziemi, ale żaden kraj nie zdawał się odpowiadać trudnym warunkom, jakie stawiali. Aristoteles wpadł jednak na wielki, prawdziwie genialny pomysł:

— Zbudujmy sobie nowy świat! — zawołał, a ponieważ u Neospartanów nie ma zbyt śmiałego przedsięwzięcia, przeto prezydent rzeczypospolitej wyznaczył mu kilku uczonych i kilka fabryk do pomocy, aby wykonał doświadczenia, w jakiby sposób dała się zbudować, czy stworzyć mała ziemia, zawieszona w powietrzu, na którejby Neospartanie znaleźli się w normalnych warunkach rozwoju.

Rozciekawiony śmiałością owej idei, prosiłem Aristotelesa, aby mnie zaprowadził do gmachu doświadczeń. Uczynił to z wielką uprzejmością; w ogóle neospartańskim uczonym trzeba przyznać, że bynajmniej nie są zazdrośni i chętnie dzielą się swą wiedzą.

Weszliśmy do kolosalnej szklanej rotundy, w której stał słoć czy retorta niezmiernej wielkości. W słoju pływała jakaś brudno-żółtawa masa, a pod spodem paliło się w piecu i termometr wskazywał kilkaset stopni gorąca.

— Co się w słoju znajduje? — zapytałem.

— Dopiero chaos — odpowiedział Aristoteles, przypuszczając wraz z biblią, że ziemia z chaosu powstała. Uczony wykładał mi później całą teorię geologicznego tworzenia się ziemi, i był tego przekonania, że naśladować ten sposób, zdoła wytworzyć w przeciągu kilkunastu lat nowe ciało niebieskie, mające 1000 mil kwadr. powierzchni, bujające w powietrzu

i w zupełności odpowiadające wymogom rozwoju neospartańskiego ludu.

Od Aristotelesa poszliśmy do Zeuxisa, pierwszego malarza Neosparty. Sztuki piękne bynajmniej nie są lekceważone w tem wzorowym społeczeństwie, jakeśmy się to zresztą już na wagnerowskim koncercie przekonać mogli.

Wszedłszy do pracowni zdziwiłem się cokolwiek, nie zobaczywszy ani jednego obrazu, ale natomiast mnóstwo pomocników rozcierających farby i maczających płótna w jakimś płynie.

— A gdzież są obrazy? — zapytałem naiwnie mego przewodnika.

— Zeuxis jeszcze nie maluje obrazów — odpowiedział Nikomedon — wychodzi on bowiem z zasady, że dotychczasowe malarstwo na zupełnie fałszywych spoczywało podstawach, używając łatwo niszczących się materyałów. Cóż przyjdzie ludzkości za kilka wieków z fresk Michała Anioła, jeżeli zupełnie zeczernieją, albo czyż nie szkoda poświęcać na to życie, aby malować na płótnie, które ogień lub wilgoć uszkodzić potrafi? Otóż nasz mistrz, zanim się weźmie do wykonania swych wielkich pomysłów, chce poprzednio przygotować sobie takie malarskie materyały, któreby nie ulegały zniszczeniu. W tej mierze odbywają się właśnie u niego próby z ogniotrwałem płótnem i z farbami, któreby każdą zmianę temperatury wytrzymać zdołały.

Wielce pochwaliłem rozsądne dążenia artysty, ale zawiedziony wróciłem do domu.

Podział pracy, który Neospartanie do takiej doskonałości doprowadzili w naukach lekarskich, umieli w równie rozległy sposób zastosować w innych umiejętnościach, a nawet w literaturze nadobnej, w belletrystyce i poezyi.

Przedewszystkiem nie piszą historyi w ten sposób, jak nasi uczeni. Mówią oni, że jeden człowiek nie jest w stanie objąć ogromu dziejów, ani nawet jednej epoki, każdy historyk zajmuje się zatem tylko lat dziesiątkiem i to nie całością dziejów tej małej epoki, ale np. pieczęciami albo dyplomatami do niej należąciami. Taki Thierry, Gibbon nie zasługiwaliby u nich na nazwiska historyków, ale służyliby za wzór powierzchownych pisarzy.

W każdej gałęzi literatury kwitnie podział pracy, i tak np.: poznałem znakomitego chemika, który się wślawił wielkiem dziełem, traktującym o tłuczeniu cukru. Dowodził on w niem, że cukru nie powinno się rąbać ale tłuc i dowód z wielkim talentem przeprowadził, najprzód metodą historyczną a następnie induktywną.

Podobnie się dzieje z powieściopisarstwem. Dumas nie wartby był rzemyka rozwiązać Glaukopisowi et Comp., najznakomitszym pisarzom Neospartanów. I u nas nieraz zdarzało się w ostatnich czasach, że dwa pokrewne sobie duchy piszą dramat lub powieść, a Erckman i Chatrian doszli tym sposobem do znakomitej sławy, w Neosparcie jednak spółka pisarska do jednej i tej samej książki składa się z dwudziestu, czasem czterdziestu pisarzy. Jeden jest mistrzem w opisywaniu pomieszkania bohaterów, drugi z niezwykłą namiętnością czułe oddaje sceny, inny żywymi barwami maluje przyrodę, trzeci z nieporównaną żywością opisuje ruchliwe zajścia. — W skutek tej zbiorowej pracy powstaje arcydzieło, podobne do owego bóstwa starożytności, które miało nogi z gliny, tułów ze złota, a oczy z drogich kamieni.

Ciekawiście może, czy szlachetny naród Neospartanów wydał dotąd jakiego poetę? — tak jest, może się on i wieszczem poszczycić! Poznałem Homera, był to człowiek z rodu geniuszów o bardzo wysokiem czole i długich po pas włosach, oczy miał niebieskie jak błękit morza, a długa broda na piersi mu spadała.

Rzeczpospolita zamówiła u niego hymn na pochwałę prezydenta i bohaterską epopeję, opisującą walkę Neospartanów z przyszłymi jej nieprzyjaciółmi z pomocą elektrycznych dział. Reskrypt prezydenta, dotyczący się formy tego ostatniego poematu, przepisywał wyraźnie, aby w wierszach czuć było grozę, jaką wywołują sztuczne pioruny.

Niektóre z ostatnich poematów Wiktora Hugo cokolwiek przypominają wielki utwór neospartańskiego Homera; czytając to arcydzieło, słyszy się potok słów spadający po kataraktach wierszy, ale wśród szumu bałwanów i kipiącej piany myśli rozróżnić nie można. To jednak stanowi właśnie ową potęgę neospartańskiej poezyi.

Wszystkie te cenne wiadomości zebrałem z pomocą mego nieocenionego Nikomedona, któremu za jego uprzejmość w pokazywaniu mi osobliwości swej prowincyi nieskończenie byłem obowiązany.

Sądziłem, że już wszystko zwiedziłem i miałem zamiar wyjeżdżać, ale Nikomedon zatrzymał mnie jeszcze na wielką uroczystość, która się miała odbyć za dni kilka. Były to „wyścigi redaktorów.”

— Cóż to za nowy rodzaj zabawy? — zapytałem zdziwiony.

— Są to igrzyska podobne do tych, które się odbywały w Olimpii.

Objaśnienie to niewiele mnie nauczyło, to też z wielką ciekawością czekałem naznaczonego dnia.

Kilkunastu zapaśników, współredaktorów pisma, o którym powyżej wspomniałem, tudzież innych literatów i uczonych, zgromadziło się w sali akademii.

Delegat prezydenta otworzył zapieczętowaną kopertę i przeczytał następujące pismo:

„W celu podniesienia biegłości w układaniu książek, ogłasza prezydent, że kto z obywateli współzawodników w najkrótszym czasie napisze dzieło o dziejach pisania, ten wielką otrzyma nagrodę.”

Zapytałem: na czem zależy ta nagroda, wiedziałem bowiem, że pieniędzy ani orderów nie znają Neospartanie. Odpowiedziano mi, że każda rządowa nagroda na tem zależy, że się nagrodzoną osobę na jakiś czas uwalnia od pracy; pozwala się jej próżnować, nie odbierając pożywienia. Tym razem nagrodą był: miesiąc próżniactwa.

Po przeczytaniu tematu rzucili się zaraz literaci do pisania. Żaden z nich nie pisał piórem, ale maszynką podobną do telegraficznego aparatu. Pisano pod zamknięciem.

Naturalnie nie miałem ochoty siedzieć w sali aż do ukończenia dzieł, trzeciego dnia jednak się dowiedziałem, że Lisippos, znakomity historyk, pierwszy skończył książkę i otrzymał przyrzeczoną nagrodę. — Wyścigi redaktorów przekonały mnie, że literatura neospartańska dąży obecnie do jak naj-

szybszej i najobfitszej produkeji i że miarą znakomitego pisarza jest to: jak dużo i jak prędko się napisało.

Ów Lisippos miał dopiero lat trzydzieści pięć, a już wydał 1000 tomów książek, więcej niż najpłodniejsi pisarze naszego świata.

Redaktorskie wyścigi były mojem ostatniem wrażeniem z prowincyi uczonych.

III.

Pożegnawszy mego gospodarza i życząc mu szczęścia w jego niebezpiecznych planach, udałem się do prowincyi rolniczej. Miałem od prezydenta polecenie do obywatela Boofila, człowieka z kategorii gospodarskich talentów. Pierwszy raz ujrzałem się tam w gronie neospartańskiej rodziny, zastałem bowiem i panią domu i jej dwie córki. Obywatelki wróciły właśnie z pola, gdzie pomagały przy maszynach do grabienia siana, przywitały mnie z nieśmiałością, gdyśmy jednak w toku rozmowy zeszli na ich codzienne zajęcia, stały się tak rozmowne, że gdybym miał po dwie pary uszu załedwiebym wystarczył, aby wszystko wysłuchać co mi opowiadały. Pod tym względem nie różniły się od obywaterek innych części świata.

Przedewszystkiem zapytałem się ich, czem się trudnią w braku gospodarskich i toaletowych zajęć, skoro państwo przysyła objady i stara się o ich stroje.

— Pracujemy w polu wraz z naszymi mężami, odpowiedziała obywatelka Boofilowa — i dodała zaraz, że wszystkie Neospartanki nadzwyczaj zazdroszczą mieszkankom Europy, które podobno same się ubierają. U nich bowiem nietylko że inaczej ubierać się nie wolno jak państwo nakazuje, ale co więcej wielkim podlega się karom, jeżeliby stróż bezpieczeństwa znalazł w domu jakie środki toaletowe, kosmetyki, lub coś podobnego.

Zapytałem się pańien, czy już zaręczone? co przyjęły z miłym uśmiechem, ale zarazem odpowiedziały, że u nich nie ma tego europejskiego zwyczaju, ślub bowiem następuje na drugi dzień po otrzymaniu od państwa zezwolenia.

— Codziennie szukamy w gazecie, wtrąciła matka, aby znaleźć odpowiednich mężów, ale to tak trudno, biuro krzyżowania ras tak ściśle stawia warunki...

— A czy kandydaci do stanu małżeńskiego zgłaszają się w gazecie? zapytałem.

— Tak jest, odpowiedziała obywatelka Boofilowa i wyjaśniła mi, że każdy dwudziestoletni młodzieniec i szesnastoletnia panna bywają w gazecie dokładnie opisywani, aby umożliwić wzajemne znalezienie się.

Przekonałem się że i w Neosparcie matki kłopotą się wydaniem córek za mąż.

Podczas rozmowy z obywatelkami spostrzegłem na stole, przy którymśmy siedzieli, jakąś skrzyneczkę, czy pudełko z wieloma przegródkami, w których bardzo małe stały flaszeczki. Całość podobną była do homeopatycznej apteczki. Sądziłem z razu, że to jakieś pachnidła, a może lekarstwa, ale obywatelki roześmiały się z tej niewiadomości i wyprowadziły mnie z błędu tłumacząc, że są to sarkofagi ich przodków.

Zapomniałem bowiem powiedzieć, że Neospartanie tak wybornie palą ciała umarłych, że z dużego mężczyzny zostanie zaledwie mała flaszeczka popiołu. Otóż te flaszeczki ustawiają w pudełku, a im więcej flaszeczek tem ród jest znakomitszy. Ponieważ rzeczpospolita jest w zasadzie najzupełniejszą demokracją, a portretów rodzinnych ani herbów dla tego mieć nie wolno, aby tym sposobem nie dawać możliwości powstania rodowych ambicij, przeto arystokratyczne skłonności Neospartanów wynalazły sobie owe pokojowe grobowce przodków, i w nich pokładają swą dumę. Człowiek dobrze wychowany zwraca natychmiast uwagę na owe pudełko, leżące na stole, a nie można większej zrobić domowi niegrzeczności jak niezważając na chwałę domu, i nie pytając się czyj popiół zamknięty w tej, a czyj w tamtej flaszeczce?

U nas tego rodzaju popielnice wzbudziłyby smutek a może i wstrętne uczucia, tam jednak nie przeszkadzają one zupełnie do najweselszej rozmowy, a dowodem tego, że panna Minerwa, starsza córka obywatelstwa Boofilów opowiedziała mi, gdym mówił o sarkofagu że ta a ta babka, zamknięta w tem a tem pudełku miała tak dobry apetyt, że senat rze-

czypospolitej uchwalił na gorące prośby męża i całej rodziny, aby jej przysyłać podwójny obiad i kolacją.

Po kilkodniowym pobycie u państwa Boofilów spostrzegłem, że pozytywne urządzenia Neosparty, wynalazki zmierzające do zrobienia sobie nowej ziemi i stworzenia człowieka, bynajmniej nie zdołały zniszczyć kierunku fantastycznego, znajdującego się w każdym najpozytywniejszym nawet społeczeństwie, i że imaginacja zachowała tam swoje prawa.

Dowodem tego była panna Minerwa. Słysnęła ona pomiędzy kobietami prowincyi ze swego stosunku z ludźmi na księżycu. Po smacznie przespanej nocy opowiadała nieraz cuda o zwyczajach i prawach księżycowych mieszkańców, a nawet jak się później dowiedziałem, przepowiadała że ludzie z księżyca przylecą niebawem na skrzydłach do Neosparty i uwolnią jej obywateli od panowania prezydenta. Będzie wtedy wolno zawierać małżeństwa według woli, jeść cukry i pić słodkie wino, będzie można nosić sznury pereł na szyi i kwiatami stroić włosy.

Neospartanki z ust do ust podawały sobie te radosne nowiny i na każdej pełni spodziewały się przybycia księżycowych zastępów.

Boofil w niemałym jednak z tego powodu był kłopotcie. Obawiał on się, żeby się rząd nie dowiedział o widzeniach jego córki, w takim bowiem razie z pewnością oddanoby ją do szpitala, albo skazano na ostry post. Żał mi było starego, gdyż bardzo był do niej przywiązany, to też widziałem go podczas pełni jak się chyłkiem skradał do ogrodu aby zobaczyć, czy nie przybywają księżycowi goście.

Panna Minerwa umiała jednak każdym razem tak zręcznie i przekonywująco wytłómaczyć ich spóźnianie się, że wszyscy wtajemniczeni w jej sny czekali cierpliwie do następnej pełni.

Boofil zwierzył mi się, że chciałby pannę Minerwę wydać za syna swego sąsiada, obywatela Epaminondasa, związek ten napotka jednak na wielkie trudności, gdyż koń odgryzł mu kawałek palca, a biuro krzyżowania ras nie pozwoli mu może z tego powodu zawierać związków małżeńskich.

Wszystkim tym trudnościom mieli koniec położyć mieszkańcy księżyca...

W kilka dni po moim przyjeździe oprowadził mnie Boofil po swoim gospodarstwie, pokazał oborę, zasiane pola, i rzeczywiście było co widzieć! Przedewszystkiem byłem zachwycony laboratorium nawozów. Co za porządek, co za kombinacje, jaki ład we wszystkim! Neospartańscy agronomowie wychodzą z zasady, że ziemia na której sieją jakieś zboże, powinna mieć właśnie tyle i takich części składowych ile to zboże potrzebuje. Wyrachują więc naprzód że na pewnym łanie zmieści się tyle a tyle milionów kłosów i stósownie do tego sypią na rolę odpowiednią ilość marglu, krzemienia etc. etc. Tym sposobem zaprowadzili ogromną oszczędność nawozu, bo nie na marność nie idzie.

Deszcze bynajmniej im w zbiorach nie przeszkadzają, jeżeli bowiem słota trwa za długo, rozpościerają w oka mgnieniu nad łanem wielki dach z ceraty i wygodnie w ten sposób mogą żąć i zbierać. Zboża też ich nie są takie jak nasze; obywatel Boofil roześmiał się, gdym mu opowiedział jak małe są ziarenka naszej pszenicy. Oni doszli za pomocą szczepienia pszenicy na burakach a owsa na kartoflach do tego, że ziarna pszeniczne są u nich wielkości bułek, a ziarenka owsa tak duże jak strączki fasoli. W prawdziwy podziw wprowadziły mnie jednak szczególnych kształtów kwiaty, które tamtejsi ogrodnicy po przedsięwzięciu najróżnorodniejszych prób stworzyć umieli. Róże np. wydają kwiaty barwą podobne do zgniłych ogórków, a fiołki są pokryte zielonawą pleśnią. Nie powiem żeby te kwiaty miały być piękne, ale jeżeli chodzi o to, żeby mieć różę niepodobną do róży, a fiołek zupełnie odmienny od fiołka, to neospartańscy ogrodnicy rzeczywiście doprowadzili do tej doskonałości.

Dotąd sądziłem, że szczepienie gruszek na wierzbie jest wymysłem imaginacyi, tam wszakże widziałem bery wielkości kapelusza na kruchych gałązkach wierzby.

Sztuczne gospodarstwo Neospartanów dosięgło szczytu w chowie bydła. Boofil miał pod sobą zarząd najpiękniejszej obory. Wprowadził mnie tam i o dziwo, zobaczyłem woły z tak grubemi przedniemi nogami, że z jednego zwierzęcia można było mieć cztery połędwice. Do jakich to cudów doprowadza krzyżowanie ras! Co więcej: neospartańscy agronomowie hodują owce z purpurowem runem, a stado takich owiec

przedstawia w polu nadzwyczaj oryginalny widok. Widząc moje zdziwienie tłumaczył mi Boofil, że bardzo łatwo dojść do tak zadziwiających na pozór rezultatów. Przyzwyczajają oni bowiem owce do jedzenia wraz z paszą jakiejś czerwonej farby, a prócz tego kąpią je w purpurowej wodzie, a skutek nigdy nie zawodzi.

Słówb mi zabrakło na opisanie wszystkich wynalazków i ulepszeń gospodarskich jakie widziałem w prowincyi rolniczej, nie będę ich więc dokładnie opisywał, i wspomnę tylko o wyścigach, na które zjechał sam prezydent.

Nie trzeba sobie wystawiać, że w Neosparcie konie z końmi współzawodniczą na torze, bynajmniej, tam konie z maszynami parowymi walczą o lepsze.

Ponieważ odległość do mety wynosiła kilkanaście mil, a ze zwykłej trybuny nie możnaby wzrokiem objąć tak wielkiej przestrzeni, przeto publiczność siedziała w balonach przywiązanych do ziemi, co wcale zajmujący przedstawiało widok.

W balonie, w którym dla mnie przeznaczono miejsce znalazło się kilkanaście osób, pomiędzy innemi rodzina Boofilów.

Piętnaście koni i dwie lokomobile stanęły do biegu. Lokomobile nie wielkie ale na ogromnych kołach, konie natomiast jak potwory, nigdy takich nie widziałem.

— Któż konie prowadzi? gdzie są żokieje? pytałem Boofila nie widząc na grzbiecie rumaków nic prócz małego czarnego punktu, który brałem za siodło.

— Jak to? nie widzisz pan owego czarnego punktu? to żokiej.

Lepiej się przypatrzysz spostrzegłem rzeczywiście dziwnej małości karłów siedzących na koniach. Neospartanie doszli pod tym względem do doskonałości, krzyżując rasę angielskich i amerykańskich żokiejów, i mają okazy liliputów nie ważące więcej nad 10 kilogramów. Ażeby w biegu wiatr nie uniósł małego człowieczka przywiązując go do konia rzemieniami.

Towarzystwo w którym się znajdowałem nadzwyczaj było zajęte wynikiem walki, jedni utrzymywali, że zwycięży znany koń „Pegaz,” inni że go wyprzedzi lokomobila „Tytan,” Boo-

fil należał do stronników Pegaza i założył się ze swoim sąsiadem o objad, że lokomobila ulegnie w nierównej walce.

Niestety, lokomobila pierwsza stanęła u mety, a mnie nazajutrz tak było żal zgłodniałego Boofila, że mu odstąpiłem połowę mego objadu, a mogłem to zrobić bez wielkiego uszczerbku, albowiem dawano mi porcyę przeznaczone dla gości, a daleko większe od racyj ściśle wymierzonych dla obywateli Rzeczypospolitej.

Po wyścigach pożegnałem Boofilów, życząc pannie Minnerwie, aby poszła za Epaminondasa i pojechałem do dwóch najmniejszych prowincyj, do prowincyi fabryk i prowincyi woj-skowej.

IV.

Piekło chyba tak jest urządzone, jak prowincya fabryk w Neosparcie. Nigdzie zielonej trawki, nigdzie wesołego drzewa, ptaka nawet nie ujrysz w powietrzu. Fabryka koło fabryki, a wśród nich chodzą ludzie osmoleni, z długimi jak u małych rękami.

Naczelnik fabryk, Agamemnon wiedział już od prezydenta o moim przyjeździe, i przyjął mnie bardzo uprzejmie. Należał on do geniuszów fabrycznych, ręce miał takie długie, że mu sięgały niżej kolan, i w ten sposób zbliżał się do pierwowzoru darwinowskiego człowieka, do małpy. Długie ręce nadzwyczaj są tam cenione gdyż o wiele ułatwiają pracę i są znamięm fabrycznej arystokracji.

Wyobraziłem sobie, że naczelnik zakładów fabrycznych Neosparty musi być znakomitą intelligencją i że z przyjemnością i korzyścią przepędzę u niego czas dłuższy. Po krótkiej jednak rozmowie spostrzegłem, że mam do czynienia z umysłem obracającym się w nader ciasnym zakresie, którego prócz fabryk nic a nic nie obchodzi. W ogóle wszyscy ludzie zdawali mi się tam stać na nadzwyczaj niskim stopniu umysłowego rozwoju, a nawet śmiem utrzymywać, że prowincya fabryczna po większej części zaludniona kretykami, którzy wprowadzie w podziwienia godny sposób posiadają zręczność robienia np. główki od szpilki, albo zęba do koła maszyny, ale

po za tą zręcznością nic nie umieją i o niczem nie mają wyobrażenia.

Jednemu z wyrobników długo musiałem tłumaczyć co to jest krowa? i dopiero po rozlicznych opisywaniach przyszedł do przekonania, że to jest coś podobnego do konia. Konia bowiem widział w swem życiu, krowy jednak nie znał, nie wydalał się nigdy ze swej prowincyi, i nie ucząc się jak tylko robić pewien gatunek małych goździ.

Ciekaw byłem, jakie ci ludzie mają wyobrażenie o Bogu, o świecie, o społeczeństwie, wdałem się też z tym wyrobnikiem w dłuższą rozmowę, ale przekonałem się, że jest najzupełniej dzikim człowiekiem i o niczem nie myśli, jak tylko o gwoździach i o jedzeniu. Wiedział wprawdzie, że wielki atom istnieje, ale nie zastanawiał się nad tem, kto stworzył żelazo na gwoździe i dla czego słońce wschodzi i zachodzi?

Na pierwszy rzut oka na stosunki tej prowincyi, przyszedłem do przekonania, że tam mądrzejsze maszyny od ludzi, i że ludzie tak dalece wszystkie swe zdolności złożyli w martwe żelazo, że dla nich nic się nie zostało. Widziałem np. maszynę przeznaczoną dla prowincyi rolniczej, która z jednej strony żęła zboże, a z drugiej wyrzucała chleb upieczony, albo przyrząd robiący w przeciągu pięciu minut gotowe buty z surowej jeszcze skóry.

Patrząc na tych ludzi przypominałem sobie zamiary Nikomedesa wysadzenia Neosparty w powietrze i jego nadzieje, że w prowincyi fabrycznej najwięcej znajdzie spiskowych w razie potrzeby. Nikomedes miał zupełną słuszość; ci ludzie nie mieli w życiu żadnej poezyi, do niczego nie byli przywiązani, boć do gwoździa lub główki od szpilki trudno się przywiązać, pierwszą myślą która się im nasunąć mogła: była myśl, aby wszystko zburzyć, zemścić się nad tem co ich jałową zatrudniało pracę. Tyle się w nich nagromadziło jadu przeciw rzeczywistości, że radzi byli ją zapewne zniszczyć nie myśląc nawet, że sami wśród ruiny zginąć mogli. Rzeczpospolita najgorzej postępuje nie dbając o moralne potrzeby fabrycznej ludności, nie krzewiąc pewnej idealnej wiary w wielki atom, bo człowiek stokroć łatwiej i chętniej zniesie największą pracę, największe przykrości jeżeli ma jakiś świat ideału, o którym może marzyć i upiekszyć go sobie nadziejami.

Mówiłem w tej myśli z Agamemnonem, ale on mi na to odpowiedział, że najlepsi są ci robotnicy, którzy o niczem innem nie myślą prócz o swej pracy i nic innego nie umieją prócz swej specjalności. Na dowód zaś do jak znakomitych rezultatów doprowadziła kunszta tamtejsza ludność fabryczna pokazał mi wielką osobliwość.

Na wolnem, czarnem od węgla polu leżała na podmurowaniu niezmiernej wielkości żelazna rura podobna do działa. Otwór w tej rurze był tak wielki, że trzechpiętrowa kamienica z łatwością weń zmieścićby się mogła.

— Cóż to za gmach, spytałem zdziwiony, i jakie jego przeznaczenie?

— Największa armata w świecie, z dumą odpowiedział Agamemnon, a przeznaczona do odwrócenia od ziemi najstraszniejszej katastrofy jaka ją spotkać może.

Na razie nie rozumiałem o co chodzi; Neospartanin rozciekawwszy mnie poprzednio dla spotęgowania wrażenia wytłomaczył mi, że według badań tamtejszych uczonych koniec świata, czyli raczej koniec ziemi wtedy nastąpi, kiedy księżyc zanadto się zbliży do ziemi, wtedy bowiem wody wystąpią z łożysk i powszechny potop wszystko zaleje. Otóż ażeby zapobiedz tak strasznemu wypadkowi, wymyśleli Neospartanie owe ogromne działo i będą z niego strzelać do zbliżającego się księżyca. Obywatel Agamemnon miał zaś najzupełniejsze przekonanie, że kilka strzałów wystarczy, aby wzruszyć księżycem i cofnąć go w niebezpiecznym biegu.

Nie wiedziałem co podziwiać w mieszkańcach rzeczypolitej: czy nadzwyczajną przezorność, czy śmiałość pomysłów? widocznie o niczem nie wątpili — wiara w potęgę rozumu ludzkiego była u nich tak wielką, że prowadziła wprost do niedorzeczności.

Agamemnon popisywał się jeszcze wieloma innemi przedemną wynalazkami; jednostajność wszakże fabrycznych wyrobów tak mnie zmęczyła, że zabawiwszy zaledwie dni kilka w tej prowincyi, z przyjemnością pojechałem do prowincyi wojskowej, spodziewając się umysł nowemi ożywić wrażeniami.

Znalazłem się tam pomiędzy samymi wielkoludami, podobnymi do tych, których spotkałem na granicy rzeczypospolitej. Naczelný dowódzca armii, Xenofon nazwiskiem, przyjął mnie chłodno, a nawet z pewnem lekceważeniem, uważając się widocznie z powodu wielkości swego ciała za daleko szlachetniejszą istotę, aniżeli inni ludzie. Gdy mu jednak zaczął opowiadać o militarnych urządzeniach w Europie, stał się rozmownym i obiecał mi, że nazajutrz wyjedzie ze mną na przegląd wojsk rzeczypospolitej i że mi pokaże swe wojenne wynalazki.

— Armia nasza szczęście świata przyniesie — odezwał się w toku rozmowy — jakkolwiek jest liczebnie nie wielką, z pomocą jednak naszej artylerji do lat dziesięciu świat cały podbić potrafimy.

Zapytałem się, na czemby to szczęście zależało, którem Neospartanie świat obdarzyć mają? — i wyraziłem zdanie, że ludzkość najbardziej tych nienawidzi, którzy ją chcą uszczęśliwić pomimo jej woli.

— Czyż nasze instytucje nie są najwyższem szczęściem, do jakiego ludzie dojść mogą — spytał Xenofon — czyż w naszym posłannictwie mają być zaporą względy, że ten lub ów naród może być niezadowolonym? Wszak i u was mnóstwo jest niechętnych zaprowadzaniu dróg żelaznych, a przecież lokomotywa coraz to nowe przebiega kraje! — Ludzkość jest zanadto niedorzeczną, aby w przeprowadzeniu wielkich społecznych idei na nią się oglądać można.

— A zkądże panowie macie to przekonanie — pozwoliłem sobie zapytać — że prawda w Neospartańskich tylko zabłysła głowach?

Jenerał roześmiał się homerycznym głosem, tak naiwnem wydało mu się moje zapytanie.

— Wybacz pan — odpowiedział — ale dajesz mi najlepszy dowód, jak nisko stoicie w Europie, jeżeli nadzwyczajnej naszej wyższości nad waszem społeczeństwem pojąć nie możecie.

Widząc, że prędzejby się stal nagiąć potrafił aniżeli pojęć neospartańskiego wojownika, zacząłem mówić o czem innym i z niecierpliwością oczekiwałem rewii owych wojowników, co świat podbić mają.

Następnego dnia obudzono mnie bardzo rano i posadzono na ogromnego konia, na którym wyglądałem jak kawka na wieży.

Plac rewii szczególnie przedstawiał widok: w środku stało ze dwa tysiące piechoty uzbrojonej w karabiny niosące na 25 mil angielskich, na skrzydłach jazda, ale nie na koniach, tylko na małych lokomobilach. Nad pułkiem kawaleryi unosił się więc wielki słup dymu jak nad domem kolei żelaznej, na którym kilkadziesiąt przygotowanych do biegu stoi lokomotywy.

— A te balony co znaczą? — zapytałem generała, spozstrzegłszy kilkadziesiąt balonów unoszących się w powietrzu.

— To nasza elektryczna artylerya.

Na razie nie zrozumiałem doniosłości tej broni; w toku rozmowy objaśnił mnie jednak mój towarzysz, że w każdym balonie jest bateria elektryczna mogąca na wojska nieprzyjacielskie rzucać piorunami.

— Zrozumiesz — mówił z dumą generał — że takiej broni nikt w świecie oprzeć się nie zdoła.

— Dopóki wiatru nie ma — pomyślałem — a balony nie rozbiegną się na cztery części świata.

— Niebawem dojdziemy do tego — mówił dalej — że nikt z nami wojny nie będzie mógł prowadzić; wtedy spokój zapanuje na ziemi, gdyż wobec nas nikt się o władzę nie pokusi.

— Jakiż cel macie w przygotowaniu się do podboju wszystkich narodów? czyż wam władza tak schlebia, czy też owo szczęście ludzkości spać wam nie daje.

— Wychodzimy z humanitarnego stanowiska. Im więcej rządów, im więcej władz na ziemi, tem więcej wojen i krwi rozlewu; skoro wszelka władza w naszych się zespoli rękach, wojna będzie niemożliwa — spokój zapanuje na ziemi.

Generał mówił w dobrej wierze, a jego dobra wiara przekonała mnie, że nie masz egoistycznej idei, którejby się nie dał podsunąć cel szlachetny.

Zarozumiały generał tak dobre miał wyobrażenie o potędze swej armii i jej cywilizacyjnem posłannictwie, że nie przeczuwał tego, o czem ja wiedziałem: o spisku, którego celem było wysadzić w powietrze Neospartę; nie myślał o tem, że dowcip ludzki jest niewyczerpany w sposobach zniszczenia.

swych nieprzyjaciół i że nie masz siły na świecie, na której pokonanie jeszczeby się większa nie znalazła siła.

Najciekawszy oddział broni pokazał mi generał na samym ostatku — była to morska piechota, maszerująca na dnie morza jak po powierzchni ziemi i mogąca niepostrzeżenie wyjść tam na wybrzeże, gdzie jej nieprzyjaciół nie oczekuje. Każdy żołnierz był w ubraniu nurka, a psy morskie ciągnęły za wojskiem wielkie wozy napełnione powietrzem i połączone rurami gutaperkowymi z szeregami oryginalnych wojowników. Kiedy się najmniej tego spodziewałem, podmorska piechota zaczęła wychodzić z głębin morskich — a widok rzeczywiście był oryginalny.

V.

Poznaawszy prowincję Neosparty, chciałem raz jeszcze być w stolicy — częścią, aby podziękować prezydentowi za uprzejme przyjęcie i listy polecające, częścią aby widzieć parlament rzeczypospolitej, który właśnie rozpoczął swe posiedzenia. A że w Neosparcie czyn w kilka minut po myśli następuje, więc też w mgnieniu oka znalazłem się w pałacu prezydenta, a nazajutrz siedziałem w jego łoży w Izbie.

Widok był dla mnie bardzo zajmujący, gdyż po raz pierwszy ujrzałem kobiety wraz z mężczyznami na poselskich ławach. Posiedzenie miało się rozpocząć o dziewiątej zrana, z uderzeniem też godziny wszyscy posłowie zajęli swe miejsca.

Na porządku dziennym była zmiana kodeksu karnego, który, ułożony na wzór europejskich, uchodził w Neosparcie za przestarzały i nieodpowiedni postępowym ideom. Mnóstwo posłów zapisało się do głosu. Xenokratesa z prowincyi uczonych wybrano generalnym mowcą.

Oczekiwałem z niecierpliwością rozpoczęcia debaty. Xenokrates, o nadzwyczaj wysokiem czole i rozburzonych włosach tak mniej więcej mówił:

— Neospartanie! Uroczysta chwila przed nami! Mamy topór przyłożyć do ostatniej belki, która jeszcze u nas pozostała z zastarzałej budowy europejskiego obłądu, zwanego tam cywilizacją. Potężna nasza kultura potrafiła już obalić

wszystkie pogańskie bałwany, jeden tylko jeszcze pozostaje kodex karny... Zaiste dziwić się należy, żeśmy potrafili dotąd cierpieć owe zapleśniałe pojęcia i pozwalać, aby w imię sprawiedliwości największe się działały bezprawia.

W podobny sposób rozwijał mowca swe myśli dowodząc, że dotychczasowe pojęcia o złem były najzupełniej fałszywe, że wiele czynów uchodziło za zbrodnie lub występki, które przynoszą wprawdzie szkodę społeczeństwu lub jednostkom, ale kary w żaden sposób za sobą pociągać nie mogą.

Człowiek nie za wszystkie swe czyny odpowiadać może; jedno bowiem spełnia świadomie, ale większą część nieświadomie. Jeżeli ma wrodzony popęd do zabijania ludzi lub przywłaszczania sobie cudzej własności, cóż on temu winien, że mu się kogoś zabić albo zrabować przydarzy? Czynów jego za zbrodnię uważać nie należy, boć przecież i według europejskich zasad do karygodnego czynu potrzeba złego zamiaru.

Po przeprowadzeniu długiego dowodu wniósł mowca, aby tylko te zbrodnie karać, które nie pochodzą z wrodzonego człowiekowi zbrodniczego charakteru lub z systemu nerwowego.

Ciekawy byłem w jaki sposób sędziowie mieliby się przekonać czy zbrodniarz postąpił z wolnej woli, czy też nieświadomie, zmuszony ową górującą nad wszystko siłą — odziedziczonym charakterem. Wnioskodawca wybrnął jednak bardzo łatwo z tej trudności, pozostawiając lekarzom orzeczenie o usposobieniu zbrodniarza.

— Proszę o głos! — odezwała się jakaś kobieta, gdy Xenokrates skończył swą mowę.

Była to obywatelka Andromache i w ten sposób mówić zaczęła:

— W zupełności zgadzam się z szanownym moim poprzednikiem, że wszelkie szkodliwe czyny wypływające z błędnego systemu nerwowego nie powinny być karane. Chciałam tylko dla wyjaśnienia tak ważnego pytania postawić poprawkę, aby i zbrodnie lub występki wypływające z miłości zaliczyć do powyższych czynów, miłość bowiem, jak wiadomo, w systemie nerwowym ma swój początek. Miłość, podobnie jak zaspokojenie głodu, jest złem koniecznem; nie dość zatem, że człowiek musi to złe znosić, ale jeszcze miałyby być karanym za tegoż skutki?

Rzęsiste oklaski posypały się na potwierdzenie arcymądrego zapatrywania się Neospartanki, a kilku posłów-kobiet przyszło uścisnąć rękę koleżanki za poruszenie tak ważnej zasadniczej sprawy.

Nawiązując do myśli Andromachy, mówiła inna Neospartanka w te słowa:

— Najstraszniejsza kara, jaką Wielki Atom może spuścić na człowieka, jest miłość; każda z nas była szczęśliwszą dopóki jej nie znała. Gdy ją wszakże ta straszna opanowała choroba, przepadło szczęście, spokój uleciał. Mojem zdaniem musi to być epidemia, która dopiero od niedawnego czasu rozpowszechniła się pomiędzy ludźmi, gdyż dawni autorowie i dawne podania wspominają nam o niej jako o czemś dobrem i przyjemnem. W ciągu wieków miłość zmieniła swą istotę: z dobrego stała się złem, z rozkoszy — chorobą. Lekarze nasi badają wprawdzie ten stan chorobliwy, sądzą wszakże, że się nim za mało zajmują i nie widzą tego spustoszenia, jakie ta zaraza sprawia w ludzkości, gorsza od cholery i morowego powietrza. Wnoszę z tego powodu, aby wysadzić komisję, któraby zbadała, czy miłość nie jest chorobą zaraźliwą i epidemiczną i czy nie potrzeba zaprowadzić kwarantanny w celu ograniczenia jej do jak najmniejszych rozmiarów.

Po dłuższej jeszcze debacie uchwalono nowy kodex karny, przy czem wiele podobnych, bardzo oryginalnych poruszono myśli.

Nazajutrz było jeszcze ciekawsze posiedzenie. W kołach poselskich powtarzano sobie z cicha że Phoibos, obywatel z prowincyi uczonych wystąpi z jakimś nadzwyczajnym wnioskiem. Phoibos słynął z tego w Neosparcie, że już z pięćdziesiąt razy stawał przed urzędem krzyżowania ras, aby dostać pozwolenie do zawarcia małżeństwa, ale zawsze urząd wynalazł jakąś przeszkodę. Mówiono, że państwo chętnieby zrobiło dla niego wyjątek od powszechnie obowiązujących zasad i pozwoliłoby mu pozostać do śmierci starym kawalerem, nie miano bowiem wiele nadziei, aby odpowiedział w zupełności warunkom magistratury krzyżowania ras. Uchodził on jednak za bardzo rozumnego człowieka i czytany był nawet w europejskiej literaturze.

Nim wszakże Phoibos w izbie wystąpił, przyszedł na porządek dzienny wniosek naglący Lysokratesa, posła z prowincyi rolniczej, żądający powiększenia obiadu dawanego obywatelom neospartańskim o jedną mięsną potrawę, dotychczasowe bowiem pożywienie jest niedostateczne dla młodego, silnego człowieka, a poseł nie raz bywa bardzo głodnym.

Jakiś członek stronnictwa środkowego sądził, żeby najlepiej było odesłać ten wniosek do komisji budżetowej, minister finansów jednak wyjaśnił, że przyczynienie jednej potrawy na obiad kosztowałoby w całej Rzeczypospolitej 500 milionów rocznie, i że państwo nie może wystarczyć na taki wydatek przy obecnym stanie finansów. Skończyło się na tem, że jedna z reprezentantek Rzeczypospolitej wiedzioną litością prosiła izbę, aby osobną ustawą uchwaliła, że Lysokrates od dnia uchwały będzie dostawał podwójną rację pożywienia.

W długiej mowie, przedstawiającej w żywych barwach straszne cierpienia z głodu wypływające, dziękował szanowny poseł za wielką łaskę, którą mu wyświadczyła reprezentacya Rzeczypospolitej.

Po skończeniu tej mowy zrobiła się wielka cisza w Izbie. Phoibos wstąpił na mównicę i tak począł:

— Zdaje mi się, że wypowiem przekonanie wszystkich Neospartańczyków, jeżeli postawię zasadę, pewnik, że życie jest złem koniecznem, które znosić musimy, że nieistnienie na świecie byłoby daleko bardziej pożądanem aniżeli istnienie. Przekonanie to tkwi w nas wszystkich, a nawet zacofani uczeni starej Europy od dawna je uznali. Europa bardzo wysoko stawia niejakiego Kanta, filozofa wielkiego rozgłosu; otóż ten myśliciel mówi w swoich dziełach, „że trzeba się nie rozumieć na wartości życia, jeżeli się chce, aby życie dłużej trwało, aniżeli trwa rzeczywiście; przedłużenie bowiem życia byłoby tylko przedłużeniem igraszki mającej na celu pokonanie ciągłych utrapień.“ Kant więc nie miał zbyt pochlebnego o życiu wyobrażenia. To samo mówi inny europejski filozof niejaki Szelling; utrzymuje on, że każde cierpienie pochodzi z istnienia. Gdyby się zatem nie istniało, nie byłoby cierpienia. Wspomnieć także muszę, że słynący obecnie w najznakomitszej części Europy filozofowie jak Schoppenhauer i Edward Hartman

postawili sobie za zadanie dowieść, że życie jest największym złem, jakie człowieka spotkać mogło.

— Do rzeczy! do rzeczy! — zaczęli wołać niektórzy posłowie, nie wiedząc do czego zmierza mowa Phoibusa.

— Pozwólcie szanowni reprezentaci neospartańskiego ludu, abym wobec ważności mego wniosku przynajmniej co ważniejsze przytoczył powody. Otóż zastanówcie się nad istotą życia, a do tego samego co europejscy filozofowie przyjdziecie przekonania. Wszelka radość, wszelkie szczęście na ziemi jest złudzeniem; mówicie: że młodość, że wolność i zdrowie są przyjemnością, są znakomitem dobrem. Zdanie wasze jest wszakże najzupełniejszym fałszem, bo młodość, wolność lub zdrowie dopiero wtedy cenicie, kiedyście starzy, pozbawieni swobody albo chorzy! Młodość, wolność lub zdrowie jest zatem mniejszem tylko złem aniżeli starość, niewola lub choroba — ale nie jest bynajmniej dobrem.

Zdanie to rozwijał mówca jeszcze dłużej, a gdy się już Izba niecierpliwiła, skończył wnioskiem, że ponieważ gorzej jest istnieć na ziemi aniżeli nie istnieć, przeto ród ludzki powinien dążyć do tego, aby zakończyć swój marny żywot — powinien się wstrzymać od reprodukcji.

Mówca chciał odczytać projekt do ustawy o zapobieżeniu rozmnażania się rodu ludzkiego, ale lewica, gdzie po większej części żeńscy siedzieli posłowie, taki krzyk i pisk podniosła, że się zdawało, iż cała się Izba zawali. Na prawicy i w centrum widziałem jednak mnóstwo zwolenników projektu niecierpliwących się na piskliwą rzeszę. Co się dalej działo, nie mogę opisać, gdyż na raz dostałem mocnego zawrotu głowy, upadłem, straciłem przytomność i dopiero przebudziłem się w balonie o jakie 3000 metrów nad powierzchnią ziemi. — Obok siebie ujrzałem Baliela.

— Cóż to się stało? — zapytałem go zdziwiony.

— Posłuchaj, a zrozumiesz — odpowiedział Baliel i zaczął mi się w dół patrzeć.

W tej chwili rozległ się w przestworzu taki huk, jak gdyby się ziemia w swych zatrzęsła posadach; niezmierny słup ognia i dymu powstał w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą rozróżnić było można Neospartę.

— To stronnictwo niezadowolonych; Nikomedon wysa-

dził miasto w powietrze! — zawołałem z przerażeniem; — piekielna machina skutek swój wywarła.

— Tak jest! odpowiedział Baliel — to dzieło Nikomedona. Postąpił on daleko racjonalniej aniżeli chciał postąpić Phoibos, na cóż bowiem było skazywać neospartańską ludność na powolną, pełną umartwień zagładę, jeżeli można było od razu zakończyć jej istnienie. Wszak to było radykalne lekarstwo na niezadowolonych z życia.

Po chwili balon przeniósł się w inne strony, a Baliel prowadził z Bogoryą następującą rozmowę:

— Jakież wrażenie wyniósłeś z odbytej podróży? pytał pierwszy.

— Że żadna z ludzkich instytucyj nie jest ani bezwzględnie mądrą, ani też bezwzględnie niedorzeczną. Absolutna prawda zdaje się być na tym świecie marzeniem. Ludzie skrajnego postępu rzucają się nieraz z całym zapalem na instytucye, które zgrzybiała przeszłość ze sobą przyniosła; głupi! nie widzą że z pośród rdzy i śniedzi wyglądają tam gdzieniegdzie żyłki czystego złota. Przeciwnie widzę na około siebie wielu wsteczników, dla których nie masz mądrości jak tylko w dawnych latach, a wszystko co teraźniejszość ze sobą przynosi nie warte nawet spojrzenia. Ci także nie mądrzy! zaprzeczają własnym władzom duchowym, wierzą w to, że nasi ojcowie byli rozumnymi istotami, a myśmy zeszli do rzędu bezdusznych stworzeń.

— Nie możesz przecież zaprzeczyć żeś był w kraju, który się bezwzględnie rządzi teoryami rozumu? Wszystkie zasady, do których doszła statystyka, nauki przyrodnicze, znalazłeś zastosowane w rzeczypospolitej Neospartańskiej.

— Znalazłem tam samych głupców, bo zapomnieli o istnieniu serca i uczucia.

— A czy pamiętałeś o sercu i uczuciu przed laty, osiadłszy w swej pustelni w górach, zasklepiiony w egoizmie, niechęć się wdawać z ludźmi, których za głupców uważałeś?

— Sprowadziłeś mnie przyjacielu dawno z tej drogi, los mnie od tego czasu nie mało doświadczał, przejrzałem, a ludzkość nie przedstawia mi się już ową trzodą głupców dla których i działać nie warto, — ale dla której cierpieć jest najpięk-

niejszem zadaniem serca pełnego miłości. Nic człowieka nie może bardziej uszczęśliwić, wlać więcej w duszę spokoju, nad czyny miłości; pozwól mi wrócić w góry, do pierwszej lepszej osady, nie aby się zamknąć w szczelnych ścianach dumy i egoizmu lecz aby dobrze działać choćby w najszczuplejszym zakresie.

— Idź Bogoryo; a gdziekolwiek spojrzysz znajdziesz żyzne dla swej pracy pole. — Nie pierwszemu tobie dałem tę naukę, tysiące was ludzi dzisiaj te same przechodzi koleje. Wylatujecie jak orły z gniazda, zdaje się wam że wzrokiem swym przebijecie obłoki, że źrenica wasza wytrzyma jasne światło słonecznego promienia. Od młodości mówią wam że żyjecie w wielkim wieku, pełnym cudownych wynalazków, że przeszłości nie warto rozwiązać rzemyska waszym złotym bogom. Nie dziw też, że wzbijacie się w dumę, że myślicie świat zreformować, że wierzycie tylko w wasz rozum. — Po pierwszym niepowodzeniu następuje zniechęcenie, zwątpienie, jak niemoc po wielkiej gorączce. Tymczasem jest ktoś, kto was najczęściej podźwignie z tej moralnej prostracyi, jest ktoś, kto wam poda rękę i wleje więcej hartu w duszę. Tym dobroczyńcą jest *doświadczenie* a jam jest dobrym duchem, duchem doświadczenia.

KONIEC.

BATTISTA GUARINO

I JEGO PASTOR FIDO.

(Przyczynek do dziejów literatury sielankowej).

W majowym zeszycie *Przeglądu Polskiego* czytałem zajmujący artykuł o poselstwie Guariniego do Polski, mającego tam popierać kandydaturę Alfonsa II, księcia Ferrary, na tron polski, opróżniony nagłym wyjazdem Henryka Walezyusza. Kandydatura włoskiego książęcia zbyt mało przedstawiała widoków, aby mogła się udać, nie udała się też, atoli zawsze pozostała zajmująca relacja tego poselstwa zamknięta w pomienionym artykule czerpanym z archiwów włoskich, którego autor mając na uwadze samą akcję polityczną Guariniego, na niej się ograniczył.

Wzmianka ta o Guarinim stała się dla mnie pobudką do wyprowadzenia tej osobistości na właściwą, to jest literacką scenę. Guarini bowiem lubo dworak i do częstych używany poselstw przez swego pana, był przedewszystkiem literatem, w koniecznym razie nawet i poetą, i to niezmiernie głośnym i wziętym w swoim czasie, co jednak nie przeszkadza, że dziś zupełnie o nim zapomniano. Zapewne i w samych Włoszech rzadko kto czyta jego sławną dramatyczną sielankę: *Pastor Fido*, grywaną na książęcych dworskich teatrach, publikowaną w różnych miejscach w kilkudziesięciu edycjach, tłómaczoną na wszystkie prawie europejskie języki, nawet po grecku —

a my dodamy, że i po polsku. Zresztą koleje życia tego dworskiego poety, a raczej poety dworaka, obfitują w tyle charakterystycznych szczegółów i rysów, malujących koniec szesnastego a początek siedemnastego wieku, a przytem wyświecających ówczesny stosunek literata do publiczności, a właściwie mówiąc do dworu, w którym się koncentrowała publiczność — że bliższe poznanie się z Guarinim może rzucić niejakié światło i na nasz świat literacki i autorski z owej epoki. Rzecz bowiem pewna, że w cywilizowanym społeczeństwie podobne stosunki układają się do równowagi. Niejedną też możnaby znaleźć analogię między losem poety-autora z nad Tybru lub Padu z losem literata z nad Wisły. Jak tam tak i u nas literatura stała na protekcyi możnych i bez niej nie byłoby śladu ruchu umysłowego; żaden talent zrodzony w ubóstwie nie wypłynąłby na wierzch, chyba szczęśliwym trafem fortuny, a nie naturalnym porządkiem i prawem. Stosunek ten aż nadto wyraźnie odbił się w piśmiennictwie, szczególnie w poezyi, która nie czując się swobodną i niezawisłą, musiała szukać sobie neutralnego gruntu, i znalazła Arkadyę i jej pasterzy. Koniec wieku XVIgo i większa część XVIIgo hołdowały sielance; był to rodzaj najsprzecznieszy z rzeczywistością, która nic a nic nie miała sielankowego.

Kto był ten Guarini, znany nam ze swoich zabiegów na polu elekcyjnem, aby koronę, która się dostała Batoremu, włożyć na głowę książęcia esteńskiego domu? Kto był? poznamy go bliżej.

Ród Guarinich miał sławę uczoności we Włoszech szczególnie w wieku XVtym: z niego pochodził Battista Guarini, urodzony w Ferrarze w r. 1537. O latach jego młodości nie wiele da się powiedzieć, oprócz że uczył się w Pizie, potem w Padwie, a odebrawszy wykształcenie humanitarne, wrócił do Ferrary, i z powodzeniem wykładał przez jeden rok Etykę Arystotelesa, w tym samym uniwersytecie, gdzie jego przodkowie zostawili po sobie zasłużone w naukach imię. W roku 1563, będąc już profesorem literatury, posłał był jeden ze swoich Sonetów Annibalowi Caro, który bardzo pochlebny list do niego napisał, i wróżył mu wielkie nadzieje w zawodzie

poetycznym. Mając lat dwadzieścia ośm został członkiem akademii padewskiej, założonej przez księcia Scypiona Gonzagę pod nazwą *Eterei*, do której był przyjęty młodszy od niego, lecz już sławny Torkwato Tasso. Zrazu łączyła ich ścisła zażyłość, nawet przyjaźń, która potem w skutek plotek dworskich i rywalizacji przemieniła się w niechęć.

Trudno sobie wytlómaczyć, jakim sposobem Guarini mający popędy poetyczne miał niepohamowaną skłonność do pienactwa. Prawie na samym wstępie do życia procesował się ze swoim ojcem o spadek po dziadku rodzonym i stryjecznym; atoli tę przykrą sprawę załagodził pośrednictwem swoim księżę Ferrary Herkules II i zrobił podział majątku między ojcem i synem. Później do ostatnich lat żywota zostawał w ciągłych procesach, które lubił namiętnie. Jak się to usposobienie mogło pogodzić z żyłką poetyką, z zamiłowaniem literatury? należy do zagadek psychologicznych.

Battista pojął za żonę Taddeę Bendedei, pannę z znacznego domu w Ferrarze, a mając lat trzydzieści przyjął służbę dworską u Alfonsa II, tego samego, co się ubiegał o polską koronę. Obowiązków jego służby nie umiemy oznaczyć; zdaje się jednak, że pełnił obowiązek sekretarza książęcego, używanego do różnych misyj i poleceń. Tytuł zaś kawalera, którym ubił się chęlcie, został mu nadany, odkąd księżę zaczął go wysyłać do dworów zagranicznych. Reprezentant księcia nie mógł być bez tytułu.

Po pierwszy raz w charakterze poselskim wyprawiony był Guarini do Wenecyi w r. 1567, dla powitania tamże w imieniu księcia Alfonsa nowego doży Piotra Loredano. Powitalna mowa, którą z tej okoliczności wygłosił publicznie, dała go poznać ze strony bardzo korzystnej. Chwalono ją i podziwiano piękność wyrażen. Posłował potem do Sabaudyi, jeździł do Rzymu dla złożenia hołdu nowemu Papieżowi Grzegorzowi XIII, i pędząc dzień i noc pocztą, stanął na miejscu, i pomimo znużenia całą noc pisał mowę, którą nazajutrz rano wygłosił w pełnym konzystorzu. Jak wiele wagi przykładał on do tej łatwości pisania, widać z listu pisanego do żony z Warszawy w cztery lata później, gdzie mówiąc o męczącej podróży do Polski, wspomina podróż rzymską: „*Cosi mi vide*

già Roma la sera in sulle poste e la mattina in Consistorio a prestar l'ubbidienza a Gregorio XIII.“

W dwa lata posłał go książę Alfons do Niemiec dla załatwienia pewnych spraw z cesarzem Maxymilianem, zkąd udał się do Polski dla złożenia Henrykowi Walezyszowi czołobitości z powodu wstąpienia na tron.

Powróciwszy z tej misyi, otrzymał tytuł konsyliarza i sekretarza stanu; atoli zaledwie kilka miesięcy zagrzeł miejsca, przysłała wiadomość, jako król Henryk cichaczem wyjechał z Polski, aby po zmarłym bracie Karolu IX zasiąść na tronie francuskim. Wiadomo, że drogę swoją obrócił na Wenecję, gdzie znalazł świetne przyjęcie, upamiętnione dziś bardzo rzadką ryciną, ten wjazd i hołdy przedstawiającą. Książę Alfons II stawiał się także w Wenecyi, aby zbiegłego króla powitać i przy tej sposobności wyjednać sobie szczególniejszą łaskę u króla Henryka, że ten przyrzekł mu nawiedzić go w Ferrarze, gdzie wielkimi ceremoniami i festynami był przyjmowany. Pobyt kilkodniowy króla Henryka na estońskim dworze, pomimo ciągłych zabaw, zostawiał jednak kilka chwil do poufnej pogadanki w sprawach politycznych, która tak dalece zaniepokoiła ambicję ferrarskiego księcia, że zaraz powziął myśl ubiegania się o wakujący tron polski. W tym też celu, niemieszkając, wyprawił Guariniego na sejm elekcyjny do Warszawy.

Ciężka i niebezpieczna była to wyprawa dla biednego Włocha! Opisuje on tę smutną podróż w liście do żony, datując z Warszawy pod dniem 25 listopada 1575 r. podróż odbytą o późnej już jesieni, po większej części prostym wozem pocztowym, a nie w wygodnej kolebce, jakby na ambasadora przystało. Jakoż pędził on pocztą po całych dniach a nocą pisał memoryały, podobnie jak to zrobił był w Rzymie. Tylu trudom nie mogło podołać wątłe zdrowie południowca, nie nawykłego do tych niewygód i twardego klimatu. Wpadł w gwałtowną gorączkę w ciągu podróży, a tej nabiwiły go niegodziwe drogi, liche karczmy, trzymane przez brudnych żydów, przeciwne delikatnemu żołądkowi pożywienie, nareszcie brak lekarzy i aptek; znosił to wszystko jak powiada z heroiczną odwagą, aż i dojechał do Warszawy z gorączką, która go nie opuszczała. Zajechawszy do jakiejś, za-

pewne niepoczesnej austeryi, nie tyle cierpiał od febry trzęsącej go niemiłosiernie, ile od ciągłego zgiełku przybywających tam gości, ich natrętnych nawiedzin, zgoła braku tego spokoju, jaki był tak potrzebnym choremu, aby mógł przyjść do sił. Wszystkie te okoliczności wyczerpywały jego cierpliwość, czuł się coraz bardziej osłabionym i przewidywał już bliski swój koniec. Widać to z ostatnich słów listu pisanego do żony, któremi ją napomina, aby się uzbroiła w odwagę, „bo tym sposobem najlepiej uczcisz moją pamięć; innym pozostaw łyż. W tem położeniu zajmij się przedewszystkiem naszymi działkami; ucz je, aby nie popadły w taką ostateczność, w jaką ja teraz popadłem; a jeżeli chciałyby iść w moje ślady, to niech mnie naśladową we wszystkim, tylko nie w sposobie robienia fortuny.“

Widać z tego, że Guarini nie miał wielkiego upodobania w tych dalekich podróżach i misjach dyplomatycznych, do jakich go używał książę Ferrary. Wiadomo też, że skryci nieprzyjaciele na ferrarskim dworze, zazdrośni jego talentów i zaufania, jakim go Alfons II obdarzał, starali się oddalać go od dworu, aby tem bezpieczniej kopać pod nim dołki. Mimo jednak tych przeciwności rozwinął on wielką gorliwość w popieraniu kandydatury swego pana w Warszawie; aczkolwiek w końcu potężniejszy interes przemógł w kole elekcyjnym, a reprezentant esteńskiego księcia, chociaż umiał pozyskać sobie niewielu stronników, pokrył swoją porażkę dobrowolnem ustąpieniem przed siłą większości; nie widząc podobieństwa zwyciężyć, wprzód się zręcznie usunął i tym sposobem nie naraził honoru swego pana, czem dowiódł zręczności dyplomatycznej wrodzonej wszystkim niemal Włochom.

Nie mając co dłużej robić w Warszawie, wrócił do Ferrary, gdzie pełnił służbę przy księciu, a przy tem prowadził kilka procesów, na których mu nigdy nie zbywało. Atoli więcej znudzony dworem niż zawikłanemi procesami, podał się o uwolnienie od służby, pod pozorem, że nader ważny rodzinny proces wymaga zupełnego oddania się prowadzeniu onegoż.

Zmarnowawszy piętnaście lat u dworu i na te różne poselstwa dobrze nadczerpawszy własnego majątku, osiadł w r. 1582 z żoną i dziećmi w rodzinnym majątku *la Guarina*, pięknie położonym i dochodnym w okolicy Rovigo. Majętność

tę otrzymał był jego pradziad w nagrodę długich usług na poselstwach; a choć i on także posłował, ale się na tym urzędzie nie wzbogacił. Odtąd zwykle w tem miłym wiejskiem ustroniu przepędzał pięć miesięcy letnich, a resztę roku nie już w Ferrarze lecz w Padwie.

Rodzina jego była dość liczną; trzech synów, pięć córek, kłopot nielada, a do tego co niemiara prawniczych kłopotów i długów. W liście pisanym do Korneliusza Bentivoglio, swego krewniaka, uskarża się na przykre położenie: co chwila dla prowadzenia procesów musi jeździć do Wenecyi i tam pilnować ich toku, nie mogąc ani powrócić do dworu, ani z muzami przestawać. Z dworską służbą jeszcze mógłby się pogodzić, ale z muzami nie chce już nic mieć do czynienia. „Nie urodziłem się poetą — pisze on — i nie należę do rzędu tych ludzi, co tylko umieją klecić wiersze, a do wszystkiego, na czem stoi wartość człowieka, całkiem są niezdolni. Te trochę wierszy, jakie mi się wymknęły kiedyś za młodu, były albo owocem próżności młokosa, albo ćwiczeniem akademickiem, rodzajem wytechnienia po innej pracy. Dzisiaj nie przystoi mi zajmować się fraszkami tego rodzaju, albowiem dość mam roboty około interesów domowych, około uprawy gruntów, pomnożenia moich dochodów, utrzymania całego gospodarstwa i tak licznej jak mam rodziny.“

Pomimo że Guarini tak pisał pod wrażeniem kłopotów domowych, jednakowoż posiedziawszy jakiś czas w zaciszności, przekonał się, że może znaleźć niejedną godzinę dla poświęcenia zajęciom mniej utrudzającym. Nieznacznie odezwała się w nim dawna żyłka literacka, a potracenie przyjszło od Aminty, idylli Torkwata Tassa, która ukazawszy się w druku, narobiła w świecie ogromnego hałasu. Guarini znalazł między swojemi szpargałami przed wielą laty zaczęty, często przerywany, znów podejmowany poemat, który żeby mógł ukazać się przed światem, potrzebował tylko ostatniej ręki. Dramatyczna ta idylla, pod tytułem *Pastor fido* (Wierny pasterz) wydała się Guariniemu, kiedy ją teraz odczytywał, godną dobijać się o pierwszeństwo z Tassowym Amintą.

Trzeba wiedzieć, że Tasso i Guarini, jak już wspomniałem, żyli ze sobą za lat młodych w najlepszych stosunkach, a później, kiedy obydwu znaleźli się na dworze księcia Fer-

rary, stosunek ten zamącił się na dobre. Dwóch poetów to zawsze za wiele na jednym dworze; zwłaszcza gdzie są piękne damy lubujące się w galanteryi i ładnych wierszach, nieuniknione musi nastąpić współzawodnictwo: jeden sadi się nad drugiego, żeby zyskać uśmiech lub otrzymać kwiatek z pięknej ręki, a ten, który na większy wzgląd zarobił, wbija nie chcący żądło zazdrości w serce mniej szczęśliwego rywala. Ztąd między dwoma poetami nastąpiło oziębienie; jeden krzywo patrzył na drugiego. Nie wiadomo czy pierwszy Tasso czy Guarino puścił w obieg jakiś satyryczny sonecik, który wywołał odpowiedź, a potem już jak grad sypały się obopólne ucinki, chwymane przez dworzan i powtarzane ze złośliwą uciechą. Atoli nieporozumienie to nie przekroczyło rymowanej granicy. Urazy poszły w niepamięć, a jeden drugiego nie przestał cenić i poważać.

Na Tassa jak wiemy przyszła czarna godzina. Dotknięty umysłową niemocą, nie mógł on sam doglądać pierwszych wydań *Jerozolimy wyzwolonej*. Owóż gdy takie wydanie wpadło w ręce Guarina oburzyła go niepoprawność tekstu; Tasso bowiem nie mógł sam robić ostatniej korekty, a wydawca o nic więcej nie dbał, byle wyszła książka. Jakoż z własnej ochoty, przejęty uwielbieniem dla dzieła, własną ręką jął poprawiać pisownię, przywracać przekrecone wyrazy, dopełniać opuszczenia sens psujące, i nie poprzestając na tem, dodał jeszcze sześć ostatnich pieśni, które miał przepisane z autografu Tassowego, i tak poświęciwszy niemało pracy, przygotował nową poprawną edycją. Nie dość na tem; wziął się i do dwóch części wydanych poezyj lirycznych Tassa, przepełnionych błędami, poprawił je własną ręką i czuwał nad porządnem ich wydrukowaniem.

Nie pominąłem tego drobnego szczegółu, odsłaniającego bardzo piękną stronę w charakterze Guarina, który chociaż nie był już w najlepszem porozumieniu z Tassem, jednakowoż oddał mu tę usługę i okazał się wyższym nad drobną zazdrość. Zresztą coś podobnego rzadko się trafia między poetami, do tego rywalizującymi ze sobą.

Rycerskiem było to postępowanie Guarina, aczkolwiek w duchu nie rad był Tassowi przyznać wyższość nad sobą. Wprawdzie nie kusił się on wyrównać mu w wielkiej kompozycji,

jak epopeja, lecz za to mniemał, że go o wiele przesadził w rodzaju pastoralnym, czyli sielance. *Amintę* Torkwata wziął on sobie za cel współzawodnictwa, jakoż nakreślił szeroki plan do pasterskiego dramatu, wprowadził wiele zawikłań i był pewnym, że jego *Pastor fido* przyćmi *Amintę*.

Guarino pewnym był zwycięstwa, chociaż zapatrując się na *Amintę* z dzisiejszego punktu estetycznego, utwór ten manierowanej poezji, ckliwo-sielankowej, w porównaniu z *Wiernym pasterzem*, jeszcze bardziej manierowanym i o sto procent ckliwszym, ma tu owdzie ustępy pełne prostoty, a Tasowski pasterze i pasterki, aczkolwiek konwencyjonalne, mają więcej w sobie prawdy, a raczej bardziej są do niej zbliżone niż wyalembikowane figury Guarina, które są najnieznajniejszymi gadułami. Atoli tego rodzaju dramat i poezya miały w owym czasie niezmierne powodzenie: dwory książęce ubiegały się o te sielankowe wyroby, które przedstawiano na dworskich teatrach, zapewne dla rażącego kontrastu między urojoną szczęśliwością złotego wieku pasterzy Arkadyjskich a tem życiem na małych dworach książąt i panów włoskich, które składało się z intryg, z zalotności, podstępów i zemst politycznych i romansowych. Znużenie w tej ciągłej walce tak o względy panującego jak o sentyment pięknej signory otoczonej gronem przesadzających się w zabiegach kawalerów, zmuszało niejako szukać wytchnienia w sielankowym ideale, który przenosił w świat niby jakieś szczerości i prostoty, a rzeczywiście był tylko odbiciem się ówczesnej dworskiej manieri. Nędzę tę jednak, dla tego że przybrała się niby w szaty naiwności, uważano za kwintesencję poezji w tych kołach wykwintnego towarzystwa, co dawało ton w sztukach pięknych. Był to widoczny upadek smaku, a właściwie uczucia i pojęcia artystycznego; ówczesne talenta pióra, pędzla i dłuta, nie będąc w stanie wznieść się wyżej, hołdowały tej dworskiej modzie. Moda przeszła i oni przeszli.

Guarino żyjący w dworskiej sferze, najmocniej był przekonany, że stworzył arcydzieło. Jakoż zanim swój pastoralny dramat miał dać na scenę, chciał pierwiej posłuchać osób znanych z wybornego smaku, co też o jego utworze powiedzą. Przejeżdżając z Medyolanu wstąpił był do Guastali, gdzie książę Ferrante II Gonzaga ugościł go na swoim dworze, a że nie-

które sceny *Pastor fido* słyszał dawniej czytane w Ferrarze, życzył sobie, aby teraz mógł całość poznać. Przychylił się do tego życzenia Guarino i kiedy książę zgromadził w pałacu grono poetów, znawców literatury, i pięknych dam znanych z nauki i wybornego smaku, poeta czytał wobec tego areopagu swój potężnie długi poemat... Słuchacze, prawdziwie anielskiej cierpliwości, obsypywali go za każdą sceną oklaskami, pochwały krzyżowały się wylatując z ust najpiękniejszych i najuczeńszych. Tryumf ten opowiedział w liście do p. Vilardi w Turynie; „od dawna, mówi on, nie piękniejszego nie słyszano; wszyscy zgadzają się na to, i ja sam jestem przekonany o wielkich pięknościach mego *Pastor fido*.“

Teraz szło mu o to, pod czyją protekcją oddać to mniemane arcydzieło? Od dzieciństwa znał on księcia Sabaudzkiego Karola Emanuela, i o tem marzył, jak się dostać na dwór Turyński, na który chciał być zaproszonym, nie pokazując po sobie że tego pragnie. Właśnie Karol Emanuel ożenił się był w r. 1585 z infantką Katarzyną, córką Filipa II. Nowożeńcy w świetnym orszaku odbyli wjazd do Turynu, a z okoliczności tej wynikły wspaniałe festyny, turnieje, przedstawienia teatralne. Miano zamiar grać na scenie *Pastora fido*; rozdano nawet role, przysposobiono dekoracye; ale do przedstawienia nie przyszło, chociaż Tiraboschi utrzymuje przeciwnie. To pewna, że autor czytał tylko swoje dzieło przed świetnem zgromadzeniem różnych dworskich znakomitości; że wydzierano sobie manuskrypt, aby go przepisywać; że o niczem nie mówiono tylko o poecie, którego sztuka sprawiła takie wrażenie, że aż książę Sabaudzki włożył mu na szyję złoty łańcuch. Wieść o tym tryumfie prędko doszła do Ferrary i na dobre zaniepokoiła księcia Alfonsa, obawiającego się, aby tak sławny poeta nie wymknął się i nie przystał do innego dworu. Jakoż nie mieszkając, przywołał go do siebie kilkakrotnem wezwaniem, które miało znaczenie rozkazu. Opierać się nie było sposo u; jakoż przybywszy do Ferrary, rad nie rad wrócił do obowiązków przywiązanych do tytułu sekretarza stanu, i zaprzął się w zmuǳną służbę dyplomatyczną.

Wysłał go niebawem książę w interesach państwa do Umbrii, do Medyolanu, u następnie w inne miejsca. Atoli powrót do tej służby wymagającej ciągłej włości, obudził w nim tem wię-

kszy niesmak, gdy starszy jego syn Aleksander wydał mu proces, który sam książę rozstrzygnął, ale na korzyść syna, czem ojciec czuł się bardzo dotkniętym, widząc w tem osobistą niechęć Alfonsa II. Niechęć poety przeciw swemu panu pomnożyła się widokiem niegodziwego obejścia się z Tassem, który siedm lat trzymany w domu obłąkanych, wiele wycierpiał; było to wymowne ostrzeżenie, aby niebardzo ufać książęciu, który w tak okrutny sposób obchodził się z poetami. Protekcya tego pana wcale nie była bezpieczną. Zwiertzył to Guarino i postanowił wycofać się w gładki sposób. Jakoż pojechał do Florencyi i tam za pośrednictwem człowieka posiadającego zaufanie księcia, wyrobił sobie uwolnienie od służby, i otrzymał zaszczytne świadectwo dobrze spełnianych obowiązków. Ztamtąd udał się na dwór księcia Sabaudzkiego, gdzie był użyty do różnych missyj dyplomatycznych; aż wkońcu znudził go ten tryb życia; pod pozorem prowadzenia jakiegoś procesu, udając się do Wenecyi zachorował u siebie w domu, i odpoczywając przez cały rok, zaczął myśleć o wydrukowaniu swego pasterskiego dramatu.

Ogłosił go po raz pierwszy w r. 1590 w Wenecyi, a powtórnie w tymże roku w Ferrarze.

Książka zyskała powszechny oklask, lubo i krytyk nie brakło, na które odpowiadał sam autor; z czego wywiązała się piórowa polemika za i przeciw, która jak wszystkie tego rodzaju spory de *lana caprina*, skończyła się znużeniem tak piszących jak czytających.

Około tej epoki zmarła mu żona. Niespodziewany ten wypadek wpłynął na rozbitcie się rodzinnego gniazda. Najstarszy syn dawno z nim zerwał; młodszy poszedł za przykładem starszego; dwie córki wyszły za mąż, a trzy najmłodsze oddał do klasztoru. A tak ujrzał się osamotnionym, bo tylko został przy nim najmłodszy, dziesięcioletni synek... Miał już zamiar zostać zakonnikiem i osiąść w Rzymie; ale przywykły do chleba dworskiego, dał się łatwo ująć pochlebnemu wezwaniu księcia Mantuańskiego i na jego dworze spędził jeszcze lat dwanaście.

Możnaby do niego zastosować ten wiersz, który później stosowano do Woltera:

„Czołgał się on w swej pysze od dworu do dworu“ ¹⁾).

Powiadają, że kiedy pod koniec życia został prywatnym obywatelem Ferrary, miasto wysłało go w deputacyi dla złożenia powinszowania Pawłowi V przy jego wstąpieniu na stolicę Apostolską. Wtenczas to stając przed świętym Kolegium, usłyszał od kardynała Bellormina gorzkie wymówki, że jego poemat *Pastor fido* tyle złego narobił w świecie chrześcijańskim, co herezya Lutra i Kalwina. — Jeżeli takie było zdanie uczonego teologa, to przesadzone cokolwiek; bo choć się w tym poemacie znajdują niektóre wybryki przeciw Kościołowi, jednakowoż donośność ich nader jest skromną w porównaniu tego złego, jakie napłodzili ci dwaj herezyarchy. — Zresztą nie mogę przypuszczać, aby *Pastor fido* używał kiedykolwiek wielkiej popularności, będąc z natury swojej nudnym i ekliwym.

Do końca życia pieniał się Guarino już to o przywileje i nadania, odnoszące się do jego ziemskiej posiadłości, już z własnymi dziećmi, a nawet o relikwie S. Bellino, które z kościołka jego parafii chciano zabrać do Rovigo.

Umarł w r. 1612, mając lat 74.

Żywot jego, jak widzieliśmy, był dość niespokojny i rzucający się w różne strony — atoli nie była w tem wina jego poetycznego geniuszu i talentu; albowiem pod tym względem dopisywało mu szczęście więcej, niż na to zasłużył. Imię jego stało się bardzo głośnem: akademia ferrarska, florencka i wiele innych poczytywało sobie za zaszczyt mieć go w gronie swych członków. Najpierwsi literaci współcześni, zostawali z nim w korespondencyi. A wszystko to zawdzięczał swemu *Pastor fido*. On też nie żałował mozół, aby go wygładzić i poprawić; ciągle przerabiał, dodawał, ujmował. W rodzinie jego znalazł się rękopis mający tyle dodatków, wykreśleń, odsyłaczy, że najmniej sześć razy przerobić go musiał od początku do końca. Przeróbki te ściągały się do stylu, do rymu, do szczegółowych wyrażań, nie zaś do myśli, bo ta utrzymała się niemal od pierwszego rzutu, i w ogóle jest błaha i pozbawiona oryginalności — styl też jego zaleca się dziwną łatwością, a wyrażenia tak są trafne, że niepodobna lepiej oddać tych myśli.

¹⁾ „Longtemps de rois en rois son orgueil a rampé.“

Prawie po wszystkich dworskich teatrach, jak w Ferrarze, Florencyi, Wenecyi, Mantui, często przedstawiano ten dramat pasterski; a poeta przed śmiercią dożył najmniej dwudziestu wydań swego dzieła, które przetłómaczone zostało prawie na wszystkie europejskie języki — a jak już nadmienilem i na polski.

W bardzo udatnych wierszach, wydanych przed laty w Poznaniu z rękopisu 17go wieku pod imieniem *Zbigniewa Morsztyna*, a będących właściwie płodem młodzieńczej muzy Andrzeja Morsztyna, podskarbiego w. koronnego za czasów Sobieskiego, jak o tem pisałem przed laty, porównyując „Lutnię Andrzeja Morsztyna,” zachowaną w rękopisach biblioteki Ossolińskich, z wydaniem poznańskim — znajduje się między wielą wierszami okolicznościowemi piękny wiersz do Jerzego Lubomirskiego, marszałka w. koronnego, tego samego, co w najsmutniejszej dla Rzeczypospolitej chwili wzniecił był wojnę domową.

Lubomirski grał wtenczas wielką rolę i należał do wybitnych znakomitości w Polsce; nie więc dziwnego, że młody poeta wyliczając jego zasługi i prace, podejmowane tak dla dobra ojezyny, jak dla nauk, mówi między innemi:

Albo kiedy rzecz puści pospolita,
Tacyta w głowie i bez księgi czyta;
A gdy mu próżna pozwoli godzina,
Wiernego składa *pasterza* z Gwaryna.

Jest więc wyraźny ślad, że Lubomirski bawił się „w próżnych godzinach” tłómaczeniem *Pastor fido*.

Czy ta praca pana Marszałka w. koronnego wyszła na widok publiczny? O tem nic nie wiem; wiem tylko, że *Pastor fido* w tłómaczeniu polskim doczekał się dwóch edycji; obie dwie wyszły w Toruniu, jedna w r. 1695, druga w r. 1722. Pierwszej nie widziałem; należy bowiem do bibliograficznych rzadkości; druga, także dość rzadka, ma następujący tytuł „*Pastor fido albo Konterfekt wierny miłości, z włoskiego języka przetłumaczony* — w Toruniu nakładem Jana Chrystya-

na Laurera. Edycya ta nawet w przedmowie dedykacyjnej: JM. Panu Jakubowi Zygmuntowi na Rybnie Rybińskiemu, wojewodzie Chełmińskiemu i jego małżonce Helenie z Potockich (Śreniawitów) Rybińskiej, gdzie mowa jest o różnych rzeczach i wielu innych, nie ma żadnej wzmianki o tłumaczu, chociaż tak świetne imię, jak Jerzego Lubomirskiego, marsz. w. kor., mogło być dostarczyć wątki do świetnych alluzyj i porównań. Z tego powodu nasuwa się pytanie, czy wydanie toruńskie Chrystyana Laurera jest dziełem Marszałka w. kor., czy też płodem innego pióra, które zataiło swoje nazwisko?

Zostawiam to do rozstrzygnięcia bibliografom naszym; tem więcej, że nieznając żadnych wierszowanych prac Marszałka w. kor., nie mogę przez porównanie dojść na pewne, czy drukowany *Pastor fido* jest jego pióra, lub nie? W każdym razie istniejący przekład należy do rzędu lichych wyrobów, tak pod względem języka jak sztuki rymowania, i jeżeli rzeczywiście wyszedł on z pod pióra Jerzego Lubomirskiego, tedy możnaby śmiało o Marszałku koronnym powiedzieć, że do politycznego grzechu dołączył i grzech literacki.

Nie pewniejszego, że dzieła literackie, które w swoim czasie miały rozgłos i powodzenie, a potem popadły w głuchość niepamięć — musiały mieć jakąś stronę przypadającą do smaku publiczności. Zapewne, tą zaletną stroną był rodzaj pasterski powszechnie uprawiany w pewnej epoce; atoli *Pastor fido* Guarina miał jeszcze i przymiot dziwnie gładkiego, śpiewnego wiersza, a lekkiego jak piórko, przytem pełnego figlarnych zwrotów, igraszek słów i alluzyj do amatorów wielkiego świata. Cały ten czar wykwinutą dworskością zaperfumowanego madrygału, mieszczącego się więcej w harmonii słowa i w grze rymów, niż w treści pomysłu lub obrazu, często do ujęcia trudnej bo wymykającej się z pod ścisłej kontroli — cały ten czar ówczesnej włoskiej poetycznej manieri, ulotnił się w polskiem tłumaczeniu — a została tylko ciężka gadanina, najlichszą prozą powiązaną nieudatnemi rymami, która, jak małe daje pojęcie o oryginale Guarina, można się przekonać z małej próbki, którą tu zamieszczam.

W akcie pierwszym, w pierwszej scenie stary Lynkus uciekającemu od miłości Sylwiowi maluje to uczucie, odzywające się w całej naturze i będące jej prawem; a tak od nieba przechodząc do ziemi, opowiada, jak miłością pałają zwierzęta leśne, ryby i inne potwory morskie, aż ureszcie wyprowadza miłoścki ptaków:

Quel augellin che canta
 Si dolcemente, e lascivetto vola
 Hor da l'abete al faggio,
 Ed hor del faggio al mirto,
 S'havesse humano spirto
 Direbbe: Ardo d'amore, ardo d'amore
 Ma ben arde nel core;
 E parla in sua favella,
 Si che l'intenda il suo dolce desio:
 Et odi a punto, Silvio
 Il suo dolce desio,
 Che gli risponde: Ardo d'amore, anch'io.

W polskiem tłumaczeniu tak ten ładny kawałek wygląda:

Ptaszek, co wdzięcznie śpiewa, a swej drogi
 Pilnując, buja wzywając wrzaskliwym
 Głoskiem, ptaszęta do miłości chciwym,
 I przelatując z mirtu do jaworu,
 Ztamtąd do boku, szuka też faworu;
 Rzekłby, by mowę natura mu dała,
 Że miłość ognie w nim porozpalała.
 Ale choć milczy, serce ogień czuje,
 A swym językiem z sobą dyskuruje,
 Tak, że rozumie on swoje zapały.
 Patrz, jakbyć teraz uszy powiedziały,
 Co jego żądza cicho rozprawuje,
 Jak wzajem mówi i jak też miłuje itd.

Gdzież się ulotnił ten wykrzyknik: *Ardo d'amore, anch'io?* gdzie tyle innych delikatnych cieniowań tej dość pospolitej myśli?

W ten sposób zamordował tłumacz pasterski dramat Guarina, który sam przez się będąc bardzo wodnistym, w przepolsczeniu stał się prawie niepodobnym do czytania.

Z tem wszystkiem niepodobna jest nie dać czytelnikom jakiego takiego wyobrażenia o całości tej tragi-komedy pasterskiej, która używała tak wielkiej sławy w wieku 17ym -- a i dziś jeszcze w historii literatury włoskiej zajmuje wcale zaszczytne miejsce, chociaż zapewne nikt jej nie czyta, co zwykle bywa udziałem dzieł za klasyczne uznanych; wszyscy o nich mówią i admirują, powtarzając na wiarę zdanie tego lub innego historyografa literatury.

Dotąd mówiliśmy więcej o życiu włoskiego poety dworaka, a tylko ogólnikowo o poemacie, który mu zjednał rozgłosną sławę, i używał wielkiej wziętości w siedemnastym wieku, wziętości, która się przeniosła nawet po za granicę Italii.

Wypada więc bliżej zapoznać czytelników z *Wiernym Pasterzem*, choćby dla tego, aby pokazać, jak w pewnych epokach niewiele trzeba było do pozyskania sławy poetycznej; i jak najgęstsze oklaski nie zawsze bywają miarą rzetelnej wartości.

Pomówmy naprzód o treści:

Rzecz odbywa się w Arkadyi, tej uprzywilejowanej ojczyźnie szczęśliwych pasterzy i pasterek. Jakaś Nimfa, miała pewnego razu wzgardzić miłością, a potem zdradzić miłość młodego kapłana Dianny, czem obrażone bóstwo, żeby pomścić zniewagę wyrządzoną swemu kapłanowi, wypuściło mordercze strzały na kraj arkadyjski. W przerażeniu szerzącej się morowej zarazy zapytywano wyrocznię o przyczynę tego pomorku? Wyrocznia odpowiedziała, że aby odwrócić pomorek, należy tę wiarołomną Nimfę, lub jaką inną dziewczę, dać na ofiarę na ołtarzu Dianny, a ma ją zabić ten sam zdradzony kapłan. Gdy jednak żadna inna dziewczę, nie chciała iść pod nóż, stawiono oną Nimfę, aby ją dać na ofiarę. Ale cóż się stało? Oto ów młody kapłan zawsze rozkochany w Nimfie, porwał za nóż, i zamiast utopić go w niej, w sobie utopił. Ona ze swojej strony widząc ten rzadki dowód przywiąza-

nia, poszła za jego przykładem, i oboje padli martwi u stopni ołtarza.

Tragiczną tą legendę o Korezusie i Kalirhoi opowiedział w księdze VII Pauzaniusz; a poeta włoski na tej samej bajce, z małemi odmianami osnuł swój poemat. Podług niego pomorek, który na chwilę ustał, znowu zaczął się szerzyć po roku. Wyrocznia po drugi raz zapytana o przyczynę, dała odpowiedź, że dla odwrócenia plagi, potrzeba rok rocznie dawać na ofiarę dziewicę starszą nad piętnaście, a młodszą niż dwadzieścia lat... Niekontenci z odpowiedzi Arkadyjczykowie, zapytywali po raz trzeci, i usłyszeli co następuje:

Nie wprzód nieszczęścia koniec stanie wam przed oczy
Aż miłość dwie niebiańskie istoty zjednoczy,
A niewiernej niewiasty występki niezmierny
Odkupi poświęceniem jaki pasterz wierny.

Idąc za tą potrójną wyrocznią, wymyślił Guarino tak zawikłaną intrygę, że niepodobna byłoby opowiedzieć jej, bez narażenia czytelnika na śmiertelne nudy. Dość że niewinna Amarillis *prima donna* tej sztuki fałszywie oskarżona o niewierność; szlachetne poświęcenie się pasterza Mirtyla, który chce umrzeć za nią, chociaż zbyt wymowne pozory robią ją winną zdrady miłości i następnie w skutek tego przygotowania do mającej się spełnić religijnej ofiary; jak z nieba spadające wyjaśnienia że ów Mirtyl idący na śmierć dobrowolną, jest synem kapłana ofiarnika; nakoniec wytlómaczenie wyroczni przywracające jej właściwe znaczenie, odrazu uwalnia zagrożone śmiercią osoby od tej tragicznej katastrofy. Pasterski dramat kończy się wesoło, i zapewne dlatego nazwał go autor tragi-komedyą; bo oprócz wesołego zakończenia, nie ma tu scen komicznych, ale za to niebrak ckliwo sentymentalnych i filozoficzno-moralnych tyrad, któremi co chwila popisują się pasterze i pasterki arkadyjskie, i to od pierwszej do ostatniej sceny.

Niektóre sceny mogłyby mieć pewien zakrój oryginalności, bo jest w nich jakiś ruch, jakieś życie, jak to w akcie drugim, scenie pierwszej, gdzie siostra Mirtyla wiedząc, że ten wdycha do Amarylli pożyczoną suknię niewieściej, i pomaga w przebraniu się za kobietę. Młoda towarzyszka Mirtyla sprzyja

tej metamorfozie usłużna, a usłużna siostrzyczka uczy go chodzić, mówić, zalotnie strzelać oczyma, i tak go przygotowawszy, wprowadza w orszak Megarskich dziewic otaczających Amaryllę. W tem jedna z pasterek radzi zabawić się w całowanie. Która najlepiej pocałuje, dank odniesie. Sędzią obrano jednogłośnie Amaryllę i na jej ustach miały się odbywać nowego rodzaju turnieje. A były to usta „nieporównanej słodkości.“

Usta prześliczne, te usta pieszczone
 Zbiorem wdzięczności wszystkich zbogaczone
 Usta przyjemne, które przewyższają
 Pachnące konchy co Indye mają...
 Miód to jest szczery, a wdzięk ich różany
 Z ozdobną zda być purpurą zmieszany.

Autor wpadłszy na ten temat, powiada wkońcu, że żaden język nie jest w możności, opowiedzieć tych słodkości i t. d.

Współzawodniczki sztuki całowania, przegrywają wszystkie, jeden tylko Mirtyl odnosi palmę zwycięstwa. Erotyczna ta scena miałaby nierównie większą wartość, gdyby była udramatyzowaną, wykonaną w akcji, a nie w nieznośnej długiem opowiadaniu Mirtyla.

Dru ga podobna scena przygotowaną była przez złośliwą i podstępna pasterkę Koryskę, ażeby zbliżyć Mirtyla z Amaryllą wymyśla ona grę *la cieca* czyli naszą ślepą babkę.

Amaryllis ma zawiązane oczy: grono dziewic dotyka ją i chowa się, a ona tymczasem goni je i łapie — otóż w końcu pochwyciła jedną i trzyma w objęciach, ale to było drzewo... Znowu śmiechy i żarty z tej pomyłki.... Nareszcie dziewczęta uciekają po cichu, a Mirtyl namówiony przez chytrą Koryskę daje się pochwycić Amarylli, która zgaduje Aglaurę, potem Koryskę — aż zniciерpliwiona zrywa z oczu chustkę i z przestachem widzi się w objęciach Mirtyla. Zrazu wpada w gniew, potem rozczuła się na jego głos, bo rzeczywiście kocha go tajemnie, ale wyznać tego niechce. Wkońcu żegna go czułem i słowy:

Partiti, e ti consola
 Ch'infinita è la schiera

Degli infelici amanti
 Vive ben altri in pianti
 Si come tu, Mirtillo, ogni ferita
 Ha seco il suo dolore,
 Ne se' tu solo a lagrimar d'amore.

Czułe to pożegnanie tak przetłómaczył po polsku czy p. Marszałek W. kor. czy też kto inny:

Już pójdź Mirtyllu, pójdź gdzie cię twe sprawy
 Wołają: Nazbyt już miałeś zabawy.
 Ciesz się, nie sameś, który dla miłości
 Ponosisz przykre i gorzkie srogości.
 Płaczą też drudzy, ciężko narzekają,
 I w oczach prawie łez nie osuszają.

Są to sceny tak oddalone od dzisiejszych pojęć o poezyi, a mianowicie dramatycznej, że się dziwić potrzeba jak ludzie mogli kiedyś lubować się w tej rozwlekłej gadaulinie i to na zawsze jeden temat erotyczny. Podobne sztuki i poemata miewają niekiedy znaczenie historyczne lub lingwistyczne, jeżeli jest w nich schwycony jaki rys obyczajowy z ówczesnego życia, lub jakie wyrażenie, już dziś zatracone. Atoli nic z tego niema w wiernym pasterzu Guarina, który miałby sobie może za ujmę, za grzech przeciw dobremu smakowi, gdyby był do swojej tragi-komedyi wprowadził element rzeczywistości, tej rzeczywistości z którą długo nie chciała poezya mieć nic wspólnego, pogaradzając ją jako elementem gminnym, wypchniętym z wysokich sfer obcujących z muzami. Ówczesny poeta miał się co najmniej za półboga, dlatego też dobierał sobie kompanią z Bogów, Nimf, bohaterów, a jeżeli na scenę wyprowadzał pasterzy i pasterki to było już z jego strony ogromne ustępstwo, tem jednak złagodzone, że rodowód ich sięgał Olimpu.

Mimo tego rodzaj pasterski bardzo uprawiany przez poetów XVI i XVII wieku, mieścił w sobie zarody postępu, bo wielkim krokiem zaczął zbliżać się do rzeczywistego życia, co widzimy najwyraźniej w naszych sielankach: kiedy Szymonowicz mało co jeszcze widzi po za Teokrytem i Wirgilim, Zi-

morowicz już pełnymi garściami bierze obrazy i postacie z życia które go otacza, codzienna rzeczywistość wkracza przez niego z rozwiniętą chorągwią w sferę poezyi....

Wracając jeszcze do Guarina spotykam w jego *Wiernym Pasterzu* jeden ustęp, gdzie naprawdę zaczął o rzeczywistość w odniesieniu jej do swojej własnej osoby, w czym jak w wielu innych miejscach naśladował Amintę Tassa. Ten bowiem ostatni ukrył się pod imieniem pasterza Tyrsisa; podobnie Guarino występuje tu pod nazwą Carino, i używa tego środka aby opowiedzieć wcale pięknym wierszem wszystkie przykrości i umartwienia doznane na dworze Esteńskiego księcia w Ferrarze i jak mozolne jego usługi źle były wynagrodzone. Ciekawy ten ustęp mogący służyć do ogólnej historyi żywota dworskiego poety przytaczam tu w naszym starem i jedynym tłumaczeniu, które, choć wiele do życzenia zostawia, jednak w braku innego niem posługiwać się muszę.

„Toć tylko powiem; cokolwiek czynilem
I czas, i pracę, i wszystko gubiłem;
Cierpiałem zimno, gorąco wytrwałem,
Stałem, biegalem, pisałem, śpiewałem,
Plakałem na czas, znosząc bez szemrania
Najnieznośniejsze tam prześladowania.
Raz mię wysoko szczęście unosiło,
Czasem zaś niżej ziemie uderzyło;
Raz mię laskawa pańska twarz cieszyła,
Podeczas zaś wzgarda nieludzka męczyła,
Tak jak Delfickie żelazo sprawuje
Wielką posługę, gdzie mu rozkazuje
Kapłańska ręka, tak i mną robiono,
Czasem do zacnych posług zażywano,
A czasem znowu tak nisko ceniono,
Że mną już prawie śmieci zamiatano.“

Ktoby się był spodziewał, mówi dalej, że mi przyjdzie zmaleć wśród tych wielkości, i zubożeć wśród złota? Myślałem że w królewskich pałacach ludzie tem więcej są ludzcy, że opływają we wszystko, co może być okrasą ludzkości. Wszakże znalazłem przeciwnie, znalazłem dworaków z imienia i mowy,

ale nieuczynnych, bez kropli litości w sercu; spokojnych i słodkich na zewnątrz, w gruncie obraźliwych i okrutniejszych niż morskie przepaście.... Co gdzieindziej jest cnotą, u dworu bywa występkiem: mówić prawdę, działać otwarcie, kochać bez udawania, być szczerze pobożnym, niezłomnie wiernym, mieć serce nieskalane i ręce czyste; wszystko to w oczach dworaków oznacza podłą duszę, i umysł pospolity.... Ja który nie umiem być podejrzliwym, żyłem w zupełnej niewiadomości tych dworskich sztuczek i myśl moja sama wypisywała się na czole, a serce było zawsze jak na dłoni, z tego łatwo pojmiesz, na jakie urągania i pociski wystawioną była moja osoba, od tej zawistnej zgrai, której nie znałem wcale.“

Pastor fido wiele kroć razy przedstawiany na dworze Ferrarskim, Turyńskim, Florenckiem i innych książęcych teatrach, przechodził niezawodnie przez dworską cenzurę i cała ta ostra satyra na żywot Kortezana nie śmiałaby razić uszu, ani księcia ani dworaków. Musiano ją wykreślać...

W każdym razie diatryba ta ma wiele wyrazu prawdy; wszystko w niej wzięte z życia, schwytane na gorącym uczynku; z resztą ktoby chciał kreślić historią stosunku poety do społeczeństwa w pewnych epokach, nie mógłby pominąć tej satyry, która wiele wyjaśniając, nie jest materyałem do odrzucenia.

Lucyan Siemieński.

NIBELUNGÓW NIEDOLA, PIEŚŃ DRUGA

(czwarta B. *).

z narzecza średniowiecznego górnoniemieckiego

tlómaczył

L. German.

138. Aliści wieść się dziwna w Guntera stolicy
Rozeszła, bo przybyli na dwór z zagranicy
Posłowie, niosąc z sobą zapowiedzi wojny
I posmutniał królewski dwór dotąd spokojny.

¹⁾ Dla nieznających poematu podajemy treść pieśni pierwszej:

W Burgundyi kwitnęła dziewczka królewskiego rodu, Krymhilda, córka Dankrata i Uoty a siostra Guntera, Gernota i Giselhera, którzy w Wormacyi rządzili. Śniło się raz królownie, że ulubionego jej sokoła dwa orły rozdarły, a matka jej tlómaczy, iż niebezpieczeństwo grozi rycerzowi, którego kiedyś ukocha. W Żuławach zaś chował się królewicz Zygfryd, syn Zygmunta i Zygelindy, o którym już w młodości dziwne chodziły powieści. Skoro dorósł męskiego wieku, pasował go ojciec na rycerza razem z 400 rówieśnikami. Siedm dni trwała zabawa a wassale chcieli, by Zygfryd zasiadł na tronie, lecz młodzian nie chciał ność korony, jak długo jeszcze ojciec czerstwy i zdrowy. Gdy się dowiedział o urodzie Krymhildy, zapragnął jej

139. Posłowie to od księcia byli Liudgera
Z ziemi saskiej, możnego wielce bohatera,
Z nim Liudgast, król z Danii, ciągnął na te boje,
Wiodąc w swoim orszaku co najlepsze woje.
140. Z zapowiedzią wysłali posłów najezdniczy,
Co tę wieść do Guntera przynieśli stolicy;
A kiedy usłyszano słowa wojownicze,
Wnet ich na dwór przed króla stawiono oblicze.
141. Król zapytał uprzejmie: „Witajcież na dworze!
„A powiedzcie, kto taki przysłał o tej porze
„Was do mnie, bo mi wasi nieznani panowie?“
Mówił grzecznie, a przecież bali się posłowie,
142. I składali się, mówiąc: „Jeżeli raczycie
„Posłuchać, możny królu, snadnie się dowiecie:
„Liudger i Liudgast chcą przybyć tu zbrojno
„W kraje wasze i grożą, o królu, wam wojną.
143. „Ściągnęliście na siebie ich gniew, więc książęta
„Obaj pragną się pomścić; nienawiść zawzięta
„Wojną wam tu nad Renem grozi, a po temu
„Sił nie braknie im, słowu wiercie rycerskiemu.
144. „Za dwanaście tygodni mają począć wojnę.
„Więc przyjaznej drużyny zbierzcie hufce zbrojne
„Na obronę tej ziemi i grodów warownych,
„Bo pęknie dość puklerzy i hełmów hartownych.
145. „Ale jeśli układów chcecie, miasto boju,
„Książęta nie zamącą waszego spokoju
„I od wojny odstąpią, co zagraża szkodą
„I rycerzy niemało wtrąci w grób tak młodo.“
146. „Dozwólcie chwilę, zanim mą wolę obwieszczę,
Odpowie król łagodnie, „namyślę się jeszcze
„I o radę się wiernej zapytam drużyny,
„Bo zataić nie mogę tej przykrej nowiny.“

ręki, a mimo przedstawień rodziców wybrał się z małym orszakiem do Wormacyi. Siódmego dnia tam stanął nikomu nie znany, tylko dzielny Hagen go poznaje i czyny jego opowiada. Uprzejmie przyjęty podaje za cel swej wyprawy, iż chce walczyć z Gunterem, lecz łącznie przyjaźni z nim zawięra i przez rok w Wormacyi zostaje nie widząc jeszcze królowej.

P. T.

147. Zafrasował się Gunter tą wieścią nie mało,
Wzdy milczał, ale w duszy rozważał rzecz całą,
Słał gońce po Hagen i innych, by orzec
Przyszli, co czynić; słał też na Gernota dworzec.
148. Przybyli wnet do króla dostojni rycerze,
Co im wieść doniesiono, a król głos zabierze:
„Grozi wojna nam wielka, radcież na to, mili!“
A Gernot, rycerz dzielny, zawoła tej chwili:
149. „Wojna grozi? Toż mamy miecz jeszcze u boku —
„Nikt śmiercią bez boskiego nie padnie wyroku,
„Bać się, to tchórzów rzecz, z honoru drogi
„Strach próżny mnie nie strąci! Gdzież te nasze wrogi?
150. Ale Hagen do rzeczy nie brał się tak skoro:
„Liudger i Liudgast wielkie siły zbiorą,
„My wici nie roześlę po kraju tak snadnie,
„Zresztą, jeszcze Zygfyda zapytać wypadnie!“
151. Tymczasem posłom w mieście wskazano mieszkanie
A Gunter prosił, aby uprzejme staranie
Mieć o nich, choć to wrogi — (powinnością było
Posłów szanować), zanim obliczy się z siłą.
152. Król rozmyślał, co począć, a troska mu czoło
Ciężką chmurą zaległa. Wtem nadbiegł wesoło
Młody witez żuławski, nie słyszał nic jeszcze
I pytał króla, skąd te smutki w nim złowieszcze:
153. „Dziwo, że wy, mój królu, pierwszy do zabawy
„I wszelakiej ochoty, dla jakowejś sprawy
„Oblicze przysłoniłi czarną smutku szatą!“
A mądrze mu wytrawny rzecze Gunter na to:
154. „Toć nie mogę każdemu mówić, co mnie boli
„I dręczy, temu tylko zwierzać się w niedoli
„Mogę, co wiernym druham mi i sprzymierzeńcem.“
Zygfyd bladł, to znów twarz mu płonąła rumieńcem.
155. Wreszcie rzekł: „Jam ni razu nie zawiódł was przecie,
„Więc pomogę i teraz, gdy troska was gniecie.
„Potrzeba wam przyjaciół, liczcie na mnie śmiało,
„Pomogę wam z honorem zakończyć rzecz całą.“
156. — „Niech wam za dobre słowo zapłaci Bóg w niebie!
„A choćbyście mi pomódz nie mogli w potrzebie,

- „Dość mi, że takie chęci życzliwe żywicie,
„Da Bóg, kiedyś odwiedzczę się za to sowicie.
157. „A teraz wam opowiem, czemum niespokojny:
„Przybyli do mnie posły niosąc wieści wojny
„Od wrogów, co mi ziemię chcą zabrać i grody,
„Takich wieści jam nigdy nie odbierał wprzód.”
158. — „Nie ma się o co martwić,” cny Zygfyrd zawoła,
„Porzućcie troski wasze, spędźcie smutek z czoła,
„Ja wam i sławę zyskam stąd i korzyść mnogą,
„Sproście tylko rycerzy, niech nam dopomogą.
159. „Choćby wam zagrażało nieprzyjaciół więcej
„I choćby z sobą wiedli trzydzieści tysięcy,
„A ja tysiąc, nie pokpię sprawy, za to rękę!”
Na to Gunter zawoła: „Jakżeć się odwiedzczę?”
160. — „Zwołajcie tylko jaki tysiączek rycerzy,
„Bo ze mną-li dwunastu w stolicy tu leży,
„A bezpieczną wam będzie burgundzka granica.
„Usłuży w walce szczerze Zygfyda prawica.
161. „Niech Hagen nam i Ortwin w tej sprawie pomoże,
„Także Dankwart i Sindolt, co na twoim dworze,
„I Volker niechaj z nami na wojnę podąży,
„Pojedzie zuch ten przodem, jako nasz chorąży.
162. „A posłowie niech do dom wracają, co żywo
„I powiedzą, że stawim się im nie leniwo,
„O grody zaś nie troszczym się i o krainę!”
Więc król zaraz po krewnych słał i po drużynę.
163. Wnet się obcy posłowie stawili na dworze,
Każdy rad był, że cało do dom wracać może,
Jeszcze ich miłościwy król obdarzył hojnie
I dał glejty, by nazad wracali spokojnie.
164. „Odpowiedzcie,” rzekł Gunter, „tym, co was posłali,
„By raczej tej wyprawy na mnie zaniechali,
„Chcą zaś wojny koniecznie, staną hufce chobrze
„Druhów przy mnie; zaczepka nie wyjdzie na dobre.”
165. Bogate posłom dano po odprawie dary,
A miał ich w swoim skarbcu król Gunter bez miary;
Nie śmieli wzgardzić nimi Liudgera posły,
A na myśl o powrocie już serca w nich rosły.

166. Kiedy wreszcie do Danii poselstwo przybyło,
A Liudgast usłyszał, co się przydarzyło
Im nad Renem i z jakim powracają skutkiem,
Harda odpowiedź ciężkim przejęła go smutkiem.
167. Powiadali posłowie, że w burgundzkiej ziemi,
Rycerzy dzielnych siła, jeden między nimi,
Zygfryd z Żuław nad całą góruje drużyną.
Strapił się Liudgast srodze tą przykrą nowiną.
168. Więc, kiedy wysłuchano opowieści całej,
Nakazał król, by większe hufce się zebrały.
Miał dwadzieścia tysięcy wojaków wytrawnych
Powieść z sobą, rycerzy i dzielnych i sprawnych.
169. Liudger swoich Sasów zbierał co najwięcej,
Że mieli razem wojska czterdzieści tysięcy,
I już na kraj Burgundów wiedli hufce zbrojne,
Lecz i Gunter już wici rozesłał na wojnę.
170. Wezwał braci i krewnych z swoimi leuniki,
By na wojnę powiedli te orężne szyki,
I Hagen przybył z swymi, jako było trzeba.
Wiele się przez to zuchów przeniosło do nieba.
171. Więc na wojnę! A kiedy ruszyli pochodem,
Dzielny Volker przed wojskiem chorągiew niósł przodem.
Gdy się przez Ren miał orszak orężny przeprawiać,
Hagen z Tronje, mąż dzielny, musiał szyki sprawiać.
172. Ruszał też razem Sindolt i Hunolt na boje,
Chętnie za króla złoto nieśli służby swoje;
Był i Dankwart, Hagen a brat, był Ortwin śmiały,
Oni w każdej wyprawie dank zbiorą niemały.
173. „Wy zaś zostańcie doma, królu mój i panie,“
Rzecz Zygfryd, „boć za was dosyć mężów stanie
„I spokojnie komnaty pilnujcie niewieściej,
„Nie uronim wam ziemi, ni rycerskiej cześci.
174. „A tych zuchów, co wojnę grozili zuchwale,
„W domu zatrudnię, chęć ta odejdzie im wcale,
„Gdy ujrzą, że w ich ziemi nasze zuaki błysły;
„Wnet się w troskę zamienią ich harde zamysły.“
175. Więc z nad Renu przez heskie ruszyli rubieże
W kraje Sasów, a walki, zgliszcze i grabieże

- Znaczyły pochód wojska wszędzie; na te wieści
Obaj królowie ciężkiej doznali boleści.
176. Nad granicą pachołków téż sprawiono w szyki.
Więc pytał dzielny młodzian swoje wojownicy:
„Któryż będzie czeladzi pilnował na drodze?”
Nikt ziemi saskiej nigdy nie szkodził tak srodze.
177. „Niech Dankwart ich prowadzi,” odrzekli rycerze,
„Boć to rycerz odważny i sprawny w tej mierze.
„Mniej będą Liudgera hufce nam szkodziły,
„Niechże Dankwart z Ortwinem strzegą wojska tyły.“
178. Zygryd na to: „Więc ja znów pojadę na zwiady,
„Aby dostać języka lub trafić na ślady.
„Muszę wiedzieć, gdzie stoi Liudgera drużyna!“
Wnet też zbroja okryła Zygryda syna.
179. Zdał wojsko na Hageną pieczę i Gernota,
Co pierwszy, gdzie rycerska czeka go robota,
Sam na zwiady się w saską zapuścił ziemie.
Niejedną on dnia tego rozrąbał przyłbicę.
180. Ujrzał na polu wojska zastępy niezmierne,
Wobec nich nikły prawie hufce jego wierne,
Było tam ze czterdzieści tysięcy lub więcej;
Zygryd cieszył się, boju pragnął najgoręcej.
181. A ztamtąd też się rycerz wysunął na czaty
W pełnej zbroi rycerskiej, w piękne odzian szaty.
Widział go Zygryd — tamten spostrzegł go niebawem:
Każdy na wroga okiem spoglądał ciekawem.
182. A wiecie, kto tę służbę pełnił bez wytchnienia?
Złoty puklerz błyszczący spływał mu z ramienia —
Liudgast to sam warty jął się nie leniwo,
A już nań dzielny Zygryd pomykał co żywo.
183. I Liudgast też cwałem puścił się na wroga,
Bodła konia do biegu żelazna ostroga,
A kopie na tarcze godzą całą siłą.
Ztąd królowi strapienia niemało przybyło.
184. Po pchnięciu niesły dalej zapaśników konie,
Jakby wichur gwałtowny, co szumi przez błonie,
Aż je znów po rycersku wędzidłem zwrócili
I z pochwę teraz miecze na siebie dobyli.

185. Więc Zygfryd ciął po hełmie wroga z taką siłą,
Że aż pole od ciosu wkoło zadudniło,
A iskry się z szyszaka sypnęły lśniącego,
Niby z główki ognistej. Trafił swój na swego!
186. Liudgast też niejedno zadał silne cięcie,
Każdy w tarcz przeciwnika uderzał zawzięcie.
Już mu z obozu w pomoc trzydziestu pomyka,
Zanim przybyli, Zygfryd pobił przeciwnika.
187. Bo takie zadał ciężkie królowi trzy rany,
Przez zbroję, choć był cały w żelazo odziany,
Że miecz po cięciu z rany wyniósł krwawe znaki,
Więc Liudgasta spotkał smutny koniec taki.
188. Błagał o życie, kraj mu cały w okup składał,
I że królem jest w Danii, zwycięzcy powiadał,
Aż przybyli rycerze, co widzieli z dala,
Jak im króla na czatach ten rycerz obala.
189. Zygfryd chciał uprowadzić jeńca, lecz drużyna,
Co z obozu nadbiegła, godzić nań pocyna,
Ale bułał Zygfrйда gęsto na nich padał.
Potem im więcej szkody ten bohater zadał.
190. Wkrótce owych trzydziestu padło z jego dłoni,
Li jeden umknął z życiem, ten uszedł pogoni
I przyniósł do obozu wieść o tej przegranej.
Że prawdę mówił, świadczył szyszak krwią zbryzgany.
191. A kiedy po obozie gruchnęła nowina,
Że król jeńcem, strapiła ciężko się drużyna,
Liudger szalał z gniewu, gdy go doszły wieści
O nieszczęściu, bo ciężkiej doznał ztąd boleści.
192. Tymczasem do obozu powiódł Zygfryd śmiały
Jeńca, kędy burgundzkie szyki go czekały,
I oddał w straż Hagena. Gdy wojsko słyszało,
Kto tym jeńcem, radości ztąd było niemało.
193. A już Zygfryd rozkazał chorągiew przytroczyć
I wołał: „Trzeba więcej krwi jeszcze utoczyć,
„Nim zgaśnie słońce, chybabym postradał życie!
„Będą saskie kobiety łyzy łały obficie!
194. „Wy za mną w ślad, Burgundy, uchwycie oręż,
„Pokażę wam, gdzie stoją Liudgera męże.

- „Ujrzycie, jak od ciosu pryśnie hełmów wiele,
„Pamiętkę dobrą będą mieć nieprzyjaciele.“
195. Już Gernot na koń siadał, a z nim wierna rzesza,
A dzielny grajek Volker uchwycić pospiesza
Swą chorągiew i staje z nią na wojska czele,
Za nim czeladź do walki szykuje się śmieie.
196. A było ich nie więcej jak tysiąc wojaków
I dwunastu rycerzy — a kurz się ze szlaków
Wzbił w górę, gdy przez saską jechali ziemię,
Jasno w słońcu błyszcząły hartowne przyłbice.
197. Lecz już się przybliżały do nich saskie szyki,
Ostre miecze dzierżyli w ręku wojownicy
A władali też niemi walecznie w zawody,
Dziś mieli bronić w walce swe ziemie i grody.
198. Przodem szli ci, co mieli nad wojskami sprawę,
Już przybył Zygfryd z swymi, co z nim na wyprawę
Z żuławskiej się ochotnie puścili dzielnicy,
W tej walce krwi przelali wiele wojownicy.
199. Sindolt i Hunolt dzielny pospołu z Gernotem
Wielu mężnych rycerzy usłali pokotem,
Zanim jeszcze okazać mogli swoje męstwo.
Ileż niewiast opłakać miało to zwycięstwo.
200. Volker zaś, grajek dzielny, i Hagen z siostrzanem
Walczyli także z męstwem niepohamowanym.
Za ich sprawą niejeden szyszak krwią opływał.
Dankwart téż cudów męstwa w boju dokazywał.
201. Lecz i duńscy rycerze nie skąpili ręki,
Za każdym pchnięciem tarcze w głośnie brzmiały dźwięki,
A jak gromy na karki padały oręże;
Niem mało także szkody nieśli sascy męże.
202. Już i burgundzkie hufce w walkę się wmięszały,
Wnet się miecze ich ostre krwią wrogów zmywały,
I po siodłach spływała posoka strumieniem.
Każdy chciał w boju sławy dobić się ramieniem.
203. Ale rozgłośnym chrzęstem zabrzmiały puklerze,
Gdy natarli mieczami Zygfryda rycerze,
Za jego śladem wrogom wsiadając na karki,
Bo w swego pana tropy lot ich poniósł szparki.

204. Z dzielnej burgundzkiej rzeszy żaden im nie sprostał,
Kędy przebiegli, tylko potok krwi pozostał,
Co ją przelewał Zygfyrd, tnąc wrogów szyszaki
Aż znalazł Liudgera ze swymi junaki.
205. Już raz trzeci przez wojska szyki się przedziera,
Aż Hagen przez zastępy w pomoc się przebiera
Ku niemu i wnet pędem uderzyli razem,
Niejeden zginął rycerz, cięty ich żelazem.
206. Gdy spostrzegł król Liudger, co się z wojskiem dzieje,
Jak ostry miecz Zygfylda wszędzie zgubę sieje,
Że padają, jak wiatru zdmuchnięci powiewem,
Wstrząsł się cały i z bólu strasznym zawrzał gniewem.
207. Gdy natarł na się wzajem przyboczny huf gęsty,
Powstał zamęt, ścisk, hałas, rozległy się chrzęsty,
Wodzowie, jak o lepsze, ślali trupem wrogi,
Cofnęła się drużyna, bój nie ustał srogi.
208. Wiedział już Sasów książę, że Liudgast wzięty
Jeńcem, więc pomsty żądał gniew jego zawzięty,
Wiedział też, że Zygfylda ręki to robota,
Choć inni posądzali o ten czyn Gernota.
209. Więc rąbał, co sił stało; od miecza zamachu
Ugiął się koń Zygfylda i potknął z przestachu.
Lecz gdy się rumak podniósł, już witeź bez trwogi
Walczył znowu, a w walce był straszny i srogi.
210. A pomagał mu Hagen i Gernot niemało,
Dankwart także i Volker, więc trupem leżało
Mężów siła, a Sindolt i Hunolt z Ortwinem
Téż się niejednym chrobrym odznaczyli czynem.
211. Zawsze razem się w boju trzymali junaki,
A co raz to wyleci oszczep nad szyszaki
Z ich ręki i przebija jaką tarczę lśniąca,
Że się zaraz zabarwi krwią z rany płynącą.
212. I co chwila się z konia jaki rycerz zwali
Trupem. Aż znowu w walce z sobą się spotkali
Mężny Zygfyrd i Sasów król, Liudger śmiały.
Wnet kopie i ostre oszczepy świstały.
213. Aż od Zygfylda pchnięcia pękła przeciwnika
Tarcza, pewny zwycięstwa młodzieniec pomyka,

- A dzielnych Sasów wiele srodze rannych jęczy.
Ileż tam Dankwart naciął w pancerzach obręczy.
214. W tem dostrzegł król Liudger na tarczy koronę,
Zygryda godło, zaczem zaniechał obronę,
Wiedział, że ten da rady wytężeniom wszelkim.
Więc jął na swych przyjaciół wołać głosem wielkim:
215. „Zaniechajcie już walki i wy i drużyna.
„Oto Zygmunutowego obaczyłem syna,
„Zygryda, co w swej sile wielkiej znalazł chlubę,
„Bies go chyba przekłety przyniósł nam na zgubę!“
216. Kazał skłonić chorągwie i zaprzestać boju
I prosił, by zwycięzca nie wzbraniał pokoju.
Otrzymał go, lecz jeńcem miał pójść przed Guntera,
Zgromiła go Zygryda ręka, bohatera.
217. Zaczem wszyscy przystali, by zaniechać wojny,
Dziurawe hełmy, tarcze i czem kto był zbrojny,
Musieli złożyć, każda zbroja była krwawą,
Po każdej krew pociekła za Burgundów sprawą.
218. Każdy z pobitych jeńca do woli wybierał,
A Gernot zaś z Hagenem usilnie dozierał,
Aby rannych na nosze złożono, prócz tego
Pięćset rycerzy wiedli w plon do kraju swego.
219. Duńscy rycerze z ciężką wracali boleścią,
Toż i Sasi w tej walce nie taką się cześcią
Okryli, by się było czem poszczycić w domu,
Płakali i poległych i własnego sromu.
220. Zdobytą broń zabrano do burgundzkiej ziemi.
Dzielnie wojnę zakończył cny Zygryd ze swymi
Wojakami i sławy dobił się niemałej,
Że przyznać mu to musiał Guntera huf cały.
221. Gernot mężny słał przodem do Wormacyi posły,
By się prędzej do kraju te wieści doniosły,
Jak szczęśliwie z wojennej wracają wyprawy
Ile w boju zyskali i cześci i sławy.
222. Biegli przodem posłowie i przynieśli wieści.
Wnet radość szczerą miejsce zajęła boleści,
Wesołą się nowiną każdy cieszył szczerze,
Z niewiast każda też posłów wnet na pytki bierze.

223. Jak się ma i ten i ów i drużyna cała?
I Krymhilda jednego do siebie wezwała
Tajemnie, bo się głośno trudno pytać było.
Dla jednego z drużyny serduszek jej biło.
224. Zaledwie wszedł wezwany poseł do świetlicy,
Uprzejmie słyszał słowa prześlicznej dziewicy:
„Mów mi wszystko, a złotem nagrodzę cię hojnie
„I łaską mą, gdy wiernie opowiesz o wojnie.
225. „Jak się ma Gernot? inni? kto nam w boju zginął?
„Kto najdzielniejszym czynem nad innych zasłynął?
„Opowiedz mi!“ A poseł zaraz się odzywa:
„Tchórza wśród nas nie było, pani miłościwa.
226. „Ale w harcach rycerskich i gdzie bój wrzał srogi
„Nie zebrał nikt tej chwały, mogę rzec bez trwogi,
„Co gość on, co tu przybył z Żuławskiej krainy
„Dzielny Zygfryd cudowne prawie zdziałał czyny.
227. „A chociaż po dawnemu byli dzielnie czynni
„W boju Dankwart i Hagen, i rycerze inni
„I chociaż czci rycerskiej zyskali nie mało,
„Wszystkich przyemił w tej walce Zygmuntowie chwałą;
228. „I tamci trupa dosyć przed sobą nasłali,
„Ale nikt nie wypowie, co ostrzem swej stali
„Dokazał mężny Zygfryd, kiedy wpadł na wroga.
„Niejedna to opłakać musiała nieboga,
229. „Niejedna łzy serdeczne lała po kochanku,
„Bo ostry miecz Zygfryda padał bez ustanku
„Na hełmy, a za każdym ciosem krew bryznęła,
„Boć to mąż rycerskiego dobrze świadom dzieła.
230. „A i pan Ortwin z Metzu popisał się dzielnie.
„Kogo dopadł miecz jego, to albo śmiertelnie
„Ranny został lub zaraz trupem się powalił.
„I wasz brat miłościwy swą sławę utrwalił,
231. „Bo straszne szkody zrządził w nieprzyjaciół sztykach.
„Już tam o wszystkich trzeba wyznać wojownikach,
„Że dzielni Burgundowie tak się popisali,
„Iż swoją cześć rycerską chlubnie utrzymali.
232. „Wielu rycerzy z siodła wypadło z ich ręki,
„Gdy głośne się ich mieczów rozlegały szczęki,

- „Tak dzielnie wojowali nadreńscy rycerze,
 „Że wrogi by zaniechać walki radzi szczerze.
233. „I Hagen lennicy wyrządzili szkody
 „Wiele, gdy się te wojska puściły w zawody.
 „Padło siła rycerzy za Hageną sprawą,
 „Za to pieśni burgundzkie okryją go sławą.
234. „Także Sindolt i Hunolt z Gernota drużyny
 „I Rumolt się chrobrymi odznaczyli czyny.
 „Poznał Liudger późno, że ciężko przypłaci
 „Za to, iż się zuchwale porwał na twych braci.
235. „Ale z wszystkich wojaków najdzielniej się sprawił
 „Mężny Zygfryd; on takie czyny nam objawił,
 „Jakich nikt tu nie widział, ni przedtem, ni potem,
 „Wiedzie jeńców, co hojnie wykupią się złotem.
236. „A nabrał ich nie mało, wojak ten wślawiony.
 „Król Liudgast potężnie przez niego zgromiony
 „I Liudger, brat jego, co Sasami władał,
 „Słuchaj, pani, coć jeszcze będę opowiadał.
237. „Do niewoli ich wzięła Zygfryda prawica;
 „A nigdy takich jeńców nasza okolica
 „Nie widziała, jak teraz nad Ren on prowadzi.“
 Królowa żadnej wieści nie słuchała radziej,
238. A poseł mówił: „Wziętych pięciuset rycerzy
 „Z okładem, zaś na noszach krwią oblanych leży
 „Rannych siła; tych noszów z ośmdziesiąt wloką.
 „Miecz Zygfryda ich własną tak oblał posoką. —
239. „Zuchwalce, co niedawno nam wyzwanie harde
 „Śłali, dzisiaj w niewoli zgięli karki twarde.
 „Przywiodą ich niebawem wojska do stolicy!“
 Na tę wieść pokraśniało oblicze dziewicy
240. I prześliczna twarzyczka zakwitła różowo,
 Bo z ciężkich tych zapasów walki wyszedł zdrowo
 Dzielny Zygfryd, on junak nad wszystkie junaki.
 I dzielnie się sprawili w boju jej krewniaki.
241. Węc rzecz urodziwa dziewczka: „Za te słowa
 „Nagrodą niech ci będzie ta szata godowa
 „I dziesięć grzywien złota zanosząc odemnie.“
 Takim paniom wieść dobrą powiedzieć przyjemnie.

242. Wziął nagrodę i złoto i bogate szaty,
A dziewczęta już w oknach stawały komnaty
I patrzyły na drogę, tam mężni rycerze
Spieszą, wojnę skończywszy w ojczyste rubieże.
243. Przodem zdrowi, za nimi szli ranni do domu,
Każdy z nich mógł się z druhem przywitać bez sromu.
Król pospieszył wesoło powitać swych gości,
Bo smutek teraz miejsca ustąpił radości.
244. Pozdrowił swych rycerzy i obcych układnie;
Godziło się królowi potężnemu snadnie
Podziękować uprzejmie rycerzom po wojnie,
Że mu sławy zwycięstwa przysporzyli hojnie.
245. Pytał Gunter o losy druhów i wyprawy,
Kogo mu śmierć zabrała wśród wojennej sprawy.
Stracił w walce ogółem sześćdziesiąt rycerzy.
Żal było, lecz ukoi się każdy żal świeży.
246. Wojacy wieźli z sobą puklerze pocięte,
Ciągnąc z wojny do domu, i hełmy pęknięte.
Przed pałacem królewskim wszyscy z koni zsiadli,
Przy przyjęciu radosne rozhowory wiedli.
247. Wnet rozdano rycerzom po mieście gospody,
Król kazał, by im żadnej nie szczędzić wygody,
Ranni mieli opiekę i staranność wszelką,
Bo król i wrogów łaską swą otoczył wielką.
248. Do Liudgasta rzecze: „Witajcie w mej ziemi!
„Zrządziliście mi szkody rękami waszemi
„Wiele, lecz powetuję straty me tej chwili,
„Dzięki druhom, co dobrze mi się zasłużyli!“
249. — „Podziękujcie im szczerze“, Liudger odpowie,
„Takich jeńców nie prędko dostaną królowie. —
„Za uczciwe przyjęcie okup złożym suty,
„Że pobitym zwycięskiej nie dasz uczuć buty.“
250. Król odrzekł: „Wam zostawiam wolność całkowicie,
„Lecz by jeńcy mi z kraju nie umknęli skrycie
„Bez mego pozwolenia, chciałbym mieć porękę.“
Więc Liudger ochoczo dał królowi rękę.
251. Zaraz też dano królom gospody swobodne,
Ranni także znaleźli pościele wygodne,

- Zdrowych winem i miodem uraczono hojnie,
Że pocieszyć się mogli po trudzącej wojnie.
252. Uszkodzone puklerze wnieśli do komory
I siodła pokrwawione, — był ich poczet spory, —
By niewiastom usunąć widok opłakany.
Niejeden rycerz przybył trudami znękanym,
253. Król wszystkich podejmował ochoczo i szczerze,
Snuli się gęsto swoi i obcy rycerze,
Ciężko rannym nie brakło opieki starannej.
Rad był król, że się pozbył troski nieustannej.
254. Kto się znał na lekarskiej sztuce, ten bogate
Dostał dary i srebra, złota dość w zapłatę
Swych trudów, by wyleczyć rycerzy schorzałych.
Król swym gościom nie szczędził podarków wspaniałych.
255. Nie jeden do ojczystej chciał już wracać włości,
Król wstrzymywał, uprzejmej pełen gościnności.
Wdzięczen był za ich trudy, radził się krewniaków,
Jak godnie wynagrodzić swych dzielnych wojaków.
256. Gernot taką dał radę: „Niechaj do dom jadą!
„Za sześć niedziel zaś uczcij zwycięstwo biesiadą —
„I by na dwór przybyli, poszlij wieści chyże.
„Tymczasem się niejeden z ciężkich ran wyliże.“
257. Chciał i Zygfryd w ojczyste już powracać strony,
Lecz Gunter o zamiarze wczas powiadomiony,
Uprzejmie prosił, aby pozostał w stolicy.
Więc Zygfryd gwoli lubej wstrzymał się dziewicy.
258. Trudno było możnego płacić królewica
Za usługi; przyjaźnią sam król go zaszczyca
I królewska rodzina, bo wiadomem było
Jakich czynów on w boju dokazał swą siłą.
259. Jedynie dla królewnej swój wyjazd odwlekał,
Bo myślał, że ją ujrzy; wreszcie się doczekał
Spełnienia swoich życzeń i poznał dziewicę.
Potem wrócił wesoło w Zygmunta dzielnicę.
260. Na dworze nie brak było rycerskiej zabawy,
Popisać się niejeden pragnął rycerz prawy.
Król tymczasem pod miastem sposobić gospody
Kazał dla tych, co mieli przyjechać na gody.

261. A kiedy przybyć mieli sproszeni nareszcie,
Dostała się wieść o tem w komnaty niewieście.
Usłyszała Krymhilda o bliskiej zabawie,
Więc kobiety się jęły bez spoczynku prawie
262. Do roboty, by wstęgi gotować i stroje.
I na pani Uoty zabiegła pokoje
Wieść o godach, że obcych siła zjedzie gości.
Więc wyjęto ze skrzyni mnogie kosztowności.
- 263 ¹⁾. Kazała piękne szaty zdobić złotem hojnie,
By niewiasty i panny swe odziać przystojnie,
Drogie szaty dostała też rycerska młodzież,
A dla gości wspaniałą przyrządzano odzież.

¹⁾ Nra strof podane podług K. Lachmanna. Podług Bartscha
zawsze o 1 więcej.

KONIEC PIEŚNI DRUGIEJ.

URSZULA OCHMISTRZYNI

ŁABĘDZIANKA

i jej korespondencya polska z Piotrem Gembickim w r. 1627

przez

Dra Władysława Wisłockiego.

W dziwnem zaiste świetle, dzięki różnym okolicznościom, stanęła w oczach dzisiejszej potomności panna Urszula, Niemka z rodu, dworzanka królowej Anny Rakuszanki, pierwszej żony Zygmunta III i matki Władysława IV, z którą w roku 1592 przybyła do Polski, po jej śmierci zaś ochmistrzyni dworska i poufnica młodszej jej siostry Konstancyi, drugiej żony Zygmunta III, wielka dobrodziejka zakonów i zażywająca prze-ważnego wpływu i znaczenia na dworze królewskim. Jak się właściwie po ojcu z urodzenia nazywać mogła, nie jest do-tychczas wiadomo, ale to pewna, że nazwa jej „Mejerin“, pod jaką znana jest w historii, i jak się nawet sama przy końcu życia nazywała, urosła tylko przypadkowo, właśnie od jej urzędu dworskiego. Ochmistrzyni bowiem, czem na dworze przez długie lata była, znaczy w języku niemieckim „Meie-rin“ ¹⁾, tak też widocznie nazywało ją otoczenie niemieckie

¹⁾ Zedler's Universal-Lexicon, XX 1501: „Meyerin oder May-erin, Hofmeyerin = Hofmeysterin“. — Adelung, Wörterbuch

królowej Konstancyi: „Fräulein Meierin“, tyle co „Fräulein Hofmeisterin“, polska zaś służba na dworze, a za nią inne osoby, panną „Mejerin“, zamiast panną „ochmistrząnią“. Poszło też za tem z czasem, że nazwa „Mejerin“ przy niej już została, i że sama jej w rozmowie i piśmie używała później, zwłaszcza, że w rzeczy samej taką „Mejerin“ tylko czyli ochmistrząnią na dworze była.

Bądź jak bądź jednak, dla swego wpływu niezwykłego i wielkiego znaczenia na dworze królewskim, ściągnęła ona w naszych czasach na siebie różnego rodzaju gniewy, po większej części niesłuszne i przesadzone, a nawet sprzeczne z współczesnemi źródłami historycznemi. Kto może, bije dzisiaj na tę „Niemkę“, nieoglądając się wcale za podstawami racjonalnemi do czynionych jej ciężkich zarzutów, hańbiących jej pamięć.

Pierwszy, o ile wiadomo, wystąpił przeciw niej w roku 1828 Franciszek Siarczyński w Obrazie panowania Zygmunta III, robiwszy z niej ¹⁾, czem nigdy nie była, jakąś pannę „Meyer“ i założycielkę klasztoru Karmelitanek w Warszawie, czego także historia nie potwierdza, gdyż Urszula świadczyła wprawdzie wiele Karmelitankom warszawskim, ale ich fundatorką nigdy nie była ²⁾. Co gorsza jednakowoż, w szkicu liczącym zaledwie kilkadziesiąt wierszy, zrobił z niej Siarczyński w dodatku, niemając do tego także żadnej podstawy, kochankę Władysława IV. „Zachodziły jakoweś — powiada on — między nią a Władysławem królewiczem miłostki, do których pośrednictwem pomagali Kazanowscy; gdy królewicz był w obozie, przez nich przesyłał i odbierał liściki“. Zacny ale nieogłębny autor nie spostrzegł się widocznie, że panna Urszula już w chwili narodzin Władysława, dnia 9 czerwca r. 1595, liczyć musiała co najmniej dwadzieścia i kilka lat, i że nie zgadza się to po prostu ze zdrowym rozumem ludzkim, ażeby

der hochdeutschen Mundart, III 447: „Meierinn, ein sehr altes Wort, welches überhaupt eine Person bedeutet, welche mehr als andere ist, anderen Personen ihrer Art, oder auch wohl einer Sache vorgesetzt ist“.

¹⁾ Część I, str. 312 i n.

²⁾ Alleluja, rocznik 1843, str. 72.

młody królewicz mógł się być rozkochać w podeszłej matronie, o kilkadziesiąt lat starszej od siebie.

Na lep wszakże, podstawiony niebacznie przez autora Obrazu panowania Zygmunta III, poszli niebawem inni powieściopisarze. Dominik Magnuszewski wprowadził r. 1838 naszą ochmistrzynią jako bohaterkę do nieudolnej bardzo i niesmacznej powieści, której dał napis: *Zemsta panny Urszuli* ¹⁾; w ślad zaś za nim ułożył o niej pełen efektu „dramat historyczny z dziejów narodowych wierszem“ Konstanty Majeranowski, p. t. *Urszula Mejerin*, przedstawiony na scenie krakowskiej dnia 2 lutego r. 1846, w którym „młoda“ panna Urszula, co jest prostem urojeniem, trawiona żądzą wyniesienia się, oddala wszelkie rywalki od Władysława, w tem mniemaniu, że przyszedł król polski kiedyś ją poślubi. Spokłakała też za to Majeranowskiego zaraz w r. 1846 krótka ale zasłużona odprawa w *Gazecie W. księstwa poznańskiego* ²⁾, i nic mu nie pomógł długi i bardzo pochlebny rozbiór jego dramatu „historycznego“, umieszczony r. 1847 w *Bibliotece Ossolińskich* ³⁾ przez Hilarego Meciszewskiego. Dramat *Urszula Mejerin*, choć się mógł wydawać niezłe na deskach teatralnych, zwłaszcza na przedstawieniach niedzielnych przy dobranej publiczności, musiał jako płód poroniony i zbiór sprzeczności i fałszów historycznych pozostać w ukryciu w rękopisie, i nie ujrzał dotychczas światła dziennego.

Daleko gorzej postąpił sobie z przerobioną przez Siarczyńskiego na pannę „Meyer“ ochmistrzynią, uczony literat warszawski, Walery Przyborowski, na samym początku w umieszczonych przed kilku tygodniami w jednym z pism warszawskich ⁴⁾, jak je nazwał „*Szkicach historycznych*“, pod poważnym tytułem: *Cudzoziemcy w Warszawie w XVII i XVIII wieku*. „*Panna Urszula Meyer* — powiada autor — *Meyeriną* zwana była starym niemieckim obyczajem, co niby na polskie znaczy Meyerówna; kobieta to była wpływowa, trzęsąca dworem polskim a z czasem i *Rzeczpospolitą*“. Dowodu na to,

¹⁾ *Prace literackie*, tom I. Wiedeń, str. 3—102.

²⁾ *Ner* 37 z dnia 13 lutego, przez W. K.

³⁾ Tom II, str. 50—83, 175—198 i 284—320.

⁴⁾ *Niwa* z dnia 15 sierpnia 1877, str. 304 i nn.

żeby w rzeczy samej zatrzęsła była kiedykolwiek Rzeczpospolitą, nie dostarczył wprawdzie, ale potworzył natomiast o niej różne inne piękne powiastki, że „była podobno bardzo piękna“ i t. p., o czym na nieszczęście źródła współczesne zupełnie milczą. „Są więc ślady — pisze dalej — acz niepełne, że nieme szwedzkie dyablę nie było obojętne na jej wdzięki, umizgał się do niej Zygmunt III, a ona też zapewne nie była zbyt srogą“. Z kochanki tedy syna awansowała panna Urszula, ni ztąd ni zowąd, na miłośnicę ojca, jakoż autor zapewnia w dalszym ciągu, że „była to niby metresa królewska, niby nie, istna królowa bez dyadem i korony“. Gorszy go też bardzo, że z królewiczem Władysławem korespondowała w języku „niemieckim“, choć to całkiem naturalna, że nauczycielka z uczniem swoim, któremu przed laty udzielała nauki języka niemieckiego, utrzymywała później korespondencyą niemiecką. Ale już na prawdę przejmuje go oburzeniem stworzona także przez Siarczyńskiego bajka, jakoby „papież Urban VIII przysłał był jej w darze różę złotą wraz z listem i błogosławieństwo swoje“. Żadne doniesienie współczesne nie wspomina o takim fakcie, ale autor nasz bierze tę powiastkę za dobrą monetę, i woła z goryczą: „Jakież to dziwne widowisko“!

Zaprawdę, trudno nawet w pierwszej chwili pojąć, jakim sposobem tyloletnia ochmistrzyni dworu Zygmunta III, której nawet właściwe nazwisko nie przeszło do potomności, mogła ściągnąć na siebie tego rodzaju gniewy i oskarżenia, jeżeli tylko tem mianem, a nie innem, robione jej zarzuty nazwać się godzi. Choć jednakowoż trudna do pojęcia, daje się okoliczność ta mimo wszystko łatwo wytłómaczyć:

Przyczyną wszelkich na pannę Urszulę ciskanych zarzutów, po części wymarzonych, w części zaś niesłusznych i przesadzonych, stała się mała językowa niedokładność, po prostu nie dosyć poprawne wydanie ogłoszonych w przekładzie polskim r. 1839 Pamiętników Albrychta Stanisława Radziwiłła ¹⁾. Posłuchajmy zatem, co w wydaniu tem kanclerz W. litewski pisze o naszej ochmistrzyni, i z czego właśnie pisarze nasi ²⁾

¹⁾ W Poznaniu, w dwóch tomach w 8ce.

²⁾ Siarczyński znał Pamiętniki Radziwiłła w rękopisie.

czerpią wątek do swoich oskarżeń, uzupełniając resztę własną fantazją. Opisując więc ostatnie dni króla Zygmunta III, zmarłego, jak wiadomo, w piątek dnia 30 kwietnia r. 1632, przy czem aż do ostatniej chwili zachował był zupełną przytomność umysłu, tak opowiada Radziwiłł ¹⁾ okoliczności, towarzyszące chorobie jego na trzy dni przed śmiercią:

„A tu nazajutrz, 27 kwietnia ²⁾ bardzo rano, przybiega *poślaniec od Piotrowskiego*, pokojowego panny Urszuli, dając znać, iż król kona. Przybiegam ja do zamku, zgromadzonych tam senatorów znajduję, aż powiadają: ostatnie pomazanie król bierze, przeto proszą, abyśmy zaczekali. Wysyłają też po królewicza Władysława, najstarszego syna, który był wyjechał za dziewięć mil na łowy, aby się pospieszył. Około godziny 9 przypuszczono nas do króla. Patrzymy żałośni na smutny widok, widzimy króla bez mowy, z wargami od paraliżu skrzywionemi, z okiem prawem odjętem, na łóżku bez poruszenia leżącego. Wtem panna Urszula poczęła do nas mówić, zalecając nam potomstwo królewskie, przypominając każdemu z nas świadczone nam dobrodziejstwa od króla przez lat 44 z górą panowania swego; przekładała nam przed oczy, iż zasłużył król na tę wdzięczność w Rzeczypospolitej, abyśmy pamięć jego w zostawionem potomstwie konserwowali. Na te słowa panny Urszuli, król odrętwiała ręką z wielką trudnością czapeczkę swoją jedwabną zdjął, albo raczej rzucił z głowy, i lubo panna Urszula kilka razy chciała na głowę ją włożyć, król żadną miarą nie dopuścił, aż mowę do nas skończyła, i natenczas król ją sam włożył przy pomocy panny. Słuch dobry miał aż do śmierci, słysząc nawet, co zdaleka mówili, znakiem rąk wolę swoją wyrażając. Gdy się więcej senatorów zeszło, panna Urszula wolę królewską przełożyła, iż podskarbstwo W. koronne król Janowi Daniłowiczowi, natenczas podskarbiemu nadwornemu, konferuje, na co kanclerz koronny, Jakub Zadzik ³⁾, mąż wielkiej nauki i wymowy, pyta się króla: czy konferuje podskarbiemu nadwornemu podskarbstwo W. koronne? Król rękę podniosłszy, chciał wymówić po polsku:

¹⁾ Tom I, str. 8—9.

²⁾ We wtorek.

³⁾ Biskup chełmiński.

tak jest, lecz tylko głos wydał. Znowu panna Urszula opowiada, iż podskarbstwo nadworne król oddał Jerzemu Ossolińskiemu. Ksiądz kanclerz pyta się króla: jeżeliby taka wola jego była i prosi o znak; król głośno ale *nierzetelnie* odpowiedział po polsku: daję. Znowu kanclerz się pyta: jeżeli mają obadwaj przysiąc zaraz przy łóżku królewskim? Zezwolił król, oburącz znak dając, i wnet obydwaj jurament wykonali przy łóżku króla, który się zdał pilnie słuchać tej przysięgi. Ta ceremonia niemal nam wszystkim lży z oczu wycisnęła, patrzącym na pana tak pobożnego i tak łaskawego, w tym stanie zostającego“.

Jest to też główne miejsce w Pamiętnikach kanclerza litewskiego, na którym oskarżyciele ochmistrzyni starają się oprzeć swoje zarzuty. Pomijam tu jednakowoż na razie całą niedokładność w samem opowiadaniu Radziwiłła, który, jak to przy końcu usłyszymy, spisując widocznie w późniejszym wieku ¹⁾ wspomnienia lat młodszych, nie wszystkie szczegóły ostatnich dni Zygmunta III należycie zanotował, i przystępując do krótkiego wyjaśnienia ustępów w relacji jego, tak srodcie dzisiaj wyzyskiwanych na niekorzyść naszej ochmistrzyni, która w chwili zgonu pierwszego z Wazów poważyła się wystąpić „z powagą kanclerską“, o co ją właśnie obwiniają.

„Szpetny to i wstrętny fakt — zaręcza więc autor Szkieł historycznych — ile że panna Urszula grała tu komedią, jako służka Jezuitów“, i po swojemu podsuwa Radziwiłłowi, czego w nim niema. „Oto na dniu 27 kwietnia — pisze dalej — gdy król paraliżem ruszony, konać począł, *panna Urszula wezwała* przez pokojowego swego, Piotrowskiego, znajdujących się w Warszawie *senatorów* na zamek“. Tego przecież Radziwiłł nigdzie nie powiedział, i owszem wspomniał tylko, że to jego samego, nie zaś innych senatorów, i to nawet nie ochmistrzyni Urszula, lecz „posłaniec od Piotrowskiego pokojowego“ uwiadomił o konaniu króla. Obecność też przy śmiertelnem łożu królewskim kanclerza W. koronnego, Jakuba Zadziką, uprawniać może tylko do przyjęcia za pewne że to on, kanclerz koronny, zawezwał senat do króla, a nie ochmistrzyni.

¹⁾ Umarł dopiero r. 1656.

Toż i inne wyrazy w powyższem sprawozdaniu z dnia 27 kwietnia 1632 r. dały Waleremu Przyborowskiemu pochop, do wystawienia w rażącym świetle „komedyi“, jaką podług niego „z powagą kanclerską“ odegrać miała panna ochmistrzyni „Więc znowu — powtarza niby za kanclerzem litewskim — panna Urszula opowiada, iż podskarbstwo nadworne król oddał Jerzemu Ossolińskiemu; znowu ksiądz kanclerz pyta, czy taka jego jest wola, król też znów coś *nierzetelnie mruknął*“. Tymczasem, jak wiadomo, zostały Pamiętniki Albrychta Stanisława Radziwiłła wydane w przekładzie nieco skróconym i nie bardzo poprawnym, a wyraz „nierzetelnie“, o który się tu rozchodzić może, brzmi w tem miejscu podług tłumaczenia poprawniejszego, które umieścił J. U. Niemcewicz r. 1836 w Dziejach panowania Zygmunta III, wcale inaczej ¹⁾: „Znów panna Urszula odezwała się, iż król Jego Mość podskarbstwo nadworne daje Jerzemu Ossolińskiemu, podstolemu koronnemu, a na zapytanie kanclerza, czy taka była wola królewska, król znów dał znak ręką, i *dosyć wyraźnie* powiedział: daje“.

Ani nie myślała zresztą o tem, w r. 1632 dobrze już zgrzybiała matrona, ani nie zamierzała wcale, ażeby w chwili tak smutnej występować z „powagą kanclerską“, a jeżeli w rzeczy samej przemówiła do zgromadzonych senatorów w sposób, jak to Radziwiłł przytacza, w co jednak (o czem na końcu) wątpić należy, to mogła w tym wypadku rzeczywiście pełnić tylko ostatnią wolę królewską, niepotrzebując bynajmniej grać „komedyi“. Gwałtowna też i niespodziewana słabość Zygmunta III, od dnia 12 lipca r. 1631 wdowca po ukochanej przez siebie bardzo Konstancyi, zmarłej prawie nagle w 43cim roku życia, wkładała na nią, jako na tyloletnią ochmistrzynią dworu, inne obowiązki. Jakoż zapewnia ten sam kanclerz litewski w swoich Pamiętnikach ²⁾: „Nikt atoli większego politowania nie wzbudzał, jak panna Urszula: ta przez wszystek czas słabości królewskiej, nad płęć swoją okazała statek i siłę; bez pokarmu, napoju i snu, nieodstępna króla, gdy wskrósł dręczona była żalem, nie uroniła łyzy jednej“.

Piękne przytem świadectwo jej cnotom i zasługom na

¹⁾ Tom III, str. 377.

²⁾ Przekład Niemcewicza, l. c. III 378.

dworze królewskim, jak niemniej przywiązaniu do niej całej rodziny Zygmunta III, daje jej także Radziwiłł i w innych miejscach Pamiętników ¹⁾, opisując pod rokiem 1635 jej słabość, śmierć i pogrzeb w Warszawie:

„9 kwietnia. Panna Urszula, *ochmistrzyni* królowej, chorobą przyciśniona jest do łóżka.

„15 kwietnia. Ku wieczorowi niespodzianą śmiercią z tego świata na wieczny żywot przeniosła się panna Urszula Mejerin, z żalem całego dworu i wszystkich jej cnót świadomych. Jeśliby kto chciał wizerunek wierności wyrazić, to ta panna żywym przykładem i kształtem była. Przybyła ona tu do Polski w młodych latach z Anną królowną, matką Władysława króla, z Niemiec, *pięknie wychowana*, ślicznymi obyczajami ozdobiona, nabożeństwa pełna, w jałmużnach hojna, ustawiczną pracą niesfattygowana, zawsze pokorna, i w największych respektach będąc u króla i królowej, przystępna wszystkim, w jedzeniu i picu pomiarkowana, snu krótkiego, pamięci dziwnej, poznawania chroniąca się, *w łacińskim i niemieckim języku biegła*, w mowie ostrożna i zawsze prawdę mówiąca, szczerą, stateczną, pracy nieżałująca, pilna wychowanka potomstwa królewskiego, w niem cnót nauczycielka i pomnożycielka, w przeciwnych przypadkach stateczna, o wiarę św. gorliwa, chorych piastunka i karmicielka, mądrością przedziwna, radą skuteczną, każdemu miła, nikomu się nieprzykrząca, cierpliwa, języka powściągliwego, konwersacyi wdzięcznej, w uczciwości się kochająca, czystości panieńskiej mistrzyni, złych w miłości karząca matka, opiekunka ubogich sierót, hojna żywicielka zakonników, sług dworskich promotorka, oskarżonych przed królem i królową obroicielka, a żadnego słowem nienarażająca, cudze niedoskonałości pokrywająca, słowem w doskonałości cnót nieporównana.

„16 kwietnia. Ciało świątobliwej panny odwiedziliśmy.

„11 maja. Ciało panny Urszuli z królewską prawie pompą jest pogrzebione w kościele Ojców *Societatis Jesu*, przy przymotności królowej ²⁾, której imieniem po mszy św. żałobną

¹⁾ Tom I, str. 252 i nn.

²⁾ Anny Katarzyny, córki Zygmunta III i Konstancyi, urodzonej r. 1619.

miał mowę kasztelan lubelski ¹⁾, wdzięczność infantki ku wychowance swojej świadcząc, któremu ja z dziękczynieniem odpowiedziałem“.

Taką więc była panna ochmistrzyni, i w braku innych przeciwnych doniesień współczesnych niema żadnego zgoła powodu, wątpić w rzetelność obrazu jej cnót i zalet, jak go przekazały potomności Pamiętniki księcia kanclerza litewskiego, który na jej pogrzebie przemawiał. Za ciałem „metresy“ króla Zygmunta III nie byłaby z pewnością poszła szesnastoletnia córka jego, królowna Anna Katarzyna, ani też nie byłby nikt jej imieniem i z jej polecenia przemawiał nad zwłokami miłośnicy ojca, bo to już zwykły los każdej, choćby najmożliwszej metresy, że po swojej śmierci i dla kochanka i dla innych osób, które ją za życia otaczały, staje się gratem zbyt czystym i całkiem obojętnym. Jedna wszakże okoliczność zastanawia mocno w relacji Radziwiłła o złożeniu śmiertelnych zwłok panny Urszuli do grobu w kościele Jezuitów, których miała być „służką“, i którzy, jak zapewnił Siarczyński, a za nim powtarzają drudzy, mieli jej wyrobić u Urbana VIII „różę złotą wraz z listem i błogosławieństwo papieskie“. Czemu żaden z nich nie wystąpił zwyczajem ówczesnym z szumnem kazaniem na jej pogrzebie? Pamiętniki nie czynią przynajmniej o czemś podobnem żadnej wzmianki.

Lecz niemniej piękny obraz cnót jej i zalet, jak też stanowiska jej na dworze królewskim, zostawił nam także i inny świadek ówczesny, poseł papieski przy dworze polskim, *Honorius Visconti*, w zdaniu sprawy z nuncjatury w Polsce, złożonem Stolicy apostolskiej dnia 15 lipca r. 1636, a więc już dobrze w rok po śmierci ochmistrzyni:

„Wspomniawszy o *Urszuli Mejerin* — pisze on do papieża Urbana VIII na ręce kardynała Barberino ²⁾ — nie od rzeczy może będzie, dodać tu kilka szczegółów o tej kobiecie, tak dlatego że doszła do tego stopnia, iż była uważana na równi z familią królewską, i będzie na zawsze pamiętnym przykładem szczęścia dworskiego, jako też że mi posłuży do przej-

¹⁾ Stefan Grzybowski?

²⁾ Relacje nuncjuszów apostolskich o Polsce, II 218—219.

ścia od króla i królewiczów do osób, dwór jego składających, i do dania o nich wyobrażenia Waszej Przewielebności.

„Urodzona w Monachium z rodziców ubogich i niskiego stanu, dostała się na pannę służebną do Anny Austriaczki, pierwszej żony Zygmunta, i z nią razem przybyła do Polski. Przyszedszy u nich prędko do wielkiej łaski, umiała się w niej utrzymać po owdowieniu króla, i przez całe życie królowej Konstancyi, tak iż była jakby wyrocznią całego dworu, należała nie tylko do familijnych ale i do rad ważniejszych, i miała niemały wpływ w szafunku łask królewskich. Jadała zawsze u stołu królewskiego, co tylko rzadko dozwolano księżniczce bawarskiej, wychowującej się na dworze, i w jednym z nimi jeździła powozie. Jej był poruczony dozór nad dziećmi królewskimi, które ją szanowały jak własną matkę, nazywały panią, a czasem od niej i różgą dostały. O nią się opierały wszystkie sprawy, pod jej zarządem były wszystkie skarby, klejnoty i sprzęty królewskie. Nadzwyczajną miała pamięć, pilność i dokładność, tak iż pomimo niezliczonych rzeczy wiedziała, gdzie się najdrobniejsza znajdowała.

„W tak wielkiem znaczeniu umiała jednak tak roztropnie postępować, że nic jej nie zaszkodziła zazdrość, nikt przeciw niej powstać nie śmiał nie tylko za życia króla i królowej, jej dobroczyńców, ale nawet po ich śmierci uznana przez teraźniejszego króla za niezbędnie potrzebną, utrzymała się na tem samem stanowisku, z tą tylko różnicą, że już nie miała udziału w sprawach publicznych. Co się zaś tyczy domowych i familijnych interesów, w tych dawną nieograniczoną zatrzymała władzę, tak iż król nieobecny pisywał do niej własną ręką przynajmniej raz w tydzień, chociaż bez wyraźnej potrzeby. Na kilka miesięcy przed jej śmiercią uznał ją godną innego zaszczytu, kazał ją bowiem odmalować na wielkim obrazie, siedzącą wśród dzieci pierwszego i drugiego małżeństwa, niewyłączając i siebie, jako przewodniczkę i opiekunkę ich młodego wieku. Sam nawet cesarz ¹⁾ wielce ją sobie poważał, utrzymywał z nią ciągle poufałą korespondencją, używając jej

¹⁾ Ferdynand II od r. 1619 — 1637, brat Anny, pierwszej, i Konstancyi, drugiej żony Zygmunta III, wszyscy urodzeni z Maryi księżniczki bawarskiej.

za pośredniczkę między sobą a swymi siostrzeńcami, przez nią odbierał wiadomości o tem wszystkim, co się tyczyło rodziny królewskiej, a w nieobecności króla donosiła mu także o toku spraw publicznych. Słowem, była to niewiasta posiadająca te wszystkie przymioty, które zdaniem mędrca rzadko kiedy zbiegają się w osobie jej płci, a nadewszystko tak przywiązana do domu królewskiego, w którym wzrosła z tak małych początków, że jakby na nowo urodzona, zdawała się być do niego przesadzoną. Chociaż wielu panów polskich starało się o jej rękę, nie chciała nigdy opuścić swych dobroczyńców, jak gdyby wyrzekła się miłości siebie samej. Co się tyczy miłości krewnych, z tej się zupełnie wyzuła, żadnego bowiem nie miała przy sobie, i nic im nie udzieliła za życia ani po śmierci z majątku, którego mniej zebrała, niżeli mogła przy tak wielkiem znaczeniu, zapisawszy testamentem wszystko co miała na pobożne cele, albo królowi i królewiczom.

„Umarła, mając *więcej niż lat sześćdziesiąt*. Ciało jej wystawione było w jednej z sal zamku królewskiego, z wystawą omal nie taką, jaką widziałem po śmierci królewiczów. Zwłoki jej odprowadzone były do grobu przez królową i królewicza biskupa wrocławskiego ¹⁾, w niebytności Jana Kazimierza ²⁾. Pogrzeb był wspaniały, na którym chcąc się znajdować ten biskup, w ściślejszych stosunkach z nieboszczką do ostatka żyjący, uprosił króla, aby był odłożony aż do jego powrotu z Krakowa, gdzie był na pogrzebie brata kardynała ³⁾“.

Wspomnienie zatem, jak się pokazuje, nie we wszystkim wprawdzie całkiem wiarygodne, ale bardzo pochlebne, z którego się dowiadujemy zarazem i kilka innych jeszcze szczegółów o panie Urszuli, pominiętych przez Radziwiłła, jak n. p. że w chwili zgonu r. 1635 miała lat sześćdziesiąt kilka, i t. p. Pogrzeb jej

¹⁾ Karola Ferdynanda, trzeciego syna Zygmunta i Konstancyi, ur. w r. 1613.

²⁾ Najstarszy syn Zygmunta i Konstancyi, ur. r. 1609, po Władysławie IV król polski.

³⁾ Jana Alberta, drugiego syna Zygmunta i Konstancyi, ur. w r. 1612, od r. 1631 biskupa krakowskiego i kardynała, † dnia 22 grudnia 1634 w Padwie. — Najmłodszy syn Zygmunta i Konstancyi, królewicz Alexander Karol, ur. r. 1614, umarł był już na kilka miesięcy przed ochmistrzynią Urszulą, 20 listopada r. 1634.

odprawił się dopiero w miesiąc prawie po jej śmierci, bo udział w smutnym tym obrzędzie chciał wziąć także trzeci syn Zygmunta III i Konstancyi, królewicz Karol Ferdynand, liczący lat 22 biskup wrocławski; jak „własną matkę“ bowiem szanowała ochmistrzynią dzieci królewskie, które wszystkie wychowała była, nie żałując czasami i „rózgi“. Gdybyśmy nawet nie mieli innych danych, już ten sam wysoki i niekłamany szacunek, jaki pannie Urszuli przy akcie pogrzebowym okazały dorosłe królewicze, przemawiać musi za tem, że ta szczególniejsza istota, która bawiąc przez długie lata na dworze polskim, wyrzekła się była właściwego nazwiska swego, a którą, jak się zdaje uczonemu literatowi warszawskiemu, należałoby z polska nazywać „Mejerówną“, nie była nigdy „metresą“ królewską. Wyzuła się ona była przytem i z „miłości krewnych“, a nawet także „miłości własnej“, chroniła się, jak zapewnia Radziwiłł, „poznawania“, a jak uzupełnia te jego słowa nuncyusz Visconti, chociaż „wielu panów starało się o jej rękę, nie chciała nigdy opuścić swoich dobroczyńców“, i pozostała do śmierci starą panną.

Zastanawia też bardzo w powyższem zdaniu sprawy o niej papieżowi Urbanowi VIII, który przecież miał być jej, za „przyczynieniem się Jezuitów“, przesłać złotą różę z listem i błogosławieństwem swoim, dlaczego sprawozdawca nie napomknął o tem ani słówkiem, i owszem pisze o pannie Urszuli do Urbana, panującego od dnia 29 września r. 1623, jako o osobie, o której dopiero po raz pierwszy od niego czegoś bliższego ma się dowiedzieć. Różę złotą z błogosławieństwem papieskiem zwykły były otrzymywać tylko głowy ukoronowane, lub książęta i księżniczki z krwi i rodu, i gdyby naszą ochmistrzynią w rzeczy samej wyjątkowo zaszczyt taki od Stolicy apostolskiej kiedykolwiek był spotkał, nie byłby nuncyusz omieszkiał uczynić o tem choćby jakiej takiej wzmianki, pisząc zwłaszcza do tego samego papieża, który ją według podania, niestwierdzonego wszakże żadnem współczesnem doniesieniem, różą taką miał być obdarzyć.

Z tem wszystkiem relacyi Viscontego, który dopiero na początku października r. 1630 przybył był do Polski ¹⁾, i znał

¹⁾ Relacye nuncyuszów, II 189.

pannę Urszulę już w latach jej ostatnich, nie można we wszystkich szczegółach uważać za całkiem zgodną z rzeczywistością. Nuncyusz nazywa ją „Urszulą Mejerin“, jak ją od dawna na dworze królewskim nazywano, i jak się przy końcu życia istotnie sama zwała, wyrzekłszy się nawet nazwiska familijnego, i ani mu przez myśl nie przechodzi, że to nie jest jej nazwisko po ojcu, lecz tylko nazwa niemiecka urzędu dworskiego, który od lat bardzo wielu w Polsce sprawowała. Dlatego też i zapewnianie jego dalsze, że była „urodzona w Monachium, z rodziców ubogich i niskiego stanu“, nie zasługuje na wiarę, a nawet nie daje się pogodzić z ówczesnym stanem rzeczy. Kobieta podług niego „ubogich rodziców i niskiego stanu“, a mimo to, jak pisze kanclerz W. litewski i czemu nie przeczy Visconti, „pięknie wychowana i w języku łacińskim i niemieckim biegła“! Są to dwa pojęcia przy ówczesnym ustroju społeczeństw europejskich i trybie wychowania, całkiem sobie przeciwne, a panna Urszula nie mogła żadną miarą w domu rodziców ubogich i niskiego stanu nabyć znajomości języka łacińskiego. Ani na dworzaninów zresztą ani na dworzanki do królów i książąt panujących, nie dostawały się wówczas osoby niskiego stanu, lecz wyłącznie rodu szlacheckiego, i taką też była nasza ochmistrzyni, pieczętując się *niemieckim herbem Łabędź*, jak tego dowodzą listy jej polskie z r. 1627, pisane do Piotra Gembickiego, do których przechodzę:

Jest ich razem jedenaście, i znajdują się wszystkie w nader ważnym rękopisie biblioteki Jagiellońskiej pod Nrem 211, z dawnym znakiem bibliotecznym DD IV 33, mieszczącym w sobie prawie wyłącznie same listy własnoręczne lub z własnoręcznymi podpisami i pieczęciami ¹⁾, pisane w r. 1627 przez różnych dostojników polskich i zagranicznych do króla Zygmunta III, królewicza Władysława IV i do innych osób, przeważnie zaś do Piotra Gembickiego, późniejszego biskupa przemyskiego i krakowskiego ²⁾, obecnie zaś dziekana kapituły krakowskiej, sekretarza królewskiego i regenta kancelaryi W. koronnej. Każdy z nich pisany jest na osobnym arkuszu ręką męską, prawdopodobnie przez pokojowca Piotrowskiego, jeżeli

¹⁾ Katalog rękopisów bib. Jag., Ner. 211.

²⁾ Umarł r. 1657.

już wtenczas w służbie panny Urszuli zostawał, i wszystkie razem zajmują w rękopisie karty 275—296, czyli ogółem kart 22. Każdy z nich jest też opatrzony adresem: „Jego Mości księdzu Piotrowi Gembickiemu, dziekanowi krakowskiemu, sekretarzowi króla Jego Mości, regentowi kancelaryej W. koronnej, memu Miłościwemu panu i przyjacielowi“. Zaczyna się: „Miłościwy księżu regencie“!, a przy końcu każdego, już po wyrażonej dacie, kiedy list został napisany, tą samą ręką męską: „WM. mego Miłościwego pana życzliwa sługa“, po czem następuje własnoręczny podpis ochmistrzyni:

Ursula meierm

Więcej ich w rękopisie powyższym, oprawionym wspólnie w czerwony pergamin, nie było już od początku; na ostatnim z nich bowiem zanotowała inna ręka, prawdopodobnie sam Gembicki: „Od panny Urszule listów 11“. Każdy zresztą z jedenastu listów, oprócz podpisu własnoręcznego ochmistrzyni, opatrzony jest jeszcze jej pieczętką herbową, wyciśniętą na czerwonym laku:



Jest to, jak już zauważyłem, herb Łabędź, ale nie polski, tylko zagraniczny, który widocznie przywozła sobie była

panna Urszula z domu po rodzicach, przyjechawszy w r. 1592 z Anną Rakuszańką do Polski, za czem przemawiają dwie różne okoliczności. Najprzód nie dochował się żaden ślad, ani urzędowy ani prywatny, żeby nasza ochmistrzyni otrzymała była nobilitacyą w Polsce, a powtóre sam Łabędź, jak na tarczy herbowej na jej pieczęci wygląda, nie jest polski, lecz niemiecki, czego dowodzi jego postać. Łabędź bowiem na herbach rodzin polskich, jak go opisują nasi heraldycy ¹⁾, może być wprawdzie zwrócony w lewą lub prawą stronę, ale jest zawsze ze skrzydłami złożonemi w postaci stojącej, siedzącej lub pływającej. Na pieczęcie zaś herbowej panny Urszuli, co jest właśnie cechą charakterystyczną Łabędzi zagranicznych, a przede wszystkim niemieckich ²⁾, przedstawiony on jest w postaci latającej, ma skrzydła rozłożone, jakby chciał wzlatywać.

Ale oto dosłowne brzmienie jej listów, po opuszczeniu adresów, intytulacyi i zakończeń, które się we wszystkich jednakowo powtarzają:

1.

„Wielce się podobała królowej Jój Mości, paniój naszój Miłościwój, *sedulitas* WM. mego Miłościwego pana, w opisanu rzeczy, wiadomości Jój królewskiej Mości godnych, któreś WM. w liście swym do mnie dosyć dostatecznie wyraził. Zaprawdę, wdzięczną rzecz WM. mój Miłościwy panie uczynisz, kiedy za każdą okazją, każdą posztą o dobrém zdrowiu króla Jego Mości, także *de foelici rerum Prutenicarum* i ukraińnych *successu*, oznajmować będziesz, gdyż pod odjazd króla Jego Mości wszystkie nowiny, a osobiwie ukraińne, prosto do króla Jego Mości biegąc, i Ujazdów i Warszawę mijają. Ja z mój strony wielce WM. memu Miłościwemu panu dziękuję, żeś mi w liście swym o tém, o czém królowej Jój Mości należało wiedzieć, oznajmił, w czém abyś i dalej chęci swój oświadcząć nie ustawał, pilno proszę, a ja zwykle WM. memu Mi-

¹⁾ Niesiecki w wydaniu Bobrowicza, VI 180 i nn.

²⁾ Speneri Heraldica, I 327: „Cygni alas expansas esse, necesse est“.

łościwemu panu służyć będę, którego się łasce na ten czas oddaję.

„Dan w Jazdowie ¹⁾, d. 28 Julii 1627.

2.

„Z przystojną pańską wdzięcznością przyjmować raczy królowa Jój Mość, pani nasza Miłościwa, *sedulitatem* WM. mego Miłościwego pana, której zażywasz w dawaniu znać o dobrém zdrowiu króla Jego Mości *et de statu rerum praesentium*. Życzyłaby sobie tego Jój królewska Mość, abyś WM. mój Miłościwy panie, jakoś począł *sedulo* i szczerze, nie ani ujmując, ani przydając, ani też zdobiąc, oznajmował królowej Jój Mości, gdyż woli Jój królewska Mość o wszystko, co Pan Bóg według woli swój świętej będzie czynił, od WM. samego *certam* miewać *scientiam*, niżeli *ex incertis rumoribus plebis* informować się, i być *inter spem et metum*. Z Ukrainy także, jakom pierwszym listem swym namieniła była, coby się tam działo, nie zaniechawaj WM. mój Miłościwy panie oznajmować, gdyż teraz wszelkie wiadomości mijają Warszawę, a żebyśmy też o tém wiedzieli, *nostrum interest*. We wszystko, co tam praca i pilność WM. mego Miłościwego pana, wielce wdzięczna będzie królowej Jój Mości, paniój naszój. Zatem służby me zalecam WM. memu Miłościwemu panu.

„Dan w Jazdowie, d. 4 Augusta 1627.

3.

„Wyrozumiała królowa Jój Mość z listu WM. mego Miłościwego pana, i z tych, któreś WM. do rąk moich posłał, wiadomości, *statum* Rzeczypospolitej wszystkiój. Pana Boga prosi, aby z miłosierdzia swego świętego *justae causae* króla Jego Mości *patrocinari*, a *impios hostis conatus contere* raczył. Wdzięczna jest królowa Jój Mość *sedula* WM. mego Miłościwego pana w dawaniu wiadomości *cura*, nie ustawaj WM. i dalej w zaczątej posłudze swój, która *cedet in meritum* WM. memu Miłościwemu panu przy inszych zacnych zasługach. Zatem zalecam służby me WM. memu Miłościwemu panu.

„Dan w Jazdowie, d. 11 Augusti 1627.

¹⁾ Ujazdowie pod Warszawą.

4.

„Nic ja w tém nie wątpię, że WM. mój Miłościwy pan w zaczętych posługach swych ustawać nie będziesz, i o wszystkim, jakoś po te czasy czynił, dostatecznie i szczerze oznajmować będziesz, zdrowia i bezpieczeństwa króla Jego Mości przestrzegając, jako życzliwy sługa pański. Praca ta WM. mego Miłościwego pana wdzięczną będzie królowej Jój Mości, paniój naszój Miłościwój. My pozostali przy królowej Jój Mości, pospołu z świątobliwém Jój królewskiej Mości potomstwem ¹⁾, Pana Boga prosimy gorąco, aby królowi Jego Mości, panu naszemu Miłościwemu, szczęśliwą dał tę przedsięwziętą drogę, i fortune do nas z nieśmiertelną sławą zwrócenie się, pospołu z Waszmościami. Zatem służby me zalecam WM. memu Miłościwemu panu.

„Dan w Jazdowie, d. 18 Augusta 1627.

5.

„Dzisiejszą posztą dwa listy WM. mego Miłościwego pana doszły rąk moich: jeden *de data* z Torunia 17 *die praesentis*, drugi z Chełmży *de data* 18 *die ejusdem*, w których dostatecznie wypisałeś WM. wszystkie rzeczy wiadomości godne. Opowiedziałam je królowej Jój Mości, paniój naszój Miłościwój, i pilno zaleciłam pilną pracę i pilność WM. mego Miłościwego pana, którój wielce jest wdzięczną Jój królewska Mość, a jakom piérwój pisała, tak i teraz toż powtarzam z rozkazania królowej Jój Mości, abyś WM. wszystkie rzeczy *candide* wypisywał ²⁾ Jój królewskiej Mości, pewien tego będąc, że sama tylko królowa Jój Mość o nich wiadomość ode mnie miewa. Tę pracę, którą WM. w dawaniu mi wiadomości oświadczasz i ponosisz, odsłużę, a królowa Jój Mość łaską swą pańską nagradzać będzie. Natenczas Pana Boga prosimy, aby *sacrosancta* króla Jego Mości *consilia* i progres téj ekspedycyjej *praepotenti dextera sua* dźwigać i promowować, a nieprzyjacielskie rady *dissipare et in nihilum redigere* raczył.

¹⁾ Synami: Janem Kazimierzem, Janem Albertem, Karolem Ferdynandem, Alexandrem Karolem, i córką Anną Katarzyną.

²⁾ Wypisywać w starój polszczyźnie = opisywać.

O to się téż WM. pilno staraj, aby listy WM. zawsze do sakiew zamczystych ¹⁾ dostawały się, bo już to drugi raz kozacy ²⁾ z rąk swych oddają, a kiedyby je który z nich zgubił, ani ja, ani WM. nie wiedziałbyś o tém. Trzeba tedy w téj mierze być ostrożnym. Zatém służby me zalecam WM. memu Miłościwemu panu.

„Dan w Jazdowie, d. 21 Augusti 1627.

6.

„Podoba się królowej Jój Mości, paniój naszój Miłościwej, *indefessa* WM. mego Miłościwego pana, w służbie króla Jego Mości i w posługach swych, *cura, diligentia et sedulitas*. Wdzięczna być raczy Jój królewska Mość tak pięknej WM. mego Miłościwego pana ochoty i pracy, a w nagrodę jój łaskę swą pańską ofiaruje, a ja za te, któremi mię WM. mój Miłościwy pan dla wiadomości królowej Jój Mości obsyłasz nowinami, wielce dziękuję i odśługować powinna zostaje. Zatém służby me zalecam łasce WM. mego Miłościwego pana.

„Dan w Jazdowie, d. 25 Augusti 1627.

7.

„Życzyłam ja tego, żebyś WM. listy swoje dawał do sakwy zawartój z tych przyczyn, żeby się po ludzkich rękach nie tarły, *et per consequens* żeby nie ginęły w tak bezpieczném przesyłaniu ich. Jednakowoż kiedym się rekolligowała, przyszło mi to na myśl, że WM. na świeższe co godzina przychodzi oczekiwać wiadomości, i dlatego później swoje dawać musisz listy, *nec sic quidem mali*, tylko przecię WM. *providendas securitati illarum*. Terazniejsze WM. mego Miłościwego pana listy, *de data 25 praesentis* z Starój Jani ³⁾, doszły rąk moich *cum suis adjunctis*. Odniosłam te nowiny królowej Jej mości, paniój naszój Miłościwej, a naprzód o dobrém zdrowiu

¹⁾ Zamkniętych.

²⁾ Posłańcy, kuryerzy.

³⁾ Niem. Alt-Jahnia po lewym brzegu Wisły, na północ od Chełmna i na południowy zachód od Gniewu.

króla Jego Mości, z którego wielce cieszy się Jój królewska Mość, i Pana Boga prosi, aby wszystkie Jego królewskiej Mości błogosławił *gressus*. Królowa Jój Mość wdzięcznie przyjmuje tę pilność WM., a ja wielce dziękuję, że mię godnemi uszu królowej Jój Mości obsyłasz nowinami. Odsłużę tę łaskę WM. memu Miłościwemu panu, której służby me zalecam.

„Dan w Jazdowie, d. 28 Augusti 1627.

8.

„Wiadomości te wszystkie, tak o dobrém zdrowiu króla Jego Mości, jako téż i o powodzeniu rzeczy terazniejszych, zawsze odnoszę królowej Jój Mości, paniój naszój Miłościwej, i pracą pilną WM. mego Miłościwego pana *in perscribendis illis*, zalecam królowej Jój Mości gorąco. Wdzięcznie tę ochotę WM. mego Miłościwego pana, do posług swoich przyjmować raczy Jój królewska Mość, i życzy tego sobie, aby *minutissima quoque* o wszystkim téj expedycej progresie wiedzieć mogła, a iż WM. mój Miłościwy panie *abunde probasti sedulitatem tuam*, wszystko *ad amussim* wypisując, żądać przeto raczy WM. mój Miłościwy panie, abyś w tém swoim nie ustawał przedsięwzięciu, i o wszystkiém *realiter et enucleate* oznajmował. Tą powolnością i pilnością swą na łaskę królowej Jój Mości sobie zarobisz, a mnie do dalszego swego pociągniesz usłużenia, do którego uprzejmą chęć swoją WM. memu Miłościwemu panu ofiaruję, i służby me zalecam łasce Jego.

„Dan w Jazdowie, d. 1 Septembris 1627.

9.

„Z oboza¹⁾ któreś mi WM. mój Miłościwy pan posłał wiadomości, doszły rąk moich. Odniosłam je królowej Jój Mości, i stateczną WM. w téj posłudze zaleciłam Jój królewskiej Mości pracę, którą królowa Jój Mość wdzięcznie przyjmuje i łaskę swą ofiaruje, a ja WM. memu Miłościwemu panu dziękuję, że w téj mierze nie ustajesz WM. mój Miłościwy panie swojej oświadczać mi chęci, którą, da Bóg, odsługuwać za-

¹⁾ Pod Tczewem nad Wisłą o cztery mile od Gdańska.

wsze gotowa będę. Zatem służby me zalecam WM. memu Miłociwemu panu.

„Dan w Jazdowie, d. 9 Septembris 1627.

10.

„Dzisiejszą posztą doszło rąk moich pisanie WM. mego Miłociwego pana, w którym *praesentem modernarum rerum statum* opisujesz. Odniosłam te wiadomości królowej Jój Mości, paniój naszój Miłociwój, i *assiduam* WM. mego Miłociwego pana zaleciłam pilno *sedulitatem*, którój wdzięczna być raczy Jej królewska Mość. Ja zostaję obligata zadziaływać WM. memu Miłociwemu panu tę łaskę, którą mi w wypisywaniu wiadomości godnych pracowicie oświadczasz. Zatem służby me zalecam WM. memu Miłociwemu panu.

„Dan w Jazdowie, d. 11 Septembris 1627.

11.

„Praca WM. mego Miłociwego pana w wypisywaniu rzeczy, wiadomości królowej Jój Mości godnych, wdzięczna jest Jój królewskiej Mości; dziękuję i ja wielce WM. memu Miłociwemu panu za te, któremi mię obsyłasz nowinami. Królowa Jój Mość łaską swą tę pilność WM. mego Miłociwego pana nagradzać, a ja odslugować powinna będę. Zatem służby me zalecam WM. memu Miłociwemu panu.

„Dan w Jazdowie, d. 15 Septembris 1627.

Listy obejmują więc, jak widzimy, czas od 28 lipca do 15 września r. 1627, i obracają się wszystkie około ważnej wówczas dla Rzeczypospolitej sprawy wyjazdu Zygmunta III do wojska polskiego w obozie pod Tczewem, niedaleko Gdańska, gdzie hetman W. koronny, Stanisław Koniecpolski, zadał był niedawno Szwedom, szturmującym od dłuższego czasu pod wodzą Gustawa Adolfa Gdańsk i inne miasta pruskie, znaczną porażkę koło wsi Libiszowa, zmuszając ich do odwrotu ¹⁾. Za

¹⁾ Szujski, Dzieje Polski, III. 230. — Piasecki w Kronice pod r. 1627.

naleganiem Gdańszczan i pośrednictwem stanów holenderskich powinny się były właśnie teraz, chociaż kroki wojenne nie ustawały, rozpocząć układy pokojowe, na które do Prus zjechać miał także we własnej osobie wszechwładny kanclerz szwedzki, Axel Oxenstierna, dlaczego téż udał się w tamte strony i król polski, zabrawszy ze sobą Piotra Gembickiego z kancelaryą W. koronną. Dnia 17go sierpnia był już Zygmunt III, jak się z powyższych listów dowiadujemy, w Toruniu, 19go t. m. w Chełmży, 25go w Starój Janie niedaleko Gniewu, odebranego także niedawno przez Koniecpolskiego Szwedom, przy samym zaś końcu sierpnia znajdował się już w obozie pod Tczewem, gdzie go prawdopodobnie najstarszy syn Władysław już był wyprzedził.

Po wyjeździe króla przy końcu lipca z Warszawy, opuściła stolicę i żona jego, królowa Konstancya, przeniosłszy się ze „świątobliwym potomstwem“ swoim, czterema synami i jedną córką, i razem z nadworną ochmistrzą, do królewskiego pałacu letniego w pobliskim Ujazdowie. Z miejsca też tego, zwanego dawniej „Jazdowem“, datowane są wszystkie listy panny Urszuli. Pisała je jednakowoż podeszła ochmistrzą nie w swoim imieniu, ani też od siebie, lecz imieniem swojej pani, królowej Jej Mości Konstancyi, dopytując się u Gembickiego z jej polecenia o najdrobniejsze nawet szczegóły podróży królewskiej i przebieg spraw publicznych. Imieniem swojej pani dziękuje mu także za nadsyłane „godne uszu królowej Jej Mości“ relacye o zdrowiu królewskim i towarzyszących wyprawie jego okolicznościach, przyrzekając zarazem regentowi kancelaryi koronnej, w imieniu Konstancyi, królewską łaskę i wdzięczność, sama zaś ofiarując mu służby swoje, zalecając się jego łasce, i obiecując mu wszystko odsłużyć.

Ale co ważniejsza, listy pisane są w języku polskim, przeplatane tu i ówdzie zwyczajem ówczesnym całemi zwrotami lub pojedynczemi wyrazami łacińskimi. Poniewierana zatem dzisiaj przy lada sposobności, nawet w podręcznikach szkolnych „przebiegła Niemka“, umiała, jak się pokazuje, mówić i pisać po polsku, bo trudno przypuścić, ażeby była podpisywała własną ręką, i wyciskała swój klejnot szlachecki na listach, pisanych w obcym dla niej i niezrozumiałym języku. Niepodobna tego tem bardziej przypuścić, że jak już wiadomo, posia-

dała znajomość języków niemieckiego i łacińskiego, mogła była sobie bez trudności utrzymywać pokojowca, któryby z jej rozkazu i podług danych mu wskazówek, pisywał był listy łacińskie lub niemieckie; do regenta zaś kancelaryi koronnej mogła była to tem snadniej uczynić, ponieważ niemczyzna nie mogła mu być obcą ¹⁾, a już całkiem śmiało mogła była stósować listy do niego po łacinie. Kazała je wszakże pisać w ówczesnej polszczyźnie, którą rozumiała i której używała. Kiedyż więc i dla czego nauczyć się jéj mogła?

Pod tym względem nie może ulegać wątpliwości, kto wpłynął na nią, ażeby bawiąc na dworze polskim i jedząc chleb polski, wyuczyła się także języka narodu, wśród który rzuciły ją losy. Wpłynął na nią w tej mierze ks. Piotr Skarga, zaraz po jej przybyciu do Polski, przy końcu r. 1592. W roku tym bowiem dedykował on jej pani, królowej Annie, z którą niedawno do Warszawy jako jej dworzanka przyjechała była, rzadkie dzisiaj bardzo trzecie wydanie swoich *Żywotów świętych* ²⁾, „chcąc dać Annie — jak się w dedykacji wyraził — większą pobudkę do zamięłowania polszczyzny naszej“. Do nauczania się języka polskiego zawezwał też otwarcie Skarga w tej dedykacji królową, „gdyż jest to powinność Waszej królewskiej Mości — mówił do niej — abyś z tym ludem mówić umiała, nad którym Pan Bóg Waszę królewską Mość przełożył raczyć.“ Zapewnił ją też o miłości Polaków, jeżeli tylko pójdzie za jego głosem, i język narodu, którego została królową, przyswoi sobie: „Jedno się Wasza królewska Mość — zagrzewał ją dlatego — języka ludu swego rychło naucz, a pilności wszelakiej przydaj, bo tem sobie chęci poddanych swoich więcej przyczynisz“. I jeszcze raz w innem miejscu nieco niżej: „Niemają sobie Wasza królewska Mość życzliwości ludzkiej, miłości i ochoty do służb swoich Polaków, językiem ch nabędziesz“.

Słowa te nadwornego kaznodziei, wystósowane publicznie przy końcu r. 1592 do królowej Anny, wpłynęły też, jak sku-

¹⁾ Piotr Gembicki posłował później od Władysława IV do cesarza Ferdynanda.

²⁾ Dra Krzyżanowskiego *Rocznik dla archeologów i bibliografów*, II 196—203.

tek pokazuje, stanowczo na przybyłą w jej otoczeniu do Polski Łabędziankę niemieckiego rodu. Panna Urszula była wprowadzającą w języku niemieckim i łacińskim, co przy ówczesnych stosunkach towarzyskich i wymaganiach dyplomatycznych zapewniało jej zupełnie swobodne poruszanie się na dworze między najmożliwszą szlachtą i zagranicznymi dostojnikami, a mimo to uznała za potrzebne nabycie języka polskiego, nauczyła go się z czasem, używała go nawet w piśmie, i listy swoje w tym języku pisywać polecała. Zaprawdę, już ta jedna okoliczność, wyróżniająca ją tak mocno od wszystkich innych cudzoziemców i cudzoziemek, bawiących chwilowo lub dłużej w Polsce, powinna jej wrócić tak niesłusznie sponiewieraną jej pamięć. A powinno to nastąpić tem pewniej, że i pod innym względem nie stanęła ona na równi obok zwykłych przybłędów cudzoziemskich, ale jak zdaje o niej sprawę Visconti: „zebrała daleko mniej majątku, niżeli mogła przy tak wielkiem znaczeniu swoim“. Majątku też tego ani nie wysyłała za życia za granicę, ani go nie użyła po śmierci na cele cudzoziemskie, lecz wszystko, co zebrać mogła, zostawiła umierając w Polsce, i „zapisала testamentem na pobożne cele, albo królowi albo królewiczom“.

A jaki to był ten pozostawiony przez nią majątek i jaka treść jej zapisu, posłuchajmy, co mówi o tem inny świadek ówczesny, Jezuita Jan Wielewicki, w niedrukowanej jeszcze dotychczas Kronice swojej łacińskiej ¹⁾ pod r. 1635, wspominając pobieżnie o śmierci panny Urszuli:

„Nocte 15 Aprilis consequenti mortua est Varsaviae virgo Ursula, Austriaca, dominarum reginarum Poloniae, Sigismundi III conjugum Annae et Constantiae, gynaecei gubernatrix et regis ac reginarum fidelissima famula, postquam ante mortem consuetis sacramentis ecclesiae sese munivisset. Singulis religiosis domiciliis Varsaviensibus singulos milenos florenos legavit, et praeterea in templo domus professae Societatis Jesu, in quo sepeliri volebat, dicitur procurasse, ut post ejus mortem argenteum tabernaculum pro ss. eucharstia in altari constitueretur. Legavit etiam Serenissimo regi Ladi-

¹⁾ Rękopis znajduje się obecnie w Akademii Umiejętności.

slao 12.000 aureorum, principibus duo 20 millia florenorum, principissae 12 millia et variis aliis non pauca“.

Była tedy podług niego nie Bawarką z Monachium, lecz Austryaczką, zapisała każdemu kościołowi warszawskiemu po 1000 florenów, królowi Władysławowi 12,000 złotych, dwóm królewiczom 20,000 florenów, królownie 12,000, nie mało też innym osobom, postanowiła, żeby ją pochowano u Jezuitów, i poleciła sprawić po swojej śmierci dla tamtejszego kościoła srebrne tabernaculum na ołtarz dla Najświętszego Sakramentu. O mniemanej zaś róży złotej papieża Urbana VIII, którą według Siarczyńskiego i innych pisarzy miała być przekazać po śmierci „wileńskiemu domowi Jezuitów“, nic zgola nie wie Wielewicki.

Ależ była ona, wołają jej oskarżyciele, protektorką, a raczej „służką“ Jezuitów, „którzy za jej pośrednictwem szafowali łaskami dworu“! Gdzież jednakowoż, zapytać się godzi, dowody, że to właśnie za jej pośrednictwem szafowali Jezuiti łaskami królewskimi, i że panna Urszula na niekorzyść drugich, lub też sprawy jakiej ważnej, protegowała wyłącznie samych tylko Jezuitów? Czy może dlatego, że cały dwór ówczesny, król i królowa, wspierali Towarzystwo Jezusowe, za co dzisiaj panowanie Zygmunta III surowa z różnych stron spotyka krytyka? I owszem, Pamiętniki Radziwiłła powiadają o naszej ochmistrzyni, że „była ona hojną żywicielką zakonników“ w ogóle, nie zaś samych tylko Jezuitów, co także potwierdza Jezuita Wielewicki, inny zaś pisarz ¹⁾ nazywa ją tylko „dobrodziejką Kolegium jezuickiego w Warszawie“. Przeciwnie nawet, protegowała ona i wspierała za życia daleko więcej Karmelitanki warszawskie, z czego nawet urosło w naszych czasach, jak się następnie okazało, niczem nieuzasadnione podanie, jakoby miała być ich założycielką w tem mieście.

Ależ, wołają dalej jej oskarżyciele, była ona, czego nikt zaprzeczyć nie zdoła, „wielką dowotką“! I cóż w tem dziwnego? odpowiadam na to. Któraż stara panna, co jej losy odmówiły w młodym wieku zamążpójścia, nie była nią lub nie jest? A jak nie miała być zresztą dewotką panna Urszula,

¹⁾ Naruszewicz, Żywot Chodkiewicza, wyd. J. K. Turowskiego, II 90.

która tajemnicę swego rodu poniosła ze sobą do grobu? Szlachcianka ta niemieckiego pochodzenia, „pięknie wychowana“, — jeżeli bez właściwych danych i tylko na podstawie prawdopodobnego przypuszczenia odsłaniać się godzi mgłą pokrytą całą jej przeszłość młodocianą — przebyła widocznie w domu ojcowskim gwałtowną burzę sercową lub inną w której przeciw córce wystąpili własni rodzice i najbliżsi krewni. To też prawdopodobnie wypędziło ją nazawsze z gniazda ojcowskiego i zmusiło szukać kojenia i zabliznienia rany w rzędzie dworzanek na dalekim dworze polskim. Wyrzekła się więc dlatego nazwiska ojcowskiego i przybrała miano, nadane jej przypadkowo od jej urzędu dworskiego, wyzuła się i z krewnych, stała się „poznawania chroniąca się“, i nie chciała pójść za mąż za żadnego pana polskiego, choć wielu, jak pisze Visconti, „starano się o jej rękę“; z całej zaś spuścizny familijnej zostawiła sobie tylko drogi wówczas każdemu sercu szlacheckiemu herb rodzinny, przy którego tarczy jednakowoż nie dała wyrzeć początkowych liter swego nazwiska właściwego, lecz litery miana, później w Polsce przypadkowo przybranego. Oddała się też duszą i sercem zarządowi pałacu królewskiego, jako ochmistrzyni czyli nadworna „Mejerin“, niemniej i wychowaniu królewiatek polskich, szukając w pracy i zajęciach umysłowych osłody i ulgi dla bolejącej na dnie serca rany, i zachęcana tem bardziej do bezprzykładnej gorliwości w tym zakresie działania, gdy i dzieci królewskie i królestwo oboje szanowali ją wielce, odpłacali jej dobrem za dobre, i uważali ją po upływie lat wielu, jakby należącą do rodziny królewskiej. Samo przez się rozumie się dalej, że stała się z czasem: „o wiarę św. gorliwą, nabożeństwa pełną, w jałmużnach hojną, opiekunką sierot i hojną żywicielką zakonników“, czyli jak się w innem miejscu wyraził o niej kanclerz litewski: „panną świętobliwą“.

Taką też była, jak mi się zdaje, Urszula ochmistrzyni, Łabędzianka niemieckiego rodu. Wszystko to nie wystarcza jeszcze wprowadzić, ażeby ją stawić wysoko, jak wzór naśladowania godny, ale z drugiej strony przeszłość jej nie jest też tego rodzaju, ażeby się godziło potępiać ją za jakieś wymyślane miłostki z synem lub ojcem, na deskach teatralnych w dramatach niby „historycznych“ i „narodowych“, albo też w powieściach nieudolnych, a tem mniej w szkicach „history-

cznych“. Jeżeli która epoka z jej życia nadawałaby się do przedstawienia teatralnego lub pięknej powieści, to raczej zaranie jej młodości, kiedy po przebytej burzy w domu rodzicielskim, pędzona losem przybywa z dalekich stron nad brzegi Wisły, ażeby tu wyrzec się wszystkiego i z Niemki przeistoczyć się z czasem w „świętobliwą“ Warszawiankę.

Na zakończenie wszakże jeszcze jedno. Wspomniałem już na początku, że Radziwiłł w Pamiętnikach swoich, opisując ostatnie chwile Zygmunta III, skąd właśnie oskarżyciele panny Urszuli wzięli właściwy powód do ciskania na nią różnemi zarzutami, głównie zaś, że się poważyła wystąpić wtenczas „z powagą kanclerską“, nie są we wszystkich szczegółach dokładne i wiarogodne. W rzeczy samej też inny świadek naoczny słabości i zgonu króla, prawdopodobnie któryś ze senatorów polskich, albo osoba bardzo blisko dworu postawiona, opowiada to wszystko o wiele inaczej ¹⁾:

Dyaryusz śmierci króla Zygmunta III.

„Król Jegomość od kilku niedziel był *optime constitutus*, i we czwartek ²⁾ przejeżdżał się wesoło do Opaci ³⁾, majątności pana podkomorzego warszawskiego. Tam jadł i pił smaczno, aczkolwiek i potrawy, ale osobliwie wino młode, którego za pozwoleniem medyków *largius* zażył wtenczas, *tormina* w żołądku sprawiły mu. Utyskował na to, przyjechawszy zaraz, także i *sequenti die*, zaczęm absentował się w św. Wojciech ⁴⁾ nad *propositum* swoje od kościoła. Nazajutrz ⁵⁾ *ex praescripto medicorum* wziął lekarstwo purgujące, i to snadź wprawiło go w grób, abowiem poturbowawszy w nim *acres humores*, które *causabant tormina*, *evaporarunt sursum*, i *catharum latentem in capite* ściągnęli na piersi. Zaczem w niedzielę ⁶⁾

¹⁾ Rękopis bibl. Jag., Ner 166 karta 444.

²⁾ Dnia 22 kwietnia r. 1632.

³⁾ O milę pod Warszawą.

⁴⁾ W piątek 23 kwietnia.

⁵⁾ W sobotę 24 t. m.

⁶⁾ 25 t. m.

inter 7 et 8 matutinam appoplexia invasit go i *pene oppressisset* zaraz, jedno wódki potężne *mitigarunt malum*. Przyszedszy k' sobie, a pojrzawszy po ludziach, co przy łożu stali, uśmiechnawszy się, rzekł, już to nie dobrze, kiedy przy doktorach spowiednik się ukazuje; potem skosztowawszy wódki pewnej serdecznej, rzecze, *contra vim mortis etc.* Postrzeżono natenczas zaraz zakrzywiony jeden wargi powieki i policzkę prawych, z drugi strony lewa ręka szwank, lubo niebardzo znaczny, odniosła. Tajono to w pokoju cały dzień, Jego Mości jednak *ks. kanclerzowi* ¹⁾ *oznajmiono*, *aleśmy* tego nie bardzo apprehendowali. W *poniedziałek* ²⁾ *confessione peccata expiavit*, i komunią św. odprawił, potem natenczas konferował panu *Daniłowiczowi* podskarbstwo koronne. *Deficere* zatem znacznie począł, we *wtorek* ³⁾ źle się bardzo czuł, i przyjął olej św., królewiczom Ich Mościom czterem, co byli *praesentes*, błogosławił, także królownie Jej Mości. Potem nadworne podskarbstwo *panu podstolemu* ⁴⁾ dał; obaj podskarbiowie w też tropy przysięgę oddali u łożka. Po obiedzie Jego Mość pan podkanclerzy koronny ⁵⁾ nastąpił nań, aby był podpisał *requisita* do biskupstwa krakowskiego, *et facta omnia*. Tegoż dnia żegnał Ich Mościów panów senatorów, i poruczał w opiekę potomstwo; powiedział o testamencie. We *środe* ⁶⁾ począł się mieć źle bardzo i mowę stracił, słyszał jednak dobrze i *nutibus responsa* dawał, *praesentissimus sibi semper*. W nocy przybył królewic Jego Mość Władysław, albo jeszcze onegdajszy, jeśli się nie mylę, i *per impositionem manus paternae*, także i powtórzonem przeżegnaniem błogosławieństwo otrzymał. Ze *środy* na *czwartek* ⁷⁾ *agonisare* począł *circa 9 noctis*, zaczem już go byli umorzyli niektórzy, ale wódki *restituerunt ipsi vires et sensum auditus*; leżał cały dzień we *czwartek*, *spirans quidem et auditu pollens*, bo *signa diversa ad interrogationes variorum dabat*, ale ani *caput*, ani *oculos tolle-*

1) Jakubowi Zadzikowi, koronnemu.

2) 26 t. m.

3) 27 t. m.

4) Jerzemu Ossolińskiemu.

5) Tomasz Zamojski.

6) 28 t. m.

7) 29 t. m.

bat. Gdy mu powiedziano o mszej św., słysząc, co mówił kapłan, wedle tego albo się zęgnął, albo się w piersi bił. Po mszej *interrogatus*, jeśliby chciał *resignare jus suum* do królestwa szwedzkiego *primogenito filio, annuit manu, et eadem benedixit eidem primogenito*, gdy się skłonił do niego. Pozwolił i na instrument publiczny w tej mierze, *propter fidem* aby go ks. Borast ¹⁾, jako *publicus* koncypował, co *impositione manus super caput* ks. Borasta oświadczył. Jego Mości ks. legata, *impercipientem sibi benedictionem papalem, cum suspiriis* słuchał, i głowę kilka razy skłonić usiłował *propter reverentiam s. Sedis*; do pocałowania ręki każdy był przypuszczon. *Tandem* w nocy *ab hora 11* żadnych *prorsus* już *signa* nie dawał, podobno *auditum* stracił już był natenczas. *Circa 2 post mediam noctis* konać począł: trzeci kwadrans był do trzeci ²⁾, kiedy *inter verba illa a clero prolata*: „*Beati immaculati in via, qui ambulant in lege Domini*“³⁾, ruszył głową i piersiami *fortiter*, szczęśliwy z wielu miar, ale niemniej stąd, że zaraz msze św. odprawiły się. *Circa horam 7* exenterowano go *omnino, praecordia et intestina* wszystkie całe i nie nienadpsowane (znalazłszy). By nie pomieniony *descens* z głowy za lekarstwem, jako *constanter* wszyscy twirdują, pożyłby był pewno kilka lat jeszcze. Jego Mość ks. arcybiskup ³⁾ przed południem przybył⁴⁾.

Co więc książę kanclerz litewski opisał jako wydarzenie dnia jednego, i co podług niego stać się miało dopiero we wtorek rano „dnia 27go kwietnia“, zaszło rzeczywiście w kilku dniach po sobie idących. Król zachorował już w Opaci we czwartek 22go, kanclerza W. koronnego Zadzika uwiadomiono już zaraz w niedzielę dnia 25go, że król został paraliżem ruszony, podskarbstwo koronne oddał Zygmunt III już „w poniedziałek“ 26go Daniłowiczowi, nadworne zaś Ossolińskiemu we wtorek 27go, zawsze na umyśle, nawet jeszcze we środę

¹⁾ Grzegorz, uczony kanonik krakowski i warmiński, z Nörkeping w Szwecyi, przywiązany bardzo do Zygmunta III i bawiący przy jego boku jako sekretarz i bibliotekarz królewski, używany przez niego do pisania listów łacińskich i innych akt urzędowych.

²⁾ W piątek dnia 30 kwietnia.

³⁾ Jan Wężyk, gnieźnieński.

28go, bardzo przytomny, „*praesentissimus sibi semper*“. Po-
bożny autor zapiski, którego przejmuję błogie uczucie, że tuż
po skonaniu króla „odprawiły się msze św.“ nad jego zwło-
kami, nie wpłatał jednak ani razu do opowiadania swego „świę-
tobliwej“ panny Urszuli, „trzęsącej“ Rzeczpospolitą, która
przecież „z powagą kanclerską“ występować się poważyła
w dniach tych zamieszania i smutku! Nic innego, tylko Ra-
dziwił, spisując w późniejszym wieku wspomnienia lat młod-
szych, poplątał ze sobą niezręcznie drobniejsze wypadki, a
z wielkiego szacunku dla „świętobliwej panny“ wprowadził ją
przy tej sposobności na scenę w sposób, który później, przy
bujnej zwłaszcza fantazyi nieudolnych powieściopisarzy i dru-
gorzędnych dramatyków, stał się przyczyną poniewierania jej
i rzucania na nią różnych wymysłów.

GALICYA

WE WRZEŚNIU 1877 ROKU.

Chcąc mówić o naszym kraju w ubiegłym miesiącu nie myślimy pisać jego historyi ani nawet zwykłej w pismach peryodycznych miesięcznej kroniki zdarzeń politycznych. Historia zrobiła może pod ten czas jeden z tych kroków które zmieniają stosunek sił w Europie, przyszłość zwracając w nieprzewidziane kierunki, i rozpoczynając nowe a da Bóg lepsze w dziejach świata epoki: ale ten zwrot do dziś dnia jeszcze nie stanowczy i nie pewny nie dzieje się u nas ani przez nas, a choć w tej chwili odbywa się w naszych oczach fakt nad którego naturą i historią wieki może będą rozmyślać i pracować jak nad Reformacją lub Rewolucją francuską, to jego powody i jego skutki nie dziś mogą być tak znane i ocenione iżby się dokładnie i prawdziwie opowiedzieć dały. Więc choć z tego co słyhać zdaje się iż teraz na prawdę „rozgrzmiał się sąd w niebie“, wolimy słuchać tych grzmotów w pokorze i oczekiwaniu, jak do tej „strasznej orkiestry piorunów“ mieszczą słowo równe brzękowi komara, lub podnieść już dziś głos radości który mógłby okazać się, co nie daj Boże, przedwczesnym, a przeto fałszywym „jak zgrzyt żelaza po szkłe“. Jeżeli pod względem wielkich dziejowych wypadków jest co do powiedzenia o Galicyi w miesiącu wrześniu 1877 roku, to chyba to jedno tylko, a to nie mało i wdzięcznie przyjątem

być winno, że miesiąc ten może już być doliczonym do szeregu wszystkich tych poprzednich, w ciągu których szczęśliwie nie zrobiliśmy nic coby nam mogło być zaszkodzić i stanąć na drodze tej przyszłości lepszej którą wypadki same nieść się zdają.

W wewnętrznych znowu ściśle galicyjskich sprawach politycznej czy administracyjnej natury nie zaszło nic nowego. Sejm się skończył, projekt adresu, w którym Rząd ujrzał powód do zamknięcia sessyi, należy do przeszłości i mówić o nim nie ma już potrzeby, nie ma więc nic do powiedzenia o Galicyi w ostatnich kilku tygodniach. A przecież zdarzyły się w niej rzeczy nie wielkie z pozoru, jednak nie małe, nie ogłoszone naprzód trąbami sławy, nie przechwalone z góry jak te na wiosnę zboża obiecujące zanim poszły w ziarno, ale w następstwach nie obojętne może, a zebrane kiedy były dojrzałe, i zwiezione do śpichrza jako rzeczywiste mienie, jako świadectwa i zapasy siły, ducha, pracy, jako rzetelne dowody życia, moralnego i materialnego życia tego kraju. Chcemy mówić o objeździe odbytym po Galicyi przez Nuncjusza Apostolskiego i o Wystawie Rolniczo-Przemysłowej we Lwowie. Czy można mówić razem o dwóch rzeczach tak różnych i łączyć w jednym dziennikarskiem sprawozdaniu to co naturą, zakresem, tak jest od siebie dalekie? Nabożeństwa, odpusty, koronacje cudownych obrazów, cały ten religijny porządek rzeczy wkraczający w przeszłość, w tradycję, w tajemnicę związku ziemi z niebem, nieledwie w cudowność i nadnaturalność, a po drugiej stronie to co najbardziej ziemskie i najbardziej współczesne, pierwiastek praktyczny i materialny, wiek XIX ze swoim orszakiem przemysłu, handlu, wyrobów, wynalazków, maszyn, ze swoim dążeniem do zysku i bogactwa? Otóż zdaje nam się że bez niedorzeczności, bez naciągania, bez ujemy lub krzywdy dla żadnej strony, można o tych objawach naszego życia mówić razem, kiedy je czas tak połączył że razem były widziane. Owszem w połączeniu może obie zyskują na wartości, może się uzupełniają świadcząc pięknie, że życie trwa i rozwija się u nas w różnych kierunkach. „Marya obrała część najlepszą“, ale Marta choć nie tak wzniosła obrała przecież część pożyteczną, i z wielką czcią wspominana jest obok siostry nawet w samej Ewangelii. A w życiu narodów, których królestwo z natury

rzeczy musi być z tego świata, ta gospodyni Marta znaczy i może tak wiele, że bez jej starań i zapasów Marya, wzniosła dążeniem serca i umysłu, nigdyby do swego celu nie doszła. Nie ubliżymy też duchowemu i religijnemu życiu jakie w nas jest, jeżeli obok jego objawów wspomnimy o objawach i o produktach życia praktycznego, ekonomicznego, nie ubliżymy pielgrzymkom, miśyom, i wysokim czynnościom Nuncyusza, jeżeli po nich mówić będziemy o Wystawie Rolniczej i Przemysłowej. Owszem, każda siła wtedy tylko jest prawdziwą i trwałą, kiedy jest wieloraką i wielostronną, na każdym polu działa ona potężniej i skuteczniej, jeżeli równocześnie działa z energią i na innych; i świat katolicki, Stolica Apostolska, i jej Reprezentant, którego mieliśmy zaszczyt widzieć między sobą, tem więcej mogą na nas polegać i po nas sobie obiecywać, im więcej się przekonają, że to kraj i naród, co nie tylko modli się i wierzy, ale i pracuje. A my sami tem więcej możemy się cieszyć i ufać przyszłości i sobie, im więcej mamy prawa sądzić że nauczyliśmy się przecież cokolwiek pracować, a nie zapomnieliśmy modlić się i wierzyć. Marya i Marta są sobie nawzajem potrzebne nie tylko jako uzupełnienie, ale i jako równoważenie, jako wzajemne a zbawienne na siebie działanie, które sprawia, że jedna choć się krząta koło pracy i zarobku, nie służy mamonie, a druga choć myśl i duszę topi w niebie, nie zapomina przecież o ziemi.

I.

Nie mamy ani możności ani prawa dochodzić jaki był główny powód i cel przyjazdu Nuncyusza Papieżkiego Mgra Jacobiniego, ani też zamiaru opowiadać jego pobyt dzień za dniem i krok za krokiem. O pierwszym dowiemy się w przyszłości wszyscy jak ujrzymy wpływ jaki pobyt ten wywrzeć może na stan Kościoła w naszym kraju: drugie zrobiły już z obowiązku wszystkie pisma codzienne tak szczegółowo i dokładnie, że moglibyśmy tylko dosłownie za nimi powtarzać, a tak niedawno że powtórzenie jest niepotrzebne a byłoby tylko nudne. Dajmy więc pokój pobytowi Nuncyusza w Krakowie, poświęceniu nowego kościoła XX. Misyonarzy, Mszy u grobu śgo Stanisława,

przejażdżce do kopalń Wielickich: każdy przejezdny te same zawsze odbywa wędrówki po Krakowie, a każde uroczyste przyjęcie zawsze prawie tak samo wypada. W tym razie nieszczęściem, kiedy właśnie byłoby dobrze i miło uczynić je jak być może uroczystem, z powodu pory letniej, wakacyjnej, kąpielowej, Kraków zwykle nie ludny, wyludniony był prawie zupełnie, i ani świat duchowny, ani świat naukowy, ani wreszcie towarzyski, nie pokazał się dostojnemu gościowi tak dobrze i licznie jak by był mógł pokazać się w miesiącach zimowych lub wiosennych. Lwów większy, ludniejszy, z natury żwawszy, a do tego jeszcze ożywiony wystawą, roił się ludźmi, jaśniał illuminacjami, i świetniał w dzień uroczystościami kościelnymi a wieczorem przyjęciami, tak że pobyt dziesięciodniowy Nuncyusza miał tam pozór ciągłego święta. Jak pod tym pozorem kryła się praca dni powszednich, ale nie-powszednia wcale praca poznawania zbliżka ludzi rzeczy i stosunków, to ani nam wiadome ani do nas należy. Pomędzy temi zaś pobytami w miastach wypadł kilkodniowy pobyt Nuncyusza na wsi, i ten obchód o którym wyłącznie mówić tu chcemy, koronacya cudownego Obrazu Matki Boskiej w Starej-Wsi.

Koronacya cudownego obrazu? Za naszych czasów trafiały się już parę razy uroczystości podobne, ale były to tylko stuletnie rocznice, przypomnienia i powtórzenia dawnych aktów, a jako takie mniej miały rozgłosu po kraju, mniej zwracały na siebie uwagi. Ale korona po raz pierwszy nad cudownym obrazem zawieszona, to nowość, to nie ledwie sprzeczność z naszym otaczającym światem i wiekiem. Kiedy toczy się wojna zacięta i nieubłagana ze wszystkim co cudowne, kiedy z jednej strony wręcz odmawia się wiary temu co się nie da zwykłym rozumem pojąć ani zwykłemi fizycznemi prawami wytłomaczyć, kiedy z drugiej strony nawet ten co w Boga i w Jego cuda wierzy najzupełniej, nie zawsze wierzyć chce lub może w cudowność miejsc i obrazów, w łaski jakieś szczególne przywiązane do tej lub owej figury Pana Jezusa lub Matki Najświętszej — w takich czasach odgrzewać dawne cudowne legendy i dawne obrzędy, koronować Matkę Boską, kiedy Ona jako osoba korony tej nie może ani nosić ani potrzebować, a kiedy obraz jej nie będąc osobą tylko wyobrażeniem mógłby być przedmiotem tylko jakiejś figurycznej allegorycznej

koronacyi, a tymczasem i korona i obrząd koronacyi są rzeczywiste, czy w obec tego wszystkiego obrząd ten nie jest niezbędnym lub zgoła szkodliwym? czy to nie uporczywe a zawsze daremne usiłowanie wszczęcia na nowo w świadomość ludzką tego co z niej dawno wyszło, co w niej uszło i upadło? czy to nie próżne, a nawet szkodliwe bo ułudne galwanizowanie dawnych form pobożności z których duch pobożności i wiary dziś już wyrósł? czy wreszcie, w razie najgorszym, ta korona i koronacja cudownej Matki Boskiej nie jest pretextem tylko, tendencyjną manifestacją katolicką więcej niż szczerym popędem katolickiej pobożności i wiary? Oto pytania, oto wątpliwości które się nie wyjawiały głośno ale nasuwały się często: nie słyszało się ich, ale się je zgadywało u wielu, u wierzących i nieuprzedzonych nawet, kiedy była mowa o odbyć się mającej koronacyi cudownego obrazu w Starej Wsi.

Odpowiadać na nie teologicznemi lub filozoficznemi argumentami rzecz nie nasza, a z prostego ludzkiego rozsądku i uczucia odpowiadać trudno, bo ostatecznie sędzi i wyrokuje tu osobiste uczucie każdego. Jeden powie, że ceremonia taka wydaje mu się dobrą i podnoszącą na duchu; drugi przeciwnie; dyskusya skończona. Nie wdając się w nią wcale, powiemy zatem tylko to, że jeżeli nawet manifestacja i nic więcej, to w każdym razie manifestacja to poważna i znacząca, która się odbywa w sto tysięcy ludzi: jeżeli nabożeństwo, to wzruszające i potężne razem tą połączoną siłą tylu serc i tylu próśb, że dzwonek wzywający do komunii o 9tej i 10tej wieczór robił dziwne wrażenie, że pieśni śpiewane przez te mnóstwa nieprzeliczone brzmiały bardzo potężnie, że błogosławieństwo Papieżkie wyrzeczone z wysokości nad polami całemi przykrytemi ludźmi jak zbożem, nad tem morzem głów uciszonym w tej chwili wyglądało wspaniale, i że każdy nawet kto strony religijnej nie czułby i nie widział wcale, nie pożałowałby trudu widząc stronę obyczajową, charakterystyczną i artystyczną uroczystości. A dopieroż jej myśl głębsza, a ta uwaga tak naturalna i bliska, że kiedy powtarzamy tak często i z upodobaniem tytuł Królowej Korony Polskiej, to należy się nam być tam gdzie się Jej cześć królewska oddaje i gdzie się zbiera Jej dwór; tem bardziej, że to dwór z prostaczków złożony? a

dopieroż pamięć odpustów, pielgrzymek i koronacyj z dawnych polskich czasów i ta myśl tak miła choć złudna że się choć dzień jeden przeżyje jak wtedy? a to wrażenie milsze jeszcze i nie złudne, że pod kościołem, przed ołtarzem, zejdu się szlachta i chłopi jednym sprowadzeni tam uczuciem? a nadzieja że u jednych i u drugich może z tego zostać jakiś ślad, jakaś dobra myśl, że nie jedna prośba może być wysłuchaną, nie jedna skarga przyjętą, nie jedna pociecha zesłaną?... o nie, nie pożałował drogi poddany jeżeli pojechał na dwór i na święto Królowej Korony Polskiej.

Dawne koronacye cudownych obrazów z XVIII wieku, zapewne musiały wyglądać inaczej. Rzecz ta sama, obrząd niezmienny: aktorowie i świadkowie po części nie inni; bo in-fuły i pastorały, ornaty, kapy i zakonne habity, bo sukmany i siermięgi musiały wtedy być takie lub prawie takie jak dziś. Tylko że wtedy korytarze klasztorne roily się od jaskrawych kontuszów, tylko że twarze choć typem może do naszych podobne nosiły piętno innego wyrazu, ślad innego życia, tylko że w asystencyi Biskupa celebranta było grono ludzi ozdobionych świetnym tytułem wojewodów i kasztelanów... dziś otacza go kilku „Prezesów Rad Powiatowych“, dziś przesuwa się cicho kilka lub kilkanaście żupanów, ale żupan który „nosił i jasne barwy gdy służył Ojczyźnie“ dziś poczerniał, posmutniał i przerzedził się bardzo. Darmo! „któż Polskę taką jak była „zobaczy“. A poświęciwszy jej myśl jedną, jedną chwilę żalu, przychodzi się do reflexyi, że takiej jak była zobaczyć nie tylko nie można, ale i nie trzeba: że jeżeli mniej złocistych pasów, kontuszów aksamitnych i brylantowych guzów, to więcej może niż wtedy sukman porządnych, koszul czystych i całych butów, że Prezes powiatowy jest figurą małą, Senator był wielką, ale ten skromny urzędnik nie będzie jak tamten dygnitarz nad-używał kielicha przy odpustowym obiedzie, że podobny zapewne do swego prapradziada wojewody naturą i niejedną wadą swoją, w niejednym jest może od niego i lepszy, a podobny mu zawsze tem uczuciem które obu na koronacyą Matki Boskiej ciągnęło, i że nie trzeba nam pytać z westchnieniem żalu „kto „Polskę taką jak była zobaczyć“, lecz z westchnieniem nadziei mówić, że nie wiemy kto ją zobaczyć, ale to wiemy, że ten co zobaczyć, zobaczyć lepszą niż była.

Ani poszóstnych pociągów, ani karoc ciągnionych miodnemi tarantami, ani skarbniczek, ani karyolek, ani hajduków, ani pajuków, ani kozaków, ni węgrzynków, ani w karocy pana Wojewody z podgoloną czupryną, ani pani Kasztelanowej upstrzonej muszkami, w rogówce, w padrze i w robronie, ani w skromniejszych pojazdach pana Cześnika lub pani Podstoliny z córkami nie widział dziś nikt na drodze do Starej wsi. Cała ta staropolska dekoracya ze swoją rozmaitością figur, typów i strojów zjawić się mogła chyba tylko w wyobraźni, jeżeli ta odgadywać chciała, co byłoby się widziało przed stu laty na tem miejscu i w okoliczności podobnej. Tu, na Sanockiej ziemi, widziałoby się może te figury i te sceny, które Pol tak lubi opisywać, tych Chojnackich i tych Balów z ich kłótniami i zgodami, a kto wie, przed stu laty może i sam ksiązę biskup Warmiński Sanoczanin byłby zjechał do rodzinnej ziemi, żeby własnemi rękami odprawić obrzęd koronacy, z którego może śmiałyby się w duchu. Dziś w tłumie przyjezdnych upatruje się skwapliwie tych sanockich autochtonów, a jak się którego dojrzy, jak się usłyszy jedno z tych odwiecznych klasycznych nazwisk tutejszych, ma się ochotę uściśkać choćby nieznanomego, za to że jest, że się ze swojej ziemi Sanockiej nie ruszył. Ale choć są Sanoczanie, nie ma między nimi sędziego Chojnackiego, nie ma księcia biskupa Warmińskiego, choć nie brak Krasickich: i żaden widok, żadna scena nie przypomni żadnej powieści ani gawędy.

A przecież to co jest, to widzenia warte. Może to zły gust, ale wyznajemy, że polskie odpusty podobają nam się bardzo, zwłaszcza odpusty na wsi. Jest tyle życia, tyle rozmaitości, i tyle malowniczości w odpuscie: ludzie na wszystkich drogach i ścieżkach, śpiewy ze wszystkich stron, grupy modlących się, bawiących, lub kupujących, tabory rozkładające się na nocleg po podwórkach, wygonach, pastwiskach, ułożone tak ładnie, tak malowniczo, jak żeby umyślnie do obrazu, albo raczej jak umyślnie niktby ich ustawić nie potrafił. Z kościoła bije głos organu i blask świec jarzących na ołtarzu, na polu kramy tak świecą jaskrawo kolorowemi obrazkami i pierścionkami, że zdaleka możnaby je wziąć za bazyry pełne bajecznych wschodnich przepychów. Posłuchać tych rozmów poufałych, tych żartów i śmiechów, które dochodzą od

kramu obrazków, książek, wstążek i pierników, a będzie się miało próbkę życia towarzyskiego ludu: bo odpust nie jest tylko nabożeństwem, jest i balem, plac przed kościołem lub rynek miasteczka jest salonem, wystawą różnych wdzięków, próżności, dowcipów, elegancyi, plotek, zalotów... *tutto il mondo è come la nostra famiglia* i wiejski odpustowy jarmark jest także po trochu i *Vanity-Fair*. Tylko nie tak ujęty w regularne prawidła i przepisy towarzyskich konweniencyj, swobodniejszy, żywszy, do tego rozłożony na dużej przestrzeni, jest może piękniejszy do widzenia, zwłaszcza zdaleka, od festynów ludzi bogatych i dobrze wychowanych. A jeżeli nie rzadko spotkać się zdarzy scenę, jak żeby stworzoną dla Teniersa, to znowu w tej kompanii idącej do kościoła, w tej procesyi, w tej grupie ludzi kłękających na głos dzwonka, znajdzie się takie piękne linie, suknie tak wspaniale pofałdowane, postawy tak poważne, że całość wygląda tak paradnie i majestatycznie, iż niepowstydziliby się jej malować Rubens albo Veronese. A kiedy dziad, główna figura, król odpustu, (bo jak całemu światu wiadomo:

„wszakżeż odpusty, jarmarki, pogrzeby

wymyślił Pan Bóg dla dziadów potrzeby “)

nieraz przypomni Łazarza lub Paralityka widzianego gdzieś na włoskim lub hiszpańskim obrazie, to znowu czasem w świątecznej sukmanie i w szerokim pasie przesunie się typ tak szczeropolski, tak piękny spokojną siłą, tak pociągający jakąś nieumyślną i nieświadomą siebie powagą, że na jego widok stanie w myśli niezrównany ideał chłopca, Leśnik Grottgera.

Dlaczego tłum miejski nie będzie nigdy tak malowniczym? Dlaczego naprzykład procesya Bożego ciała w Wiedniu choć taka paradna nie spodoba się artyście tak jak ta sama procesya w Krakowie? Zapewne i dlatego, że porządku, reguły, przepisu, jest mniej, a więcej szczerzego udziału, więcej swobody i życia. Ale bodaj czy nie zależy to także i głównie od stroju. Ludność miejska ubrana przeważnie w kolory szare, ciemne, w suknie krótkie, które żadnym sposobem nie mogą się ładnie ułożyć, nie może nigdy w masie zrobić takiego efektu jak tłumy wiejskie, w których odzieniu jest zawsze wiele białego, a to i samo odskakuje doskonale od wszelkiego tła i odznacza bardzo wyraźnie kontury każdej grupy, i służy

znowu do odbicia wszystkich kolorów o żywych jaskrawych tonach. Kto widział odpustowe kompanie przeciągające po drodze krzyżowej w *Kalwarii Zebrzydowskiej* albo rozłożone szeroko na łagodnych spadkach *Jasnej Góry*, ten nie zaprzeczy, że odpust jest zbiorem bardzo ładnych obrazów.

W *Starej Wsi* nie ma tak wspaniałej dekoracji. Ani prawdziwie romantycznych widoków Kalwarii, ani majestetycznego położenia Częstochowskiego klasztoru widnego zdala na szczycie góry wśród rozległej płaszczyny. Miejsce nie brzydkie i nie szczególnie ładne: ścieśnione trochę między dwoma ścianami pagórków nie wielkiej wysokości i form dość pospolitych. Środkiem biegnie gościniec, przerzyna wieś długą a wąską i przechodzi po pod sam kościół, któremu byłoby ładniej, gdyby stał gdzieś opodal, sam jeden, i na większem wzniesieniu. Od południowej strony zamyka dolinę i widok biskupi Brzozów ładnie rozłożony na stokach wzgórza, Brzozów w którym podobno nie ma i śladu tego zamku, gdzie Dziaduski wydał wyrok o nieprawności małżeństwa księdza Orzechowskiego, a ksiądz kanonik nowożeniec w orszaku trzechset przyjaciół i stronników odgrażał się na Biskupa tak, że ten aż bramy zatarasować i zwodzone mosty podnieść kazał.

Kościół sam — obejrzyć go trudno. Kto się do środka docisnął nawet ten nie miał sposobu obejść go i oglądać, szczególnie że wyszedł cały z natłoku. Kościół, jak wszystkie prawie u nas z XVII wieku, nie piękny. Z zewnątrz bez stylu, wewnątrz ozdobny niby a zimny, swoim wielkim ołtarzem o marmoryzowanych kolumnach i złożonych gzymsach przypomina niemiły kościół Częstochowski. Może umyślnie brano ten najślawniejszy za wzór dla wszystkich Paulińskich kościołów, bo i krakowska Skałka w swoim dzisiejszym kształcie ma pewne pokrewieństwo z Częstochową. Ojcowie Jezuici, którzy odziedziczyli klasztor (w wiele lat później) po zniesionych przez Józefa II Paulinach, dokończyli, wyciągnęli wyżej wieże, ale fizyognomii budowy z zewnątrz ani wewnątrz nie zmienili. Co najładniejsze może, to obszerny dziedziniec przed kościołem, zasadzony wielkimi drzewami, otoczony murami i ozdobiony dwoma czy trzema kaplicami. Teraz mury w paru miejscach umyślnie wyłamane, bo jedna brama nie dałaby przystępu cisnącym się tłumom, a dziedzi-

niec jest na czas uroczystości właściwie kościołem. Wysoko nad drzwiami na facyacie kościoła wznosi się balkon, a na nim w ustawionym *ad hoc* ołtarzu obraz cudowny czekający na koronację. W tej wysokości dojrzeć go można zdaleka, a zblizka mało kto go zobaczy. Dziedziniec wedle obliczenia geometrów mogący zmieścić trzydzieści tysięcy ludzi tak natłoczony, że nawet w godzinach wolnych od nabożeństwa dostać się nań trudno. Schody wiodące do obrazu roją się ludźmi, którzy z jednej strony wchodzą a drugą wracają na dół; ruch ten nie ustaje nigdy, trwa cały dzień, trwa wieczór, trwa przez noc całą, a kto wyszedł na górę, ten przed obrazem długo nie zostanie, bo nowe i coraz nowe tłumy płyną jak fale i chcą choć na jedną chwilę popatrzeć na obraz i pomodlić się. Obraz sam nie piękny wcale, stary, bez innego wiadomego początku prócz tego, że kiedyś cudownym sposobem sam przeniósł się z Węgier i tu spoczął, przedstawia dwie sceny: na dole Matka Boska otoczona Apostołami usypia tym snem który nie był śmiercią, na górze otoczona Aniołami staje przed Synem swoim w niebie. Kto z tego ganku obejrzy się do koła, ten dopiero będzie miał prawdziwe wyobrażenie o uroczystości. Na jednym poziomie widzi się tylko swoje najbliższe otoczenie, widzi się że ludzi jest dużo, bardzo dużo; ale z wyższego punktu dopiero widzi się że tak ludno i rojno, jak na kościelnym dziedzińcu, jest i dalej, i na wsi, i za wsią, i na wszystkich drogach, i na wszystkich polach, że ten tłum się nie kończy. Wieleż go jest? Sto tysięcy mówią jedni, sto dwadzieścia poprawiają drudzy, inni znowu dowodzą, że tyle być nie może; wiele jest naprawdę, nikt nie wie, nikt nie liczył, ale każdy widzi na pierwszy rzut oka, że nie łatwo i nie często zobaczy tyle ludu razem na tem samem miejscu.

I to piękność, to wartość tej uroczystości. Gdzie takie tłumy z różnych stron kraju, można powiedzieć nie z kraju tylko ale i ze świata, z za gór węgierskich i z za różnych granic zjeżdżą się dla uczczenia cudownego miejsca i obrazu, tam oczywiście dawny duch religijny nie wygaś, tam katolicka tradycja nie jest sztucznie utrzymywaną, tam już nie może być mowy o agitacji i agitacją wywołanej manifestacji, ale tam ujrzyć i przyznać trzeba dobrowolny i naturalny ob-

jaw katolickiego ducha i życia. W takich cyfrach jest siła, i gdyby ci, co prowadząc wojnę z Kościołem dodają sobie odwagi szyderczem urąganiem się z jego słabości i obumierającego ducha, mogli byli zobaczyć te tysiące ludu, możeby byli pomyśleli, że zwycięztwo nie tak blizkie i łatwe, a widok biednego odpustu w zakęcie jednej wsi polskiej byłby może zdołał sprowadzić chmurę na czoło samego wielkiego wodza Kulturkampfu, i samego wielkiego obrońcy religijnej wolności Słowian południowych.

W tym tłumie zaś nie tylko jest pobożnie. Pobożnie bardzo: tysiącami klęka lud do Bierzmowania, którego Nuncyusz niezmordowanie od rana do wieczora udziela, tysiącami oblega ambony i konfesjonały, a do komunii przystępuje nawet o 10 godzinie wieczór; pieśni pobożne rozlegają się przez całą noc. „Śpiewamy bo zimno“, odpowiadają czasem zapytani, widać że ich pieśń rozgrzewa. Ale modlić się zawsze nie można, trzeba wypocząć, pożywić się, zabawić, porobić sprawunki. Otóż po za obrębem kościoła i dziedzica, po drogach, po taborach, po kramach, jest głośno, gwarno, wesoło, ale tak grzecznie, tak przyzwoicie, że aż miło spojrzeć. Pijanego nie zdarzyło nam się dostrzedz ani jednego. Improvizowane kawiarnie z chróstu lub płóciennych szatr szynkują herbatę z ogromnych samowarów, kawe, wodę sodową, czasem gorące zupy; może to przypadek, ale piwa widzieliśmy nie wiele a wódki wcale. I w tej masie ludzi, pod pozorami i formami zupełnie wiejskimi i prostymi, znać było wewnątrz więcej cywilizacyi rzetelnej i gruntownej, niżby się po tych pozorach można było spodziewać. Szukając przyczyny znajduje się ją niedaleko: w klasztorze, który swoim staraniem, misyami, towarzystwem wstrzemięźliwości, ciągłą nauką, dobrymi książkami, odniósł znaczne zwycięztwo nad złemi nałogami, zaszczerpił upodobanie do lepszych zabaw i zajęć, a którego wpływ zbawienny i cywilizacyjny nie na sam tylko lud wiejski przynaję zgodnie wszyscy w sąsiednich powiatach.

Ale dość bawienia pod gołym niebem; czas wejść pod dach. Klasztor Ojców Jezuitów, duży dwupiętrowy czworobok, przepełniony ludźmi literalnie od strychów do piwnic, bo Ojcowie, braciszki i nowicyusze mieszkają na strychach ustąpiwszy się gościom z cel i dormitoryów, służyć może za wzór

gościnności, ładu i rzadkiego gospodarczego organizacyjnego zmysłu. Mieści w swoich murach do trzechset gości, samych księży około dwustu, a żywi nierównie więcej, bo bliżsi sąsiedzi na noc wracają do domu. W przecięciu siada do stołu trzysta do trzechset pięciudziesiąt osób; obiad nie klasztorny wcale, owszem wykwintny, złożony z wielu dań, a choć tak liczny nie trwa jak półtorej godziny. Jak wystarczyło zapasów, zastawy, i rąk żeby to mnóstwo gości obsłużyć? jakim sposobem nikt nigdy na usługę nie czekał, jak każdy przyjezdny, o jakiegokolwiek godzinie się zjawił, dostawał miejsce, łóżko, jedzenie gotowe na zawołanie? Niech zrozumie kto może, ale kto wie ile trzeba kłopotu i zachodu na to, by na wsi nawet w dostatnim domu tylko kilkanaście osób wygodnie pomieścić i przyjąć, ten takiego podejmowania paruśset osób przez cały tydzień nie zrozumie wcale. Ksiądz rektor Jackowski tłumaczy ten fenomen tem, że w swoich braciach i synach duchownych ma doskonałych pomocników? niewątpliwie; ależ ci pomocnicy muszą chyba nad sobą mieć kogoś, co ich pomocą doskonale kieruje. A nadewszystko w zakonie całym ta chęć wspólna wszystkim, gorąca, silna, żeby każdemu było jak najlepiej, żeby wszystko się powiodło, od koronacyjnego obrzędu aż do śniadania i łóżek gościnnych. Ile to kosztowało biegłości, pracy, rozkładu, nikt nie wie, bo ani pośpiechu ani pracy ani rozkazów znać nie było. Tylko przypadkiem odkryła się niekiedy jaka tajemnica tego mistrzowskiego zarządu: opowiadali naprzykład niektórzy, że zajechawszy do klasztoru późną nocą, zastali wszystkich Jezuitów, nie braciszków tylko albo nowicyuszów, ale ojców a bodaj czy nie i samego Rektora jak z zakasanemi rękawami zamiatali ogromne korytarze klasztoru. Zamiecione być musiały, to pewna, a w dzień nie było na to czasu; ale kiedy oni spali, to już ich sekret.

Na mniejszą skalę to samo działo się w leżącym opodal klasztoru Służebniczek. Kilkadziesiąt pań przyjezdnych z różnych stron świata mieściło i żywiło się tam jak u Jezuitów mężczyźni. Zastawały obmyślane i przygotowane wszystko co mogło być potrzebnem do ich wygody, tak dalece że napis na drzwiach każdej celi wskazywał dla kogo była przeznaczoną. Niewątpliwie sąsiednie dwory musiały pomagać do tego przyjęcia, i wiemy z pewnością że niektóre pomagały bar-

dzo dzielnie, ale pomimo tej pomocy przecież pojąć trudno jak zdołano wszystkiemu i wszystkim nastarczyć.

I tam, w klasztorze, przy obiedzie lub kolacyi, można było się łudzić że się jest w dawnych czasach i w dawnej Polsce. Z wyjątkiem świeckich ubrań, a i tu nawet dość liczne kontusze mogły robić złudzenie, wszystko tak samo być mogło, owszem tak być musiało, kiedy przed stu laty zjechali się ludzie do klasztoru na odpust albo na sejmik. Korytarze klasztorne obwieszone obrazami, zastawione stołami bez końca, wyglądały tak samo, za stołami na ławach tak samo siedziały sutanny, kontusze a gdzieśniedzie fiolety, habity tak samo uwiijały się usługując wszystkim. Tylko przy tych starych koronacyach wina musiało bywać nad miarę, kiedy teraz jest go tylko w miarę, tylko z tych dawnych żadna nie mogła się pochłubić takim celebrazem. W zeszłym wieku polska szlachta i duchowieństwo nie widywali wśród siebie w takich okazjach, a jeszcze na wsi, Nuncyuszów.

Xiądz Nuncyusz przychodził zawsze do wspólnego stołu; naprzeciw siebie miał dwóch arcybiskupów lwowskich, greckounickiego i ormiańskiego, i księdza biskupa Przemyńskiego rit. gr.: uprzejmość, wesołość, nieledwie poufałość jego rozmowy, ośmielały każdego tak, że nie było ani cienia przymusu a wesołość powszechna i szczerza. Tylko czasem, kiedy Nuncyusz spełniając jakie zdrowie życzył pomyślności polskiemu kościołowi i narodowi, i pomyślność tę wróżył, kiedy wyznawał się ujętym i rozrzewnionym nie tyle czcią sobie okazywaną jak dowodami wiary i wierności dla Kościoła i Papieża, kiedy obiecywał że dobrem wrażeniem jakiego u nas doznał podzieli się z Rzymem, wtedy swobodna wesołość ustępowała miejsca czemuś lepszemu i miłszemu.

Salwy moździerzowe zapowiadają uroczysty dzień koronacji: ruch większy niż kiedykolwiek. W klasztorze, po celach, po korytarzach, księża obłężeni przez penitentów, lada stołek, lada ławka służy za konfesyonał. Po za klasztorem co się dzieje, ani zobaczyć: ciżba taka, że myśli się o tem tylko żeby nie być zgniecionym. A patrząc na to mnóstwo ludu myśli się o tych jego nieproszonych dobrodziejach którzy dla jego pożytku chcieliby mu okroić liczbę świąt i odpustów. Ależ filantropie liberalny jak odbierzesz ubogiemu święto, uroczy-

stość kościelną, jaka mu w życiu zostanie przyjemność, co zaspokoi jego fantazyę, jego drzemiącą zapewne ale przecież jakąś potrzebę piękności, pragnienie wyższych artystycznych wrażeń? My do zabawy mamy bale w pięknych salach albo teatralne przedstawienia, kiedy zechcemy dziwimy się wspaniałym dekoracyom i lożom świetnie zapełnionym, dzięki podróżom ułatwionym znamy wszystko co jest pięknego na świecie, wszystkie galerye i muzea, wszystkie budynki, wszystkie koncerty i konserwatorya muzyczne, wszystkie cuda natury i sztuki. Ale wieśniak który życie spędza między stodołą i chatą, a zna co najwięcej swoje powiatowe miasteczko, który i w swoim domu i w swoim ubiorze i w swoim otoczeniu patrzy zawsze tylko na tę samą jednostajność prostoty, gdzież on coś piękniejszego zobaczy? Tylko w kościele. Kościół najskromniejszy uderzy go i ucieszy jakim takim przystrojeniem ołtarza, jedwabny ornat będzie najbogatszym przepychem jaki widział w życiu, organ jedyną jaką słyszał muzyką, obraz zły najczęściej ale lepszy przecież od tego jaki ma u siebie w chacie, jedynem malowidłem, procesya z rozwiniętymi chorągwiemi jedyną pompą, a nieszpór o zmroku lub Msza Pastorska jedynym widokiem działającym na wyobraźnię. Wszystkie te artystyczne rozkosze które my wybredne pszczoły ciągniemy z najrzadszych kwiatów, dla ubogiego w całym jego życiu zamknięte, otworem stoją mu tylko w kościele gdzie on jest u siebie, gdzie może patrzeć i słuchać jak chce, gdzie go otaczają sztuki wszystkie, architektura, muzyka, malarstwo, w wyrazie nie doskonałym zapewne ale który on ma za dobry: przepych nie pyszny może i zbytek nie zbyt kowy, ale który jemu wydaje się wspaniałym. Jedynem miejscem gdzie on doznać może wrażeń artystycznych których pragnie, choć ich nazwać nie umie, jest kościół, jedynym tego rodzaju pokarmem dla jego duszy i wyobraźni solenne nabożeństwo. Jak znowu gwar odpustowy za kościołem, sposobność spotkania się ze znajomym i nieznanym, służy mu za bal, za karnawał, za życie towarzyskie. Ktoby wieśniakowi odebrał święta przysporzyłby mu może kilka złotych zarobku, ale odebrałby mu to co jedno w jego życiu ma jakiś urok zabawy, i urok poezyi, co działając na wyobraźnię otwiera i duszę szlachetniejszym wrażeniom. Nie:

starajmy się wyrzucić szynk i wódkę z odpustu, ale odpustu i święta nie tykajmy.

Kto chce być na nabożeństwie i choć trochę widzieć, ten musi z biedą przedrzeć się do klasztoru, i tam czekać żeby się dostać dalej w orszaku Nuncjusza. Liczne grono pań, otoczone księżmi, z trudem, z użyciem prośby i groźby przeciska się przez kościół do przeznaczonej dla siebie na dziedzińcu trybuny, a dostawszy się tam drży żeby coraz silniejsze fale ludu samem parciem nie obaliły tego schronienia. Mężczyźni czekają po korytarzach żeby iść za Nuncyuszem. Pomału zaczynają otwierać się cele, to przygotowania do pochodu, to wychodzą Biskupi otoczeni swojemi kapitułami. Arcybiskup Ormiański w paradnej kapie i infule podobnej zresztą zupełnie do łacińskich. Ale Ruscy! kiedy się pokazał ksiądz Biskup Stupnicki, przeszedł szmer zdziwienia w publiczności na widok apparatu uderzającego bogactwem lecz więcej pięknnością i powagą kroju. Ale dalmatyka i mitra Metropolity zaćmiła katedralną zakrystę Przemyską. Co za gust! co za gienialny dobór kolorów na tej złotolitej materji, co za artystyczny rysunek srebrnych haftów, jak postać ludzka poważnie w tych szatach wygląda, co za przepyszny w rękę krzyż jakiś staroświecki!... nie można się było napatrzeć. Nuncyusz szedł z duchownych ostatni, w komży tylko, do Mszy miał się ubrać dopiero przy ołtarzu, a za nim całe grono świeckich, kontuszów i fraków. Nabożeństwo na dworze, nie na balkonie przed obrazem cudownym gdzie nie byłoby dość miejsca, ale w kaplicy która nie mając jednej ściany ani drzwi, otwarta jest zupełnie, i ludowi zebranemu w dziedzińcu przynajmniej, pozwalała widzieć celebrę i celebrującego. Po jednej stronie ołtarza tron Nuncjusza, po drugiej trzy dla dwóch Arcybiskupów i biskupa Stupnickiego. Niestety tylko trzy! a choć Nuncyusz sam tłómaczył „*speciales rationes*“ które biskupom łacińskim przybyć nie pozwoliły, przecież przykro było ludziom łacińskiego obrządku ani jednego z nich tam nie widzieć.

Nabożeństwo samo zaczęło się od przeczytania dekretu koronacyjnego, po tem nastąpiło poświęcenie korony przez Nuncjusza, a dopiero Summa przez niego celebrowana. I wtedy kto mszy nie odprawiał lub do niej nie służył, miał sposobność zobaczyć nie całą masę zgromadzonego ludu ale większą jej

część. Dziedziniec kościelny jak nabity, to się rozumie samo z siebie — na murach, na gzymsach, na dachach kaplic wszędzie ludzie, na drzewach chłopcy uczepieni do gałęzi jak gruszki, a dalej cała droga, i całe duże ogromne pole ku Brzozowu tak pełne jak pełnym bywa kościół przy wielkim natłoku, a za tą zbitą masą dopiero na wszystkie strony rzadsze kompanije i grupy. Kiedy Papież z ganku św. Pietra dawał błogosławieństwo *Urbi et Orbi*, nie miewał pewno tylu tysięcy przed sobą. Plac przed świętym Piotrem jest wielki, ogromny, to prawda: ale zawsze przecież to miejski plac tylko, a tu otwarte pole, łąny, nie wiedzieć wiele morgów pokrytych, wybrukowanych ludzkiemi głowami. A wszystko to jak wzburzone morze w nieustannym ruchu: najlżejsze poruszenie jednego gdzieś w centrum udziela się bliskim, potem coraz dalszym, potężnieje, aż na obwodzie chyli się wprzód i w tył ogromna ława ludzi zupełnie jak fala kiedy do brzegu dąży i od niego się odbija. Jakim sposobem obeszło się bez wypadków i nieszczęść? Mówiono że księża i żandarmi utrzymywali porządek. Zapewne, ale ani jednych ani drugich nie mogło być dość żeby utrzymać w porządku te tłumy, a jeżeli nie stało się nic gorszego jak kilka zemdleń, to chyba dlatego że Pan Bóg tak chciał, nie że ludzie ustrzegli.

Pod czas summy dwa czy nawet trzy kazania na różnych punktach, ale daremne. Nikt ich nie słyszy oprócz tych chyba co otaczają ambonę; głosy najpotężniejsze giną w obszarze powietrza i w gwarze tysięcy ludzi którzy milczą, ale milczenie ich podobne jest do głuchego dalekiego grzmotu.

Po summie nastąpiła sama ceremonija koronacyi. Księża otwierający pochód wyszli na balkon, przeszli i ustawili się na schodach po drugiej stronie: na balkonie stał Nuncyusz z Biskupami i asystentami, za nim na drugich znowu schodach cały orszak świecki. Widziane z dołu, a widne było całemu ludowi, wyglądało to bardzo obrazowo. Obrząd sam krótki: jedna czy dwie modlitwy, po których Nuncyusz przystąpił do przybijania korony, a między ludem taka w tej chwili nastąpiła cisza że słyhać było każde uderzenia młotka. A kiedy to się skończyło, i kiedy się zdawało że już po obrzędzie, nastąpiła niespodzianie chwila jego najwznioślejsza. Głos donośny i grmiący jak trąba oznajmił z balkonu, że Poseł Ojca św.

z Jego upoważnienia i w Jego zastępstwie udziela ludowi Jego błogosławieństwa. Inne głosy podawały to sobie coraz dalej, doszło aż do najdalszych kończyn tłumu, i w jednej chwili stało się cicho jak przy podniesieniu. Księża odmówili Confiteor, kto mógł się ruszyć ukląkł, a Nuncyusz kiedy zobaczył to mnóstwo, po raz pierwszy bo dotąd przypatrzyć mu się nie mógł, zdumiony tym widokiem wzruszył się do łez, i wymówił słowa błogosławieństwa nad obecnymi, ale i dla nieobecnych, dla wszystkich aż do najdalszych granic, dla lepszych i dla gorszych, dla szczęśliwych i prześladowanych, dla wiernych i wierności potrzebujących... zdawało się jak żeby słowom jego głośnym, wyraźnym, dźwięcznym, towarzyszył dola-
tujący zdaleka głos błogosławiący „tutto il Regno di Polonia.“ I ktoby to był widział ten już potem nie byłby pytał czy koronacye obrazów są potrzebne i czy nie przestarzałe, czy to nie sztucznie wywołana manifestacya katolicka: po mimowolnem uchyleniu głowy pod ręką błogosławiącą, po biciu swego serca byłby poznał prawdę, szczerą prawdę i wiary, i miłości, i nadziei, i jedności kościoła połączonego w Najwyższym Pasterzu.

Kiedy Nuncyusz schodził z balkonu zaczęły padać pierwsze krople deszczu grożącego od rana. Zapowiedziana procesya wieczorna z koronowanym obrazem i intronizacya jego w wielkim ołtarzu kościoła, musiały być odłożone do dnia następnego. Uroczystość 8 września zamknęła się telegramem wysłanym na prośbę księcia Władysława Czartoryskiego i innych obecnych przez Nuncyusza do Ojca św., z hołdem Biskupów, duchowieństwa, obecnej szlachty i stu tysięcy ludu.

Odjeżdżający ze Starej Wsi zabierał z sobą piękne wspomnienie na całe życie, to wspomnienie że patrzył na jawne i silne wyznanie wiary w narodzie, że patrzył jak żeby na dalszy ciąg błogosławieństwa danego w Rzymie polskim pielgrzymom, że widział zastępcę i wysłannika Papieża w zetknięciu bezpośrednim z polskim ludem i narodem, i że go widział ujętym i przejętym życzliwością serdeczną i poszanowaniem dla tych osławionych i poniewieranych. Ojcowie Jezuici w Starej Wsi mogą się cieszyć i winszować sobie, że zrobili rzecz piękną, rzecz ważną i pożyteczną dla polskiego kościoła i ludu, i to, da Bóg może obu obrządków, jeżeli wzrośnie ziarno które

Nuncyusz starannie i gorliwie w Starej Wsi i we Lwowie zasiewał, a wtedy będą mogli się chlubić że zrobili rzecz i dla Kościoła Powszechnego nie obojętną. Ale też odnieśli i nagrodę. Nie w należytej a żywej wdzięczności obecnych, to za mało: ale mają tę nagrodę, że ich kościół, ich cudowny obraz, i jego koronacya staną się szeroko sławne po Polsce. O dawniejszych koronacyach i koronatorach choćby samego Częstochowskiego obrazu, zapomnieliśmy, i dziś wiedzą o nich tylko najbieglejsi w dziejach polskiego kościoła uczeni. Ale to nie łatwo się zapomni, że w tym podgórskim zakątku był Nuncyusz Papieski, że z tego miejsca lud i kraj błogosławił, że tu tysiące ludzi bierzmował: tradycya rozniesie i utrzyma to wspomnienie, a z niem rozniesie i sławę Starej-Wsi, i wdzięczność dla jej gospodarzy i duchownych Ojców, a kto wie czy kiedyś, jeżeli rok obecny stanie się w dziejach naszych pamiętnym, historyk jaki nie zapisze że duch religijny Polski, który z wiosną tego roku objawił się w Rzymie, stwierdził się pod jesień bardzo wyraźnie w tej skromnej ale dziś już znanej i pamiętnej wsi Sanockiej. Kto wie czy śpiewane przez sto tysięcy głosów nie doszły do samego nieba słowa odpustowej pieśni:

„Pospiesz się Panno a swoją obroną

„Pokaż łaskę swą nad Polską koroną.“

II.

Ze starej-Wsi udał się Nuncyusz do Lwowa, gdzie bawił przez dni dziesięć. Pobyt ten był zapewne głównym celem jego podróży. Dopełnić koronacyjnego obrzędu to dodatek, poznać kraj i jego stan pod względem religijnem, to zadanie właściwe które od dawna na naszej ziemi nie było przez żadnego Nuncyusza tak gorliwie tak starannie spełnionem. A jeżeli słuszny w tem powód do wielkiej radości, i do nadziei że objazd ten zostawi po sobie skutki zbawienne, jeżeli miły był i budujący widok tego dygnitarza kościelnego wchodzącego z zajęciem i zamiłowaniem w drobne nawet objawy katolickiego życia, to z wielką także pociechą i chlubą widziało się że Reprezentant Stolicy Apostolskiej przyjmowany był tak gorąco i tak uroczyście jak może nikt przed nim. Lwów ma tę za-

sługę i chlubę że za cały kraj zrobił co się należało i odegrał świetnie rolę wyobraziciela i tłumacza jego uczuć. Nie było dnia bez jakiejś kościelnej i świeckiej uroczystości: a kiedy zrana kościoły i ulice pełne były pobożnych i ciekawych, wieczorem tysiące przyglądały się oświetleniu miasta, a setki spieszły złożyć uszanowanie gościowi w tym lub owym domu czy to Namiestnika, czy hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, czy hr. Wilhelma Siemieńskiego. Wieczory na których liczono tylko kilkadziesiąt osób uchodziły za zupełnie poufne i w małym kółku. Nigdy nie widzieliśmy Lwowa tak ludnym, tak przepełnionym i ożywionym. Na wieczorach w czterech, pięciu, sześciu salonach, trudno było się ruszyć choćby na to by się precyzyjnie do gospodyni i gospodarza. Teatr pełny od parteru do najwyższych galeryj, o hotelach nie ma co mówić: za każdym pociągami odsyłały przyjezdnych którym przypadek i dobrzy ludzie dopiero dostarczali schronienia: na ulicach wiodących do wystawy, jeżeli czas nie zbyt brzydki, nie ustająca procesya, na placu jej ludzi tyle jak na Polach Elizejskich, a w budynkach znowu natłok taki że trzeba było długo czekać by przejść i dostać się do tego co się chciało zobaczyć.

Oczywiście wystawa ta przyczyniła się tak bardzo do ożywienia miasta. Ściągnęła ludzi z różnych stron Galicyi i z dalsza. Nie mówiąc o ministrach handlu i rolnictwa, którzy przyjechali z obowiązku swego urzędu, przez ceremonią na dzień jeden dla dopełnienia formalności, a potem zdziwieni tem co zastali, żałowali że nie wybrali się na dłużej, nie mówiąc o wielkim znawcy w rzeczach sztuki, którego Wiedniowi każdy kraj w świecie mógłby pozazdrościć i założyciela „Austriackiego Muzeum“ profesora Eitelbergera, który zwiedzał wystawę z wielkiem zajęciem i wiele z niej rzeczy dla swego Muzeum zakupił, spotykało się z bardzo miłym uczuciem Polaków, a nawet Polki z najdalszych ziem dawnej Rzpltej, którzy spieszyli do nas chętniej i liczniej niżeli my niestety parę lat temu na wystawę do Warszawy. Stosunkowo najmniej widziało się gości z zachodnich obwodów kraju, co nawet dość powszechnie zwracało uwagę. A jakkolwiek sejm zaledwo ukończony lub sesye Rady Państwa dla niektórych, a czas siewów dla wszystkich mogły być wymówką nietylko dobrą ale rzetelną, to przecież trudno było nie wiedzieć i nie

żałować tej nieobecności, na której najgorzej wyszli sami nieobecni.

Przypominamy sobie nie zbyt dawne a zbyt może długie dyskusye nad tem czy wystawa jest potrzebna, czy tak pożyteczna jak się wydaje, czy wybrano dla niej czas sposobny i czy przy toczącej się wojnie może lub nie może się udać. W teoryi może te wszystkie wątpliwości są słuszne, tego nie wiemy, ale w praktyce wystawa jest, i udała się nadspodziewanie, do podziwienia dobrze. Ilością, jakością, różnaitością zgromadzonych pldów i wyrobów dziwiła cudzoziomców, dziwiła trochę i nas samych krajowców, niedomyślających się może, że mamy tyle różnych i tak ładnych rzeczy. Urządzeniem bardzo prostem, skromnem, oszczędnem, a bardzo ładnem, musiała podobać się każdemu, a brakiem wszelkiej ostentacyi, wszelkiej fanfaronady, wszelkiego udawania wielkich wystaw zagranicznych robiła bardzo miłe wrażenie rzetelności, powagi, prawdy. Czy będzie z niej pożytek? a dlaczego byćby go nie miało? Tego zapewne żądać i spodziewać się trudno, żeby ona wpłynęła odrazu na nasze stosunki handlowe z zagranicą, i nie to też zapewne było jej celem. Ale jeżeli na przykład jeden i drugi i dziesiąty widząc dobre i ładne okazy sprzętów, narzędzi, rzeczy domowego lub gospodarczego użytku, w potrzebie uda się z obstalunkiem do krajowego fabrykanta lub rękodzielnika, jeżeli się przekona, że może mieć na miejscu to co zwykł sprowadzać zdaleka, jeżeli w skutku tych obstalunków fabrykant lub rękodzielnik będzie mógł rozwinąć swoje przedsiębiorstwo, czy to nie będzie pożytkiem? Jeżeli uwaga kraju czy rządu zwrócona na te lub owe wyroby przyjdzie w pomoc przemysłowi tkackiemu, garbarskiemu, garncarskiemu, czy w takim razie wystawa nie będzie miała dobrych skutków? czy uczniowie szkoły rolniczej albo szkoły leśnej niczego się na wystawie nie nauczą, a sami doświadczeni rolnicy, chodowcy bydła, przemysłowcy, fabrykanci, rzemieślnicy, czy nie zobaczą tam nic takiego co im na dobre wyjść może? A wreszcie rzadki to a prawie niewidziany wypadek, żeby rzecz podjęta z takim trudem i poświęceniem, a wykonana z takim rozumem i rozsądkiem nie zdała się na nic, i jak jest sprawiedliwa Nemesis dla dzieł rozpoczętych w myśli pldowej, próżnej i fałszywej, tak znowu dobre i szczere usiłowa-

nie często znajduje zasłużone i najlepsze wynagrodzenie w dobrym skutku. Wierzymy też, że tę pociechę dostanie Towarzystwo Rolnicze które w tej sprawie wzięło inicjatywę, i komitet który ją prowadził. A zwłaszcza, że znajdzie ją ten, który był duszą i głową całego przedsięwzięcia. Są ludzie dla których jeżeli „*nomina sunt odiosa*“ kiedy drugich ganić potrzeba, to wstrętniejsze są nierównie kiedy chodzi o to, żeby samemu być chwalonym. Nie wymienimy też nazwiska prezesa komitetu wystawy, żeby mu nie robić przykrości. Ale powtórzmy tylko to co wszyscy wiedzą i mówią, że ta dobra wola, ta myśl zawsze czynna i zabiegliwa, ta ręka więcej jeszcze dzielna jak hojna, która się widzi i spotyka zawsze i wszędzie gdzie jest coś dobrego w kraju do zrobienia, czy to chodzi o królewskie niemal poparcie nauki przez założenie Muzeum, czy o proste wsparcie prywatnego człowieka, czy o podparcie sprawy publicznej podjęciem trudnego obowiązku marszałkowania sejmowi, że ta sama myśl, ta sama czynność, ta sama niezmienna i niezłomna dobra wola, dały się poznać krajowi jeden raz więcej przy sposobności tej wystawy, której powodzenie, wartość, ład, dobry smak i szczęśliwą we wszystkim miarę, wszyscy zgodnie przypisują głównie Prezesowi wystawy.

Nie stać nas na to niestety, żeby mówić o wystawie tak jakby należało. Na zaletach czy usterkach bądź to całości, bądź poszczególnych rzeczy nie umiemy się poznać, więc pisać o nich nie mamy prawa. Staramy się żeby pismo nasze mogło czytelnikom swoim zdać sprawę z wystawy umiejętnie i dokładnie. Ale tymczasem, zanim to nastąpi, niech oni raczej przyjąć opis zewnętrzny skreślony pobieżnie przez człowieka, który zwiedzał wystawę nie jak specjalista, ale jak swobodny podróżny, który chodzi od niechcenia i patrzy na to co mu się podoba.

Naprzód trzeba to powiedzieć, że ten obraz ma bardzo ładne ramy. Kto zna Lwów ten musiał uważać że jego wielką ozdobą są te małe laski porozrzucane na wzgórzach do koła miasta, w których i cień, i chłód, i piękne drzewa, i wawozy, i ścieżki, które przypadek bardzo ładnie poprowadził, a nadewszystko śliczne zawsze widoki na miasto, którego wieże sterczą z doliny i odbijają się malowniczo na tle wzgórzów

przeciwległych. W takiej to dekoracji umieszczona jest wystawa. Dawny ogród Jabłonowskich opiera się właśnie o takie wzgórza zarosłe drzewami, a nad miasto wzniesiony jest nie bardzo, jednak już tyle, że szczegóły nikną i zlewają się w ogólne zarysy. Widok nie tak rozległy jak z Wysokiego Zamku albo z cytadeli, owszem ściśniony, widzi się miasto z boku, z ukosa, i więcej przedmieść, wzgórzów, ogrodów i dworów niż miasta samego. Ale w tym obrazku są i czarne wieże Bernardynów i Wołoskiej cerkwi, i kopuła Dominikańskiego kościoła, i białe mury Karmelitów tak szczęśliwie umieszczone na wysokim wzniesieniu, i szczyt góry zamkowej, wszystko co stanowi właściwą odrębną cechę i piękność lwowskich widoków. Ogród Jabłonowskich? niestety, z drzew pod którymi przechadzał się hetman a świętobliwa hetmanowa odmawiała różaniec, gdzie może ich syn łamał sobie głowę nad złemi rymami, a Joanna de Bèthune krzywiła się na polskie barbarzyństwo, nie zostało ani śladu. Ogród jest pustym równym placem służącym zwykle żołnierzom do musztry, studentom do gry w piłkę, a pałac jest kasarnią czy szpitalem. Ta zmiana rzeczy psuje zawsze przyjemność temu kto lubi te miejsca odwiedzać, a idąc na wystawę wołałoby się widzieć ją choćby mniej ładnie i wygodnie umieszczoną, a po dawnych właścicielach coś więcej jak przywiązane do placu nazwisko.

Plac ten zwykle zostawiony w stanie natury, na czas wystawy stał się ogrodem na prawdę. Wielki czworobok trawnika porznięty szerokimi drogami na mniejsze prostokąty, przypomina rysunkiem plac przed głównym budynkiem wystawy wiedeńskiej. Trawniki tak świeże i równe, ścieżki tak czyste że sam plac mógłby być wystawionym jako przykład starannego utrzymania ogrodu. I w istocie jest on także wystawą: te wielkie klomby kwiciste i liściaste, porzrzucane po trawnikach a odznaczające się umiejętnym doborem kolorów, to gust, robota i zarazem wystawa różnych zakładów ogrodniczych lwowskich. Zamiłowanie ogrodów i staranne ich utrzymywanie musi tam kwitnąć oddawna, bo w żadnym podobno polskim mieście nie widzi się tylu pięknych kwiatów ani tylu dobrych owoców: a plac wystawy dowodzi że to szlachetne upodobanie, które niewątpliwie jest jedną z miar stopnia cywilizacji, utrzymuje się tam a zapewne i kształci.

Nie trzeba mówić, że sam środek placu zajmuje wielki główny budynek przeznaczony dla wystawy przemysłowej. Jest drewniany, postawiony najtańszym jak być mogło kosztem, ale postawiony tak udatnie, proporcye ma tak szczęśliwie utracone, wejście tak okazałe, kopuły tak zgrabne, że postawiwszy go z kamienia lub cegły miałoby się budynek bardzo ozdobny i efektowy. Za nim kryje się drugi, skromniejszy, dostawiony w pośpiechu gdy się pokazało że główny nie pomieści nadesłanych rzeczy, połączony z temi krytymi przejściami, a ukryty tak dobrze że ogólnego planu nie mąci i nie psuje. Obwód placu otaczają długie stajnie, a niedosyć przecież długie żeby mogły pomieścić razem konie i bydło i owce, tak że te po kolei tylko przychodziły na wystawę ustępując się jedne drugim. Gdzie się stajnie kończą, po lewym boku kwadratu od wejścia, mieści się pod dachem wystawa powozów: cała zaś przestrzeń placu zajęta i zapełniona. Tu mnóstwo maszyn które stoją razem srożąc się strasznymi a niezrozumiałymi zębami, nożami, kołami, skrzydłami, i wyglądają jak instrumenta do piekielnych tortur albo jak stado fantastycznych potworów, i huczą, świszczą, syczą, zgrzytają: nad nimi potwór jakiś większy i straszniejszy od wszystkich, na wysokich cienkich nogach jak bocian, macha na wszystkie strony czterema skrzydłami które ma gdzieś na wierzchu głowy, a warczy i turkocze jak wiatrak, to jakaś wietrzna pompa bardzo podobno praktyczna i mądra ale nie bardzo estetyczna. Na innem miejscu, a raczej na miejscach wielu, prześliczne kultyury leśne w minijaturze albo składy kolosalnych tarcic i przekrojów, albo z różnych kamieniołomów koła młyńskie lub słupy z jednej sztuki tak duże jak pół sławnych monolitów egipskich, naprzeciwko wielkie piramidy z węgla; gdzieindziej ustawione wyroby różnych cegielni, tam znowu zdaleka zdaje się że mały cementarzyk, to wyroby kamieniarskie, krzyże, nagrobki, figury, i zbiór ślicznych granitów, alabastrów, nawet labradorów: do tego pawilony i stajnie prywatne niektórych wystawców, kawiarnie, restauracye, trybuna dla muzyki, pełno mniejszych szałasów lub namiotów z przeróżnemi rzeczami, oto co otacza ze wszystkich stron budynek główny i zapełnia plac cały, a tak że nigdy jedno drugiemu nie szkodzi, nie za-

słania go, nie ściska, nigdzie miejsc pustych i nigdzie także braku miejsca i widoku.

Czy mamy bawić się w znawców i mówić o koniach, bydłe, narzędziach lub płodach rolniczych? Niestety znawstwo to nie zwiodłoby nikogo, a jak się powie że począwszy od hr. Juliusza Dzieduszyckiego wszystkie znakomitsze stada wschodnich i angielskich koni reprezentowane były przez ogiery, matki i młodzież, że znawcy ze szczególnem uszanowaniem patrzali na konie pana Trzeciaka z Taurowa, i na Chorostkowskie (hr. Wilhelma Siemieńskiego), że były różnego rodzaju krajowe i zagraniczne konie robocze, Percherony, Suffolki i t. d. (najwięcej chowu hr. Alfreda Potockiego), to świadomy rzeczy czytelnik domyśli się jakie mogły być główne tych koni zalety. Profan patrzył z wielkiem upodobaniem na małą ośmiokątną stajenkę, w której łbami do środka stało sześć czy ośm małych czarno i dereszowato tarantowatych kuców pana Oczosalskiego. Konie to podobno wielkich zalet, zwłaszcza przy polowaniu z kundysami na niedźwiedzie i dziki, ale nie wchodząc w ich cnoty, powierzchowność jest taka oryginalna i ładna, że możnaby marzyć sentymentalnie o wózek zaprzężonym takimi końmi. A niedaleko znalazłyby się i wózki prawdziwie idealne, wyrabiane jeżeli się nie mylimy w Stanisławowie: niby to prosty gospodarski prawie ekonomiczny wózek, a taki zgrabny, tak starannie zrobiony, tak pełen kokieterii w swojej udanej skromności, że pojąć trudno dlaczego nie więcej są u nas rozpowszechnione. Poważniejszych i okazalszych powozów, karet, koczów, landar i podwójnych landoletów, z krajowych fabryk lwowskich i bialskich, liczba także dość znaczna, a pozory ich bardzo ładne i obiecujące.

Dla ludzi, którzy się na ničem prawdziwie nie znają, najwięcej zajmujący główny budynek. Znajdzie tam mnóstwo rzeczy które bez specjalnych wiadomości można przecież choć trochę ocenić. Specjalista będzie sądził każdą gałąź przemysłu lub rękodzielnictwa umiejętnie i gruntownie, ale każdy zadziwi się liczbą i różnorodnością wystawionych przedmiotów, wszechstronnością i zupełnością wystawy. Oprócz sztuk pięknych które oczywiście nie były objęte programem, można powiedzieć że są tu wszystkie te działy i grupy na które dzielią się wystawy powszechne. Rozmiary są mniejsze natu-

ralnie, ale produkta i wyroby są te same i wszystkie, od najprostszych i najniezbędniejszych do najbardziej zbytkowych, są tu wszystkie rzeczy jakich człowiek do użytku potrzebować może.

Rodzaj wejścia czy sali który przy otwarciu lub rozdawaniu nagród służy za trybunę dla komitetu i sędziów, przedziela budynek na dwie połowy. Zwiedzający kiedy tam weszli idą prawie zawsze na lewo i zaczynają oglądanie wystawy od sali robót kobiecych. Czy to taka grzeczność dla dam, czy może złośliwa ciekawość i chęć wyszydzenia drobnych „robotek“, dość że każdy tam naprzód zwraca swoje kroki, a natłok taki że precyzyjnie się trudno. Ale jeżeli kto wszedł z uprzedzeniem i lekceważeniem, ten wyjdzie z wielkiem zawstydzeniem, bo doprawdy śmiać się nie ma czego a owszem jest się czemu dziwić. Roboty wszelkiego rodzaju, od prostego szycia i grubego płótna do koronek, a ilość przedmiotów taka, że nie mogą pomieścić się w szafach, ale rozwieszone po ścianach bardzo ładnie dekorują salę. Zakłady i stowarzyszenia, jak dom Opatrzności pod zarządem księżnej Leonowej Sapieżyny i Stowarzyszenie pracy kobiet, wystawiły roboty swoje systematycznie: bielizny kobiece i męskie w różnych stopniach wytworności i ceny, niektóre z bardzo sutemi haftami, powinnyby znieść do obstalunków wszystkie matki które mają dawać wyprawy: po bieliźnie hafty wszelkiego rodzaju białe i kolorowe, roboty kościelne, od ornatów którymi szczyścićby się mogła każda katedra, aż do tanich, praktycznych a ładnych rzeczy przystępnych dla najskromniejszej wiejskiej zakrystyi. Roboty do domowego użytku, między którymi trafiają się jak zawsze nieuniknione i nieszczęsne włóczkowe i paciorkowe podejrzanego smaku, ale te okupione są sownie innemi, na które patrzeć można jak na prawdziwe dzieła sztuki. Uważaliśmy jakiś jaskrawy haft jedwabiami i złotem na czarnym atłasie (księżnej Sapieżyny), inny w podobnym rodzaju na ciemnym szafirowym (hr. Adamowej Potockiej), które mogłyby odnieść zwycięstwo nad sławnemi haftami chińskiemi. Ale i te nawet nikną przy robotach pani Julii Pinińskiej. Co to jest, jak to robione, do czego służy, naturalnie nie umiemy powiedzieć: wygląda niby jak turecki czy indyjski szal, tylko jak szal, który miejscami byłby przezroczysty jak gaza; a jest

w tem taka harmonia kolorów, taka delikatność rysunku, taki styl wschodni, że nigdy może nie zdarzyło nam się widzieć damskiej roboty tak artystycznie pięknej. Zdaje się, że potem już się na nie patrzeć nie zechce, tymczasem za każdym krokiem czekają nas nowe niespodzianki. Kilka małych stoliczków naprzykład, których blat jest wykładany drzewem różnokolorowem, czy też malowany. Na jednym będzie do koła girlanda z kwiatów ślicznie wyrysowanych, na drugim grupa dzieci czy amorków, na innym cyfry i monogramy, a wszystko tak ładne, że paryski *ebenista* sprzedawałby takie rzeczy za setki jeżeli nie tysiące franków — (robota hr. Tomaszowej Stadnickiej). Inny znów stoliczek, z wierzchem haftowanym ma na tle złotem amorki wykonane dwoma cieniami jedwabiu; na ten patrzy się ze szczególnem zajęciem i uszanowaniem, to praca sędziwej hr. Aleksandrowej Fredrowej. Ledwo był czas rzucić na to okiem, kiedy znowu zapomina się o wszystkim na widok dwóch aparatów kościelnych: jeden haftowany złotem na czerwonym aksamicie, drugi biały z wypukłemi figurami i arabeskami, takie wspaniałe, że przypominają największe bogactwa Częstochowskiego skarbcza. Jeden jest własnością lwowskiej katedry, drugi kościoła Bernardynów, oba restaurowane staraniem hr. Namiestnikowej Potockiej. Że po tych przepychach pięknie wydają się ornaty własnoręcznej jej i jej córki roboty, to dowodzi, że muszą być niepospolicie ładne. Teraz, jeżeli kto chce widzieć roboty nie wspaniałe, owszem nie drogie, a śliczne, któremi każdy łatwo mógłby przyjść do bardzo ładnych sprzętów, niech popatrzy na to krzesło: obite jest szarem płótnem, materyą nie drogą; na tem płótnie przyszyte kwiaty i liście wykrojone z kretony, a cienie ich zahaftowane jedwabiem (robota hr. Izabelli Russockiej). — Zdaje się, że już nie może być nic prostszego i łatwiejszego, a nie mogłoby być nic ładniejszego jak pokój w ten sposób ubrany. Czy mamy mówić o koronkach? *guipures*, *frivolités*, *point à l'aiguille*, i tam dalej? To za trudno: dość na tem, że panie przyznają że to koronki prawdziwe i że ładne: niektóre z nich robione w szkółce wiejskiej w Wiązownicy u księżnej Jerzowej Czaratoryskiej. Jeszcze jedna mała rzecz na pozór, kawałek czerwonego sukna, a na nim deseń jakiś z przyszywanego białego trochę pożółkłego atłasu, wszystko razem stanowi firankę. Otóż

to niezawodnie jedna z najpiękniejszych rzeczy w tym dziale wystawy, a przytem to pochodzi z jednego z rzadkich na świecie przybytków smaku i sztuki, robota pani Rodakowskiej, zdobiąca pracownię malarską jej męża. A kiedy już zaczęliśmy o sztukę, niech nam wolno będzie wspomnieć o jednej jeszcze kobiecej robocie. Gdzieś w kącie, pomiędzy mnóstwem różnych przedmiotów kryje się mała gipsowa główka śgo Jana. Od pierwszego wejrzenia zwraca uwagę rysunkiem, modelowaniem, i zwłaszcza może wyrazem: a zdziwienie, rzeklibyśmy prawie podziwienie, wzrasta kiedy się słyszy że to pierwsza a dotąd podobno jedyna robota, i to robota przypadkowa autorki, która nigdy przedtem o rzeźbie nie myślała, aż raz z niechcenia, prawie na żart, z wosku czy gliny lepić zaczęła. Jest to kopia, ale kto od pierwszego razu tak umiał skopiować, ten chyba musi mieć talent prawdziwy i przyszłość nie dyletantki wcale. Niech nam artystka, hrabianka Natalia Potocka, wybaczy, jeżeli popełniamy zuchwałość prosząc ją, żeby po takiej próbie śmiało szła dalej.

Za oddziałem robót kobiecych wszelkiego rodzaju rzemiosła: obuwia męskie i damskie, od wielkich butów myśliwskich do najzgrabniejszych pantofelków tak lekkich, tak ładnych, że żaden mąż nie uczułby ich na sobie: wystawa robót krawieckich, damskie suknie, balowe, ranne, kwiaty, rękawiczki, perfumy, mydła, różne preparata perukarskie; dalej złotnicy, zegarmistrze, optycy, futry, skóra, cukierki, zapalki, papiery, kapelusze: jeżeli się nie mylimy to wyroby rymarskie zasługiwałyby na szczególną uwagę.

W dalszych salach różne płody ziemne: króluje tu wielka bryła wielickiej soli, a koło niej grupują się siarki, węgle, nafty i woski ziemne w różnych stopniach oczyszczenia i przerobienia; różne rodzaje glin ogniotrwałych — (pomiędzy temi zwróciły naszą uwagę gliniane wyroby z fabryki hr. Łączyńskiego z Kutkorza i bardzo ładne gliny palone (terra cotta) z Sądowej Wiszni i z Kołomyi). — Nie mogąc tego wszystkiego ocenić, wyliczać nie warto; wspomnimy więc tylko o rzeczy dziwnej a zapewne ogromnego pożytku, to jest o mapie Galicyi sporządzonej przez Biuro statystyczne Wydziału krajowego. Szczególna to mapa, na której różne kolory oznaczają rodzaj i urodzajność gruntów, stopień oświaty mieszkańców,

ilość ludzi umiejących czytać i pisać, gęstość zaludnienia itd. tak, że jeden rzut oka na te karty daje porównawczy pogląd na różne strony kraju pod względem produkcji, oświaty lub przemysłu.

Nie będziemy się zatrzymywali nad wszelkiego rodzaju zbożami, trawami pastewnymi, okopowemi potwornych rozmiarów, ani nad chodowlą ryb, ani nad pszczołami, ani nad warzywami i owocami, pominiemy i mąki i krochmale i masła sery i piwa i wódki i likiery, i przejdziemy do drugiej, prawej połowy głównego budynku.

Różne szkoły, a raczej Rady szkolne okręgowe za szkoły, urządziły bardzo ciekawą, a o ile sądzić możemy, bardzo naucającą wystawę rzeczy szkolnych. Są tu roboty uczniów różnego rodzaju i z różnych klas, rysunki od ręki i linearne, książki systematycznie zebrane, przepisane dla różnych szkół i klas od wiejskich do gimnazyów, rozprawy i książki w różnych kwestych szkolnych, wzory różnych sposobów praktycznego nauczania. Na oko wydaje się to tak wyczerpującem i zupełnem, że powinno by stać się przedmiotem osobnego sprawozdania. Czy to złudzenie miłości własnej i parafialnego patriotyzmu, czy też na prawdę rysunki uczniów szkoły realnej krakowskiej odznaczały się między innymi?

Instrumenta muzyczne, organy, fortepian w Jaśle robiony a bardzo chwalony, prowadzą zwiedzającego do wyrobów drzewnych i robót stolarskich. Pomędzy temi są rzeczy bardzo ładne, jak posadzki z fabryki hr. Drohojowskiego, jak meble lwowskie wyrobu spółki stolarzy, albo panów Kruka, Smutnego, Momockiego i t. d. Staranność i dokładność roboty jest niewątpliwie wielka: a gdyby jeszcze użyć jej do piękniejszych rysunków, otrzymałoby się śliczne meble. Niestety kształty ich przypominają gust wiedeński, nie zawsze jak wiadomo pewny i czysty. Żałowaliśmy szczerze, że prócz pana Kalisza, który wystawił zwierciadło w pięknych czarnych ramach wyroby stolarskie krakowskie nie stanęły do współzawodnictwa. Czy się go może obawiały? Zdaje nam się, że rzeczy wychodzące z warsztatów pana Myśliwca, albo Tabólskiego, albo roboty snycerskie pana Brzostowskiego, albo meble wystawiane na sprzedaż przez Stowarzyszenie stolarzy, mogłyby śmiało i z honorem pokazać się na całym świecie. Tymczasem nie było ich

na Wystawie lwowskiej, a nieszczęściem nie ich jednych tylko. Rzecz dziwna i niepojęta, jak mało jest rzeczy z Krakowa i w ogóle z zachodnich obwodów. Wspomniane zwierciadło pana Kalisza, wyroby złotnicze pana Glixellego, kapelusze słomiane pana Gelli, wystawa Rady szkolnej okręgowej, szkoły koszykarskiej, wino *szampańskie* pana Hoffa, wydawnictwo pana Gebethnera, maszyny pana Zieleniewskiego i Peterseima, i podobno już wszystko z Krakowa, z dodatkiem chyba jeszcze robót więźniów z domu karnego. Z właścicieli ziemskich zaś na prowincyi, jedyne reprezentowane licznie i świetnie są dobra Łańcuckie i Żywieckie... Arcyksięcia Alberta! Niektóre gospodarstwa, jak Marszałka hr. Wodzickiego z Tyczyna, pana Wasilewskiego z Czucza, księcia Sanguszki z Gumnisk, pana Stanisława Żeleńskiego z Grodkowic, pana Marcellego Drohojowskiego z Czorsztyna, pana Pawła Popiela z Ruszczy, pana Szybalskiego z Morawicy, przysłały to konie, to bydło, to zboże, to jaki wyrób przemysłowy, jak np. sér p. Kazimierza Żeleńskiego z Cichawy, ale w stosunku do liczby i do jakości gospodarstw w tych stronach jest to za mało, uderzająco mało. Nie można też zataić, że było powszechnie uważane i wypominane z pewnym żalem. Niektórzy chcieli aż widzieć w tem niechęć i zazdrość stron zachodnich do Lwowa i jego wystawy, znowę, umyślną protestacyą czy konspiracyą. Domyśl fałszywy. To nie znowa, tylko właśnie brak namowy i porozumienia się. Tak jak w sejmie jest partya krakowska strasznie niby zorganizowana, której cechą jest właśnie brak organizacyi, tak ta abstencya czy absencya zachodnich obywateli pochodzi z tego samego braku planu, pomyslenia o rzeczy zawczasu i zajęcia się nią gorliwie przez kilku, którzyby wielu zachęcili i poruszyli. Dla wielu powodem był zły rok i obawa kosztów, ale w przecięciu najrzetelniejszym powodem było to, że się nie pomyślało i nie przygotowało na czas. Czyja w tem wina nie wiemy, ale szkoda wszystkich, bo i wystawa przy większym udziale byłaby świetniej wypadła, i nie byłoby się dało pozorów do posądzeń a powodu do uraz, i zachodnie obwody byłyby pokazały co mają. Rzadko kiedy tak słusznie, jak w tym razie powiedzieć można: „*les absents ont tort.*“

Kto nie ma sobie nic do wyrzucenia, to hr. Włodzimierz Dzieduszycki. Jego staraniu, a w wielkiej części jego własnym rzeczom, zawdzięcza wystawa dział swój jeden z najbardziej zajmujących i powabnych. Nie mówimy o różnych artykułach dostarczonych przez dobra Poturzyckie, Zarzeckie i inne, ale o wystawie wyrobów włościańskich w pawilonie p. Dzieduszyckiego w głównym budynku. Ściany i ganki udrapowane bardzo ładnie płótnami, drelichami i słizcznymi kilimkami, których sekret musiał chyba dostać się na Podole od tureckich jeńców, bo tkanina, kolory i rysunki przypominają zupełnie dywany wschodnie, mianowicie ten ich rodzaj, który za granicą nazywa się *tapis kurde*. Są tak ładne, a przytem tak tanie, że zdaje się mogłyby robić konkurencyę wschodnim na targach europejskich. Niestety gałąź ta przemysłu jest prawdziwie w kolebce. Robotnicy umieją tkać dywany tylko w pewnych raz na zawsze oznaczonych rozmiarach, okoliczność, która obstalunkom i fabrykacyi na większą skalę stanowczo staje na zawadzie. Do tego nie są oni fabrykantami, ani nawet rękodzielnikami. Za główne zajęcie uważają gospodarstwo lub cokolwiek innego, a dywany robią w wolnych chwilach, kiedy Pan Bóg da, tak że zrobią czasem jeden na pół roku. Ale gdyby znalazł się jakiś środek wyrwania ich z tej zatwardziałej rutyny i nauczania lepszych sposobów fabrykacyi, rozwinąłby się może przemysł któremu można by wróżyć znaczne nawet po za krajem powodzenie. Ubiory włościańskie, płótna, haftowane koszule, pasy wełniane i rzemieńne, sukmany i sukna różnych kolorów, sprzęty domowe, rogózki, maty, kosze różnego rodzaju a między temi bardzo zgrabne (tu się mieści także wystawa szkoły koszykarskiej w Krakowie), oto co zapełnia pawilon, który ma prócz tego dwie główne ozdoby. Towarzystwo Tatrzańskie wystawiło znaczny zbiór robót snycerskich, który to rodzaj przemysłu ono między góralami rozwija, a hr. Stanisław Potocki z Rymonowa także wyroby założonej przez siebie szkoły snycerskiej. Po większej części są to drobiazgi, ramki, cygarniczki, lichtarze, pularesy, zabawki dla dzieci, ale zdarzy się czasem i krucyfiks i jaka figura Świętego; Towarzystwo Tatrzańskie popisuje się nawet dużym zręcznie wyciosanym góralem. Znawcy przyznają więcej wykończenia a może i więcej smaku robotom

Rymanowskim, a utrzymują że przemysł ten mógłby może zastąpić po części podobne wyroby szwajcarskie, gdyby nie ceny stosunkowo wysokie. Artykuły tego rodzaju jeżeli chcą mieć zbyt znaczny, muszą koniecznie być tanie.

Druga ciekawość to duży zbiór garnków, misek, talerzy, dzbanów, rynek, lichtarzy glinianych wszelakich rozmiarów, kształtów i kolorów. Trudno uwierzyć, jak ta rzecz, na którą nie zwraca się uwagi na tygodniowym jarmarku, kiedy jej się dobrze przypatrzyć, uderzy różnemi zaletami kształtu, rysunku, doboru kolorów itd. Ztąd podobno zakupił prof. Eitelberger najwięcej przedmiotów do austriackiego Muzeum. W bliskim pokrewieństwie z polewanemi garnkami jest piec z polewanych kaffi p. Bazylego Szostopalskiego z Sokala — każdy kafel żółtawo-szarego koloru pyszni się zieloną sroką czy papugą. Przy wielkiem dziś poszukiwaniu polewanych kolorowych pieców, mógłby fabrykant znaleźć znaczny odbyt, gdyby zmieniał rysunki i kolory na swoich kafflach. Niestety i on podobno ma tylko jakiś tradycyjny sekret a nie znajomość swojej sztuki, i nic innego na kafflach zrobić nie umie tylko srokę czy kawkę, i to koniecznie zieloną.

Nie skończyły nigdy, toby chciał wszystko nie mówię opisać, ale tylko wyliczyć, a że do końca spieszyć trzeba, więc mimochodem wspomnimy o wystawach osobnych i własnych. Najlichniesza i najbogatsza będzie zapewne Arcyksięcia Alberta z Żywca, najładniej urządzona Krasiczyńska księcia Adama Sapiehy. Śliczny powilonik z kory mieści w sobie naprzód różne produkta gospodarcze i artykuły przemysłu właściciela samego, między temi z uszanowaniem przechodzi się koło butelek wina, tak jest, prawdziwego wina polskiego z Podolskich dóbr księcia, a oprócz tego dał pawilon gościnność wyrobom różnych krasiczyńskich rzemieślników. Stolarszczyzna zwłaszcza jest do podziwienia: posadzki, stoły wyglądające jak mozaika z sęków, bardzo ładne meble ogrodowe z korzeni i kory; wyroby metalowe nie ustępujące drewnianym, naprzekład wilki do komina i łańcuchy do zawieszania lamp lub pajaków bardzo starannej i misternej roboty. Zboże, zasiewy leśne, owoce, konie, bydło, piwo, pstrągi i wiele zapewne innych rzeczy które nam wyszły z pamięci, uzupełniają tę wystawę bardzo widocznie bardzo wszechstronnego i energicznego

gospodarstwa. Jak żeby do pary stoi po przeciwnej stronie bramy wchodowej pawilon hr. Alfreda Potockiego; nie tak ozdobny na pozór, może bogatszy jeszcze i rozmaitszy co do wystawionych przedmiotów. Ze szczególnem zajęciem ogląda się bydło włościańskie z dóbr Łańcuckich, wystawę drzewek owocowych, przekroje i narośle drzew, narzędzia rolnicze własnego wyrobu itd.

Miasto Drohobycz, jedyne z miast, ma także wystawę osobną: sól i nafta (ta, ze wszystkimi swojemi przyległościami jak woski ziemne itd.) zajmują tu pierwsze miejsce, a obok nich między wieloma innymi zwracają uwagę naczynia kościelne i wielki kurantowy zegar bardzo pracowitej, mozolnej roboty, szkoda że nie użyto do niej piękniejszego rysunku. Warto jeszcze wspomnieć o odlewach brązowych p. Mozera ze Lwowa, między którymi odznaczają się dzwony z bardzo pięknym głosem, i lichtarze kościelne lub świeczniki oryginalnych bardzo ładnych kształtów. Z osobna jeszcze stoi pawilon prof. Syrskiego, w którym przez szklane szyby widzi się ryby krajowe różnych rodzajów, a dwóch czy trzech innych wystawców przysłało znaczną liczbę ogromnych królików. Sądziłyśmy, że króliki te mają służyć do urozmaicenia polowań, tymczasem pokazuje się, że mają przeznaczenie więcej praktyczne. To króliki opasowe, na rzeź: a wielka ich mnożność i łatwe wyżywienie sprawiają, że mogą być bardzo podobno pożyteczne dla ludności, która nie zawsze może zdobyć się na droższe mięso.

A jak żeby na to by niczego nie brakło, odbywała się równocześnie, choć osobno, w domu Narodnim, wystawa obrazów. Co jest imion znakomitych w polskim malarstwie, a jest ich teraz wiele, od Rodakowskiego który pierwszy z Polaków zdobył sobie pędzlem sławę na świecie, do Siemiradzkiego który ją zdobył świeżo, nie brak podobno żadnego ze znanych i głośnych, a są i tacy którzy jeszcze mało lub wcale nie znani, wkrótce może staną się głośnymi. Rodakowskiego jest jeden tylko obraz, bardzo już znany, ale im więcej na niego patrzeć tem piękniejszy, *Kaznodzieja*: Matejki także tylko jeden i także znany oddawna *Wit Stwosch*, i w kopii niestety, a do tego o ile nie znając oryginału sądzić możemy, w nieszczęśliwej kopii, *Stańczyk*. Siemiradzki dał jedno tylko studium,

głowę kobiety: doskonałością wykonania i charakterem głowa ta przypomina kobiety z jego *Handlarza Amuletów*. Jak one zdaje się być Rzymską damą... czy może *petite dame*, nie wiemy, bo jak one widocznie jest z tych czasów kiedy różnica między jedną a drugą znikała. Współczesna Messaliny, jak ma jej wybredność w doborze miękkich materyj i klejnotów, tak ma i jej rodzaj ciała i duszy, twarz ładną, bez myśli, bez wyrazu, twarz która mówi to jedno że ta kobieta nie umie ani myśleć ani czuć ani chcieć, tylko co najwięcej grymasić. Charakterystyczny bardzo, mistrzowski w wykonaniu zwłaszcza akcessoriów, obraz ten nie powiemy żeby był pociągającym.

Dużo starych znajomych z Krakowa, zawsze z wielką przyjemnością widzianych, jak krajobrazy p. Maleckiego, Gieryskiego sceny z ostery włoskich, akwarelle Kossaka, — są i portrety Grabowskiego, i *Wierzynek* Abramowicza, pomijamy to wszystko jako zbyt znane, śpiesząc do tego co dla nas a zapewne i dla czytelników będzie nowem.

I tak, są dwa obrazy Gersona. Jeden ofiarowany przez artystę na loteryę dla zapomożenia funduszu naukowego imienia Szajnochy, przedstawia Łokietka tułacza, wypoczywającego, uśpionego, a strzeżonego przez ukrywających go wieśniaków. Drugi, jest jeżeli się nie mylimy największą a zapewne i najpiękniejszą kompozycją swego autora: Kopernik tłumaczy przed Alexandrem VI i jego dworem swój system astronomiczny. Wyznajemy że nie jesteśmy wielkimi przyjaciółmi tych obrazów które mają rozciekawiać widza znanymi historycznemi nazwiskami, a w jakiejś chwili dowolnie przez artystę wymyślonej reasumować niby jakąś epokę, takich na przykład pracowni Rafaela, Leonarda, Michała Anioła i t. d. Zdaje nam się że jest w nich zawsze coś dowolnego, coś umyślnego, coś szukanego, i że ludzie najczęściej służą w nich za pretext dla przyborów i ubiorów. Żeby w tym obrazie pana Gersona wcale nie było znać zamiaru i szukania, tego nie śmielibyśmy powiedzieć: sam przedmiot nie jest z tych co nasuwają się same ale które się wybiera dla tego że dają sposobność do rozwinięcia i pokazania pewnych właściwych autorowi przymiotów, zdolności i studyów. Ale zrobiwszy to zastrzeżenie najchętniej przyznajemy pierwsi że jeżeli zamiar był, to przynajmniej się

udał, że jeżeli cokolwiek nadto może znać studia, to znać studia gruntowne i dobre: że ułożenie figur i grupp jest bardzo piękne i pełne smaku, że każda z tych figur ma swój wyraz, swoją charakterystyczną postawę, swój ruch nieraz bardzo szczęśliwy — (niektóre z nich przypominają nieco tego lub owego znajomego z Hemicyklu Pawła Delaroche) — że Kopernik jest bardzo szlachetną postacią, że Cezar Borgia, podobny (choć młodszy) do tej sławnej głowy z galeryi Borgheze która podobno mylnie za jego portret uchodzi, ma i coś z wielkiego charakteru tamtej, że stroje, materye, przybory wykonane są z efektem ale i z umiarkowaniem, i że wszystko razem stoi zdaniem naszym nieskończenie wyżej od *Jagielly* i od *Krzyżaków*.

Pan Leopolski dał „*Śmierć Klonowicza*.” Dla czego to Klonowicz właśnie, nie wiemy; zdaje nam się że tak samo mógłby to być kto inny. Starzec konający, przesadnie wychudły i nędzny, przy nim na krześle książd z niemiłym twarzym wyrazem twarzy. Oba razem mają zapewne być uwiecznieniem na płótnie podania o prześladowaniu Klonowicza przez księży i szlachtę, ale trzeba sobie podanie to przypominać żeby wyrozumieć myśl artysty która sama wyraźnie się się nie tłumaczy. Za to zdaje nam się że obraz ma rzetelne zalety perspektywy kolorytu i półcieniów, zwłaszcza w traktowaniu tła przedstawiającego mury więziennej celi.

Pan Hipolit Lipiński którego *Targ na Kleparzu* i drugi na Szczepańskim placu tak wielkie miały powodzenie, przysłał obraz bardzo ładny, ale, z zamiarem artysty czy bez niego, okropnie smutny i przykry. Dwóch żydów tandeciarzy, jeden stary drugi podrostek, wynosi z jakiegoś domu różne rzeczy, a między temi stary polski pas lity który chciwem a szyderczem okiem oglądają. Czy to symbol? Obraz jest bardzo ładny, ale za nic nie chcielibyśmy mieć go u siebie i zawsze na niego patrzeć. Znaczne wrażenie robiły obrazy pana Gottlieba z Drohobyczy. Jeden z nich, *Uriel Accosta* tłumaczący Judycie Vanderstraaten jakąś filozoficzną księgę, był przed kilkoma miesiącami na wystawie krakowskiej. Nie bardzo lubimy scenę z poematów w obrazach, (a dopieroż z poematów Gutzkowa!), ale przyznajemy zupełnie że ten hebrajski Abe-lard ze swoją uczennicą jest pełen zalet bardzo obiecujących.

Zwłaszcza on sam: mogą być błędy, może być jak mówią malarze brak dostatecznego modelowania zwłaszcza w twarzach, ale jest w tym Urielu tyle wyrazu i tyle żydowskiego typu a wcale poetycznego, taka głęboka melancholia w oczach a taka namiętna zmysłowość w ustach, że jest on niezaprzeczenie dziełem niepospolitego talentu. Drugi obraz przedstawia starego poważnego żyda żegnającego się smutno z młodą dziewczyną. Mógłby on podobać się bardzo gdyby nie jego tytuł. Ale katalog mówi że ten patryarcha z białą brodą to Shylock, ta dziewczyna to Jessica, a spektator który zna Szekspira nie może pogodzić tej twarzy z duszą sławnego Lichwiarza. Jeżeli to Shylock to jakiś różny zupełnie od tego którego Szekspir napisał. Ale powiedzmy że to Starzec i Dziewczyna a znajdziemy że obraz bardzo ładny. Jest jeszcze tego samego artysty portret młodego mężczyzny w arabskim stroju i z rysami bardzo wschodnimi, (widocznie artysta lubi Izraelskie typy i przedmioty), który co do naszego gustu postawilibyśmy wyżej od dwóch poprzednich jego robót.

A nakoniec nieznan i początkujący, których witamy serdecznie, z gorącymi życzeniami i ze szczerą a bardzo dobrą nadzieją. Oto na przykład głowa starego Araba, studyum tylko, ale tak energiczne, tak pełne życia, takie tegie, jeżeli się tak można wyrazić, że na wiarę tej głowy można już policzyć pana Jacka Malczewskiego do najbardziej obiecujących między młodem pokoleniem polskich malarzy. A dalej małe olejny obrazeczki, tak małe, że go dojrzeć trudno, fiołek którego trzeba szukać; na nim rekonesans, dwóch czy trzech ułanów na koniach. Ludzie i konie w swoich mikroskopicznych rozmiarach zrobieni tak ładnie i tak żywo i dzielnie, dowodzą, że jabłko nie daleko od jabłoni, że krew nie kłamie, i że młodziutki pan Wojciech Kossak nie odrodził się od ojca, choć może będzie miał inny kierunek wyobraźni i inny sposób malowania. Bardzo ładną dziewczynkę pana Wyczółkowskiego widzieliśmy także w Krakowie; ale oto artysta, który dotąd ile wiemy nie dał się poznać publiczności, pan Rybkowski z Monachium. Przypadkiem zdarzyło nam się widzieć w posiadaniu prywatnem obrazek jego przedstawiający chłopskie wesele ruszające z przed kościoła po ślubie, i byliśmy zdziwieni wykończeniem drobniutek figurek, ich ruchem i ty-

powemi twarzami, bardzo zręcznem ustawieniem grup i miłym, harmonijnym, spokojnym tonem kolorytu. Te same zalety, i w stopniu nie mniejszym, posiada wystawiony obrazek „*Przygotowanie do Zajazdu*“ z Pana Tadeusza. Uchwycona jest tu chwila, kiedy z dworku Macieja wysypują się Dobrzyńscy na przywitanie Hrabiego, który z dzokiejami i w hiszpańskim płaszczu z wielkim efektem galopem wpada na podwórko.

Cóż powiedzieć na koniec? Że ten widok tylu zebranych na jednym miejscu dowodów trwającego, owszem rozwijającego się życia w różnych kierunkach, ten postęp pracy i postęp w jej skutkach na polu czy gospodarstwa, czy przemysłu, czy fabryk, czy rzeczy szkolnych, czy wreszcie sztuki, był niezmiernie miłym i pocieszającym? Że się widziało to co rzeczywiste, co pewne, co własną głową i ręką zdobyte, i że się w tem wszystkim czuło zapas siły i życia? że patrząc na to, miało się takie wrażenie, jak żeby fundamenta pod pełniejsze i lepsze życie rzeczywiście kładły się w naszych oczach? że nie możemy wierzyć, iżby to wszystko zostać miało bezpłodnem i niepożytecznem? że kto był i widział, ten opuszczał wystawę z wielką wdzięcznością dla Towarzystwa Rolniczego i dla komitetu wystawy, i zwłaszcza, powtórzmy to jeszcze raz, dla jego Prezesa? To wszystko rozumie się samo przez się. Dodajmy więc chyba to jedno, że nigdy może Lwów nie wydał nam się tak pełnym życia prawdziwego, rzeczywistego, normalnego, zdrowego i wielostronnego, a przez to tak miłym do widzenia. Bo kiedy zabiegliwa i czcigodna Marta dowodziła oczywiście, że krząta się około wielu i krząta skutecznie, „*und reget ohn' Ende die fleiszigen Hände*“, to Marya zapomnianą i zaniedbaną nie była, i miała w pobycie Nuncjusza Apostolskiego także swój rodzaj wystawy, gdzie pokazała że jest, że żyje, że czuje i wierzy jak powinna, a myśl i serce swoje trzyma wysoko. A jak jedna ma prawo do nadziei, że staraniem swoim przysporzy krajowi i narodowi tych sił ziemskich, bez których na ziemi żyć nie można, tak druga spodziewa się i wierzy, że przez te odwiedziny dawno niewidziane, dawno upragnione, przybędzie jej sił ducha, siły wiary,

miłości, jedności, środków do utrzymania i podniesienia duchowego i religijnego życia, bez którego nie ma przyszłości ani w niebie, ani, niech kto co chce mówi, nawet na ziemi. Jedno i drugie natchnęło nas dobrą otuchą i jakąś pocieszającą do siebie samych ufnością.

I dla tego dobry to był miesiąc w Galicyi i godzinę pamięci ten wrzesień 1877 roku.

St. Tarnowski.

X. PRAŁAT JAN KOŹMIAN

† 19 września 1877 r.

Pod wrażeniem nowego ciosu, jakim jest dla całego kraju śmierć ś. p. X. Prałata Jana Koźmiana, przychodzi nam już chyba zawołać razem z Psalmistą: „...Panie dopókiż?...“ pomnąc na to, jak od pewnego czasu co roku zabiera nam Bóg po kolei naszych najdzielniejszych pracowników i przewodzców i to w samej jeszcze sile ich wieku i działania. Że świeżo zmarły X. Koźmian był jedną z najwybitniejszych, najczynniejszych i najbardziej wpływowych osobistości w społeczeństwie naszym zresztą niebogatem w ludzi jak on całych z jednego odlewu, że posiadał dar u nas najrzadszy, bo umiał w swoim zakresie przodować i rozkazywać tak, że go słuchano; o tem wszyscy wiemy i dowodzić to a nawet przypominać jest zupełnie zbytecznem. Zastanowić się jednak warto i wypada nad tem, jak on doszedł tego sekretu, żeby mózdz rozwinąć długoletnie rozległe i tak *skuteczne* działanie w kraju, gdzie wśród nieobliczonych zewnętrznych i wewnętrznych przeszkód skutecznie działać i to na większy rozmiar, jest rzeczą najtrudniejszą, graniczącą prawie z niepodobieństwem. Złożyły się na to niezaprzeczenie: wyjątkowa organizacya zmarłego, nadzwyczajne zdolności, pamięć szalona, niezwykle koleje życia. Ileż to jednak było u nas wielkich zdolności, ileż z nich przechodziło

te same co i X. Jan koleje losu: — udział w powstaniu 1830 roku i długoletnią emigracją — a jak nie wielu usposobiło się do tak wszechstronnego i tak skutecznego, a co najważniejsza *na swojskim gruncie* działania. X. Koźmian przez to stanął tak wysoko i w tem był sekret jego potęgi w umysłowym i praktycznem życiu, że pomimo nadzwyczajnych zdolności umiał przez długie lata za granicą szczerze i bez wytechnienia nad sobą pracować, i z tych to lat pracy nad sobą zbierał potem plon obfity w pracy nad drugimi i dla całego społeczeństwa polskiego.

Już młodzieńca a raczej wyrostka 16-letniego zahartowała ciężka służba wojskowa przy artylerji pod kapitanem Radowieckim. Jako podoficer brał udział w bitwach pod Wronowem, (rodzinną swoją wioską w Lubelskiem) Kazimierzem, Łysobokami, Szymanowem, Ołtarzewem, gdzie dostał się był do niewoli ale uszedł do Warszawy, z kąd po wzięciu jej musiał emigrować. Za granicą nie spoczął na laurach przebytej kampanii, ale gdziekolwiek był, imał się pracy. Po krótkim pobycie w Hannoverze, Brukseli i Paryżu udał się do Tuluzy i tam na nowo studenckie życie rozpoczął i kilkoletni kurs prawniczy z egzaminami przebył, chcąc być adwokatem. Ale dopiero w Paryżu, gdzie po skończonych studiach prawa wrócił, zaczęła się wysoka szkoła jego życia, a życie w Paryżu było dla niego szkołą, bo się umiał uczyć nietylko z książek, ale więcej jeszcze od ludzi. Nie błąkał się po manowcach przeróżnych emigracją polską nurtujących partyj i obłędów, bo czy dawna tradycja rodziny Koźmianów (matka jego Wiktorja Mikulicz z domu była protestantką) czy też później bystry jego umysł szczerze szukający prawdy, a w każdym razie łaska Pana Boga pomogły mu, że już wtedy był wiernym synem kościoła, gotowym do walki pod katolickim sztandarem. To też znajomych i przyjaciół dobierał sobie w kołach katolickich, łączył się z najzdrowszą częścią emigracyi, z tymi co wraz z Bogdanem Jańskim na gruncie katolickim stanęli, jak ś. p. O. Kajsiewicz, O. Semeneńko i podówczas jeszcze Mickiewicz, i ztąd to z ojcem Kajsiewiczem i domem Zgromadzenia Zmartwychwstańców dozgonne węzły przyjaźni go łączyły. Prócz tego najwięcej pokarmu dla swych katolickich uczuć i nienasyconej rządzy wiedzy i nauki znajdował

w najświetniejszym podówczas gronie katolików francuskich, w otoczeniu hr. Montalamberta, który ś. p. Jana Koźmiana wysoko cenił szczególną przyjaźnią obdarzał i później nawet w Poznaniu odwiedził, przy tem ciekawością zapoznania się z polskimi zabytkami chrześcijańskiej sztuki wiedziony, którą w nim niegdyś nasz X. Jan zaszczeplił. W takim otoczeniu najznakomitszych francuskich i polskich uczonych, poetów i publicystów ówczesnych, przy niezmiernych zdolnościach, szalonej pamięci i żelaznej pracy, potęga umysłowa ś. p. X. Jana przybrała te olbrzymie rozmiary, które wszyscy co go znali podziwiać musieli. Bo też mało kto na świecie do tego stopnia jak on urzeczywistnił w sobie tę starą maksymę: że nic ludzkiego nie powinno nam być obcem. We wszystkich gałęziach nauk humanitarnych doszedł do szerokiej a często i głębokiej pozytywnej wiedzy, której mu specjaliści pozazdrościć mogli; był biegłym zarówno w historii jak literaturze powszechnej i swojej, jego sąd trafny w politycznych i filozoficznych kwestiach zjednywał mu wszystkich, gorąco zajmował się sztuką, życiem artystycznym i znał się zarówno na malarstwie jak na muzyce; można powiedzieć, iż nie było znakomitszego płodu w pięknej literaturze czy w sztuce, którego X. Jan nie znał, nie przetrawił, a do końca życia w duchownym nawet stanie wśród niezliczonych zajęć tę ciekawość dla europejskiego ruchu literackiego i artystycznego zachował. Dopełniły i rozszerzyły widnokrąg młodego człowieka podróże, które w czasie wygnania po Francyi, Hiszpanii i Włoszech głównie w celu poratowania nadwątlonego zdrowia odbywał. Wreszcie przyszedł czas, kiedy dojrzałemu już mężczyźnie sama tylko nauka i praca nad sobą nie mogły wystarczyć, zwłaszcza naturze tak z gruntu praktycznej i czynnej jak X. Koźmiana. Pragnął on gorąco na szerszy rozmiar „zaciągnąć się — jak mawiał — do służby pod chorągwią obowiązku“, a dwojaki praktyczny zawód jaki mu przypadł w udziale jeszcze na wygnaniu, pokazuje od początku, że przede wszystkim dwom obowiązkom chciał zadość uczynić: obowiązkowi religijnemu i obowiązkowi narodowemu, zaczął bowiem wydawać ze słynnym później Veuillotem pierwsze katolickie *Révue* w Paryżu, by służyć kościołowi — i stanął na czele założonego właśnie instytutu wychowawczego dla mło-

dzieży polskiej, by i w obczyźnie służyć narodowi. Odtąd dewiza na tarczy słynnego rycerza Księcia Czarnego: „Ich die-
ne — służe,” którą często elewom swoim zalecać lubił, była jego godłem.

By od tej chwili, kiedy po dwunastoletniem wygnaniu, dzięki Opatrzności i wpływowi generała Chłapowskiego, ś. p. ksiądz Koźmian mógł zamieszkać w Berlinie (r. 1844) a potem osiąść w Poznańskim, by odtąd działalność Jego choćby jak najzwęższej streścić a nie powtarzać żywcem tego, co już po różnych pismach codziennych powiedziano, potrzebaby bardzo rozszerzyć ramy krótkiego, pośmiertnego wspomnienia jestto temat do większej monografii, i mamy nadzieję, że czytelnikom pisma naszego wkrótce obszerniejszy artykuł o tak pełnem życiu świeżo Zmarłego podamy. Tu przedewszystkiem chcemy tylko oddać winny hołd Jego pamięci i to tylko nacechować, czem się szczególniej ta potężna postać wyróżniała.

Choć tyle lat spędził za granicą, nie stracił nic swojego, oprócz chyba może niektórych wad narodowych. To też gdy w Berlinie osiadł i z gronem polskiej młodzieży na wykłady tamtejszej wszechnicy uczęszczał i wszelką pracę z nimi i zabawy dzielił, widziała w nim ta młodzież jakby starszego brata i kolegę, bo wszystkich serca a wnet i głowy pozyskać sobie umiał. Ani domyślał się pewnie wielki mistrz Hegel podówczas wszechwładny, któremu niestety całą plejadę naszych pseudo-polskich filozofów zawdzięczamy, jak niebezpiecznego w tym nowym przybylszu do Berlina miał przeciwnika, ile on dusz polskich od wpływu jego fałszywej doktryny oswobodził, stawiając przeciw jego zimnemu absolutowi i jego idei bezwzględnego państwa, gorącą wiarę w żywego Boga i w Kościół Jego powszechny, a rozgrzewając przy tem serca młodszych swoich kolegów, niejako pod opiekę mu oddanych, wielkimi przykładami z ojczystych dziejów, które jak on mało kto znał, rozumiał i naukę z nich dla współczesnych czerpać umiał. Najświetniejsze dał tego dowody w piśmie, które wówczas w Poznaniu założył i z Berlina prowadził. Roczniki „*Przeglądu Poznańskiego*“ niestety już teraz za mało znane i czytane: to żywy i niespożyty pomnik, jaki sobie sam ś. p. X. Jan wystawił, a będą one kiedyś jednym z najcenniejszych źródeł do historyi czasów, w których wychodziły; duch zaś

licznych artykułów Redaktora, któremi wiele zeszytów zapełniał, jest gotowym programem: z jakiego stanowiska powinny być traktowane dzieje naszego narodu.

Jak gdyby Opatrzność sama gotując w przyszłym X. Janie skuteczne narzędzie ku podniesieniu ducha narodu, nie chciała mu odjąć żadnej cechy plemiennej, i przez to tem bardziej z narodem go zespolić i dać mu w ducha jego wnikać, dozwolonem mu było ożenić się, osiąść na wsi w Wielkopolsce i przez lat kilka wieść żywot polskiego szlachcica wśród gospodarskich kłopotów i trudów, przywyknąć do tego pług polskiego, którego „zdobycze“ Karol Szajnocha w ślicznym szkicu swoim tak wysoko postawił.

Ale wnet z rozdartem sercem przekonał się ówczesny Pan Jan z Kopaszewa, gdy w r. 1853 ukochaną małżonkę (córkę jen. Chłapowskiego) utracił, że i to życie na wsi w przystani kółka rodzinnego nie było dla niego, jak dla wielu, kresem doczesnego żywota, lecz tylko nowemi jeszcze latami próby, poczem go Bóg na wyższy szczebel „służby“ w Swoim Kościele powołał; a potrzeba do tego zawsze niezwyklej wspańiałości serca i wielkiego hartu duszy, aby pójść za takim powołaniem Bożem, mając już lat czterdzieści kilka, po tylu trudach i zawodach życie na nowo zaczynać studyami, egzaminami z zaparciem się siebie i wszystkich świeckich nawyków. Jestto kamień probierczy, o który już nieraz i wielkie dusze się rozbiły. Nie daleko szukając, przyjaciel zmarłego wielki wieszcz nasz Adam utknął na tym kamieniu, nie odpowiedział głosowi Bożemu, nie sprostął powołaniu do duchownego stanu, choć go czuł w sobie; ś. p. Jan przetrwał zwycięzko i tę wielką próbę.

Dopiero jako kapłan po przebytych studyach teologicznych w Rzymie, Poznaniu i Gnieźnie ś. p. X. Jan Koźmian w całej pełni rozwinął wszechstronną działalność swoją, gdy wnet w metropolii kościoła polskiego stanął przy boku Prymasów jako ich prawa ręka. Odtąd już żaden czyn Jego nie szedł marnie, bezskutecznie, a życie Jego całe było w czynie; nowe instytucje do życia budził, dawne z upadku dźwigał, wszystko sam prowadził, a czego się dotknął zaraz nowem tchnęło życiem, bo nietylko miał wielki dar inicjatywy, ale i rzadszą jeszcze moc wytrwania w raz powziętem dziele. Przytem nie

szedł pojedyńkiem, jak to robią zwykle u nas wyżsi ludzie, lecz umiał wszystkich w koło siebie do pracy zaprzęgać, umiał pracę organizować. A w tem właśnie pomagało ś. p. X. Janowi niezmiernie Jego wszechstronne wykształcenie Jego szeroka wiedza, to że nic ludzkiego nie było mu obcem. Przeszedłszy sam w świeckim i duchownym stanie najodleglejsze od siebie zawody i szczeble ludzkiego życia; jako student, żołnierz, uczony, publicysta, pedagog, gospodarz wiejski wreszcie kapłan i rzymski dygnitarz kościelny, wszędzie sam oświadczył oko w oko potykając się z życiem i zawsze na seryo biorąc obowiązki, tak poznał świat do gruntu, tak znał ludzi tak wiedział jak do każdego trafić, — bo będąc uniwersalnym z każdym miał coś wspólnego, — tak wiedział ile na kogo liczyć, ile od kogo wymagać można, a imponującym wystąpieniem rozumem i przykładem niespożytej energii, tak działał na otoczenie, przytem szczerością obejścia i kochającym sercem tak ujmował, że mu niczego odmówić nie było można, że robił wszystko co chciał i udawało mu się; wszystko co lepsze w kraju szło z nim ręką w rękę, bo nigdy niczyjego zaufania nie zawiódł ani też nie nadużył. A miał czas na wszystko, długiem, wytrwałem ćwiczeniem przy nader szczęśliwej organizacyi doszedł do takiej maestryi, takim był rzecby można wirtuozem pracy, iż był w stanie od najzawilszych i największego skupienia wymagających zajęć przechodzić wprost do najpotoczniejszych i wracać znów do poprzednich, a zawsze z tą samą przytomnością umysłu, która go nigdy nie opuszczała.

W działaniu społecznem jak pierwaj tak i w duchownym stanie głównie dbał o młodzież, chodziło mu o to żeby wychować nową generacyę bez staropolskich błędów, przesądów i przywar, i w tem działalność jego o wiele przechodziła granice Wielkopolski, bo gdy założył swój instytut wychowawczy zewsząd zamożniejsze rodziny polskie powierzały mu synów, a pamiętał i o uboższych, dla których drugi instytut założył. Jaką praktyczną zasadą kierował się w wychowaniu tej młodzieży, w której rękach lepszą przyszłość narodu chciał widzieć, sam to najprościej wypowiedział, gdy właśnie rok temu blisko jego dawni uczniowie niewygasła wdzięcznością dla księdza Jana Koźmiana przejęci z różnych części Polski i z różnych stanowisk w liczbie kilkudziesięciu do Poznania się

zjechali i tym zjazdem i fundacją stypendyum dla Tow. Pomocy Naukowej na jego imię, skromną a rzewną owacyę mu zrobili, wtedy to przy wspólnej uczcie powiedział im X. Jan te złote słowa: „Powtarzałem wam zawsze, że każdy powinien sobie obrać zawód wyraźny, praktyczny i nawet wtedy, gdy nie potrzebuje, tak się przysposobić, aby sobie zapewnić niepodległość i módz w razie, gdyby się fortuna, zwykle niestateczna, odwróciła, pracą usilną godność osobistą uratować. Ileż to razy powtarzałem wam, że niema nic opłakańszego i mniej na współczucie zasługującego jak proletaryat szlachecki“.

Wreszcie w działaniu politycznem i religijnem ktoby chciał zwłaszcza od wybuchu t. z. *Kulturkampf* wyliczyć wszystkie śp. X. Prałata zasługi, musiałyby chyba całą historię ostatnich lat Księstwa Poznańskiego spisać, bo wszyscy to wiemy, że wraz z J. E. Kardynałem Ledóchowskim główną sprężyną tego moralnego oporu, jaki to małe Księstwo z podziwienia godną siłą i wytrwałością niemieckiemu kolosowi stawia, był nieboszczyk ks. Prałat. Że od niego prześladowanie w księstwie się zaczęło zniesieniem konwiktu, że od czasu więzienia i wywiezienia J. E. Kardynała Ledóchowskiego i X. Biskupa Janiszewskiego, on był w kraju tą opatrnościową osobistością na którą wszystkich oczy się zwracały, bo wszystkiem rządził, pomimo że i sam był więziony; że był ojcem dla wszystkich tak zwanych *księży Majowych*, którzy od czasu jak nie uznali *praw majowych*, zmuszeni tułać się od domu do domu w kraju i za granicą, są to wszystko rzeczy nadto wszystkim znane i wiadome, nadto świeże, aby je przypominać trzeba, a wiele innych ukrytych prac, trudów i zasług ś. p. X. Prałata, nie czas jeszcze odsłaniać wobec wrzących namiętności nieprzyjaciół i żywej jeszcze walki, pośród której ten wódz dzielny padł pod gromem niespodzianej śmierci właśnie kiedy:

„Balsam Go rzymski ukrzepił w ochocie...“

Takiego Męża Bożego i wielkiego kapłana straciliśmy; czyż dlatego mamy upadać na duchu, szemrząc na wyroki Opatrzności? byłoby to najgorzej się przysłużyć pamięci zmarłego, bo nie taki ś. p. X. Jan Koźmian zostawił nam po sobie testament: On który choć serce nieraz pękało, choć piętrzyły się trudności, nigdy rąk nie opuszczał, nigdy małodusznie nie wyrzekał, ale z tem większą energią pracował i wal-

czył, pracować i walczyć kazał; ten przykład jego to najdroższa po nim dla nas winna być spuścizna. Kiedy Opatrzność zabiera nam ludzi, którzy za nas sami o wszystkim myśleli, sami za nas wszystko robili, wszystkim dla nas byli, to znak, że przychodzi czas, w którym winniśmy ich pojedyncze tytaniczne wysilenia zastąpić siłą zbiorowego działania, winniśmy pracę ich między siebie rozdzielić, i pod tym samym sztandarem dalej w masie walczyć i pracować, poświęcać się i służyć. Teraz po tej świeżej stracie obowiązek ten spada przedewszystkiem na ten kraj, który ś. p. ks. Koźmianowi najwięcej zawdzięcza, a stratę Jego najdotkliwiej uczuć musi, i nie wątpimy że osierocona Wielkopolska złączonemi siłami i nadal żyć będzie pod sztandarem nieśmiertelnego ducha swego księdza Jana: „pod sztandarem służby w obowiązkach religijnych i narodowych.“

W chwili zamknięcia zeszytu otrzymaliśmy list od naocznego świadka śmierci ks. Prałata Koźmiana, choć list ten właściwie nie był przeznaczony do druku, pozwałamy sobie dołączyć go do powyższego wspomnienia pośmiertnego, w nadziei, że pożądane będą czytelnikom naszego pisma bliższe szczegóły tego przedwczesnego zgonu:

„Pobył Prałata w Rzymie był ostatnim trudem w niezliczonym szeregu trudów poniesionych dla miłości Pana Boga i bliźniego, dla miłości Kościoła i Polski, ale zarazem i ostatnią pociechą, jaką mu Pan Bóg chciał zgotować na tym jeszcze świecie. Zacząwszy od Papieża przyjmowany przez wszystkich nadzwyczaj serdecznie, słuchany skwapliwie, mnóstwo popchnął spraw i interesów, mnóstwo doznał dowodów czci i miłości, i z wielkiem weselem serca Rzym opuszczał. Przyczyniła się do tego inna jeszcze okoliczność, a to że podróż po Włoszech odbywał wraz z dwoma synami najserdeczniejszego swego przyjaciela, którym, jak to kilkakrotnie powtarzał, chciał jeszcze przed śmiercią sam Włochy pokazać. Kto znał ogrom wiedzy ks. Prałata na każdym polu, a więc i historii i sztuki, ten łatwo zrozumie, co to za rozkosz i co za korzyść podróżować z nim po tak klasycznej ziemi. Ta ostatnia okoliczność zbli-

żyła nas w Rzymie, nieraz zajęty ważniejszymi sprawami, powierzał mi *swoich chłopców*, jak ich nazywał, do oprowadzania, nieraz też jeździliśmy z nim razem, i wtedy Prałat widząc jak mało znam Włochy, a jakbym je poznać pragnął, zrobił projekt, bym jechał z nim do Assyżu. Oczywiście przystałem na to, a następnego zaraz dnia Prałat dodał Perugię, a gdyśmy wyjeżdżali w sobotę wieczór (15 wrz.) już mi zapowiedział, że mnie weźmie aż do Florencyi. Ale już parę dni przed wyjazdem nie czułem się dobrze, w nocy z piątku na sobotę spałem źle i skarżyłem się na niestrawność, przy wyjeździe był jakiś smutny i mało mowny, dość zmieniony na twarzy i widocznie znużony, pomimo tego wszelkie prośby by w Rzymie został były nadaremne. Całe życie nadzwyczaj stanowczy i energiczny a przytem mocnego zdrowia, gdy widział że czas już wyjechać, był w raz powziętym zamiarze nieugięty. Przytem jak się później pokazało, naznaczył jednemu ze swych znajomych zjazd w Wenecyi, i zapowiedział kiedy do Poznania wróci, a że był nadzwyczaj słowny, i nie znał przeszkody, gdy chodziło o spełnienie obowiązku, więc też i na oznaczone terminu chciał stanąć koniecznie. W Assyżu gdzie przybyliśmy około 4ej rano, Prałat czuł się gorzej, i zaraz położył się do łóżka i do kościoła nam nie towarzyszył. Mieliśmy do Perugii jechać zaraz o 9tej rano, ale gdyśmy widzieli stan niedobry Prałata, udaliśmy że chcemy w Assyżu wszystko dokładniej zobaczyć, a pominąć Perugię; przystał na to, i tak mógł dłużej odpocząć i uniknęliśmy dlań trudu nowego wysiadania z kolei, co go nadzwyczaj męczyło. Doktora jednak zawezwać nie chciał, mówiąc że musi jechać dalej, a doktor by go z pewnością zatrzymał, i obiecał że weźmie doktora w Wenecyi, a zarazem zapowiedział mi, że ja mu do Wenecyi towarzyszyć muszę. Oczywiście w tym stanie Prałata byłbym nigdy nie opuścił, nie miałem jednak dość śmiałości nalegać, by wziął doktora, bo najprzód nie zdawałem sobie sprawy z prawdziwego stanu jego zdrowia, kładąc wiele na karb zmęczenia podróżą, a potem przypuszczałem, że ma ważne bardzo powody jechania dalej. Około 1szej wyjechaliśmy do Florencyi, gdzieśmy stanęli około 6tej wieczór. Prałat położył się w wygodnem łóżku, i choć noc miał niedobłą, i szczególnie wzmogły się ciężkość oddechu i osłabienie, jednak dzień

następny był lepszy, tak żeśmy, zostawiwszy chorego na jego żądanie, zwiedzali miasto, choć nam się tego już bardzo nie chciało. Wieczorem znowu zrobiło się gorzej, noc nie była dobra, a następnego dnia rano mieliśmy jechać do Bolonii i Padwy, a następnie do Wenecyi. Gdy jednak Prałat doktora i we Florencyi w żaden sposób zawezwać nie chciał, postanowiliśmy sobie prosić go, by wprost do Wenecyi jechał, a nawet w razie gdyby odmówił, pomimo woli jego wprost do Wenecyi go zawieźć. Ale we wtorek rano sam Prałat czuł się tak niedobrze, że od razu na naszą propozycją przystał. Dodać tu muszę, że zaraz po przyjeździe do Florencyi telegrafował do owego znajomego, z którym się miał w Wenecyi zjechać, by terminu swego nie zapomniał, tem mniej więc był skłonny do pozostania dłużej we Florencyi, lub do zawezwania doktora. Do Wenecyi wzięliśmy pierwszą klasę i wyprosililiśmy sobie, by nas samych w wagonie zostawiono dla większej wygody Prałata i w 10 godzin byliśmy w Wenecyi, ale Prałat był coraz więcej cierpiący i osłabiony i coraz mniej przytomny, a duchota wzmagała się widocznie. Gdyśmy przybyli do Wenecyi już samo przeprowadzenie z dworca było nadzwyczaj trudne, bo każdy krok, chociażmy go już prawie nie prowadzili ale nieśli, był dlań nowym niezmiernym wysiłkiem. Gdy wszedł do gondoli, usiadł na najbliższem miejscu przy drzwiczkach, tak potrzebował spoczynku, a przytomności miał bardzo niewiele. Najtrudniejsze jednak było przejście z gondoli do hotelu, bo najprzód Prałat obrał na miejsce zjazdu ze znajomym swoim Hotel S. Marco na Piazza, do którego gondola nie dochodzi, i trzeba spory kawałek iść pod arkadami placu, a potem nie mogło już być mowy o prowadzeniu go, ale trzeba było nieść go na krześle. Zaledwie gondola przybiła i zaczęliśmy radzić nad sposobem przeniesienia go, pobiegłem do hotelu i poleciłem portierowi, by zawezwał najlepszego doktora, tak że gdy Prałat był wniesiony do pokoju, doktor zaraz się zjawił i powiedział, że stan chorego jest bardzo niedobry, bo puls już nie czuć prawie. Wiadomość ta nie przestraszyła mnie bardzo, byłem bowiem pewny, że to skutek chwilowego bardzo mocnego zmęczenia. Chory skarżył się przytem że nic nie widzi, duszność była bardzo silna i przytomności mało, ale gdy go położono do łóżka, zaczął po-

woli przychodzić do siebie. Doktor zapisał lekarstwa, a gdy wrócił w parę godzin, zastał polepszenie znaczne, kazał jednak ogrzewać ręce i nogi, które były bardzo zimne, a choć nie wiedział jeszcze jaka choroba, kazał czuwać bardzo uważnie, bo chory mógł w każdej chwili skonać. Jedną z trudności z Prałatem w tym jego stanie było to właśnie, że nigdy na nic się nie skarżył, a zapytany odpowiadał zawsze z wielką słodyczą i z uśmiechem, że się ma dobrze, że mu nic nie dolega, że to tylko była mała niestrawność, że w Wenecyi w parę dni przyjdzie do siebie, i tem tak nas uspokajał, że choć symptomata jakieśmy spostrzegali były groźne, kładliśmy to na karb zmęczenia podróży, i byliśmy pełni otuchy. Dalszy przebieg choroby w tem mniemaniu nas tylko utwierdził, bo po dość spokojnej nocy, w której zimno rąk i nóg powoli ustępowało, nastąpił dzień tak dobry, że wszelką straciłem obawę. Chory tak przyszedł do sił, że mógł bez pomocy wejść do łóżka, mówił bez najmniejszej trudności, duszność ustąpiła zupełnie, gorączki nie było zupełnie. Chłopcom swoim powiedział co mają zwiedzać, i wysłał ich na miasto, a mnie kazał kupić papieru i kopert, i zatrzymał mnie przy sobie, bym mu uporządkował jego papiery i popisał listy, następnego dnia bowiem młodych towarzyszy miał odesłać do domu, a sam z owym znajomym, który miał przyjechać, w dalszą puścić się podróż. Przyszedł także telegram od tego znajomego z Wiednia, że na drugi dzień będzie w Wenecyi, więc wszystko było w porządku. Po południu podyktował mi jeszcze jeden list, i rozmówił się ze swymi chłopcami, a choć już nie miał tej swobody mówienia jaką miał rano, i to tłómaczyliśmy sobie zmęczeniem. Sam doktor, który niczego dowiedzieć się nie mógł, i jeszcze nie umiał choroby nazwać, przypuszczał, że wszystkie symptomata osłabienia są może skutkiem wielkiej czczości, Prałat bowiem przez całą drogę nic prawie nie jadł, i kazał mu dawać często coś pożywne do jedzenia, i pić wino Marsala, co też bardzo skrupulatnie wykonywaliśmy, szczególnie, gdy chory miał dobry apetyt. Wieczorem przyszedł doktor, i znalazł że gorączka zwiększyła się, była nawet pewna irytacja i rodzaj maligny, tak że chory zostawiony sam sobie zapominał gdzie jest, i zdawało mu się, to że ma siadać na kolej, to że ma iść po schodach lub coś podobnego,

zapytany jednak zawsze odpowiadał rozsądnie. Doktor zapisał lekarstwo na dzień następny, kazał przyłożyć kataplazm, kazał jeść nie dawać, i widocznie nie był zadowolony ze stanu chorego, a nie wiedział jeszcze co mu właściwie brakuje. Po odejściu doktora maligna zwiększała się, i przybył nowy symptomat, jakaś trwoga, tak że chciał koniecznie trzymać kogoś za rękę, a trzymając go, czuło się od czasu do czasu konwulsyjne drgania. Nogi i ręce były zimne, ale nie tak jak dnia poprzedzającego, gorączka była ale nie bardzo silna.

Z tem wszystkiem zacząłem być jakoś niespokojny i zapytałem towarzyszy, czyby nie zawezwać raz jeszcze lekarza, ale gdy zliczyłem puls i pomacałem głowę, ręce i nogi, i znalazłem że wszystkie symptomata były łagodniejsze niż dnia poprzedniego, uradziliśmy, że nie potrzeba. Wtedy siadłem przy łóżku i dałem mu swą rękę do trzymania, i byłem świadkiem maligny tak pięknej, że mi na całe życie zostanie w pamięci. Choremu zdawało się, że czeka na audyencję u Ojca ś., że go nie wpuszczają, a potem, że Papież długo nie przychodził. Co chwila skarżył się na to. Aż naraz twarz jego rozjaśniła się i zawołał dwa razy cicho: *voilà! voilà!* i zaczął rozmowę z Papieżem. Było to powtórzenie ostatniej zapewne audyencji, bo trzeba wiedzieć, że gdy Prałat miał wyjechać i chciał pożegnać się z Papieżem, zapytał go przez trzecią osobę, czy ma przyjść na zwykłą audyencję, czy zażądać audyencji osobnej. Papież kazał mu przyjść na audyencję osobną, co Prałatowi było nadzwyczaj miło, i kilka razy w Rzymie jeszcze powtarzał nam, że Papież był na tej audyencji tak dlań dobry, że nie mógł być lepszy. To więc szczególnie musiało mu tkwić w pamięci, i to powtórzyło się raz jeszcze w jego wyobraźni przed śmiercią jako ostatnia ziemską pociecha. Był ciągle jakoby w zachwyceniu, i żał mi było przerywać mu; a gdy raz przerwałem, pytając czy się czego nie napije, spojrzał na mnie jakby przebudzony, ale tak słodko i uśmiechnął się takim dziwnym uśmiechem, że się aż przełękłem, wiem bowiem, że ludziom wielkiej cnoty Pan Bóg daje dziwną słodycz przed śmiercią. W malignie tej opowiadał chory i to co on mówił, i to co mówił Papież, i błogosławił, i szczególnie często powtarzał to właśnie, że Papież dał błogosławieństwo ze szczególnymi łaskami dla rodziny

jego. W tej malignie zostawiłem go około 9ej wieczór, sam bowiem czułem się bardzo zmęczony i chciałem się przespać, przy chorym zaś został jeden z towarzyszy; niedługo jednak po 10ej obudził mnie mówiąc, że nie wie co się stało, ale chory nagle przestał oddychać. Pobiegiłem do niego, pomacałem rękę, była zupełnie zimna, posłuchałem chwilę, cisza była grobowa; — nie byłem jeszcze zupełnie pewny czy to śmierć, wyszedłem więc i kazałem natychmiast zawezwać lekarza, a widząc jednym rzutem oka cały ogrom straty dla kościoła i kraju naszego w tej jednej osobie, a zarazem przerażenie młodych towarzyszy podróży; kląkłem i kazałem im klęknąć koło siebie i modlić się, by Pan Bóg odwrócił od nas ten kielich goryczy, jeżeli taka wola Jego. Absolucyę dałem choć zapewne chory już nie żył, i wróciłem dalej się modlić. Za jakie 8 minut przyszedł doktor, zrobił kilka prób i powiedział, że nie ma co wątpić o śmierci. Zamknąłem więc nieboszczykowi oczy, złożyłem w krzyż ręce i przeszliśmy do drugiego pokoju radzić co dalej robić. W tej trudnej chwili Pan Bóg dał nam dziwny spokój, tak że nie zapomnieliśmy o niczem. Zebrałiśmy papiery i pieniądze, rozesłaliśmy telegramy, wziąłem zaraz człowieka do czuwania przy ciele, doktor sprowadził nam innego doktora z Municypium, który wziął na siebie całą sprawę wydobycia aktu śmierci i pozwolenia przewiezienia ciała, potem zmówiłem officium za umarłych, około 6ej rano w kościele odprawiłem Mszę ś. za duszę Prałata i zarządziłem pogrzeb. Wtedy widziałem także jak Pan Bóg myśli o swoich i jak miłosiernie zrządził, że Prałat wziął mnie ze sobą i towarzysze podróży Prałata, jego *kochani chłopcy*, z którymi tego samego dnia jeszcze cieszył się, że im mógł przed śmiercią Włochy pokazać, nie byli w tak bolesnej chwili sami i że był przy nich ktoś, kto się mógł zająć owym szeregiem przykrych czynności, które śmierć zawsze za sobą ciągnie. Muszę także dodać, że znalazłem u wszystkich ludzi bez wyjątku tyle współczucia, tyle dobroci i słodyczy, taką gotowość w pomocy, że wszystko przyszło mi nadzwyczaj łatwo i że wywiozłem najlepsze o Wenecyanach wyobrażenie. Gdy wróciłem z kościoła, zastałem już owego Pana, którego oczekiwał Prałat, a który nic nie wiedząc o jego chorobie, zastał go umarłego. Był to czwartek 20 września. Wieczór o 11ej złożono

ciało do trumien, bo były dwie — jedna metalowa zalutowana szczelnie, druga drewniana, — inaczej bowiem pozwolenia na przewiezienie ciała dostaćby nie można. W piątek zaś o 5ej rano przenieśliśmy ciało do kościoła, gdzie zaraz miałem Mszę św. za duszę zmarłego, a o 10ej zaczęło się nabożeństwo żałobne, które było dość wspaniałe, choć nie wystawne, chodziło nam bowiem o to, by Prałata zbyt biednie w obcym kraju nie pochować. Zresztą w kościele św. Marka wszystko wspaniale wygląda. Tego dnia rano przyjechał z Rzymu O. Walerjan Przewłocki z polecenia Kardynała; była więc i garstka przyjaciół zmarłego na nabożeństwie, po którym wniesiono ciało do Baptysteryum, gdzie je złożono do paki, tak aby mogło pójść na kolej. Gdy jednak nie było jeszcze pozwolenia i gdy miał przyjechać p. Tadeusz Chłapowski, aby towarzyszyć zwłokom do Poznania, trzeba było odwieźć jeszcze ciało tymczasem na cmentarz. Przez dziedziniec pałacu Dożów poniesiono je więc na *quai* i złożono do gondoli karawanu, przed którą w żałobnej gondoli jechał ksiądz, a nas pięciu za nią w osobnej gondoli. Na cmentarzu złożono trumnę w osobnej kaplicy, z kąd po paru dniach miała być wzięta i wywieziona do Poznania. Ja z Ojcem Waleryanem zostałem jeszcze w Wenecyi tak długo, aż pozwolenie przewiezienia ciała z podpisami konsulów pruskiego i austriackiego było gotowe i już żadnej nie trzeba było obawiać się trudności.

Czy zmęczenie podróży przyspieszyło śmierć Prałata? nie wiem — gdyby jednak tak było, byłoby to skutkiem nadzwyczaj delikatnego poczucia obowiązku, które było główną może cechą charakteru Prałata. Stawić się na czas do Wenecyi i nie opóźnić powrotu do Poznania a przytem dokonać tego, co było mu tak słodkiem w tej ostatniej podróży, t. j. pokazać Włochy kochanym chłopcom — oto co go ciągle zajmowało w ostatnich chwilach. Umarł w czynnej a miłosnej służbie. Doktor zawyrokował, że chorobą jego było stłuszczenie serca i że nie było na nią ratunku, że mógł żyć z tą chorobą długo, ale mógł w każdej chwili skonać. Wszyscy, którzyśmy byli bliscy Prałatowi, pomimo boleści czujemy jakąś wewnętrzną pociechę nierównie głębszą i silniejszą niż boleść — bo śmierć była piękna, a o pokoju tej wielkiej duszy nikt z nas nie wątpi.“

Przegląd polityczny.

Kraków 30 września.

Miesiąc upływający był przedewszystkiem wojennym i jemu też przypadłoby słusznie imię Marsa. A przyświecała w ciągu tego miesiąca jaśniejszem niż zwykle światłem planeta tego imienia. Dla Augurów i wszelkiego rodzaju, jak i wszelkich czasów wróżbitów i astrologów pożądaną byłoby takie zjawisko sposobnością. Mimowolnie też duchem ich przejęci byli wszyscy, którzy z natężeniem wyglądali codziennie najświeższych telegramów z pod Bałkanu, ażali te nie przyniosą im wiadomości o przepędzeniu wojsk rosyjskich i zagnaniu ich na Dunaj, przez który nawet przepawićby się bez strat wielkich nie mogły. Rzeczywiście, blask wspaniałej aureoli wojennej otoczył te wojska, które niedawno temu nie były w stanie stawić jakiegokolwiek przeszkody przeprawie rosyjskiej przez Dunaj i opuściły parowy Bałkanu, których nawet nie zdążyły obwarować dostatecznie, jakkolwiek ciągle okopywanie się należy do prawideł sztuki wojennej u Turków, jak o tem świadczy wielka liczba miasteczek i wsi w Polsce, szczególnie w ziemiach ruskich, nosząca nazwę Majdan, co znaczy obóz; tam bowiem po odejściu najazdu osiedlali się, jako w zabezpieczonem okopisku, okoliczni mieszkańcy lub obcy osadnicy.

Zwycięstwa tureckie, zarówno w Europie jak w Azji, nie zdołały jednak odzyskać straconych miejsc warownych i wyprzeć nieprzyjaciela za góry, a jedyną ich korzyścią byłożywienie w wojsku tureckiem ducha, większa wiara we własny oręż a zarazem podniesienie w Europie znaczenia militarnego Turcyi i pozyskanie sympatyi. Ma i to pewną wagę polityczną, bo przestano uważać Turcyę za ugór, który zorany

kopytami końskimi, zawleczony kośćmi i krwią podlany, miałby wydać kiedyś obfity plon słowiański lub grecki.

Ów „chory człowiek“ cesarza Mikołaja, którego obroniły od śmierci przed ćwierćwiekiem wojska i floty zachodnie a jednak docucić go i do życia czynnego przywołać nie mogły, dziś zostawiony sam sobie i swemu losowi, zerwał się na nogi i okazał tyle dowodów siły, jakby mu jeszcze przeznaczonem było żyć wieki. Bez administracyi organicznie rozczłonkowanej, bez pieniędzy, bez bogatych arsenałów, mało wyćwiczonym żołnierzem a poniekąd ruchawką nizamów dowolnie ubranych i niejednako uzbrojonych, armia turecka nie tylko stawiała opór nieprzełamany, ale zdobywała warowne stanowiska, biorąc je szturmem, często raz po raz kilkokrotnym.

Wszelako armia rosyjska znacznie osłabiona, znalazła wsparcie w wojsku rumuńskiem a może znajdzie je i w serbskiem, a nadto nadciągają już gwardye rosyjskie; gdy natomiast siły zbrojne tureckie nie mogą w tym stosunku liczyć na pomoc swowego albo obcego żołnierza. Szczupły kontyngens egipski nie zostaje wcale zwiększony ponad liczbę obowiązkową. Dawni lennicy afrykańscy Porty nie dają ludzi, a zresztą pomoc ich nie przyniosłaby znacznego wzmocnienia sił tureckich, już ze względu na odmienny tryb wojowania. Jedynym potężnym sprzymierzeńcem Turków może być wczesna mokra lub śnieżna jesień, która zdoła powstrzymać bój dalszy, ale stanowczego nie sprowadzi sposobu zakończenia wojny, natomiast zaś nastroczy dyplomacyi sposobność do działania, które na szkodę tylko Turcyi obrócić się musi.

Położenie Turcyi wobec Europy jest takie, że przegrawszy, byłaby straconą i stałaby się łupem częścią zdobywcy, częścią różnych kombinacyj, któreby na jej ciele odbywały wiskęcy; natomiast w najpomyślniejszych dla niej militarnych powodzeniach, stanie przed nią bądź uchwała konferencyi w Pera, bądź też memoriał berliński; słowem, Turcyja zwycięska na polach bitew, musi zawsze złożyć broń przed dyplomacyą. Skutkiem zwycięstw tureckich stanowisko Turcyi o tyle jednak zyskało, że już o jej rozbiórce nie może być mowy, że Serbia waha się jeszcze z wzięciem udziału w wojnie i że Grecya nie widzi na teraz dla siebie widoków pomyślnych, gdyby wypowiedziała wojnę; przedewszystkiem zaś, że dyplomacya europejska musi brać w rachubę ducha wojowniczego Turcyi i siłę jej odporu. Nakoniec i to ważnym dotychczasowej wojny stało się rezultatem, że wpływ rosyjski mniej ciężać będzie na szali przyszłej konferencyi, a już dziś mniej waży w oczach gabinetów europejskich. Idea też panslawizmu odniosła przez porażki rosyjskie cios straszny, na długie czasy paraliżujący, idea ta bowiem mogła tylko czerpać siły, działając na czele wojsk zwycięskich, mających wypisany na swych

chorągwiach „zabór.“ Idea ta niczem innem bowiem nie jest, jak świetnym majakiem, który coraz bardziej słabnie, w miarę, jak się za nim goni, ale przez to samo, że się go ściga, zyskać można, to jest zdobyć tyle ziemi, ile się ubiegło, goniąc za tym majakiem.

Europa przyglądała się zdaleka krwawym zapasom na półwyspie Bałkańskim i nie wdała się, aby rozbroić zażartych zapaśników, albowiem nie była z sobą w zgodzie ani co do celu wojny, ani co do jej granic, ani co do rezultatów, na któreby mogła pozwolić. Czekwała więc walnej bitwy, która według obliczeń przypuszczalnych, przywiodłaby Turcyę, jako domniemanie słabszą, do takiej niemocy i zbez władnienia, iżby ta była zmuszoną przyjąć narzucone sobie warunki pokoju; ale zarazem bitwa ta rozstrzygająca kosztowałaby Rosyę nazbyt drogo, aby ta mogła ze zwycięstwa korzystać i nie potrzebowała się oglądać na swoich sprzymierzeńców. Były też bitwy krwawe, ale nie przyszło do jednej stanowczej, rozstrzygającej. Oczekiwał takiej bitwy lord Derby, zapowiedziawszy, że będzie to chwila do rozpoczęcia kroków pośredniczących; oczekiwał jej ks. Bismark z każdym dniem, i dla tego mniemał, że będzie mógł naradzić się z hr. Andrassym jeszcze podczas swej kuracyi w Gastein; ale gdy kuracya skończyła się, a do rozstrzygnięcia na polu bitwy nie przyszło, trzeba było zjazd z kanclerzem austriacko-węgierskim odłożyć do chwili powrotu z kąpiel. Możeby nawet jeszcze nie przyszło i wtedy do spotkania się, gdyby zjazd nie był formalnie zapowiedziany, bo niedojście go do skutku mogłoby zrodzić przypuszczenia niekorzystne dla trwałości sojuszu trójcesarskiego, który utrzymać jest jednym z głównych zadań ks. Bismarka, a nawet pragnie on uczynić sojusz ten egzekutorem memoryału berlińskiego.

Kanclerz niemiecki nie inaczej też zapatrywał się na dotychczasowy przebieg wojny, jak na egzekucyę polityki tego sojuszu, której miała dokonać Rosya. Plany jego musiały być rozległe, skoro otwierał Rosyi drogę na Wschód i usiłował wciągnąć Austryę w wir spraw wschodnich. Nie można się zapuszczać na rozległe pole domysłów i kombinacyj co do zamysłów ks. Bismarka, ale nie co innego mógł on zamierzać przez zajęcie Rosyi i Austrii sprawami wschodniemi, jak postawić Anglię w konieczności rzucenia się tam również dla obrony interesów swoich na Wschodzie, tak aby on sam miał wolne ręce w Europie. Gra ta jednak byłaby dość ryzykowna, a mniemać można, że jeszcze nie minęła pora dla niej, tak iż co się nie stało dotąd, stać się jeszcze może, pomimo całej przezorności hr. Andrassego. Zjazd w Salzburgu inny przybrał jednak charakter, niżby go miał zjazd w Gastein po owej domniemanej bitwie rozstrzygającej pod Bałkanem.

Już nie idzie teraz bowiem o rozejm stron wojujących, czyli o zawieszenie broni do przyszłej wiosny, jako raczej o jedno zwycięstwo rosyjskie dla honoru armii, o zasłonięcie odwrotu wojsk rosyjskich bez zatabowania możności rozpoczęcia później wojny na nowo, gdyby Turcyja nie uczyniła zadosyć warunkom sobie postawionym. Głoszą, że nie stanowczego nie zapadło na zjeździe w Salzburgu. Łatwo temu dać wiarę, bo nie jest to chwila do jakiegoś kroku stanowczego, lecz oznaczonem tam zostało ściślej stanowisko Prus i Austrii wobec zmienionej sytuacji skutkiem klęsk rosyjskich i niedokończonoj kampanii. To, co Rosya miała na Turcyi wyegzekwować siłą zbrojną, teraz trzeba będzie egzekwować wzmocnionemi środkami, lecz poprzedzą je niezawodnie dyplomatyczne kroki. Usamowolnienie Rumunii ma być przedewszystkiem uzyskane, a temu ani Porta ani Anglia nie będą kłaść tamy, byle Rumunia wojsko swoje odwiodła, a nastąpi to samo z siebie, gdy przyjdzie rozłożyć się na zimowe leże. Z kolei ponowione będą żądania przyznania autonomii chrześcijańskim prowincjom Turcyi, a tu zostawioną będzie zapewne Austrii główna rola, i to pomimo sympatyj tureckich nie tylko w Peszcie, ale oraz w Wiedniu.

Sympatye te nie są dowodem innego uczucia, jak tylko niechęci ku Rosyi, z którem się łączy obawa przed panslawizmem i przed przewagą rosyjską. Nie mogły bowiem w Węgrzech ani w Austrii pozostać miłemi wspomnienia z czasów panowania tureckiego w Węgrzech, albo z ostatniej na Wiedeń wyprawy tureckiej przed dwoma niespełna wiekami. Odkąd jednak Porta przestała być groźną sąsiadom swoim, a wzrastała w siły Rosya, niebezpieczeństwo z tej strony wzmagало się, i to nie tyle z zewnątrz, jak raczej przez wewnętrzną agitacyę rozkładową państwa Węgierskiego na jego części plemienne, Madiarów i Słowian.

Sympatye madiarskie dla Turcyi nie mogą być niemiłemi rządowi, bo posłużyły mu lub posłużą wobec Niemiec i Rosyi za ważny argument, dowodzący, że gabinet nie może płynąć przeciw opinii publicznej, a przeto że każdy krok zrobiony z jego strony w interesie sojuszu trójcesarskiego, połączony jest z pewną z jego strony ofiarą, którą sąsiedzi powinni uwzględnić i nie mogą też oczekiwać, aby Austrya duszą i ciałem oddała się na ich usługi. Z drugiej strony, sympatye tureckie w Austrii są pewnym hamulcem dla dążeń panslawistycznych, a przynajmniej równoważyć mogą ich siłę. Sympatye te jednak objawiły się dopiero na odgłos zwycięstw tureckich, i to szczególnie w chwili, kiedy się zdawało, że Turcy przepędzą nieprzyjaciela za Dunaj i żadna jego noga nie ostoi się w Bułgaryi. W Wiedniu nie odważono się oświetlać okien na cześć zwycięstw tureckich, nie chciano bowiem

drażnić zbyt nie Prusaków, gdyż liberały wiedeńskie znajdują się w trudnem położeniu, hołdując Berlinowi, objawiać niechęć ku Rosyi, zwłaszcza, gdy siły jej nie dorosły do reputacyi, jaką o niej miano i gdy przestano się jej lękać. Osobliwa też rzecz, iż przegrane bitwy podkopały nawet u panslawistów czeskich powagę Rosyi i wytrąciły jej z rąk berło wszechwładztwa słowiańskiego, które już Czesi uznawali, zaślepieni, nie bacząc na to, że Rosya chce mieć niewolników oddanych sobie, a nie współplemieńców wolnych i że gdyby nie mogła kiedyś sięgnąć aż nad Wełtawę, oddałaby ich Niemcom, jako kompensatę za ich usługi.

W skutku niepowodzeń wojennych Rosyi zmaląła w sojuszu trójcesarskim przewaga Prus opierających się na Rosyi, co też głośno wyznały półurzędowe organa berlińskie, mówiąc, że Rosya na długie lata pozbawioną jest możności tworzenia tylnej straży Niemiec wobec zachodniej Europy; a dodaćby można, że również wobec Austrii. Zwrócono też baczniejszą uwagę w Berlinie na Włochy i zamierzono wciągnąć je w sojusz, ale w taki sposób, aby nie obudzić w Austrii nieufności. Za podstawę więc tego związku ma służyć wspólność interesów niemiecko-włoskich przeciw powadze i władzy papieskiej. Ale obchód rocznicy zajęcia Rzymu posłużył do demonstracyi przeciw Austrii, bo lud nie umie wchodzić w subtelności skrytych planów dyplomacyi; tyle zaś lat nauczano go, że południowy Tyrol i Tryest staną się kiedyś posiadłością włoską, iż nie mógł nie powtórzyć tej wyuczonej lekcyi, gdy chciano go zwrócić przeciw Watykanowi i Francyi a nie przeciw Austrii. Wątpić należy, ażeby w Wiedniu przyjęto z zaufaniem plan wciągnięcia Włoch w przymierze, gdyż te mogłyby w potrzebie służyć także przeciw Austrii. Delegaci militarni przy poselstwach włoskiem i niemieckiem w Wiedniu, byli razem wmieszani w zdradliwe zabiegi, aby odkryć części składowe spisu dział Uchatiusa. Poseł niemiecki w Rzymie Keudell widział się z ks. Bismarkiem dla dalszych informacyj, a prezes włoskiej Izby deputowanych Crispi wybrał się w dość dla Włocha chłodną porę, aby zwiedzić Berlin i odwiedzić nawzajem za wizytę w Rzymie zrobioną, prezesa parlamentu niemieckiego Bennigsen, który nawet nieuprzedzony zawczasu, będąc nieobecny, umyślnie musiał przybyć do Berlina. Powołanie Włoch do przymierza trójcesarskiego zmieniłoby stanowisko w niem Austrii. Dla tego też ze strony pruskiej kładą szczególniejszy nacisk na to, że Włochy zastąpiłyby tylko Rosyę, która przez długi czas sama sobą zajęta, nie będzie mogła wywierać wpływu na bieg spraw europejskich.

Rada państwa w Wiedniu po dwumiesięcznej przerwie obraduje znów od 4go września; sejm węgierski od 15go. Czeka oba te ciała prawodawcze, oprócz budżetu, sprawa ugody na

dalszy czas po jej 10letnim upływie; w związku z tą sprawą zostaje kwestya banku i rozkład długu wspólnego 80 milionów na obie części monarchii, a rozkład ten zależy od przyznania Węgrom oddzielnego banku narodowego. Układy te świadczą przede wszystkim, iż system dualistyczny nie jest przeprowadzony przez wszystkie stosunki polityczne i ekonomiczne i że łatwiej dałby się konsekwentnie zastosować system odrębności oparty na unii osobistej, na wspólności dynastyi, jaka była podstawą dawnego stosunku Czech i Węgier, niż na wspólności politycznej z odrębnością administracyjną. Historia nie wskazuje ani jednego przypadku utrzymania się długu dualizmu albo pluralizmu, bo zawsze system ten kończył się przewagą jednej części państwa i opanowaniem przez nią innej części. W monarchii austro-węgierskiej walka o przewagę toczy się ciągle, a nabiera ona większego znaczenia niż na polu ekonomicznem i finansowem, jakie przedstawia umowa cłowa, bankowa i rozkład wspólnego długu, bo objawia się, i to dość stanowczo, także na polu polityki zagranicznej.

Jak dualizm znalazł dla siebie podstawę w wyłączeniu Austrii z Rzeszy niemieckiej, osłabiając przewagę niemieckiej części monarchii i mniej więcej równoważąc siły obu konglomeratów, jednego niemiecko-słowiańskiego, drugiego madiarsko-słowiańskiego, tak obecnie kwestya wschodnia mogłaby sprowadzić zwiększenie znaczenia politycznego wschodniej czyli węgierskiej części monarchii, jak gdyby miało się urzeczywistnić życzenie dawno wypowiedziane przez ks Bismarka, iż siłę ciężkości Austrii przeniesie na Wschód. Ale królestwo Węgry nie przyszło jeszcze do takiego ukonsolidowania się, a żywił w niem madiarski, jako dzierżący władzę, nazbyt obawia się przyrostu ludności słowiańskiej, aby mogła być Austria wziąć inicjatywę w sprawie wschodniej, zamiast zostawić ją Rosyi. Wszelako kwestya wschodnia jest właśnie jednym z głównych źródeł pewnej siły udzielnej Węgier, która wpływa na politykę monarchii i dodaje jej niejakej udzielnosci, a uratowała ją już od interwencji w interesie rosyjskim, do której ją pchały od dawna Rosya i Prusy; pierwsza, aby się Austryą posługiwać i zwalić na nią cały ciężar akcji; drugie, aby zatrudnić Austryę na Wschodzie i zbliżyć owo pożądane dla nich przeniesienie jej środka ciężkości na Wschód, czyli uczynić Austryę coraz więcej państwem wschodniem a coraz mniej niemieckiem. Możeby Austria była w takim razie zniewoloną wrócić z swojemi prowincjami niemieckimi do Rzeszy niemieckiej, już dziś pod zwierzchnictwem Prus zostającej a więc podległej Prusom, a na Wschodzie wejść w zawisłość Rosyi.

Przyznać trzeba, że bądź rząd węgierski, bądź naród węgierski, bądź oba razem uratowały monarchię Austryacką od tej metamorfozy politycznej, ale uratowanie to stać się mo-

gło jedynie w skutku powodzeń oręża tureckiego i to w chwili, kiedy kampania rosyjska poczytaną została za straconą. Stanowisko Austrii znacznie się wzmocniło, tak iż prezes gabinetu węgierskiego mógł pierwszy raz powiedzieć d. 27 września, że bez wiedzy i woli Austrii nic na Wschodzie stać się nie może.

Tego bowiem dnia prezesowie obu gabinetów odpowiadali w Izbach na interpelacye wniesione w sprawie wschodniej. Mimo wspólnej polityki i wspólnego ministra, odpowiedzi te są tak od siebie różne nie treścią, ale formą i dobitnością, iż poznać z nich, że węgierska połowa monarchii przeważa w dualistycznym jej ustroju. Odpowiedź węgierskiego ministra Tiszy technicznie stanowczością, jakiej nie można było szukać w odpowiedzi ks. Auersperga w Wiedniu, która była po części wymijającą, po części obwiniającą w bawelnę dyplomatyczną; gdy natomiast p. Tisza czuł się więcej niezawisłym, mając pod sobą grunt przygotowany manifestacjami publicznymi, które były mu też potrzebne jako podpora. Bywało nieraz w parlamentach, ale tam tylko, gdzie szło o dodanie siły rządowi, nie zaś o podkopanie go że interpelacye stanowiły środek ułatwiający rządowi wypowiedzenie tego w obliczu świata, do czego by nie znalazł sposobności w notach dyplomatycznych; taką cechą zdawały się mieć interpelacye w sejmie węgierskim, które jakby wyciągały ministra na słowo, domagając się od niego, aby powiedział to, czego by na innej drodze nie mógł powiedzieć.

W Izbie deputowanych w Wiedniu wniósł był dnia 19 września klub postępowy interpelacyę, powołującą się na oświadczenie rządu z d. 28 czerwca co do zachowania neutralności; gdy jednak wypadki wojenne stworzyły nowe położenie, mogące nakazywać rządowi zachowanie się coraz inne w każdym danym razie, interpelacya pyta: czy rząd i w obecnych okolicznościach zamierza trzymać się neutralności i czy w tym celu nie dopuści, aby Serbia wzięła udział w wojnie?

Jest w tej interpelacyi sprzeczność, albowiem, jeżeli Austriya chce zachować neutralność, nie może przeszkadzać Serbii w wzięciu udziału w wojnie. Oparł też ks. Auersperg odpowiedź swoją d. 27 września na tej sprzeczności. Wyparł się polityki okolicznościowej, stwierdził zachowanie neutralności, ale też nie zapowiedział, jakie zajmie stanowisko, gdyby Serbia rozpoczęła kroki wojenne.

Interpelacye natomiast postawione w Sejmie węgierskim d. 15 września wzięły swój początek w toaście wzniesionym przez Cesarza w Koszycach w dzień imienin cesarza Rosyjskiego. W toaście tym cesarz Franciszek Józef nazwał miał Cara przyjacielem i sprzymierzeńcem, a nazajutrz poprawiono telegram rozesłany o tym toaście w ten sposób, że wy-

raz „sprzymierzeniec“ nie był użyty. Poprawka ta była donioślejszą niż sam toast, albowiem była niejako zaprzeczeniem przymierza, pomimo, że przymierze trójcesarskie nie zostało ani zerwanem ani wypowiedzianem, owszem służy ono za podstawę dyplomatycznej akcji w sprawie wschodniej. Zaprzeczenie pomienionego wyrażenia wstrząsnęło całe Węgry i odbiło się w interpelacjach. A było ich pięć: Pierwsza Helfego, pytała: czy rząd przyłączył się do remonstracyi niemieckiej przeciw okrucieństwom tureckim, a nie zrobił takiego kroku ze względu na okrucieństwa przez Rosyan i Bułgarów w wojnie popełniane? Druga interpelacja Apponiego wymierzona była przeciw wystąpieniu zbrojnemu Serbii. Trzecia Ernesta Simoniego domagała się wprost wyłączenia programu rządowego wobec wojny rosyjsko-tureckiej. Czwarta Iraniego żądała wyjaśnienia: czy istnieje sojusz trójcesarski i jakie są jego zasady i cele? Wreszcie interpelacja Ludwika Simoniego, pytając również o sojusz trójcesarski, chciała dowiedzieć się, jakie obejmuje on warunki odnośnie do wojny obecnej.

Odpowiedź obszerna prezesa gabinetu węgierskiego Tisza dana d. 27 września, nie wchodziła w specjalne interpelacje, lecz ogarniała ogólne stanowisko państwa a oraz postawę rządu, opartą na usposobieniu narodu. Naprzód zapewnił, że nie zagraża interesom Austro-Węgier, następnie, że rząd nie zmienił swojej polityki, której zasadą jest neutralność i że mniej czułym jest na drobne krzywdy, byle nie wywoływać wojny. Wprawdzie w odpowiedzi tej znać tylko omówienie myśli, ale nie wyraźne każdej z nich zdefiniowanie, obfitość słów patryotycznych, a nie chęć wyłączenia programu, jeśli taki istnieje. Dlatego p. Tisza oznajmił, że jakkolwiek będzie rezultat wojny, nic się nie stanie takiego na Wschodzie, na coby Austro-Węgry pozwolić nie mogły, choćby nawet oręż rosyjski znalazł powodzenie. Co do Serbii, oparł się p. Tisza na oświadczeniu rosyjskiem, iż Serbia nie stanie się teatrem wojny i dlatego żądał tego samego przyrzeczenia od Turcyi. Gdyby jednak Serbia przedsięwzięła kroki wojenne, rząd austro-węgierski nie będzie Turcyi stawiał warunków, co ma czynić. Scharakteryzował minister sojusz trójcesarski, iż tenże obowiązuje swoich uczestników do porozumiewania się, ale nie do wspólnego działania: dlatego nie jest Austria obowiązana prowadzić wojny, chociaż Rosya wojnę prowadzi. Wreszcie zaprzeczył, aby zachodziły jakie umowy co do podziału Turcyi i aby rząd chciał w czemkolwiek wspomagać Rosyę.

Odpowiedz ta wpłynęła na uspokojenie umysłów, a można z niej wyciągnąć ten wniosek, że Austria nie biorąc żadnego udziału w wojnie, zastrzega sobie pewne korzyści w razie pokonania Turcyi, oraz wpływ na zawarcie pokoju. Już różnica tak co do formy, jak co do treści między odpowiedziami

obu ministrów w Wiedniu i Peszcie, wskazuje, co wyżej powiedziano, że w polityce monarchii przeważa połowa wschodnia, to jest kraj węgierski.

Na dzień 14 października rozpisane zostały we Francji wybory do Izby deputowanych. A właśnie w tej porze opozycja straciła tytułarnego swego przywódcę Thiersa. Nie miejsce tu opisywać długi jego żywot publiczny i zawód pisarski, zwłaszcza, że nie wpływało z niego, aby Thiers mógł być uważany za naczelnika partii republikańskiej, chociaż zbieg okoliczności postawił go chwilowo na czele rządu, podczas gdy Francja zostawiona bez dynastji, była już *de facto* republiką. Thiers nie był z przekonania republikaninem; stał się nim z konieczności; był on tylko liberałem pod wszystkimi względami, a należąc do szkoły eklektyków, utylitarny, nie zasadniczy przedstawiał kierunek. Nie konstytucjonista jak Constant, nie doktryner jak Guizot, nie imperyalista jak Rouher, był orleanistą ze względu na liberalizm, który pod rządami Ludwika Filipa rozwinął się, konstytucjonistą był przez wzgląd na pisane prawo publiczne, *la Charte*, imperyalistą przez tradycję historyczną wielkości Francji, a doktrynerem republikańskim, wyrozumowawszy, że żadna z dynastji nie zaspokoila życzeń i potrzeb Francji i jego samego nie dość oceniła. Ambicją osobista wielką w jego żywocie publicznym grała rolę, tak iż możnaby twierdzić, że został republikaninem przez to, iż republika otwierała mu drogę do władzy. Nie chciał on zaś władzy dla władzy, lecz istotnie miał o sobie wysokie wyobrażenie i posiadał wiarę w siebie, że zdoła zbawić Francję. Jego wady podnosząc, nie należy pomijać jego zalet, ale właśnie to w sobie zaufanie zrobiło go przystępnym wszelkim pokusom dla zdobycia władzy i wszelkim pochlebstwom. Pod ich wpływem dał sobą kierować i stał się też narzędziem w rękach radykalistów, z którymi wcale się nie zgadzał, uważając ich abstrakcyjne pojęcia o państwie i społeczeństwie za utopię. Mimo tego użyczył im imienia swego i niem usprawiedliwiał same uawet ujemne strony radykalizmu, bo mniemał, że pod swoim kierownictwem obłaskawi najnie-sforniejsze żywioły.

Zręcznie też Gambetta wysuwał go naprzód, sam po za nim kryjąc się i imieniem jego osłaniając swoje plany, nie pomny, że i po za nim kryją się inni, czekając, aż przyjdzie na nich kolej. Zgon Thiersa pozbawił partję republikańską widomej głowy i zmusił przywódców różnych odcieni do wystąpienia we własnej osobie. I to było przyczyną, że Gambetta zapuściwszy się aż do obrazy Mac-Mahona, uległ skazującemu wyrokowi, który go ma pozbawić prerogatyw ułatwiających mu drogę do przewodniczenia całemu stronnictwu.

Śmierć Thiersa pozbawiła rząd najniebezpieczniejszego przeciwnika, ale nie dodała mu siły, bo nie umiał korzystać z niej, aby przeciągnąć na swoją stronę umiarkowańsze odcienia, czysto Thiersowskie, jego osobistych przyjaciół i liczny poczet chwiejących się. Ogłoszeniem manifestu wyborczego z podpisem Mac-Mahona i kontrasygnacją ministra spraw wewnętrznych zachwiał ufnosć w siebie tych, którzy łatwo byliby mogli przejść na jego stronę. Manifest ten bowiem był więcej co do formy, niż co do ducha wadliwy, a w tego rodzaju pismach, jak odezwy, forma wiele znaczy. Manifest był konserwatywny, ale nie stawał po nad stronnictwami, lecz chciał tylko nowe stworzyć stronnictwo, do którego wciągał nowo nawrócić się mających. Przeciw niemu pojawiły się inne odezwy wyborcze, a między temi także manifest Thiersa, pośmiertne jego dzieło, które nie ma znów cechy programu wyborczego, będąc raczej krytycznym wywodem.

Właśnie rozpoczął się okres agitacji wyborczej, a dopiero pod koniec tego okresu walka obostrzy się, bo dotąd nie chcą stronnictwa wystrzelać w publikacjach wszystkich swoich nabożów, zostawiając największą ich część dla zgromadzeń publicznych. Nikt zaś jeszcze do tej chwili w samej nawet Francji nie jest w stanie obliczyć choćby domniemanie szans przyszłych wyborów a wpłynąć na nie mogą jakieś nieprzewidywane wypadki, a nawet jakiś na stosowną porę użyty frazes, jakaś formułka polityczna, jakiś zręczny manewr, albo też jakiś krok niezgrabny, wreszcie wyskok niewczesny skrajnych radykalistów, a jeden już się pojawił w formie programu socjalistycznego, ułożonego podług znanej uniwersalnej recepty, ale już zużytej: o podatku rosnącym, uzbrojeniu powszechnem, zwinięciu armii stałej, wykluczeniu religii z wychowania publicznego, wybieralności wszystkich urzędników, wreszcie Izby nieustającej, która ma łączyć w sobie władzę prawodawczą i wykonawczą. Może jeszcze Komuna wystąpi z swoim manifestem, a wyświadczyłaby wielką usługę rządowi.

Aleksander Szukiewicz.

CESARSTWO NIEMIECKIE.

Dawniejsze i dzisiejsze stronnictwa polityczne.

Przed rozpoczęciem właściwego przedmiotu, któremu niniejsze słowa poświęcić zamierzamy, winniśmy zastanowić się na wstępie nad charakterem jego widowni i gruntu. Jeśli prawda, że roślinność, że świat zwierzęcy, że ludzkość sama w różnych swych odłamach, gałęziach, kształtach i stronach globu ziemskiego zależne są od warunków otaczającej przyrody, — to stokroć większą jest prawdą, że życie polityczne i jego objawy jakiegobądź rodzaju kształtują się w każdym społeczeństwie według gruntu i warunków, jakie mu charakter narodowy, dzieje, tradycje, zwyczaje i obyczaje w połączeniu z okolicznościami przysposobiły. Z tej pierwszej prawdy wynika nieuniknioną kolejną rzeczą drugą, jak dalece *niepodobnem* sobie mimo *pozornych*, zewnętrznych *podobieństw* są stronnictwa polityczne społeczeństw zachodniej Europy, poczynawszy od skały Gibraltarskiej, skończywszy na piaszczystej przystani Kłajpedy. Wszędzie panują tu już dzisiaj nibyto te same formy; wszędzie nibyto te same kółka, sprężyny i przybory jednej i tej samej maszyny konstytucyjno-parlamentarno-politycznej, jak jedne i te same koła, kominy i otwory bezpieczeństwa lokomotyw kolei żelaznej. Wszędzie konstytucyjno-parlamentarne organizmy z rządami związanymi przez formułki konstytucyjne, z odpowiedzialnymi ministerstwami, z reprezen-

tacyą kraju na podstawie wyborów, z jedno- czy dwu-izbowemi sejmami. A przecież, jakież mimo tych wszystkich pozornych tożsamości niepodobieństwa, jakaż różnica konstytucjonalizmu i parlamentaryzmu w *Niemczech*, jakaż różnica stronnictw politycznych *niemieckich* w porównaniu z konstytucjonalizmem, parlamentaryzmem i stronnictwami politycznemi całej ogromnej reszty zachodniego kontynentu europejskiego!

Historya i charakter narodowy główną owych różnic stanowią podstawę. Jeśli jest prawdą orzeczenie Guizota, że czas niczego nie szanuje co się stworzyło *bez* jego uwzględnienia, jest nią przedewszystkiem w zastosowaniu do politycznego kształtu, w jaki się różnym państwom czy narodom często bez względu na własną przyrodę i charakter przybierać podoba. Nie inaczej ma się rzecz z konstytucjonalizmem, parlamentaryzmem i stronnictwami politycznemi w Niemczech. Cóż jest, zapytalibyśmy, treścią i istotą wszelkiego konstytucjonalizmu i parlamentaryzmu, jedynym dalej gruntem możności wyrostu i prosperowania politycznych stronnictw? Nie co innego naturalnie, jak szczery, jak nieklamany udział żywiołu reprezentacyi krajowej niemniej w prawodawstwie, jak w rządach narodu. Aby udział podobny był istotnie żywotnym warunkiem państwowego organizmu, nie zaś papierowym jedynie tylko artykułem również papierowego aktu konstytucyjnego, trzeba aby ów *udział reprezentacyi krajowej* sięgał korzeniami swemi w grunt narodowej przeszłości, aby wyrastał ztamtąd jako samorodna roślina w samowiedny, żywotny, poważny i poważany narodowego żywota czynnik. Gruntem podobnym jest i może być jedynie tylko *samorząd gminny*. *Konstytucjonalizm* rozpoczyna się od spodniej warstwy spraw, rzeczy i potrzeby *gminy*, kształtuje się w autonomii miast, ziem czy powiatów, wiąże się następnie w logiczną i harmonijną całość, by w ostatecznym rezultacie uwieńczyć jej gmach kopułą konstytucjonalizmu i parlamentaryzmu ze wszystkimi ich formułami i wymagalnościami. Wszędzie, gdzie konstytucjonalizm i parlamentaryzm wyrósł z podobnej gleby, funkcjonuje żywotnie i normalnie; wszędzie, gdzie go stworzył bądź to gwałt wybuchu rewolucyjnego, bądź to naśladownictwo, chroma i staje się albo zabawką, albo przeszkodą normalnego biegu narodowego i politycznego życia. Na półwyspie

Pirenejskim ma samorodną podstawę w nieprzepomnianych nigdy *fuerosach* prowincjonalnych i swobodach miast; we Włoszech będzie go żywiła naturalnie pamięć samorządu municypalnego w połączeniu z tradycjami partykularyzmu i aspiracyami republikańskimi. W Szwajcaryi miał zawsze jakoby swój uprzywilejowany przybytek; we Węgrzech dawał dowód niezaprzeczonej żywotności wbrew i mimo krwawych przerw, w których interesowi domu rakuskiego zdawało się rzeczą potrzebną wskazywać go na milczenie. W Belgii i Hollandyi wyrósł samorodnie z owej dumnej a samowiednej swobody miast, której ani potęga Filipa II w XVI wieku zwalczyć, ani mgła reakcyi w wieku XIX po r. 1815 przyćmić nie była zdolną. W Anglii będąc od samego początku istnienia dziejowego najwyłącznie własnością i wyrobem narodowego ducha i charakteru, stał się stwierdzony wyrokiem dwóch zwyciężkich rewolucyj zaszczytem i warunkiem politycznego życia. Na dalekiej skandynawskiej północy skryształizował się w uświęcony literą pisanego prawa organizm z epoki owych poważnych narad i sądów, jakie się odbywały ongi wśród udziału sędziwych mężów zaufania pod cieniem rozłożystych dębów. Szwecyi i Danii przyszło bez trudu naśladować piękny przykład bratniego norweskiego ludu po rozmaitych experimentach absolutnej władzy....

W lustracyi tej zachodniego świata uderza nas nieobecność dwóch wielkich, dzisiaj wrogo z sobą zwaśnionych narodów, które jakoby dla niezakłócania zewnętrznej politycznej jednolitości wciągnęły na siebie również mundur konstytucyjno-parlamentarny, które przecież widocznie nie czują się w nim „*po swojemu*.” Tymi narodami są *Francya* i *Niemcy*. Przyczyny owego uczucia jednej i tej samej z tego powodu niewygody u narodów zkaładnąd sobie *niepodobnych*, są bardzo naturalne. Zaczniemy od *Francyi*. Tradycye dawnej, podzielonej na prowincye, miasta, księstwa i królestwa samorządnej, odzywającej się po raz ostatni w *Stanach Generalnych* z XVII wieku Francyi, zagięły ostatecznie w centralistyczno-absolutnych robotach monarchii, poczynszy od Ludwika XI, skończywszy na XVtym. Monarchia zabsorbowała w sobie życie polityczne narodu, przekreśliła prawo jego samorządnego bytu, odebrała mu wszelki głos w jego sprawach, by zeń i w imie-

niu jego przemawiać *sama*. Dwieście i więcej lat podobnie ortopedycznej sytuacji wycisnęło na charakterze i usposobieniu narodu francuskiego niezatarte piętno. Obojętniejąc dla życia *politycznego* na wewnątrz, pozostawał czułym na dwie rzeczy tylko, na dolegliwości *społecznej* natury u siebie w domu, na sławę i blask zewnętrzny wobec reszty świata. Prokuracya rządowa dająca *jeść* w domu, pozwalająca cieszyć się sławą na zewnątrz, wystarczała; czy zaś owego jadła w domu a sławy po za domem dostarcza dyktatura wojskowa, czy monarchia prawowita, czy monarchia mieszczańska, czy rzeczpospolita zachowawcza z udziałem lub bez udziału reprezentacyi krajowej, pozostawało dla masy narodu rzeczą wielce obojętną. Zbytecznem byłoby dowodzić, jak mało żyznem dla *prawdziwego* parlamentaryzmu i konstytucjonalizmu mogło być i było podobne usposobienie i podobny kierunek ducha i życia narodowego. Co tu rzeczą najbardziej może uderzającą a zasługującą na uwagę, to że rewolucya z roku 1789 z wszelkimi swemi późniejszymi czy to gwałtami z roku 1793, czy epilogami z roku 1795, 1800, 1814 czy 1830, nie zdołała pod *tym* względem przeinaczyć ani charakteru, ani nawet właściwie organizmu politycznego narodu. Wielka rewolucya wraz z następstwami swemi miała przeważnie *charakter społeczny*; sens jej moralny streszcza się ostatecznie około ogłoszonego przez nią dogmatu *praw człowieka*. *Politycznego* organizmu Francyi dotknęła powierzchownie tylko. Rzeczpospolita z roku 1793, cesarstwo z roku 1804 zastąpiły własnymi firmami *nazwę* królewskości; *rzecz* pozostała ta sama. Czy to Robespierre, czy Napoleon nie byli czem innem, jak Ludwik XIV ze znaną dewizą *L'état c'est moi*, absorbując ducha i życie polityczne Francyi we własnych osobach w imię czy to własnych doktryn, czy własnych potrzeb, dalszym ciągiem monarchicznej centralizacyi i monarchicznego absolutyzmu pod zmienioną formą. Rewolucya nie rozbijała centralizacyi na rzecz autonomii gminnej, nie wracała, nie starała się również wrócić do życia stłumionego i zgniecionego grubemi pokładami absolutystycznej lawy samorządu prowincyj czy miast, nie umiała i nie chciała odtwarzać warunków prawdziwego życia konstytucyjnego i parlamentarnego. Ztąd też owo chromanie jego po epoce absolutyzmu czy to rewolucyjnego, czy napoleońskiego.

Próby z roku czy to 1814, czy z 1815, czy z 1830 były po prostu zewnętrznym hołdem dla prądów i wołań czasu, były naśladownictwem angielskiem bez istniejących warunków żywotności angielskiej. Naturalnie tłumaczy się ztąd łatwość wywracania *takiego* konstytucjonalizmu i parlamentaryzmu, ile razy go kto, jak n. p. Ludwik Napoleon *chciał* na prawdę obalać, ile razy kto dzisiaj jeszcze w imię strachu lub zwycięstwa obliczyć się z nim postanowi. Dziś wobec zdepopularyzowania wszelkich kandydatur, wszelkich form rządu, wszelkich pretendentów ponawia się ta próba, czy jednakże w intencji i z piętnem trwałości? Broń Boże, duch Francji oczekuje dyktatury, która przypadnie pierwszemu, komu się uda odnieść zwycięstwo nad sąsiadem z po za Renu. W takim to ujemnym charakterze przedstawia się nam parlamento-konstytucjonalizm francuski.

Niemniej charakterystyczne, chociaż naturalnie odmienne w swoim rodzaju widowisko przedstawiają nam pod tym względem *Niemcy*, któremi nam się niniejszem specjalnie zająć przychodzi. Tutaj, jako na widowni przedmiot nasz bezpośrednio obchodzącej, wymaga rzecz nieco bliższego zastanowienia. Spoglądając na *Niemcy*, na dzieje ich, życie i organizacją dotychczasową, polityczno-narodową; spoglądając na owę tyle skomplikowaną budowę, owego czy to bezsilnego Cesarstwa św. państwa Rzymskiego, czy późniejszego *bundestagu frankfurtskiego*; na ów stós rozmaitych królestw, księstw, ksiąstewek, elektoratów duchownych, biskupstw, wolnych miast Rzeszy, mogłoby się zdawać, że jeśli gdzie, to *tu* właśnie idea *federalistyczna* obrała sobie uprzywilejowany przybytek, a że jeśli który, to grunt niemiecki jest najżyźniejszą glebą pod siejbę parlamentarno-konstytucyjną. Pozorna w tem tylko jednakże prawda a myliłby się bardzo, ktoby z podobnych danych powyższe chciał wyprowadzać wnioski. Ów *federalizm* kończy się i ogranicza wyłącznie na reprezentantach państwowej władzy, składających skomplikowany konglomerat Rzeszy, na owych królach, elektorach, książętach, biskupach — ale nie sięgał bynajmniej spodniej warstwy narodowego społeczeństwa, oddanego ich rządowi. Wszyscy owi elektorowie, książęta, biskupi byli zawsze niesłuchanie troskliwi i pamiętni o *swoję wolność i niezależność* wobec władzy cesarskiej,

umieli się z nią targować, wchodzić przeciw niej w związki i przymierza zagraniczne. Nie przeszkadzało to jednakże, iż sami pokazując zęby tejże władzy, byli wobec całej masy poddanych samodzielnymi najczystszej wody, że ich nie myśleli dopuszczać do głosu czy stołu rady politycznej, że wszelkie ich ku *tej* sferze porywy i pokusy umieli bardzo surowo i energicznie powściągać. Brandenburgia, Saxonia, Wirtembergia mogły często być w zatargach z Cesarstwem, mogły powoływać się na swe prawo „*libertatis*“ wobec jego nakazów i wymagań, nie lepiej ani gorzej, jak szlachta polska na swe *liberum veto* a z nie lepszym też swego czasu dla Rzeszy skutkiem.

Nie przeszkadzało to jednakże, iż ci sami tyle dbali o swą „*wolność*“ wobec naczelnej władzy cesarskiej oligarchowie Rzeszy, mieli wobec odzywającej się przeciw *ich* władzy choćby w najłagodniejszy sposób opozycji, na każde zawołanie środki repressyi, kaźnie, dekrety banicyjne, rusztowania w razie potrzeby, Brandenburgia Spandawę, Saxonia Königstein, Wirtembergia Hohenasperg. Rzadkim objawom i głosom choćby najniewinniejszego przeciw podobnemu stanowi rzeczy protestu umiano nakazywać milczenie; wielka massa społeczności poddawała się w pokorze i spokoju nieuniknionemu przeznaczeniu, bo nie było, nie ma i nie będzie lepszych poddanych, jak Niemcy. Justus Moser mógł sobie prawić co chciał, w swych *Patriotische Phantasieen*; Liscov mógł pędzić długie lata niewoli na Königsteinie pod kluczem Brühla, Schubart na Hohenaspergu, Schiller z młodzieńczym zapałem chłostać w *Rozbójnikach* stugłówną hydrę ucisku społeczno-politycznego Niemiec, lud sam spał i wypuścił w bezgraniczną, niezaprotestowaną niczem dzierżawę dziedzinę *praktyki* politycznej swym *panującym*. Gdzież wśród podobnego stanu rzeczy było *miejsce* dla porodu parlamentaryzmu i konstytucjonalizmu, dla przyjscia na świat rzeczywistych stronnictw politycznych ze znaczeniem i powagą polityczną?

Charakterystycznym przecież, dziś może dopiero i to niekoniecznie fortunnie zacierającym się znamieniem narodu niemieckiego pozostanie szczególna owa, zawsze i wszędzie zdolna uwydatnić się *umiejętność dystynkcji* między *życiem praktycznem* a *światem teoryi*, tak w obrębie indywidualnego i ro-

dzinnego bytu, jak bardzo naturalnie i w dziedzinie polityki. Owo odsądzenie się od udziału w praktycznej polityce, zwróciło tem konieczniej, tem naturalniej ducha narodowego w sferę abstrakcyi, w której można snuć bezprzeszkodnie systemy filozoficzne, bawić się w wybujałe teorye polityczne, tworzyć najpiękniejsze i najszlachetniejszym entuzjazmem technące poezye,.... „*salvo jure*“ państwa wszakże, podobnie jak biskupi nasi kładli swego czasu na aktach i dokumentach zaopatrzonych swoim podpisem „*salvo jure ecclesiastico*“.... Sfera ducha mogła być wielce swobodną i wybujałą nawet; dziedziny praktycznej polityki nie tykało to w niczem. Tę podstawną cechę charakteru zachował naród niemiecki aż do dzisiejszej chwili. Często zdarza się, że wzięty z osobna na spowiedź indywidualną, wykonawca tego lub owego systemu politycznego, wyzna otwarcie, że nie jest jego zwolennikiem, częściej jeszcze, że wzięty na podobną spowiedź w dziedzinie międzynarodowej, w której jak wiadomo, łatwiej wielbłądowi przedostać się przez otwór igły, aniżeli Niemcowi być na prawdę sprawiedliwym, przyzna po cichu racją tym, których mu krzywdzić każą, co więcej, że przy tej sposobności choć biórokrata najczystszej wody lub może nawet „*trzynasty kapitan*“ feldmarszałka Moltkego, wyrecytuje teorye pełne uczucia sprawiedliwości i szlachetności. Czekaj jednakże na ich zastosowanie w życiu i praktyce! *Tutaj* jest panujący system tak silnym, tak absorbującym, że z owego wyznawcy choćby najpiękniejszych zasad i najszlachetniejszych teoryj robi najposłuszniesze narzędzie. Na tę cechę charakteru narodowego nie można w ocenieniu dynamicznej wartości stronnictw politycznych niemieckich kłaść dość silnego przycisku.

Nie należy jednakże twierdzić, aby wulkaniczne wstrząśnienia rewolucyi francuskiej i wojen napoleońskich, nie były miały dotknąć i poruszyć martwoty politycznej narodu niemieckiego. Trzeba przecież charakter i sens moralny podobnego wstrząśnienia rozumieć a przedewszystkiem nie przeceniać.

„*Kiedy trwoga to do Boga*“.... prawda tego ludowego naszego przysłowia stwierdza się i w ówczesnych stósunkach niemieckich. Jeśli dotknięci gromem Napoleońskiego miecza książęta niemieccy, uciekli się z jednej strony do Opatrzności w trwogach swych i nadziejach, by im dać ostateczny wyraz

przez fakt świętego przymierza, nastąpiła z drugiej strony apelacya do *ludów* Niemiec jako do skutecznej instancyi materialnej siły. W owem powołaniu się do „*ludu*“ mógł jedynie tylko liberalny optymizm, mogły jedynie tylko aspiracye ducha czasu widzieć jakąś tęczową assekuracyą przeciw powrotowi reakcyjnego potopu. Natomiast szukalibyśmy napróżno w kronice owej epoki jakiejs katagorycznej i wyraźnej obietnicy politycznych reform w liberalnym sensie z monarszej strony. Wielcy i mali monarchowie Niemiec pozwolili swoim wiernym poddanym odbić dla siebie samych na Napoleonie zagrożone czy wydarte dzielnice, za co wystarczało najzupełniej przecież wynagrodzić wszystkich „*najwyższą*“ wdzięcznością, tych i owych nawet może orderami i pensyą. Aby ich jednakże darzyć aż jakimi swobodami konstytucyjnymi, aby się dlatego dzielić z niemi zakresem swej nieograniczonej dotąd niczem władzy, — nie powstało w myśli monarchom niemieckim. Jeżeli zaś powstało w głowie poddanym, trzeba im podobny przesąd było wyrugować z twardych mózgów, choćby za pośrednictwem tak surowych lekarzy, jakimi się okazali członkowie mogunckiej komisji śledczej, choćby dalej przez użycie tak radykalnych środków, jakimi były uchwały karlsbadzko-akwizgrańsko-opawskie przeciw prasie i uniwersytetom, lub twierdze w Spandawie, Magdeburgu, Kołobrzegu, Kłodzku i Nissie przeciw osobom „*demagogów*“ niemieckich.

Po roku 1815 wyradza się częścią pod wpływem ducha czasu, częścią pod wpływem owego optymizmu, jakoby monarchowie Niemiec, a mianowicie pruski, byli ludom swym przyrzekli jakieś swobody konstytucyjno-parlamentarne w nagrodę ich czynów i usiłowań w walce przeciw Napoleonowi, — pośród uniwersytetów, pośród młodzieży i szczupłego stósunkowo zastępu uczonych — podobnie jak w całej ówczesnej Europie — pewien ruch konspiracyjno-literacko-wolnościowy. Widzimy, jak co dopiero powiedziano, reprezentowaną w nim w pierwszym szeregu młodzież uniwersytecką, widzimy dalej zamieszanych weń tych i owych, co głośniejszych patryotów z epoki wojen napoleońskich. Nazwiska Jahna, Arndta, Steffensa, sławnego Steina, ministra i generała Boyena nawet, pojawiają się w annałach owego ruchu, czy owych dążności w mniej lub więcej wyraźnej postaci i formie. Po krwawej

owego fermentu ilustracyi przez zamach młodzieńczego marzyciela Sandta — uczczonego, nawiasowo powiedziawszy, wystawionym mu przed kilku laty pomnikiem w Mannheimie — rozwinęły rządy Niemiec przeciw podnoszącemu w podobny sposób, nie sięgającemu bynajmniej i nie ogarniającemu mass liberalizmowi olbrzymi aparat polityczny i policyjny, który siecią swoją zagarniał wszystko, co mu się ułowić dało.

Dość powiedzieć, że autor pieśni *Was ist des Deutschen Vaterland*, Maurycy Arndt; dość powiedzieć, że twórca gimnastyki niemieckiej, długobrody oryginał, tak zwany „ojciec“ Jahn, poszli pokutować wraz z nieprzeliczonem mnóstwem młodzieży uniwersyteckiej za imaginacyjne przewinienia, któreby przy bliższem rozpatrzeniu i zastanowieniu do kategorii podobnychże grzechów przekazać można, za jakie swego czasu czarownice płuły na stósach. Dość powiedzieć dalej, że osobistości zapisane bardzo szacownie i wysoko w Panteonie zasługi i czci niemieckiej, jak Stein, jak minister Boyen, jak kanclerz Hardenberg nawet znaleźli się, bądź to pousuwanemi ze stanowisk, bądź pozostawionemi na dyskretnem uboczu, bądź ograniczonemi w swym wpływie, o ile takowy byłby mógł być sprzyjającym dążnościom liberalnym czasu. Dość powiedzieć dalej jeszcze jako jaskrawy reakcyi owej przykład, że znakomity autor w dziedzinie teologii i kaznodzieja Wilhelm Dr. Wette, został pozbawiony stanowiska urzędowego za napisanie listu, pocieszającego strapioną matkę świętego mieczem katowskim Sandta. Prześladowania podobne tak zwanej „*demagogii*,“ choćby nawet w jej pomnikowych okresach i najpopularniejszych powagach nie wywołało żadnego fermentu, nie dotknęło wcale mass. Dlaczego? Bo cała owa, tak zwana „*demagogia*“ zamykała się w sferze kilku publicystów i kilkudziesięciu młodzieży, kiedy wielka massa narodu słuchała instynktowo i tradycyjnie razem znanej sobie dobrze a zwyczajnej swemu uchu komendy biórokratyczno-militarnej.

Prawdę powiedziawszy jednakże, począł duch wolności niemieckiej wyrabiać i objawiać się swobodniej i wyraźniej w owych zachodnio-południowych, małych państwach niemieckich, gdzie monarsza władza polegała nie tyle na czynnikach siły wojskowej i przymusu administracyjnego, ile raczej na patryarchalnym stósunku panującego do poddanych. W *tych*

małych państw niemieckiego związku odzywają się, mimo kleszczów *bundestagu* frankfurckiego, ku zgorszeniu Metternicha, Kamptza czy Ancillona, coraz to głośniejsze wołania o nadanie konstytucyi, o udział ludu w rządach państwa. Wołania te nie pozostają całkiem bezskutecznymi. Przed rewolucyą lipcową we Francyi i po niej, obdarza większa część małych władców niemieckich, nie wyjmując Saxonii, nie wyjmując Hanoweru, poddanych swych swobodami konstytucyjnymi. Wolność prasy staje się prawie zupełną; gazety małych państw niemieckich, mianowicie weimarskie, rozpoczynają śmiało polemikę przeciw Metternichowo-Gentzowemu *Österreichischer Beobachter*; Prusy i Austria znajdują się odosobnionemi w swym organizmie absolutystycznym wobec przywdziewającej szatę konstytucyjną reszty Niemiec. Tutaj też może i wobec podobnego ruchu w Niemczech miejsce i sposobność wspomnieć, że jeżeli kto, to właśnie owe małe państwa niemieckie, ich stolice, dwory, zakłady naukowe, zbiory i przybytki sztuki były summa tyluż zbawiennych, dobroczynnych ognisk i wyrazów niemieckiego życia w jego pięknych, samorodnych, odpowiadających charakterowi i dziejowemu zadaniu narodowemu objawach. Burza rewolucyi francuskiej i wojen napoleońskich wraz z ich epilogiem rewolucyi lipcowej wstrząsnęła użyźniającą dotychczasową nieporuszalnością charakteru niemieckiego, tam zwłaszcza, gdzie możność podobnego *użyźnienia* nie znajdowała zbytnej przeszkody w batalionie lub żandarmie. Życie niemieckie poczęło w owych Niemczech poza-pruskich i poza-austriackich tryskać bujnemi, obfitemi rzutami tęczowego światła, lśniło świeżością młodości, cieszyło się w każdej gałęzi nauki, na polu poezyi i sztuki posiadaniem mężów, których serca były sympatycznie dla każdej wzniosłej i szlachetnej myśli, którzy kochali na prawdę wolność, którzy jeszcze nie byli zdolni identyfikować wielkości własnej narodowej z koniecznością negacyi prawa narodów i społeczeństw innych. Piękna, wiosenna woniejąca świeżością epoka nowoczesnej historii niemieckiej, za którą tem tęskniej, im bliżej wpatrywać się przychodzi w oblicze dzisiejszych suchot duchowych i sercowych narodu niemieckiego. Piękna epoka Schlossera, Dahlmanna, Rottecka, Welckera, Platena, Maltitza, Börnego, Heinego wraz ze swym szczytnym idealizmem, który wołał swobody na wewnątrz, je-

дноści na zewnątrz, uważając jednakże *pierwszą* za wspólne prawo *wszystkich, drugą*, co najmniej, *nie* za lawinę mającą tamować wolność europejskiego oddechu... Życie duchowo-polityczne Niemiec poza-pruskich i poza-austryackich zaczęło, słowem, w owej epoce z przed roku 1840 czy roku 1848, płynąć szerokim, zdrowym, zapowiadającym przyszłość strumieniem, *gdyby*, nie zapominajmy, było mogło znaleźć normalny wpływ i odpływ. Tymczasem było jego przeznaczeniem wsiąknąć w piaszczystą Saharę przybierającego kształty i formy, strojącego się w firmy i godła liberalne absolutyzmu.

Nie uprzedzajmy jednakże wypadków a rozpatrzmy się raczej w szczegółach drogi, którą duch niemiecki do podobnej przystani się dostał, co tem konieczniejsza, że rzuca charakterystyczne światło na genezę owych stronnictw w Cesarstwie niemieckiem, o których zadaniem naszym mówić obecnie. Ważną i charakterystyczną rolę w owym objawiającym się w Niemczech ruchu przyszło odegrać mimo odmiennej organizacji politycznej, mimo tradycji dziejowych, mimo militarystyki i biurokracji — *Prusom*. Po za sferą ludu czyli lepiej powiedziawszy *intelligencji*, ulegającej dość naturalnie prądom liberalnym owych poza-pruskich i poza-austryackich Niemiec, jest, powiedzielibyśmy, samóž panowanie króla Fryderyka Wilhelma IV, w pierwszych przynajmniej latach, *anomaliją* w dotychczasowym systemie rządzenia i postępowania królów pruskich. Król Fryderyk Wilhelm IV rządzi się wprawdzie średniowieczno-artystyczno-patryarchalnemi jakimiś aspiracyami, wypowiada wyraźnie stanowcze wstręty przeciw parlamentarystyce i konstytucjonalizmowi. Przez dziwną sprzeczność jednakże pozwala równocześnie wpływać na siebie i na swe rządy najrozmaitszym reprezentantom Rzeczypospolitej uczonych i to sfer najróżnorodniejszych, jakich Berlin naówczas w swych murach posiadał mnogo a którzy wszyscy prawie bez wyjątku hołdowali wyobrażeniom i prądom liberalnym czasu. Widzieliśmy sami na własne oczy wielce polemicznej treści korespondencyą w drażliwej bardzo materii między przyjaciółką Göthego, genialną dziwaczką, jakich mało, Bettyną Arnim a królem Fryderykiem Wilhelmem. Podobna korespondencya toczyła się między monarchą a Alexandrem Humboldem. Nie dość na tem, przedstawił słynny lekarz przybo-

czni królewski Schönlein swemu dostojnemu pacyentowi w jego własnym gabinecie rewolucyjnego poetę Jerzego Herwegha, później trochę jednego z przywódców zastępu republikańskiego, przynoszącego Badeńskiemu na wiosnę roku 1848 sztandar republikański ze Szwajcaryi. Podobnie otaczała królewska protekcyja drugiego rewolucyjnego piewcę Niemiec, sławnego Freiligratha, — nie mówiąc o amnestyach i rehabilitacyach, które za wstąpieniem na tron Fryderyka Wilhelma IV dostały się hojną miarą w udziale owym Arndtom i Jahnom, sędziwym już teraz ofiarom reakcyi niemieckiej po wojnach napoleońskich.

Zewnątrz tedy bił ów prąd liberalny w pruski mur militaryzmu i biórokracyi z *Niemiec*; *wewnątrz* znajdował tenże sam prąd zachętę i uznanie ze strony samegoż panującego. Cóż naturalniejszego więc, jak że i w Prusach nareszcie zaczęła się polityczny liberalizm odzywać, zaczął być popularnym, zaczął się wyrażać w dwóch kierunkach: w żądaniu swobód konstytucyjnych na wewnątrz, w nieokreślonym, niewyraźnie sformułowanem wołaniu o jedność niemiecką na zewnątrz. Pod wpływem podobnych usposobień i wrażeń dobiły dzieje nowoczesnych Niemiec szczęśliwie do daty roku 1847. Pamiętna to data w dziejach wewnętrznych Prus, jakkolwiek miała być zatarta pamiętniejszą roku następnego. Rewolucya niemiecka, zapożyczwszy się tak wiele i tak mocno od swej poprzedniczki francuskiej, nie mogła się obyć bez lekkiej i bladej, prawda, kopii roku 1789, tem podobniejszej do pierwowzoru, że inicjatywa tak tu, jak tam miała być dziełem samegoż panującego. Król Fryderyk Wilhelm IV uwzględniając do pewnego stopnia wołania, życzenia i żądania, które się streściły w jednogłośnych niemal postulatach sejmów czy stanów prowincjonalnych, owej parodyi konstytucjonalizmu i parlamentaryzmu, której nadaniem krajowi w roku 1823 ojciec jego skwitował według swego przekonania natręctwo liberalnej opinii, zwołał w marcu 1847 roku do Berlina tak zwany *połączony sejm* (Vereinigter Landtag) czyli sejmy wszystkich prowincyj monarchii do jednej, wspólnej komnaty obrad. Mając szczerze i na prawdę zamiar udarowania nareszcie kraju długo wyczekiwaniem i pożądanem cackiem konstytucjonalizmu i parlamentaryzmu, nie mógł istotnie król Fryderyk

Wilhelm IV uczynić nic logiczniejszego i konsekwentniejszego, jak w przygotowaniu tego, co nastąpić miało później, zgromadzić około swej osoby ową sumę reprezentacji, na jaką krajowi wśród ówczesnych warunków stało. *Nie* mając, jak też nie miał rzeczywiście zamiaru, przeinaczać monarchii z absolutno-militarno-biurokratycznej o polorze uczono-cywilizacyjnym na organizm konstytucyjno-parlamentarny, popełnił nie mniejszy błąd od Ludwika XVI, zwołując owe *Stany Generalne* Prus, tworząc ognisko opozycji, dopomagając do skrytalizowania się w wyraźnie sformułowany program polityczny temu, co dotychczas pokutowało po książkach, poezjach Herwegha, mowach Wallesrodego, prelekcyach Nauwerka, stowarzyszeniach akademickich lub opozycyjnych salonach p. Bettiny Arnim lub Varnhagena von Ense. Nie dość i na tem jednakże, postępowała owa niekonsekwencja w niekonsekwencji dalej jeszcze. Zagajając *połączony sejm*, powiedział między innemi król Fryderyk Wilhelm z wyraźnym przyciskiem, z podniesieniem prawicy, „iż nie zechce nigdy, aby między Niego a lud Jego wciskał się zapisany świstek papieru“ (Ich will nicht, dass sich zwischen Mich und mein Volk, ein beschriebenes Blatt Papier dränge!) Było to, rzecz dziwna, rzuceniem rękawicy w oczy konstytucjonalizmowi i parlamentaryzmowi w tej samej właśnie chwili, kiedy się go powoływało do życia. Nie inaczej też pojmował fakt ten kraj, nie inaczej pojmowało go zgromadzenie *połączonego sejmu*.

Sejm ten jest też, jak tego nigdy w badaniu genezy stronnictw politycznych prusko-niemieckich zapominać nie należy, właściwą ich kolebką. Dotychczas były książki, życzenia, śpiewki i pieśni, tajne stowarzyszenia dzieciennych trochę rozmiarów, opozycyjne salony. Odtąd zarysowują się *stronnictwa* parlamentarno-polityczne, *takie* naturalnie, dodać zawsze należy, jakie gleba pruska wydać mogła. Ciekawym pozostanie pojawem, że w owym *połączonym sejmie* ówczesna, domagająca się nadania konstytucji i liberalnych reform opozycja dwóch skrajnych prowincji monarchii pruskiej, *Nad-Renu i Prus Wschodnich* podaje sobie ręce. Z jednej strony sąsiedztwo i przykład Francji, z drugiej strony tradycje samorządu trącające jeszcze wspomnieniami swemi epoki błęgiego związku z Polską składają się w rezultacie na niespodzianie wymowny

i poważny zastęp, wobec którego ówczesna reprezentacya zastoju niema ani powodzenia, ani nie może znaleźć należytego punktu oparcia. *Z nad Renu* odzywają się wymowne głosy Camphausenów, Beckerathów, Mevissenów; rolę Mirabeau owego zgromadzenia odgrywa westfalski baron Vincke. *Prusy Wschodnie* mają tu swego Auerswalda i Sauckenów. Jako ochotnicy do tego zastępu przybywają kupiec Milde z Wrocławia, bankier Hansemann, pomorski hr. Schwerin, zięć sławnego Schleiermachera. Otóż zastęp, który stanął naówczas w Prusach jako pierwsze, zasługujące na tę nazwę *stronnictwo* parlamentarnopolityczne, zastęp sympatyczny krajowi, pociągający nowością przekonań, wyobrażeń i taktyki, figurujący później w nomenklaturze stronnictw politycznych pruskich jako „partya *staro-liberalna*“ (*Altliberale* i *Gothaer.*) W łonie *połączonego sejmu* z roku 1847 przedstawia pomieniony, liberalny zastęp istną rolę głównych osób z dyalogów Cyclerona wobec potakiwania lub milczenia reszty audytoryum.¹ *Oni* to, by się wyrazić popolicie „*trzymają pierwsze skrzypce*,“ *oni* rozprawiają i dyktują uchwały wśród konserwatywnej opozycyi, która czy to przemawia przez usta pomorskiego szlachcica P. Thadena-Triglaff, czy p. Bismarka z Schönhausen, naówczas jeszcze ani *nie* księcia, ani *nie* kanclerza, nie cieszy się ani powodzeniem, ani popularnością. Połączony sejm kończy w maju roku 1847 swą czynność postulatami ogólnej amnestyi, zmiany kodeksu karnego *landrechtowego*, wreszcie ustawy konstytucyjnej dla kraju. Żądania te są wyrazem, naówczas przynajmniej, opinii publicznej całego kraju, a Prusy mają nareszcie wobec dworu i słabego zastępu absolutystów, po raz pierwszy polityczne stronnictwo o liberalnych dążnościach. Powoli wchodzą więc i *Prusy* na tór, którym już oddawna postępuje reszta Niemiec. Jeśli Itzstein i Hecker reprezentują opozycję parlamentarną w Badeńskim, reprezentują ją po swojemu w Prusach Camphauseny, Beckerethy, Schweriny, Auerswaldy. Rząd uwzględnia owe dążenia do pewnego stopnia, a początek roku 1848 zastaje w Berlinie komitet połączonego sejmu obradujący w porozumieniu z ministerstwem między innemi nad reformą kodeksu karnego.

Trudno nie widzieć i nie przyznać, że uderzający wulkanicznie grom rewolucyi lutowej roku 1848 zastał w Niem-

czech a nawet i w Prusach dobrze przygotowane do przyjęcia owego pole. Pamiętne nam dobrze wrażenia owych następujących po sobie z kolei wstrząśnięć, czy to na bruku paryskim, czy wiedeńskim, czy medyolańskim wreszcie, pamiętne wśród owej dziwnie wczesnej, prześlicznej, marcowej wiosny, która nawet posępną i wymuszoną fizyonomią stolicy Hohenzollernów, jakby uśmiechem swobody rozchmurzyć potrafiła. Myliłby się jednakże bardzo, ktoby ostatecznemu wybuchowi berlińskiemu z dnia 18 marca 1848 i wywieżującemu się zeń kilkunastogodzinnemu bojowi ulicznemu, chciał przypisać jaki wyraźny program, gdyby ktoś chciał w nim dopatrywać się jakiejś kierowniczej ręki. Robotnicy, mała część mieszczaństwa i studentów rzucili się *bez* programu i *bez* planu do broni i do barykad. Król cofnął nad ranem wojsko a po skończonej dopiero walce nadała ludność Berlina ruchowi pewien polityczny charakter, wywieszając barwy niemieckie żółto-czarnoczerwone, na co znów król ze swej strony odpowiedział aktami ogólnej amnestyi, nadaniem swobody prasy i powtórnem zwołaniem połączonego sejmku na dzień 2 kwietnia.

Mniejsza jednakże o te oficjalne postanowienia i dekrety, wywołał ów wybuch marcowy wśród powtarzających się jak zwykle przy erupcyach wulkanicznych, dalszych jeszcze wstrząśnięć, w chaotyczny sposób na widownię białego dnia wszelkie polityczne teorye i ich reprezentantów, których dotychczasowy absolutyzm chować się i milczeć zmuszał. Istna wieża Babel teoryj, pomysłów, planów, projektów z najrozmaitszemi programami i to programami usiłującemi cokolwiekbydaż wejść w życie. Pod względem różnaitości i liczby istna to dalej drabina snu Jakóbowego od najniższego szczebla brukowych awantur aż do „*bożostanu*“ Platonowego państwa. Jeżeli Struve, Hecker, Herwegh wkraczają ze Szwajcaryi w Badenskie, by głosić Rzeczpospolitą Niemiecką; jeśli na bruku berlińskim zakryte już dzisiaj mgłą archeologiczną postacie, jak reprezentanci ulicznej demokracji, Karbe, Linden-Müller, Siegrist, Reich, Held, Eichler, wywołują co chwila burdy i awantury pod Lipami, a estetycznie zkądinąd redagowana *Reform* Arnolda Rugego kusi się niewcześnie torować Rzeczypospolitej drogę w samejże stolicy pruskiej; jeżeli na zewnątrz odzywają się wołania o swobodę dla braci szlzewicko-holsztyń-

skich i popychają rządzący się w wysokim stopniu względami prawowitości rząd króla Fryderyka Wilhelma IV do złamania traktatów europejskich i wystąpienia zbrojnego przeciw dobremu prawu Danii, objawiają się niemniej już wówczas, pośród huczącej jeszcze rewolucyjnej burzy, próby i początki owej czarno-konserwatywnej reakcyi, która znalazła wyraz w stowarzyszeniu, jakim był założony w Berlinie przez zmarłego niedawno temu Adama hr. Luckner *Treibund*, organ w gazecie, jaką była *Kreuzzeitung*. Pośród tych dwóch przeciwnych biegunów, cóż znów za mnóstwo stronnictw, zastępów, odcieni, pojedynczych ludzi, usiłujących *stanąć* mimo ziemiotrzęsienia, zatrzymać się, *organizować* wśród chaosu i rozprzężenia! Pomijając wyprawy szwajcarsko-badeńskie republikańskiej barwy, pomijając mniej lub więcej krwawe uliczne burdy, pomijając deklamatorskie i frazesowe zebrania ludu, plakaty i prasę, przypatrzmy się pobieżnie dwom politycznym ogniskom, które zgromadziły i skrzystalizowały w swem łonie z możliwością scharakteryzowania i ocenienia, *rozmaitości* ówczesnych żywiołów Niemiec. Rzeczą więcej, niż naturalną, iż wśród zerwania się wiosennej burzy i jej wichrowych postępów, nie mogło być miejsca dla przedawnionej instytucyi, jaką był *połączony sejm* będący rezultatem wyborów stanowych, szlacheckiego, miejskiego i włościańskiego. Sama nazwa już odstręczała w epoce, która za przykładem Francyi wywiesiła godło równouprawnienia obywatelskiego. Zwołany na dzień 2 kwietnia 1848 *połączony sejm* miał tedy tyle tylko czasu, by zadekretować własny koniec i ustąpić miejsca z jednej strony tak zwanemu *zgromadzeniu narodowemu* pruskiemu w Berlinie, z drugiej *parlamentowi niemieckiemu* obradującemu w kościele św. Pawła we Frankfurcie nad Menem.

Do dwóch tych ognisk schroniły się i w nich streściły swą czynność i działalność wszelkie jakkolwiek dodatnie i organicznej natury żywioły Niemiec, przez co bynajmniej nie mamy zamiaru twierdzić, aby w samemże ich łonie nie było miało być istnie przepaściowych różnic. Dla scharakteryzowania ich dość powiedzieć, że członkami *narodowego zgromadzenia* pruskiego byli między innymi jako reprezentant okręgu Wyrzyskiego w W. Księstwie Poznańskim, po powrocie swym z Anglii ówczesny książę następcy tronu, dzisiejszy cesarz-król

Wilhelm, że dalej byli nimi mniej lub więcej otwarci republikanie d'Ester, Schneider, Jung, Becker, hr. Reichenbach, Dr. Jacobi z Królewca, nie mówiąc o Waldecku, księdzu Bergu, Rodbertusie, Gierkem, reprezentantach postępowego i szczerze liberalnego konstytucjonalizmu. To samo mniej więcej dałoby się powiedzieć o parlamencie niemieckim we Frankfurcie. Komuż nie pamiętna owa znacząca, ale śniada, nieprzyjemnie przenikliwymi oczami uposażona twarz generała Radowitza, reprezentanta życzeń i dążeń króla Fryderyka Wilhelma IV; komuż nie pamiętna namaszczona i oficjalizmem trącająca poważna i wyniosła postać Henryka Gagerna, komuż nie pamiętne, wyobrażające jaskrawy konserwatyzm osobistości owe: Lovelace'a politycznego księcia Lichnowskiego i starego Auerswalda obok republikanów Vogta, Rugego, Venedeya, Trützschlera, Raveaux, Bluma, Eisenstucka? Jakież zacięte pojedynki, na języki prawda tylko, odbywają się między rozmaitymi reprezentantami owych skrajności! Namaszczony i święteczny wiecznie Henryk Gagern ogłasza n. p. z zadowoleniem i radością, wzywając zgromadzonych do powstania, jako tryumf sprawy niemieckiej zwycięstwo Radeckiego pod Custozzą i wzięcie Medyolanu przez Austryaków. Republikanin Ruge powstaje na to i powiada, że jako człowiek i prawdziwy patriota niemiecki pragnie *pogromu* broni niemieckiej na polach włoskich, a że zwycięstwa Austryaków uważa za klęskę i wstyd Niemiec. Gagern nazywa wystąpienie podobne zdradą sprawy narodowej niemieckiej. Wszczytna się tumult, w którym tak prezydujący Gagern, jak protestujący Ruge równą prawie liczbę stronników znajdują....

W berlińskiej *National Versammlung* sceny podobnego charakteru. Jeżeli były minister spraw wewnętrznych Bodelschwingh woła z oburzeniem: „Walki ulicznej z dnia 18 marca, walki, która zbezczeszczyła stolicę i kraj cały, nie nazwę nigdy rewolucją!” odpowiada mu deputowany Schneider frazesem: „Rewolucye dowiodły, że narody także są z Bożej łaski!” a demokratyczna lewica stawia wniosek „o uznanie rewolucyi.“ Głównym mianownikiem przecież, do którego się powoli wszystkie te różnice ściągają, jest z jednej strony *jedność Niemiec*, z drugiej kwestya ich wewnętrznego ukonstytuowania. Kwestya, że ku tym obu celom sterować należy, nie była wątpli-

wą; trudniejszą była, jak do nich dobić. Owa czarna i ponura reakcja Gerlachowo-Stahlowa krzyżowego autoramentu, która miała ośwładnąć i zapanować Prusami później nieco, nie znajdowała jeszcze naówczas sposobności, ani nie miała odwagi wystąpić na jaw z otwartą przyłbicą. Natomiast sypią się jak z rogu obfitości, według właściwego, osobnego stanowiska politycznego, programy innych partyj. Jeśli we Frankfurcie stronnictwo skrajne zamyśla o przeprowadzeniu jednności niemieckiej drogą zrepublikanizowania kraju i oddaje swe głosy na Venedeyów czy Vogtów, jako na przyszłych zawiadawców Rzeszy, występuje generał Radowitz wraz z zastępem konserwatywnym z projektem skromniejszym, uwzględniającym prawa istniejących monarchij niemieckich, tworzącym reprezentacyą Niemiec z izby niższej ludowej, z izby wyższej monarcharszej, zamieniającym dotychczasowy luźny węzeł łączności *Bundestagu* frankfurckiego na ściślejszy nowego autoramentu. W Berlinie kują również w *Zgromadzeniu narodowym* różne odcienia, każde po swojemu, projekta konstytucyjne, nie przeczuwając czy nie chcąc wiedzieć, że pierwszym warunkiem i gruntem wszelkiego konstytucjonalizmu i parlamentaryzmu jest *organizacya gminy*. Jeden umiarkowany demokrat Waldeck tylko z pośród członków ówczesnego zgromadzenia jest świadom podobnej potrzeby i pracuje nad projektem reorganizacyi gminy, jako wstępu do prawdziwego konstytucjonalizmu, ale także tylko na to, aby elaborat swój złożyć jako pamiątkę chaotycznej chwili do teki jej prac i wspomnień.

Mimo tego chaosu i stanu rzeczy przypominającego nieźle biblijny opis zamięszania języków około budowy wieży Babel, nie można zaprzeczyć owemu ruchowi niemieckiemu z lat 1848 i 1849 jednego bardzo ważnego przymiotu. Jest nim pewna samorodna siła i swoboda. Nie było w nim nic sztucznego, ani fałszywego; złe i dobre strony jego objawiały się niefarbowanie. Był to wulkaniczny wybuch, po którym trwa długo jeszcze nerwowa jakoby wibracya, ale w razie swobody i możliwości normalnego rozwoju byłby się ów chaos ułożył, ustatkował, skryształizował w organizm, któryby nie był przedstawiał fizyonomii koszarowo-biurokratycznego przymusu, lecz odzwierciedlał prawdziwe potrzeby i dążenia niemieckiego ducha i niemieckiej myśli. Organiczną jednakże, pierwotną

wadą ruchu niemieckiego z roku 1848 było *po pierwsze*, co *nie* z jego pochodziło winy, iż nie miał na zawołanie materialnej siły; *po drugie*, co już z pewnością *jego* było winą, że jej sobie nie umiał stworzyć i że wśród ówczesnego fermentu nie położył sobie praktycznego i wyraźnego celu. W podobnem położeniu rzeczy, cóż naturalniejszego, jak że wystraszony i przerażony monarchizm obejrzał się nareszcie w około siebie, przyszedł do przekonania o swej sile i począł myśleć o odzyskaniu tego, co stracił; jak że dalej ruch rewolucyjny po niejakiem jeszcze błędnem kołowaniu i wirowaniu znalazł się prędzej czy później w konieczności rozkładu na pierwiastki, z jakich się stworzył?

Reakcja przeciw niemu postępowała jednakże ostrożnie, bojaźliwie nawet jakoby, etapami, z których ostatnia miała być tragicznie krwią naznaczona. Reakcja zachowawcza niemiecka nie czuła pewnego gruntu pod sobą, dopóki *Austria* nie uprzątnęła się ze swemi rewolucyjnymi elementami. Zwycięztwo jej czy to we Włoszech, czy co ważniejszą na bruku wiedeńskim, stawało się regularnie hasłem do coraz to energiczniejszych objawów elementów zachowawczych nad Sprewą. Właśnie w tych samych dniach listopadowych, kiedy księżę Windischgraetz wkracza do zdobytego Wiednia, znacząc krwawe swe zwycięztwo rozstrzelaniem Roberta Bluma i licznych innych ofiar, odbywa się w Berlinie krok stanowczy ze strony Fryderyka Wilhelma IV i otaczającej go konserwatywnej kamarylli. Dekret królewski oznajmił zdziwionej publiczności utworzenie nowego gabinetu pod prezydencją generała hr. Brandenbura, którego duszą miał być baron Manteuffel. Tenże sam dekret dalej wypędzał zgromadzenie narodowe pruskie na pokutę do miasteczka Brandenbura. Fakt ważny i stanowczy. Rewolucya niemiecka rozbiła się dzięki swej chaotyczności i niepewności celów, o granit biurokracyi i militarystyki pruskiej, poczynając odtąd stopniowo schodzić z widowni samodzielności i samoistności, z której swobodna i naturalna przyszłość narodu niemieckiego wraz z *rzeczywistemi* stronnicztwami politycznemi wyrobićby się była mogła, do katakumb czy to życzeń, czy dążeń, czy teorii, co w rezultacie na jedno wychodzi. Wspomnieliśmy co dopiero o stopniowem, etapowem ustępowaniu rewolucyjnego nurtu. Ustępowanie podo-

zne odbywa się nie mniej *terytoryalnie*, jeżeli tak wolno powiedzieć, jak *pretensyjnie*, nie mniej *zewnątrznie*, jak *wewnątrznie*. Rewolucya zwyciężona w Austrii i Prusach cofa się do Niemiec właściwych; nie dość zaś na tem, zobaczymy nieco niżej, jak kapituluje po kawałku ze swych postulatów, nawet z tych, które Prusy z dobrodziejstwem inwentarza uważały za rzecz stósowną po niej odziedziczyć, nim ostatecznie zawinęły do przystani restauracyi *bundestagowej*. Nie uprzedzajmy jednakże wypadków.

Pozostały więc nasamprzód owe pozapruskie i pozaustriackie Niemcy ze swym Frankfurtem, ze swym zawiadowcą arcyksięciem Janem Austriackim, ze swemi *zasadniczymi prawami* (Grundrechte) narodu niemieckiego, według których monarchowie niemieccy mieli obowiązek rezygnowania z najważniejszych prerogatyw swej władzy, na rzecz jednoczącej ściślej na zewnątrz, liberalnej na wewnątrz konstytucyi Rzeszy Niemieckiej. W dodatku, chcąc uwieńczyć dzieło owe ostateczną świetną kopułą, ofiarowało jeszcze toż samo zgromadzenie, już w roku 1849, już po zamachu stanu z listopada 1848 koronę cesarską Niemiec królowi Fryderykowi Wilhelmowi IV.

Uroczysty i namaszczony zawsze Henryk Gagern miał zaszczyt ceremonialnego ogłoszenia rezultatu głosowania w tym przedmiocie zgromadzeniu frankfurckiemu. Do deputacyi, która ową uchwałę zawiozła do Berlina, należał między innemi sędziwy Maurycy Arndt, autor pieśni *Was ist des deutschen Vaterland.....* Wiadomo dobrze, co za los ze strony dworu berlińskiego spotkał owę ofiarę. Król Fryderyk Wilhelm IV nie chciał przyjąć korony ofiarowanej sobie przez rewolucyą, korony, którąby sobie mieczem dopiero na monarchach niemieckich zdobywać było trzeba. Po odmowie owej ofiary, nastąpił dekret królewski, równoczesny prawie z podobnymże austriackim, odwołujący reprezentantów pruskich z łona zgromadzenia frankfurckiego. Większość posłuchała tego nakazu, mniejszość, pośród której napotykamy osobistości, jak Jana Jacobiego z Królewca, jak Löwego z Calbe, pozostała na miejscu, by następnie pod grozą zbrojnej inwazyi cofnąć się z osobami i naradami swemi do Sztutgardu. Tymczasem uchwalają specyalne reprezentacye całych prawie pozapruskich i pozaaustriackich Niemiec wbrew naturalnie interesowi i woli panują-

cych uznanie „*praw zasadniczych*“ frankfurckich, zmuszają ich do kapitulacyi, zamieniając *de facto* cały swój obszar na sumę tyluż sfederowanych, mniejszych lub większych Rzeczypospolitych. Tak się dzieje w Badeńskiem, Palatynacie Bawarskim, Wirtembergii, Księstwach Saskich, Saksonii samej, prowincjach nadreńskich pruskich. Słowem, są owe zachodniopółnocniowe Niemcy na najlepszej drodze zamienienia się i to w niezbyt długim czasie na rodzaj Stanów Północnej Ameryki. Taki stan rzeczy w Niemczech zapisuje data miesiąca kwietnia roku 1849.

Tymczasem wypada nam dla zachowania symetrii chronologicznej naszkicować w najgłówniejszych zarysach stan rzeczy w Austrii i Prusach, bez których *placetu*, rozumie się, Niemcy właściwe o losach swych samodzielnie stanowić ostatecznie nie mogły. Austrya zgmiotła swój rokosz wiedeński, kazała abdykować staremu Cesarzowi Ferdynandowi, by dziedzictwo jego oddać w ręce młodego Franciszka Józefa, wystąpiła wreszcie dla krajów swych z Kromieryżską ustawą konstytucyjną, o której rzeczywiście wprowadzeniu w życie ani chwili nie było mowy. Równoległego kroku dotrzymują jej Prusy, choć niewątpliwie w sposób trochę *delikatniejszy* dla rewolucyi. Nasamprzód trwają przez niejaki czas po listopadowym zamachu stanu manewra rządu z wypędzonym do Brandenbura zgromadzeniem narodowym. Zostająca pod prezydencją pana von Unruh korporacja nie chce ulegać dekretovi swej bannicy, pozostaje w Berlinie na miejscu, przenosi obrady swe z jednego gmachu do drugiego, dekretuje wreszcie odmowę podatków rządowi, uchwałą, która ściąga na wszystkich swych uczestników procesa kryminalne a między której głównymi autorami świeci Lothar Bucher, dzisiaj radzca legacyjny i prawa ręka księcia Bismarka. Zaczepionia obcesowo przez reakcją konserwatywną demokracja pruska reprezentowana w owych ostatnich chwilach egzystencji zgromadzenia narodowego przez Waldecka, d' Estera, Junga, Unruha, Beckera, Buchera, Jacobiego, broni się i protestuje, — aż narreszcie dekret królewski z końca miesiąca listopada r. 1848 rozwiązuje zgromadzenie narodowe, poczem wkrótce, już pod dniem 5 grudnia 1848 r. następuje ogłoszenie oktrojowanej ustawy konstytucyjnej. Konstytucya owa i treści jej są naj-

lepszym barometrem obaw i niepewności, jakim jeszcze reakcja konserwatywna mimo swego dotychczasowego powodzenia ulegała.

Konstytucyjny akt z dnia 5 grudnia 1848 r. nosił jeszcze niezaprzeczenie cechę liberalizmu i liberalnych dążeń; zaprowadzał wprawdzie system dwuizbowy, ale pierwsza izba wypływała z wyborów wyższej tylko klasy podatkowej; dalej zapowiadał sądy przysięgłe, prawo o odpowiedzialności ministrów, swobodę prasy; obdarzał reprezentacją kraju prawem inicjatywy prawodawczej. Powołany już wówczas na dobre do życia i podnoszący coraz groźniej głowę ponury, polityczno-religijny konserwatyzm *Gazety Krzyżowej* wołał na to dzieło rządowej ustępowości „*Viel zu viel!*“ i było w nim istotnie wiele więcej wolności i warunków swobody, aniżeli w akcie, jaki później dopiero miał szczęście być i nazwać się statutem konstytucyjnym monarchii pruskiej. Na podstawie nowego aktu zostały nawet zwołane obie izby utworzonego przezeń sejmu krajowego na miesiąc kwiecień r. 1849, zwołane na to, aby pokazawszy zęby rządowi w polityce *wewnętrznej*, aby skrytykowawszy ostro jego politykę *niemiecką* przez usta wybranej ponownie demokracji zgromadzenia narodowego, być podobnie, jak i ono, rozwiązanemi dekretem królewskim. Tymczasem zaś, nie zapominajmy, żyje jeszcze rewolucyjna opozycja reszty Niemiec, żyje kościół św. Pawła we Frankfurcie ze swemi *Grundrechtami* narodu niemieckiego, ze swą pretensją rozdawania cesarskiej korony Niemiec, z coraz wyraźniejszą chęcią spróbowania, czy mu się na podstawie sympatii i uznania, jakimi się niewątpliwie cieszy w całej summie owych małych państw niemieckich, niepowiedzie przeprowadzić siłą zbrojną własnego dzieła reorganizacji Niemiec. Pod koniec kwietnia r. 1849 zarysowuje się położenie rzeczy coraz wyraźniej i charakterystyczniej pod każdym względem. *Geograficznie* uważając rzeczy, znajduje się *reakcja* w posiadaniu obszaru monarchii pruskiej i niemieckich prowincyj Austrii, kiedy *rewolucya* panuje na zachodzie-południu niemieckiem. *Politycznie* stają owe militarno-biurokratyczne organizmy niemieckie wyrosłe w przeważnej części na wydartym Słowianom gruncie przeciw obszarowi, który podzielony od niepamiętnych czasów na niezliczone mnóstwo wolnych miast, księstw i bi-

skupstw reprezentował z tradycyi i natury rzeczy pierwiastek federacyjny w życiu narodu niemieckiego. *Plemiennie* stanął ów podobny językiem, ale odmienny duchem zlepek i zlewek, na jaki się wychodziło najrozmaitszych szczepów i okolic niemieckich wraz z ludnością słowiańską złożyło ku utworzeniu ludności państwa pruskiego, przeciw owemu niezmiśzanemu, szczerze i prawdziwie niemieckiemu pierwiastkowi zamieszkującemu zachodnie i południowe Niemcy. Przypadek tylko i zbieg czasowych okoliczności zrządził, że *reakcja* stanęła przeciw *rewolucyi*. Prawdziwiej i głębiej dałoby się powiedzieć, że militarizm i biurokracyzm stanęły przeciw żywiołowi federacyjnemu, jako przeciw prawdziwemu wyrazowi niemieckiego ducha, że absolutyzm stanął przeciw gminowładztwu, że *macedonizm* niemiecki wystąpił przeciw *hellenizmowi* niemieckiemu. Jest to pojaw, który w wyraźniejszy i dotykalszy sposób powtórzył się w r. 1866.

Zresztą chronią się do obozu rewolucyi czy federacyi niemieckiej wszystkie co wybitniejsze postaci demokracji pruskiej. Znajdujemy pomiędzy niemi profesora Kinkla, doktora Löwego, Röslera z Oleśnicy, d' Estera, Buchera, który później osiada w Anglii. Przychodzi do boju w Saksonii, nad Renem, w Palatynie Bawarskim i Badeńskim. Rezultat łatwy do przewidzenia. Organizacya militarna nie może nie odnosić wszędzie zwycięstwa nad chaosem rewolucyjnym, jakkolwiek pośród niego pojawiają się sporadyczne połyski bohaterskiej prawdziwie waleczności i najszczytniejszego poświęcenia. Opór w Dreźnie przełamany naprzód; przychodzi następnie kolej na zbuntowane pruskie, nadreńskie miasta Elberfeld i Iserlohn; Palatynat ulega także, naostatku wreszcie i Badeńskie wraz z ostatnim umierającej rewolucyi niemieckiej przybytkiem Rastadtem. Liczne ofiary doraźnych egzekucyj zamykają ostatnią scenę tego krwawego dramatu. Trützschler, Tiedemann, Bönning, hr. Fugger, Dortu, — otóż kilka nazwisk wyrwanych na chybi trafi z żałobnej kroniki ponurych dni po stłumieniu powstania Badeńskiego.

W lipcu r. 1849 znalazła się tedy rewolucya niemiecka nietylko zwyciężoną, ale i ukaraną. Wybitniejsze jej postacie, jeżeli nie znalazły po doraźnej egzekucyi schowania we fosach Rastadtu lub Landau, szukały schronienia w Szwajcaryi, Au-

glii, Ameryce nawet. Ruge i Bucher (jako korespondent *Nationalzeitung* nawiasowo powiedziałszy) osiadają w Londynie, d' Ester i Löwe w Szwajcaryi, Hecker, Struve i Sigel w Ameryce. Ostateczne zwycięstwo Austrii we Włoszech i Węgrzech, podobne zwycięstwo zachowawczej Rzeczypospolitej we Francyi nad żywiołami wewnętrznego rozstroju nadaje i niemieckiej restauracyi pewniejszą podstawę. Chodzi tylko teraz o kucie praw, postanowień i rozporządzeń, któreby powrót wypadków podobnych, jakie były w r. 1848, uniepodobniły, chodzi o zemstę na ich sprawcach czy co wybitniejszych reprezentantach. Smutna istotnie, ponura chwila, która znalazła wyraz w znanym wierszu Henryka Heinego z miesiąca października 1849 r.:

Gelegt hat sich der starke Wind
 Und wieder stille wirts da heim;
 Germania, das grosse Kind,
 Erfreut sich wieder seiner Weihnachtsbaime.
 Wir treiben jetzt *Familienglück*, —
 Was höher lockt, Das ist vom Uebel —
 Die Friedensschwalbe kehrt zurück,
 Die einst genistet in des Hauses Giebel.
 Gemüthlich ruhen Wald und Fluss,
 Von sanften Mondlicht übergossen;
 Und manchmal knallts — Ist das ein Schuss?
 Es ist vielleicht ein *Freund*, den man erschossen!
 Vielleicht mit Waffen in der Hand
 Hat man den Tollkopf angetroffen...
 ...Du fällst, doch tröste dich Magyar,
 Wir Andere haben schlimmere Schmach genossen.
Anständige Bestieen sind es doch,
 Die ganz honnet dich überwunden;
 Doch wir gerathen in das Joch
 Von Wölfen, Schweinen und gemeinen Hunden.
 Das heult und bellt und grunzt — ich kann
 Ertragen kaum den Duft der Sieger.
 Doch still, Poet, Das greift dich an,
 Du bist so krank und schweigen wäre klüger!

Pessimistyczno-cyniczny wykrzyk najświeźszego młodych Niemiec poety w ponurej chwili pogromu ich zastępu, w chwili pogrzebu ich długoletnich nadziei i złotych marzeń... Rewolucya tedy, raz jeszcze, została zwyciężoną, jej reprezentanci wypędzeni, rozstrzelani lub powięzieni; wszystko, co traciło nazwę lub pretensyą choćby tylko samodzielnej, politycznej partii zstąpiło do katakumb; pozostały na placu jedynie tylko *rządy* wobec spustoszeń poczynionych przez rewolucyą, wobec otwartej kwestyi, co czynić dalej i jak Niemcy zorganizować. W *tej* chwili i w *tem* dziele trudnoby się chcieć dosłuchiwać głosu, trudnoby się chcieć dopatrywać współdziałania narodu niemieckiego, jego stronnictw czy wpływowych ludzi. Poczyna się robota oficjalizmu, wśród której zarysowuje się jednakże zaraz na początku i od razu różnica między Prusami a Austryą. *Prusy* poczuwają się do potrzeby i obowiązku wzięcia *same* do pewnego stopnia w rękę dzieła niedokonanego przez rewolucyą, dzieła *wewnętrznej* reorganizacyi i *zewnątrznego* zjednoczenia Niemiec. Z jednej strony znajdują do podjęcia podobnego zadania zachętę w programie tak zwanych *Gotajczyków*, czyli osobistości rekrutujących się po większej części ze zastępu o wyobrażeniach politycznych *staroliberalizmu*, na których czele stoi sławny Henryk von Gagern, z drugiej w pewnej ambicyi liberalno-niemieckiej króla Fryderyka Wilhelma IV i generała Radowitza rozumiejących, że teraz, po przywróceniu porządku, po obaleniu rewolucyi nadeszła przecież *ich* chwila. Rozpoczynają się tedy z ich strony, ale już bez współudziału, ale już wśród ironicznej niemal obojętności powalonych o ziemię, milczących i wskazanych na milczenie stronnictw, przez koniec roku 1849, przez początek roku 1850 usiłowania konstytucyjne i unifikacyjne. Z wiosną roku 1850 zwołują Prusy parlament do Erfurtu i przeprowadzają na nim wśród obowiązkowego przyzwolenia reprezentacyi składającej się z elementów *Gotajskich*, pod względem *koncessyjności* wobec rządowej woli, istnych protoplastów dzisiejszego narodowo-liberalizmu, swój program unifikacyjno-reorganizacyjny. Dostrzegalnym rezultatem tej roboty jest tak zwana *Unia* łącząca małych książąt północnych Niemiec w rodzaj konfederacyi pod egidą Prus, pomysł kulawy, chorobliwy, rozdzierający właściwie Niemcy, zamiast je łączyć, wierny po-

mnik niepraktyczności politycznej tak samegoż króla Fryderyka Wilhelma IV, jak jego Parmeniona Radowitza. Wobec tych prób i usiłowań Prus, przybiera po krwawem zgnieceniu Włoch i Węgier, po uciszeniu fermentu wewnętrznego, coraz wyraźniejszy, coraz więcej stanowczy charakter niemiecka polityka *Austrii*, czyli ściślej powiedziawszy, Feliksa księcia Schwarzenberga. Jeżeli Prusy mimo wszelkiego antagonizmu z rewolucją, podejmują jednakże same poniekąd jej dzieło, przemysłiwają o reformie stósunków wewnętrznych i kształtu zewnętrznego Niemiec według własnego autoramentu, steruje polityka niemiecka Austrii wyraźnie i stanowczo do przystani czysto-restauracyjnej, do odbudowania obalonego wypadkami roku 1848 *bundestagu* frankfurtskiego i niemieckiego związku z r. 1815. Wiadomo dobrze, jaką drogą, po szczeblach jakiego to upokorzenia Prus, króla Fryderyka Wilhelma IV i generała Radowitza, udało się Austrii w połączeniu ze swymi południowo-niemieckimi sprzymierzeńcami odnieść zwycięstwo. W jesieni r. 1850 biorą na siebie Prusy obronę zbuntowanych przeciw samowładnemu elektorowi Hessów i zajmują swemi wojskami Kassel. Znosi się po raz ostatni, że Prusy w imię i w interesie swej polityki niemieckiej, w przymierzu z północno-niemieckimi księstwami, w przymierzu dalej z odzywającą się wówczas niewątpliwie na ich korzyść opinią publiczną, dobędą miecza i że może w następstwie następstw przyjdzie im się odwołać do żywiołów i czynników, do których uciszenia i pochowania co dopiero tak stanowczo same się przyłożyły. Obawy te jednych, nadzieje drugich zawiodły najzupełniej. Trzymający naówczas ster rządów pruskich baron Manteuffel zauważył bardzo praktycznie, iż nie można rozpoczynać wojny, w której zwycięstwo choćby nawet odniesione w Wiedniu, trzebaby chyba kończyć przedłużeniem pochodu tryumfalnego aż do Petersburga — i wołał kapitulować. Przestrzelony płaszcz i zabity siwek bawarski pod Bronzell zakończył kampanią wojenną; abdykacja Prus w Ołomuńcu podpisana przez Manteuffla kończy i zamyka kampanią polityczną. Prusy uznają ponownie *bundestag* frankfurtski, wysyłają doń swego reprezentanta, którym przez niejaki czas jest dzisiejszy książę Bismark, dopomagają do rozbrojenia Szlezwigu i Holsztynu na rzecz Danii, zawijają pełnemi za-

glami do portu bezwzględnej restauracyi. Odtąd kończy się na długie lata ich polityka niemiecka; baron Manteuffel cieszy się mocno jako kierownik polityki zagranicznej Prus, iż „jeśli mu się nie udało *najlepszego* zyskać, to mu się z pewnością powiodło *najgorszego* uniknąć“ a polityka wewnętrzna tymczasem zdobi, gładzi i upiększa coraz to nowemi szczegółami przybytek politycznej reakcyi.

Jest to owa tak zwana *era Manteuffla*, której ten mierznych zdolności, choć silnego charakteru i nie mniej silnej woli biórokrata daje nazwę i firmę, której namaszczenie polityczne i treść nadaje owa prawowierna religijnie, konserwatywna politycznie, nieliczna, ale ważna znaczeniem falanga, w której objęcia pod wrażeniem grozy rewolucyjnej król Fryderyk Wilhelm IV z pod dotychczasowej opieki generała Radowitza się schronił, która znalazła swój organ w *Kreuzzeitung*, która się rekrutowała z arystokracji ziemskiej, wyższych elementów armii i biórokracyi, która wreszcie widome swe doktrynerskie głowy miała w uczonym profesorsze uniwersytetu berlińskiego Stahlu i prezesie sądu apelacyjnego Gerlachu. Do tej spółki możemy dodać jeszcze jako trzeciego, adjutanta królewskiego generała Neumanna. Był to poprostu powrót do państwa absolutno-militarno-biórokratycznego z teoretycznem piętnem ortodoksyi i konserwatyzmu, „*der christlich germanische Staat*“, jak dotąd nie bez przekąsu liberalizm polityczny produkt owej epoki nazywa... Pod pobożno-zachowawczem błogosławieństwem podobnych żywiołów, pod pokazną na zewnątrz firmą barona Manteuffla przędła reakcyja swą siatkę polityczno-policyjnego przymusu wraz z wszystkiemi zwykłemi sobie weksacyami, wśród prześladowania prasy, stowarzyszeń, wszystkiego wreszcie i wszystkich, co jej na zawadzie stawali. Zapytałby teraz w interesie naszego naczelnego zadania należało, co robiły wówczas i jak się manifestowały *stronnictwa polityczne* prusko-niemieckie? W sposób *bierny* w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu, stojąc na uboczu, wystawione na prześladowania, mając swych głównych reprezentantów bądź to po więzieniach, bądź na wygnaniu, wstrzymując się nawet od udziału w wyborach do izb sejmowych wśród *takiego* konstytucjonalizmu, jaki panuje w Prusach w „*Manteufflowej erze*“. Prasa jedna, wśród utrudnionych

warunków, na jakie się wskazaną znajduje, daje jakiegokolwiek znaki życia. *Nationalzeitung* reprezentuje umiarkowany konstytucjonalizm, *Urwähler* zamieniony później na *Volkszeitung* radby przemawiać w imieniu demokracji; najwięcej stosunkowo wolno w błazeńskiej jego czapce, *wtedy* szczerze liberalnemu i uczciwemu *Kladeradaczowi*.

Najciekawszy obraz przedstawia jednakże naówczas w swoim rodzaju *parlamentaryzm* pruski. Jak co dopiero powiedziano, usunęły się liberalno-demokratyczne żywioły od udziału w wyborach. Nie dość na tem, rozwinął rząd najzabiegliszą, najczujniejszą działalność, by nawet wśród podobnej asekuracyi przedstawiającej się samo przez się, nie wyszedł czasem z dokonywających się wyborów jaki sejm pokazujący władzy zęby, przeszkadzający jej w dziele praktykującej się ciągle reakcyi. Sypały się więc jak z rogu obfitości rozporządzenia do władz administracyjnych wyższego i niższego stopnia w celu odpowiedniego ułożenia okręgów wyborczych. Landraci, burmistrzowie, dystryktowi komisarze wpływali mianowicie na zależne od rządu osobistości, obrabiali w najrozmaitszy sposób ludność, byle tylko z urny wyborczej wyszła reprezentacja potulna i usłużna. Rezultat podobnego położenia rzeczy i podobnej roboty był naturalnie łatwy bardzo do przewidzenia. Lata od roku 1858 przedstawiają na widowni prusko-niemieckiej obraz, czy lepiej powiedziawszy, parodię parlamentaryzmu, na jaką ludzkość europejska z pewnością jeszcze nie patrzyła nigdy. Sama już druga i poprawna a ostatecznie przyjęta i zaprzysiężona przez króla Fryderyka Wilhelma IV edycja ustawy konstytucyjnej z dnia 31 stycznia 1850 r. była jeżeli nie zupełną negacją, to przynajmniej bardzo miarkującą modyfikacją wszelkiego konstytucjonalizmu i parlamentaryzmu. Rola reprezentacyi kraju znalazła się w niej zredukowana na bierną kompetencją, co najwięcej, — *przeszkadzania* rządowi w prawodawczej czynności. Nie pozostawiono jej żadnej własnej inicjatywy; o odpowiedzialności ministrów nie było mowy; wychowanie publiczne nie doczekało się organicznego prawa i pozostało nietkniętą dziedziną dowolności każdorazowego ministra oświecenia, czyli lepiej powiedziawszy, każdorazowego systemu politycznego. Najważniejsza broń, jaką reprezentacye narodowe w organizmie konstytucyjno-parlamen-

tarnym posiadają, prawo odmowy podatków, wytrącała ustawa konstytucyjna pruska z rąk *swojej* reprezentacji, stanowiąc wyraźnie, że w razie konfliktu między rządem a sejmem bezprzerwne ściąganie podatków służy pierwszemu. Jak widzimy, nie pozwalała już tedy sama litera ustawy konstytucyjnej pruskiej na zbyt wybujałe wybryki samodzielności i niezależności narodowej wobec nie dającej się tykać monarchii militarno-absolutnej.

Jakże znakomicie przecież sekundował skład i duch przychodzącej rok po roku w „*Manteufflowej erze*“ do skutku reprezentacji krajowej owemu duchowi i intencji ustawy! Jest to epoka tak zwanej „*izby landratów*“ (Landrathskammer), epoka, w której rzeczywiście w skutek wpływów i nacisku z góry, głównie burmistrze, radcy regencyjni, amtsrady, landraty i „inne tego rodzaju“ (niechaj nam szanowny czytelnik wybaczyć raczy niedokończoną reminiscencją z *Pana Tadeusza*) *żywioty* administracyjne dostawały się w przeważającej niesłuchanie liczbie do gospodarowania w izbie deputowanych sejmu pruskiego. Cały stós praw organicznych wykończał, udoskonalał, przypominał sobie z kolei wszystko, co tylko samaż konstytucyjna ustawa w interesie bezprzeszkodnego funkcjonowania maszyny policyjno-militarnego państwa postawić zaniedbała czy przepomniła. Tak powoli, jedno za drugim, znalazły się sądy przysięgłych usunięte od kompetencji i wyrokowania w sprawach politycznych i prasowych a dla zbrodni zdrady kraju i usiłowań zmierzających do niej, ustanowiony osobno, wyjątkowy trybunał składający się z członków berlińskiego *Kammergerichtu*. Tak dalej ogłoszono elastyczne prawo o stowarzyszeniach z dnia 11 marca 1850 r. będące żywym zaprzeczeniem zastrzeżonej konstytucyjnie swobody asocjacyjnej i dające miejscowym policyjom dyskrecjonalną władzę nad wszelkiego rodzaju nazwy i tendencji towarzystwami. Tak, idąc jeszcze dalej, znalazło się nibyto przyjęte w ustawę konstytucyjną pruską szczytne prawo zaręczające osobiste bezpieczeństwo angielskiego obywatela, *Habeas corpus*. Rozporządzenie organiczne z d. 12 lutego 1850 miało jednakże znów svojem elastycznym brzmieniem przetłumaczyć ową gwarancją konstytucyjną na patent nieograniczonej swobody działalności policyjnej. Prawo organiczne o swobodzie prasy z d.

26 maja 1851 r. zabezpieczało tak dalece owę swobodę, że dawało policyjnej władzy po kilkakrotnem wskazaniu czasopisma za przestępstwo prasowe, możność nie tylko zakazywania samegoż pisma, ale, co więcej, odbierania konsensu właścicielowi drukarni i księgarni, jeśli nakładzca pisma takową posiadał. Późniejsze tejże samej epoki prawo z dnia 13 lutego 1854 stawiało wykraczających przeciw kodeksowi karnemu urzędników administracyi i wojskowych po za obręb wszelkiej odpowiedzialności, *jeżeli* przełożona ich władza *sama* nie zażąda u prokuratora wytoczenia im śledztwa.

Najważniejszym jednak *politycznie* tej epoki prawem, pozostanie rozporządzenie z dnia 7 maja 1853 reformujące genezę i skład pierwszej izby sejmu pruskiego. Dotąd wpływała owa izba z wyborów najwyżej opodatkowanych obywateli państwa. Odtąd przyjęła nazwę *izby panów* i składała się bądź to z reprezentantów stu, później pięćdziesięcioletniej posiadłości ziemskiej, lub też z osób powołanych szczególnem zaufaniem królewskiem. Ztąd to dostała się w skład owej izby, między reprezentantów starodawnych, najarystokratyczniejszych w kraju rodów i imion, cała falanga nadburmistrzów, generałów, profesorów, których, co najwięcej, polecał i bierzmował na zajmowanie podobnego stanowiska przykładowy sposób myślenia. Że twórca moralny podobnej izby a zarazem jej członek profesor Stahl był swoją drogą człowiekiem uzdolnionym i uczonym; że dalej n. p. słynny nauczyciel prawa publicznego, profesor uniwersytetu wrocławskiego Tellkampff przezwierzył się konserwatywnej chorągwi i występował w podobnem gronie niekiedy w imię jakichś liberalnych aspiracyj, nie świadczy nic przeciw powyższej regule zasadniczej. Izba panów, w składzie, jaki wskazaliśmy co dopiero, miała konstytucyjne prawo swoim *veto* przekreślić wszystko, coby jej się z uchwał i postanowień izby deputowanych nie spodobało, a naturalnie bardzo, nie mogło jej się podobać nic takiego, co trąciło *rzeczywistym* konstytucjonalizmem i coby było mogło ograniczać, w czemkolwiek bądź prawo władzy monarszej na rzecz reprezentacyi kraju. Ustanowieniem tedy izby panów zbudował sobie rząd „*ery Manteufflowej*“ mur bezpieczeństwa przeciw wszelkim liberalnym zachciankom kraju, przeciw wszelkim wierzganiom izby deputowanych nawet wtenczas, skoroby

przestała być „izbą burmistrzów, amstrathów, regirungsrathów i landrathów.“ Taki to otóż konstytucjonalizm i parlamentaryzm został zbudowany organicznie między r. 1850 a 1858 za „*ery Manteufflowej*“ będącej dzisiaj w poniewierce u narodowo-liberalizmu a przecież w rzeczywistości święcie przezeń w tem, co wzniosła, szanowanej.

Na dzieło owej ery, na wszelkie jego szczegóły nie można zwracać dość bacznej uwagi, na znaczenie jego nie można kłaść dość silnego przycisku, ponieważ to, co zbudowano wówczas, trwa w gruncie rzeczy niezachwianie aż do dnia dzisiejszego, ponieważ dalej wartość i sens polityczny tej budowy jest najlepszym kamieniem probierczym wagi, wartości i znaczenia politycznych stronnictw prusko-niemieckich. Zrekapitulujmy tedy raz jeszcze, z cierpliwością narodu, który nas niniejszem zatrudnia, zasadnicze podstawy dzieła „*ery Manteufflowej*“ ze stanowiska konstytucyjno-parlamentarnego *credo*, ze stanowiska programów jakichbądź stronnictw politycznych według pojęć, definicji i wyobrażeń *prawdziwego* konstytucjonalizmu.

A więc tedy:

I. Idzie machina państwa swoim dotychczasowym biegiem w rękę panującego, biurokracyi i militarystyki *bez* względu na reprezentacyą kraju, której wolno rozprawiać, wolno *przeszkadzać* rządowi w robocie prawodawczej, ale która żadnego prawa skutecznej inicjatywy nie posiada.

II. Ile razy potrzeba, znajduje się zawsze na wszelkie zachcianki izby deputowanych skuteczny hamulec w organizacji i składzie izby panów, którą znów panującemu wolno rekrutować z elementów i w liczbie, jakie mu się podobają.

III. Najważniejsze konstytucyjnie prawo *wszelkiej* reprezentacyi krajowej, prawo układania corocznego budżetu państwa nie istnieje w rzeczywistości w Prusach, ponieważ w razie konfliktu między rządem a sejmem, pierwszy ma prawo bezprzeszkodnego i bezprzerwnego ściągania podatków.

IV. Swoboda osobista i prawo pozostawiania w razie oskarżenia o jakiebądź przestępstwa pod kompetencyą właściwego sądziego, jest usunięte faktycznie przez elastyczne prawo z dnia 12 lutego 1850 roku i przez drugie prawo

ustanawiające *Staatsgerichtshof*, trybunał wyjątkowy dla spraw politycznych i ważniejszych prasowych.

V. Swoboda stowarzyszeń, jeden z kardynalnych warunków wszelkiego konstytucjonalizmu, znajduje w prawie organicznem z dnia 11 marca 1850 r. interpretacją dającą władzy policyjnej możność zakazów i interwencji, ile razy jej się podoba.

VI. Swoboda prasy ma przez organiczne prawo z dnia 26 maja 1851 r. narzucony sobie przymus i trudności, wśród których egzystencya czasopiśmem mianowicie opozycyjnym staje się niepodobieństwem. Nadto trzyma ją na uwierzy oddanie kompetencji w sądzeniu przestępstw prasowych częścią sądom zwyczajnym, częścią trybunałowi wyjątkowemu.

VII. Przez prawo z dnia 13 lutego 1854 roku zniesioną jest konstytucyjnie zaręczona równość obywateli państwa, ponieważ *nieurzędnikowi* poszkodowanemu przez urzędnika administracyjnego lub wojskowego, skoro tenże znajduje się w wykonywaniu swego urzędu, nawet prokuratorowi królewskiemu, nie wolno bez upoważnienia przełożonej władzy winnego, występować przeciw niemu z oskarżeniem.

VIII. Organicznego prawa o odpowiedzialności konstytucyjnej ministrów wcale nie ma. Są tylko konstytucyjnie odpowiedzialnymi wobec króla.

IX. Również nie ma do tej chwili organicznego prawa o wychowaniu publicznem, tak, że cały ten, tyle ważny życia narodowego obszar pozostaje ciągle jeszcze pod dyskrecyonalnym zarządkiem każdorazowego ministra oświecenia i panującego chwilowo systemu.

X. Król ma nieograniczone prawo rozwiązywania sejmu, ile razy tego uznaje potrzebę, co nie przeszkadza zresztą w niczem normalnemu biegowi machiny państwa. Panujący nie potrzebuje wcale reprezentacji kraju, mogąc rządzić pół wieku choćby wśród ciągle zwoływanych i ciągle rozwiązywanych sejmów, czyli, powiedziawszy innemi słowy, sejm nie jest i to ściśle konstytucyjnie *de facto* wcale niezbędnym czynnikiem normalnego funkcjonowania organizmu państwowego.

Otóż to konstytucjonalizm i parlamentaryzm, jaki w Prusach stworzyła *era Manteufflowa* a który z lekkimi modyfikacyami w dziedzinie prasy trwa podstawnie i zasadniczo aż

do dzisiejszej chwili. Dziwna rzecz! Jest teraz modą tak ze strony organów i reprezentantów rządu, jak ze strony panującego narodowo-liberalizmu mówić z pewnem pogardliwem lekceważeniem o „*erze Manteuffla*“. Wielka w tem niesłusznosc. To, co stworzyła, jest dla rządu do tej chwili istną *Magna Charta* prawa publicznego; przeciw liberalnym zaś stronnictwom wcale ani pogardy, ani lekceważenia godną twierdzą, o której wszelkie ich usiłowania i zabiegi się rozbijają. Niechaj jednakże, komu wola a kto ma choćby najpowierzchowniejsze tylko pojęcie o istocie prawdziwego konstytucjonalizmu i parlamentaryzmu, zechce zasadnicze i podstawne dogmaty *jego* porównać z powyższemi zasadniczemi i podstawnemi dogmatami konstytucjonalizmu „*ery Manteufflowej*“, nietkniętego w swem jądrze, przypominamy raz jeszcze, aż do obecnej chwili w Prusach. Z porównania i zestawienia podobnego wypadnie jako konieczny, jako nieunikniony rezultat, iż konstytucjonalizm *ery Manteufflowej* był pod nazwą i firmą konstytucjonalizmu żywą jego negacją, że wśród zachowania formułek, terminów technicznych, ozdóbek konstytucjonalizmu i parlamentaryzmu był właściwie niczem innem, jak zbudowaniem absolutyzmowi przybytku, jak zbawczem wzniesieniem organizmowi militarno-biurokratycznemu trwalszych i odpowiedniejszych zmienionym stosunkom i potrzebom czasu podwalin.

Cóż teraz, zapytaćby w interesie naczelnego zadania naszego należało, było wobec podobnych stosunków, wobec podobnego położenia rzeczy za zadanie, za stanowisko stronnictw *politycznych* niemieckich? — Na to pytanie odpowiedzieć przede wszystkim możemy owym anegdotycznym listem pewnego pastora do Fryderyka II, tłumaczącym królowi, iż w jego kościele nie można było dzwonić z dwudziestu czterech przyczyn, z których pierwsza, iż *niema dzwonów*. Rzeczywiście milczały stronnictwa polityczne niemieckie w owej *erze Manteufflowej* z rozlicznych powodów, z których pierwszym, iż ich na widowni decyzji o politycznych losach własnego kraju wcale właściwie nie było i być nie mogło. Widzimy funkcjonującą machinę państwa pod błogosławieństwem i namaszczeniem *Krzyżowej* partii, Stahlów, Gerlachów, Wagenerów, Neumannów, Lucknerów, — przeciwnicy ich dostrzegalni zaledwie w łamach

Nationalzeitung, Volkszeitung i Kladderadatscha. Znajdują się po troszę w Ameryce, we Francyi, w Anglii, w Szwajcaryi; siedzą nielicznie po więzieniach, *liczniej* daleko przycichli, klnąc przy szklance piwa w poufnem kółku „na reakcyę“, ale w rozbiciu swem i rozstrzeleniu nie *usiłują* nawet zdobyć i odzyskać utraconego po roku 1848 stanowiska. Zniknęły marzenia o jedności niemieckiej, *bundestag* frankfurtski kwitnie znów w całej pełni. Aspiracye wewnętrznej wolności kryją się trochę do bardzo umiarkowanie redagowanych gazet, więcej i głośniej, w razie dyskretnego audytorium, do „*knajpy*“, do owego przybytku, którego wagę i znaczenie dla Niemca niemieckiego życia już największy z wieszczów naszych umiał tak intuicyjnie ocenić w swych *Księgach Pielgrzymstwa*.

Rzeczą zasługującą bardzo na uwagę wszystkich psychologów i fizjologów, zastanawiających się nad charakterem i naturą narodu niemieckiego, pozostanie, iż inicjatywa przerwania podobnego snu letargicznego, wyjścia z podobnego zastoju, otworzenia sobie nowych horyzontów, nie wyszła bynajmniej, jakby się tego naturalnie spodziewać było należało, z wnętrza jakiegoś wulkanicznego fermentu, z nurtującego katakumbowo, ale niewątpliwego niezadowolnienia bolejącej duszy narodowej. Broń Boże, śladów nawet czegoś podobnego, materiału na drugą i poprawną edycyą jakiego roku 1848 nie widać w Prusach i Niemczech. Panuje chłód i obojętność dla polityki, na pierwszym planie królują ekonomiczne potrzeby i ekonomiczne aspiracye czasu. Inicjatywa zmiany wychodzi zkadınad; rzecz dziwna, hasło jej wychodzi z góry. Jak wiadomo, dotknęła w listopadzie r. 1857 króla Fryderyka Wilhelma IV ciężka choroba, z której po kilkutygodniowym, niebezpiecznem cierpieniu powstał na to tylko z łoża boleści, by się obudzić dotkniętym czarną melancholią. Słabość ta nie była jednakże tego rodzaju, aby pozbawiać chorego monarchę zupełnej możności rozporządzania swą osobą i wolą. W zgodzie ze swą małżonką przelał tedy król Fryderyk Wilhelm IV, wyjeżdżając do Włoch, z jesienią roku 1858 wykonywanie swych praw monarszych przez czas trwania swej słabości na swego brata, następcę tronu, księcia Pruskiego, dzisiejszego cesarza Wilhelma. Dla rozumienia kierunku, jaki jego rządy tuż po objęciu regencyi wzięły, wypada choć w kilku słowach

zwrócić uwagę na stosunek jego ówczesny do kamarylli z epoki króla Fryderyka Wilhelma IV i zastępu *Krzyżowego*.

Nie wiadomo właściwie dla czego, być może, iż z prostej przyczyny, że każdy następca tronu jest naturalnym krytykiem swego poprzednika, a że każdy panujący w następcy swoim podobnego krytyka widzi czy odgaduje, — nie był ksiązę pruski *in odore sanctitatis* żywiołów trzymających wodze państwa za panowania swego brata. Szeptano sobie do ucha, że ksiązę następcą tronu jest *liberalnym*, że w czasie pobytu swego w Anglii roku 1848 nawrócił się na wiarę konstytucjonalizmu i parlamentaryzmu, że nie pochwała bynajmniej panującego zachowawczo-prawowiernego systemu. Co rzeczywista prawda, to że ksiązę następcą tronu był istotnie celem zaczepek i pocisków *des enfants perdus* stronnictwa *Krzyżowego*. Dość przytoczyć fakt, że główny agent tegoż stronnictwa w Prusach Wschodnich, redaktor wychodzącego w Królewcu dziennika *Der Freimüthige*, niejaki Emil Lindenberg, został skazany *kilkanaście razy* za obrazę księcia następcy tronu, ale że za każdym takim skazaniem przez wyrok sądowy, czekała go specjalna amnestya wyjednana wpływem możnych figur Manteufflowego systemu. Takich szczegółów dałoby się przytoczyć więcej; dowodzą one co najmniej, faktu *dysharmonii* między księciem następcą tronu a panującym w ostatnich latach rządów króla Fryderyka Wilhelma IV systemem. Mimowolnie czuł każdy, że skoro ksiązę pruski obejmuje ster rządów, nastąpi zmiana systemu, jeżeli już nie z prostej przyczyny, że każdy nowo wstępujący na tron monarcha inaugurować zwykł własny system, to z powodów osobistej natury. Oczekiwania owe nie zawiodły.

W październiku roku 1858 nastąpiło nareszcie owo trwałe przelanie władzy na księcia pruskiego a tuż za tym wypadkiem ogłosiły gazety zaciekawionej publiczności dekret królewski udzielający łaskawie zwolnienie z dotychczasowych obowiązków baronowi Manteufflowi prezesowi gabinetu i ministrowi spraw zagranicznych, Raumerowi ministrowi oświecenia i Westphalenowi ministrowi spraw wewnętrznych. W tych trzech osobistościach upadły trzy podstawne filary systemu „*ery Manteufflowej*,” ponurej i prześladowczej reakcyi po roku 1848. Nienaruszenie pozostał członkiem nowego gabi-

netu minister sprawiedliwości Simons, technik bez wybitnego charakteru politycznego, zdolny figurować bez szkody i bez skompromitowania w jakiejbądź kombinacji gabinetowej. Tymczasem wzięli dziedzictwo zasadniczo-polityczne w składzie nowego gabinetu na *prawdę* znajomi nasi z epoki *połączonego sejmu*, wyznawcy tak zwanego *staroliberalizmu*, hr. Schwerin, Bethmann-Hollweg, Schleinitz, Auerswald, Patow, w assekuracji parlamentarnych osobistości, jakimi byli Vincke, Simson, Diesterweg, Hagen tej samej barwy politycznej, pod pokątną ale nominalną czysto tylko prezydenturą księcia Hohenzollern i Auerswalda jako ministra bez teki. Nie ma wątpliwości że zawiął w owej chwili pewien swobodniejszy wiatr w Prusach, że optymizm prusko-niemiecki cieszył się już po *erze Manteufflowej* nastaniem tak zwanej „*nowej ery*,” że liczył trochę na reformę w sensie prawdziwie konstytucyjno-parlamentarnym. Tymczasem skończyło się na pewnych ulgach dla prasy i dla osób skompromitowanych w wypadkach roku 1848, ale *istotna i radykalna* zmiana pozwalała na siebie czekać.

Tymczasem nie zapominajmy znów w interesie naczelnego naszego zadania, że jeżeli nastąpiła obecnie chwila pewnego wolniejszego oddechu, *inicytywa* wychodziła wyłącznie i jedynie tylko ze sfer rządzących. O jakimś przebudzeniu się i zmartwychwstaniu *stronnictw* pruskich nie ma tu mowy. Zmiotł je huragan reakcyjny po roku 1848, czynności ich i obecności *inicytywnej* napróżnoby się w tej chwili szukało. Niemiecka społeczność przedstawia obraz wypalonego przez wybuch roku 1848 wulkanu, który materiału do ponownego, samodzielnego i samorodnego fermentu we wnętrzu swem nie mieści. Społeczność niemiecka, nie można zaprzeczyć, przyjmuje z pewnem zadowoleniem, z pewnym uśmiechem radości, co jej dają lub obiecują z góry, ale, aby w koncesjach czy usposobieniu monarchy czy rządu upatrywała rodzaj naturalnej prowokacji do *własnej* roboty, do pokusy o zwalenie dzieła *ery Manteufflowej*, o restaurację liberalnego programu z roku 1848 na wewnątrz, o spełnienie idei unifikacyjno-niemieckiej na zewnątrz, aby stronnictwa owego roku powstały znów do życia i roboty — tego wszystkiego ani śladu nie przedstawiają dzieje tak zwanej *nowej ery* po roku 1858. Jest to już epoka, w któ-

rej społeczność niemiecka woli się trudnić *ekonomią polityczną* własnego ogniska, aniżeli dziecinnymi marzeniami politycznymi, które mogły bawić młodzież uniwersytecką i agitatorów rewolucyjnych na Wartburgu i w Hambach, ale które nie są godne dojrzałych mężów spoglądających na żużle już tylko wulkanicznych erupcyj owej epoki. Szczupłe więc i chude koncesye wewnętrzne na rzecz liberalizmu, jakie widzimy po roku 1858 w Prusach, nie są zasługą, ani zdobyczą, ani nawet zyskiem choćby tylko jakichś aspiracyj narodowych, lecz po prostu skutkiem zmiany usposobień w sferach dworskich i rządzących, którym się trzeba było posłużyć nowymi narzędziami i środkami.

Przedewszystkiem zaś, co ze strony społeczności prusko-niemieckiej, w owej chwili pewnych ustępstw na rzecz wewnętrznej swobody uderza, to dziwna a zupełna nieobecność myśli *jedności niemieckiej*. Ta essencyalna część programu narodowego zdawała się istotnie być wówczas wydartą z życia i poczucia narodu niemieckiego kartą. Zobaczmy, jak i w jaki sposób powstaje i zmartwychwstaje, jak dotrzymuje kroku *nowej erze* liberalizmu pruskiego, o ile jest podobną a raczej niepodobną do swych ideałów z przed roku 1848 i z roku 1848. Niechaj nam będzie wolno, wspominając te świeże jeszcze szczegóły ze współczesnych dziejów Niemiec, potrącić, jeśli nie o podobną chwilę, to przynajmniej o podobne usposobienie duszy narodowej z dawniejszych dziejów włoskich. W wieku XVI ogarnęło po klęskach wewnętrznych, po inwazyach zewnętrznych Francuzów, Niemców, Hiszpanów, inteligencyą patriotyczną *Włoch* pewne zwątpienie, pewna żądza oddania się komubądź w opiekę, byle tylko zyskać bezpieczeństwo i rękojmię przeciw powrotowi tego, co dopiero minęło a co się lada moment powtórzyć mogło. Ztąd pojawiająca się chęć oddania się choćby nawet Cesarowi Borgii, ztąd rozpaczliwie patriotyczny traktat Machiavellego *O Księciu*.

Omnis comparatio claudicat, prawda, a początek drugiej połowy XIX wieku w Niemczech i w Prusach, nie jest koniecznie podobnym do połowy wieku XVI we Włoszech. Co jednakże stanowi warunek owego podobieństwa, to abdykacya stronnictw i intelligencyi niemieckiej z wszelkich pretensyj samodzielności i nadziei zbudowania jedności niemieckiej o wła-

snych siłach a na podstawie ideałów z roku 1848, to coraz widoczniejsza, nie wiadomo o ile spontaniczna, nie wiadomo o ile sztuczna *namiętność* istna oddania dzieła zjednoczenia Niemiec w ręce monarchii pruskiej. W ostatecznym rezultacie ogromna i ogromnych, praktycznych następstw między obu drogami do niby to jednego i tego samego celu różnica. Pracując na owę *jedność* samorodnie i samodzielnie, zarabiając sobie na nią własnymi siłami, tworzyło się dzieło odpowiednie duchowi, usposobieniu, tradycjom i potrzebom narodu niemieckiego, organizm federacyjny, wiążący różnaitość plemion niemieckich, dotychczasowych ich dziejów, prac i zasług cywilizacyjnych w naturalną całość; uświęcało się i stwierdzało ostateczną pieczęcią nowego politycznego kształtu swobodę niemiecką na wewnątrz, należne narodowi niemieckiemu bez krzywdy innych stanowisko na zewnątrz. Jak instrumenta muzyczne w orkiestrze, tak różne narody w harmonii dziejów ludzkości mają każdy z osobna swe przeznaczenie, po za którego zakres bez szkody i krzywdy własnej wychodzić im nie wolno. Naród niemiecki jest wskazany przez swą przeszłość, przez swe usposobienie, przez swe położenie geograficzne na organizm *federacyjny*, który nie narażając bynajmniej jego bezpieczeństwa *zewnętrznego*, pozwala mu być tem, czem być powinien, ożywcem centralnem ogniskiem cywilizacji europejskiej, olbrzymim warstatem wyrobów myśli, ducha i ręki ku dobru ludzkości, ku własnemu powodzeniu. Nie dając dzisiejszym Niemcom morza, albo dając im je tylko w szczupłej i niewygodnej mierze, nie dając im dalej sąsiedztwa obszarów zamieszkałych przez ludność o wiele niższą cywilizacyjnie, dwóch warunków koniecznych do obdarzenia pewnego społeczeństwa, narodu czy państwa charakterem i dążnością *zaborczą*, nie przeznaczyła im też Opatrzność roli państwa zaborczego i militarnego. Nienaturalny wysiłek i przymus może im wprowadzić na dłuższy lub krótszy czas odgrywanie roli podobnej narzucić, ale natenczas pokaże się również prędzej czy później, że przymus podobny zjada bez korzyści mienie, absorbuje i wysusza ducha narodowego z własną szkodą narodową, z popsuciem, z porwaniem strun harmonii dziejów ludzkości europejskiej.... Inną rzeczą naród, inną batalion, inną rzeczą zorganizować i ukształtować naród na jego przyrodzonych pod-

stawach, inną rzeczą wcielić go jako gotowy materiał polityki experimentalnej w kadry zrodzonego dziejowo, politycznie, i geograficznie na wręcz odmiennych podstawach militarizmu i biurokratyzmu pruskiego.

Czyż różnicy podobnej, czyż wypływających z niej całym zdrojem szczegółowych następstw była świadoma owa część inteligencji niemieckiej, która istnieje jak Włosi Machiavellowego autoramentu Cesarowi Borgii, tak oni Prusom postanowili oddać w bezsprzeczną prokuracyą przeprowadzenie jedności niemieckiej? Czyż była owa dążność bezinteresowną przynajmniej, czyż prąd jej inicjatywy był przynajmniej samodzielnym, choć rozpaczliwym, czy też znajdował może swe zakryte Nilowe źródło w hojnie zawsze w budżecie pruskim figurującej pozycyi „tajnych funduszków,“ — otóż to wszystko pytania, na które odpowiedź trudna, ale zarazem i zbyt ciężka. Ideały z przed roku 1848 i z roku 1848 leżały wywrócone, jak bałwany obalonego pogaństwa; wiary *dzisiaj* w nikim wzbudzać nie mogły i nie wzbudzały, inteligencja *naukowo-publicystyczno-literacka* tedy zaczyna podejmować myśl jedności niemieckiej w chęci i z intencją powierzenia jej Prusom.

Seweryn Przerowa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

SZEKSPIR W POLSCE.

(Ciąg dalszy). ¹⁾

(Dzieła Dramatyczne Williama Shakespeare: wydanie illustrowane ozdobione 545 drzeworytami rysunku H. C. Selousa: przekład St. Koźmiana, J. Paszkowskiego, i L. Ulricha, z dodaniem życiorysu poety i objaśnień pod redakcją J. I. Kraszewskiego. Warszawa, nakład spółki wydawniczej księgarzy. 1875—1877. Trzy tomy.

Dzieła Dramatyczne Szekspira, Tom III. Król Henryk IV część I i II, przekład Stanisława Koźmiana. Poznań nakładem J. Żupańskiego 1877).

III.

Staranne, nawet ozdobne wydanie, trzy grube tomy in quarto, z drzeworytami (powtórzonemi z jakiegoś angielskiego podobno wydania, ale wcale ładnie wykonanemi), oto jak na pierwszy rzut oka przedstawia się ten pierwszy w Polsce Szekspir całkowity, o którym nareszcie mówić mamy. Wydanie nie jest z rzędu tych monumentalnych, bardzo pięknych a bardzo drogich: owszem ma tę zaletę że jest przystępne nie zbyt nawet bogatym i może się rozpowszechnić, a staranne bardzo, z dobrym drukiem, z ładnemi drzeworytami, przyjemne jest do

¹⁾ Patrz „Przegląd Polski“ z września b. r.

widzenia, i nie wiele może jeżeli w ogóle ustępuje wydaniom illustrowanym zagranicznym. Format jego może nie jest bardzo wygodny, kilkanaście tomów in octavo byłyby może pońtniejsze dla czytelnika, bo mała książka zawsze lepiej przypada do ręki i czyta się smaczniej (jeżeli można użyć tego wyrażenia). Ale drzeworyty, jeżeli być miały, wymagały oczywiście większego formatu, a ilustracye wiadomo że są także dla wielu powabem. Obszerna, bo cały jeden zeszyt wydawnictwa obejmująca przedmowa napisana przez p. J. I. Kraszewskiego podaje czytelnikowi wszystkie najpotrzebniejsze wiadomości o życiu Szekspira, o chronologicznem następstwie jego sztuk, wreszcie o stosunku Szekspira do poprzedzającej i współczesnej literatury dramatycznej angielskiej, wszystko opowiedziane na podstawie najnowszych rezultatów badań angielskiej i niemieckiej krytyki: a prócz tego każda sztuka opatrzona jest wstępem objaśniającym jej pochodzenie i źródła, to wystarcza żeby każdego przekonać iż nie zapomniano o niczem co czytelnikowi mogło być przyjemnem i potrzebnem, że na naukową wartość wydania dano nie mniej baczenia jak na jego udatną stronę zewnętrzną. Z trzech tomów na które podzielono całość, pierwszy obejmuje dramata z historyi angielskiej czyli tak zwane *Historye*, drugi Tragedye, ostatni komedye.

Prosta rzecz że mówiąc o przekładzie trzymać się będziemy tego przez wydawców przyjętego porządku.

Na samym wstępie spotykamy się z dawnemi znajomościami. *Król Jan* i *Ryszard II*, które naturalnie rozpoczynają szereg *Historyi*, tłómaczone są przez pana Stanisława Koźmiana, i stanowiły drugi tom jego przekładów, wydany w roku jeszcze 1869. Zdawaliśmy z nich sprawę w swoim czasie, a przeczytawszy je dziś na nowo, utwierdziłiśmy się tylko w odniesionem wtedy wrażeniu. Nie możemy więc zrobić nic innego, jak przytoczyć wkrótkości wypowiedziane niegdyś zdanie, nie przez uporczywe przy niem obstawanie, a tem mniej przez wstręt do powtórnego zastanowienia się i pisania, tylko przez niemożność zdobycia się na zdanie odmienne.

Te same w nim co i w tomie I zalety wierności i ścisłości przekładu (zalety których nigdy dość podnieść i wychwalić

nie można), ta sama religijna cześć oryginału niepozwalająca sobie nic tknąć, nie odmienić ani naruszyć, ta sama sumienność posunięta do najdalszych granic, rzeklibyśmy nieledwie do pedantyzmu, skoro tłumacz stosuje się wszędzie nawet do liczby wierszy w oryginale, a obok tego, wiersz polski, choć ma się rozumieć ani tak wymuskany jak wiersz Felińskiego, ani tak dźwięczny i melodyjny jak wiersz Słowackiego, ani tak unoszący jak przepyszny rytm Mickiewicza, okazuje się nierównie swobodniejszym niż był w „Królu Learze“ lub w „Śnie Nocy Letniej“. Czasem wprawdzie zawadzają mu jeszcze pęta, ale w ogóle idzie każdy śmiało i rączy a drugie zdążają za nim tym samym chodem, i składają nierzadko ustęp cały który w deklamacyi wyda się tak pięknym, jak się wydaje wiernym i ścisłym przy pracowitem drobiazgowem porównaniu z oryginałem. Może to złudzenie, ale zdaje nam się że pod tym względem pełności dźwięku i swobody wiersza, Ryszard II przewyższa Króla Jana, że tam więcej jeszcze takich ustępów i scen które czytają się tak jak żeby oryginał nie był krępował tłumacza wcale, jak żeby język polski był się do niego „sam posłusznie nagiął“. Wielka scena abdykacyi w czwartym akcie, druga scena aktu trzeciego, i rozmowa Bolingbroka z Ryszardem na szaniecach zamku Flint, są tak (pod względem formy) najświetniejszymi ustępami w przekładzie, jak są najpatetyczniejszymi scenami w dramacie. W „Królu Janie“ znowu, jakkolwiek nie dorówna on może pod tym względem wymienionym co dopiero ustępom, zaprzeczyć nie można że tłumacz znajduje i tony dość energiczne żeby oddać przekleństwa Konstancyi, i dość rozpaczliwe żeby oddać jej żal po stracie syna, i dość rzewne żeby oddać rozziewające prośby małego Artura o zostawienie mu oczów, i wreszcie dość pełne odcieni żeby oddać i wahania, i tchórzostwo, i hipokryzyę króla Jana, i ten oryginalny cynizm Bękart, w którym jest więcej żołnierskiego humoru niż ironii, więcej egoizmu niż przewrotności, i w którym tak dziwnie odzywa się czasami zmysł moralny, którego napróżnoby ktoś szukał u króla Jana albo u kardynała Pandulfa.

Powtarzamy zatem, że wrażenie jakie nam zostawił przekład tych dwóch „Historyi“ jest ogółem wziąwszy bardzo dobre, i że zdaniem naszym stoi on wyżej od przekładu Leara i Śnu Nocy Letniej. To co w tamtych było brakiem nieujętem, nieopi-

sanym, ale ciągle czuć się dającym, to w tych schodzi do rozmiarów daleko mniejszych lub znika zupełnie. Jest to już nie tylko przekład wierny i dobry, ale jest, w niektórych zwłaszcza scenach Ryszarda IIgo, przekład piękny. I znowu, jak poprzednio, chcąc wytykać i ganić, czepiać się musimy drobnych tylko szczegółów; podnosimy je zaś nie dla tego żeby naganą dopełnić obowiązków recenzenta, tem mniej dla tego żeby się popisywać swoim rozumem i z autorem się mierzyć, ale dla tego żeby pokazać jak nam wielce i szczerze na zupełnej doskonałości dzieła zależy.

Lista tych zarzutów wyczerpie się bardzo prędko. Miejsca w których podług naszego (mylnego może) zdania tłómacz bądź oddalił się od myśli oryginału bądź ją oddał w sposób niezupełnie właściwy, są nierównie mniej liczne niż były przed trzema laty kiedyśmy z pierwszego tomu sprawę zdawali. Być może że wzrok bystrzejszy lub dokładniejsza od naszej znajomość Szekspira dostrzegą usterków takich więcej: my choć śledziliśmy błędów z całą pilnością na jaką nas stać było, zdołaliśmy tylko następujących dopatrzeć:

W trzecim akcie Króla Jana, Konstancya kiedy ma rzucić się na ziemię, mówi że smutek jej jest tak ciężki,

*That no supporter, but the huge firm earth
Can hold it up.*

Pan Koźmian oddaje to przez:

ból mój tak wielki

Że chyba ogrom ziemi go udźwignie.

Uderza nas tu opuszczenie tego małego słówka *firm*, które przecież jest ważne, bo oznacza że tylko coś tak stałego i niewzruszonego jak ziemia zdoła utrzymać ogrom smutku skrzywdzonej i zdradzonej Konstancyi. W przypiskach podaje nam tłómacz inną wersję, bliższą myśli Szekspira, mianowicie:

ból mój tak wielki

„Że go moc żadna prócz ogromu ziemi

„Unieść nie zdoła“.

ale i w tej wersji czuć się dającym brak owego *firm*, które zdaniem naszym jest tu potrzebniejsze nieledwie niż ów epitet ogromu (*huge*). Ale jest to drobiazg taki że wstyd nam doprawdy spierać się oń z autorem i czytelnika nim nudzić. Ważniejszym, bo już zmieniającym myśl Szekspira, wydaje nam się ten wiersz

w którym król Jan mówi o odpustach papieżkich:

„Biorąc sprzedajny odpust od człowieka

„Co się sam w grze tej z odpustu wuzywa“.

Znaczy to, że sprzedając rozgrzeszenie, papież lub jego legat sam traci prawo do rozgrzeszenia. Tymczasem Szekspir chce powiedzieć zupełnie co innego:

Purchase corrupted pardon of a man

Who in that sale sells pardon from himself.

„kupować wystawiony na sprzedaż odpust od człowieka, który w tym targu sprzedaje odpuszczenie grzechów od siebie“. Myśl jest, że to rozgrzeszenie jest tylko od papieża nie od Boga, i że jest poprostu oszukaństwem. Do takiego jej tłumaczenia upoważniają nas dwa słowa: *Sell i from* (*sprzedawać i od*). Gdyby Szekspir był chciał powiedzieć tylko, że kto odpusty sprzedaje, sam się ich zrzeka, byłby zapewne znalazł na to jakieś wyrażenie bliższe i naturalniejsze. To wyszłoby mniej więcej na: „sprzedawać z siebie rozgrzeszenie“, i byłoby bardzo naciąganiem i dalekiem. Nie więc naturalniejszego, jak że Szekspir z całą ówczesną protestancką Europą brał rozgrzeszenie papieżkie za oszukaństwo, i nie także naturalniejszego, jak że w tym sensie wyraził się o odpustach, skoro one właśnie i tak świeżo jeszcze, stały się bezpośrednim powodem reformy, zapalką, od której zajęły się prochy. Pan Koźmian sam w przypiskach zwraca na to uwagę, że niektórzy ustęp ten w powyższy sposób rozumieją: rzeczywiście skłania ich do tego prawdopodobieństwo logiczne i historyczne, a co najważniejsza, dosłowne znaczenie wyrazów. Na tem oparciu pragnęliśmy, żeby w następnych wydaniach wiersz ten w tym sensie został zmienionym.

Na innem znów miejscu nazywa król Jan wesołość: „*a passion hateful to my purposes*“. Pan Koźmian tłumaczy to przez „wstrętną mym myślom wesołość“. Tymczasem nie o myśli tu chodzi, ale o zamiary, *purposes*; „wesołość, usposobienie nieprzyjemne moim zamiarom“. Król Jan rozumie przez to, że ludzie usposobienia pogodnego, swobodnego, wesołego, nie bywają skłonni do zbrodni, i nie przypuszcza, żeby człowiek takiego usposobienia dał się łatwo użyć do niej za narzędzie. Dlatego wybór jego padł na Huberta, który mu się wydał gorzkim, ponurym i twardym, a przez to do okrucieństwa skłonniejszym.

Nie wiemy sami, czy mamy się zgodzić na tłumaczenie wiersza:

„old Gaunt indeed, and gaunt by beeing old“.

przez: stary gont prawda, a suchy, bo stary. Gra wyrazów leżąca w oryginale na nazwisku, tu skomplikowana jest jeszcze tym dodatkiem gonta. Ale nie można zaprzeczyć, że ten wtrącony „gont“ i nazwisko podobieństwem brzmienia nie źle zastępuje i nadaje się dobrze do tego pojęcia suchości, w którym polega druga połowa owego *„jen de mots“*. Ale jeżeli na ten dodatek przystać można, to trafiają się inne, przeciw którym protestować musimy. I tak na przykład Ryszard II żegnając się z królową kiedy na wyprawę wychodzi, powiada jej: *„be merry, for our time of stay is short“*. Pan Koźmian zamiast tego prostego i naturalnego *„be merry“*, bądź wesoła, bądź dobrej myśli, kładzie dłuższe, zawilsze i naciągane: „nie grzesz biadaniem“. Naprzód myśl ta, że królowa źle robi narzekając, jest w zupełności dodana, i dodana bez potrzeby. A potem, jeżeli już wiersz dodatku tego wymagał i inaczej obrócić się nie dał, to trzeba było przynajmniej wyszukać jakieś słowo prostsze, jak to niezgrabne i dzięki Bogu nie używane „biadanie“. Już z wykrzyknikiem „biada“, trzeba obchodzić się ostrożnie; uformowane z niego słowo czasowe „biadać“, a dopiero rzeczownik „biadanie“ dają się wprawdzie zrozumieć, może nawet znajdują się w słownikach, ale brzmią nienaturalnie, nieprzyjemnie. Po cóż było szukać daleko tego biadania? Jeżeli już wiersz nie mógł się obejść bez grzechu, to byłoby lepiej i prościej powiedzieć „nie grzesz narzekaniem“, albo „i nie grzesz szemraniem“, jak ciągnąć zdaleka tę płaczliwą „biadę“ z jej niezgrabnem i nieudatnem pokoleniem. Używanie wyrazów dalszych i wyszukanych zamiast najbliższych i najprostszych jest niewątpliwie błędem, a wyznać trzeba, że błąd ten trafia się nieraz w przekładzie Szekspira. I tak, spotykamy tam wiersz „nazwa ta *dzielnie* zgadza się z mym stanem“, kiedy zamiast tego „dzielnie“ powiedzieć po prostu „dobrze“ byłoby i dostatecznie i, ze względu na słowo „zgadza się“ właściwiej. Tak w innem miejscu *„misinterpret me“*, źle mnie rozumieć, źle mnie tłumaczyć, oddane jest przez „czytać mnie wspak“. I tu przypisek bardziej się zbliża do oryginału, niż tekst przez tłumacza wybrany. Tak wyraz „*antic*“ oddany jest przez „cudaczka“, słowo sztucznie urobione

naprzód, w żeńskim rodzaju nie używane, więcej nierównie trywialne od angielskiego *antic*, a przez to samo nie właściwe tam, gdzie się mówi o śmierci tonem łagodnej i smutnej ironii, ale tonem bynajmniej nie rubasznym. Nie wiemy także, czy angielskie „*fair cousin*“ dobrze jest przetłómaczone przez „piękny kuzynie“. Wprawdzie „*fair*“ znaczy dosłownie „piękny“ ale w takim wokatywie, zwłaszcza do mężczyzny, słowo „miły“ odpowiedziałoby mu lepiej, niż to dosłowne, ale w naszym języku nigdy nie używane „piękny“. Tak samo „*good soul*“ lepiej było przetłómaczyć „dobra duszo“ albo „moja duszo“, bo pierwsze używa się często jako pochwała, drugie jeszcze częściej jako pieszczota, kiedy „dobra duszko“ jest zupełnie nie używane. „*Good soul*“ jest to sposób mówienia bardzo częsty i zwyczajny w angielskiem: należało zastąpić go w polskim przekładzie wyrażeniem równie zwyczajnem i używanem. Wreszcie wiersz: „*bereft and gelded of his patrimony*“ nie zbyt szczęśliwie oddany jest po polsku: „nad wytrzebionym i wyzutym z dziedzictw“. Znaczenie słów jest ściśle to samo. Ale w oryginale zachowany jest takt delikatny, że wyraz „*gelded*“ umieszczony bezpośrednio przed „*patrimony*“, wyraźnie i widocznie ściąga się tylko do ojcowizny. W przekładzie dwa te słowa przegrodzone są epitetem „wyzuty“, a przeto zdawać się może, że tylko ten ostatni odnosi się do dziedzictw, a pierwszy ma znaczenie sam dla siebie. Powstaje ztąd dwuznaczność daleka równie od oryginału, jak i od zamiaru tłómacza.

Oto są szczegółowo wymienione miejsca, w których zmiana wydaje nam się potrzebną. Jest ich tak mało i są tak nieznaające, że właściwie i mówić o nich nie warto. Jednak uważaliśmy to za potrzebne, dla tego głównie, żeby tłómaczowi wykazać na przykładach, że ma skłonność do używania wyrazów niezwykłych zamiast najprostszych, przymiotników, które nie lubią chodzić w parze z pewnemi rzeczownikami, lub przysłówków dopasowanych gwałtem do pewnego czasownika. Skłonność ta objawia się nieraz w tym tomie, (choć rzadziej jak w pierwszym) a ile razy się objawi zawsze wiersz zeszpeci; wyraz użyty sztucznie lub niewłaściwie, robi takie wrażenie w wierszu, jak fałszywa nuta w muzyce. Tak samo wyglądają i te wtrącane w wiersz dla miary wykrzykniki lub jednozgłoskowe przyimki i zaimki, których (dla tego może że mało) nie wystrzegają się

nasi wierszopisarze, a które przecież rażą zawsze, jeżeli użyte są bez koniecznej potrzeby, i widocznie tylko dla miary.

Żałujemy mocno że żadnego z uczynionych podówczas przekładowi zarzutów, nie możemy cofnąć: wszystko, co wydawało nam się wymagać poprawy zostało niezmienionem w tem nowem wydaniu, wszystko dziś wydaje nam się tak samo jak przed laty odmiany potrzebującym, musimy zatem przy dawnych naszych uwagach i żądaniach obstawać. Co więcej, kto wie czy w niektórych z miejsc co dopiero wytkniętych, Korzeniowski nie był od pana Koźmiana szczęśliwszym i oryginału bliższym, kiedy Konstancyi na przykład mówić każe:

„ból mój jest tak wielki
„że go podpora żadna prócz szerokiej
„i silnej ziemi dzwignąć nie potrafi.“

albo kiedy król Jan w jego tłumaczeniu mówi do króla francuskiego:

„na wagę złota kupujecie podłą
„rdzę, proch, sprzedajny odpust, od człowieka,
„co w tej sprzedaży własnem przebaczeniem
„z wami frymarczy —

do Huberta znowu:

„aby
„ten głupiec uśmiech nie był w ludzkim oku
„ni pusta radość w twarzy: — (jej nie lubią
„zamiary moje)“.

Z większym jeszcze żalem musimy to powtórzyć z panem Koźmianem, a z dwoma innymi tłumaczami, i z wydawcami, stoczyć spór o inną kwestyą zasadniczą, o ortografię nazwisk angielskich. Nazwiska te pisane są w całym wydaniu tak niby jak się wymawiają: a zdaniem naszym wydanie bardzo jest przez to zeszpecone. Naprzód z wielkiem przeproszeniem tłumaczy i wydawców, rzadko kiedy nazwisko angielskie da się po polsku napisać tak jak się po angielsku wymawia. Nie mówiąc już o tem że co do wymawiania sa-

mogłosek ścieśnionych bardzo jest trudno zgodzić się na jedno, bo Anglicy sami nadają im brzmienia różne, to w każdym razie prosta i po prostu wymówiona samogłoska polska brzmienia ich nie oddaje. Mogę napisać *Buszy* na przykład zamiast *Bushy*, ale czy to *u* które wymawiamy po prostu brzmi tak jak to coś dziwnego, pośredniego między *o*, *e* i *u* co słychać w angielskiej wymowie tego nazwiska? Jeżeli zamiast *Green* napiszę *Grzyn*, czy to *y* oznaczy to samo brzmienie jakie w angielskiem ma *ee*? Nie: nigdy pisownia polska angielskiej wymowy naśladować nie zdoła, choćby dla tego że nigdy tłumacze nie oznaczają w niej należycie która samogłoska ma się wymówić krótko a która długo, my zaś widząc nazwisko napisane po naszymu, z czystem sumieniem wymówimy je po naszymu, to jest wszystkie zgłoski krótko, a tylko przedostatnią przeciągnie. Jak to będziemy podobnem do brzmień angielskich!... O tem już nie mówiąc że miary przedłużenia, rodzaju ścieśnienia ust, nikt nigdy opisać ani oznaczyć nie potrafi. A te, to jeszcze dźwięki najprostsze, najłatwiejsze niby do udania polską pisownią. Ale cóż robić z temi których w naszym języku nie ma wcale? Jeżeli tłumacze i wydawcy chcieli przerabiać te nazwiska na pisownię polską, to przede wszystkim powinni byli wyrzucić z nich wszystkie *w* i wszystkie *th*, bo one brzmią zupełnie inaczej jak się piszą, i polski czytelnik, który widząc że dla jego wygody spolszczono te nazwiska, wymówi je po swojemu, przekonany w dobrej wierze, że je dobrze wymówił, bo mu je dobrze napisano, wymówi coś dziwnego, w czem Anglik oryginalnego nazwiska z pewnością nie pozna. I kiedy pan Koźmian w przekładzie *Henryka IVgo* (tom III) pisze *Wuster* zamiast *Worcester*, wprowadza w błąd czytelnika, bo to skrócenie nie odpowiada dokładnie dobremu sposobowi wymawiania tego nazwiska, a powtóre chcąc czytelnika zmusić do dobrej wymowy przyzwyczajając do złej; bo zostawia na samym początku to *w* które brzmi raczej jak złe wymówienie *ł* (*eu*), albo jak ruskie *u* *consonans*, ale nigdy jak *w*. I gdyby przynajmniej wiernie i z konsekwencją trzymali się tej raz przyjętej niby polskiej ortografii! Ale nie. Sam pan Koźmian pisze *Worcestra* (czy *Wustera*) przez *W*, ale w innych nazwiskach zastępuje tę literę jakąś inną, która ma lepiej angielskie brzmienie oddawać.

Czasem doprowadza to do rezultatów prawie zabawnych. I tak nazwisko *Warwick*, jedno z klasycznych pod względem niewyraźnego brzmienia, w tłumaczeniu przerabia się na *Uorek*, a to, jeżeli je Polak po prostu dobroduszenie wymówi, będzie podobniejszym do *Worka* niż do *Warwicka* wymówionego tak jak wymawiają Anglicy, i potrzebowałoby dopiero komentatora uczącego Polaków jak mają to *Uorek* wymawiać. Czy nie byłoby lepiej pozwolić nam wymawiać naiwnie po polsku *Warwik*, lub wreszcie *Uaruik* niż pobudzać nas do mimowolnego śmiechu tem podobieństwem do *worka*, który koniecznie musi tu przyjść na myśl. *Percy* znowu będzie się pisał polsku, przez *s*: *Persy*: ale *Northumberland* obok niego zachowuje swoje przyrodzone *th*: prawda że w innych znowu nazwiskach to *th* oddaje się przez *ts* które go nie oddaje dokładnie. Jeżeli *Aumerle* pisze się przez *O*, (*Omerl*) żeby głupi czytelnik czasem nie wymówił osobno *a*, i osobno *u*, to czemuż York nie pisze się przez *J*? Któż ręczy tłumaczom że nie będziemy ryczeli *Y-ork*? czemu zmieniając pisownię nazwiska *Mowbray* na *Mowbrey*, nie wyrzucić już tego *w*, które się w wymawianiu opuszcza? Z tych wszystkich trudności, sprzeczności, i nie logiczności, jest tylko jedno wyjście, pisać wszystkie nazwiska tak jak się piszą po angielsku, a w odsyłaczu objaśnić ile możliwości jak je wymawiać należy.

„I tym razem już zgola odżałować nie możemy, że tłumacze i wydawcy nie więcej mieli względu na nasze pokorne przed laty uwagi i prośby. Na tym punkcie pomimo najlepszej woli i zupełnej, zaręczamy, gotowości do poddania się zdaniu takiej jak pan Koźmian powagi, przecież ustąpić nie możemy. Jeżeli chodzi o to, żeby czytelnik wiedział jak ma angielskie nazwisko wymówić, jest na to sposób bardzo łatwy, dać przy tem nazwisku odsyłacz i u spodu kartki napisać: wymawiaj tak a tak. Nie jest to sposób nowy i nie windykujemy dla siebie chwały tego wynalazku. Praktykuje się to zawsze i wszędzie. Wszak mamy przykład na własnych naszych polskich nazwiskach, które w zagranicznych pismach i książkach zachowują swoją pisownię polską, tylko występują prawie zawsze z takim odsyłaczem. Wszak niedawno jeszcze w pracy pana Klaczki ogłoszonej w *Revue des deux mondes*, imiona polskie piszą się jak po polsku, a odsyłacz uczy

czytelników *prononcez Chaynoha, prononcez Guédimine*. Tym sposobem i czytelnik wie co ma robić, i dzieło nie jest zeszpecone potwornościami, które i dźwięk oryginalny nazwiska nie zawsze dobrze oddają i częstokroć są niezrozumiałe. Niech nam szanowny tłumacz wierzyć raczy, że napotkawszy w jego przekładzie nazwisko „Kale“, z największą niespokojnością zapytywaliśmy siebie sami, gdzie to miejsce znajdować się może, i dopiero tekst angielski objaśnił nam, że to po prostu Calais. Cóż powiedzieć o tych Folkonbryczach (Faulconbridge), o tych Wiltserach (Wiltshire), Wusterach (Worcester), Grynach (Green), które i dźwięk angielski źle naśladują i rażą oko swoją fantastyczną pisownią? Śmiejemy się wszyscy z tego, że w ośmnaścym wieku niektórzy pisywali nazwiska francuskie ortografią polską, razi nas Russo, Boalo, Fonteneblo i tym podobne; dla czegoż dopuszczamy się sami tego samego okrucieństwa na nazwiskach angielskich? Dlaczegoż mamy pisać Buszy albo Plaszy, albo (o zgrozo!) Szatylion? Czemuż kiedy sam Szekspir pisze to imię ortografią francuską przez *ch*, a nie angielską przez *sh*, tłumacz jego polonizować ma Francuza na Szatyliona? Bo wymaga tego rytm i miara wiersza? Ależ odsyłacze uratują ten rytm i tę miarę od barbarzyńskiego wymawiania. Dla wygody czytelnika nie dosyć oswojonego z Szekspirem i z angielskim językiem? Ależ i ten czytelnik oświecony jest człowiekiem, a co on cierpi jak widzi i słyszy tych Wusterów i Folkonbryczów, to przechodzi pojęcie i doprawdy zasługuje na wzgląd i litość. Zresztą czemuż pan Koźmian, jeżeli już jest takim zwolennikiem pisowni polskiej, zastósowanej do imion angielskich, nie trzymał się jej konsekwentnie? czemu wszędzie zostawia owe *w*, które w angielskim zupełnie inaczej się wymawia? czemu go nie zastąpi jakim *u* lub *uu*, które oddawałoby jego brzmienie równie źle jak *cz* oddaje *dge*, lub jak oddaje *y* angielskie *ee* i *ea*? Pyta nas pan Koźmian jak piszemy nazwiska *Lyon* i *Lytton*? ale to właśnie dowód za nami. Piszemy je przez *y* właśnie dla tego, że zostawiamy im ich rodzimą ortografię, ale wymawiamy je i my i wszyscy w Polsce, jak żeby tam stało *i*, *Lion*, bo ani my, ani żadne polskie gardło w Koronie i Litwie nie jest w stanie wymówić *y* po *l*, o ile gładko wymówi *Lion*, o tyle *Lyon* żadnym sposobem wykrztusić nie zdoła. Wszyscy zaś piszemy *Lyon* i *Lytton*, choć tych nazwisk tak nie wymawiamy,

właśnie dla tego, że imionom własnym należy się zostawić właściwą ich pisownię.

Nie, ani wzgląd na wiersz i miarę, ani wzgląd na wygodę czytelnika, bo na jedno i drugie odsyłaczami zaradzić łatwo, nie powinny skłaniać pana Koźmiana do używania tej polskiej ortografii, która dziś razi, a im dalej tem bardziej, tem powszechniej razić będzie. Zarzuci nam kto, że obstając za ortografią angielską, sami bez ceremonii piszemy Szekspir? Odpowiadamy na to, że imiona ustawicznie używane i wystawione na częste i nieuniknione przypadkowanie, zawsze z konieczności przybierają formy polskie i stosują się do wygody mówienia i pisania. Piszemy Szekspir a nie Shakspeare, jak piszemy Tacyt nie Tacitus, Paryż a nie Paris. Ale imionom, które bez zmiany dadzą się spadkować, nawet najbardziej upowszechnionym, zostawiamy ich oryginalną pisownię. Piszemy naprzykład Schiller, nie Szyller, Göthe nie Gete. Nie jest to nasz wymysł ani kaprys, jest to jak żeby milczący układ, do którego stosuje się cała czytająca publiczność polska. A że Green i Faulconbridge nie mają u nas tego prawa obywatelstwa, jakie ma Szekspir i Tacyt, przeto zachować winien swoją właściwą, oryginalną pisownię“.

Niestety jest nowe wydanie, pierwsze i jedyne całkowite, i takie które na długie lata będzie musiało nam wystarczyć, wydanie bardzo staranne bardzo dobrego przekładu, i zespcone tą dowolną nieszczęsną ortografią, która ma jedną zasadę i zaletę, tę że nie trzyma się angielskiej pisowni a nie odpowiada angielskiej wymowie.

Na *Henryku IV* czytelnik może porównać właściwe zalety i sposoby wszystkich trzech tłómaczów. W zupełnem wydaniu część pierwsza jest przekładu pana Paszkowskiego, druga pana Ulricha. Świeżo zaś ogłoszony w Poznaniu trzeci tom przekładów pana Koźmiana obejmuje właśnie obie części tego dramatu. Dodawszy do tego dawne tłómaczenie pana *John of Dycalp*, znajdziemy że Henryk IV, choć przez publiczność i przez krytykę nie najwięcej ceniony i lubiony, nie jest wcale zaniedbanym przez tłómaczów polskich, owszem że poświęcono mu więcej starania i trudu niż niejednej ze sławniejszych i doskonalszych sztuk Szekspira.

Żadna z pewnością najpiękniejsza i najsławniejsza, nie jest trudniejszą do tłómaczenia. Czytelnik obeznany z współczesną literaturą angielską, niech sobie przypomni jak mu nieraz trudno zrozumieć w powieściach Dickensa naprzykład te rozmowy, żarty i lokucye czysto ludowe, lub czysto miejscowe londyńskie, które on tak lubi. Język poufały a dopieroż język ludowy i miejscowy, od książkowego różni się zawsze bardzo, i dla tego to mówią naprzykład Francuzi że cudzoziemiec choćby najlepiej umiał po francusku, nie rozumie „*le parisien*“. Sposoby mówienia utarte czy w klubach czy w restauracyach czy w szkołach czy w salonach czy w szynkach, są mu zupełnie obce. Przenieśmy teraz te dowolne lokucye o trzy wieki w tył, w język obcy, i w język już znacznie przestarzały, wyobraźmy sobie że używa i nadużywa ich autor który zawsze nad miarę lubi gry wyrazów, kalambury, i wszelkie tego rodzaju koncepta: wyobraźmy sobie że mamy zrozumieć wszystkie ukryte alluzye i żarty z rozmowy toczącej się w tawernie pomiędzy różnemi brukozbijami londyńskimi, że ci mówią językiem dla siebie zrozumiałym ale od klasycznej angielszczyzny tak odmiennym że jedno i to samo słowo ma nie jedno dowolnie sobie nadane znaczenie, i dopiero wystawmy sobie ten język brukowy najeżonym archaizmami, i dwuznacznikami, synonimami, wszystkiem co utrudnia zrozumienie ludzkiej mowy! Oto jest Henryk IV: oto przynajmniej te jego sceny, w których występuje książę Walii otoczony swoim złem towarzystwem. Jak oddać te grubiaństwa, te nieprzyzwoitości nagie, ten *humour* angielski z natury dość dosadny, tu posunięty bardzo daleko przez rodzaj wychowania i życia mówiących, te wybryki dowcipu szynkowego który choć szynkowy nieraz jest bardzo prawdziwym? Jak je oddać, kiedy one zasadzają się najczęściej na dwuznacznikach, a często na grze wyrazów dziś już zapomnianych i prawie niezrozumiałych? Jak to tłómaczyć? Że przekład zupełnie dokładny jest niepodobieństwem, to pewna: dowodzą tego wszystkie istniejące w Europie, z których najlepsze nawet są tylko przybliżone, grą wyrazów niemieckich lub innych starają się stworzyć myśl i koncept podobny do tego jaki w oryginale mieści się w grze innych niedosłownie przetłómaczonych wyrazów angielskich. Że praca jest prawie Herkulesowa, że nad każdym

takiem miejscem wątpliwem trzeba się mozolić i łamać sobie głowę tak ciężko i tak długo że w końcu traci się już prawie sąd i zdolność porównania, o tem najlepiej przekona się każdy kto zechce przejrzeć przypiski do trzeciego tomu przekładów pana Koźmiana, w których tłumacz usprawiedliwia tekst przez siebie przyjęty, a zarazem porównywa go z innemi polskimi i zagranicznymi, lub podaje inne próby i sposoby oddania w mowie będącego ustępu które mu się nasuwały zanim stanowczo wybrał jeden. Są tam między innymi dwa wiersze przetłumaczone na dwanaście różnych sposobów. Ile się trzeba nałamać ze swoją własną myślą, ze składnią, ze stylem, żeby nareszcie rozwiązać to zagadnienie, o którym wie się z góry że zupełnie dobrze rozwiązaniem być nie może? I ile trzeba zamięłowania tak Szekspira jak literatury własnej żeby tę pracę podjąć i wykonać, i to jeszcze pracę bez sławy i nagrody, pracę nad Henrykiem IV, którego na stu ludzi nawet wykształconych dobrze jeżeli jeden przeczyta.

Nie przypisujemy sobie prawa sądzenia o tych najsubtelniejszych trudnościach tłumaczenia, wymagających najdokładniejszej znajomości języka i bardzo gruntownych studyów nad Szekspirem, ani też nie uważamy za właściwe i potrzebne w ogólnem sprawozdaniu nudzić czytelnika szczegółowemi kwestyami i wytaczać przed nim spory o to, czy ten lub ów ustęp wątpliwy nie zbliżyłby się więcej do oryginału, gdyby go w ten lub ów sposób odmienić. Tak obszernie można rozbiierać tłumaczenie jednego dramatu lub wreszcie kilku, ale nie wszystkich. Ogólnie więc tylko powiemy, że podług naszego zdania tłumacze nasi z tej najtrudniejszej prawdziwie ogniowej próby wyszli zwycięsko. Mniejsza o to, czy jeden lub drugi szczegół mógł wypaść inaczej lub lepiej: tu chodzi głównie o wrażenie ogólne, o to żeby te sceny tawernowe, te rozmowy rzezimieszków, pijaków, nizko upadłych kawalerów, wojskowych drabów, ich kumoszek i przyjaciółek, miały ten sam co w oryginale charakter życia złapanego na uczynku a oddanego z największym realizmem Teniersowego obrazka tylko naturalnej wielkości, natury ludzkiej przedstawionej w swoich egzemplarzach nie estetycznych wcale, grubego żartu, rubasznego śmiechu, kiermaszowego żarłocstwa i pijaństwa i kiermaszowych zalotów, a żeby w tem wszystkim były dwie rze-

czy, życie i humor: czy brutalne życie i gruby humor pachółków i kaprali rozhulanych i rozhukanych, czy przebieglejszy a jakim takim polorem okrzesany spryt Falstaffa, czy wreszcie życie i humor Księcia, młodzieńczy, hulaszczy, burzliwy, trochę dziki, ale w samej rozpuście i ponieważ odmienny od tamtych, zachowujący piętno szlachetniejszej natury, lepszego wychowania i myślącej głowy.

Otóż zdaje nam się, że polski czytelnik łatwo, wyraźnie i zrozumiale pozna ten charakter scen i ludzi i ich różnice, w przekładzie każdego z naszych trzech tłumaczy Henryka IV, a jako dowód stawiamy ostatnią scenę IIgo aktu pierwszej części, kiedy Falstaff i książę Henryk po kolei udają króla jak łaje syna za jego złe sprawowanie, w tłumaczeniu panów Koźmiana i Paszkowskiego, lub czwartą IIgo aktu części drugiej w tłumaczeniu panów Koźmiana i Ulricha. Tylko tu znowu musimy dwom ostatnim wytknąć rzecz na pozór bardzo małą, a przecie szkodliwą. Zawsze te nieszczęśliwe nazwiska! Gospodyni tej karczmy, w której Falstaff króluje, objada się, upija i nie płaci, u pana Paszkowskiego nazywa się jak słusznie, jak u Szekspira, panią *Quickly*, choć niepotrzebnie pisze się polską ortografią, *Kwikli*. Już u pana Koźmiana figuruje przebrana z polska jako *Pani Szparka*: ale pan Ulrich przerobił ją zupełnie na polkę, kiedy ją nazwał *panią Żwawińską*! Oba zapewne poszli za powagą i przykładem Schlegla, u którego ona nosi niemieckie nazwisko *Frau Hurtig*. Przykład to zły w tym razie, i sam Schlegel byłby lepiej zrobił, gdyby był nazwisk nie tykał, ale zważywszy pokrewieństwo języków, nazwisko niemieckie nie jest jeszcze tak bardzo rażącym: można sobie rozsądnie wyobrazić angiolkę, któraby się nazywała Mrs. Hurtig. Ale angiółka z nazwiskiem polskiem musi, z przeproszeniem tłumaczy, wyglądać nieprawdopodobnie, opacznie i dziwacznie. Już *Szparka* razi bardzo, ale że w ostatnim razie może ująć za przymiotnik nie za imię własne, więc razi mniej niż ta *Żwawińska*, ta zakończona na specyficzne polskie *ska*, w otoczeniu Falstaffów, Bardolphów i wszystkich innych, i szynkująca im wino na kredyt... w *Eastcheap*! Gospodyni *Żwawińska* gdyby w Lublinie Gustawowi ze Ślubów Panieńskich robiła honory *Złotej Papugi*, byłaby na swoim miejscu, ale *Żwawińska* przyjmująca księcia Walii

w swojej gospodzie gdzieś pod Londynem, to anomalia prawie taka, jak broń palna w starym Rzymie, jak morze w Czechach, jak różne te, które ludzie biorą za złe Szekspirowi. I cóż jeszcze z tego wynika? Oto, że czytelnik, który w pierwszej części widzi panią *Kuikli* a w drugiej panią *Żwawińską*, może myśleć w dobrej wierze, że to dwie różne osoby. Należało koniecznie dać jej to lub owo, ale koniecznie w obu częściach to samo nazwisko. Że zaś pan Paszkowski dawno zmarły nie mógł zastosować się do pana Ulricha, więc pan Ulrich powinien był w tym razie zastosować się do pana Paszkowskiego, nawet gdyby tamten był się pomylił w nazwisku, coż dopiero kiedy tu miał zupełną i oczywistą słuszość. W ogóle tłumaczenie nazwisk wydaje nam się zbytkiem gorliwości, przeciw któremu protestować musimy jak najusilniej. Jeżeli pani *Quickly* nazywa się panią *Żwawińską*, to dlaczego *Green* naprzykład nie jest *Zielińskim* lub *Zielonką*? dlaczego każde nazwisko, w którym jest jakieś znaczenie, nie jest przetłómaczone na jakieś nazwisko polskie z odpowiednim znaczeniem? Byłoby może bardzo ładnie, gdyby *Waldstein* naprzykład nazywał się *Laskamieńskim*, albo *Corneille* *Wrońskim*, albo *Racine* *Korzeniowskim*, a poszukawszy dobrze w słowniku a rozłożywszy je na dwa wyrazy, dałoby się może przetłómaczyć na polskie i samo nawet nazwisko Szekspira. A jest zaraz i drugi wypadek podobny. W drugiej części dramatu występuje panna Dorota, rodzaj *Dame aux camèlias*, tylko bez kamelii i bez żadnych poetycznych dodatków, w stanie pierwotnym, *the thing itself*, jak mówi Lear o człowieku patrząc na nędznego Toma. Otóż panna Dorota nazywa się u Szekspira *Tear Sheet*, a oba nasi tłumacze przekładają to nazwisko dosłownie i tytułują ją jeden (pan Koźmian) Dorotą *Drzej-Pościel*, drugi (pan Ulrich) *Drzej-Prześcieradło*. Znowu zapewne za przykładem Schlegla. Ten z nazwiska angielskiego robi niemieckie *Dortchen Lakenreiser*. Ma to przynajmniej pozór niemieckiego nazwiska. Ale *Drzej* czy *Pościel* czy *Prześcieradło*, nazwiskiem polskim być nie może, angielskiem także nie, ma zapewne być przydomkiem nadanym Dorocie przez przyjaciół: ależ ani oni zapewne nie przezywali jej po polsku. I czemu, pytamy, nie było jej zostawić jej pięknego imiana, z wytłómaczeniem tylko w odsyłaczu, że ono dosło-

wnie ma takie znaczenie? Co do nas, wolelibyśmy, żeby i *Płytek* nosił swoje angielskie nazwisko *Shallow*, i nie mogliśmy nigdy pojąć Niemców, którzy przezywają po swojemu figury Szekspira, jak żeby one były wielkopolskimi wsiami. Wszakżeż nawet i *Mrs. Page* ze swoją wesołą sąsiadką musiały nie wiedzieć dlaczego przyjąć inne nazwiska, i sam *Puck* a to już barbarzyństwo i zuchwalstwo bez granic, przechrzczone jest na jakiegoś *Drolla*! Wyjątek zrobiliśmy jedynie dla elfów ze *Snu Nocny Letniej*, Pajęczynek, Boblików i tym podobnych, bo te nie są anglikami i w każdym kraju mogą nosić nazwiska, jakie im fantazyja mieszkańców w ich języku nadała.

Są to rzeczy niby małe, ale szkodliwsze niż się na pozór wydają, są tem czem plamy na białym marmurze, czem skaza na kosztownej porcelanie. Naczynie służy tak samo, materyał, z którego jest zrobione, nie mniej szlachetny, a przecież zawsze coś korci i razi, i oko czułe na harmonię i piękność zawsze się do tej skazy mimowolnie zwraca, żeby się od niej zawsze z przykrem wrażeniem odwrócić. A szkoda tem większa, że te skazy na bardzo szacownej, bardzo drogocennej rzeczy.

Jeżeli karczemne sceny, najtrudniejsze do tłómaczenia choć pisane prozą, udały się w ogóle bardzo dobrze, to sceny poważne i poetyczne nic im nie ustępują. Zawsze wprawdzie powtarzać trzeba, że przekład nie jest oryginałem i wrażenia poetycznego takiego jak tamten robić nie może (z nader rzadkimi na świecie wyjątkami) — ale w tych przekładach i *Hotspur* zachowuje swoją krew gorącą i tę szlachetność, która go robi wzorem rycerza, i król swoją powagę rozumu, doświadczenia i urzędu, i książę Henryk swoją bujną, hajdamacką, ale sympatyczną, pełną wdzięku i prawdziwie wyższą naturą. W tekście pana Paszkowskiego są tylko drobne usterki do wytknięcia. „*Wóz* zdradziecki“ w pierwszej przemowie króla do Baronów
(„ostrze wojenne, jako wóz zdradziecki)

(nie będzie odtąd ranić swego Pana)

jest oczywiście omyłką druku; tłómacz z pewnością nie przetłómaczył *Knife* przez *wóz*, a tylko drukarz źle wyczytał a korektor nie poprawił tego *wozu* na *nóż*. Ale w drugiej scenie, na samym początku, Falstaff pyta księcia Henryka: „która tam godzina na kompasie?“ Dlaczego „na kompasie?“ W oryginale stoi tylko „what time of day is it?“ Dodatki takie

trafiają się dość często u pana Paszkowskiego, i muszą naturalnie być mu poczytane za błąd. W wierszu, gdzie trzeba łamać się z miarą i rymem, łatwiej tłumaczowi wybaczyć, jeżeli wtrąci jakieś słowo, które myśli nie zmienia a wyprowadza go z kłopotu, ale tu w prozie nie jest to usprawiedliwione nawet potrzebą. W drugiej scenie trzeciego aktu znowu spotykamy „*anglo-powstańców*“ (english rebels), na których także zgodzić się nam trudno. W akcie piątym znowu (scena III) Hotspur w czasie bitwy mówi „*narodek nasz dzielnie tam hula,*“ kiedy w oryginale mówi „*our soldiers stand full fairly for the day.*“ Po co ten niesmaczny narodek? czemu nie żołnierze?, a jeżeli miara wiersza wymagała liczby pojedynczej, to „*żołnierz nasz?*“ W sławnej scenie trzeciej drugiego aktu, gdzie Hotspur droczy się z żoną, a która to scena w całości przełożona jest bardzo dobrze, jest miejsce jedno istotnie bardzo trudne, wyrażenie obelżywe użyte żartem, z przyjaźni. Lady Percy nazywa męża „*mad-headed ape,*“ małpą z szaloną głową. Pan Paszkowski tłumaczy to „*pójdź tu, pójdź, ty sroczo.*“ — To źle. Mniejsza o to, że małpa zamieniła się na srokę, ale i „*pójdź tu*“ jest niewłaściwe, bo ona nie woła go wcale, tylko raczej każe mu dać spokój, nie pleść, mówić do rzeczy, i ta *sroczo*, która zastosowana do dziecka byłaby na swoim miejscu, do dorosłego rycerza a jeszcze takiego jak ten, stosuje się źle. Nie lepiej, wyznać trzeba, wybrnąć z tej trudności i inni tłumacze. Pan Koźmian pisze: „*przestań ty głupie, szalone małpiątko.*“ Pieszczotliwość i zdrobniałość niepotrzebna: „*cicho bądź małpo*“ byłoby najbliższem myśli oryginału, a i bez zdrobnienia zrozumiałby każdy, że Lady mówi to żartem i z pieszczotą, że w tej chwili choć może ręką daje mu klapsa, to okiem patrzy na niego bardzo ładnie, figlarnie i bardzo czule. Ta sama uwaga stosuje się i do przekładu pana John of Dycalp, który pisze „*przestań ty pusta małpeczko.*“

Ale z wyjątkiem takich drobnych pomyłek, oba przekłady trzeba słusznie uważać za bardzo dobre: a jeżeli pod względem najściślejszej, niesłychanej wierności, pan Koźmian stanowczo przewyższa swoich towarzyszy, to nie wiemy znowu, czy wiersz pana Paszkowskiego nie jest czasami dźwięczniej, czy nie czyta się łatwiej i przyjemniej. Z porównania

niektórych wyjątków osądzi czytelnik sam, czy można przyznać pierwszeństwo któremukolwiek z przekładów. Co do nas, trudno byłoby nam bardzo oświadczyć się stanowczo za jednym lub drugim, bo kiedy jeden ustęp wydaje nam się szczęśliwiej oddanym przez jednego z tłómaczów, to inny zaraz przeważy szalę na stronę drugiego. Oto jako przykład z drugiej sceny IIIgo aktu przemowa króla do księcia Henryka, w przekładzie p. Paszkowskiego :

Niech ci Bóg odpuści !
Dziwi mnie jednak, Henryku, że twoje
Popędy biorą kierunek tak bardzo
Przeciwny drodze wszystkich twoich przodków,
Straciłeś miejsce w Radzie, opróżnione
Po tobie krzesło zajął twój brat młodszy ;
Stałeś się obcym dla całego dworu,
Dla wszystkich książąt krwi. Oczekiwania,
Nadzieje kraju runęły, i każdy
Proroczą zgubę twoją przepowiada.
Gdybym był sobą tak jak ty szafował,
Tak gminnie oczom świata się nastrecał,
Tak płocho nurzał się w kale towarzystw,
Nie byłby mi był sąd ludzki przyjaźnie
Dopomógł na tron; byłby mnie był owszem
Jako odrzutka nie nieznaczącego
Z lekceważeniem zostawił na stronie.
Rzadko widziany, podziwiany byłem
Za każdym wyjściem na jaw jak kometa: starzy
Mówili dzieciom: *to on*; inni cheiwie
Pytali drugich: *gdzie on? gdzie Bolinbrok?*
Wtedy uprzejmość wykradając niebu,
W taką pokorę się przyoblekałem,
Że mimowolnie płynęły mi hołdy
Z wszystkich sere, a z ust wszystkich uwielbienia,
Wobec samego króla. Takto ciągle
Utrzymywałem się na zewnątrz w świeżym
I nowym blasku; wystąpienie moje
Było podobne do galowej sukni,
Która im rzadziej noszona, tem bardziej

Zwraca uwagę; tak samo i przepych,
Który nie często, ale za to hojnie
Okazywałem, miał coś świątecznego,
Dlatego właśnie, że był niepowszedni.
Król lekkomyślnie trzpiotał się i skakał
Z żartownisiami i błaznami swymi;
To wrac, to chłodnąć za łada przyczyną,
Stracił powagę; otoczył majestat
Stekiem różnego rodzaju kuglarzy,
Wielkie swe imię oddał im na pośmiech,
A swą osobę, w kontr jej namaszczeniu,
Wystawił na cel szyderstw z głupia frantów
I łada jakich chlystków. Pędził życie
Pośród ulicznej zgrai; w gmin się wcielił,
Tak, że każdego oczy przesycane
Miodu widokiem chłęptanego codzienn,
Poczuły wkrótce ekliwość od słodyczy,
Której cokolwiek więcej niż cokolwiek
Jest już o wiele więcej niż za wiele.
Kiedyż mu trzeba było być widzianym,
Nikt nań nie patrzył, słuchano go tylko,
Tak jak się słucha kukania kukawki,
A jeśli ten lub ów rzucił nań okiem,
To takim, jakim się patrzy naprzykład
Na swe domowe rupiecie; nie takim,
Jakim się wielbi wspaniały blask słońca,
Kiedy się raczy wynurzyć z za chmury;
Drżmano raczej, spuszczano powieki,
W nos mu ziewano; słowem każdy z widzów
Wyglądał jak ów tettryk wobec kogoś,
Kogo nie lubi, a czym widokiem
Do zbytku został już utraktowany.
Na takim samem stanowisku stoisz
I ty, Henryku, boś niegodnem swoim
Postępowaniem sprofanował święty
Przywilej rodu; spospolitowanym
Twoim widokiem gardzi każde oko,
Wyjawszy moje, które cię pragnęło

Częściej widywać, które wbrew mej woli
Głupią się teraz wilgoci czułością.

Teraz dla porównania ustęp ten sam z przekładu pana
Koźmiana:

Przebac ci, Boże! A przecież, Henryku,
Dziw mi pochopów twoich, co swem skrzydłem
Od lotu wszystkich twych przodków zbaczają,
Miejsce twe w Radzie krnąbrnie utraciłeś,
Które po tobie zajął brat twój młodszy,
Stałeś się prawie obcym dla serc wszystkich
Całego dworu i książąt krwi mojej.
Runęły piękne nadzieje i wróżby
O twej przyszłości, i każdy człek w duszy
Proroczy o twym przemyśle upadku.
Gdybym był sobą tak jak ty szafował,
Tak spowszedniałym stał się w oczach ludzi,
Zużyty, tanim dla gminnych towarzystw, —
To głos publiczny, co mi dał koronę,
Byłby pozostał wiernym dawnej władzy,
A mnie porzucił w niesławnym wygnaniu,
Jako człowieka bez czi i widoków.
Rzadko widziany, ledwie się gdzie ruszył,
Wszędzie sprawiałem podziw jak kometa.
Oto on! — ludzie mówili swym dzieciom,
A inni: Gdzie on? Który to Bolinbrok?
Wtedy ujmując niebu wszystkie hołdy,
Taką pokorę przywdziewałem na się,
Żem ślub wierności z ludzkich serc zdobywał,
A z ust witania i głośnie okrzyki,
Nawet przy królu, co nosił koronę.
Tak ma osoba, zawsze świeża, nowa,
A ma obecność, jak kapa biskupia,
Wzbudzała podziw ilekroć ujrzana,
I tak mój występ, nie częsty lecz pyszny,
Zdawał się uczta, a przez rzadkość świętem.
Jak trzpiot tymczasem król wiercił się wszędzie.
W tłumie czechych śmieszków, rączych dowcipnisiów,

Co jak chrust buchną ogniem i wnet spłoną,
Ćmił godność, szarzał majestat wśród błaznów,
Wielkie swe imię w pogwizd im podawał,
Sam przeciw niemu poduszczał, z szyderczych
Śmiejąc się chłopców, znosząc drwin pociski
W ciżbie od lada młokosa bez brody;
Stał się najlichszych ulic uczestnikiem,
Lennikiem gminu, by wziętość pozyskać;
Lecz gmin codziennie pasąc nim swe oczy,
Tak się przesycił tym miodem, że mu zmierzł
Sam smak słodczy, w czym się trochę więcej,
Niż trochę staje o wiele za wiele;
Każdym więc razem, kiedy się pokazał,
Był jak kukulka w czerwcu, którą wszyscy
Słyszą nie patrząc, widzą, lecz tym okiem,
Co przesycone, stępione zwykłością,
Wzrok nadzwyczajny przestało wyteżać,
Jaki z podziwem spoziera w podobien
Słońcu majestat, który rzadko błyska;
Raczej drzemali, spuszczała powieki,
W twarz mu ziewali, przybierając postać
Pochmurnych ludzi względem przeciwnika,
Bo już go mieli do syta, po uszy.
Stoisz, Henryku, na tym samym torze,
Boś twój książęcy przywilej utracił,
Wiążąc się z gminem. Twym częstym widokiem
Znużyłeś oczy, wszystkie, oprócz moich,
Które się teraz na przekór mej woli,
Głupiej czułości łzami oslepiają.

Panu Ulrychowi i jego przekładowi drugiej części Henryka IV, znowu (z wyjątkiem nieszczęsnej pani Żwawińskiej) mamy drobne tylko uwagi do zrobienia. I tak naprzykład Coleville mianuje się Falstaffowi jako szlachcic z Podola. Szkoda, że nie oznaczy odrazu i województwa i powiatu, z którego pochodzi. W oryginale Coleville mówi, że jest „*of the dale*,” co pan Koźmian tłómaczy przez *Padlę*, lepszy niewątpliwie od Podola, które jest przecież imieniem własnem i tak polskiem, że w Anglii razić musi. Ale żeby dać czytelnikowi miarę, jak

udatnem, i to w scenach najważniejszych, jest tłumaczenie pana Ulricha, zrobimy jak powyżej, przytoczymy w tekście jego i pana Koźmiana, wyjątek z najpiękniejszej sceny tej części, z tej, kiedy księżę Walii po wzięciu korony od łóża ojca, którego ma za umarłego, powraca do jego komnaty, a król przyjmuje go gorzkimi wyrzutami, które po wyjaśnieniu niewinności syna kończą się ostatnią nauką i błogosławieństwem ojcowskiem.

Pan Ulrich:

Zbliż się Henryku, usiądź przy mem łóżu,
I słuchaj rady, jak myślę, ostatniej,
Którą z ust moich będziesz mógł usłyszeć.
Niebo wie, synu, jakimi ścieżkami,
Jak krętą drogą dobiegłem nakoniec
Do tej korony; a ja sam wiem dobrze,
Ilem trosk podjął, aby ją zachować.
Spokojniej teraz na twą spadnie głowę,
Bezpieczniej, z lepszym świata poważaniem,
Bo wszystko błoto grzesznego nabytku
Zapadnie w ziemię razem z mojem ciałem.
Na skroni mojej błyszczała jak znamię
Wydarte gwałtem buntowniczej dłoni;
Z moich spółczesnych nie jeden dworzanin
Mógł mi wyrzucić, że mi do niej pomógł;
Ztąd ciągle spiski i krwawe rozterki
Zakłócające zwodniczą spokojność.
Śród niebezpieczeństw przytłumiłem bunt;
Me panowanie było tylko sceną
Ciągłych jednego przemian widowiska.
Dziś, z moją śmiercią, wszystko się przemieni.
Co we mnie było wątpliwym nabytkiem,
Schodzi na ciebie sprawiedliwszą drogą:
Włożysz na głowę dziedziczną koronę.
Lecz choć na tronie odemnie pewniejszy,
Chwiejesz się jeszcze, bo świeże są żale.
Mym przyjaciółom, których ci zostawiam,
Niedawnom wyrwał zęby i pazury.
Na tron wniesiony groźną ich pomocą,

Spaść z niego mogłem potęgi ich dziełem;
Dla mej obrony, musiałem zgnieść jednych,
A drugich chciałem wieść do Ziemi Świętej,
By długi pokój myśli im nie poddał
Zbyt ściśle władzy mej podstawy badać.
I ty Henryku, w sąsiedzkich rozterkach
Szukaj rozrywek dla burzliwszych myśli;
Wojenna praca na dalekich brzegach
Wszystkie pamiątki dni minionych zatrze.
Chciałbym ci więcej mówić, lecz pierś słabnie
I na mych ustach konają mi słowa.
Com grzesznie zyskał, niech mi Bóg przebaczy,
Tobie w pokoju niech zachować raczy!

Pan Koźmian:

Pójdź tu, Henryku, usiądź przy mem łożu,
I rad posłuchaj, jak myślę, ostatnich,
Co z ust mych wyjdą. Niebo wie, mój synu,
Jakich jam ścieżek i krętych dróg szlakiem
Doszedł korony; a ja sam wiem dobrze,
Ilu trosk cierniem dręczyła mi głowę.
Na ciebie ona spadnie już spokojniej,
Z lepszym szacunkiem, z lepszym utwierdzeniem,
Bo brud wszelaki niecnego nabytku
Zejdzie w grób ze mną. Na mnie się zdawała
Zaszczytem ręką burzliwą wydartym,
I żyło wielu, co mi wyrzucali,
Że mi pomogli posiąść ten nabytek,
Zkąd rósł spór codzien i krwi rozlew, raniąc
Pozorny pokój. Jak czoło stawiałem
Wszystkim tym strasznym groźbom, sam widziałeś.
Rządy me były wciąż przemienną sceną,
Lecz jednej treści; — a teraz śmierć moja
Zmienia gry wątek, bo com gwałtem zdobył,
Ty sprawiedliwszą już nabywasz drogą,
Skoro ten wieniec posiąść masz dziedzictwem.
Przecież, choć staniesz warowniej, nie będziesz
Jeszcze dość silnym, gdy świeże są gniewy.¹
Wrogom mym, których przyjaźń zyskać musisz,

Tylko co żądła i zęby odjęto.
Chytrem ich wsparciem na tron wyniesiony,
Mogłem się lękać, że mię ich potęga
Znowu zeń strąci. By temu zapobiedz,
Zgniotłem niektórych; — innych zamierzyłem
Teraz do Ziemi Świętej poprowadzić,
By brak zajęcia nie dał im zbyt blisko
Wglądać w me rządy. Więc i ty, Henryku,
Winienes duchy burzliwsze zatrudniać
W sporach z sąsiady, by ztąd przeniesiona
Wojna zatarła pamiętkę dni przeszłych.
Chciałbym rzec więcej, lecz mi płuc nie staje,
Tak, iż mi siła mowy wręcz odjęta.
Przebacz mi, Boże, zdobycz tej korony,
A daj z nią tobie pokój utrwalony.

Jakkolwiek ustęp ten brzmi wymowniej w tym ostatnim tekście, to jednak i w wersyi poprzedniej jest tyle powagi i siły, że jej oddać należy wszelką pochwałę.

A ma pan Ulrich tę zasługę ogromną, że podejmuje pracę najniewdzięczniejszą właśnie, tłumaczy to co najmniej dla czytelnika (i naturalnie dla tłumacza tak samo) powabne, a co przecież do całkowitego przekładu koniecznie potrzebne. *Henryk V* naprzykład ma dla Anglików zapewne wielki powab narodowej chwały, głaszcze ich uczucie patryotyczne; ale dla cudzoziemców, jest tam zawsze niesłychanego uroku postać króla żołnierza, jest wdzięczna królowna Katarzyna i ładna scena zalotów, w której miłość obustronna rozumie się tak dobrze, choć każda strona mówi językiem drugiej nieznanym, lecz dramatu nie ma: nie ma nawet takich ustępów pięknych, jakie są w *Henryku IV* i w dalszych zwłaszcza częściach *Henryka VI*. Tę więc sztukę, dość, trzeba przyznać, do tłumaczenia niewdzięczną, przełożył pan Ulrich, a poświęcenie zostało nagrodzonem, bo przekład udał się doskonale. W ostatniej scenie pierwszego aktu, kiedy grozi Francyi i wypowiada jej wojnę, król ma tyle energii, popędu i ognia, w drugiej scenie aktu piątego, kiedy łamanym językiem a wymownem spojrzeniem podbija serce pięknej Katarzyny, mają oboje tyle życia, prostoty i wdzięku, że przekład czyta się z wielkiem za-

jęciem i z najszczerzą dla tłumacza wdzięcznością. Jedna jest kwestya wątpliwa, co do której nie możemy zdobyć się na stanowcze zdanie. W dramacie występuje trzech oficerów mówiących z różnemi akcentami, jeden z irlandzka, drugi ze szkocka, trzeci z walijska. Dla publiczności angielskiej (zwłaszcza mniej wykształconej i wykwintnej) może to zabawne, ale dla tłumaczy trudność wielka. Co począć z temi dyalektami i akcentami? Opuścić je zupełnie, nie oznaczyć ich, kiedy są oznaczone w oryginale, źle, bo nie dokładnie. Oznaczyć je zaś? Jak? przez co? Pan Ulrich poradził sobie w ten sposób, że akcenty angielskie zastąpił polskimi. W przekładzie jego Walijszyk ma wymowę niemiecką, Szkot zaczyna z mazowiecka, a Irlandczyk ma jakąś wymowę pruską czy kaszubską, nie wiemy, i nie wymawia *s* czyli mówiąc po prostu „*szadzi*.“ Czy tłumacz zrobił źle, czy dobrze? rozstrzygać nie śmiemy. Gdybyśmy mieli sami Henryka V tłumaczyć, zapewne wolelibyśmy pisać wszystko zwyczajną dobrą pisownią i polszczyzną, jak w usta tych anglików kłaść złą wymowę polską: ale za sposobem wybranym przez pana Ulricha przemawiają także względy tak ważne, że sprzeciwiać się nie śmiemy. To zaś każdy przyznać musi, że jeżeli ta różnica wymawiania zachowaną i uwidocznioną być miała, to w polskim tłumaczeniu mogła nią być tylko za pomocą różnych akcentów polskich.

I pierwszą część Henryka VI, tę przez krytyków najbardziej wzgardzoną, także wziął na siebie pan Ulrich, i znowu zdaniem naszym bardzo ją dobrze przełożył. Nie rozumiemy tylko, co znaczy w czwartej scenie IIgo aktu, w przemowie Warwicka, kiedy mu Lordowie każą spór swój rozsądzać — (w przemowie zresztą bardzo pięknie oddanej) — co znaczy to wyrażenie „który z ogarów dwóch lepiej *cukruje*.“ Czy to jaka tajemnica terminologii myśliwskiej? Jeżeli tak, to zawsze lepiej było położyć na tem miejscu jakie słowo przystępne dla ogółu czytelników, zwłaszcza że zmiana ta była bardzo łatwą, bo w wierszu nierymowym każde słowo byle trzechgłoskowe byłoby uszło. Ale w zamian za takie małe usterki są piękności takie, jak na przykład świetnie przetłumaczona wspaniała rozmowa dwóch Talbotów, ojca i syna, kiedy stary prawie konający nakłania młodego do ucieczki, a młody bohater nie chce zejść z pola.

Jakże się czujesz, synu mój kochany?
 Czy twych sił twoje nie zmniejszyły rany?
 Czy chcesz uciekać, gdy już w tej potrzebie
 Sam na rycerza pasowałeś siebie?
 Uciekaj! Bądźiesz mścicielem rodzica;
 Jedna mniej więcej nie zbawi prawica,
 A zbytku tylko szaleństwa dowodzi
 Dwa życia nasze jednej zwierzać łodzi;
 Jeśli francuski miecz dziś mnie oszczędzi,
 To jutro starość do grobu mnie wpędzi.
 Co zyska Francuz, jeśli dzisiaj legnę?
 Dniem tylko wprzód do mety dobiegnę.
 Z tobą twa matka, imię nasze kona,
 Przyszły mój mściciel i Anglii obrona.
 Zostań, a krwawy Anglii los gotujesz;
 Ratuj się, jeszcze wszystko uratujesz.

JAN.

Miecz Orleana drasnął tylko ciało,
 Twe słowo duszę zakrwawia mi cała.
 Nie takim kosztem zysk taki zapłacę:
 Za chwilę życia honoru nie stracę;
 Nim Talbot młody rodzica odbiegnie,
 Niechaj tchórzliwy koń mój wprzód legnie,
 Niech wprzód jak nędzarz zrodzony pod płótem
 Będę pogardy i śmiechu przedmiotem.
 Cofając kroku, przed światem ogłoszę,
 Żem nie twym synem, choć twe imię noszę;
 Lecz jeśli w żyłach mych krew twoja płynie:
 U stóp Talbota syn Talbota zginie.

TALBOT.

Idźmy więc razem, młody mój Ikarze,
 Na śmierć rycerską, kiedy honor każe,
 Lub sobie drogę wyrąbiem żelazem,
 Lub z dumą chwały polegniemy razem.

Zdaje się, jak żeby w miarę jak się zbliżał do epoki
 wojen domowych, przybywało poecie natchnienia, a sztukom
 jego tragicznego pierwiastku i charakteru. Sztuki same będą
 bardzo niedoskonałe, tak że krytyka czasem wątpi, czy je ma

Szekspirowi przypisać: ale w wypadkach samych są sytuacje takie, że przy słabszem nawet obrobieniu robią wielkie wrażenie, przejmują współczuciem lub grozą. W całym naprzykład nieładzie i niewykończeniu drugiej części Henryka VI — (zawsze jeszcze przekład pana Ulricha) — co za potężne i ciężarne straszną przyszłością chwile i obrazy, w rządach słabego króla, któremu ziemia i władza z rąk wypada, w nieszczęśliwych i nieroztropnych rządach, w niegodziwych związkach, a w osobach przecież dziwnym urokiem podbijających królowej Małgorzaty i Suffolka: w wygnaniu księżnej Gloster, w spisku na jej męża i w jego śmierci, w wygnaniu Suffolka i w namiętnej rozpacz królowej, wreszcie w głębokich planach księcia York, który liczy, że on zbierze plon tych wszystkich słabości, błędów i nierządów. Czarne to wszystko, ponure, ale dziwnie energiczne. A tłumacz szczęśliwie skopiował ten pochmurny, złowrogi a jaskrawy koloryt. Czasem trafi się prawda coś nieprzyjemnego, na przykład napisze tłumacz „hydny“ zamiast ohydny, albo „uń“ zamiast u niego: a wszystko co się robi wyraźnie i widocznie dla miary i wiersza musi zawsze źle wyglądać, cóż dopiero dowolne zmiany w wyrazach! Ale żałując tego tem bardziej, że tak łatwo można było zastąpić te skrócenia czem innem, trzeba zaraz wyznać głośno i z prawdziwą pociechą, że są miejsca prawdziwie piękne w przekładzie tego dramatu, że na przykład druga scena trzeciego aktu, w której Małgorzata udaje skrzywdzoną i upokorzoną, żeby króla doprowadzić do swego celu, albo żal króla po śmierci Glostera, albo pożegnanie królowej z Suffolkem, mają wiele siły, wiele uczucia i zupełnie piękną formę.

O trzeciej części Henryka VI mówią, że grzeszy nadmiarem okropności. Zapewne. Ale mało gdzie może znajdą się sytuacje tak potężnie nakreślone, tak patetyczne, i takiego dramatycznego efektu. Co za przepych na przykład zaraz ta druga scena pierwszego aktu w której król wahający, zatrwożony w sumieniu, mięknie i z pominięciem własnego syna przybiera księcia York za następcę. Co za wspaniały kontrast tego niewinnego gołębia między tymi krwawymi wilkami i tygrysami, Cliffordem, Warwickiem, księciem York a zwłaszcza jego synem, tego łagodnego baranka obok tej królewskiej lwicy, tego świętego wśród tych srogich rozbójników i zbrodniarzy.

Morderstwo małego Rutlanda, wściekłe urągania się Małgorzaty nad jeńcem i ojcem kiedy na głowę kładzie mu papierową koronę a w oczy rzuca chustkę zbroszoną w krwi syna, zabójstwo księcia York i głowa jego zatknięta na murach miasta, wszystko to prawda zbyt jest okropne, żeby piękną patetycznością być mogło. Ale co to za siła w tej wściekłości namiętnej kobiety, co za wybuch łez i żółci w słowach, któremi ją York przeklina. Co za przepysny epizod, ten wśród bitwy monolog króla żałującego że nie jest pasterzem, kiedy w tej samej chwili jeden żołnierz w zabitym przez siebie nieprzyjacielu poznaje własnego syna a drugi własnego ojca. Jak wyraźnie i jak po mistrzowsku rysują się charaktery przyszłych aktorów Ryszarda IIIgo a zwłaszcza młodego Glostera samego! Co za straszliwy efekt tej sceny, kiedy przyszedłszy zabić uwięzionego Henryka, opowiada mu jeszcze przedtem że zabił jego syna! Ten nadmiar, ta otchłań krwawych okropności powinny być nie do zniesienia dla zmysłu estetycznego, i dla zmysłu moralnego. A przecież jest tam tyle prawdy, tyle potęgi, czasem tyle rzewności i łez, że podziwiając to co piękne, zapomina się prawie o tem co zbytczne. Wielka to dla pana Ulricha chwała, że w tłumaczeniu swoim umiał oddać tę energią dziką, tę barbarzyńską siłę, tę wściekłość i rozpasanie mordu, a nigdzie nie przesadzić ani też nie być za słabym. Żeby zasługę jego czytelnikowi dać poznać jak należy, wypadałoby przytoczyć tu wyjątków kilka, po jednym z każdego rodzaju sytuacji i patetyczności. Ale przemowy w tej tragedyi są tak długie, że liczne cytacye zaprowadziłyby nas daleko. Wybieramy zatem dwie, z żalem że nie więcej, i z zaręczaniem że są one tylko z najlepszych ale nie najlepszymi ustępami przekładu. Oto z czwartej sceny Igo aktu okrutne znęcanie się Małgorzaty nad wziętym w niewolę księciem Yorku:

Więc to ty królem Anglii chciałeś zostać?
 Ty w parlamencie naszym pankowałeś,
 Każąc o rodu twojego wielkości?
 Gdzie banda synów twoich, by cię poprzeć?
 Rozpustny Edward i pękaty Jerzy?
 Gdzie ten waleczny, ten garbaty cudak,
 Twój Dik, co niegdyś ofukliwym głosem

Swojego tatę do buntów podszczuwał?
Gdzie jest nakoniec pieszczoszek twój Rutland?
Patrz, moją chustkę we krwi umoczyłam,
Którą waleczny Klifford miecza ostrzem
Wytoczył z piersi twojego wyrostka.
Jeśli nad jego śmiercią możesz płakać,
Weź ją, by z twarzy łzy ciekące otrzeć!
Gdyby mniej silną ma była nienawiść,
Mogłabym nad twym stanem ubolewać.
Płacz, płacz, płacz Yorku, by mnie rozweselić.
Czy ogień serca tak ci mózg wysuszył,
Że i łzy nie masz dla twego Rutlanda?
Zkąd ta cierpliwość? Powinienbyś szaleć,
Boć ja tak z ciebie szydę, byś oszalał.
Klnij-że, tup, pień się, żebym mogła tańczyć.
Widzę, że nie chcesz bawić mnie bezpłatnie:
On ust otworzyć nie chce bez korony.
Na skronie Yorka włożmy więc koronę,
A wy, panowie, czołem przed nim bijcie.
Przy koronacyi trzymajcie mu ręce.

(Wkłada mu na głowę papierową koronę).

Teraz prawdziwie królewską ma minę!
To ten, co zasiadł na tronie Henryka,
Ten, co był jego przybrany dziedzicem.
Czemu przed czasem wielki Plantagenet,
Mimo przysięgi, ubrał się w koronę?
Ile pamiętam, królem miałeś zostać
Dopiero, kiedy Henryk zamknie oczy;
Czemu odziałeś skroń chwałą Henryka,
Okradłeś czoło jego z dyjademu,
Za jego życia, mimo świętych przysięg?
O, to grzech wielki, grzech nieprzebaczony!
Precz z tą koroną, precz i z głową razem!
Nim tchnę raz, niechaj padnie pod żelazem.

A teraz król użalający się nad sobą wśród bitwy:

Bodaj mi zesłał śmierć Bóg wszechmogący!
Bo cóż mi dała ziemia prócz boleści?

Jakby szczęśliwe zdało mi się życie,
Gdybym się biednym urodził pasterzem!
Siedząc wśród trawy na wzgórzu, jak teraz,
Kreśliłbym skrętną ręką cyferblaty
By na nich liczyć ciekące minuty;
Ile ich trzeba, by złożyć godzinę;
Ile znów godzin jedną kończy dobę;
Po ilu dobach jeden rok ubiega;
Ile lat może śmiertelny człek przeżyć.
Obrachowany potem czasbym dzielił:
Pilnować trzodę tyle muszę godzin;
Tyle mi godzin na spoczynek trzeba;
Tyle poświęcam godzin rozmyślaniu,
A tyle godzin należy zabawie;
Tyle dni kotne są moje maciory,
Płód mi po tylu wydadzą tygodniach;
Po tylu latach będę mógł strzydz runo:
A tak minuty, godziny, dnie, lata,
Na wyznaczonej spędzone robocie
Do grobu siwą zaprowadzą głowę.
O, jak rozkoszne, o jak błogie życie!
Czy cień nie milszy cierniowego krzaka
Śpiącemu przy swej trzodzie pasterzowi
Nad haftowane złotem baldachiny
Królom, o zdrajców sztylecie marzącym?
O, milszy stokroć, tysiąc razy milszy!
W ubogiej chatce pasterza serwatka,
I napój zimny w skórzanej butelce,
Sen w cieniu drzewa na świeżej murawie,
Wszystko w bezpiecznym użyte pokoju,
Ah! jakże królów prześciga łakocie,
Mięsa błyszczące na złotych półmiskach,
Sen na łożnicach snycerskiej roboty,
Pod strażą troski, zdrań i podejrzenia!

A teraz ten, który zaćmił wszystkie dramata historyczne i stanął między największemi z dramatów Szekspira, ten, któremu każdy wyznaczy miejsce blisko Macbetha i Leara, ten w złem najpotężniejszy z ludzkich postaci poezyi a blizki naj-

straszniejszych szatanów jakich fantazyja ludzka kiedykolwiek poczęła, *Ryszard III*.

Tłómaczył go pan Paszkowski. Kto zna oryginał i wie jaka tam jest siła w przekleństwach Małgorzaty lub starej księżnej York, jakie rozdzierające tony boleści, jakie subtelne odcienia ironii, hypokryzyi lub cynizmu w słowach Glostera, ten musi zgodzić się na to, że do zupełnie dobrego przekładu Ryszarda potrzeba po prostu poetycznego natchnienia i poetycznego stylu. Przekład Schlegla pomimo wszystkich swoich zalet pozostaje zawsze o cały ton niżej od oryginału. Nie mamy też prawa ani się dziwić ani zarzucać naszemu tłómaczowi że nie zrobił tego co dla poety tylko było możliwem: owszem winniśmy mu uznanie i wdzięczność, że zrobił wszystko co zrobić mógł tłómacz. Ryszard przełożony jest nie tylko dobrze i wiernie, ale, choć nie może zrobić takiego wrażenia jakie robi oryginał, robi przecież w wielu miejscach nawet poetyczne wrażenie. Ale zanim przyjdziemy do wyliczenia jego świetniejszych ustępów, musimy przedtem wskazać niektóre pomyłki, które tłómacz choćby sam nie był poetą, wiernością i staraniem swoim mógł był usunąć. I tak naprzykład, w pierwszym monologu, w tej wielkiej naiwności Szekspira jakiej Dumas stary ani młody nigdy nie byłby popełnił, kiedy Gloster odśłania się naprzód przed publicznością i zapowiada że będzie żył jak ostatni łotr, tłómacz pisze

„nie mogąc przeto zostać adonisem

„by godnie spędzić ten ciąg dni różanych,

„postanowiłem zostać infamisem.“ —

Trudno zaprzeczyć że i rym tak łatwy że aż nieprzyjemny, i że przez tego adonisa obniża się i powszedniejsze ton całego tego ustępu. A widząc że obu, adonisa i infamisa, zawdzięczamy jedynie rymowemu wierszowi, musimy z żalem pytać: dla czego autor chciał rymów tam, gdzie ich w oryginale nie ma? Zgodzilibyśmy się już na to, że „psy ujadają, gdy sztykutując mimo nich przechodzę“ ale nie możemy zgodzić się na to, że Ryszard bez ceremonii sobie *bonuje*, albo że mówi coś „seryo“, albo „pedantycznie“: wszystko to jest i nie polskie, i za nowe, i zwłaszcza zbyt poufałe, prozaiczne, potoczne, i brzmi bardzo źle w stylu takim jakiego tu po-

trzeba. I *extra-pocztą* choć wyznajemy że do oryginału bardzo zbliżona, jest może zbyt nowoczesną i wyglądałaby lepiej jako sama po prostu pocztą. A jakkolwiek myśl oryginału oddana jest doskonale w słowach „odkąd lada Maciek

patentowanym szlachcicem się staje
odtąd nie jeden szlachcic stał się Maćkiem“ —

jakkolwiek ten Maciek znaczeniem swoim odpowiada zupełnie temu co Szekspir wyraża przez *Jack*, to przecież *Maciek* wygląda tu zdaniem naszym zanadto po polsku, wolelibyśmy coś ogólniejszego, *chłopa* na przykład, albo *chama*. Pan Szujski zręcznie postąpił kiedy na tem miejscu położył staroświeckiego, ogólnego, i pogardliwego *ciurę*.

Ale błędów takich jest na prawdę mało, a jedyny zarzut ważny, jaki tłumaczeniu temu zrobić można, jest tylko ten znizony cokolwiek ton. Ten zarzut zaś tak powszechnie i tak koniecznie spadać musi na wszystkie tłumaczenia (z nader małemi wyjątkami), tak leży w naturze rzeczy, że nie wiedzieć nawet czy ma prawo być zarzutem. Zresztą, oryginału nie dochodząc, przekład ma i wiele energii i piękną wykończoną formę. Ciekawe jest pod tym względem porównanie między Ryszardem pana Paszkowskiego, a Ryszardem pana Szujskiego, a choć nieszczęściem tylko na pierwszym akcie da się ono zrobić, to ten akt obfity w najtragiczniejsze sceny i i ustępy najbardziej patetyczne, lepiej może od wszystkich następnych pozwala sądzić o uzdolnieniu tłumaczy i piękności ich tłumaczeń.

Otóż, zdaje nam się, że pan Paszkowski trzyma się oryginału ściślej niż pan Szujski. Ten tłumaczył wierszem rymowym, a to samo zmuszało go już koniecznie do drobnych niedokładności, których łatwo unika tłumacz nie potrzebujący wiązać się tem pętem rymu, które najczęściej jest wielką ozdobą polskiego wiersza, ale pętem zawsze do pewnego stopnia być musi nawet dla najwprawniejszych i najbieglej władających językiem. Powtóre, czy nieuwaga, czy może niedokładna jeszcze podówczas, w pierwszej młodości, znajomość angielskiego języka, trafiają się czasem u pana Szujskiego błędy wynikające wprost ze złego zrozumienia oryginału. I tak na przykład w trzeciej scenie kiedy Gloster kłócąc się z królową i jej kre-

wnymi, mówi że królowa wiele może, a zapytany przez Riversa „co może“, daje obelżywą odpowiedź, to odpowiedź ta w przekładzie pana Szujskiego brzmi energicznie wprawdzie, ale i obelżywiej nierównie niż w oryginale, i co do myśli inaczej.

„może się zaślubić
„dziś z królem, jutro bakałarza lubić,
„pojutrze z paziem żenić się na dworze,
„że coś gorszego jeszcze nie dołożę.“ —

W oryginale tymczasem stoi tylko

„marry with a king
„a bachelor, a handsome stripling too“ —

a „*bachelor*“ i „*stripling*“ odnoszą się zawsze do króla nikogo innego nie oznaczając. Pan Paszkowski przełożył to wierniej

„może pójść za jakiego króla
„Gładkiego chłopca“ —

Tylko znowu zepsuł to miejsce dodanym przez siebie polskim kalamburem — (przepraszamy za to okropne słowo) — W oryginale Rivers i Gloster powtarzają tu kilka razy słówko *marry*, które nic nie znaczy tylko się wtrąca jak żeby wykrzyknik, a służy do wywołania gry wyrazów w złośliwej odpowiedzi Ryszarda. „*What marry? she may marry with a king.*“ — Tę grę słów angielskich tłumacz zastępuje polską: Owo nieznaczące słówko *marry*, oddaje przez *Ba!*, i mówi

Rivers. Ba! Ba! Cóż może? co?

Gloster. Co baba może?

Może pójść jeszcze za jakiego króla... i t. d.

Nie przeczymy, że to jest dość zręczne i naturalne, ale wolelibyśmy, żeby tu tego polskiego „kalamburu“ nie było.

Wracając przecież do naszego założenia, powiemy, że oba tłumacze mają wady i przymioty tego rodzaju tłumaczenia jaki obrali. Pan Paszkowski ściślejszy i wierniejszy musi dla wierności poświęcić czasem dźwięczność wiersza, lub samą nawet piękność polskiego stylu: pan Szujski, który choć wierny daje sobie więcej licencji i o piękność polskiego tekstu dba głównie,

robi też silniejsze, poetyczniejsze wrażenie swoim wierszem i stylem. Weźmy za dowód naprzykład sen księcia Clarence: W tłumaczeniu pana Paszkowskiego brzmi ono jak następuje:

Zdawało mi się, żem się ztąd wylamał
I na okręcie płynął do Burgundyi;
Będący ze mną tamże brat mój, Gloster,
Z wnętrza kajuty wywiódł mnie na pokład;
Spoglądaliśmy ztamtąd w stronę Anglii,
Mówiąc o smutnych kolejach tych wojen,
Między domami Yorków i Lankastrów,
Któreśmy przeszli. Gdyśmy tak chodzili
Po kołyszących się deskach pokładu,
Zdawało mi się, że się Gloster potknął,
I upadając, mnie, com go chciał wstrzymać,
Zrzucił przez burłę w odmęt morskich wałów.
O, jakąż męką zdało mi się tonąć!
Jak przeraźliwy szum wód miałem w uszach!
Jak szpetny widok śmierci przed oczyma!
Zdawało mi się, jakobym był świadkiem
Tysiąca rozbić, jakobym tysiące
Widział ciał ludzkich, które ryby jadły;
Kotwice, bryły złota, stopy pereł,
Drogie kamienie, kosztowne klejnoty,
Porozrzucane zewsząd na dnie morza:
Niektóre tkwiły w czaszkach; w wydrążeniach,
Gdzie niegdyś oczy mieszkwały, widziałem
Jakby na pośmiech błyszczące brylanty,
Co się wdzięczyły do podwodnych szlamów,
I natrzęsały z kości w krąg rozpierzchłych.

BRAKENBURY.

Jakżeś mógł, mości książę, w chwili śmierci
Te tajemnice otchłani uważać?

KLARENS.

Nie wiem, jak się to działo, ale mogłem.
Nierazem ducha oddać usiłowałem,
Ale zawzięta fala wciąż go we mnie
Zatrzymywała i nie chciała puścić
Na wolne, pełne otwarte powietrze;

Dusiła mi go w zaciśniętej piersi,
Która pękała prawie, chcąc go z siebie
W morze wyzionąć.

A oto tłumaczenie pana Szujskiego:

O północy

Może, zda mi się, żem po trudach wiele
Dostał się z Towru. Na okręciem płynął
Ku brzegom Francyi, był brat Gloster ze mną —
Mówi: Opuśćmy tę kajutę ciemną.
Pójdźmy na pokład. Idziemy, rozwinął
Się nam przed okiem brzeg Anglii wspaniały
I wszystkie srogie czasy się spomniały
Podczas rozterków dwóch róży zwaśnionych.
Gdyśmy po deskach tak szli rozruszonych
Okrętu biegiem, Gloster się potoczył
Upadł na ziemię i mnie, którym skoczył
Aby go podnieść, pchnął z pokładu w wały
Rozhukanego morza. O lordzie mój drogi,
Com ja tam doznał. W uszach mi huczały
Bałwany morskie stu gromów odgłosem:
Lecz widok na dnie, widok śmierci srogi
Stokroć straszliwszym był dla piersi ciosem!
Zdawało mi się, że pośród odmętów
Widzę tysiące rozbitych okrętów,
Tysiące trupów, których kości białe
Gryzły na wyścig ryby wygłodniałe.
Zdawało mi się, że widzę w mórzu łonie
Złota kawały, pereł drogie kupy,
Kamieni drogich bezcenną ławicę,
Nagromadzone w tę mokrą piwnicę.
Niektóre trupów ubierały skronie
Inne świeciły przez czaszek skorupy
W orbitach żrenic, na hańbę żrenicom:
A wszystkie w mule morskim się walały
Szydząc z szkieletów, co na dnie bieleły.

BRAKENBURY.

Jakże czas miałeś, by się tajemnicom
Morskim przypatrzeć w trwodze tak śmiertelnej?

KLARENS.

Miałem czas jakoś... Duch mój opór dzielny
Stawiał nawale, lecz bałwan szyderca
Bił całą siłą w pierś i mego serca
Niechciał jak ptaka puścić nad głębinę,
Aż z ciałem drżącym rzucił go aż na dno
I serce swego zaprzestało bicia.

Równie wyraźnie okaże się ta różnica na sławnej scenie
przekleństw. Pan Paszkowski:

KR. MAŁGORZATA.

Jakto? gryźliście się z sobą,
Gdym tu wchodziła, gotowi się pożreć,
A teraz wszyscy zwracacie się na mnie?
Czyż straszne Yorka przekleństwo tak wiele
Ważyło w niebie, żeby zgon Henryka,
Śmierć najmilszego mego Edwarda,
Strata ich berła, moje ztąd wygnanie,
Tyle niedoli miało czynić zadość
Za owo marne niedorośle chłopię?
Czyliż przekleństwa mogą się przez chmury
Przedrzeć do nieba? Jeśli tak jest, dajcież
Przejdzie i moim, o, wy ciężkie chmury!
Niech przesył, jeśli nie wojna, zabije
Waszego króla, tak jak go na króla
Wyniosło było zabicie naszego!
Niech Edward, syn twój, teraz księżę Walii,
W miejsce Edwarda, mego syna, niegdyś
Książęcia Walii, umrze w kwiecie wieku,
Równie przedwczesną i gwałtowną śmiercią!
Ty, dziś królowa, w moje miejsce, która
Byłam królową, przeżyj swoją świetność.
Jak ja przeżyłam moję! w długie lata
Żyj, oplakując stratę swoich dzieci,
I patrz na inną, jak ja dziś na ciebie,
Przybraną w twoje prawa, jak ty w moje!
Niechaj na długi czas przed twoją śmiercią
Zgasną dni twego szczęścia i po ciągu

Mnogich pasm cierpień, umrzej ni to żoną,
 Ni to królową Anglii, ni to matką!
 Riversie, i ty, Dorsecie, i waćpan
 Milordzie Hastings, wyście przy tem byli,
 Gdy mój syn konał pod nożem; daj Boże;
 Aby z was żaden zwykłych lat nie dożył,
 Lecz każdy nagłą śmiercią zszedł ze świata!

GLOSTER.

Dość już tych zaklęć, wyschła czarownico!

KR. MAŁGORZATA.

Ciebie pominąć? Nie, psie, weź część twoję!
 Mają-li nieba jaką ciężką plagę,
 Przewyższającą to, coć mogę życzyć,
 O, niech ją póty chowają w zapasie,
 Póki występki twoje nie dojrzeją:
 Wtedy dopiero niech ich oburzenie
 Nawiałem runie, na ciebie, na ciebie,
 Zawzięty wrogu spokojności świata!
 Niech cię sumienia robak wiecznie toczy!
 Mieję, póki życia, przyjaciół za zdrajców.
 A szczwanych zdrajców za braci od serca!
 Niech ci sen nigdy zbójczych ocz nie zawrze,
 Chybaby jakie dręczące marzenia
 Miały cię straszyć widm piekielnych rojem!

Pan Szujski:

Ha! nizezemniki, przed chwilą wy w swarze.
 Ledwieś-cie mieczów na się niedobyli
 A teraz na mnie się wszyscy zwrócili!
 Przekleństwo Yorka niebiosów ołtarze
 Tak przeraziło, że mord mego syna
 Mord mego męża, stratę mej korony
 Ból mej bannicyi sprowadziła wina,
 Ta jedna wina — ten ieden skrwawiony
 Ponury staruch! O jeśli obłoki
 Tak łatwo przekleństw słuchają odgłosów,
 To niech otworzą gościniec szeroki,
 By tłum mych przekleństw przeszedł do niebiosów.
 Podłym podstępem niech król, pan wasz zginie.

Jak mój morderstwem, aby wasz panował!
 Syn twój, niech padnie w nieszczęsnej godzinie
 Jak mego syna Gloster zamordował!
 Ty, co w gronostaj mój ubrałaś szyję,
 Przeżyj twą świetność i żyj, jak ja żyję!
 Żyj długo — długo — patrz na śmierć twych dzieci
 Patrz na tę przyszlą, co w twojej ozdobie
 Promienna, dumna na tronie zaświeci
 I stój tak przy niej, jak dziś ja przy tobie!
 Po długich latach bolesnego zgonu
 Giń, giń — bez męża, bez syna, bez tronu!
 Lordzie Riversie i ty mój Dorsecie
 I ty Hastingsie, byliście przytomni
 Gdy padło krwawe me jedyne dziecko
 Pod sztyletami. O Boże! ty wspomnij!
 Ty wspomnij na to! niech żaden z sług kata
 Śmiercią zwyczajną nie schodzi ze świata!

GLOSTER.

Czyś dogodziła sobie, więdźmo stara!

MAŁGORZATA.

Tyś psie pozostał! Stój, słuchaj potworze.
 Jeśli jest w niebie jaka straszna kara
 Straszliwsza od tej, którą Małgorzata
 Życzyć ci zdoła! to ją ujmij Boże!
 A gdy twe grzechy dojrzeją potężnie
 Rzuć ją na jędzę tę biednego świata!
 Robak sumienia niech ci w duszy grzęźnie
 I niech ci chwili spokoju niedaje:
 W przyjaznych, zdrajców obawiaj się wiecznie
 A pośród zdrajców, myśl, że ci bezpiecznie!
 Na zbójem oku niech ci sen niestaje —
 A kiedy stanie patrz w sennem marzeniu
 Jak czarty w piekiel nurtują płomieniu!

A jednak czasem, nie dalej jak w zakończeniu samych
 tych przekleństw, trzeba przyznać panu Paszkowskiemu wyż-
 szość nad współzawodnikiem. Wiadomo że ostatni okres prze-
 kleństw Małgorzaty musi być tak ułożonym, żeby Ryszard
 wpadając jej w słowo mógł jednym wykrzyknikiem *Małgo-*

rzato! zrzucić niby te wszystkie przekleństwa na jej własną głowę. W językach które nie mają odmiany rzeczowników przez różne dla każdego przypadku zakończenia jest to bardzo łatwo: *Margaret*, albo *Marguerite*, zawsze dobrze przypadnie do wszystkich określeń poprzednich w jakimkolwiek one stały przypadku. Ale w polskim języku trzeba wszystkie rzeczowniki tego okresu nakręcić do piątego przypadku, i do zakończeń tego przypadku nakręcać i rymy, jeżeli przekład jest rymowy. I rym też w tym razie źle usłużył panu Szujskiemu. Oto jak on tłumaczy to straszne zakończenie przekleństw:

„Ty naznaczony od przyrody stworze:
 „Ohydo świata, od piekieł wzgardzona,
 „Wyrzucie brudny matczynego łona
 „Płodzie szkarady, rodzica sromoto,
 „Ty szmato brudu, poczwaro.

Ryszard.

Margoto!

Francuzowi możeby uszło zakończyć ten ustęp poufałem ale w owych wiekach bardzo używanem skróceniem imienia Małgorzaty: *Margot*: ale w przekładzie polskim ta nieznana w naszym języku Margota, musi razić, i dla tego wolimy stanowczo wersję pana Paszkowskiego:

„Ty coś w kolebce już był piętnowany
 „Na syna piekieł i zakał natury!
 „Ty hańbo łona matki, ty wyrodku
 „Ojcowskich lędźwi! łachmanie honoru!
 „Wieczne przekleństwo Tobie...

Ryszard.

Małgorzato!

Trudność jest może raczej ominięta niż rozwiązana, ale jest ominięta szczęśliwie.

Przytoczone wyjątki dadzą czytelnikowi tak dokładne wyobrażenie o przekładzie, że nie będziemy go nużyć roztrząsaniem aktów następnych, poprzestając na krótkim stwierdzeniu, że usterków dostrzegliśmy w nich mniej niż w pierwszym, a zalety te same, tylko może widoczniejsze, jaśniejsze, dla tego, że tłumaczenie nie było już tak trudnem, że w dal-

szym ciągu rzadziej zdarza się potrzeba takiej energii, tak podniesionego tonu jak w tych początkowych scenach.

Jeżeli dodamy jeszcze, że Henryk VIII tłumaczony jest przez pana Ulricha, i że piękności jego, jak przemowa królowej Katarzyny przed trybunałem, albo akt III, scena jej z kardynałami a następnie upadek Wolseya w upadku prawdziwie wielkiego, oddane są bardzo dobrze, to dojdziemy już do końca dramatów historycznych czyli do końca pierwszego tomu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

St. Tarnowski.

KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI ¹⁾.

W jakibądź sposób bistorya wymierzy sprawiedliwość czasom i ludziom lat dwudziestu następujących po ostatnim upadku dawnej Rpltej polskiej aż do roku 1815, który nową całkiem rozpoczyna epokę, zawsze imię księcia Józefa Poniatowskiego świecić w nich musi na jednym z miejsc najpierwszych. Pamięć jego stała się ulubioną narodowi, a mimo wszystko coby go czyniło mniej wielkim człowiekiem, został on niewątpliwie pięknem wspomnieniem narodowem, i należy mu się od nas cześć, tak jak i całemu temu okresowi czasu, który epoką Księstwa Warszawskiego nazywamy, czasu zbyt poniżanego przez jednych, czule jeszcze wspominanego przez rzadkich już pozostałych jego uczestników, ²⁾ czasu, w każdym razie ważnego i nauczającego dla nas, w toku dziejów upadku i dźwignia się naszego. Nie może być za winę poczytywane księciu Józefowi, że w nim nie żył duch Czarnieckiego, ani geniusz

¹⁾ Kiedy odczytane d. 3 maja b. r. na publicznem posiedzeniu Akademii Umiejętności przez p. Lucyana Siemieńskiego szczegóły o młodości księcia Józefa Poniatowskiego z zajęciem były przyjęte, może przydać się także będą mogły te, które się znajdują w niniejszym rysie życia ks. Józefa, do którego skreślenia powodem była możność użycia wielu autentycznych Materyałów i tradycyj osobistych.

²⁾ Pisano 1864 r.

Chodkiewicza; Rzeczpospolita cała była w upadku, duch rycerski Polaków osłabł, dzielność i zaufanie w sobie znikły; ostatniem światłem zajaśniał mąż narodu Kościuszko, a usiłowania jego, cnota, poświęcenie, i mądre przewidzenia, rozbiły się o trudności wewnętrzne i zewnętrzne. Nie był do ich zwalczenia powołanym Poniatowski; ani los, ani wysilenie własnego ducha nie wynosiły go na stopień kierownictwa przeznaczeń narodu: — był on jednak żołnierzem sprawy narodowej, mimo różnych sprzecznych okoliczności, wiernym, prawym, szlachetnym; jak rycerz niósł chorągiew Polski wśród wielkiej burzy europejskiej, i z tą chorągwią zginął. Tę to szlachetność naród w nim ocenił, a rys jego życia przedewszystkiem to zachować powinien, aby dając prawdę o osobie i jej charakterze, udzielić objaśnień, nie ując zaś uczuciu narodowemu nic z tego, co jest drogą jego własnością.

Ksiązę Józef urodził się w maju r. 1763, około tego czasu właśnie, kiedy stryj jego Stanisław niefortunnym zbiegiem okoliczności, bez żadnej zasługi własnej, dostał się na tron polski. Urodził się w Warszawie z ojca Andrzeja generała austriackiego i z hrabianki Kińskiej. Ojciec umarł wcześniej (r. 1773) a losem wdowy i pozostałych dzieci zajął się król Stanisław August; pierwotnem jednakże wychowaniem (w Pradze) kierowała matka, osoba z zasadami moralnemi, ale przytem zawsze chora, wymagająca, i drażliwego charakteru. Młody Józef doznawszy ze strony stryja i króla słodkiego i miękkiego obejścia, które temuż było właściwem, prędko ku niemu się skłonił, do niego jako swego dobroczyńcy lgnął więcej w późniejszej młodości; ze strony matki ściągając na siebie nieraz zarzuty iż ją zaniedbuje. Do nauki nie był skorym; miewał przy sobie ludzi światłych i doświadczonych, za zgodą matki i stryja, między którymi Plunkett Anglik były pułkownik ze służby austriackiej i do księżny Poniatowskiej przywiązany, szczególne dowody szacunku od króla Stanisława odbierał. Z nim to młody Józef do Warszawy przyjeżdżał, i na Litwę do Tyszkiewiczów, i do dóbr starostwa wielońskiego, które ojciec jego jeszcze posiadał, a które trzymał w dzierżawie Tyzenhaus podskarbi. Był tam w r. 1778,¹⁾ i już król zlecał

¹⁾ Według korespondencji z młodych lat księcia Józefa.

mu zbadanie i ułożenie tamtejszych interesów majątkowych, czem się pod kierunkiem Plunketta i Dziakońskiego pełnomocnika zajmował. W r. 1779 był tam powtórnie; interesa były nieprzyjemne i książę Józef brał w nich czynny udział. Dobra bowiem były nader zniszczone, ucisk poddanych wielki; skargi ich książę Józef z wrodzoną sobie dobrocią i wspaniałością przyjmował, i postanowiono odjąć zaraz Tyzenhauzowi dzierżawę, lubo życzeniem króla było, aby tenże ją jeszcze dłużej zatrzymał. Za powrotem z Litwy bawił jakiś czas w Warszawie, i miał wtedy nauczycielem niejakiego p. Hennequin, który go za młodzieńcze swawole i skłonność do robienia długów oskarżył przed stryjem.

Miał książę Józef wtedy lat około 17tu; te przejażdżki wbijały w pamięć młodzieńcowi iż był Polakiem, czego bezwątpienia pierwotne wychowanie w Czechach i w Wiedniu dać mu nie mogło. Z natury posiadał on czułą i szlachetną duszę; przez wychowanie i okoliczności późniejszej młodości, przy swawoli i unoszących go żądzach młodego wieku, przy nadzwyczajnej skłonności do obczyzny wszystkich jego krewnych i całego wyższego towarzystwa w Polsce, mogła ona na jakiś czas zostać obojętną dla rzeczy ojczystych, lecz nie dała się opanować i obłąkać widokom, obcym zacnemu dla kraju uczuciu.

Stanisław August widział nieraz dobrze co należało czynić, lubo nie był w stanie rozwinąć dzielności i konsekwencji w tem co zamyślił. Co do synowca swego, wcześniej życzył sobie, aby wojskowość była jego zawodem. Józef Poniatowski z ojca był już na tej drodze, obyczajem synów niezamożnych rodzin znakomitszych, których w wojsku austriackiem zawsze wielu było. W r. 1777 znajdował się w Pradze, w czasie kiedy cesarz Józef II odbywał tam manewra ze zgromadzonem wojskiem. Plunkett wyjechał z nim konno przypatrzeć się ruchom wojskowym, być może umyślnie dla spotkania cesarza, za sprawą księżny matki, i tak się postawił, że po skończonym przeglądzie cesarz postrzegł go, zbliżył się do młodzieńca i w sposób ujmujący dość długo z nim rozmawiał, chwalił zasługi ojca, wywiadywał się o zdrowie matki i zachęcał niejako do wstąpienia w służbę swoją, a zachęcenie takie tem bardziej skutkować mogło, iż wszystko zgodnie ku wojskowemu zawodowi go wiodło, a młodego człowieka skłonności własne ra-

czej do ćwiczeń wojskowych i swobody tego stanu, jak do prac umysłowych pociągały.

Na początku 1780 roku zgodził się król na to, aby księżna oddała do wojska księcia Józefa, po wyrażonem mocno własnem jego oświadczeniu, iż najsilniej w sobie to powołanie uczuwa; uczynił to jednak pod pewnemi warunkami, które z ojcowską i królewską powagą stanowczo postawił, a te były: 1) Aby zawsze pamiętał, że tylko dla nauki wszedł do służby austriackiej na to, aby był przez to zdolniejszym zostać obywatelem użytecznym ojczyźnie; 2) żeby był gotów opuścić tę służbę każdego czasu, gdy go król odwoła; 3) aby nawet podczas tej służby odbywał podróże do kraju raz na pół roku za rozkazem króla, co prawdopodobnie nastąpić miało zaraz wkrótce, w czasie sejmu; 4) aby w żadnym korpusie gwardyi szlacheckiej, lecz w dobrym jakim pułku jazdy służył, uważając, że ma szczególne upodobanie do tej broni; co wszakże nie powinno mu przeszkadzać do usiłowania poznania, ile tylko można będzie innych broni, tak piechoty jak inżynieryi i artyleryi. Tu należy oddać sprawiedliwość temu nieszczęśliwemu królowi próżności tak zarazonemu, iż dbały o pomyślność swego domu, przyzwoicie zupełnie względem synowca postąpił, i rozsądnie na drogę do osiągnięcia prawdziwego pożytku i uzdolnienia go prowadził; jeśli mniej w tem kraj istotnie miał na celu, obowiązku jednakże dopełniał. I przywiązanie jego dla księcia Józefa było zawsze czułem i serdecznem, jeśli nie ojcowskiem w całym słowa tego znaczeniu, to prawie kobiecem w troskliwości i dbałości o wszystkie jego potrzeby, o ile takowe sobie wyobrażał.

Wszedł zatem książę Józef Poniatowski do wojska austriackiego roku 1780 jako porucznik w pułku karabinierów W. księcia Franciszka Toskańskiego, którego drugim właścicielem, według zwyczaju w armii austriackiej praktykowanego był feldmarszałek de Lasey a pułkownikiem Cavanagh, i który stał naówczas w Brandeis w Czechach. Roku zaraz następującego 1781 miał udział w rewii, którą cesarz Józef II w tamtych stronach odbywał, otrzymał pochwały, i na polu mustry mianowanym został przez cesarza kapitanem *en second*, rzekomo dla zasług ojca, lecz pewniej dla znaczenia, które jako synowiec króla polskiego posiadał. Młody książę jednakże po-

dług wszelkich o tem wskazówek przykładał się do służby, był zawołanym i okazałym jeźdźcem na koniu, lubił i pełnił ćwiczenia i obowiązki wojskowe, zachęcany do tego nieustannie przez króla stryja, i napominany co do honorowego i przyzwoitego postępowania, co do oszczędności w wydatkach, unikania gry i złego towarzystwa, co do obowiązków względem matki i innych osób z rodziny. Pamięć o kraju najmniej przypominaną mu była, może dla tego, że obowiązek względem niego na wstępie do wojska już uroczyście był zastrzeżony, zostającemu zaś w służbie cesarskiej, zwłaszcza gdy Józefa IIgo w owej epoce jego panowania powszechny podziw otaczał, na pierwszym kładzione były miejsca powinności dla cesarza, honor i obowiązek wojskowy. Nieomieszkał jednak król naglić corocznie synowca do przyjazdu do Polski zgodnie z warunkami które założył, a nawet gdy w r. 1782 doszła go pogłoska (jak się okazało płonna) że cesarz żądać ma od swoich oficerów (pewnie od cudzoziemców) przyrzeczenia, iż na zawsze pozostaną w jego służbie, ponawiał ostrzeżenia, przestrogi i rozkazy, aby księżę w takim razie służbę natychmiast opuścił. Przeciwnie jednak, kiedy roku 1783 zanosilo się na wojnę, a księżna matka zapewne pod wpływem chorowitej swojej drażliwości nalegała, aby księżę Józef opuścił wojsko, wtedy stanowczo król Stanisław temu się sprzeciwił, i prawie odjęciem opieki swojej zagroził, gdyby w chwili kiedy się zanosilo na wojnę, synowiec jego wychodził ze służby. Józef też sam o tem wcale nie myślał.

Przejażdżki do Polski nie przychodziły do skutku dość często według życzenia króla, czasem z powodów służby, czasem z powodu matki, która pragnęła syna raczej widzieć przy sobie i źle o tych przejażdżkach do Warszawy trzymała, posuwając się do wyraźnego oporu woli króla Stanisława i do cierpkich wyrzutów. Księżna widać nie bardzo szacowała króla, i przypuszczać razem z nią można, że księcia Józefa na dworze w Warszawie psuto, i że wcale nie surowe tam prowadził życie, jak tego skutki dla króla samego niemiłe się okazywały; lubo z ważniejszych zarzutów czynionych mu mianowicie w tem co król Stanisław według własnego sądu za zdrożność uważał, potrafił księżę Józef się oczyścić. Zarzucano mu szczególnie upodobanie w złem towarzystwie, na złem towarzystwie

przecież nie brakowało i w Wiedniu i w Czechach, a do takowego liczyli się młodzi ludzie z najznakomitszych familij austriackich, z którymi książę w wojsku najwięcej przestawał, jako Lichtenstein, Aremberg, Waldstein i t. d. Na wiosnę 1783 r. był książę Józef znowu w Warszawie wracając na Kraków, zawsze od króla przyjmowany serdecznie i obdarzany, równie jak i siostra jego Marya Teresa Tyszkiewiczowa żona Referendarza W. ks. Litewskiego.

Dbałym był król Stanisław ciągle o wojskowe naukowe wychowanie synowca, i o wszystko co mu dobrą opinią w kraju i zagranicą zjednać mogło. Wojskowemi naukami kierował z początku Plunkett, później miał sobie to zleconem p. Kospoth podpułkownik tegoż pułku, w którym książę Józef służył. W bibliotekę dzieł wojskowych król zaopatrzył i żądał najmocniej, aby mu na dowód czytania wyciągi z dzieł wskazanych jako to: *Mémoires de Feuquières. Remarques de Varnery, Ars de la guerre par Puyssègur, Turpin*, przez księcia robione przesyłanemi bywały. Jakoż w istocie wyciągi te odbierał szczegółowe, czasem z własnymi młodzieńca uwagami ¹⁾, jakkolwiek temu z trudnością przychodziło przezwycięzenie się w przyłożeniu do pracy naukowej. Zaniedbanie pilnej i pracowitej uprawy naturalnych zdolności w księciu Józefie widać z młodości jego, czego zarazem żałować należy. Przy wielu rycerskich przymiotach, wdzięk, łatwość i dobroć miłym go czyniły w stosunkach i w towarzystwie, lecz opieszałość i lenistwo do ściślejszej pracy nie dozwoliły mu dokładniej naukowego przeprowadzić ukształcenia, do czego przecież nie zbywało mu na środkach. Kaligraficznie pisał, i ten talent w drugich cenił, co może głównie później Rautenstraucha los przy nim zrobiło, ale nawet francuskiej pisowni nigdy się nie nauczył choć języka tego w młodości zwykle używał.

W tymże roku 1783 dostał książę Józef komendę szwadronu skrzydłowego, tego samego w którym od początku służył. P. Kospoth, z którym król Stanisław listownie się znosił wtedy mianowany pułkownikiem i dowódcą tego pułku karabinierów, oddaje mu sprawiedliwość, że był już czynnym i zdol-

¹⁾ Istnieją w oryginałach.

nym oficerem, oddanym z wielką pilnością¹⁾ obowiązkom, pełnym honoru i że postępowanie jego pod względem wojskowym na żaden zarzut nie zasługiwało. Cesarz i marszałek Lascy oświadczyli mu swoje zadowolenie; w czasie manewrów 1783 komenderował szwadronem swoim, który odznaczył się porządkiem i dokładnością w ćwiczeniach. W ćwiczeniach też wojskowych i wszelkich innych gdzie śmiałość i zręczność znajdowała pole okazania się, nie żałował książe Józef wcale ani czasu ani trudu, takowe nawet często aż do nadużycia i bezpotrzebnej zuchwałości posuwał. Znanym był z nadzwyczajnie śmiałej i niezmordowanej jazdy na koniu, i takową nawet w zimie roku 1783 na 4ty przypłacił złamaniem nogi, z czego w Wiedniu przez całą wiosnę do zdrowia przychodził.

Cesarz Józef zaprowadzając radykalne przemiany w różnych gałęziach zarządu swego państwa, przekształcał także wojsko z pomocą znakomitych swoich generałów Laudona i Lasciego, korzystając ze wskazówek dostarczonych kolejami i klęskami wojny siedmioletniej i z przykładu Prusaków organizowanych przez Fryderyka II, którego uwielbiał. W ciągu tych przemian powziął zamiar utworzenia pułku ułanów dla skorzystania pewnie ze sprawności do jazdy lekkiej Polaków w Galicyi przed 12tu laty do Austrii przyłączonej. W pułku tym sami prawie Polacy służyć mieli, i książe Józef posunięty na majora po manewrach 1784 r., przeznaczenie do niego otrzymał. Formowały się oddziały we Lwowie i w Tarnowie, poczem pułk cały do Wiednia przeszedł, a miał otrzymać przeznaczenie do Nederlandów. Smutnem być musiało podejmowanie tej czynności, zwłaszcza w tak świeżo dopiero od ojczyzny oderwanym kraju, smutniejszym byłoby było, gdyby nie z jednej strony, stłumienie w owej chwili politycznych dążeń w Polsce, z drugiej łagodne pod względem narodowości postępowanie rządu austriackiego, przy uroku jaki dla wielu miała powaga cesarza i sława Józefa II. Te okoliczności wpływały na złagodzenie przykrych wrażeń, atoli nie przeszły one dla Józefa Poniatowskiego bez wywołania rzewnego zwrotu na położenie swoje i kraju. Doznając przyjemności w dowodzeniu rodakami, uczuł on w sercu życzenie, aby kiedyś tak

¹⁾ Listy Kospotha do króla.

samo rodakami dla ojczyzny mógł dowodzić ¹⁾. Można wierzyć, że obudzone wtenczas uczucie i żal prawdziwie z serca pochodziły. Miał on w samym zaniedbaniu swojej istoty i słuchaniu nieraz tylko naturalnych popędów, tyle prostoty, że to, co wtenczas wyznał, za szczere uważać można.

Roku 1786 ułani rozdzieleni zostali po pułkach lekkiej jazdy i przyłączeni do pułków szwoleżerów, po dywizyonie do każdego pułku, a książę Józef awansowany na podpułkownika uważanym był już w armii austriackiej za bardzo dobrego oficera kawaleryi; dowodem tego nie tyle komplementa jakie na rewii tego roku od cesarza odebrał, jak szczególnie ta okoliczność, iż gdy w lecie wybierał się do Polski za urlopem, komenderujący generał ks. Lichtenstein żądał od niego, aby parę miesięcy odjazd swój spóźnił, nikt bowiem więcej od niego przyłożyć się nie mógł do uzupełnienia formacyi nowych ułanów, których liczbę cesarz pomnożyć postanowił, widząc ich tak doskonale wykonywujących obroty pod dowództwem księcia. Zadawał on sobie istotnie pracę z żołnierzem, był o niego dbały i znał się na użyciu człowieka i konia. Odjazd do Polski opóźniła choroba, nakształt gorączki nerwowej w następstwie tych ćwiczeń obozowych wywiązana, w której staranie miał koło niego kolega i przyjaciel kapitan Mack (imię znane później z r. 1805) ²⁾. Był jednakże w Warszawie w październiku, wyjechawszy z Pragi od matki, z którą po dłuższem nieporozumieniu znowu w synowskich zostawał stosunkach, i jechał przez Berlin, gdzie się przedstawiał u dworu wkrótce po śmierci Fryderyka II. A w Warszawie nowe były wylania czułości ze strony stryja, nowe wyznania tych kłopotów które rozrzutność księcia zwykle mu nagromadzała, i król długi płacił, teraz jak i później, prosił o wstrzemięźliwość, słaby zawsze dla swego „*Pepi*“ którego się ojcem i opiekunem wyznawał, i znajdował może upodobanie w oznakach wdzięczności i przywiązania, jakich mu nieszczęśliwego lekkiego serca synowiec.

Dopiero 1787 r. powrócił książę Józef do Wiednia i to dopiero na początku maja. Pierwej odbył z królem podróż na

¹⁾ Korespondencje ks. Józefa z królem.

²⁾ List Macka do króla.

Ukrainę do Kaniowa, zkąd uprzedzając widzenie się króla z imperatorową Katarzyną, pojechał do Kijowa, gdzie imperatorowa przebywała, i tam parę tygodni na dworze jej zostawał, wraz z księciem Karolem de Ligne i wielką liczbą cudzoziemców składających hołdy swojej cesarzowej, i większą jeszcze panów polskich ubiegających się o jej względy. Zjazd Katarzyny II z królem polskim nastąpił, jak wiadomo, 6 maja pod Kaniowem na Dnieprze, a 11 widział się także Stanisław August w Korsuniu z cesarzem Józefem II spieszącym do Chersonu do cesarzowej, i ucieszył się zapewnieniem z ust jego, że nie chce już więcej zdobyć w Polsce, *i że ani jednego drzewka już jej nie weźmie*. Księżę Józef nie czekając na te zjazdy, z Kijowa już do Wiednia powrócił.

Zamiar Józefa II zdawna żywiony dla pozyskania wojennej sławy i korzyści terytoryalnej, której Austria nawet i po dokonaniu rozbioru Polski nie przestała łaknąć za stratę poniesioną przez pokój drezdeński, zamiar ten dojrzał w czasie zjazdu z Katarzyną II w Krymie; z wiosną 1788 r. wojsko austriackie rozpoczęło działanie przeciw Turcyi pod osobistym dowództwem cesarza. Księżę Józef mianowany adjutantem cesarza, przybył do Petrowaradynu na początku marca. Oblężono Sabacz; — przy pierwszym zaraz szturmie, 26 kwietnia, księżę Józef został ranionym. Posłany przez cesarza z rozkazem aby ochotnicy postąpili na fossę i na wały, — widząc że się wahają, zsiadł z konia i z dobytym pałaszem szedł przed nimi, wskazując im drogę; — wtedy dosięgła go kula turecka i przeszła zupełnie udo. Gdy upadł i napróżno podnieść się usiłował, księżę Reuss XV, również adjutant cesarza, przybiegłszy, na rękach swoich go uniósł, dopóki przywołani żołnierze na desce nie odnieśli dalej. Obecny i czynny w tem samem miejscu księżę Karol de Ligne, z którym księcia Józefa bliska przyjaźń łączyła, wypadek ten, w liście do siostry ks. Clary szczegółowo opisał. Przeprowadzony do Neusatz, gdy rana okazała się ciężką, opatrywany był troskliwie ¹⁾, a dla

¹⁾ Żył długo i znany był wielu osobom w Krakowie. Dr. Wotzilka, który w wojsku austriackiem jako lekarz wojskowy służąc, kilka kampanij odbył. Za ten starzec, który wyszedłszy z wojska osiadł w Staszowie, niegdyś do Ga-

zupełnego wyzdrowienia, w czerwcu, z polecenia cesarza odjechał do Baden dla używania kąpieli, i dopiero w końcu sierpnia do obozu powrócił, aby dzielić nieszczęśliwe koleje tegorocznej kampanii. W Semlinie mianowany został pułkownikiem w listopadzie, po jednej utarczce przedniej straży i do Wiednia w tymże miesiącu powrócił.

Z początkiem r. 1789 książę Józef naglił prośbami swemi na cesarza, który już wówczas chory, nie szukał więcej wojennej sławy straconej pod Lugosz, — aby udzielił mu przeznaczenia do powrotu na teatr wojenny, gdzie pod dowództwem doświadczonego Laudona nowy i pomyślniejszy miał się utworzyć obrót wojny. Jakoż otrzymał w końcu maja to przeznaczenie, lecz do wojska nie odjechał, odebrał bowiem dnia 10 czerwca datowany list króla Stanisława Augusta, zawierający wezwanie i rozkaz, aby służbę austriacką porzuciwszy do kraju powracał. List ten nieszczęśliwego króla Stanisława zasługuje, aby w tłómaczeniu był powtórzonym.

„Kochany Józiu (*Pepi*). Odpowiadając na Twój list z 4go czerwca, wyznaję, że nie jestem wcale zaspokojony tem, co mi o zdrowiu Twojem mówisz. Zaklinam Cię w imię przywiązania, które mi winieneś, abyś szedł za radą lekarzy, których się radziłeś.

Wczoraj senatorowie i posłowie przez Sejm wyznaczeni do utworzenia projektu o składzie wojska, żądali odemnie publicznie na sesyi sejmowej, abym cię odwołał do służby Ojczyzny; i to stało się w wyrazach bardzo zaszczytnych dla Ciebie i przyjemem było w sposób, który mi dowiódł, iż uważają Cię za obywatela z odznaczeniem i mogącego być bardzo pożytecznym Ojczyźnie.

Po tym publicznym kroku nie mogę jak tylko oświadczyć Ci życzenie i wolę moją, abyś nam tu powrócił. Wiem, ile Cię będzie kosztowało opuszczać służbę monarchy, który Ci tyle względów okazał; a osobiwie opuszczać go na początku kampanii. Ale, skoro zastanowisz się nad okolicznościami i skoro cesarz wiedzieć o nich będzie, ani on, ani nikt,

licy należącym, a potem żył w Krakowie i miał dom na Piasku, opowiadał, iż on to opatrywał księcia Poniatowskiego, rannego w bitwie pod Sabaczem.

ani Ty sam, nie znajdziesz powodów, zwalniających Cię od najpierwszego Twego obowiązku, do którego Cię wzywam.

Bóg dał Ci się urodzić Polakiem, a sądzę, iżem Ci dowiódł że Ci zastępuję ojca. Z tytułu jednego i drugiego piszę do Ciebie i żądam, abyś się nam powrócił, jak będzie można najprędzej przyzwolicie to uczynić. Tymczasem ściskam Cię tysiąc razy. S. A. R.“

Postanowienie księcia poddania się woli króla nastąpiło natychmiast, lubo w samej rzeczy z wielką dla niego przykrością. Nietylko żał mu było opuszczać armię w ciągu wojny, kolegów i żołnierzy swoich, ale nie umiał także w nowych okolicznościach w Polsce dostrzedz dla siebie tych widoków powodzenia i sławy, jakie wychodząc ze służby cesarskiej poświęcał. Radził się feldmarszałka Lasey, w jaki sposób ma sobie postąpić względem cesarza, i stanęło na tem, że jeśli wola króla jest stanowczą i nie można żadnym sposobem przeciągnąć odwołania do końca kampanii, wypada, aby sam król listem dał o tej woli swojej wiadomość cesarzowi, przez co żądanie uwolnienia przez księcia Józefa honorowe usprawiedliwienie przed nim i przed armią uzyska. Król Stanisław zanim zadosyć uczynił tej wskazówce, złożył w Warszawie radę familijną, której zdaniem było, iż należy *uledez okolicznościom*; zaczem król do cesarza napisał i księciu raz jeszcze tłómaczył, iż gdy okoliczności tak nakazują, należy im uledez pomimo przykrości. Na początku sierpnia widzimy księcia Józefa już w Warszawie, po odbytych w Zakładzie w Göding w Czechach czułych pożegnaniach z ułanami, któremi dawniej dowodził, gdzie wiarusy polskie ze łzami dali mu dowody szczerego przywiązania.

Sprawy polskie wtedy, kiedy księżę Józef do niej powracał, zdawały się przybierać postać odradzającego się ducha w narodzie i porządku tak w układzie politycznym, jak w urzędzeniu obrony krajowej. Sejm konstytucyjny pod konfederacją obradował od 8 miesięcy, powiększenie wojska do 100 tysięcy uchwalonem było, podatki nowe i ofiarę 10go grosza z dóbr ziemskich postanowiono i różne acz bardzo niedostateczne polecenia dla upewnienia obrony kraju wydano. Przewidywania spokojnego dłuższego rozwoju organizacyi kraju, przy zajęciu Rosyi wojną turecką a złudnych oświadczeniach

króla pruskiego, były powszechne, i król Stanisław sam się im oddając, księcia Józefa umieścić chciał w wojsku polskiem stosownie, aby z pomnażającą się tegoż liczbą komendę ważniejszą tem pewniej mu wyjednać. Starał się król z razu o kupno dla księcia brygady kawaleryi narodowej, którą generał-major Dzierżek chciał sprzedać sposobem naówczas praktykującym się w Polsce jak i w innych wojskach, lecz nie mogło być nic równie wstrętne dla ks. Józefa, jak kupować stopień, skoro już dziesięcioletnią służbą dowództwo pułku w wojsku austriackiem pozyskał; zdawało mu się nawet, że Ojczyzna powołując go, zaszczytniej go umieścić powinna, i najmocniej upraszał króla, aby tej myśli zaniechał. Mianowanym więc został w październiku generał-majorem wraz z Michałem Zabiełłą, Janem Suffczyńskim i Tadeuszem Kościuszką, wszystkimi jako z zagranicznej służby powróconymi, i był najprzód szefem pułku gwardyi pieszej koronnej pułkownika Koeniga, bez płacy, potem na wiosnę 1790 roku otrzymał dowódzdywizyi IV-tej Bracławskiej i Podolskiej, konsystującej na kresach w Województwie Podolskiem, z główną kwaterą w Tulczynie. Przybył tam w kwietniu jadąc na Kozienice, gdzie naówczas były zakłady wojskowe i fabryka broni, przez króla założona, słabo idące, i na Krasnystaw, gdzie odbywał ćwiczenia z wojskiem tam stojącym. Dywizya Bracławska składała się w tej chwili z pułku jednego imienia Potockich, z pułku Mokronowskiego, z brygady kawaleryi narodowej Wielhorskiego (niedawno także z austriackiej służby przybyłego i brygadyerem mianowanego) i z pułku Lubomirskiego, ale do 4000 tylko ludzi razem zebranych oddziały tych komend wynosiły. Rozłożona na granicy od Jahorlika do Łojowa, mil blisko 130 długiej, strzedz jej miała od napadu mnogiej rzeszy wojsk nieregularnych rosyjskich, zagrażających ciągle rabunkiem i często niebezpiecznych mieszkańcom. Większe siły rosyjskie nie stały wówczas z tej strony granicy polskiej, a te, które były rozrzucone w bliskości, należały pod dowództwo księcia Potemkina, mającego główną kwaterę w Jassach i ztamtąd kierującego obrotami wojskowemi i układami o zakończenie wojny z Turcyą, które jednakże nie bardzo bliskiemu kresu się zdawały.

Wojsko, którego komendę obejmował książę Poniatowski, w smutnym znajdowało się stanie. Brakowało mu największej części tych zalet i tego porządku, które tylko dłuższą pilną administracją i ścisłym ćwiczeniem mogą być otrzymane. Ludzie w niem byli piękni, ale obdarci, bez rynsztunków odpowiednich, konie i rzędy w największym nieładzie, bez jednności w umundurowaniu i w uzbrojeniu, bez zaopatrzenia, przyzwyczajeni rabować i żyć uciskiem okolicy; oficerowie młodzi, w znacznej części lepszego wychowania i ożywieni dobrymi chęciami, ale związek między oddziałami i urządzenie służby były tak liche, iż gdy pułk Mokronowskiego, należący do dywizyi księcia, nie chciał się stawić pod jego komendę, nie mógł on żadnym sposobem zbadać, pod jakiego generała tenże bezpośrednio należał. Te wszystkie wady szczególnie były rażące w kawalerji narodowej, której urządzenie wszelkiemu pojęciu nowszemu wojskowości było przeciwne, i od razu księcia Józefa tak raziło, że za jedną z najpierwszych rzeczy podał Komisji wojskowej projekt swój innego urządzenia całej jazdy, która w Polsce mogła być najlepszą, a przez zadawniony zwyczaj ochotnictwa szlacheckiego, bez żadnej od dawna wprawy wojennej, stawała się najgorszą.

Zaraz od samego objęcia dowództwa książę Józef przyniósłszy ze sobą dobre nawyknięcia znajomości służby i szczegółów wojskowych z armii austriackiej, szczerze i czynnie wziął się do naprawienia nieporządku, jaki zastał ¹⁾. Zadanie było trudnem, bo szczupłość środków i niedołęstwo administracyi stawały na przeszkodzie wykonaniu. Książę odwoływał się po rozkazy i fundusze do Komisji wojskowej do Warszawy, dopominał się o magazyny, lazarety, artyleryą, pieniądze, a komisya słowem więcej, jak czynem dopomagała. Ustanowione zaś po województwach i powiatach komisye cywilno-wojskowe, którym poruczone było kwaterowanie wojska, sądzenie sporów cywilno-wojskowych i czuwanie nad bezpieczeństwem wewnętrznem kraju, niemając atrybucyj jasno określonych a pochodząc z wyboru sejmowego lub obywatelskiego, mając się przeto za delegowanych władzy najwyższej, w usta-

¹⁾ Raport poufny księcia o stanie wojsk i ich urządzeniu do marszałków Sejmu d. 3 czerwca 1790 r.

wiczne wpadały sprzeczności z głównodowodzącym wojskami, który ze swojej strony tylko od komisji wojennej czyli ministerium wojny słusznie sądził się być zależnym. W Sierpniu 1790 dodano do komendy Księcia jeszcze i dywizję kijowską, w której jednakże tylko brygada Jenerała Józefa Lubomirskiego została, gdy pułk W. hetmana inne dostał przeznaczenie. A tak przybyła mu jeszcze do strzeżenia większa przestrzeń granicy, prawy brzeg Dniepru zajmującej, bez znacznego pomnożenia sił ku temu. Ubolewał książę Józef nad tem, że tak ogromna przestrzeń kresów, wymagająca rozstawienia drobnych oddziałów, nie dozwala mu nawet czynić przyzwoitych ćwiczeń, jakie tylko z większą ilością żołnierzy mogą być przedsiębrane. W lecie 1790 z samym tylko regimenterem Potockich obozował pod Tulczynem, a we Wrześniu dopiero większy nieco obóz pod Bracławiem urządził, starając się manewrami i ciągłym zajęciem żołnierza nadać mu obrotność i układ więcej wojenny. Projekt urządzenia intendencji armii, wtedy komisji wojennej podał; we wszystkich bowiem gałęziach wojskowej czynności nastąpiło było dziwne w narodzie niegdyś wojennym zapomnienie i zaniedbanie, tak, że wszystko, nie przerabiać na nowy sposób, ale tworzyć trzeba było; brak przytem wszelkich zapasów dawniejszych zmuszał do wydatków, na które fundusze skąpo i powoli wpływały. Intendencja zaś porządna tem potrzebniejszą była, że obywatelstwo bynajmniej nie okazywało chęci wprost na potrzebę wojska produktów swoich dostarczać, i zaszedł nawet przypadek, że w obozie polskim skarżono się na niedostatek, podczas gdy stojące o granicę wojska rosyjskie obfite z Polski dostarczenie miały. Świadczenia niemyślne stosunków ówczesnych wywołują potwierdzenie tego tak często wówczas używanego wyrażenia, że Rzeczpospolita z dzieciństwa dopiero miała wychodzić, to jest, że w dzieciństwie tak długo zostawała i w gorszącem zaniedbaniu rozwagi na byt własny publiczny. Niestety i wtedy jeszcze, gdy z niego wychodzić zaczęła, wiele razy zasłużono sprawiedliwie na ten i w ustach ówczesnego dowódcy dywizji ukraińskiej z goryczą znajdujący się wyraz: „*że interes prywatny nad publicznym przeważał*“.

W obozie pod Bracławiem odbyło się poświęcenie uroczyste nowych chorągwi z zagrzewającym żołnierza obrządkiem.

Starano się podnosić ducha, gdy rzeczywistość nie dozwalała sumiennej mieć w sobie ufności na przypadek wojny. Książę czuł jeden z najpierwszych, jak mało na tym zawiązku sił nowych polegać można było; dbały o honor swój wobec zarzutów, które go spotkać mogły, niemniej dbał także szczerze i o powodzenie rzeczy w takich okolicznościach przedsiębranej. Donosił królowi co się dzieje na drugiej stronie granicy, ciesząc się, gdy siły rosyjskie jeszcze gdzieindziej zajęte, nie wielkie przeciw Polsce niebezpieczeństwo przedstawiały. Tyle jednakże i wtedy było głów gorących, które powodzenie zakładały na chwili zapału, iż donosząc królowi o słabości sił rosyjskich na granicy, wyraźnie go upraszał, aby tego nie rozgłaszano, gdyż jak powiadał: *„gorącym głowom naszym zdawałoby się zaraz, że już moglibyśmy śmiało iść na sam Petersburg“*.

W jesieni tegoż roku pojechał książę Józef do Warszawy, i bawił w niej aż do czasu ogłoszenia konstytucyi 3 Maja 1791. Dowództwo w zastępstwie sprawował Kościuszko. Kościuszko przy wojsku, był to przeniesiony na ziemię polską ten duch niezmordowanej pracy, wytrwałości i poświęcenia, które wojnie narodowej w nowym świecie szczęśliwy koniec zapewniły. Mąż najczystszej duszy i dojrzałego doświadczenia; jego pomoc a raczej jego współdziałanie w okolicznościach owego czasu główną i najważniejszą było podporą chwiejącej się organizacyi tej małej armii. Książę Józef znał, i o ile mógł, wódz sam niedojrzały, oceniał tę dzielność nieszukającą nigdzie okazania własnej zasługi. Nie było między dwoma tymi ludźmi, tak od siebie różnymi większego zbliżenia, lecz powtarzane oddawanie sprawiedliwości podwładnemu naówczas w poufałych listach, krótkimi i jednostajnymi wyrazami, wskazuje jak ciąglą i jednostajną była ta zasługa. Mając jechać do Warszawy, przedstawił książę Józef generała Kościuszkę do zastępstwa, upewniając, że dowództwo w lepszych nie może znajdować się rękach.

Uczucia księcia względem konstytucyi 3 Maja jeśli nie uprzedzały ogólnego zapału narodowego, z pewnością były takie, iż akt ten wielkiej wagi przywiązał go silniej do zadania, które mu było powierzono, dając mu większą w jego oczach wartość. Charakter jego wojskowy szczególnie na pojęciu ho-

noru się zasadzał, a jak tego i później nieraz złożył świadectwo, nie zatrudniał się kwestyami stanu; myśli polityczne jak i nauki tego rodzaju, nie miały dla niego pojęty. Zresztą jako synowiec króla, związany z jego losem, wychowany długo w obcych krajach, widząc niebezpieczeństwo z każdej strony, wątpiąc o możliwości przeprowadzenia wielkich rzeczy, nie mógł zapewne w tej pierwszej chwili tak czuć, jak czuł zwyczajny obywatel, który przez pozbycie się dawnych błędów i uprzedzeń, w usunięciu przeszkód do naprawy ojczyzny doznawał już niewysłowionej pociechy i nadziei lepszych losów. To jest pewnem, że przyjętą przez króla, sejm i naród sprawę poprawienia bytu i losów ojczyzny ze szczerością szlachetnego charakteru za swoją uznał, że z ścisłą wiernością stał przy niej, od wierności tej nigdy nie zboczył i odstępcami jej się brzydził. Uczucie, które w wojsku samem większość oficerów ożywiało, sprawiało bez wątpienia ten skutek, iż dowódzca a zwłaszcza synowiec króla, którego dawne czyny nie wyszły nikomu z pamięci, taką drogę za najpewniejszą i najbezpieczniejszą też dla siebie mógł uważać, lecz w owej chwili głos powszechny, z przesadą może nawet umyślną króla za głównego twórcę konstytucyi i ojca ojczyzny ogłaszał, a książę tem uwielbieniem, którego odbłask i na niego spływał, odrazu pociągnąć się nie dał, ale także później, jak wiadomo, haniebnego zwątpienia nie podzielił, tej w sobie pewny odwagi, że życie na stanowisku mu powierzonym położyć potrafi.

Wojskowy przedewszystkiem, od powrotu do komendy swej w Lipcu 1791, tem mocniej zwracał się na kłopoty swego dowództwa, iż już wtedy dokonana w Polsce przemiana wewnętrzna z obrazą Rosyi, z drugiej strony gotujący się koniec wojny tureckiej, gdy Austria z Portą już pokój w Szystowie zawarła, groźniejszym niebezpieczeństwo wojenne dla Polski czyniły. Książę Poniatowski, któremu wobec bliskiego niebezpieczeństwa nie brakowało odwagi, doznawał wtedy na wszystkie strony trwogi z położenia, które coraz niepewniejszym się stawało, ani w sobie zaś, ani koło siebie nie znajdował środków do zwalczenia rozmaitych nasuwających się trudności. — Przymierzu pruskiemu zdawna nie ufał, i to go też trzeźwiejszym na wypadki czyniło; przekonany o niedostateczności i wojska i jenerałów przeciwko siłom rosyjskim, jeśliby te po skoń-

czeniu z Turkami wejść do Polski miały, błagał naówczas króla, aby jeśli można starał się uniknąć wojny, „*lecz aby przytem okazać energią i stałość należytą*“, potem zaś pochwalał postępowanie Sejmu naprzeciw spiskującym zagranicą na nową formę rządu dygnitarzom, albowiem: „*kiedy się zdobyło na czyn tak ważny, należało mieć odwagę utrzymać swoje dzieło, we wszelkich okolicznościach*“.

Podobno jeden z rysów najwięcej odznaczających księcia Józefa znajduje się w tej zacnej otwartości, z jaką sam siebie i niedostateczność swoją sądził i malował, bo ten rys charakteru nie tylko wówczas za lat młodszych, ale i później w nim pozostał. Wiele razy o szczupłości, o niezaopatrzeniu wojska, o niewprawie jego przedstawienia czynił, mówił, że zaledwie dotąd *kilka było dobrych pułków, a tego jeszcze wcale wojskiem nazwać nie można*, do rozpaczy dochodził nad swoim położeniem generała. Ale najdobitniej może to jego uznanie sił swoich własnych mieści się w liście do króla jeszcze dnia 26 Sierpnia 1790 pisanym w odpowiedzi na doniesienie, że komisya wojskowa kontenta z niego i rozciąga zakres jego dowództwa. Pisał wtedy: „Bardzo jest dla mnie podchlebną ufnosć, którą we mnie pokładają, ale wyznaję, że mam największą niespokojność co do sposobów, jakimbyem potrafił nie zawieść jej. Uczyłem się przez jedenaście lat służby obcej, być posłusznym i wykonywać szybko i dokładnie rozkazy dawane mi przez starszych; może doszedłem do tego, że potrafię z dobrą wolą i rozumnie pułk poprowadzić w ogień, ale nie miałem czasu dojrzeć na generała komenderującego i pozyskać dość wiadomości i talentów na zapełnienie tak ważnego miejsca; potrzebaby mi jeszcze wiele przykładów i wzorów, podług których należałoby postępować, szczególnie u nas, gdzie o wszystkim trzeba myśleć, przewidywać wszystkie trudności, jakie są w najlepiej nawet urządzonych wojskach, tem bardziej zaś u nas, gdzie wszystko, poczynwszy ode mnie i wszystkich generałów, jest jeszcze w dzieciństwie. Nie łudzę się wcale co do tego, i ze drżeniem czuję jak wielkie zobowiązania mam wypełnić; nie śmiem odmówić stanowiska, które mi dają; oby okoliczności nie sprawdziły obaw moich! Użyję wszelkich sił jakie mi niebo dało, aby rzeczy szły najmniej źle jak można, ale aby one szły dobrze, na to potrzeba ludzi innego hartu

jak ja jestem. Wojsko okazuje mi wiele dobrej chęci, i temu tylko winien jestem to trochę powodzenia, które przypisują mojemu staraniu“.

Zapewne z tego też samego uczucia szlachetnego, które dyktowało powyższe słowa, poszła i usilna prośba do króla 1791 r. aby go do nagrody narodowej sejmowi nie przedstawiał. Król Stanisław troskliwy o byt swoich krewnych, oddawna przemyślał nad tem jak księciu Józefowi utworzyć znaczny majątek. Był ksiązę Józef starostą wielońskim, które to starostwo po ojcu konstytucya roku 1775 przelała dożywociem na matkę jego, matka zaś jemu ustąpiła. Starostwo uszpolskie przez Ogińskiego Hetmana Wielkiego Litewskiego skutkiem układów z królem było mu 1780 roku cedowane; Zyzmorskie starostwo po Pocięju strażniku Wielkim Litewskim jako wakuujące otrzymał. Ale wszystkie te trzy starostwa szczupłą tylko, jak się zdaje, przy słabej administracyi czyniły intratę. Długie układy o odebranie bogatego starostwa chmielnickiego będącego w posiadaniu dożywotnim Krasińskich Oboźnych W. K. a należącego do czterech ¹⁾, które sejm r. 1775 Stanisławowi Augustowi tytułem jakoby wdzięczności królowi, prawem wieczystem nadał i księciu Józefowi już darowanego, zakończyć się nie mogły. Stanisław zatem postanowił koniecznie wyrobić synowcowi uposażenie od sejmu i to już wtedy, kiedy nagłość obrony publicznej głównie sejmujących zatrudniać była powinna. Temu to upominaniu się dla niego o nagrodę ksiązę Józef usilnie się sprzeciwiał, błagał dwukrotnie króla aby tego zaniechał, oświadczając że niezasłużył na to, aby od narodu był wynagrodzony, że nie chce stawiać się względem narodu w takim położeniu: Chętnie będzie winien wdzięczność królowi za obdarzenie go tem co już jego własne, lecz od narodu *ma aurans, pobiera płacę za służbę, i to mu dosyć*. Nie ważąc tych przedstawień i wszystko zamyślając pogodzić, Stanisław na sesyi sejmowej 20 kwietnia 1792, na tej samej na której wszystkie dobra królewskie i starostwa zamieniono na narodowe, dziedziczne i ziemskie, i na ktorej oświadczał na nowo zrzeczenie się co do nich prerogatywy królewskiej, z wy-

¹⁾ Cztery te starostwa były: Białocerkiewskie, Bohusławskie, Kaniowskie i Chmielnickie.

jątkiem miast; dał wniesć zarazem kwestyą o uposażenie synowca, tym sposobem, aby, za nierozdane jeszcze przez siebie dwa starostwa z tych które sejm 1775 także do wyłącznego szafunku królewskiego zostawił, 100,000 zł. pol. rocznej intryaty osobie którą sam obierze, przyznanem było, a zakrywając na pozór skromność księcia tem tylko, iż upraszał aby imię jego w konstytucyi samej co do tego przedmiotu zapadłej wymienionem nie było. Tak się stało istotnie po dyskusyi, w której całą tę rzecz jawnie rozbiegano. A była to jedna z komedyj, jakie wielokrotnie król Stanisław na sejmie odgrywał.

Chęć okazania się mądrym i wspaniałym, chępliwa próżność i upodobanie nieograniczone w sobie, nieszczęsnego tego króla nie odstępowały. One mu także przewodniczyły do dzieła tego dnia 3 maja, którego nie był sprawcą, ale był jednakże głównym aktorem. I nie pozornie tylko oświadczenia czynił, i głośnemi przyrzeczeniami zerwanie z dawnym trybem postępowania zaświadczał. Wpoila mu gorliwość otaczających go naówczas ludzi że zbawcą narodu być mógł i znowu Stanisław dziwiąc się we własnych pismach odwadze swojej, tym szumnym nadanym mu tytułem Ojca Ojczyzny sam sobie pochlebiał, i zdolnym był uwierzyć, że nim był istotnie, dlatego samego że niepojmował jak zostać nim prawdziwie.

Zupełna więc więc była naówczas zgoda między wszystkimi, którzy o obronie konstytucyi i kraju myśleli i onę przygotowywali, zupełna zgoda między chęciami i poleceniami króla, a postępowaniem dowódcy wojska, ale to nie przyspieszało słabych w ogólnym rozstroju kraju przygotowań do rzeczywistego umocnienia obrony. Wojska rosyjskie już wkraczały w granice Rzeczypospolitej a sejm dopiero najważniejsze co do obrony wydawał rozporządzenia, i zgodnie w tem z sobą na pozór do dzielnego wykonania zmierzając, zgodnie z całą czynnością 3 maja, ale nieprzezornie dla rzeczy postępując, główne dowództwo wszystkiego wojska Rzeczypospolitej królowi oddał. Księżę Józef w marcu 1792 r. po zimie znowu w Warszawie przepędzonej, mianowany został generałem leitnantom na miejsce pozbawionego stopnia Szczęsnego Potockiego generała artyleryi, i do obozu powrócił.

Z rozprężonej swobody szlachty wyrosła i posługująca się nią duma możnowładców i zaślepienie ich gotowały ostatnią zgubę i zakaleę dla kraju. Nienawiść do króla którego pogardy godnym osądzono, pycha osobista i rodowa, chciwość wreszcie niepomahowana znaczenia bez zasługi, utworzyły spisek Targowicki, który stał się narzędziem w rękach zręcznego nieprzyjaciela. Nota posła rosyjskiego Bułhakowa oświadczająca zamiary imperatorowej Katarzyny ukazała się 18 maja, a już 20 wojsko rosyjskie na kilku punktach przeszło granice Polski w 1773 roku jej zakresłone.

Księżę Józef miał ściśle polecenie trzymania się odpornie, z razu dla uwydatnienia zaczepki ze strony nieprzyjaciela, dalej z powodu przeważnych od razu sił tegoż, i dlatego że tak polityka króla Stanisława doradzała. Cofanie się nakazaniem także było wodzowi polskiemu samem położeniem jego wojska, w punkcie nadto wysuniętym Ukrainy narażonego na oskrzydlenie przez kolumny moskiewskie z trzech stron nadciągające. Obawiać się mógł niemniej aby nieprzyjaciel z sił swoich, które w granice Litwy wkraczały i zbyt słaby tylko tam napotkać mogły odpór, nie wysłał korpusu, który od Polesia idąc tył mógł mu zająć. Wszystko zależało na tem, aby utrzymać komunikacyą z Warszawą i magazynami założonemi acz niedostatecznie w okolicach Bugu. Tą drogą nadchodziła rezerwa krokiem już teraz przyspieszonym z Województwa Lubelskiego pod dowództwem generała księcia Michała Lubomirskiego, do 5000 ludzi wynosząca.

Siły księcia Józefa po ściągnięciu oddzielnych mniejszych komend pod Lubar, dochodziły zaledwie do 15,000; z tych piechoty do 7800, kawalerji 6500, artyleryi 500 ludzi; podzielone na trzy dywizye, z których jedną księżę Poniatowski, drugą Kościuszko, trzecią generał Wielhorski dowodził. Z Lubaru pięciodniowym marszem cofało się wojsko do Zasławia w ustawicznych utarczkach tylnej straży, i z boku, z których najważniejsza na grobli Boruszkowieckiej cząstkową kłeską naszych mogła być nazwaną. Niedoświadczenie oficerów i samego wodza, gdy z generałów sam tylko Kościuszko z wielką wojną był obeznany, niedokładne przewidzenie i brak urządzania marszów, drogi złe, jakkolwiek było już około połowy czerwca, niezaopatrzenie wojska, brak szpiegów i wiadomości

o obrotach nieprzyjaciela, niechęć chłopów, słowem wszystkie niedogodności, pochodzące z niedokończonej organizacji i z położenia ówczesnego kraju, trapiły tę małą armią. Dopełniono jednakże obowiązku, ratując ile było można porządek w odwrocie, chociaż książę Józef, pierwszemi trudnościami i niebezpieczeństwem położenia z razu jeszcze mocniej jak poprzednio przerażony, w początku, od Lubaru do Zaslawia ciągnąc, baczny tylko na niepodobieństwo pobicia przeważnego nieprzyjaciela i na trudność utrzymania porządku i karności między swoimi, sam przedstawiał królowi potrzebę proponowania zawieszenia broni, za pomocą którego mógłby wojsku swojemu dać nieco wypoczynku i lepiej przysposobić odwrót. Wiedział bardzo dobrze i był o tem przekonany, że jeśliby odwrót się nie udał, zginąć mu tam trzeba było dla ocalenia czci wojska i swojej, i to też stale przenosił nad upokorzenie i niesławę. Po krótkim przeciągu czasu, w miarę nabywanej wprawy i oswojenia się z położeniem i usposobienie żołnierza polepszało się i dowódca wraz z tą małą liczbą zdolniejszych i gotowych do poświęceń oficerów nabywał otuchy i upewnienia, tak że gdy król Stanisław, nader skłonny do przerażenia, skwapliwie przysłał upoważnienie do zawieszenia broni, chwytając się myśli że dopełnia tym sposobem obowiązku ratowania garstki walecznych mającej ginąć nadaremnie. Już książę Józef nietyło był skłonnym do czynienia takiej propozycji rosyjskiemu dowódcy, zwłaszcza po złączeniu się już z Michałem Lubomirskim w Zaslawiu.

Bitwa pod Zieleńcami stoczona w tym samym dniu wejścia do Zaslawia 17 czerwca okazała i odwagę i niepewność słabo ćwiczonego żołnierza. Książę Józef wspierając zapęd jazdy Mokronowskiego miał wprawdzie chlubę spędzenia nieprzyjaciela z pozycji, ale sam uniesiony widokiem pewnego już zwycięstwa byłby pierwsze powodzenie sam otoczony ciężko przypłacił, gdyby w najważniejszej chwili nie był go ratował śmiały i roztropny krok Kościuszki, który z własnego popędu posunawszy naprzód rezerwę, nieprzyjaciela do cofnięcia się przymusił. Ukontentowanie z bitwy pod Zieleńcami jako ze zwycięstwa, głoszonym było tem bardziej, że należało wówczas czynić wszelkie usiłowania ku podnoszeniu ducha w wojsku i w narodzie. W istocie dzień ten wyraźniej ubezpieczał położenie wojska naszego tak przez niejakie wstrzymanie po-

stępów nieprzyjaciela, jak i przez połączenie się z rezerwą w Zasławiu i zbliżenie do magazynów, które zgromadzone były w Dubnie.

Cofano się dalej na Ostróg i śmielej już książę Józef sądził, iż może proponować z woli króla dowódcy rosyjskiemu generałowi Kochowskiemu zawieszenie broni na takich warunkach, które przedewszystkiem honor oręża warując otwierały pole do układów albo dalszy odwrót ułatwić miały. Odpowiedź Kochowskiego nie dawała żadnej uczciwej drogi do układów, pozostawało zatem tylko walczyć i zasłaniać dalej związki ze stolicą; i postanowienie pod tym względem wodza polskiego, aby zginąć raczej jak zbliżyć się z Targowicą, jasno i stanowczo żadnej o uczuciach i przekonaniu jego nie zostawiało wątpliwości. Gdy zdążono do Ostroga zdawało się, iż w tej korzystnej pozycji wojsko dłużej zatrzymać się będzie mogło; opuszczenie jej tłumaczy się takim brakiem amunicyi, że już tylko po kilka strzałów artylerya miała w zapasie. Niedostarczono jej na czas mimo usilnych przedstawień i nalegań, skutkiem tego samego niezgrabnego obrotu i opieszałego dowozu wszystkich potrzeb, na które wojsko ciągle cierpiało. Pozycja Ostroga była obronna; Moskale powoli sypiąc baterye zbliżali się do niej, ale artylerya ich była przeważną i przeciw niej utrzymać się acz w dobrze obranym punkcie było niepodobna. Opuszczono zatem Ostróg w porządku, a po opuszczeniu i tej pozycji już tylko zostawała obmyślona z góry pozycja Dubienki, w której bronić przeprawy Buga postanowiono, kombinując o ile można ruchy swoje z ruchami wojska litewskiego pod dowództwem Zabiełły, na którego wzmocnienie i utrzymanie komunikacyi, pospiesznym marszem wyjść miał z Warszawy korpus w wielkiej części z gwardyi złożony pod dowództwem starego generała Byszewskiego. Korpus ten zgromadzić się miał najprzód w Kozienicach, i król sam z nim do armii ukraińskiej przyrzekał pospieszyć. Po długich przygotowaniach i wahanii się sformowano nareszcie z pułków do niego przeznaczonych obóz na Pradze, do 4 tysięcy wynoszący i z tem wojskiem Byszewski już pod koniec kampanii dopiero wyruszył na Węgrów ku Brześciowi, wtedy kiedy już przywrócenie komunikacyi z Zabiełłą niepodobnem było.

Od kogo wyszedł plan obrony Bugu pod Dubienką, nie

jest z pewnością wiadomo, zdaje się wszelako pewnem że nie wyszedł on od doświadczonej zdolności inżynierskiej generała Kościuszki. Książę Józef pisał 14 lipca do króla: „Zdanie Kościuszki było, aby cofnąć się na Krasnystaw, moje zaś aby postąpić do Włodawy. Mam mocne postanowienie zostać tu i czekać Moskali w tej pozycji. Na każdy krok w tył, serce mi pęka, a Bóg wie że to nie przywidzenie moje.“

Kościuszki to jednakże roztropnym dyspozycjom przyznając raporta wodza korzyść dojścia bez straty aż do pozycji; on prowadząc ariergardę na d. 7 lipca, oparł się silnie nacierającej jeździe awangardy rosyjskiej, jemu także dostało się zadanie utrzymania głównego punktu Dubienki, będącego kluczem całej pozycji rozciągniętej wzdłuż Bugu do Opalina.

Doszedłszy do Dubienki d. 8 lipca, mając Bug między sobą a nieprzyjacielem, z oddziałami rzuconymi na prawym brzegu rzeki i zniszczywszy most pod Dubienką, tydzień cały wojsko nasze zostawało w spoczynku, odebrało zaopatrzenie różnego rodzaju, i o wiele silniejszym i więcej w sobie zaufanem czuło się niż dotąd. Tu d. 19 nastąpiło zupełne zlanie się dywizyi księcia Lubomirskiego Michała, którego król uwolnił od dowództwa i do Warszawy powołał, z korpusem księcia Poniatowskiego. Od chwili złączenia się pod Zasławiem podzielone dowództwo nie mogło dobrego wywierać skutku na łączność ruchów wojennych. Ks. Lubomirski, równy stopniem a starszy służbą, utrzymać chciał niezawisłość swoją, a oprócz tego naraził się na zarzuty ks. Józefa, że z magazynów w dziedziernem jego Dubnie, mimo otaczających licznych jego włości, niepotrafił należycie zaopatrzyć wojska, ani też przed nadchodzącym nieprzyjacielem tych nagromadzonych w Dubnie zapasów uwieść jak należało wcześniej do Bugu, lecz przeciwnie staranie jego zwróconem było ku temu, aby od dowódcy rosyjskiego otrzymać ubezpieczenie dla swoich majątków od zniszczenia, jakiego dopuszczano się ze strony rosyjskiej na stronnikach konstytucyi. Oburzenie księcia Józefa na Lubomirskiego doszło do tego stopnia, iż wyznawszy żale swojej królowi, przedstawił mu, że dowództwo nie może zostać podzielone, i żądał aby książę Lubomirski raczej objął dowództwo całego korpusu, dla jedności w komendzie. Król postąpił odwrotnie, zrozumiawszy istotnie życzenie — i z połączenia rzeczywistego

obu oddziałów pod księciem Józefem, istotna korzyść dla porządku, i wzmocnienie całego wojska wypłynęło.

Te to były już chwile ku połowie lipca, kiedy król Stanisław po odebraniu wiadomości, iż Kochowski odrzucił propozycją zawieszenia broni, zwątpiwszy o obronie kraju, myśląc że ratuje koronę, siebie i wojsko, jeśli czyni naprzeciw Rosyi krok dowodzący słabości i zapowiadający ustępstwa, napisał był do imperatorowej Katarzyny list odwołujący się do jej wielkości serca i sprawiedliwości, i z niespokojnością oczekiwał odpowiedzi, czyniąc tymczasem na pozór największe wysilenia dla przedłużania wojny, a w istocie oglądając się jedynie na tę z Petersburga odpowiedź.

Twierdzić można z pewnością, że w obozie nie domyślano się nawet kroku tego i następstw z niego płynąć mających, i synowiec króla Stanisława, acz niemocny w pojęciu politycznej i historycznej sytuacji kraju, w tej właśnie chwili mniej niż poprzednio zwracał się na nadzieję jakichś układów zaradzających trudnemu położeniu wojska. Wojsko nabrało było otuchy, rozdano krzyże i nagrody za okazane męstwo, i w zbliżeniu do stolicy kraju i rządu był powód do silniejszego jeszcze uczucia, iż się broni wszystkich świętości narodu.

Wiadome są zdarzenia bitwy pod Dubienką d. 18 lipca. Stanowi miasteczko to punkt najbardziej wysunięty między Bugiem i granicą Galicyi kordonem austriackim zajętej. Księżę Józef i Wielhorski pomaszzerowali w dół Bugu do Dorohuska i Swirczy dla obserwowania ruchów nieprzyjaciela mogącego w którymkolwiek punkcie próbować przeprawy; Kościuszko z 4,000 ludzi oparty o Galicyą, którą za niewzruszone oparcie miał prawo uważać, wzmocniony usypanemi bateriami i szancami, wytrzymywał cały dzień atak głównej siły nieprzyjaciela znaczne mu zadawszy straty, kiedy, samym wieczorem, jazda nieprzyjacielska przeszedłszy Bug powyżej naprzeciw Galicyi, i obszedłszy przez kordon z boku jego się ukazała. Przed takim zdradnym a niebezpiecznym atakiem Polacy w porządku się cofnęli, co tem naglejszem było iż komunikacya między oddziałem Kościuszki a korpusem księcia Józefa w ciągu dnia przerwana została. Wojsko rosyjskie bowiem na całej prawie linii aż do Opalina przeważającemi siłami od Bugu następowało na Polaków, główny na punkt Dubienki wywierając na-

cisk, z naszej zaś strony rozporządzenia co do obrony tej długiej linii nie były, jak się zdaje, z należytem przewidzeniem zrobione, i dla tego mimo dzielnej w głównem miejscu obrony prędko zaniechaną być musiała. Jakkolwiek bądź niepomyślność ta nie była dostateczną przyczyną do upadku na duchu. Wojsko dopełniło swej powinności, odwrót był porządnym, i w następujących rozporządzeniach widać było gotowość do dalszej obrony. Albo według zdania księcia Józefa nastąpić powinno było rozdzielenie korpusu i skombinowane działanie ku zasłanianiu Warszawy, albo zupełne skoncentrowanie i usiłowanie pobicia której z kolumn moskiewskich po przejściu Bugu oddzielnie postępujących. Oczekiwał rozkazów z bardzo mało uszczuplonemi po Dubience dywizjami, a tymczasem szedł na Lublin chcąc zająć o dwie mile od tego miasta obronną pozycyą, po zarządzeniu aby na wszelki wypadek most pod Puławami był w pogotowiu. W tej to pozycji pod Kurowem odebrał rozkaz od króla zaprzestania działań nieprzyjacielskich, oraz listy do generała Kochowskiego od pośła rosyjskiego Bułhakowa z Warszawy.

Poseł ten zostawał ciągle w Warszawie pomimo toczącej się wojny, pobyt jego nie był nieczynnym, i dla Stanisława Augusta był to łącznik, z którego nieomieszkiał korzystać przy pierwszym zwątlaniu swego ducha samą bliskością ostatecznego przejścia, które wraz z narodem miał do przebycia. Szukał środków ominięcia największej próby tam, z kąd wyszła burza grożąca zagładą jego kraju, i otrzymał wskazaną przez Katarzynę jako jedyny środek... Targowicę. Kilka dni wystarczyło do złamania w nim wszystkich względów, postanowień, przysięg i uczuć, przez które konstytucya 3 maja i droga, którą sobie obrał naród dla wyjścia ze swej niemocy, stwierdzoną była. Listy i rozkazy, które odebrał książę Józef w obozie pod Kurowem, zawierały wraz z zaprzestaniem kroków wojennych polecenie odprowadzenia wojska do Kozienic za Wisłę. Zarazem przesłane były zawiadomienia do generałów rosyjskich wstrzymać ich mające od zaczepki. Żal, zgroza i oburzenie w wojsku na wieść o przystąpieniu króla do konfederacyi targowickiej wstrząsnęły wszystkie umysły. Książę Józef w obliczu towarzyszków swych broni nieposzlakowany co do swego postępowania stał się powiernikiem myśli ożywiającej wszyst-

kich, a zarazem tłumaczem jej przed królem. Pierwsza odezwa jego poufna do monarchy i stryja z d. 20 lipca okazuje zranioną mocno szlachetną duszę, to uczucie honoru, które go jako żołnierza przejmowało i słusznie także nabytem było przez wojsko w chlubnem dopełnieniu obowiązku. Wstrząśnienie musiało być szczere i głębokie; od tego to czasu szczególnie ksiązę Józef uczuł charakter swój Polaka i obywatela różnym mocno od charakteru stryja, którego dotąd jak ojca czcił, i któremu ulegał; odtąd ośmielił się mówić mu żywe i mocne wyrazy, które Stanisław z łagodnością i z żalem przyjmował.

Pierwsza ta odezwa brzmiała:

„Najjaśniejszy Panie! ¹⁾ Odebrałem ekspedycją rozkaz i list W. K. M. przez pułkownika Kirkora. Posłałem natychmiast ekspedycją generałowi Kochowskiemu. Najjaśniejszy Panie, gdyby były wyrazy dość mocne na okazanie ci rozpacz, którą dusza moja napełnioną została, wybrałbym je wszystkie przekonawszy się z własnego Twego listu, że łączysz się ze zdrajcami, z ludźmi okrytymi hańbą i ohydą, którzy dla swej miłości własnej sprzedali krew swych współobywateli, że oni to łącznie z tobą, że oni to, mówię, na przyszłość dawać będą prawa ludziom, którzy, szczęśliwi mogąc poświęcać życie swoje, oddychali tylko dla sławy W. K. Mci, dla honoru i szczęścia narodu. Powiedziałem sobie: Wielki Boże! czemuż oczekiwałem się tego dnia nieszczęśliwego! Mógłżebyś wahać się Najjaśniejszy Panie, wybrać raczej chwalebny zgon, zgon godny Ciebie, zgubę zupełną ale zaszczytną niż tę resztę panowania, niż tę resztę narodu skalaną intrygą, zdradą, nierządem i słabością! Tak, N. Panie, należało poświęcić się, poświęcić nas wszystkich; jak okrutna litość twoja, kiedy ona kupiła dla nas hańbę i zakałę! Wielhorski i Mokronowski oznajmia ci uczucia nas wszystkich, są one niewzruszone. Szanować będziemy króla, i w cichości boleć będziemy nad tem, iż niemożemy się już liczyć do jego obrońców. Powiedzą o nas; Walczyli z honorem, odeszli bez wyrzutów“.

Józef Poniatowski, G. L.

¹⁾ Z oryginalnego listu pisanego po francusku.

Wyrazy te niepozostawiają żadnej wątpliwości o uczuciach tego który je skreślił. Książę Józef niewiele podzielał dążeń narodowe wtedy kiedy na ziemię ojczystą powrócił; to czem był w lipcu 1792 r. zrobiło się skutkiem stanowiska które zajął, skutkiem krótkiego, ale wiernego pełnienia obowiązku tak jasno mającego na celu prawą i wzniosłą obronę Ojczyzny, zrobiło się wreszcie pod wpływem wspólnego życia i braterstwa broni z garstką rycerzy gorąco i serdecznie do kraju przywiązanych. Drżał on był o los swego wojska i o sławę swoją na początku kampanii, odwoływał się nieraz do roztropności i mądrości króla, aby potrafił jeszcze znaleźć środek na odwrócenie niebezpieczeństw grożących, byle tylko uczynił to bez słabości i poniżenia; nie znał Stanisława swego stryja, i nie zdawał sobie sprawy ani z nędznych powodów, które do serca jego przystęp znajdowały, ani z tego że samo królowanie jego było już owocem najsmutniejszego stanu w jaki popadł był naród. Sam powołany do naczelnego stanowiska skutkiem tego panowania swego stryja, poznał dopiero istotę bolesnej prawdy wtedy, kiedy działając jako jedno z najczynniejszych narzędzi, uczuł całą wagę tej nędzy i nikczemności, która paraliżowała szlachetne zamiary i poświęcenia pojedynczych. Znał już pierwej w rozstroju narodu i zwątpiałym duchu społeczeństwa obywatelskiego tę chorobę upadku, z której dźwignąć się należało, i dla tego tem prościej w jego umyśle, do dalekich kombinacyj politycznych niewzwyczajnym, wyrobiło się liczenie najwięcej na odwołanie się do oręża, tego środka który albo ratował kraj od zguby, albo ocalał honor narodu i dziejów jego. Cóżkolwiekby, trwogi jego z którymi przed królem się z razu wywnętrzał, przedstawienie wielokrotne ogromnych potrzeb wojska, zamiast podniecać gorliwość w nadsełaniu pomocy i zapasów tak długo opieszale przysposabianych, inny na słabym umyśle monarchy wywierały skutek. Okazując zawsze gotowość walczenia do ostateczności, nadmieniał książę Józef wyraźnie, że układy z samą Rosyą, zrobienie jej nawet znacznych ustępstw, byle bez względu na żądania zdrajców ojczyzny, mogłyby być drogą ratunku. Sam przechodził ze zwątpienia do otuchy, i bardzo prawdopodobnie pierwsze polecenie proszenia o zawieszenie broni nastąpiło w skutku poufnego listu księcia Józefa i ustnej relacji pisa-

rza Rzewuskiego, który z obozu do Warszawy przyjechał i list ten przywiózł. Następnie pismo króla do Imperatorowej nastąpiło jak się zdaje również pod wpływem silnego przedstawienia okropności położenia wojska ze strony wodza, który żądał choć krótkiego wytechnienia dla swoich żołnierzy, a całości stanu rzeczy i względów na wszystkie okoliczności w raportach swych nie obejmował. Pod koniec już kampanii silniejszym był i książę Józef w stałym przedsięwzięciu bronięcia się orężem do ostatka. Oburzony na słowa, któremi Kochowski odmówił proponowanego mu zawieszenia broni, już nadziei, jaką król pokładał w odpowiedzi z Petersburga, nie podzielał wcale, powtarzając ze smutkiem: „nie oczekuję z tamtąd jak tylko upokorzenia, a to jest gorsze od wszystkiego“. I wtedy kiedy to smutne przewidzenie udzielał królowi ze Świrczy nad Bugiem d. 14 lipca 1792 roku napisał był jeszcze słowa, godne aby się liczyły do wspomnień narodowych, dające poznać jakie w gruncie było to serce, i dokąd zmierzają natchnienia jego: „Gdybyś W. K. Mć na początku tej kampanii — ponieważ ona nie była przewidziana wojskowo (*to jest nie była przygotowana jak się należy*) — był poruszył kraj cały, siadając na koń ze szlachtą, uzbrajając miasta i *dając wolność chłopom*, albowyśmy byli zginęli z honorem, albo Polska byłaby się utrzymała mocarstwem, teraz nie wiem co nastąpi, ale wszystko co przewiduję jest złowrogie. Mądrość W. K. Mci może robi to czemu prawdopodobieństwo i wszelkie kombinacye zaprzeczają“. Komu książę Józef winien był to natchnienie swoje, zadziwiające, zwłaszcza co do wzmianki o wolności chłopów, która naówczas u jednego może Kościuszki dość jasno się przedstawiała, niewiadomo; to pewna, iż w ostatniej chwili uczucia wojska i znakomitszych oficerów otaczających wodza były takie, iż wódz ten bez jawnego zaprzeczenia szlachetności charakteru oddzielać się od nich nie mógł, lecz wątpić również nie można, że wtedy gdy oświadczał królowi szlachetnie uczucia wojska i swoje, książę Józef zupełnym był we własnej duszy Polakiem, i z całą prawdą czuł co objawiał. W okazaniu osobistego jego sposobu myślenia, głównie przeważała niechęć i pogarda dla zdrajców ojczyzny, z którymi nie chciał ani chwili być razem i nie pokrywał nienawiści, jaką miał dla ich postępowania. W pi-

smach swych do króla staje się tłumaczem uczuć wojska. Pismo najpierwsze odkąd wieści o tem co zaszło doleciały do obozu, to jest po pierwszym wstrzymaniu czynności wojennych, wysłane przez Wielhorskiego i Mokronowskiego, widocznie nie jest skreślone przez samego księcia, wyszło jednakże od niego samego i stanowi ważny w życiu jego dokument. Raport to jego z obozu pod Kurowem d. 25 lipca, następującej osnowy:

„Winienem W. K. Mci nietylko czyny wojenne, ale i to donieść co w sercach żołnierzy moich podkomendnych się znajduje. Chodzą tu wieści po obozie, które zapewne puszczane są przez ludzi niechętnych i niedobrze życzących W. K. Mci, jakobyś miał traktować z zdrajcami ojczyzny i tym sposobem pokój okupywać walecznemu narodowi. Same takie wieści wzbudziły już w wojsku niezmierne szemranie i nieukontentowanie. Konsekwencyom ztąd wynikłym żadnym sposobem zapobiedz nie mogłem, ponieważ nie taję W. K. Mci, że jestem ten, który podobnymże oddycham uczuciem. Ta tylko między mną a żołnierzem jest różnica, że z bliska i lepiej znając wielkość duszy W. K. Mości, nie mogę ani na moment przypuścić do serca mojego tak smutnego widoku. Przysięgliśmy Najjaśniejszy Panie, z woli narodu, z woli W. K. Mości, chętnie więc i ochoczo życie nasze poniesiem na ofiarę. Przybliżyliśmy się w tej ufności do W. K. Mci, że wojsko to, które żadnej skazy, żadnej plamy na siebie nie ściągnęło, będzie tak szczególne, że oglądać będzie W. K. Mci na czele swoim, i że go własnymi pierściami zasłaniać będzie. Oto W. K. Mość prosimy wszyscy, o to błagamy, o to nakoniec będziemy się dobijać. Wola W. K. Mości służyła nam dotąd za prawo i zawsze służyć będzie, lecz ta wola być nie może i nie jest, aby wojsko niepobite, żeby naród szlachetny, żeby król roztropny miał się poddać pod jarzmo kilku wyrodných obywateli, którzy za tarczą wojska bitnego monarchini przez nich omamionej, chcą na nas kłaść kajdany i okryć nas cechą wiecznej niesławy. Niech naród z narodem traktuje, niech roztropność W. K. Mości nawet nad zapal nasz szukania wojennego honoru pokój zawiera, bo to wszystko byłoby wolą i wyrokiem W. K. Mości i narodu. Lecz podłość zniżenia się aż do zdrajców ojczyzny byłaby grobem naszym. Te są czucia Najjaśniej-

szy Panie, które jako naczelnik wojska W. K. Mości wiernego i szlachetnego z obowiązku mam honor donieść. Posyłam z niniejszym raportem gen. Wielhorskiego i brygadiera Mokronowskiego, którzy będą tłumaczami czucia mojego i całego dotąd wiernego W. K. Mci żołnierza. — Dan w obozie pod Kurowem d. 25 Julii 1792.“

Józef Xzę Poniatowski, G. L.“

Ale przeważały się już losy tego nieszczęśliwego kraju, i król Stanisław zbywszy się ciężaru wielkiego postanowienia, jęcząc i narzekając, bolejąc i wymawiając się, szedł już dalej drogą, po której go zewnętrzna siła wiodła. Oświadczenia księcia Józefa i wojska wielką mu sprawiły przykrość; jakich tylko wyrazów użyć było można, aby odwrócić albo osłabić postanowienie generałów opuszczenia zupełnie służby w Polsce tak znieważonej, tych używał król do synowca i do przysłanych mu wojskowych celem ustnego wyrażenia tego postanowienia. Prośby i błagania ze łzami nie były szczędzone; do synowca pisał, że życie go kosztować będzie, jeśli odbierze mu tę ostatnią pociechę widzenia go przy sobie, — że Polska z takimi jak oni Polakami jeszcze czemś będzie, bez nich nie będzie niczem. Wielhorski i Mokronowski odwołali się do księcia, oświadczając, że pójdą za decyzją jego. Ale wszystko, co otrzymał król w tej walce próśb i oporu, był następujący list 27 lipca pod Kurowem datowany:

„Najjaśniejszy Panie! Wdzięczność moja ku W. K. Mci była zawsze mojem prawem i niem zawsze będzie. Chcę mojego obowiązku aż do końca dopełnić tak, jak mój honor, słusność i miłość dla W. K. Mci każą. Dopełniłem ich już w części podług myśli W. K. Mci w ekspedycyi przez JP. pułkownika Kirkora wyrażonej. Doprowadzę wojsko do Kozienic, rozlokuję je, lecz nakoniec dopraszać się będę W. K. Mci o dymisyą dla mnie i dla tych szanownych i odważnych kolegów moich, z którymi za honor W. K. Mci i całość kraju służyłem. Nie raczysz nam W. K. Mśc odmówić tego jako jedynego środka spokojności naszej. Da kiedy Bóg, że będziemy może jeszcze użytecznymi W. K. Mci, powróciwszy do Niego nie szukając żadnej innej rangi, jak tej najchlubniejszej służenia Mu. Lecz

w terażniejszym składzie rzeczy widzimy N. Panie, iż już użytecznymi być Mu nie możemy. Piszę ja też do generała Wielhorskiego i brygadiera Mokronowskiego, aby ich zwrócić do dokończenia rozpoczętego dzieła. Obiecuję więc W. K. Mci, że nikogo namawiać nie będę i zostawię każdemu wolność rządzenia się podług swego uczucia; lecz odnawiam moję prośbę do W. K. Mci, aby już potem w nagrodę zasług naszych uwolnienie nasze nie było nam tamowane. Mam honor być z największym respektem W. K. Mci Pana mego Mił. najwierniejszym i najposłuszniejszym poddanym.“

Józef Xiążę Poniatowski, G. L.

Przybyły nakoniec do Warszawy za urlopem jenerał Kościuszko był przedmiotem niemniejszej natarczywości króla, bezwzględnie daremnej, lubo zdawało się temuż, iż zmiękczyć go potrafił. Pismo wspólne, które Kościuszko wręczył królowi, ostatecznie i dobitnie przekonało go, iż żądaniom jego nie może stać się zadosyć. Pismo to nie znajduje się obecnie pod ręką, ale dość na nie światła rzucają słowa księcia Józefa do króla w tym samym dniu pisane, w którym Kościuszko z obozu wyjechał: „wszystkie ofiary byłyby mi łatwe, ta ofiara jest mi niepodobną. Powinność, przekonanie, przysięga moja, zaufanie publiczne, honor wojskowy, wszystko mię wiąże, wszystko zmusza mnie być stałym w powziętem postanowieniu“.... „Całe oddziały przyszły mi powiedzieć: prowadź nas gdzie zechcesz, ocal króla, my i nasi żołnierze na koniec świata pójdziemy za Tobą, niemożesz, tylko dobrze nas poprowadzić, tylko z honorem. Te uczucia powinny znaleźć usprawiedliwienie swoje, mnie one powierzone, zakład ich jest mi świętym, winieniem stosować się do nich jak najściślej“... Skoro uporządkowaniem będzie co należy, skoro mieć będziemy podpis W. K. Mci (uwolnienie ze służby), pospieszę ucałować dobroczynne ręce W. K. Mci, którego kocham więcej jak moje życie.“

Polecenia, które odebrał książę Józef, odnosiły się do przeprowadzenia korpusów wojska, składających jego komendę za Wisłę do Kozienic, w ten sposób, aby uniknąć spotkania z Moskalami ciągnącymi ku Warszawie, wzywani tamże tem spieszej przez posła Bułhakowa i przez króla, że pojawiać się zaczęło usposobienie do rozruchu w mieście, a War-

szawa prawie ogołocona była z garnizonu, gdyż pułki gwardyi koronnej wysłane ku Brześciowi z Byszewskim jeszcze nie wróciły. Następowały dalej ordynanse, tyczące się nowej dyslokacji wojsk z lewej strony Wisły, w kraju dotąd przez nieprzyjaciela nie zajmowanym. Książe Józef przyrzekł odprowadzić wojsko do Kozienic, ale na tem zakończyć chciał stanowczo czynność swoją i nalegał na udzielenie sobie jak najspieszniejsze zupełnego uwolnienia od służby, lękając się tego, aby nie zaskoczyło zupełne odjęcie przez nową konfederacyą królowi dowództwa nad wojskiem, które trzymał jeszcze z mocy sejmu przez tąż konfederacyą potępionego. Wyjechać za granicę i nie patrzeć na tych ludzi, których miał za najpodlejszych i za przyczyny nieszczęścia kraju, zadosyć uczynić przekonaniu i złożyć świadectwo bezinteresowności swojej, to były jego życzenia. Odesłał więc pospiesznie Komisyi wojskowej najpilniejsze rachunki z powierzonych sobie funduszów, dla otrzymania pokwitowania, i ponawianemi głośnemi objawami wstępu swego do tego, co teraz nastąpić miało i wspólności, jaka go łączyła z ustępującymi towarzyszami, tyle otrzymał, tyle wskorały również nieodmienne postanowienia Kościuszki, Mokronowskiego i innych, że król nareszcie z największym żalem podpisał żądane dla nich dymisyje i takowe 5go sierpnia księciu przesłał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

F. P.

NASZE KSIĄŻKI SZKOLNE ¹⁾.

I.

O podręcznych psychologiach.

1. Nie zbyt to dawne czasy, kiedy nawet w Prusiech nie wykładano filozofii po gimnazyach. A przecież Prusy, to jakoby wcielona filozofia. Potem łaskawie przeznaczono na nią godzinę tygodniowo i to w klasie najwyższej, ale i ta biedna godzina po pierwszym kwartale zwykle ustawała, będąc i dla uczniów i dla nauczyciela niemiłym ciężarem. Uczyliśmy się na pamięć małego „Becka“ ²⁾, na czym pamięć mało a myślenie nic nie zyskało. W końcu profesor, znudzony tępością łbów naszych, żadnych nie widząc postępów, zaniechał niewdzięcznego wykładu, a godzinę wcielił do literatury niemieckiej. Tak mniej więcej działo się po gimnazjach pruskich, a za to nie należy winić profesorów, bo nawet *Hegel* lub *Schelling* nie byliby nas niczego nauczili. Jedna lekcya na tydzień jest pedagogicznem niepodobieństwem, po którem nie można spodziewać się owoców, zwłaszcza, gdy odbywa się w klasie ostatniej, gdzie tego tylko młodzież się uczy, co ma związek z egzaminem dojrzałości, a na nim nie pytano o filozofią.

2. Austria, choć przyjęła system szkół pruskich, a

¹⁾ Pragniemy i zamierzamy podawać opisy nowych książek szkolnych. Upraszamy pedagogów i uczonych o nadsyłanie nam specjalnych rozbiórów. (*Przyp. Redakcyi*).

²⁾ *Dr Joseph Beck, Philosophische Propädeutik, Grundriss der empirischen Psychologie u. Logik, Stuttgart 1849.*
Wydanie trzecie. Dozłekała się książka ta licznych wydań.

wet z Prus znaczną liczbę profesorów sobie sprowadziła, okazała się daleko życzliwszą dla filozofii. Wyznaczyła odrazu na „propedeutykę“ *dwie do trzech godzin* tygodniowo w klasie ostatniej, co było bardzo rozumnie, bo zdolny, energiczny profesor mógł w nich młodzieży dać pogląd dostateczny na główne nauki logiki i psychologii. W r. 1855 wprowadził minister oświecenia propedeutykę także do klasy przedostatniej, tak, iż teraz wykłada się przez dwa lata po dwie godziny tygodniowo. Wystarcza to zupełnie do osiągnięcia zamierzonego celu, byleby dopisały wszystkie potrzebne warunki, a że najważniejszym z nich może są dobre książki, zbyteczną byłoby rzeczą nad tem się rozszerzać. Zrozumiano to powszechnie, co i ztąd widać, że ciągle przybywa nam nowych a słuszną jest nadzieja, że ruch tak pożyteczny i dalekonośny w skutkach nietylko nie ustanie, lecz przy dalszym rozwoju narodowego wychowania coraz nowemi dziełami wzbogaci naszą literaturę szkolną. Czy jednak podręczniki dotąd wydane odpowiadają potrzebom młodzieży? czy mogą ostać się wobec skromnych wymagań bezstronnej krytyki? czy opierają się na najnowszych postępach europejskiej nauki i czy potrafiły je wyłożyć w przystępnej i prawdziwie swojskiej formie? oto pytania niezbędne, żywotne, których żadna książka podręczna pominąć nie może, gdyż od ich rozwiązania zawisło jej znaczenie w szkole, jej wpływ na młode umysły. Postawmy je dzisiaj podręcznym psychologiom, używanym po naszych gimnazyach.

3. Uważano u nas długo psychologią za niesposobiącą się do wykładów szkolnych. Tym jedynie względem tłómaczę sobie, że nie mamy żadnych książek do tej nauki z przeszłego wieku. Władze edukacyjne, tak gorliwe we wyszukiwaniu dobrej logiki dla szkół narodowych, nie zwróciły na nią uwagi, nie kazały nawet przetłómaczyć żadnej z książek, używanych podówczas we Francyi lub Niemczech. — Tak zwana „*Psychologia*“ z r. 1786 i „*Wiadomości o duszy ludzkiej*“ z r. 1788 nie były przeznaczone dla szkół, lecz do prywatnej rozrywki dzieci i to bardzo młodych ¹⁾. Nie ręczę atoli za dokła-

¹⁾ *Psychologia albo krótko zebrane lekcye elementarne o naturze i własnościach duszy, Podług elementarza druko-*

дноść mych informacji, które przy biednym stanie naszych księgozbiorów a braku dobrej bibliografii z przeszłego wieku, zapewne są bardzo niedostateczne.

wanego tego roku w Siemiatyczach za rozkazem J. O. księżny Jabłonowskiej Wojewodziny Bractawskiej. Druga edycja. W Warszawie 1786. Nakładem i drukiem Mich. Grölla, księg. nadw. J. K. Mości, str. 48 w 8ce. Traktacik ten o duszy rozpada się na ośm rozmów między ojcem a synem, krótkich i dosyć żywych. Zrazu, dla mnóstwa galikanizmów sądziłem, że książeczkę autorka prawdopodobnie sama wojewodzina bractawska, sławna z rozumu i nauki, przetłumaczyła „w zbiorze słów krótkich“ z francuzkiego, potem przekonałem się, że to niezmiernie krótki a dokładny wyciąg z psychologii *Campego*, która w dwa lata później ukazała się w dosłownem tłumaczeniu: „*Wiadomości początkowe o duszy ludzkiej do pojęcia młodzi stosowane w niemieckim języku napisane przez J. H. Campe*. — Na ojczysty przełożone, w Warszawie 1788, str. 262 w 8ce i cztery tablice z rycinami. Tłumaczenie to sporządzone przez innego autora aniżeli „psychologia“, ma rozmów czternaście a głównie tem się różni, że ojciec nie z jednym, lecz z kilkorgiem dziećmi rozmawia. Myśli zawsze sobie odpowiadają, ustępy czasem dosłownie tesame. Zamia-rem tłumacza było, aby „wykładając dzieło z niemieckiego języka na ojczysty, w obydwóch ćwiczyć się“, co mu się dosyć udało. Dla usunięcia wszelkiej wątpliwości co do wspólnego pochodzenia obu książek, przepisuję ich początek:

„*Psychologia*“ z r. 1786. *Ojciec*: Wiesz już więc dawno, moje dziecię, że to nie ciało twoje żyje, ale dusza w tobie będąca, która wykonywa wszystkie czynności, życiu twemu potrzebne.

Syn: Wiem to, mój ojcze, że gdy dusza nasza wyjdzie z ciała, zostawia go niezdolnem do żadnego poruszenia i czynności.

„*Wiadomości*“ z r. 1788 taki mają początek: *Ojciec*: Wiecie od dawnego czasu, że to nie ciało, ale dusza nasza żyje i wykonywa to, co my przedsiębiorzemy, jakże? nie prawdaż?

Jan: Tak jest, bo kiedy dusza z ciała wyjdzie, same ciało ruszać się wcale nie może.

Joachim Henryk Campe (1746 — 1818) był ulubionym młodzieży pisarzem i wielkie dla niej położył zasługi, nie tylko piórem, lecz i prowadzeniem zakładu wychowawczego, zrazu w Desawie, później pod Hamburgiem. Jego *Robinson młodszy*, *Zbiór ciekawych podróży*, *Odkrycie A-*

4. Pierwszą a zarazem poważną próbą samodzielnej psychologii była „Filozofia umysłu ludzkiego“ przez *Jana Śniadeckiego*. Wyszła w r. 1822 w czwartym tomie jego „Pism rozmaitych“. Nie pisząc historii badań psychologicznych u nas, lecz o wartości książek mogących być używanemi po szkołach, nie będę zbijał błędów sławnego profesora wileńskiego, bo to byłaby praca bezużyteczna, ani wyliczał zalet książki, bo to zrobiono już wiele razy przedemną. Samo zresztą nazwisko autora głośno je wypowiada. Atoli zalety te, zwłaszcza styl mistrzowski i jasność myśli, podobna do przeźroczystych jezior szwajcarskich, nie mogły uratować książki od zapomnienia, ani wprowadzić na powrót do szkół, jeżeli w nich kiedyś była używaną. Napisana bez znajomości fizjologii i w czasach, kiedy nauka ta była w powiciu, jest ona dzisiaj zupełnie przestarzałą i tylko autorom nowych książek podręcznych służyć będzie za wzór dobrego pisania i porządnego myślenia.

5. Po Śniadeckim nastąpiły w szkołach smutne dla psychologii czasy. Zdaje się, że nie wykładano jej wcale lub wykładano w obcym języku, z kąd zupełna jej nieobecność w formie rodzimej. Zadziwiający to fenomen, godny zastanowienia dziejopisarzów oświaty, że przez trzy dziesiątki lat, od powstania listopadowego aż do wprowadzenia swobód konstytucyjnych w Austrii i przebudzenia się wychowania narodowego w Galicyi, nie mamy żadnej książeczki, czy swojskiej czy tłómaczonej, z którejby młodzież mogła dowiedzieć się tego, co przecież najbliżej obchodzić ją powinno, tajemnic własnego istnienia. Nie żeby brakło nam podówczas na filozofach, przeciwnie było ich więcej niż kiedykolwiek, ale żaden z nich nie napisał popularnego, szkolnego podręcznika. Nawet *Kremer* i *Libelt*, choć uprawiali psychologią gruntownie, a drugi z nich wiele nowych w niej rzucił poglądów, nie zdobyli się na książkę

meryki doczekały się licznych edycji. Jego psychologia wyszła pod tytułem: *Kleine Seelenlehre für Kinder. Hamburg 1780*. Główne zasady swoje psychologiczne wyłożył w dziele konkursowem: *Die Empfindungs- und Erkenntnisskraft der menschlichen Seele. W Lipsku 1776*.

elementarną ¹⁾. Jedynym owocem elementarno-psychologicznym na wielkiem drzewie polskiego hegelianizmu jest książka niemiecka profesora lwowskiego *Hanuscha*, mniej może znanego

- ¹⁾ *Karol Libelt* tak w *Estetyce* jak w *Systemie umniactwa* wiele nad władzami duszy nowym a oryginalnym rozwodzi się sposobem. Ktoby zechciał napisać dzieje badań psychologicznych u nas, musiałby mu poświęcić rozbiór gruntowny a naznaczyć miejsce niepoślednie. *Józef Kremer* w drugim tomie „*Wykładu systematycznego filozofii*“ skreślił filozofią ducha ludzkiego, której część jedna specjalnie zajmuje się psychologią. Będąc heglistą w najprzyjemniejszej formie a najlepszem znaczeniu, uważa on ducha ludzkiego raz w sobie, drugi raz w jego urzeczywistnieniu się na zewnątrz, nareszcie w poznaniu bezwzględnem. — Pierwsza z trzech wymienionych części obejmuje pneumatologią, antropologią i psychologią. Ta jednak nie jest książką szkolną z którejby można nauczyć się tej nauki, gdyż nikt jej nie zrozumie, kto całej filozofii Kremera w należyтым porządku nie przestudyował. W r. 1867 ogłosił w Bibliotece Warszawskiej: „*Najcelniejsze filozoficzne nauki o duszy*.“ Jestto umiejętnie streszczenie antropologii młodszego *Fichte*-go, ogranicza się atoli do stosunku wzajemnego duszy i ciała.

Henryka Struve „O istnieniu duszy i jej udziale w chorobach umysłowych“. Warszawa 1867 daje na wstępie dobre zestawienie dowodów za odrębnością duszy od ciała.

O godności duszy przez Avrillona. Kraków 1840 tylko z tytułu należy do filozofii, z treści jest pobożną homilią, zachęcającą do dobrego życia a psychologią o tyle uwzględnia, o ile jej znajomość daje wyższe o godności duszy pojęcie. Dowody czerpane z pisma św. i ojców kościoła.

Nareszcie „*Dusza człowieka. Nowy i zupełny wykład nauki o duszy. Warszawa 1852. Tomów dwa str. 267 i 468 w 8ce* jest filozoficzno-teologiczną apologią wiary chrześcijańskiej. Napisana z wielką uczonością, może bardzo przydać się kaznodziejom i nauczycielom religii dla mnóstwa dowodów nagromadzonych ku obronie wiary. Ale psychologią nie jest, raz, że nigdy nie oddziela teologii od filozofii, lecz z obu razem czerpie, powtórze, że mnóstwo pytań porusza, nienależących do nauki, która nas tu obchodzi. Doszedłszy n. p. w analizie władz duchowych do rozumu, rozprawia o potrzebie Objawienia, o Wierze, o Bogu i Jego doskonałościach (str. 57 — 122). Taksamo rozbiegając władzę czucia, gdy mowa o namiętnościach, dowodzi grzechu pierwotnego i kilku jeszcze dogmatów,

z pism filozoficznych, aniżeli z badań nad mitologią słowiańską, ale to owoc bardzo kwaśny, a dla gimnazyalnej młodzieży wcale niedostępny. Autor mozolnie przedzie swą siatkę spekulacyjną, troistemi synteżami, niebardzo dbając o to, czy robota jego jest w zgodzie z światem rzeczywistym. Pierwszą władzę lub raczej chwilę w duchowym rozwoju człowieka, wrażenie (*die Empfindung*) nazywa bezpośrednią jednością wiedzącego i wiedzy (*die unmittelbare Einheit des Wissenden und Gewussten*) str. 45. Ta jedność w dalszym rozwoju rozpada się, a przedmiot wiedzy stawa naprzeciw jej podmiotu. Jestto chwila druga, intuicya, *Die Anschauung*. Ale każda chwila mieści w sobie trzy chwile pomniejszych, z których trzecia jest synteżą dwóch poprzednich. Intuicya jest jednością tego, co wewnątrz nas i tego, co zewnątrz, (*die Einheit des Innern und Äussern*). Heglista bez liczby *trzy* nigdzie się nie ruszy, jestto jego kompas, więcej powiem, jego gwiazda przewodnia, w którą ma wciąż oczy wlepione. Cóż dziwnego, że nie może, jak inni ludzie mieć pięciu zmysłów, bo z nich nie ułoży żadnej syntezy. *Hanusch* w istocie zna tylko trzy zmysły: dotykane, słuch i wzrok, który jest synteżą, różnojednią dwóch poprzednich. Czytelnik może nie zrozumie dla czego, a to jednak bardzo proste: dotykane daje nam pojęcie nieruchomego a słuch pojęcie ruchu. Dwa te pojęcia wręcz sobie przeciwne, potrzebują spójni, zjednoczenia w czemś trzeciem, a tem jest nieruchome uruchomione (*das beharrend Thätige* lub też: *das starre Bewegte*). W ten mniej więcej sposób autor dyalektykę Hegla stosuje do ducha ludzkiego, z mniejszą lub większą zdrowego rozsądku obrazą, w tem także do swego mistrza podobny, że niemiłosiernie obcina rzeczywistość, ile razy ta nie zgadza się z troistością jego poglądów. Nie zawsze to mu jednak udało się. Przyjmuje n. p. pięć chwil w rozwoju duszy, z których każda jest wyższą synteżą poprzedniej, a sama wynikiem ułożenia się w jedno trzech chwil podrzędnych. Zabawkę tę

nie należących żadną miarą do filozofii. Dobrze i pilnie opracował dowody za odrębnem istnieniem ciała i duszy, a w drugim tomie zebrał bogaty materiał o nieśmiertelności duszy, acz nie zawsze z należytą krytyczną rozważą, a przy ciągłym pomieszaniu dwóch nauk, których mieszać nie trzeba, teologii i filozofii przyrodzonej.

dosyć mozolnie i uporczywie doprowadził autor do końca książki. Ale niestety nie poprzestał na tych pięciu chwilach „teoretycznych“ (*Empfindung, Anschauung, Vorstellung, Selbstbewusstsein, Vernunft*), lecz postawił obok nich równolegle pięć chwil czyli władz praktycznych: instynkt, popęd, żądze, samolubstwo, wolność. Takiego dualizmu dobry heglista oczywiście nie ścierpi i póty nie spocznie, dopóki po jednej chwili praktycznej i teoretycznej nie ułoży w nową różnojednią bezwzględną, niebędącą ani praktyką ani teorią. Profesor *Hanusch* tego jednak czy nie chciał czy nie potrafił, dosyć, że pozostawił w duszy ludzkiej niepokodzony dualizm. Sądzę, że kilka próbek pokazuje dostatecznie, że książka ta nawet przybrana w polską szatę, w naszych szkołach jest zgoła niepodobną, choćby dlatego, że zowiąc się psychologią doświadczałą (*Erfahrungs-Seelenlehre*) jest w ciągłej sprzeczności z wszelkiem doświadczeniem.

5. Następuje *Treść logiki popularnej, poprzedzona krótkim wykładem psychologii, przez Teofila Borzęckiego. Warszawa 1861.* Część psychologiczna książki obejmuje tylko 63 stronic a na nich więcej słów, niż myśli; więcej szumu, niż prawdziwego napoju. O zmysłach rozprawia autor krótko i niedostatecznie. Bytności duszy dowodzi, ale trwożliwie, sam nie wierząc w moc swoich argumentów: „Na tem stanowisku niechaj nikt nie oczekuje dowodów rozumowych z mocą przekonania, właściwą fizyce i matematyce; tu światło wiary przewyższa moc wszelkich metafizycznych dowodów i wywodów.“ Filozof na taką argumentację z pewnością nie zgodzi się, gdyż dla niego wszelkie dowodzenie czy metafizyczne czy fizykalne ma zawsze moc przekonująco, ile razy z logiczną ścisłością wypływa z prawdziwych premisów. Nie wytłómaczył zresztą autor, zkąd to różnym dowodzenia rodzajom nie równa siła przysługuje ani też, co przez wiarę rozumie, bo jeżeli ta, jak z toku myśli zdaje się wynikać, jest tylko jakimś niewysłowionem uczuciem, którem „płonie cały chrześcijański i niechrześcijański świat“, to mimo piękności swej formy a zacności intencji nie może zastąpić ona dowodów rozumowych, ani im większej dodawać mocy. Nauka na syllogizmach opiera się, a gdy tych zabraknie, traci ona wszelką podstawę, wszelkie znaczenie swoje. Część poświęcona logice, powiedzmy to na

pochwałę autora, o wiele jest lepsza; samą też obszernością swoją, bo trzy razy dłuższa, dozwoliła mu być jaśniejszym i gruntowniejszym.

Równocześnie, bo w tym samym roku ukazał się „*Przewodnik filozofii*“ pani *Ziemięckiej*. Pragnąc dać ziomkom swoim sposobność obeznania się z całą filozofią, przełożyła autorka główne jej działy z francuskich kompendyów, a nie znalazłszy żadnego, któreby ją zadowalniało zupełnie, sklepiła całość z różnych autorów. Wielka ztąd powstała niedogodność, cechująca to przedsięwzięcie, bo każda prawie część innego jest pióra, tak iż było istnem niepodobieństwem unikać licznych różnic nie tylko w stylu, lecz i w myśleniu. Jakkolwiek pp. *Amédée Jacques*, *Jules Simon* i *Emil Saisset* w licznych pytaniach jednego są zdania, nie idzie zatem, że są pozbawieni własnej osobistości i że ta nie odzywa się nigdy w ich dziełach. Jeżeli to często wydarza się uczniom jednej szkoły, to cóż dopiero mężom, którzy tylko w przenośnem znaczeniu szkołę tworzą, o tyle, że się nazywają spirytualistami i *Wiktora Cousina* uważają za mistrza swego, choć to mistrzowanie więcej pozorne, niż rzeczywiste. Są więc różnice, których nawet umiętły przekład słynnego pióra nie zdołał usunąć. Jednakże gdyby ich nie było, to i w tym razie nie odpowiadałaby książka wymaganiom naszych gimnazyów. Psychologia bowiem, która wraz z ogólnym wstępem w pierwszym mieści się tomiku, napisana jest bez znajomości fizjologii, bez żadnego względu na prace nowszych psychologów, zwłaszcza angielskich i niemieckich, potem z tak dogmatyczną pewnością, że nigdzie nie robi różnicy między tem, co już ustaloną jest prawdą a niepewną hipotezą. Są także ustępy niepotrzebne o indukcji, abstrakcji, pojęciach ogólnych, sądach i rozumowaniu, które właściwie należą do logiki krytycznej. Nie ulega wątpieniu, że pełno tam pięknych stronic zasługujących na uwagę autorów przyszłych książek podręcznych, n. p. dowodzenie wolnej woli (str. 232—242) lub rozdział o duchowości duszy, choć sama definicya duszy: *wolna wola i oświecona, której w pomoc przychodzą uczucia, a której organa posługują*, nie jest ścisłą, gdyż czucie zupełnie tak samo do istoty duszy należy, jak wola lub myślenie.

6. Najbliższym w porządku chronologicznym jest: *Zarys antropologii psychicznej czyli psychologii empirycznej* przez prof. Lipińskiego. Lwów 1867. Zasluguje na tem gruntowniejszy rozbiór, że to pierwsza w języku naszym samodzielna podręczna psychologia, przeznaczona do użytku szkolnego, ostrzegam jednak z góry, że rozbiór ten zarówno dla piszącego jak dla czytelników nieprzyjemną jest rzeczą. Już przeczytanie książki nie jest przyjemnem zadaniem. Zaraz na pierwszej stronicy ogarnia nas niewypowiedziane uczucie nudów, które ciągle wzmagając się, towarzyszy nam przez trzyśta kilkadziesiąt stron. Wśród tej ogromnej pustyni miąkkich, źle wysłowionych myśli nie widać ani jednej weselszej oazy, któraby pokrzepiła nas po trudach a dodała ochoty w pochód dalszy. Piasek i ciągle piasek, a nie zieleni, bo o kwiatkach nie ma nawet co mówić. Styl ciężki, leniwy, naszpikowany germanizmami, bez dźwięku i harmonii, dźwiga nas z jednostajnością stapań wielbłąda przez tę Saharę. Jedno tylko w końcu cię dziwi, że autor sam się nie zanudził takim pisanem. Co chwila nas ostrzega: „musimy tu uczynić uwagę,“ co chwila powtarza rzeczy niedawno powiedziane. Jeżeli prawda że osobistość człowieka a szczególnie umysł w stylu się odbija, myślenie autora musiało być powikłanem, ciemnem, dziwaczne a nad miarę leniwem. Oto próbka jego stylu a należy do szczęśliwszych i lepiej udanych ustępów.

Str. 6: „Gdy pojęciu antropologii psychicznej służy za podstawę pojęcie działań wewnętrznych czyli psychicznych człowieka, słuszenie więc przedewszystkiem winniśmy doprowadzić do jasności pojęcie działań wewnętrznych czyli psychicznych, co zaś osiągniemy snadnie, obznajamiając się bliżej z tem wszystkiem, co wewnątrz i zewnątrz człowieka się znajduje a jednakże do wewnętrznych czyli psychicznych działań nie należy, albowiem do jasności i dokładności pojęcia dochodzi się rozróżnianiem go od innych pojęć, według loicznej zasady: *opposita juxta se posita magis illucescunt*. Tem zaś od czego wewnętrzne czyli psychiczne działanie rozróżnić musimy, jest ciało człowieka i działanie cielesne.“

7. Autor po polsku myśleć ani pisać nie umie. Uniewinnia się tem, że przez lat trzydzieści we Lwowie wykładając po niemiecku, w tym języku „myślał i pracował, z tej przy-

czyny było nie mało do zwalczenia, gdy nam przyszło w oczystej mowie tę rzecz obrobić.“ Mniejsza jednak o styl i język, choć we filozofii a bardziej jeszcze w książce dla młodzieży nie są wcale rzeczą obojętną. Ale same myślenie jego nie jest szczególne. Nikt oczywiście nie żąda od profesora filozofii, aby stawiał system samodzielny, bo to tylko geniuszowi danem jest, ale co najmniej powinien znać swój przedmiot gruntownie i ciągle z nauką postępować. Bez postępu nie ma życia duchowego. Otóż nieboszczyk prof. *Lipiński* w młodości obeznał się dosyć z psychologią, ale potem musiała zupełna nastąpić stagnacya, i to koło r. 1850. Trwała więc lat siedmnaście i to w czasach, kiedy fizyologia i psychologia nieznanego przedtem doczekały się rozwoju. O fizyologii zmysłów nic autor nie wie, nie słyszał nawet o takich znakomitościach, jak *Volkman*, *Lotze*, *Fechner*, nie zadał sobie pracy zajrzeć do 2go wydania propedeutyki *Zimmermanna*, choć ukazało się siedm lat przed „*Zarysem*“ i woli pierwsze wydanie z r. 1852, a nawet tego, zdaje się nie przeczytał. Gorsza że ani dawniejszych wielkich psychologów, n. p. *Herbarta* lub *Benekego* nie zna dokładnie, i raczej mitologicznie, niż naukowo. O Anglikach prosta rzecz, że nic nie wie, o Francuzach mało co. Przy takim usposobieniu a dobrowolnem usunięciu się od wielkiego ruchu naukowego, nie mógł autor nic mądrego napisać a jeżeli czasem zdobywa się na pewne samodzielne pomysły, to i te najczęściej dla braku wytrawnej nauki przeistaczają się w dziwactwa.

8. Wymyślił sobie nową teorią zmysłów. Dotąd mieliśmy ich pięć, a jeżeli czasem liczbę ich mnożono do dwudziestu lub trzydziestu, były to zwykłe sofistyczne szperania, bez pożytku dla młodzieży a nawet i dla starych. W praktyce nie przybył nam żaden zmysł nowy. Zresztą gdyby nawet tego rodzaju drobiazgowe ślęczenia przynosiły korzyść w nauce, nie należy ich wprowadzać do szkół, w czem godny naśladowania przykład dają mu uczniowie *Herbarta*, którzy aby nie bałamucić młodych umysłów, choć nie wierzą w odrębność władz duszy, w podręcznych książkach o nich rozprawiają, jak gdyby istniały. Jeżeli zaś mnożenie liczby zmysłów nie może odbyć się bez wielkiego przewrotu w przyjętym sposobie myślenia, to każda ich redukcya połączona z nadzwyczajną

boleścią dla czytelników, bo i któż pozostanie nieczułym na utratę jednego lub kilku swoich zmysłów.

9. Nie wiem doprawdy, co język zawinił autorowi, że go wykreślił z liczby zmysłów. Za to wprowadza zmysły *o stałych i niestałych narzędziach*. Nikt z nas dotąd nie słyszał, że ma wiele niestałych narzędzi do odbierania wrażeń, a dwa tylko stałe: oczy i uszy. Czyż nos nie jest stałym narzędziem? zapyta czytelnik. Autor i jego z liczby zmysłów wymazał. Za to dwa zmysły o narzędziach niestałych: *zmysł mięśni i zmysł skóry*. „Zmysł mięśni jest to władza psychiczności za pomocą ruchu mięśni naszego ciała nabywania wiedzy odpowiednich odmian w nerwach i nabywania wiedzy ruchu ciała naszego“ (str. 53). Z niego rodzą się zmysły trzy odrębne: 1) ruchu, 2) przestrzeni, 3) siły. Definicja *zmysłu skóry* bardzo ładna i zgrabna: „Przez ten zmysł rozumie się ów objaw zmysłu, którego narzędziem jest skóra otaczająca całe nasze ciało (str. 54). I ten zmysł rozpada się na trzy zmysły nowe: 1) dotykania, 2) ciepła, 3) tropienia. Tropienie jest „przedmiotową wiedzą w połączeniu z podmiotową, o ile takowa jest spowodowana zmysłem skóry“ (str. 55). Oczywiście p. Lipiński nigdy nie chodził na polowanie, bo byłby wiedział, że pies nie *tropi skórę*. Tropienie rozpada się na *smałowanie* i *powonienie*. A na tem nie koniec. Podwójny zmysł mięśni i skóry łącząc się rozmaitym sposobem, stwarza cztery nowe zmysły: 1) powierzchni, 2) miąższości, 3) spójni, 4) ciężkości. Mamy więc 12 zmysłów o narzędziach *niestałych*.

10. Taka teoria zbyt jest dziwaczną, aby mogła z pożytkiem utrzymać się w szkole. Ale jest także błędna i dowolna. Zmysł bowiem każdy osobnem narzędziem wyróżnia się od zmysłów innych. Gdyby zaś pokazało się, że kilka zmysłów posługuje się jednym i tem samem narzędziem, ustaje wszelki powód uważania ich za zmysły odrębne. Tak pono z dziewięciu zmysłów siedm, używając skóry za organ wspólny, jest w gruncie jednym i tym samym zmysłem dotykania. A nawet przyjąwszy zasadę autora, trudno się zgodzić na dowolne, bezmyślne rozświetlenie kilku zmysłów głównych na mnóstwo podrzędnych. W czemże np. zmysł *przeestrzeni* różni się od zmysłu *miąższości* czyli władzy „sposzregania ciała w trzech kierunkach“ (str. 57)? Lub zmysł *siły*, „gdy człowiek wyko-

nuje ruchy pewną napiętością siły,“ czyż on nie podobniutęńki do zmysłu *ciężkości*, który fungować nie może bez „dźwigania lub podnoszenia ciała jakiego,“ a zatem bez napiętości siły.

11. Życie duszy rozpada się na *zmysłowość* i *umysłowość*; pierwszą mają i zwierzęta, druga nam tylko właściwa. Pierwsza jest „władzą *bezświadomych* działań psychicznych lub zwierzęcych“ (str. 32), z kąd wynika, że spostrzeganie, widzenie, słyszenie, a nawet „poходne“ funkcyje przypominania sobie lub kojarzenia wyobrażeń (str. 36) odbywają się zarówno w nas, jak w rodzie zwierzęcym *bez świadomości t. j. bezwiednie*. Świadomość zaś napotykamy dopiero w umysłowych funkcyach, nieznanych zwierzętom. Dzieli je autor

1^o na takie, „które człowieka od zwierzęcia różnią, *nie dając mu jednakże żadnej wyższości nad zwierzęciem*“ (str. 171).

2^o takie, „które człowieka nietylko od zwierzęcia różniają, lecz owszem *odznaczają*“ (str. 242), czyli dają mu wyższość nad niem.

W obu tych działach mamy znowu „wyobrażenie, czucie, pożądanie,“ które zatem trzy razy występują, raz jako zwierzęce, dwa razy jako umysłowe. Tu jesteśmy w prawdziwym lesie kaprysów i kontradycyji. Funkcyje np. umysłowe, które od zwierząt nas różnią, są to *świadomość* i *myślenie*, wyrażające się *mową*. Dlaczego jednak nie dają nam wyższości nad niemi? Wszakże sam autor główną przyczynę braku wyższego rozwoju u zwierząt w tem upatruje, że nie mają świadomości (str. 173). A potem czy w istocie jest prawdą, że myślenie i mowa nie dają nam *wyższości* nad zwierzęciem? Odpowiada autor, że *um* dopiero ją nam daje. Co trzymam o tej władzy duchowej, przodkom naszym nie znanej, powiem przy książce *Zagorzańskiego*, tutaj poprzestanę na twierdzeniu, że *um* jest dowolną fikcją, która żadnej nie odpowiada rzeczywistości, a „władza ideów“ w niczem się nie różni od myślenia i jak ono treść swoją czerpie z wyobrażeń zmysłowych. Idee „*piękna, dobra i prawdy*“ mają, jak wszystkie pojęcia, zmysłowy początek. Gdyby przynajmniej *um* za pomocą tych idei potrafił myśleć lub sądzić. Ale: biedny *um* właściwie nic nie *umie* i dopiero z pomocą rozumu „*pójmuje, sądzi, wnioskuje*“ (str. 265).

I słusznie mojem zdaniem, bo bez rozumu ani myśleć, ani sądzić nie można. To też nie bardzo on potrzebny rozumowi do tworzenia *wyższych* pojęć: wartości, doskonałości, sumienia. Rozum bez niego to daleko lepiej potrafi. Ale nietylko z rozumem, nawet z *uczuciowością* każe się autor żenić *umowi*. Z tego małżeństwa rodzą się długie szeregi pięknych dziątek:

1^o *wyższe uczucia moralne*: spokój duszy, zadowolenie wewnętrzne i nadobna córeczka *poszana* siebie samego;

2^o *uczucia religijne*;

3^o *uczucia estetyczne*.

Nareszcie *um* i *pożądanie* obdarzają człowieka *wolnością*. Ale dosyć już tej mitologii, w której *um* tyle ma w sobie rzeczywistości, co Apollo lub Jowisz.

12. Czembś pośredniem między przekładem dosłownym a wykładem samodzielnym jest *Psychologia empiryczna dla wyższych gimnazyów podług Dra Rob. Zimmermana. Napisał Józef Zagórzański, nauczyciel gimn.* Rzeszów 1869. Pelar. Str. IV. 131. X. w 8ce. Wydał prof. Zimmerman znakomitą propedeutykę swoją, zbyt jednak uczoną dla poziomu gimnazyalnego po raz pierwszy w r. 1852 na prośbę ministeryum oświecenia. W roku 1860 ukazało się drugie znacznie pomnożone wydanie. Według obu wydań chciał p. Zagórzański napisać swój podręcznik. Była to już myśl bardzo niefortunna. Idąc bowiem za jakimś autorem powinniśmy trzymać się jego ostatnich twierdzeń a nie wydania, które on sam uważa za niebyłe. Potem wykladać według kogoś jest rzeczą niebezpieczną, jest jak poeta mówi, *periculosae plenum opus aleae*. Jakże łatwo skompromitować można autora, podsuwając mu myśli, których nie miał, lub wyrażenie, którego nie użył. Wydarzało się to zbyt często p. Zagórzańskiemu. Nie mając żadnego względu na reputacyą Zimmermana, ciągle go bogaci własnymi dodatkami. Mówi np. że w razie utraty kilku członków może człowiek „bez uszczerbku takim samym pozostać“ (str. 7). Tak jednak mówić nie można, bo człowiek co utracił ręce i nogi, z pewnością nie jest *taki sum*, jak przedtem. Powiedział *Zimmerman*, że można utracić kilka członków, a mimo to istnieć dalej — (ohne selbst aufzuhören zu sein), co jest zupełnie co innego. Lub na str. 9 według autora fizyologia zajmuje się *badaniem*

wewnętrznej budowy organizmu istot zmysłowych. Już Zimmermana definicya, jakoby była „nauką wewnętrzną budowy organicznych stworzeń“ (die Lehre von dem innern Bau der organischen Naturwesen), błędna jest, gdyż przedmiotem jej są *czynności żywotne*, równie według ich zewnętrznych objawów, jak i wewnętrznych warunków. (Fizjologia układu nerwowego przez Dra Majera str. 42). Ale p. Zagórzański błędną definicyą uczynił jeszcze błędniejszą, ograniczywszy fizjologią do samych zwierząt. Wszakże rośliny nie należą do istot zmysłowych a mimo to są przedmiotem badań fizjologicznych. Rozprawiając o nerwach znowu pierwowzór popsuł. W drugim wydaniu nie ma już mowy o roślinnych i zwierzęcych nerwach, lecz tylko o częściach zwierzęcych (kości, mięsny) i roślinnych (np. wnętrzości). P. Zagórzański, który czasem z pierwszej a czasem z drugiej edycji bierze, co mu się podoba, źle zrozumiałwszy Zimmermana, dzieli nerwy, na *roślinne* i *nerwy zmysłów*; podział niedokładny, bo pomija nerwy ruchu, a błędny, bo roślinom przypisuje nerwy, co p. Zagórzański aż dwa razy powtarza na str. 17. Często znowu robi p. Zagórzański dodatki do pierwowzoru, które nic nie tłumacząc, same potrzebują objaśnienia np. na str. 17. „Przy nich poznajemy, jaka *odgraniczoność* tych dwóch światów, zewnętrznego i wewnętrznego nam się objawia, jak z jednej strony wpływy światła materyjalnego tylko ze zewnątrz pochodzić mogą, z drugiej strony nic na zewnątrz objawić się nie może, co poprzednim wewnętrznym rozkazem (duszy) spowodowane nie było.“

13. Ciemność książki jest zastraszająca, a zapewne stąd pochodzi, że autor zamiast przetrawiwszy poprzednio pierwowzór, w polską przelać go formę, z dwóch przed sobą rozłożonych edycji, bez namysłu, bez metody, często według kaprysu raz z tej, raz z owej ustęp tłumaczy. To też aby zrozumieć go, trzeba z wielką stratą czasu ciągle zaglądać do niemieckiego tekstu, a ile razy w nim czegoś nie ma, ustaje wszelka nadzieja zrozumienia go. N. p. str. 18: „*Narzędziem, którem wewnętrznym stan duszy rozkazy swoje wykonuje, są mięsny i kości, które wykonują podniety duszy od obwodowego rozpostarcia nerwów posłane.*“ Nietylko pozbawione to zdanie wszelkich wdzięków, lecz nawet zrozumieć go nie można,

bo do jednej czynności mamy aż trzy podmioty. Czytelnik nie uwierzy, żeby to być mogło, a jednak:

1^o stan wewnętrzny duszy wykonuje rozkazy swoje, co jest istnem niepodobieństwem, boć nikt własnych rozkazów nie wykonuje, ani do tego użyć nie może jakiego narzędzia;

2^o muszkuły i kości wykonują to samo, a

3^o podniety duszy także to samo. Nie wiem, jak uczony człowiek poradzi sobie z tym ustępem, gimnazyasta z pewnością go nie zrozumie. A takich miejsc bardzo wiele. Co za szczęście, że p. *Zimmerman* po polsku nie umie; jakżeby zmartwił się tą publikacją.

14. Na str. 86 czytamy dosłownie: „Otóż tym sensem, tą myślą między rzeczą oznaczoną a jej znakiem, między podmiotem a jego przymiotami, między objawem a rzeczywistością jest pewny związek, który nie na powierzchownym stosunku przedmiotów, lecz na stosunku ich treści polega.“ Kto nam powie, co znaczy *sens* lub *myśl między rzeczą oznaczoną a jej znakiem*? Tego nawet umiejący po niemiecku nigdy nie zrozumie. A ciemny ten i zagmatwany język jest nadto zeszepeczony błędami, których w książce drukowanej nikt się nie spodziewa. Czyż nie ruszyło sumienie p. Zagórzańskiego, gdy napisał: „proces oddychania i wyżywienia.... *przeszkodzony bywa*“ (str. 26), „autor *połącza* odkrycie nowych prawd i drżenie wołów“ (str. 89), poetą jest „u kogo rozum z wyobraźnią się ślubi“ (str. 89), zmysł *dotykowy* ma za narzędzie powierzchnię skóry (str. 21), *udola* jest to stan człowieka, wynikły ze stałego wpływu całego ciała na duszę“ (str. 23)? Jakże mógł napisać *skład nerwów*, kiedy już w roku 1854 prof. Majer napisał sławną książkę o „*układzie nerwowym*“? Czy słyszano kiedy o *nerwach roślinienia*, za pomocą których człowiek zamienia się w roślinę. Tego z pewnością p. Zagórzański powiedzieć nie chciał, a co innego wyraz ten przezeń utworzony, znaczyć nie może.

15. Nie sędzę, żeby książki tej używano gdzie w szkołach, bo już forma jej zaniedbana na to nie zezwala. Stałaby się niepodobną uprawa języka ojczystego, gdzie uczniowie takie wzory mają przed oczami; nie śmiałyby nauczyciel wytykać im błędów, które kolega jego drukiem uświęcił? Daleki więc jestem od takiej obawy. Jeżeli mimo to jeszcze zatrzy-

mam się przy tem dziełku, to jedynie przez wzgląd na słowo, które także do innych podręczników a z niemi do szkół się dostało. Jest to *um* nieszczęśliwy. W literaturze nieznany, w mowie codziennej nie napotykanym, zjawia się on w Polsce około r. 1840, pod protekcją zwolenników niemieckiej filozofii. Oznacza nową władzę duchową, której dawniej u nas nie było, skoro nazwy nie miała; zresztą nie mogło być jej u nas, bo jest pochodzenia czysto niemieckiego. Zastanowienia godną jest rzeczą, że ziomkowie nasi, którzy u romańskich ludów lub Anglików uczyli się filozofii, *umu* nie znają, za to uczniowie niemieckich uniwersytetów wracają do kraju z nową władzą umysłową, której nikt u nas się nie domyślał. Już ta okoliczność powinna była nowość podać w słuszne podejrzenie, a to tem większe, że w samych Niemczech nigdy ona na seryo się nie przyjęła. Niemcy w piśmiennictwie i w potocznej mowie, podobnie jak ludy romańskie, dwie tylko władze umysłowe znają: *zmysły* i *rozum* (*Sinne und Vernunft, les sens et la raison*), pierwsze zwrócone do przedmiotów dotykalnych, szczegółowych; drugi do pojęć oderwanych, ogólnych. Tak zwany zaś *Verstand*, pocziwy nasz rozsądek, odnosi się do życia praktycznego, do chwywania i rozumienia stosunków zachodzących między działającym podmiotem a przedmiotami działania. Podział taki myślenia od niepamiętnych wieków istniał u wszystkich ludów, a jest uzasadniony i kompletny, gdyż człowiek albo zmysłami spostrzega albo oderwaną rozumuje refleksyą.

16. Tymczasem źle zrozumiany platonizm z jednej strony a z drugiej heglowskie zamięłowanie w trzypolowem gospodarstwie popchnęły pewną liczbę niemieckich myślicieli do utworzenia nowej władzy duchowej, którą przezwali „*Vernunft*“ a to, co dotąd było rozumem, przechrzcili na „*Verstand*.“ Powstało ztąd niesłychane pomieszanie, gdyż literatura i mowa codzienna zachowały dawne znaczenie wyrazów, z uczonych zaś każdy co innego rozumiał przez „*Vernunft*.“ Wielu nawet, a wśród nich *Szopenhauer*, jeden z największych znawców niemieckiego języka, protestowało głośno i zacięcie przeciw takiemu pogwałceniu mowy narodowej; wielu, jak materyaliści i poeci, przyjęło z niewypowiedzianem szyderstwem tę nowość. W takim stanie rzeczy należało poczekać, dopóki

zamacona sprawa nie wyjaśni się ostatecznie, należało podejrzaną towar zagraniczny wskazać na długą kwarantanę, z obawy, aby nie wnosił do nas niebezpiecznej choroby. Naszym jednak filozofom zdało się inaczej, a że zwykle uczeń mistrza przesadza, więc do nowej rzeczy dodali jeszcze wyraz nowy. Stało się tak i gorzej i lepiej: gorzej, bo kiedy Niemcy mają tylko pomieszane pojęcia, to my w dodatku cierpimy na pomieszanie wyrazów, nie wiedząc kiedy „*um*“ położyć a kiedy „*rozum*.“ Ale stało się i lepiej, bo dosyć będzie *um* wyrzucić a cały kłopot zniknie, my zaś przy starym pozostaniemy rozumie. Mniejsza zresztą, że który filozof w metafizycznej rozprawie użyje nowych, niezwykłych wyrazów. Czasem to nieodzownie potrzebne, bo delikatne odcienia myśli wymagają niezwykłych wyrażań, które choć w literaturze nie przyjmą się, mogą być pożyteczne w oderwanych badaniach. Nie sądzę atoli, żeby *um* do ich rzędu należał i żeby zdołał podobną myśleniu oddać usługę. Mowa nasza przeważnie słowami się posługuje a z nich dopiero tworzy rzeczowniki nowe lub dawnym nowe znaczenia nadaje. Tego pravidła nie trzymano się przy wprowadzeniu *umu*, nikt nie zapytał, czy słowo *umieć* wyraża to samo we formie czynnej, co *um* wyrażać ma we formie przymiotu lub władzy. Przeciwnie, odsłoniła się nadzwyczajna różnica, bo gdy *umieć* odnosi się do praktycznej zdolności robienia czegoś lub popisywania się czemś, *um* ma być warstatem najwyższych, najszczytniejszych pomysłów. Takiemu wywyższeniu *umu* nad rozum sprzeciwia się instynkt języka, opiera się mowa codzienna, która bynajmniej *umienia* nie uważa za coś wyższego od *rozumienia*. Wszak i zwierzęta wiele umieją a nic nie rozumieją? Zadałby więc *um* w pojęciu heglowskiem gwałt poczuciu języka a zadałby niepotrzebnie, bo pono nad rozum nie ma człowiek wyższej władzy umysłowej.

17. W żadnym razie nie należy takiego wyrazu wprowadzać do szkoły i nadawać mu znaczenie, będące w kontradykcyi z jego źródłosłowem. Cóż dopiero, gdy każdy prawie autor bierze wyraz ten w innem znaczeniu, z wielkiem bałamuctwem czytelnika. *Lipiński* przezeń rozumie „władzę ideów“, *Zagórzański* „trybunał, rozsądzający spory między zmysłami a rozumem“, autor „*Zarysu psychologii empiry-*

cznej“ z roku 1874 władzę duszy, „za pomocą której przychodzimy do świadomości świata nadzmysłowego,“ nareszcie *Crüger—Sawczyński* zamiast *umu* kładą rozum, a zamiast rozumu rozsądek, czem zwiększyli jeszcze pomieszanie. Wielkich kłopotów nabawił się p. *Zagórzański*, który tłómacząc niemieckie „*Vernunft*“ przez *um*, a „*vernünftig*“ przez *umny*, traci kontenans, ile razy spotyka się z „*unvernünftig*.“ Bojąc się wyrazu „*nieumny*,“ choć niesłusznie, bo *nieumny* wart tyle co *umny*, tłómaczy „*unvernünftig*“ przez *nierozsądny*, a wtedy dla symetrii oddaje „*vernünftig*“ przez *rozsądny*, n. p. str. 126: co do celu może być chcenie *rozsądne* lub *nierozsądne*, gdzie *Zimmerman* ma „*vernünftig*“ i „*unvernünftig*.“ Czasem znowu *vernünftig* tłómaczy przez *etyczny* i t. d. Jednej rzeczy żałuję, że nie przełożył ustępu o waryacie, o którym *Zimmerman* powiada, że stracił *um*, ale nie stracił *rozumu* (2gie wyd. 313: *hat keineswegs den Verstand, wohl aber die Vernunft verloren*“). Tego ustępu nie tknął się p. *Zagórzański*, widocznie z obawy, aby do reszty nie skompromitować *umu*, po utracie którego waryat zostaje jeszcze rozumnym człowiekiem. Dodać muszę, że *Zimmermana* terminologia nie lepsza, bo Niemiec o waryacie zawsze mówi: *er hat den Verstand verloren*. Ale mniejsza o to, niech sobie Niemcy do woli nakręcają znaczenie słów swoich, nam nie godzi się w tem ich naśladować a najmniej w książkach, z których młodzież ma nauczyć się porządnego myślenia.

18. *Propedeutyka filozoficzna opartą na prawdziwych zasadach* przez ks. *Franciszka Kautnego*. W *Krakowie 1871*, jest wcale porządną robotą, niepotrzebnie atoli dodano, że „oparta na prawdziwych zasadach“. Wolno każdemu o swojej książce tak trzymać, ale kłaść tego nie powinien na okładce, bo to reklama, odnosząca najczęściej przeciwny skutek, aniżeli autor zamierzał. Dziełko ks. *Kautnego*, używane podobno w tarnopolskim zakładzie, ma wielkie i niezaprzeczone zalety: język prosty i zrozumiały, bez dziwactw i neologizmów, rozkład porządný, metoda jasna i przystępna. Pomijam część pierwszą t. j. logikę, bo nie wchodzi w zakres mego artykułu; o części psychologicznej powiem ogólnie, że wydaje mi się słabszą od pierwszej. Może to ztąd pochodzi, że w systemie scholastycznym logika lepiej jest zazwyczaj opracowana

od psychologii. Szkoda, że szanowny autor nie uzupełnił braków scholastyki przez nowsze badania niemieckie. Pierwszy rozdział byłby na tem zyskał niechybnie. Nauka o zmysłach traktowana jest niedokładnie, bez potrzebnych szczegółów anatomicznych i fizyologicznych, które niesłusznie autor w uczniach przypuszcza. Fizyologia tak jest związana z psychologią, że bez głównych wypadków pierwszej nie można zrozumieć drugiej. Pozwolę sobie także uwagę, że zbytnia krótkość w pisaniu robi rzecz czasem niejasną, np. zdanie „z mózgu powstają nerwy“ (178) może obudzić fałszywe przekonanie, że wszystkie nerwy z niego swój początek biorą. To nie stosuje się do gangliów czyli splotów. Także rozróżnianie narzędzi zmysłowych na wewnętrzne i zewnętrzne ściśłem nie jest i koniecznie wymaga objaśnienia. O zmysłach wewnętrznych, bo zmysł i narzędzie zmysłowe w tem miejscu jedno znaczą, nauka nic dotąd pewnego nie wyrzekła. Wolałbym także zamiast ukuszenia mieć smak w ustach, gdyż tak powszechnie piszą nasi fizyologowie. Zbyt długo zatrzymał się autor przy magnetyzmie zwierzęcym czyli jasnowidzeniu; poświęcić aż siedm stronnic w tak małym dziełku rzeczy zupełnie nienaukowej, jestto zbytek hojności. Wystarczało napomknąć o mesmeryzmie kilku słowami. Z mniejszych usterków jeden podnoszę, mogący dać powód do błędnego zrozumienia funkcji zmysłów. Przedmioty zewnętrzne nie na nich, lecz na duszy wrażenie robią; powszechnie też wrażenie w umysłowym używa się znaczeniu. Mówimy, że dusza odbiera wrażenia a nerwy podniety. Czasem autor mówi o *podstacie* duchowej, to już chyba omyłka drukarska, bo doprawdy nie wiem, co ma znaczyć podstata. W następnych rozdziałach nie można zgodzić się na podział władz duszy. W szkole oczywiście o władzach mówić trzeba, choć nie zaszkodzi przypomnieć słuchaczom młodym, że władze tylko przenośne mają znaczenie i że raczej są to rodzaje zjawisk, należących do jednej i tej samej duszy. Pominąwszy, że autor władzę tłumaczy przez siłę t. j. rzecz nieznaną przez drugą mniej jeszcze znaną; nie rozumiem dlaczego dwie tylko władze pierwiastkowe przyjmuje: poznawanie i dążenie do dobrego. Potem każdą z nich znowu na dwie dzieli: poznawanie na niższe (zmysłowe) i wyższe (umysłowe) a dążenie na żądzę i wolę. Żądza

i wola oczywiście jedno są, a uczucia, które autor umieszcza pod żądzą, ani z nią ani z wolą nic wspólnego nie mają. Stanowią one odrębną klasę zjawisk dusznych. Dla tego najlepiej pozostać przy starym podziale: *człowiek czuje, myśli, chce*, bo opiera się na doświadczeniu i powszechnie przyjętym sposobie mówienia. Podział na niższe i wyższe władze umysłowe, często praktykowany, nie jest naukowy już dlatego, że bardzo trudno pociągnąć między nimi granicę słuszną, musiałby jeszcze zatem pójść podział żądz i woli także na niższe i wyższe, bo jest racya ta sama. Tego jednak autor nie zrobił, co dowodzi najlepiej, że nie uważał tego za rzecz podobną. W rozdziale o mowie treściwie i umiejętnie zbijał powstanie języka z migów lub krzyków zwierzęcych, gdyż ta hipoteza zupełnie jest błędną i nie zgadza się z wypadkami nowszej lingwistyki. Ale powiedzieć, że Pan Bóg mowę stworzył, rzeczy nie wyjaśnia, a na niepotrzebne nas naraża trudności, choćby dla tego, że mowa jest nieodstępną towarzyszką myślenia, myślenie zaś jest osobistym czynem człowieka, zależnym od jego woli, którego nikt inny za niego odbyć nie może. — Tosamo o mowie ludzkiej powiedzieć można. Daleko jaśniej początek mowy tradycyonałisci tłómaczą, twierdząc, że Pan Bóg pierwszego człowieka mówić *nauczył*, ale i to twierdzenie pozbawionem jest naukowej podstawy. Opowiadanie Mojżesza o pierwszym mówieniu człowieka raczej przypuszcza, że człowiek sam sobie mowę stworzył, biorąc stworzenie w znaczeniu ogólnem, w jakim je przypisujemy geniuszowi. Coś podobnego utrzymuje wielu znakomitych badaczy języka, twierdząc, że mowa była samodzielną ducha ludzkiego kreacją. O innej stronie ujemnej tej zresztą bardzo pożytecznej książki, pomówimy później przy dziełku p. Ziemby.

19. „*Zarys psychologii empirycznej*“ *napisał B. J. Lwów 1874 str. 93* jest może za krótki dla wyższych klas gimnazjalnych a czasem zbyt elementarnie się tłómaczący, ale zarówno prostym stylem, jak ożywionym wykładem przydatny do użytku szkolnego. Zostawia wiele swobody nauczycielowi a ucznia nie obciąża zbyt szczerzami. Autor nie mały ma talent do pisania szkolnych książek, szkoda, że na tę pracę więcej nie poświęcił czasu i głębszych nie odbył studyów. Al-

bowiem mimo zalet wymienionych a wielkiej świeżości i rzutkości, robi ona wrażenie prędko ułożonej kompilacji. Nic w tem niema złego, gdy książka podręczna jest kompilacją, ale niech na niej nie będzie znać pośpiechu. Wiele sprzeczności, niejasności lub niedostatków w rozkładzie można było uniknąć przy dłuższem zastanowieniu się i przy gruntowniejszym rozbiore. Że na to autor widocznie nie miał czasu, sam podział psychologii na ogólną i szczególną dowodzi. Pierwsza rozważa niby duszę w sobie i stosunek jej do ciała, druga opisuje jej czynności, prawidła, władze i t. d. Tymczasem o istocie duszy nie prawie nie powiedział, o stosunku zaś duszy do ciała nagromadził wiele rzeczy niepotrzebnych lub takich, które należą do części specjalnej. Podział znowu władz duszy na *teoretyczne* i *praktyczne*, a jednych i drugich na *zmysłowe* (zmysł, rozum, popęd) i *duchowe* (um, wola) zupełnie jest dowolny, bo nie opiera się na racjonalnej podstawie. Dlaczego funkcyja widzenia lub smakowania ma być teoretycznej natury a uczucie ciepła lub zimna praktycznej? Także niejasno, dlaczego uczucia zaliczył do jednej kategorii z popędem, żądzą, instynktem, nałogiem i nawet namiętnościami? Co trzymam o *umie*, powiedziałem wyżej; przypuściwszy nawet, że istnieje, nie będzie on więcej duchowym od rozumu; taksamo wola nie jest bardziej duchową od popędu, ani ten więcej zmysłowym od niej. Nie pozostaje nic innego, jak wyrzucić um a uznawszy tożsamość popędów z wolą, utworzyć z uczuć trzecią samodzielną klasę zjawisk duchowych. Tak znowu wracamy do przyjętego podziału: człowiek czuje, myśli i chce, a wszelka inowacya ze szkodą tak starodawnego zwyczaju tylko bałamuci czytelników, zwłaszcza młodych. Dla braku czasu chciałem pominąć szczegóły, niektóre jednak są tego rodzaju, że ich pominąć nie można.

20. Mając wielką łatwość dydaktyczną, nieraz autor skłonny jest do zbyt stanowczych afirmacji, które w nauce za takie nie uchodzą. Zapewne, że w szkole ton dogmatyczny bardzo jest na miejscu, ale trudno znowu za dogmat podawać, co nim nie jest. Na str. 28 fakt, że widzimy każdy przedmiot pojedynczo, choć mamy dwoje oczu, tem tłumaczy, że nerwy idące od jednego i drugiego oka, nim dojdą do mózgu, krzyżują się z sobą, „więc tym sposobem jeden ale wzmo-

cniony obraz pada na siatkówkę“. Z „fizyologii zmysłów“ prof. *Majera* (str. 357 i nast.) mógł autor się dowiedzieć, że wszystkie tłumaczenia pojedynczego widzenia za pomocą urządzenia anatomicznego, albo jawnie okazały się mylnemi, albo też są czczemi domysłami, nie pozostaje zatem, jak tłumaczyć pojedynczość widoku przez udział duszy. Choć książka *Majera* wyszła przed 20 laty, nie odkryto dotąd fizyologicznego lub anatomicznego faktu, zbijającego jego twierdzenie. Przeciwnie stało się ono prawie powszechną fizyologów własnością. Zresztą na prostym stereoskopie mógł autor się przekonać, że pojedynczość obrazu optycznego, nie pochodzi od krzyżowania nerwów. Taksamo słyszenie obu uszami jednego tylko brzmienia, tłumaczy p. B. „schodzeniem się nerwów usznych (30)“. *Majer* (str. 507 i nast.) a z nim wielu znakomitych fizyologów i tę hipotezę stanowczo odrzuca.

Słowo jeszcze o dwóch ustępach dowodzących wielkiego pośpiechu. Czytamy naprzykład na str. 82. „Minęły te czasy, kiedy przewrotna nauka twierdziła: *cel uświęca środki*“. Uczeń gotów pomyśleć, że owa „przewrotna“ teoria należy do przeszłości, tymczasem wszystkim wiadomo, że dopiero po r. 1850 zjawiała się w historykach i politykach pruskich, a dawniej była nieznaną. Na str. 85 czytamy: „że ludzi bez charakteru i ludzi niemoralnych nie należy nazywać *osobami*“. Jestto przesadne i błędne. Każda *rozumna* istota jest osobą, gdy o *sobie* wie, bez względu na to, czy ma wyrobiony charakter. Dziecko, dopóki nie ma pełnej świadomości, osobą nie jest, ale być nią zaczyna, odkąd myśli i pojmuję. Autor pomieszał trzy pojęcia wcale różne: charakter, osobę w znaczeniu prawnem i osobowość metafizyczną i z nich utworzył jakąś afirmacyą doskonałości, do której człowiekowi zdążać każe. Ta osoba ma w sobie samej mieć cel bezwzględny, ma być celem najwyższym. Te panteistyczne zwroty nie bardzo są w zgodzie z pocziwą i chrześcijańską tendencją książki, a wobec poważniejszej rozważki ostać się nie mogą, bo i jakże podobna, aby człowiek mógł być sobie celem bezwzględnym, najwyższym.

21. Przechodzę do dwóch publikacyj, które ukazyły się prawie równocześnie, przed kilku miesiącami, jedna jest tłumaczeniem, druga pracą samodzielną. P. *Zygmunt Sawczyński*, używający wielkiej powagi w pedagogicznym i uczonej

świecie, przyswoił naszej literaturze *Crügera zarys psychologii*. Wartość takiej roboty zawisła od dwóch czynników: od dobroci pierwowzoru i udatności przekładu. Licha książka dobrze przełożona nie na wiele się przyda, a zły przekład dobrej książki, zamiast pożytku, nawet szkodę wyrządza. Dr *Crüger* pracę swoją oparł przeważnie na psychologii *Zimmermana*, o której już była mowa. Zazwyczaj psychologom ze szkoły *Herbarta* brak lekkiego, popularnego wykładu, zamiłowaniem w matematycznych formułkach często czytelnika odstrasza. Dr *Crüger* tych wad nie posiada, a dodawszy wyjątki z poetów i liczne przykłady z historii i nauk przyrodniczych dziełko swoje zrobił przystępnem i urozmaiconem. Część fizyologiczna starannie opracowana, w czem przewyższa wszystkie bez wyjątku wymienione książki, które z niepojętych przyczyn ten ważny rozdział mniej lub więcej zaniedbały. Taksamo ustępy o ideach, uczuciach, woli, charakterze i naturze duszy z prawdziwym pożytkiem, nie tylko przez młodych, lecz i starych czytywane będą. Rzeczywista jednak wartość pierwowzoru ginie pod niedbałą formą tłumaczenia. Z nowożytnych języków żaden w równej mierze jak niemiecki nie opiera się tłumaczowi zwłaszcza polskiemu. Jeżeli ten przestanie na dosłownem słów przekładaniu, wypadnie coś tak dziwnego, tak komicznego, że może stanąć godnie obok urzędowej polszczyzny pruskiej. Pochodzi to w części z właściwej niemieckiemu językowi ciemności a w części z zaniedbania piszących. Rzadko Niemiec to poprawia, co napisał. Zapewne zdarzają się chlubne wyjątki ale te najczęściej idą w parze z umieniem po francuzku. *Szopenhauer* swój piękny i przezroczysty styl przypisuje chodzeniu do szkół francuzkich, gdzie prawie zapomniął po niemiecku. *Goethe*, *Heine* i *Börne* niezrównaną swą prozę wyrobili sobie pod wpływem francuzczyzny, której ciągle używali w życiu codziennem. Piękny styl Aug. Wilh. *Szlegla* w odczytach o sztuce dramatycznej ztąd pochodzi, że z niemieckiego przełożył je na francuzkie a z francuzkiego znowu na niemieckie. Chcąc zatem niejasnego Niemca przełożyć na jasny język polski, trzeba go albo zupełnie przerobić albo wcale nie tłumaczyć. *Sawczyński* mówi na str. 131: „To, co człowiek może, na dwóch wielkich znajduje się polach: w świecie zewnętrznym i wewnętrznym.“ Wolno Niemcowi tak pisać,

ale Polakowi zdanie to i niezrozumiałem wyda się i nienaturalnem, nawet komicznem. To, co człowiek *może*, nigdzie jeszcze nie jest, zatem na żadnem nie znajduje się polu. Do uczniów, mających się ćwiczyć w porządnem myśleniu, w żaden sposób tak odzywać się nie można. Lub definicya poglądu na str. 28: że jest „*wyraźnem i należycie ułożonem wyobrażeniem całości zewnętrznego przedmiotu.*“ Któż to zrozumie i czy kiedy u nas przez *pogląd* rozumiano coś takiego? Lub czyż podobna, aby „z poglądów roślin obok siebie rosnących powstał pogląd grządki, z poglądów grządek rozleglejszy pogląd całego ogrodu?“ Czyż słyszano kiedy, żeby drzewa lub ogrody miały swoje poglądy? Takie przekręcanie mowy ojczystej musi pociągnąć za sobą skrzywienie młodych umysłów a filozofii, której *p. Sawczyński* gorącym jest wielbicielem, odebrać wszelką popularność. Powie nie jeden ojciec: niech moje chłopcy wcale się nie uczą nauki, która im psuje mowę a przewraca głowy.

22. Pomijam wyrażenia „*narząd zmysłowy*“ lub „*zmysł dotyku,*“ bo one w innych także filozofach i przyrodnikach znachodzą się, acz nie bardzo są potrzebne, pomijam oczywiście germanizmy, jak na str. 25: widzi krople krwi tam, gdzie nie ma nic do widzenia, są atoli zwroty zupełnie niezrozumiałe n. p. str. 58: jeżeli się rozchodzi o istotę instrumentu muzycznego, mało zależy na jego wielkości lub barwie, str. 98: ponieważ w uczuciach ogólnych nie rozchodzi się o treść wyobrażeń, lecz o formę ich toku. Nikt tego z pewnością nie zrozumie. Również nie po polsku a trudny do zrozumienia jest ustęp na str. 77: W wykonanie tej idei przepisano organom ruchu prawa dźwigni — oraz ten drugi: Wydobycie siły, ile możliwości największej, nie zawiera się w idei narządu ruchu... Czyż można pochwalić, że urządzenie oka opiera się na idei narzędzia dla światła (str. 73), lub zastosowanie najdoskonalszych środków dla osiągnięcia najdoskonalszych celów (str. 80). „*Odnowa wyobrażeń*“ t. j. ich powrót do świadomości nie jest także ściśłem wyrażeniem; odnowa jest odświeżaniem rzeczy starych, nadpsutych, wybladłych, a reprodukcyja nietylko odnawia przyćmione pojęcia, lecz wywołuje z pamięci takie, których tam jakoby nie było. Żałuję, że mnóstwo podobnych wyrażen i zwrotów, w połączeniu z tokiem mowy więcej nie-

mieckim niż polskim, z dobrego pierwowzoru zrobiło rzecz nader niemiłą i niestrawną.

23. Książka p. *Ziemby* „Psychologia“ w Krakowie 1877 str. 196 w 8ce zaleca się językiem czystym, jasnym, staranym, a pod tym względem zaspakaja wszelkie wymagania, jakie wybredna nawet krytyka mieć może do książki szkolnej. A to rzecz nie mała. Styl dobry a prosty jest pierwszym i niezbędnym warunkiem powodzenia dla książki szkolnej, a najpewniejszą rękojmią, że młodzież z pożytkiem do rąk ją weźmie. Poszedł autor za powszechnie przyjętym podziałem władz duszy na myślenie, czucie i wolę — czem na wielką zasłużył pochwałą, a uniknął niepotrzebnego zagmatwania, panującego nie raz w nowszych psychologiach. Atoli niekonsekwentnie postąpił sobie, gdy w myśleniu oddzielił cztery po sobie następujące chwile: 1) wyobrażenie, 2) pojmowanie, 3) rozsądek, 4) rozum. Podział taki koniecznie opierać się powinien na treści myślenia, a ta według autora jest albo wyobrażeniem albo pojęciem; należało więc dwie tylko przyjąć władze odrębne: wyobraźnię i rozum. Atoli autor widać zamiłowany w niemieckim podziale na *Vorstellungskraft*, *Verstand* i *Vernunft*, wtrącił między wyobraźnię i rozum tak zwany rozsądek. To jednak wielka niekonsekwencja, bo temi samemi co rozum zajmują się pojęciami. Rozumiem niemieckich psychologów, którzy oprócz pojęć przyjmując osobne idee, te rozumowi (lub *umowi*), pojęcia zaś rozsądkowi przekazują, p. *Ziemba* jednak odrzucił idee i słusznie, niepotrzebny więc rozsądek jako władza samodzielna. Niech pozostanie nadal tem czem był, zwrotem rozumu do życia praktycznego.

24. Teorya zmysłów (str. 15—53) jest stroną najslabszą książki i wymaga w nowem wydaniu gruntownej rewizyi. Nie grzeszy w niej autor tem, co mówi, jak raczej tem, czego nie mówi. Wrażenia np. wchodzą gotowe do zmysłów, a dusza do nich dodaje tylko uwagi. Jednakże wrażenie jest czemś złożonem a jego analiza nietylko pożądana, lecz zgoła niezbędna w książce elementarnej. Autor podniętę nerwów biorąc za jedno z wrażeniem, nie czuł potrzeby tej analizy, ale żadną miarą przystać nie można na taką zamianę. Podnieta jest sprawą materyalną, pojedynczą, a wrażenie do połowy sprawą duchową i złożoną. Był także powinien autor przy każdym

zmyśle, na wzór *Sawczyńskiego* (Crügera) szczegółowo wykazać, jak z podniet dochodzących do świadomości duszy i z jej pracy umysłowej powstają wrażenia i wyobrażenia umysłowe. Mógł autor w tej części posługiwać się ślicznymi a tak popularnie napisanymi pracami Helmholtza. W ogóle szanowny autor zbyt wiele czasem rozprawia o rzeczach mniej potrzebnych a zbyt mało o kwestiach essentialnych. Weźmy n. p. zmysł widzenia. Na 20 stronicach (27 — 46) dało się nie mało powiedzieć o tym ciekawym przedmiocie. Tymczasem autor po topograficznem i anatomicznem opisanu oka marnuje dwie strony i to drobniejszym drukiem na sensorywne panny Reichenbacha i palące się skarby, co wszystko nie ma dzisiaj żadnej wartości naukowej. Rozdziały o psychologicznem znaczeniu wzroku i psychologicznem znaczeniu oka należało dla samego tytułu w jeden połączyć i skrócić. Dwie strony wypełnił wyjątkami z poetów, dowodzącymi siły wzroku i zdolności wyrażania okiem tego, co się dzieje w głębi duszy. Aleć o tak powszechnie znanej rzeczy wystarczyło napomknąć w kilku słowach, tak samo o psychologicznem znaczeniu barw i światła. Dwie strony zajmują przykłady Daltonizmu a tyleż prawie optyczne przywidzenia i cytat z Balladyny, który nawet nie stosowny, boć plamka na czole zabójczyni wszystkim widzialna, zatem nie jest przywidzeniem. Mamy więc na 20 stronic o wzroku prawie połowę z szczegółami mniej lub więcej niepotrzebnymi, a tak ciekawy przedmiot, jak rozpoznawanie stosunków w przestrzeni, traktowany pobieżnie na jednej stronicy. Ten brak ekonomicznego obchodzenia się z papierem po kilka kroć czuć się daje, choć chwalebna go tłómaczy intencya, bo zamięlowanie w ojczystej literaturze i chęć uprzyjemniania czytelnikom mozolnej nauki. Było jednak lepiej, zamiast przepisać całe ustępy, położyć krótkie odsyłacze a profesorowi literatury ojczystej, który najkorzystniej mojem zdaniem wykładać może filozofią, pozostawić zastosowanie psychologii do zrozumienia poetów.

25. Jest inny zarzut, daleko ważniejszy, ten jednak nie samego p. *Ziemby* się tyczy. Żadna z dotąd wydanych psychologii, z wyjątkiem p. *Sawczyńskiego*, nie odpowiada na pytanie: *czy jest dusza i czem jest właściwie?* co więcej, nie uważa nawet za potrzebne definiować główne pojęcia, których

bezustannie używa. Bardzo dziwne takie postępowanie i wcale nie przynosi chluby psychologii. Boć nauka powinna zaraz na wstępie określić przedmiot, którym zajmuje się, wytknąć granice, w których go bada, objaśnić pojęcia, któremi szafuje. Nie dopełniając tych niezbędnych warunków, psychologia naraża się na chwiejność, brak powagi, utratę cechy naukowej? P. *Ziemia* pociesza nas, że kiedyś może odpowie ona na pytanie: czym jest dusza? Ale teraz jeszcze nie czas. W takim razie lepiej nie wyklądać psychologii po szkołach, bo zacząć od wątpienia, od obudzenia zaraz na wstępie w uczniu nieufności do przedmiotu, którego ma się uczyć, jest nieroztropnie i niepedagogicznie. Prawda, że fizyka nie zawsze określa istoty sił, któremi zajmuje się, ale taka niewiadomość, n. p. o elektryczności, nie narusza realności jej zjawisk. Kwestya zaś duszy zupełnie innego jest rodzaju. Jej natura tak związana z jej istnieniem, że wątpiąc o pierwszej także o drugim się wątpi. Kto nie wie, czym jest dusza? nie wie także, czy jest? A słaba to nadzieja, że może kiedyś nauka wykaże, że jest, a wtedy psychologia poda jasną definicyą, ale cóż się stanie, gdy się okaże, że duszy nie ma; wtedy razem z duszą i psychologia przepadnie. Przez wzgląd przeto na pedagogiczne korzyści powinni byli autorowie jasno afirmować duszę, wykazać jej niezależność od ciała, jej różnicę od duszy zwierzęcej. Tego jednak ani *Lipiński* ani *Kautny* ani *Ziemia* nie uczynili, *Sawczyński* (Crüger) tylko jeden dostatecznie rzecz wyłożył.

26. Zastaniają się tem, że piszą psychologią empiryczną, a istota duszy podobno należy do metafizyki. Gdyby nawet tak było, wypadało zawsze główne twierdzenia metafizyczne powtórzyć, gdyż czytelnik najczęściej nie zna metafizyki. Tak postępują Herbarcyane, którzy choć ze wstrętem zgodziwszy się na przepołowienie psychologii w szkole, mimo to, jak *Zimmerman*, *Crüger* i inni, dowodzą obszernie, nie tylko, że dusza jest, lecz także że jest pojedynczą, ciągle tą samą, że ma wolę wolną i że jest nieśmiertelną. Zaiste wielka im za to wdzięczność się należy, bo jeżeli już w r. 1866 *Józef Szujski* narzekał, że „młodsza generacya po za szkołą z zapalem chwyta się teoryj materyalistycznych“ to dzisiaj fale złego znacznie weszbrały. Wobec grożącego niebezpieczeń-

stwa ma szkoła święty obowiązek wpajać w młodzież sobie powierzoną owe prawdy niezbędnie zasadnicze, bez których nie ostoi się przed pokusą, lecz podobna do liści jesiennych, porwaną będzie pierwszym lepszym podmuchem: „Dzisiaj potrzeba odważnie spojrzeć w oczy złemu, zmierzyć cały jego ogrom, uzbroić się przeciw niemu w nieśmiertelną broń ducha i wiedzy, a przeczuciom i natchnieniu zdobyć podstawę meżkiego przekonania.“ (*Józef Szujski*, teorye materyalistyczne naszego czasu, str. 3).

27. Ale nietylko wzgląd na praktyczne potrzeby, sama logiczność nauki tego się domaga. Czyż słyszano, żeby kto rok cały uczył się psychologii, a nie wiedział, czem dusza? Taki jednak będzie niewątpliwy rezultat, jeżeli profesor nie dopełni braków książki. Ale czy ich dopełni? czy będzie miał na to czas, ochotę lub wreszcie odwagę? A jeżeli tego nie uczyni, to biedny uczeń będzie miał w głowie dwa zdania niepołączone, jedno że on się składa z duszy i ciała, a drugie że właściwie niewiadomo czem dusza i czy jest? Dwa te zdania oczywiście mają się do siebie jak nieśmiała afirmacya a silna negacya, które wydzierają sobie przekonanie młodego umysłu, dopóki zwycięztwo niepozostanie przy stronie silniejszej. Że nią jest negacya, któżby śmiał wątpić o tem. A negacya rozciągnie się powoli na wszystkie inne główne pojęcia. Jeżeli nie wiadomo, ezcum jest dusza, to mniej jeszcze, czy ma władze. Uczy się więc młodzież teoryi władz a żadnej z nich ani definiować nie umie ani powiedzieć na pewno, czy jest. Psychologowie pozostawiają rzecz w zawieszeniu a o najważniejszej z nich wcale nawet nie wspominają. Człowiek nie tylko czuje, chce i myśli, lecz przede wszystkim *żyje*. Czemże więc życie? Nikt sobie z autorów wspomnianych tego pytania nie zadał. A jednak życie jest głównym objawem duszy, trwającym nawet wtedy, kiedy wszystkie inne jej władze zasypiają. Czyż nie wypadało rozwódzić się nad niem? Ale życie jest pojęciem złożonem i bardzo ogólnem. Rośliny żyją i zwierzęta żyją, jednakże nie tem samem życiem. A życie ludzkie nie we wszystkim podobne do zwierzęcego? Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś o tych różnicach. Powinna psychologia zamiast od przypuszczenia, którego nawet dowodzić nie chce, zaczynać od faktów niewątpliwych a pojąć najogólniejszych. Otóż faktem

jest życie ludzkie a pojęciem żywy organizm. Bez tych dwóch podstaw ani kroku uczynić naprzód nie można. Potem wyłożyć trzeba życie roślinne i zwierzęce, bo człowiek z jednym i drugim wiele ma wspólnych objawów. Następnie uchwycić różnice między człowiekiem a resztą żywych organizmów i na tych różnicach oprzeć konieczność nowej odrębnej siły, duszy niematerialnej. Tego wszystkiego brak w naszych psychologiach, z wyjątkiem *Sawczyńskiego*, który jednak swoim stylem, więcej niemieckim niż polskim, prawie niepodobnym się staje w szkole. To też nie mamy dotąd psychologii odpowiadającej w zupełności potrzebom uczącej się młodzieży, choć byłbym niesprawiedliwym, nie dodawszy, że książki *Kautnego*, *Ziemby* i bezimiennego *J. B.* tyle mają zalet, tyle prawdziwej wartości, że umiętny profesor bez trudu uzupełni to, czego w nich nie dostaje, a autorowie bez nadwężenia całości w nowem wydaniu sami mogą usunąć te niedostatki.

Kraków 30 października.

Dr. Stefan Pawlicki.

Przegląd Literacki.

Wojciech Dzięduszycki. Ateny. We Lwowie 1878. Nakładem księgarni Wł. Bełzy.

Gdyby zapytać: czego jest najmniej w naszej literaturze, czy to poważnej naukowej, czy powierzchownej jednodniowej, pokazałoby się może, że najmniej ze wszystkiego jest zajęcia się starożytnym światem greckim i rzymskim i jego znajomości. Jest kilku filologów z powołania i z namiętności, którzy z religijną czcią, z młodzieńczym zapałem i z gruntowną nauką zajmują się językiem, literaturą, historią i cywilizacją narodów starożytnych, a dzięki Bogu są tacy i pomiędzy młodszem pokoleniem. Ale ogół wie mało, troszczy się mniej jeszcze o te stare dzieje: minął nietylko ten czas, kiedy Polak oświecony musiał *expedite* umieć po łacinie, ale i ten nie tak jeszcze dawny, kiedy historia rzymska była nieledwie głównym i pierwszym przedmiotem nauki, kiedy chłopcu łatwiej byłoby uszło mało wiedzieć o Karolu V albo Ludwiku XIV, ale o Brutusie i o Publikoli, o Fabiuszach i Scypionach, o Sulli i o Mariuszu, o Catilinie i o Cezarze musiał wszystko umieć na palcach, jak katechizm i tabliczkę Pithagorasa, których się ledwo trochę wcześniej uczyć zaczynał. W nauce tej było zapewne mało krytyki, była to historia konwencyonalna, panegiryczna, jeżeli tak wyrazić się wolno, cała wyrachowana na to, żeby w młody umysł wbić pamięć i uwielbienie wielkich charakterów i wielkich bohaterów, historia układana dla dzieci przez takich, którzy sami za młodu chowali się na Plutarchu. Ale z tą nauką, może bardzo niedostateczną a nawet dziecinną,

wszczepiała poszanowanie i zamięłowanie starożytności, które zostawało już na zawsze. Dziś nauka sama zgłębiła nierównie lepiej dzieje i oświatę czy Rzymu, czy Grecyi, ale uczeń z niechęcią bierze się do łaciny i greczyzny, kiedy dawniej nie dyskutował wcale ich potrzeby, owszem czuł się podniesionym w swojej własnej opinii, kiedy on, mały żaczek, mógł czytać i rozumieć to, co pisał sam wielki Cezar. Ojciec dziś narzeka powszechnie, że chłopcu jego zabijają czas i zdolność niepotrzebną nauką języków klasycznych, dawniej nie pojmował wychowania i wykształcenia bez tych języków. Może to naturalne: może ta masa potrzebnej nauki tak rośnie, że wszystkiego objąć nie mogąc, opuszczamy to, co nie przynosi bezpośredniej dotykanej korzyści, może tak się w tym wieku zawsze spieszymy, tak nam pilno do jakiegoś celu, że bierzemy z sobą w drogę tylko to, co najkonieczniejsze do codziennego użytku, może czas sam dzisiejszy zmusza nas tak wiele i tak smutno myśleć o sobie, że o czasach dawnych swobodnie myśleć nie mamy sposobu: może być to wszystko, ale może też być, że ludzi prawdziwie wykształconych, umysłów wykwintnych i wytrawnych zarazem, ozdobnych nauką jak niegdyś mówiono, mamy dziś w Polsce mniej niż w minionych pokoleniach. Nie oskarżamy nic ani nikogo, wierzymy, że inaczej być nie może, stwierdzamy tylko tę niewątpliwą prawdę, że trudno mieć upodobanie, sąd, smak i wiadomości prawdziwe w rzeczach literatury i sztuki na przykład, jeżeli się nie zna i znać nie chce tego, na czym się nowoczesna literatura i sztuka kształciła, że trudno bardzo rozumieć historią współczesną, jeżeli się ze starożytnej kilku prostych nauk nie wyciągnęło, że trudno rozumieć naturę społeczeństw, prawa tych zmian i kolei, którym one ulegają, jeżeli się ich nie czytało tam, gdzie one zapisały się najwyraźniej i najzrozumialej, że w czasach kiedy zajmowano się więcej starożytnym światem i jego historią, pisano teorią polityki w dziełach takich, jak *Discorsi* Machiavella lub *Esprit des Lois*, dziś składamy tych myśli przedzę w broszurach i artykułach dziennikarskich.

Nie wytaczając zresztą śledztwa, a tem mniej nie wydając wyroku w tej sprawie, chcemy tylko zrobić to spostrzeżenie, że z wyjątkiem tłumaczeń z autorów starożytnych, które liczbą i wartością przechodzą nasze przekłady dawniejsze, a tłumaczom przynoszą niektóre największy zaszczyt i zasługę, z wyjątkiem *Grecyi* ś. p. Józefa Kremera i Szujskiego *Literatury przedchrześcijańskiego świata*, oddawna na całym obszarze ziem polskich nie wyszło żadne dzieło poświęcone czy literaturze czy cywilizacyi starożytnej, żadna, z wyjątkiem chyba szkolnych książek, choćby tylko z obcych badań skompilowana Historia Grecka lub Rzymska.

Przywykli też do tego, żeby nic nowego w polskim języku z tego zakresu nauki nie spotykać, ze zdziwieniem dostrzeżliśmy za oknem księgarni wystawiony spory tom z napisem: *Ateny*. Autora (hr. Wojciecha Dzieduszyckiego) znaleźliśmy wprawdzie z pomniejszych szkiców, rozpraw lub opisów, ale nie widzieliśmy dotąd książki podpisanej jego imieniem. Nowy autor, to zawsze rzecz ciekawa, zagadka, którą rozwiązać coś ciągnie, znak zapytania, pod którym chce się wiedzieć czy się kryje prawdziwa dusza i inteligencja lub tylko złudzenie jednej i drugiej, prawdziwy szlachetny kruszec talentu czy tylko marny zdawkowy banknot sprytu i frazesu, rzetelna nauka czy fanfaronada i rzucanie piaskiem w oczy, słowem czy istotna prawda duszy, inteligencji, zdolności, powołania i wiedzy, lub też mniej lub więcej zręczne aktorskie tego wszystkiego udawanie. A choć się kto sparzył razy tak wiele, że i na zimne już dmucha, choć na ów znak zapytania często odpowiedzieć sobie musiał ironicznym wierszem Göthego:

„wo der Gedanke fehlt

da stellt ein Wort zur rechten Zeit sich ein,
to przecież nieznane w literaturze nazwisko młodego autora wabić i nęcić go nie przestaje, a ujrzawszy je w księgarskim sklepie, choć doświadczenie „rzecz gorzka“ szepcze mu *guarda e passa*, zatrzymuje się, wchodzi, bierze książkę i czyta.

Zwłaszcza, jeżeli ta książka na karcie tytułowej ma to słowo: *Ateny*! Słowo wielkiego uroku zawsze, a w tym razie zagadkowe jakieś i tajemnicze. *Ateny*, i nic więcej. Cóż to być może? czy historia Aten? czy jaki opis podróży? czy w rodzaju *Aten* Bulwera świetny zajmujący powieściowym sposobem wykonany obraz dziejów i cywilizacji? czy może *Ateny* służą za flagę, pod którą kryje się rozmaity towar wszelkiego rodzaju rozpraw, badań, spostrzeżeń i przedmiotów, coś podobnego do nierzadkich na świecie *Atheneów*? A jeżeli też szczególnie przypadkiem ta rzecz napisana z prawdziwą znajomością rzeczy i zdolnością, a tem ciekawsza i cenniejsza, im mniej mamy dzieł i ludzi poświęconych starożytności? Otwiera się te *Ateny* z uczuciem dość dziwnem i rzadkiem, bez żadnego uprzedzenia na złe ani na dobre, skoro nie wie się o nich nic zgoła, z niedowierzaniem, a zarazem z pragnieniem, żeby to, co się znajdzie, znaleźć dobrem; a nad wszystkim zaś góruje niecierpliwa ciekawość, dowiedzieć się, co w tej książce być może i jakie to być może?

Co? żeby czytelnika długo nie nudzić zagadkami, odpowiemy naprędce na to pytanie. Nie podróż ani opis, nie historia ani historia literatury, nie studjum nad prawem publicznem sławnej Rzeczypospolitej, nie archeologiczna rozprawa o ateńskich *Antiquitates*, ani zwłaszcza (Boże uchowaj) filozoficzno-poetyczne tak zwane *poglądy*. Jestto coś rzadszego

a nierównie trudniejszego, zarazem pomysł oryginalny a przedsięwzięcie bardzo śmiałe, jestto nie historia cywilizacji ateńskiej, ale w kilku rozdziałach obraz Aten w różnych chwilach ich życia, od samych początków, kiedy byt historyczny zaledwo się z mitycznego wyłaniać zaczyna, od tego niejasnego brzasku, do tego krwawego zachodu słońca Aten i Grecyi, którym była wojna Peloponezka. Jestto, jak żeby na jeden dzień, wydarty z każdej epoki w odstępach paru wieków od siebie, autor siebie i nas przenosił do Aten, i pokazywał na-przód ich zewnętrzną fizyognomią, ulice, place, domy i świątynie, potem wewnątrz tych domów i w nich życie ludzi, potem ich życie publiczne, ich rząd, ich sądy, ich organizacją społeczną i wojskową, ich religijne pojęcia, obrzędy i uroczystości, ich zatrudnienia i zabawy, rynki, targi, zgromadzenia ludowe, igrzyska, teatru, wesela, ich ubiory i sprzęty, spiżarnie i piwnice, zaprzęgi i łaźnie, i ogrody.... Historji Aten on nie uczy i nie przypomina nawet, przypuszcza, że czytelnik wie wszystko co potrzeba, tylko chce odtworzyć, odbudować i pokazać, jak było, jak wyglądało w Atenach za Tezeusza, jak za Milcyadesa i za Periklesa.

Zbytecznie mówić, że trzeba odwagi, żeby się na taki zamiar porwać; ale to przypomnieć warto, że kto ma wykonać go dobrze, ten musi wprzód opanować ogromną masę wiedzy, że historia grecka na współczesnych źródłach i w nowożytnych aż do ostatnich krytycznych obrobieniach, że literatura i jej komentatorowie, że filozofia i to co o niej dotąd pisano, że wreszcie wszystkie usiłowania uczonych badaczy i archeologów około odgadnięcia i odbudowania form codziennego powszedniego życia, że dociekania nad mitami, że wszystko to jest konieczną podstawą, bez której dzieło tej treści nie da się pomyśleć, materiałem, z którego trzeba tę esencję wycisnąć. A druga uwaga ta, że dzieło tego rodzaju nie jest bynajmniej przyjemną ale marną w gruncie pracą człowieka zakochanego w starożytności i bawiącego własną i drugich wyobraźnię odgadywaniem i odtwarzaniem jej straconych dziś form i rysów. Zapewne jestto i dla wyobraźni robota niezmiernie pożyteczna, zapewne musi i ona pomagać tu wiele. Ale zajęcie i zabawa to nie jedyny, owszem to najmniejszy plon takiej pracy; jej dostaje się skromna dziesięcina zaledwo, a zbiór cały zagarnia historia i ciągnie z niego pożytek. Wielkie wypadki i wielkie postacie historii, to jej pierwiastek najszlachetniejszy i najważniejszy, ale ta wyjątkowa wielkość, ta piękność nieraz tak wzniosła lub tragiczna ludzi i wypadków, ukazuje nam się najczęściej w historii oderwana od reszty świata i życia. Jak w powodzi sterczy i rozpoznaje się tylko to, co było wysokie, że się zalać nie dało, reszta pod wodą, albo pod „zapomnienia piaskiem“. A przecież te wyżyny i szczy-

ty opierały się na jakichś płaszczyznach, a przecież wielkie chwile i wielcy ludzie, to był liść i kwiat na koronie drzewa, do których nieustannie szły soki przez pień i korzeń. Kto opowiada i daje poznać życie zwyczajne powszednie, ten opisuje właśnie ten korzeń i ten pień, ten pozwala zrozumieć, jakie soki i dla czego wydały takie liście i kwiaty. Historia wypadków samych, to karta geograficzna, na której widzi się, co gdzie jest, ale nie jakie jest: takie zaś studjum obyczaju życia i cywilizacyi robi z mapy obraz, daje rzeczom i ludziom kolor, światło, ruch i życie. Ludzie, choćby najwięksi, będą się przedstawiać, jako ogólne tylko i zimne zarysy, dopóki zarysów tych nie wypełni znajomość ich obyczaju z życia wspólnego, za którą dopiero jako uwieńczenie dzieła może iść znajomość i otworzenie ich życia wewnętrznego, indywidualnego. Nic tak historii nie ożywia, nic jej tak nie rozświeca, nic tak nie ułatwia ściślej, poufałej z nią znajomości, jak takie odkrycia na polu obyczaju i powszedniego życia, nic tak nie budzi zajęcia i zamięłowania do przeszłości, jak znajomość jej posunięta już tak daleko, że pozwala nam widzieć jej życie w każdej chwili i do naszego własnego je odnosić.

I oto pożytek dzieł tej treści. One nie tylko dopełniają i ułatwiają naukę historii, ale ją ożywiają i do niej przywiązują, nadając kolor temu co ona rylcem swoim rysuje. I żeby już nic więcej nie powiedzieć, to uczeń gimnazyalny uczyłby się historii greckiej może z większym zapałem i z większą łatwością, gdyby w jego pamięci i wyobraźni utkwiał ten lub ów bodaj częściowy ale żywy i charakterystyczny obraz tych Aten, których suchy szkielet tylko znajduje w szkolnem kompendyum.

Oto w kilku słowach warunki potrzebne do napisania takiej książki, jej pożytki i znaczenie:

Oto odpowiedź na pytanie: czemu ona jest?

A teraz drugie pytanie: jaka jest? Na to żeby odpowiedzieć prawdziwie ze stanowiska naukowego, żeby autora dopilnować zawsze czy jego rekonstrukcja dawnych Aten zgodna jest z ich rzeczywistością i z ostatecznymi rezultatami naszej historycznej krytyki, na to trzebaby samemu być uczonym w przedmiocie, historykiem i hellenistą. Tym nie będąc możemy tylko powiedzieć, że profan zadziwiony jest tą masą wiadomości, tym zasobem erudycyi jaką u autora widzi. Czego on nie czytał? Grecy, Rzymianie, Anglicy, Niemcy, czy wreszcie nowi Grecy, czytał on wszystkich co bądź o Atenach bądź niegdyś w Atenach pisali, a czytał na prawdę, bo cytuje, bo jak co powie powołuje się zawsze na źródła i na powagi. Czy nigdy i nigdzie nie ma domysłu? To jedno z tych pytań, na które właśnie uczeni tylko mogliby odpowiedzieć. Nam się zdaje że gdzie jest obrazowanie, tam wyobraźnia ko-

niecznie czynną być musi, a chodzi o to tylko, żeby z rzeczywistości a nie sama z siebie snuła to co w obraz układa, żeby domysł jeżeli jest, miał zawsze widoczną podstawę i usprawiedliwienie, a żeby własnego tylko wymysłu nigdy nie było. Na to zdaje nam się autor mieć i nauki i sumiennosci za wiele. A jeżeli obrazuje, to najbardziej skrupulatny nawet historyk za złe mu tego wziąć nie może. U Szajnochy naprzykład, twierdzą historycy, jest poezyi i fantazyi za wiele: wierzymy że to błąd wielki, że przypuszczenia, wnioski, prawdopodobieństwa nie uchodzą tam, gdzie się mówi o wypadkach rzeczywiście zaszłych. Ale nasz autor nie pisze historii, a jeżeli dajmy na to znając formy ateńskich procesów i sądów, opíše taki sąd, i w tych ramach rzeczywistych umieści wypadek, oskarżenie i obronę przypuszczalną, przez siebie wymyśloną, o których zresztą zaraz ostrzeże, że w rzeczywistości takie nie zdarzyły się nigdy, to trudno żeby mu ktoś słusznie robił ztąd zarzut. Że obrazować, streszczać życie w pewnych chwilach i formach lubi, to prawda, ależ to wchodzi właśnie w jego cel i założenie, a że nie tylko lubi lecz umieć, za to niech na niego rzuci kamieniem, kto mu to za grzech poczyta.

Ten dar reasumowania rozsypanych szczegółów i składania z nich obrazu, to jedna jego charakterystyczna cecha i zdolność. Drugą, jest jakiś dziwny i własny sposób pisania i myślenia. A nie mówimy tu o stylu samym: ten jest żywy, niezaprzeczenie samorodny, czasem niby zaniedbujący się (a wtedy posądzamy go o niejaką kokieterią), czasem tak ozdobny, że jeszcze trochę a byłoby za wiele, czasem i nierzadko, pod wpływem żywego uczucia i wrażenia prawie poetyczny (w dobrem prawdziwym znaczeniu tego słowa).

Ale oryginalność autora polega nie tyle w stylu, co w sposobie opowiadania. Identyfikuje on się z ludźmi, o których mówi, wnika w ich duszę, wchodzi w ich skórę, jeżeli można się tak wyrazić. Kiedy opisuje naprzykład ich pojęcia religijne, mówi jak żeby za nich albo jak żeby sam myślał i wierzył jak oni, jak żeby ci bogowie byli jego bogami, a co więcej jego dobrymi znajomymi. Zna ich na wylot, wie kiedy i o co Zeus w złym humorze, kiedy bogowie mogą a kiedy nie mogą pozwolić sobie z nim żartów i poufałości, kiedy Here spuszcza ze swego wielkiego tonu i z majestatycznej królowej bogów i ludzi radaby zostać kobietą, nawet zalotną... umie na pamięć wszystkie olimpijskie komeraże, i mówi o tem poważnie i z uszanowaniem jak ów Ateńczyk, a tylko z lekka samym kątem wargi i powieki daje czytelnikowi ironiczny znak, że się z tego śmieje i śmiać pozwala. Kiedy oprowadza po mieście, albo po domach, możnaby wierzyć, że tam był sto razy, że to jakiś wskrzeszony przedwieczny ateński *cicerone*, albo gość, który w tym domu był sadzany za stołem,

kapany, namaszczone olejkami; kiedy opisuje biesiadę, zdaje się, że na zakończenie powie:

I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem.

Jest to niezaprzeczenie największym może wdziękiem książki, ale zarazem i najwyraźniejszym może dla autora niebezpieczeństwem. Że go od tego niebezpieczeństwa własny talent i dobry smak ochronią, tego jesteśmy pewni: ale nie mniej powiedzieć radzi, w ogólności a nie do pana W. Dżeduszyckiego, że jeżeli ta żywość i obrazowość, ten dar wnikanania w obce dusze lub czasy, jest bardzo cennym przymiotem, to ich nadmiar i nadużycie staje się wielką wadą. Na tej drodze leży realizm, modny dziś wprawdzie, ale w książkach naukowych i historycznych błędny jak wszędzie, błędny jak konwencyonalny idealizm Rollina i jemu podobnych starych historyków francuzkich. Sławny a zdaniem naszym przesławiony panegirysta Wielkiego Frydryka Carlyle już w historii Rewolucyi Francuzkiej nadużył tego daru, który istotnie posiadał. Pochwalony, ogłoszony za najbardziej oryginalnego ze wszystkich historyków świata, jak też zaczął jeździć na tym koniku, jak zaczął we Frydryku mówić niby głośno to co sobie cicho myślał, czy jego ubóstwiony bohater, czy ojciec bohatera, czy matka, czy jego szczęśliwa żona, czy siostra, czy przyjaciele, zrobił rzecz najniesmaczniejszą, najwstrętniejszą, najbardziej nienaturalną na świecie. To nie historyk, to brzechomowca, który z różnych kątów różnemi głosami różnych ludzi udaje.

Od tego nadmiaru naszemu autorowi daleko: a jeżeli w jego stylu pragnęłoby się miejscami więcej prostoty, to w jego przedstawieniu rzeczy niema przesady ani złego smaku. Jest tylko wielkie zamiłowanie świata, który opisuje i wielka jego aż do drobiazgów znajomość, i te dwie rzeczy z dodatkiem umysłu czułego na wszelką piękność, składają się na żywość opisów. Pierwszym, a może i najżywszym, jest opis miejscowości, gór, zatok, dolin, skał, wegetacyi i słońca, które to wszystko złoci. A po tym opisie „ziemi“ następują w pierwszym rozdziale „podania“ nie wyliczone sucho ale oprawione już w te ramy Aten. Autor przechadza się po mieście, zatrzymuje na miejscach pamiątkowych, do których przywiązany jest jaki mit lub legenda, i ten opowiada. W ten sposób składa się w krótkości cała bajeczna historia Aten, ta pierwsza epoka, w której bogowie żyli z ludźmi za pan brat, a jedni do drugich tak byli podobni, że poznać trudno, gdzie i dla czego kończy się śmiertelny bohater półbożek, jak Tezeusz na przykład, a gdzie się zaczyna ten nieśmiertelny do człowieka tak podobny mieszkaniac Olimpu. Epoka w której Palas walczy z Pozejdonem o opiekę nad przyszłemi Atenami,

Dyonysos ze swoim orszakiem odpoczywa gdzieś w cieniu, kiedy z za morza przywozi Aryadnę, Demeter szuka zgubionej córki, ziemia rodzi Erichtoniusza, Egeusz rzuca się w morze, a Areopag ateński rozsądza sprawę między Orestem a ściągającymi go Furiami.

Ale kiedy fantazyja tak pięknie opowiada początki dziejów ateńskich, rzeczywistość wyglądała inaczej na ziemi. Początki to istotnie, pierwsze kroki narodu i cywilizacji, pierwsze budy z kamienia czy chróstu, pierwsze starania około trzody i roli, pierwsze najprostsze pojęcia religijne i moralne, i pierwszy związek rodziny, kamień węgielny społeczeństwa, małżeństwo pojęte jako związek stały i obowiązujący. A jeżeli piękne myty z zajęciem się słuchają i w naszej książce, to z większym chyba czyta się o tych rzeczywistych początkach społeczeństwa i historii o ile one wysledzić się dają.

Rozdział następny ukazuje *Ateny przed Medem*: pomiędzy wiekiem bohaterskim poezji a wiekiem bohaterskim historii. Kraik maleńki, zamieszkały przez ludność dwojaką o różnych pojęciach religijnych i różnych zwyczajach, duża gmina zaledwo ale jeszcze nie państwo, lecz już z widocznym pierwiastkiem cywilizacji w prawach, w obyczajach, w urzędzeniach, w sposobie życia, w jego potrzebach, wygodach i ozdobach. Już dom ma swoje zapasy i porządki, gość hojnie i łaskawe przyjęcie, Bóg świątynię, cudzoziemiec odbył na swój towar i coś do nabycia na miejscu. Dom i przyjęcie gościa, to najładniejszy może ustęp tego rozdziału. Pierwsze stosunki handlowe ze światem zewnętrznym, z osiadłymi na Salaminie Fenicyanami, najlepiej może dają poznać właściwy autorowi sposób traktowania rzeczy. Inny powiedziałby że stosunki te były, i jak wpłynąć mogły na Ateny, ich zamożność i cywilizacyą: tu wschodni handlarze ze swojemi strojami, zajęciami, bóstwami, świątyniami, z krwawemi i rozpustnemi instynktami ich samych i ich bogów: po drugiej stronie Ateńczycy jeszcze nieśmiali, już ciekawi, znęcani widokiem rzeczy, których u siebie nie mają, układają się znowu w obraz, któremu nie brak ruchu ani kolorytu.

Żal nam że epokę najpiękniejszą, epokę Maratonu i Salaminę autor przeskoczył. W ralszych rozdziałach opisuje on *miasto i ludzi, dom i państwo, rok attycki* podzielony podług świąt bogów i spraw państwa, w tej chwili samego niby południa i blasku ateńskiej cywilizacji i chwały, ale południa w którym znać już bliskość wieczoru, blasku który się chyli do zachodu, w początkach wojny Peloponneckiej.

Nie byłoby to z dobrem ani autora ani czytelnika, gdybyśmy po szczególe i obszernie przytaczać chcieli zawarte w tych rozdziałach obrazy, obaj wyjdą na tem lepiej jeżeli się sami bezpośrednio poznają. My więc, oznajmivszy w krótkości, że

czytelnik znajdzie tam i fiziognomią miasta, i urządzenie domu, i codzienne życie mężczyzn jak kobiet, i instytucje, i rząd, i teatr, i igrzyska i obrzędy i nawet Eleuzyjskie tajemnice, i zgromadzenia ludu na Agorze czy Pnyxie, że przeczyta to łatwo i lekko jak powieść, a dowie się wielu nowych i ciekawych rzeczy, i wreszcie że rozdział ostatni jest krótkim opisem Aten dzisiejszych, przejdziemy do tego czego z żalem w książce nie widzimy.

Nie są to rzeczy ważne ktoreby ujmowały jej wartości, ale jedna byłaby jej dodała wdzięku, a druga byłaby jej dała naturalne i nauczające zakończenie. Żałujemy tedy na-przód, że traktując już swój przedmiot tym obrazowym sposobem, autor nie wciągnął w swój plan ani jednej znanej historycznej postaci, ani jednej historycznej a choćby tylko anegdotycznej i charakterystycznej sceny. Czytelnik zająłby się książką jeszcze żywiej, gdyby tu lub owdzie spotkał w niej szkic tego co zna i pamięta z historii, a nie tak opowiadaniu nie daje życia jak żywe postaci i rzeczywiste ludzkie imiona. Autor nie może nie czuć że wymyślony przez niego proces wodzów jest jednym z najwyższych ustępów książki: a tem wyższym jeszcze i bardziej zajmującym byłby taki, któryby opisywał wygnanie Aristidesa, oskarżenie i śmierć Sokratesa? jak pięknie wyglądałby w obrazie jakiś epizod ateńskiego życia, którego środkowym punktem byłby Alcybiades?

To jeden nasz żal. A drugi, że autor zatrzymał się na wojnie Peloponezkiej. Gdybyśmy książkę taką pisać mogli i mieli, to ostatni jej rozdział pokazałby Demostenesa usiłującego nadarmo wstrzymać nad przepaścią Ateny lecące dobrowolnie na oślep do zguby, i panowanie macedońskie tuż, tuż zawieszone nad miastem, po panowaniu retorów, sofistów i popularnych demagogów. Byłoby to naturalną konkluzją i moralną nauką, której autor niepotrzebowałby był nawet wyciągać i wskazywać, jest zbyt widoczna i sama na wierzch wychodzi.

A w końcu jeszcze jedno pytanie. Czy autor mówiąc o ateńskim teatrze na prawdę przyznaje Eschylowi mało dramatycznych zalet, nazywa go zbyt strasznym a bohaterów jego zbyt kolosalnymi? Czy chciałby istotnie żeby *Prometeusz* był mniejszym, a *Eumenidy* mniej strasznymi? czy może wskazać w całej tragedji świata dramatyczniejsze sceny i efekta, jak powrót Agamemnona, przywitanie go przez żonę, i jego śmierć?

To zmniejszenie kolosalnego istotnie poety bogów i bohaterów, jest jedynym jaki nas nieprzyjemnie uderzył, tonem fałszywym w książce pana Dzieduszyckiego, jedynem zdaniem na które zgodzić się nie możemy. O inne spierać by się z nim mogli uczeni, i może zdołaliby zrobić mu i utrzymać nie jeden zarzut, ale to już nie nasze pole i nie nasza rola.

My ze stanowiska prostego a w tych rzeczach nie biegłego sprawozdawcy, możemy powiedzieć tylko, naprzód, że książkę przeczytaliśmy z wielkiem zajęciem i przyjemnością: a powtóre, że z wielką radością zobaczyliśmy wśród nas człowieka, który ma dość nauki, zdolności, swobody umysłu i zamiłowania rzeczy, żeby się starożytnością zajmować, badać ją, i o niej pisać. Że winszujemy autorowi tego zapału i tej znajomości greckiego świata i życia, tego zmysłu i przywiązania do piękności, które w książce jego biją głośno jak jej żywotne tętna, że cieszymy się szczerze dla niego i dla nas, temi pięknymi wrażeniami, po które do Grecyi jeździł a których plon tak dobrze zebrał i przechował. Nie ma zapewne takiego, kto mogąc nie byłby rad zobaczyć odkopanego po wiekach Pompei a w niem tak żywych jeszcze i tak zupełnych pomników dawnego życia i cywilizacyi. Nauka i zdolność ofiarują nam widok podobny, nie tak przejmujący oczywiście ale bardzo zawsze zajmujący, kiedy nie odkopują ale odbudowują dawne Ateny, tak że nie okiem, prawda, lecz myślą i wyobraźnią zobaczyć je można. Prace tego rodzaju są dowodem, że nauka nie zasklepia się w jednych tylko formach i kierunkach, ale uprawia różne pola, żyje różnorodnem wielostronnem życiem, a więc są znakiem także nie obumierającej lecz owszem rozwijającej się oświaty i cywilizacyi. Nic dziwnego, że się je wita i czyta z prawdziwą radością.

St. Tarnowski.

Przegląd polityczny.

Kraków 30 października.

Możnaby przegląd polityczny tego miesiąca zacząć od końca, to jest od wyników tych spraw, które przez ciąg całego miesiąca zajmowały umysły, a były niemi: sprawa ugody z Węgrami; traktat cłowy i handlowy austriacko-niemiecki; interpelacye w Radzie państwa wiedeńskiej i w sejmie węgierskim o zajście siedmiogrodzkie i o neutralność Austrii; przeniesienie obrad nad adresem sejmu galicyjskiego do koła polskiego w Wiedniu; wybory we Francyi; wędrówka Crispiego po stolicach europejskich; otwarcie sejmu pruskiego i ustąpienie ministra spraw wewnętrznych; wreszcie dalszy przebieg dyplomatyczny kwestyi wschodniej i działań wojennych.

Materyał zaiste obfity, a którego różnostronność nie dozwala wyczerpać go; jak znów wiele z niego już tylko historyczną ma dziś wartość, chociaż do niego, jak do priorów, mówiąc językiem biórowym, wypadnie może nieraz zajrzeć dla zrozumienia faktów lub skutków.

Przedewszystkiem zaczynając od rzeczy domowych, jako najbliższych, a wcale niepoślednich, bo mogących wywołać zawiłkiania wielkiej doniosłości, wrócić potrzeba do owej redakcyi adresu sejmu lwowskiego, która wchodząc w zakres polityki międzynarodowej, stała się powodem zamknięcia sejmu przed wniesieniem adresu na stół Izby. Myśl przewodnia takiej redakcyi adresu przeniosła się z delegacją sejmową do Wiednia i dostała się na posiedzenie Koła polskiego jako wniosek o in-

terpelacyę przez p. Ludwika Skrzyńskiego; nie sformułował jednak ten wniosek samejże interpelacyi, mającej umotywować postawienie wniosku, lecz majączyła w tem żądaniu myśl, jaka przebijała w nieprzyszłym do skutku zmienionym adresie sejmu lwowskiego. Nie można zaś zataić, bo rzecz to widoczna dla każdego, że szło głównie i jedynie o to, aby znaleźć jakikolwiek sposób wciągnięcia sprawy polskiej w odmet kwestyi wschodniej, a jest to ta sama myśl, która radziła tworzyć legiony polskie na pomoc Turkom, oraz przygotować kraj na przypadek, gdyby dyplomatyczna interwencya Europy w sprawę wschodnią, zamieniwszy się w interwencję zbrojną, sprowadziła podział Europy na dwa obozy, jeden walczący w interesie Rosyi, drugi w interesie Turcyi. Atoli nie zanosilo się i nie zanosi na taki w danym razie podział Europy, nawet na taki, jaki przedstawiał się w ostatniej wojnie wschodniej, której programem i rezultatem miała być obrona Turcyi i wciągnięcie jej w koncert europejski. Tak adres sejmowy lwowski w poprawnem czyli zmienionem brzmieniu, jak wniosek o interpelacyę, miały chyba postawić rząd austriacki w alternatywie: z Turcyą albo z Rosyą, zamierzwszy go niejako wysadzić z roli neutralnej, której utrzymanie uznał on za jedynie zbawcze w obecnem położeniu, dające jaką taką siłę do oparcia się ponętom rosyjskim i naciskowi pruskiemu. Powodzenia oręża tureckiego ułatwiły Austrii tę rolę, ale nie postawiły jej bynajmniej w możności wystąpienia przeciw Rosyi, bo jeśli wytrwałość Turków wystarczyła dla powstrzymywania pochodu wojsk rosyjskich, nie posiada armia turecka sił dostatecznych, aby wojnę odporną przemienić w zaczepną, wyprzeć wojska rosyjskie za Dunaj i przemieścić wojnę w posiadłości rosyjskie. Gabinet angielski, któremu bardzo wiele zależy nie tak na utrzymaniu Turcyi, jak na pokonaniu Rosyi, wcale się nie odważył robić Austrii propozycyę wystąpienia przeciw Rosyi, jak to marzyli w kraju naszym ci, co neutralność Austrii narazić chcieli.

Gabinet austriacki można pod względem polityki zagranicznej nazwać śmiało gabinetem węgierskim, bo przeciez nikt nie posadzi kierownika zewnętrznej polityki monarchii, aby nie był patryotą węgierskim i nie pragnął szczęścia i rozkwitu przedewszystkiem swojej właściwej ojczyzny, a przeto, aby prowadząc politykę, nie miał głównie Węgier na oku. A coż byłoby popularniejszego w Węgrzech, jak wojna z Rosyą? Każde zwycięstwo tureckie obchodzone tam było demonstracyjnie, a lada podmuch wystarczyłby, aby wywołać ruch zbrojny. Jednak hr. Andrassy nie dla samej Austrii, ale i dla Węgier stara się utrzymać neutralność i unika tego wszystkiego, coby mogło ją skompromitować i dać w Berlinie powód, choćby nawet do skarg, nie dopiero do oznak groźnych, lub coby mogło być użyte na wytłómaczenie i usprawiedliwienie sojuszu

niemiecko-włoskiego. To też kiedy w Siedmiogrodzie wpadnięto na ślad, czy też cień śladu jakiegoś spisku, mającego na celu dywersję w Rumunii dla przerwania kolei żelaznych utrzymujących związek z Rosyą, prezes gabinetu węgierskiego p. Tisza poruszył wszystkie sprężyny, aby zapobiedz takiemu krokowi, któryby rząd musiał skarcić surowo, a może sam nawet byłby padł jego ofiarą dla uratowania pozycji monarchii. A gabinet Tiszy nie jest wcale rewolucyjnym, chociaż członkowie jego stali w opozycji, gdy stronnictwo Deaka dzierżyło panowanie i uważali je za zbyt ugodowe, za zbyt austriackie; gabinet Tiszy jest też tak dalece węgierskim specyficznie, że aż graniczy o unię osobową, to jest o „odrębność“ Węgier; więc nie tyle zważa na dobro ogólne monarchii, jak raczej na wyłączne dobro Węgier. Nie uważał jednak za korzystne, aby neutralność Austro-Węgier w czemkolwiek mogła być podana w wątpliwość, lękając się, aby zamiast ocalenia Turcyi od Rosyi, nie zwałił na Austro-Węgry całej potęgi zjednoczonych Niemiec i Włoch.

Pamiętne jest słowo polityka rosyjskiego, który rzekł, że przez Wiedeń droga do Konstantynopola. Po dwakroć Rosya pominęła ten axiomat i po dwakroć nie dopięła zamierzonego celu. Dybicz wiódł armię przeciw armii; Paskiewicz radził już użyć przeciw Turcyi żywiołów słowiańskich i gotował zawiązki legii bułgarskiej, lecz cesarz Mikołaj obawiał się wszelkich ruchów z rewolucyą związek mających; sam zawdzierczając wyniesienie swoje na tron rewolucyi, uważał ją za miecz obosieczny, który przeciw niemu zwrócić się może. Dlatego w wojnie wschodniej odrzucił pomoc rewolucyi w krajach tureckich, jak przedtem stanął z pomocą Austrii przeciw rewolucyi w Węgrzech. Od tego czasu nie Rosya osłabiła Austryę. Dokonali tego raz po raz Napoleon III i Bismarck, i tym sposobem zmniejszyli siłę odporu, jakaby Austrya stawiać mogła Rosyi na Wschodzie. Wojna terażniejsza może jednak nieco wcześniej rozpoczętą została. Jeszcze narodowość polska pod rządem rosyjskim nie została zupełnie wytępioną, jeszcze pansławizm nie przesiąkł na wskrós Czechów, jeszcze schizma nie zdzyuniowała Galicyi wschodniej a rząd węgierski żelazną dłonią zaciężył na apostołach idei słowiańskiej, co się niegdyś rozeszli byli z pod góry ś. Marcina w północnych Węgrzech i na Kroatach; słowem droga do Wiednia nie była jeszcze utorowaną, zanim ruszono na Konstantynopol.

W Austrii dwa prądy walczyły i dotąd walczą pod względem stanowiska monarchii wobec kwestyi wschodniej; pierwszy z tych prądów jest anti-rosyjskim, drugi szuka w sojuszu z Rosyą sposobu wyswobodzenia się z pod nacisku Niemiec i powetowania na Wschodzie strat w Niemczech i Włoszech doznanych. Ten drugi prąd byłby przedewszystkiem

musiał poświęcić Polaków i Węgrów dla idei zaborczej, a w szczególności poświęcić Polaków w Galicyi interesom Rosyi a Węgry rozsądzić panslawizmem; natomiast pierwszy nie stawiał żadnego programu dodatniego, a następczał niebezpieczeństwa koalicyi niemiecko-włoskiej przeciw Austrii. Gabinet uchylił jedną i drugą alternatywę i postanowił wytrwać na stanowisku neutralnem. Może tej neutralności nie zachowuje tak ściśle, jakby mu do tego służyło prawo, ale neutralność ta musi się oglądać na domniemanego w obecnej wojnie zwycięzcę, który nie przebaczyłby później Austrii, gdyby ta każdy kęs chleba, każdy suchar posłany zgłodniałemu żołnierzowi zatrzymywała w drodze. Rządowi austriackiemu idzie głównie o zasadę neutralności i nią zastawia się i zastawiać na przyszłość może.

Zasada ta nakazała mu niedopuszczyć adresu do sejmu lwowskiego; zasada ta zmusiła do milczenia delegację polską w Radzie państwa, i to nie tylko przez wzgląd na interes dobrze zrozumiany monarchii, ale niemniej na interes Polski, tak tej jej części, która wchodzi w skład państwa Austriackiego, jak i tej, która wystawioną jest pod innemi rządami na ciężki żywot ucisku i prześladowania. Polacy pod rządem rosyjskim są jakby zakładnikami, na których wziętoby odwet za każdy krok wymierzony przeciw Rosyi przez rodaków ich w tutejszej dzielnicy. Pojmujemy, że jak Głogowianie, co niegdyś poświęcili dzieci swoje i patrzyli z murów na śmierć ich, gdy otrzymali pewność, że już im spieszą Polacy na odsiecz przeciw Niemcom, mogliby Polacy Galicyi poświęcić Polaków z za Wisły, gdyby pewnymi byli odsiecz; ale czyby takie lub owakie podniesienie kwestyi polskiej w Reichsracie wiedeńskim mogło mieć znaczenie odsiecz, lub tylko byłoby się ograniczyło bądź na zaspokojeniu miłości własnej, bądź nawet na zamanifestowaniu wobec Europy, że Polacy żyją i czują, a przeto że Polska nie zginęła i zginąć nie może, dopóki oni sami nie tracą wiary w jej odrodzenie. Ależ Bogu dzięki, lubo Europa niejednokrotnie sankcyonowała różne gwałty na Polsecie i Polakach dokonane, nie śmiała nigdy posądzić Polaków, aby zapomnieli i wszelkiej wyzuli się nadziei; nie potrzebuje przeto, aby jej wciąż to przypomniano, a przypomnienie takie jeśli nie w porę zrobione, wcale nie przyspiesza sprawy, którą wtedy dopiero Europa podjąćby mogła, gdyby między uczestnikami rozbioru przyszło do walki stanowczej, lub gdyby Rosya skutkiem czy klęsk wojennych, czy wewnętrznych waśni, zmuszoną była nie w imię panslawizmu liczyć na Polaków, ale szukać w nich tarczy. Skoro zaś Niemcy popierają całym wpływem polityki swej Rosyę i z tego powodu Austriya zniewoloną jest zachować neutralność, gdzież jakiegokolwiek widoki dla Polski? Jedynym Polaków obowiązkiem może być

w obecnych okolicznościach konserwować wszystko, co Polska posiadała zalet i przymiotów, cnót i zasług, a nabywać, czego jej brakowało: roztropności, rozwagi, wytrwałości, cierpliwości, oszczędności sił wszelakich, moralnych i ekonomicznych, wreszcie tej karności społecznej, bez której każdy naród będzie szarpanym przez ambicje ludzi chciwych władzy, zarozumiałych lub zuchwałych, przez gorących ale słabego umysłu patriotów, albo nawet przez intrygantów bez żadnej rękojmi, nietylko rozumu ale nawet uczciwości. Ktokolwiek odradzał od kroków, mogących narazić rodaków z zaboru rosyjskiego na nowe przesładowania, a sprawie publicznej zamiast pomocy szkodę wróżących, tego okrzyczał tłum niekarny a dający ucho onym intrygantom lub nawet ludziom złej woli, za przedanego Moskalom, a jednak ci to właśnie kusiecie, lub choćby tylko szaleńcy, kraj wiedą do zguby.

Pod wpływem tej pokusy wygotowana we Lwowie odezwa do Koła posłów polskich w Radzie państwa, odeszła do Wiednia. W odpowiedzi na nią Koło przez swego przewodniczącego przesłało dziennikom we Lwowie i Krakowie wychodzącym, następujące pismo, które pod względem formalnym zastrzega się przed zastosowaniem tak zwanego *mandat impératif*, a więc broni niezawisłości poselskiej; a co do rzeczy, mówi o zabiegach nieprzyjaciół radzi rozważyć, aby nie stać się narzędziem dla celów obcych a szkodliwych.

Rzeczony pismo brzmi:

„Koło polskie otrzymało z kraju znaczną liczbą podpisów zaopatrzoną odezwę w przedmiocie zachowania się posłów polskich w sprawie wschodniej. Nie mogąc każdemu z podpisanych na odezwie obywateli z osobna odpisać, Koło pozwala sobie użyć pośrednictwa krajowych dzienników i uprasza Szanowną Redakcję o umieszczenie w piśmie swoim następującej odpowiedzi:

„Koło posłów polskich pojmuje i ocenia należycie uczucia, które spowodowały wielu obywateli do podpisania odezwy wystosowanej do nas z żądaniem wyjawienia w Izbie deputowanych życzeń kraju co do stanowiska Monarchii w sprawie wschodniej.

„Obowiązek poselski nie dozwala nam jednak kierować się w działaniu parlamentarnem uczuciem tylko, chociażby najszlachetniejszym; — przeciwnie, względ na nietajne nam zabiegi nieprzyjaciół sprawy narodowej nakazuje nam postępować z jak największą rozważą, aby nie służyć za narzędzie do osiągnięcia celów nam obcych, a nawet szkodliwych.

„Nie są nam pewnie obojętne zdania obywateli, ale wobec odpowiedzialności ciężającej na nas wyłącznie za postępowanie

nasze w Izbie, odpowiedzialności, której nikt za nas na siebie wzięć nie może, musimy zastrzedz dla Koła polskiego wolność postanowienia tak co do wyboru środków parlamentarnych, jakoteż i co do czasu, w którym mają być przedsiębrane.

„W chwili tak pełnej grozy niech nam wolno będzie wyrazić nadzieję, że współobywatele nasi nie zechcą brakiem cierpliwości i wyrozumiałości osłabiać naszego stanowiska wobec niechętnych krajowi żywiołów; niech nam wreszcie będzie wolno upraszać rodaków, aby rozwinęli tę prawdziwą miłość Ojczyzny cechującą przezorność, która jedynie może zachować naród od nowych klęsk, podczas gdyśmy jeszcze niedawno poniesionych nie przeboleli i nie powetowali.

„Co do nas — nie mogąc w tej chwili zadość uczynić wyrażonym nam i przeciw nam uczuciom, życzeniom i żalom, spokojnie oczekujemy sądu kraju, w przekonaniu, iż znajdujemy się w zupełnej zgodzie z przeważającą większością narodu, dającego rzadki w dziejach naszych dowód cierpliwości, wytrwałości i tej odwagi, która w czasach burzliwych potrzebna jest nie tylko do spełniania czynów pożytecznych, ale także i do zaniechania szkodliwych.

Wiedeń 13 października 1877.

Przewodniczący Koła polskiego

Grocholski.“

Skutek pisma tego był taki, że zamiast ukoić i na drogę roztropności naprowadzić niekarną rzeszę, garstka wyborców wezwała posła miasta Lwowa p. Juliana Czerkawskiego, aby się przed nią stawił i zdał sprawę z czynności delegacji. Drugi poseł lwowski p. Smolka lękając się ostracyzmu, wołał zamiast zająć stanowisko zasadnicze, korzystać z zastrzeżenia zrobionego przy wyborze na członka Wydziału krajowego, aby złożył mandat do Rady państwa w oznaczonym czasie, i nie czekając tego terminu, pospieszył do Lwowa zasiąść w Wydziale krajowym. Dr Julian Czerkawski uznał zebranie kilkuset obywateli w d. 23 października za równoważne tym kilku tysiącom głosów, które go wybrały, tłómaczył się z swego zachowania się obszernie, ale nie uzyskał *absolutorium* i złożył mandat warunkowo, czyli raczej złożyć go przyrzekł później. Ciekawem jest to jego oświadczenie usiłujące pogodzić obowiązki posła wybranego z posłuszeństwem dla zebrania ratuszowego we Lwowie, z czego wynika, że ani pierwszych nie pojmuje w całej mocy, ani drugiemu nie poddał się bezwzględnie. Oświadczenie jego opiewa:

„Do Szanownych Wyborców miasta Lwowa!

„Na zebraniu publicznem, które się odbyło dnia 23 b. m. w sali radnej miasta Lwowa, oświadczyłem w sprawie zachowania się mego w Delegacyi do Rady państwa, iż dwa razy byłem za zabieraniem głosu przez Delegację polską z powodu kwestyi wschodniej; iż następnie stawiałem w kole polskiem i broniłem samoistnego w tym względzie wniosku; iż nareszcie ostatnim razem, to jest w końcu września b. r. byłem przeciwko wniesieniu interpelacyi opartej na szkodliwych dla nas traktatach paryskich z r. 1856, również jak i przeciwko wniesieniu interpelacyi opieranej na motywach podrzędnych lub takich, któreby uwłaczały zasadzie „wolnego rozrządzania każdego narodu samym sobą“.

„Na takie oświadczenie z mojej strony, zgromadzenie uchwaliło większością, iż się z mojem zapatrywaniem i postępowaniem w Delegacyi nie zgadza.

„Powstała ztąd dla mnie wątpliwość, ażali jestem jeszcze w zgodzie z większością wyborców. Skutkiem tej wątpliwości postanowiłem złożyć mandat poselski, który dotąd piastowałem, napowrót w ręce tych szanownych wyborców, którzy mi go powierzyli.

„Formalności do tego potrzebnej dopełnię natychmiast, skoro opuszczenie miejsca śród walki parlamentarnej w Wiedniu, stanie się możliwem i po zdaniu sprawy przed Delegacją, dla której jako broniący interesów kraju na trudnem stanowisku i wobec przemożnych przeciwników, złożenie mandatu przez któregokolwiek posła nie może być obojętne.

„Takiem zaś dopełnieniem ostatniej w charakterze poselskim czynności, chcę zadość uczynić obowiązкови ciężącemu na każdym obywatelu: *uszanowanie swego kraju i jego reprezentacyi*; równie jak złożeniem mandatu miło mi będzie dać wyraz uległości dla moich wyborców.

Lwów dnia 26 października 1877.

Dr Julian Czerkowski“.

Obecność posłów polskich w Wiedniu była potrzebną rzeczywiście. Nalegali z tego powodu na kolegów ci posłowie, którzy gorliwy brali udział w sprawach finansowych i podatkowych, bezpośrednio kraj nasz obchodzących. Zapadła też niekorzystna dla Galicyi uchwała o podatku od wyrobu wódki, który jest niemal jedynym przemysłem u nas, ściśle związanym z rolnictwem.

Przez cały prawie październik pracowały tak Rada państwa jak sejm węgierski nad sprawami podatkowymi, ale właściwie politycznym przedmiotem obrad obu parlamentów, było

przedłużenie ugody między obu połowami monarchii, która stosunek ich ekonomiczny warowała i tylko 10-letnim traktatem była zapewniona. Traktat handlowy i stanowisko banku narodowego austriackiego wobec obu rządów stanowiły przedmiot tej ugody. Skoro jednak rząd austriacki prowadził rokowania o traktat handlowy z Niemcami, należało przeto tak ułożyć warunki, aby w traktacie tym obie połowy monarchii znalazły obronę swoich interesów. Między Austryą i Węgrami zachodzi bowiem niemała różnica produkcyi. Węgry są krajem wyłącznie płody surowe produkującym, a przeto mniej dla nich korzyści przedstawia system ceł opiekuńczych, niż wolność handlowa; natomiast bogatsze i ton nadające prowincye monarchii Austriackiej, jak właściwa Austrya, Morawa, Czechy, Szląsk, Styrya, potrzebują dla swoich wyrobów przemysłowych opieki, lubo inne prowincye, przedewszystkiem zaś Galicya, bliżej stoją pod tym względem Węgier.

Dla ułożenia taryfy względnej, wypadało poznać żądania pruskie, a jednak rząd niemiecki ociągał się z stanowczemi ofertami, tak, iż ugoda austriacko-węgierska nie mogłaby bez rozpoznania żądań niemieckich przyjść do skutku, jeżeli rzeczywiście był zamiar związania się handlowo z Niemcami. Dopiero ostatniemi dniami przekonano się, że w Berlinie chciano rzecz puścić w odwłokę, aby z góry nie przesądzać swego stanowiska. Z tego też powodu oba gabinety, austriacki i węgierski, przyjęły udziałną taryfę, bez względu na stosunki z Niemcami, tak, iż jeźliby teraz miało przyjść do rokowań z Berlinem, już będą ze strony austriacko-węgierskiej stały gotowe zasady, od których odstąpić nie da się bez wielkich parlamentarnych rozbiorów. Sprawa banku przyszła z kolei, jako część ugody, pod obrady. Zależy ona na rozstrzygnięciu: czy ma istnieć jeden bank wspólny dla obu połów monarchii, lub też dwa banki osobne, a w pierwszym razie: jaki wpływ mają oba rządy wywierać na wspólny bank państwa, a nawzajem, jakie bank znaleźć może bezpieczeństwo w każdym z osobna skarbie. Ugoda musi w całej pełni zapaść przed upływem roku bieżącego, jeżeli istnieć ma nadal system dualizmu.

Dnia 21 października ukończone zostały we Francyi wybory nowej Izby deputowanych. Ostateczny ich wynik jest według normy przyjętej dla oznaczenia ryczałtowego stronnictw: 320 deputowanych republikańskich, 210 konserwatywnych. Inaczej możnaby nazwać oba te obozy a właściwiej: mniejszość obozem rządowym, większość obozem opozycyjnym. Wszelako podział ten utrzymać się stale nie zdoła, bo jeśli inny gabinet przyjdzie do władzy, nastąpi zmiana stosunku liczbowego i grupy inaczej będą się układały. Agitacya wyborcza prowadzoną była z wielką taktyką ze strony opozycyi, bo ta miała stale naznaczonych kandydatów po rozwiązaniu poprze-

dniej Izby, w liczbie 363, a przeto nie potrzebowała układać dopiero listy kandydatów i rozdzielać ich po okręgach wyborczych, a liczba wyborców była tym razem znacznie większą; wszelako straciła opozycya 43 głosów, co lubo nie przewagi jej liczebnej nie zachwiało, wszelako moralnie podkopało ją. Opozycya bowiem składa się z tak różnorodnych żywiołów, że trzyma ją może tylko razem wspólny interes obalenia rządu. Ale gdy rząd ten nie przez sam gabinet jest reprezentowany, ale oraz przez naczelnika państwa, przeto ze względu na niego zachwiały się niektóre grupy opozycyjne. I na tem też buduje rząd nie nadzieję utrzymania gabinetu obecnego Broglie-Fourtou, ale nadzieję niedopuszczenia skrajnej lewicy do władzy. Agitacya wyborcza odbywała się pod auspicjami Gambetty, a zatem partyi radykalnej. Gambetta jednak zbyt jasno widział, że on w osobie swojej nie zdoła skupić interesów stronnictw umiarkowanych a jednak republikę uznających jako formę czy potrzebną, czy możebną. Dla tego stawiał jako głowę przyszłego rządu byłego prezesa Izby, Grévy, jego popierał, jego naprzód wysadzał, sam w fałdach jego władzy konsularnej ukrywał swój urząd trybuna. Grévy miał służyć za parawan, który się łatwo da usunąć, skoroby wszystkie role już były rozdane. Byłoby to coś podobnego do rewolucyi pałacowej, gdzie zmiana osób dokonywa się w ciągu jednej doby. Kiedy Gambetta pewnym już był zwycięstwa, zdradził się zbytnią szczerością. W jednej bowiem z takich mów swoich przedwyborczych, z którymi objeżdżał Francję, wypowiedział otwarcie, że lubo nie jest gotowym, ale ma nadzieję, iż przyjdzie niebawem chwila, kiedy będzie mógł zawładnąć Francją. Ta jego spowiedź nie tyle wpłynęła na wyborców, ile raczej na wybranych. Deputowani lewego środka weszli z Mac-Mahonem w układy i przejdą może do jego obozu, jeśli on zrobi półzwrotu ku nim. Nie jest to zaś ta część lewego środka, która już ku lewicy dochodzi i z nią wspólnie utworzyła gabinet Simona, ale ta jego część, która ku prawemu środkowi przechylić się gotowa.

Dawniej chodziło we Francyi o wybór między monarchią a republiką, i gdy żadna z tych form nie znalazła gotowej większości, zgodzono się, aby czas siedmioletnia zostawić do wyrobienia się zdania. Już dziś, gdy pięć lat upływa owego terminu, niema więcej mowy o monarchii, ale jeszcze nie rozstrzygnięto, jaką ma być republika. Konstytucya nie dała nawet pod tym względem żadnych podstaw, co świadczy, iż podstawy te leżą więcej w obyczaju i w socyalnych, niż w politycznych warunkach. Ponieważ we Francyi więcej wyrobiło się poczucie równości, niż poczucie wolności, bo pierwsza jako socyalna, mogła bez względu na formę rządu wytrwać pod każdym, druga zaś jako polityczna, ulegała stosunkom politycznym i administracyjnym urządzeniom państwa, przeto skłon-

ność do radykalizmu musi znajdować w republice wielkie ułatwienie praktycznego zastosowania. Trudno też Francję wyobrazić sobie jako republikę konserwatywną. Jest ona dziś republiką dla tego tylko, że zamiast jednej dynastji, ma trzy, z których każda liczy swoich stronników, że poczytują republikę za rząd tymczasowy, mający przygotować umysły do przyjęcia tego monarchy, którego każda partya uważa za prawowitego. Republika będzie przeto polem nieustających walk dynastycznych, czy umiarkowany będzie miała charakter lub radykalny — tylko że rodzaj walki może być odmienny, raz prowadzić się ona może otwarcie, drugi raz tajnemi drogami.

Wśród takiej walki wewnętrznej nie może Francya myśleć o swoich politycznych interesach na zewnątrz. Dla tego nieprzyjaciele Francji zawsze żywić starali się jej niezgody wewnętrzne, a może tajne archiwa dyplomacyi wykazałyby, jaki wpływ wywierały obce rządy na wewnętrzne stosunki Francji, a nawet jaki udział miały obce rządy w różnych rewolucjach francuzkich. Pamiętamy, że lord Normanby raz coś o tem natrącił z powodu zawiązywania stosunków między Francją a Rosją, które rozbić usiłował. Nie przeczuwał tego Odillon Barret, kiedy urządzał pamiętną biesiadę, której toasty wstrząsnęły tronem Ludwika Filipa.

Obecnie polityka pruska to samo ma przed sobą zadanie. W Berlinie tak zagorzałymi okazują się radykalistami i republikaninami, iż Most, Bebel i Liebknecht, którzy odsiadują za swoje socyalistyczne grzechy, mogliby znaleźć łatwą obronę, gdyby tylko dostali do rąk noty księcia Hohenlohe i instrukcye przesyłane mu do Paryża, albo udzielane mu ustnie. Nie tai się nawet urzędowa prasa berlińska ze swojemi dla Gambetty sympatjami i wygląda z tęsknotą przyjścia jego do władzy. A ma w tem interes podwójny: raz, że radykalny rząd francuzki zamiast o stanowisku Francji na zewnątrz, będzie myślał nad sposobami przeobrażenia socyalnego, nad ujarzmieniem kościoła, rozbiciem kraju, osłabieniem ducha wojennego, że otworzy wolne pole popisów wszystkim doktrynom socyalnym, prowadzącym do rozbicia społeczeństwa, powtóre, że Francya pod rządem radykałów weszłaby wespół z rządami niemieckim i włoskim w przymierze dla obalenia władzy papieskiej.

Związki Niemiec z Włochami datują, jak wiadomo, od wojny prusko-austryackiej. Z natury rzeczy Włochy w Prusach zmuszone są szukać obrony, odkąd Francya nie ciąży na nich swoją opieką. Przyszły wybór Papieża jest dotykającym punktem wspólnego obu tych państw interesu, a misya prezesa Izby Crispiego zdaje się zostawać z tą kwestją w łączności, Crispi uważanym jest za przyszłego ministra sprawiedliwości i wyznań. Pragnie on przygotować się do tego urzędu omó-

wieniem z rządami zagranicznymi przyszłego wyboru Papieża. Ustawa o rękojmiach papieztwa nie zadawałnia go wcale; pragnąłby on jako radykał, jeżeli nie znieść instytucję papieństwa, to przynajmniej powagę jej podkopać, uczynić ją, ile można związaną z interesem państwa a nawet zrobić narzędziem politycznem. Zapewne w tym celu objechał stolice europejskie, a nie wątpić, że znalazł w Berlinie przychylne ucho i byłby je znalazł w Paryżu, gdyby Simon lub jemu podobny wszedł do gabinetu. Obecny gabinet włoski nie jest jeszcze dość radykalnym, aby przyszłe *conclave* śmiał wziąć w obłęzenie w Watykanie; zostawia to zadanie Crispiemu.

Z otwarciem sejmu pruskiego w d. 21 października wywiązała się kryzys gabinetowa, której skutkiem było pierwsze starcie się opozycji parlamentarnej z rządem. Kryzys ta spowodowaną była sporami w łonie gabinetu powstałemi od chwili, gdy zaczęto układać program sesji sejmowej. Minister spraw wewnętrznych hr. Eulenburg, należący jeszcze do dawnego stronnictwa konserwatywnego, dość jednak giętki, aby przetrwać upadek tej partii i za bezpośrednim wpływem króla pozostać w gabinecie, był niegdyś przeciwnikiem reformy administracyjnej, która polegała na autonomii prowincjonalnej, powiatowej i gminnej, oddając czynności wewnętrznego zarządu reprezentantom bezpośrednim interesów lokalnych. Reforma ta miała źródło swoje w szkole starokonserwatywnej, kiedy jeszcze ks. Bismark ród swój z niej wodził. Przyjął ją lubo nie z uwielbieniem hr. Eulenburg, mimo, że nieodpowiadała jego biurokratycznemu nawykniom i w oczach jego tamowała wszechwładztwo państwa, czyli raczej ministra spraw wewnętrznych. Zaprowadzono też tę reformę w pięciu wschodnich prowincjach i brakowało tylko dla jej uzupełnienia niejakiich ordynacyj dla spraw gminnych. Zatrzymał się jednak rząd w połowie drogi, gdyż interesom kulturkampfu reforma ta szkodziła. W prowincjach bowiem katolickich wybory do reprezentacyj lokalnych wypadłyby w duchu katolickim, jak dostrzegł to jeden z agentów wyższej policyi, historyk, profesor, deputowany, dyrektor archiwów państwa, Sybel, który przez rozciągniętą nad Renem tajną policyę odbierał raporta o usposobieniu i urzędników i obywateli pod względem wyznaniowym. On to doradził kancle rzowi wstrzymać reformę administracyjną. Proces jednego z agentów Sybla, Dr Konitzera, który z raportów swoich chciał osiągnąć zysk nieprawny, grożąc denuncyacyami tym, którzy się nie okupią, wyświecił i tę dotąd nieznaną stronę kulturkampfu. Brzydki ten proces nie zmienił wprawdzie samej rzeczy, ale dostarczył w Izbie poselskiej materyału opozycji i związał tę sprawę z urlopem hr. Eulenburga. Minister ten bowiem wychodząc z zasady, że organizacya nowa, w pięciu prowincjach już w życie wprowadzona, powinna być rozciągniętą na całe państwo, przyrzekł

był dawniej w Izbie, że przyspieszy wykonanie jej w prowincjach zachodnich. Atoli oparty na opinii Szybla, ks. Bismark sprzeciwił się żądaniu hr. Eulenburga, ten przeto podał się do dymisji. Król dymisji nie przyjął, ale dał ministrowi urlop półroczny, to jest, uwolnił go na dłużej niż na cały czas trwania sesji sejmowej. W ten niby sposób hr. Eulenburg po stawiony został w niemożności dotrzymania słowa danego w Izbie co do reformy administracyjnej.

W żadnem innem państwie nie obeszłoby się bez krzyku oburzenia na taki wybieg i gabinet musiałby upaść wobec zarzutu złej wiary i wobec tajnych knowań agentów, które sąd napiętnował jako czyny podle i niegodziwe. Inaczej jednak stało się w Berlinie. Moralność publiczna nie obowiązuje tak wysokich sfer. Większość Izby odrzuciła wnioski mieszczące w sobie naganę rządu, a koryfeusze liberalnej większości mieli odwagę bronić motywów rządu, które były wypływem działań denuncyacyjnych Sybla i stowarzyszenia przez niego w tym celu założonego. Większość Izby dała rządowi absolucję, a organa jego zaprzeczyły, aby kiedykolwiek myślał o zwłoczności rozpoczętej organizacyi, mała tylko zwłoka w tej sprawie stała się konieczną.

Na teatrze wojennym tak w Europie jak w Azji nie przyszło jeszcze do rozstrzygających rezultatów. Wszelako Muchtar basza poniósł klęskę, po której wprawdzie siły jego rozbite napowrót się zebrały, ale owoc całej dotychczasowej kampanii przepadł, tak, iż Rosyanie mogli znów przejść do działań zaczepnych i oblegają Kars. Pod Bałkanem po krwawych zapasach, które w ogóle na korzyść Turków wypadły, nastąpił zwrot skutkiem przybycia gwardyj rosyjskich. Dziś już tylko spóźniona pora roku może być uważaną za sprzymierzeńca Turcyi, bo posiłki, jakie wojska jej odbierają, nie są w stanie zapełnić ubytków. Dotąd nie rozstrzygnięto jeszcze w głównej kwaterze rosyjskiej, po której stronie Dunaju wojsko ma zimę przepędzić. Ale w każdym razie chcieliby jakimś świetnym zwycięstwem zapewnić sobie oklask, któryby zamknął tegoroczną kampanię. Dyplomacya już uznała potrzebę takiego zwycięstwa dla uratowania honoru wojskowego, który stał się w dzisiejszych realistycznych czasach nowym czynnikiem politycznym, jakby przypomnienie epoki rycerskiej. Macchiavelli w swoim *Del Principe* mówi wprawdzie o honorze wojskowym, ale nie radzi opierać na nim powodzeń, uznaje on tylko korzyści realne.

Jak zaś stoi dyplomatyczna sprawa wschodnia? O pośrednictwie zaczynają już przebąkiwać, tudzież o skłonności Sułtana do zgody, ale trzymając się zasady wyrzeczonej przez lorda Derby, że nie przyszło jeszcze do takiego kroku roz-

strzygającego, któryby dozwolił wystąpić jednej ze stron wojujących z żądaniem pośrednictwa, Anglia nie czuje się być spowodowaną do zrobienia w tym duchu kroków. Dalej też rzeczy nie zaszły. Wdanie się więc dyplomacyi zawisło od zwycięstwa rosyjskiego, na które już *Times* zawczasu liczy, jako na środek ułatwiający zawarcie pokoju.

Aleksander Szukiewicz.

Kronika bibliograficzna.

Dzieła Juliana Bartoszewicza. Tom drugi, zawiera: **Historya Literatury polskiej** potocznym sposobem opowiedziana. Wydanie drugie powiększone. Tom II (Dokończenie). Kraków. Nakładem Kazimierza Bartoszewicza. Drukiem W. Korneckiego 1877 roku str. 376. Zdanie nasze o tej książce znają czytelnicy. (Patrz zeszyt czerwcowy). Do tego tomu dodane są liczne przypiski wydawcy, który wkrótce ogłosić ma *dodatek* zawierający historią kilkunastu lat naszej literatury i zaraz potem przystąpi do wydania „Początkowych dziejów Polski“, największej pracy nieodżałowanego Juliana Bartoszewicza.

Prof. W. W. Tomka **Dzieje monarchii austro-węgierskiej** dla szkół średnich przełożył i uzupełnił *Michał Markiewicz*. W Rzeszowie. Nakładem i drukiem J. A. Pelara 1877. Str. 215. Tłómaczenie i wydanie staranne. Recenzją podamy wkrótce.

Zapiski ornitologiczne przez *Kazimierza hr. Wodzieckiego*. Wydanie drugie poprawne. Tom. I. Bocian str. 91. Tom II. Jaskółka str. 193. Tom III. Jastrząb str. 148. Kraków. Nakładem i drukiem „Czasu“ pod zarządem Józefa Łakocińskiego. 1878.

Nadmienić nam chyba wypada, że wydanie to jest staranne, tanie i bardzo ładne, bo zresztą polecenie tych dzieł czytelnikom naszym, którzy pierwsi mieli sposobność podziwiać humor, werwę i bystrość poglądów autora, umiającego zarówno zainteresować profanów jak i przyrodników z zawodu — wobec powszechnie uznanej ich wartości uważamy za zbyteczne.

Przejażdżka koleją Tarnowsko-Leluchowską, opisał *Henryk Müldner*. W Krakowie. Czcionkami drukarni „Czasu“ 1877. Str. 39.

Przegląd Sprawy Wschodniej. *Kwartalnik polityczny* I. Wydawca i redaktor Julian Kominkowski. W Krakowie. W drukarni „Czasu“ 1877. Pierwszy to zapewne na świecie Kwartalnik, który doprowadził zwieżłość stylu do tak niezwykłej doskonałości, że na pięciu kartkach uporał się z kwartalnym przeglądem Sprawy wschodniej. Wydawca ma nadzieję, „że znajdzie się jeszcze trzysta osób poważnych i *wyborowych* (sic), które to pismo prenumerować będą“ — i dodaje niezrozumiały dla nas wykrzyknik: „Trzystu! jak pod Termopilami! (sic). Niechaj więc będą spokojni moi *przyjaciele i protektorowie*.“ Wyznać należy, że taka przedmowa nie bardzo zachęca do czytania zwieżłych poglądów autora.

Przykłady i Wzory z najcelniejszych poetów i prozaików polskich zebrane i zastosowane do Historii Literatury polskiej Dra Karola Mecherzyńskiego. Wydanie drugie przejrzane i powiększone. Tom II. Cena egzemplarza 2 zfr. W Krakowie. Nakład i własność księgarni J. M. Himmelblaua 1878. Str. 651. Tom ten zawiera wypisy z nowszych autorów, począwszy od Brodzińskiego i Mickiewicza.

Sprawozdanie Dyrekcyi c. k. Gimnazjum w Tarnowie za rok szkolny 1877. Zawiera 1) *O Przypowieściach* (γῶμαι) w *dramatach Sofoklesa* przez *Bronisława Gutmana* i 2) *Kronikę i Statystykę Zakładu* przez dyrektora p. Trzaskowskiego.

The Month and Catholic Review. London. August 1877 p. 412—427. George Ossoliński's Mission to England.

W „Sprawozdaniu z czynności Zakładu Narodowego im. Ossolińskich za r. 1875“ wydrukowano „Jerzego Ossolińskiego kanclerza w. k. autobiografią,“ zawierającą prócz wielu innych zajmujących szczegółów opis poselstwa tego znakomitego męża do Anglii w r. 1621. Udzielone mu instrukcye, listy Zygmunta III i Jakóba I i własne jego sprawozdania są w oryginale przytoczone. Są to cenne źródła do historii polskiej i angielskiej. Mianowicie przyczyni się ten pamiętnik do wyświecenia polityki Jakóba I, jego stosunku do parlamentu i katolików, jego zabiegów około sprawy wygnanego palatyna Fryderyka V. Z tej autobiografii zrobił nieznany nam autor, zapewne Polak, wyciąg dla wymienionego pisma angielskiego, dodawszy na początku kilka objaśniających uwag, na końcu kilka słów o życiu i działaniu Ossolińskiego. Całe przedstawienie czyta się z przyjemnością. Dokumenta są wiernie przetłómaczone. Rażą dwie pomyłki drukarskie: Zöthiewski i Theczyn (Żółkiewski i Tęczyn). Przesadzonem nazwać też trzeba twierdzenie autora, że Władysław IV zawdzięczał swą jednomyślną elekcją wymowie i wielkiemu wpływowi Ossolińskiego.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

PLANY PRUSKIE,

podczas wojny rosyjsko-tureckiej r. 1788 ¹⁾.

...Przypatrzmy się z kolei działaniom gabinetu berlińskiego. W chwili, gdy wojna na Wschodzie wybuchła, Dwór pruski zajęty był wyłącznie sprawami holenderskimi. Antagonizm istniejący oddawna między stathuderem, Księciem Oranii a stronnictwem republikańskim, objawiał się coraz groźniej pod koniec życia Fryderyka II. Francya podtrzymywała republikanów, Anglia księcia Oranii, który przez żonę spowinowacony z Dworem pruskim, oglądał się także na jego pomoc i pragnął go wciągnąć do tych sporów. Ale Fryderyk II trzymał się zdala, nie chcąc swem wmięszaniem się zapalić wojny, która mogłaby przybrać rozmiary znaczniejsze. Następca jego Fryderyk Wilhelm II, nie wytrwał w tym systemie; Księżna Oranii była rodzoną jego siostrą; uczucie rodzinne przeważało w postano-

¹⁾ Dzięki łaskawej uprzejmości czcigodnego autora, podać możemy szerokiemu kołu czytelników kilka rozdziałów z dzieła będącego owocem długoletniej pracy a przygotowującego się do druku p. t. *Sejm Czteroletni*, których odczytaniem na prywatnem zebraniu uczonych i literatów, sprawił im autor w zeszłym miesiącu prawdziwą *biesiadę* literacką. Sądzimy, że nie mogliśmy zrobić większej przyjemności czytelnikom naszym. Rozdział drugi p. t. *Alians rosyjsko-polski* umieścimy w następnym zeszycie. (*Przyp. Redakcyi*).

wieniach nowego monarchy. Dwudziestotysięczny korpus pruski wkroczył do Holandyi (13 września 1787) na pomoc Stathuderowi. Gwardye mieszczańskie Holendrów nie umiały stawić mu oporu; miasta i fortece bez rozlewu krwi przechodziły w ręce zwycięzcy, cała kampania nie trwała miesiąca. Francya z wyniszczonym skarbem i nieprzygotowana, nie miała czasu przyjść w pomoc republikanom, nie miała też wiele do tego ochoty; tryumf Prus był zupełny. Wrażenie jego było ogromne; chwała niezwyciężonej armii pruskiej zajaśniała w nowym blasku; wpływ, znaczenie, potęga państwa pruskiego, urosły w oczach Niemiec i całej Europy, Francya zmalała u wszystkich, Dwór pruski zyskał wiernych sprzymierzeńców w Anglii i w ubezpieczonym już teraz Księciu Oranii. Z małym stosunkowo nakładem otrzymano bardzo ważne rezultaty, i nic dziwnego, że one upoiły ministra, który tej polityki był duszą. Depesze jego z tego czasu przejęte są wielkością roli, jaką Prusy odegrały; z naiwną zarozumiałością przyrównywa ich łatwy tryumf do zwyciężkich pochodów konsulów rzymskich, którzy upokorzonym królom pokój dyktowali. „Przez całą moją karierę polityczną (pisze on 6 października 1787) czatowałem na taką chwilę, któraby Prusom tyle chwały zjednać mogła i nareszcie dopiąłem tego. Prawda, iż mnie to nie mało kosztowało pracy; przez dwa lata sam jeden broniłem tego systemu przeciw wszystkim. Francya traci resztę swego znaczenia w Europie“.

Tym ministrem tak dumnym z siebie i swoją chwałą szczęśliwym był hr. Hertzberg. Stary sługa Fryderyka II, pracował on od czterdziestu przeszło lat w departamencie spraw zagranicznych; lecz w swym systemie i działaniu politycznem, wyobraża on nietyle pierwsze lata Fryderyka, to jest jego czasy wojenne, jak raczej drugą połowę jego panowania, w której monarcha ten korzystając z uroku swoich zwycięstw poprzednich, dyplomacyą i demonstracyami wojennymi imponował Europie. Jak Fryderyk bez wystrzału i tylko grożąc swą potęgą, zabrał Prusy zachodnie i stanął na czele drobnych państw niemieckich, tak i Hertzberg rozumiał, że pod następcą jego, zręcznością dyplomatyczną i dobytym na wół orężem, będzie mógł zdobywać prowincye i postawić Prusy na czele Europy. Szybkie i szczęśliwe załatwienie spraw holenderskich utwierdziło go w tym systemie i ośmieliło do no-

wych planów, które chociaż się nie ziściły, pozostaną pamiętne w historyi, bo wpłynęły na zmianę stosunków i karty Europy. Pracownik niestrudzony, patryota gorący, nie on jeden był tylko między ludźmi stanu, dla których interes państwa jest najwyższą moralną zasadą; ale u niego ten patriotyzm pruski, ta prusomania, dochodziły do nadzwyczajnych i doprawdy śmiesznych rozmiarów. Niedosć, że to, co Prusom zysk przynosiło, było wedle niego godziwe i zacne, ale tem samem stawało się dla wszystkich korzystne; a jeśli kto tego nie pojmował i na to się nie zgadzał, było to skutkiem jego upośledzenia i ciemnoty. Człowiek rozsądny i oświecony nie powinien wątpić, że Prusy mają zawsze racją, i że ich wola ma być dla wszystkich prawem. Ztąd w depeszach jego, które sam układał i których redakcyą lubił się przechwalać, panuje zazwyczaj tyle arogancyi, uwielbienia siebie i pruskiej polityki, tyle lekceważenia dla przeciwników a wobec sprzymierzeńców i przyjaciół taki ton górujący, protekcyjny, że trudno pojąć, jak to wszystko wyjść mogło z pod pióra wytrawnego dyplomaty i sędziwego męża stanu. Fryderyk II, który znał w Hertzbergu tę wybujałą pruską pychę, czytywał zawsze depesze albo instrukcye, jakie tenże ministrom zagranicznym posyłał, i wymazywał z nich zbyt rażące albo zbyt imponujące twierdzenia i rozkazy. Ale następcy jego, o wiele mniej doświadczonemu, podobał się właśnie ten ton górny i rozstrzygający depesz Hertzberga, i tylko w ważniejszych wypadkach, zdania i pisma ministra pod sąd jego kolegi, hrabiego Finkensteina, poddawał.

Będzie to zawsze w historyi pamiętnem i godnem pilniejszej uwagi, że było w w. XVIII państewko, które przy wstąpieniu na tron Fryderyka II liczyło półtrzecia miliona ludności, tę liczbę przy zgonie jego podniosło do sześciu; że w sąsiedztwie jego znajdowały się wielkie państwa, z których najmniejsze jak Anglia liczyło 14 milionów, inne zaś jak Rosya, Francya i Austria 20 do 26 milionów mieszkańców; a pomimo tak znacznej różnicy w obszarze i zaludnieniu, państwo to stało na równi z innemi i wszystkie inne oglądały się na przyjaźń lub nieprzyjaźń Dworu pruskiego i każde jego dążenie miały na pilnem baczeniu. Historycy pruscy, którzy słusznie nad tym faktem zastanawiać się lubią, przypisują go

mądrości Fryderyka II, który 200,000 wojska bez uciążenia monarchii utrzymać potrafił a przytem miał skarb zawsze gotowy na trzy kampanie; lecz słuszniej jeszcze przypisują to przezorności i porządkowi pruskiej administracyi, wydoskonalonemu do najwyższego stopnia mechanizmowi rządowemu a nadto niezmiennej wytrwałości gabinetu pruskiego — w polityce zaborczej. Tę „*wytrwałość zaborczą*“ posiadał Hertzberg nadewszystko i pod tym względem był on arcytypem pruskiego męża stanu. Oczy jego bez przerwy zwrócone były na polską ziemię, gdzie spodziewał się znaleźć lepszy kształt i ubezpieczenie dla wschodnich granic państwa. Opowiada jego społecznym biograf, że w r. 1772, gdy pierwszy rozbiór Polski układano, Fryderyk II myślał zabrać województwa poznańskie i kaliskie dla ich sąsiedztwa ze Szląskiem; odradził mu to Hertzberg, wskazując by raczej wziął Prusy zachodnie wraz z Gdańskiem i Toruniem i wodami Noteci ¹⁾. Wtedyto porучzył mu Król wykazanie praw monarchii do owej prowincyi i do miast wspomnianych, a chociaż Hertzberg z wielkim zapałem wziął się do tego zadania, sam Król w swoich pamiętnikach żartuje z mniemanych praw swoich. Opozycya Anglii i Rosyi uratowała, tym razem jeszcze Gdańsk i Toruń od zaboru pruskiego; niemniej przecież nie stracił ich Hertzberg z pamięci. Owszem, te dwa miasta stały się, jakby osią jego polityki, błyszczącą nicią, która się przesuwła przez całą jego dalszą karierę i wszystkie jego plany związuje; i gdy ta nić w Reichenbach się urwała, stracił Hertzberg całe swe znaczenie a wkrótce potem i ministeryalną posadę. Obaczmy teraz, jak misternie uczepił ją Hertzberg o toczącą się wojnę na Wschodzie.

Zajęty sprawą holenderską, hr. Hertzberg mało, jak wspomnieliśmy, zwracał z początku uwagi na to, co się w Turcyi działo; instrukcye jego przesyłane ministrowi pruskiemu w Stambule Dietzowi, zalecały mu tylko ścisłą neutralność i pilne unikanie wszystkiego, coby Rosyą mogło umocnić w podejrzeniu, jakoby Dwór berliński pobudzał Portę do wojny. Dopiero, gdy stanowisko Cesarza w sprawie wschodniej narysowało się wyraźniej a nieprzyjaźnie dla Porty, Hertzberg po-

¹⁾ Weddigen. *Fragmente zu dem Leben des Gr. von Hertzberg*. Bremen 1796. s. 59.

czał się mocniej wojną wybuchłą interesować; ale i wtedy ambicya jego nie szła dalej, jak tylko, ażeby Turcy, w razie, gdyby pokoju pragnęli; koniecznie zaprosili gabinet berliński na pośrednika między stronami wojującemi.— Powoli jednak wawrzyny holenderskie przemieniły usposobienie Hertzberga. „Ponieważ tę sprawę tak szczęśliwie ukończyliśmy (pisze on do Dietza 24 listopada) i ręce mamy wolne, to chętniebyśmy skorzystał z wojny tureckiej dla uświetnienia mojego ministerstwa. Mało jest nadziei, aby Porta mogła się obronić dwom cesarstwom, Francya nic dla niej nie robi, albo tyle co nic; żadne też inne państwo bez nadziei znacznego zysku nie ujmie się za Turkami. Czy sądzisz, że nie możnaby skłonić Porty do odstąpienia Mołdawii i Wołoszczyzny Cesarzowi, a Krymu, Oczakowa i Besarabii Rosyanom, pod warunkiem, aby Prusy, Francya i inne państwa, które jabym nakłonił, zapewniły państwu Osmanów trwałą egzystencją z tamtej strony Dunaju, w ten sposób, żeby ta rzeka i Unna stanowiła wieczną granicę między nimi a chrześcijaństwem? Mniemam, że Rosyą możnaby przywieść do tego, żeby za taką cenę wyrzekła się zwierzchnictwa nad Gruzją i innemi krajami zakubańskimi, iżby nie mieszała się więcej do wewnętrznych stosunków Turcyi i przywileje swoje żeglowne i handlowe umiarkowała w sposób odpowiedni wszechwładztwu Porty.— Zarazem mam na myśli dobre wynagrodzenie dla Prus od Dworów cesarskich. Turcyja nicby na tem nie straciła; co najwięcej, musiałaby przyzwolić na korzystny dla nas traktat handlowy i na ubezpieczenie naszej żeglugi na morzu Śroziemnem od korsarzy barbarzyjskich“. Hertzberg przewiduje, że Porta niełatwo da się skłonić do takich ustępstw; ależ tu chodzi o prowincye, które i bez tego utraci. Co za pożytek odnosi ona np. z Mołdawii i Wołoszczyzny, które bogacą tylko kilku nędznych Greków i żywią kilka hord tatarskich? Byłby to niewątpliwy dla niej zysk zapewnić sobie, tak małym kosztem, trwałe i spokojne posiadanie owej pięknej poza Dunajem reszty państwa, eoby im Prusy i inne mocarstwa zaręczyły. Bo gdyby Dunaj stał się naturalną ich granicą, któżby się troszczył o takie kraje, jak Bułgarya, Bośnia, Serbia i t. p.? Niech tylko Dietz wysłucha, co Porta na to powie i czy ona zgodzi się na to, żeby Król sam jeden był pośrednikiem? Musimy być moralnie prze-

konani, że nam się powiedzie i że tajemnica będzie dochowaną; na ślepo nikt się nie puści. Pierwsza to dopiero myśl ministra, nawet Król nic o niej nie wie. Jeśli się to uda, Hertzberg zapowiada wielką karierę Dietzowi; sam dla siebie nic nie żąda, prócz chwały, że się przysłużył ojczyźnie znacznem zwiększeniem.

Takim był pierwotny plan Hertzberga; lecz i bliższe wyjaśnienie, które zaraz zobaczymy, nie mniej będzie ciekawe. Trudno bez uśmiechu czytać to dzisiaj, i niełatwo zrozumieć, jak mógł pierwszy minister pruski przypuszczać, że Turcy odstąpią tak łatwo trzeciej części swego państwa, i obiecywać im w zamian *wiekuiste*, spokojne panowanie nad resztą swych posiadłości. Śnać, pożądliwość, z jaką czytał na owe dla Prus zwiększenie, wszystkie mu trudności z przed oczu usuwała. Im więcej o tym projekcie przemyślał, tem więcej w nim odkrywał łatwości i doskonałości. W trzy miesiące potem pisał on do Dietza (26 stycznia i 9 lutego 1788): „jestto projekt oparty na najzdrowszej i *najsprawiedliwszej* polityce. Mnie się zdaje, że żaden rozsądny człowiek nie może mu być przeciwny. Jedyne to środek uratowania Porty, i dlatego każdy minister turecki cokolwiek wykształcony, powinien się za nim oświadczyć“.

Na nieszczęście, Dietz nie miał wcale tak gorącej wiary Hertzberga; owszem, plan jego wydawał mu się zgoła niewykonalnym, najmniej w obecnem usposobieniu Turków. I on, w upadku Turcyi w Europie, widziałby wielkie nieszczęście dla Prus. Należało wojnie wcześniej zapobiegać; nieodżałowana szkoda, że Król do tego się nie przyczynił. „Ale dzisiaj (pisze on 29 grudnia 1787) mówić Turkom o pokoju, byłoby jedno, co być w ich oczach nieprzyjacielem. Porta nie zgodzi się na pokój hańbiący, okupiony ciężkimi ofiarami. W żadnym razie nie odstąpi ona rzeczonych prowincyj, dopóki ich przez klęski poniesione rzeczywiście nie utraci“.

Tymczasem Hertzberg, nie czekając na zdanie Dietza, wyjawiał swój plan Królowi. Fryderyk Wilhelm II, jak wiadomo, posiadał wiele wspaniałomyślnych uczuć i wysokie przeświadczenie o swej monarszej godności, ale te wzniosłe usposobienia prędko ustępowały, skoro przeciw nim odzywała się nadzieja obłowu. Z niepomiarowaną też skwapliwością przy-

stał odrazu na projekta Hertzberga (luty 1788) i postanowił je poprzeć całą powagą swego imienia i znacznemi pieniędzmi w Stambule. Wypracowano obszerne instrukcye (25 marca i 3 kwietnia), w których przewidywano różne wypadki wojny, i z niemi wysłano sekretnego agenta do Stambułu w pomoc Dietzowi. — Pierwszem a nagłaczem żądaniem gabinetu berlińskiego było, aby Porta w żadnym razie nie zawierała pospiesznego pokoju i w żadnym razie bez pośrednictwa Prus. Jeżeli Turcy zdecydowani są energicznie prowadzić wojnę i ciężkich klęsk nie poniosą, trzeba ich najmocniej utrzymywać w tem wojowniczem usposobieniu, (bo to Dwory cesarskie osłabi), nie zdradzając się atoli jawnie, aby tym Dworom i Francyi nie dać do skarg powodu. Gdyby Porta na te zachęty odpowiedziała żądaniem, aby Król połączył się z nią traktem, należy wyminąć ten punkt i tłumaczyć, że mają aż nadto sił własnych do obrony, byleby umieli ich użyć, i zapewnić że Król *po skończeniu wojny*, gotów będzie zawrzeć z nimi przymierze, któreby na przyszłość zareczyło ich posiadłości. Jeżeli przeciwnie, Turcy byliby zmuszeni do prędkiego zakończenia wojny, Dietz ma użyć wszelkich możliwych środków, aby układy o pokój toczyły się za pośrednictwem Prus i Anglii. W razie gdyby Porta znalazła się w konieczności odstąpienia Dworom cesarskim niektórych powiatów i prowincyj, powinna to od nich otrzymać, aby o te cessye porozumiały się — z Królem pruskim, i nawzajem jemu odstąpiły (a to jest główny punkt instrukcyi) takich części własnych posiadłości, któreby odpowiadały ich nowym nabytkom. Warunek ten jest konieczny, aby Król naprzeciw Dworom cesarskim mógł utrzymać równowagę i służyć Porcie jako dobry przyjaciel. Za to Król ofiaruje Porcie, jak powyżej powiedziano, traktat odporny po zawarciu pokoju i zareczenie jej posiadłości europejskich. Tajemna, najtajemniejsza z tejże daty instrukcya (3 kwietnia 1788) wskazuje prowincye, których Porta ma się wyrzec na korzyść Dworów cesarskich: są one też same, o których wspomina Hertzberg w pierwszej swojej depeszy (24 listop. 1787): Mołdawia i Wołoszczyzna dla Austrii; Krym, Oczaków i Bessarabia dla Rosyi; tu tylko bliżej oznaczono, jakie to ma być wynagrodzenie, którego Porta ma się domagać dla — Prus. Otóż Porta żądać ma, aby Austrya odstąpiła Polsce Galicyi i to

jest *conditio sine qua non*, a za to Polska odda Prusom Gdańsk i Toruń i pewne nadgraniczne powiaty, o które Król bliżej się z nią porozumie. Dość będzie, jeżeli Porta na to się zgodzi; przyzwolenie innych państw wojujących bierze Król na siebie, gdy im zagrozi swoją potęgą! Ale i Porcie ma Dietz dać do zrozumienia, w sposób delikatny i ostrożny, że gdyby ona na ten plan nie przystawała, to Król połączy się z jej nieprzyjaciółmi. Roztropność radzi nie pierwszej ten układ proponować, aż Porta, po klęskach, straci nadzieję utrzymania Mołdawii i Wołoszczyzny i uzna konieczność tej ofiary. — Jakież zaś mają być te pograniczne powiaty, o które Król chce się z Polską porozumieć, naucza list Hertzberga do Dietza z tejże daty: idzie tu o województwo Poznańskie i Kaliskie, których Prusy dla swego zaokrąglenia potrzebują. Wszakże ten ostatni szczegół, jak i cały plan, ma być najgłębiej ukrywany, i to tak dalece, że prócz Króla i Hertzberga nikt o nich nie wie w Berlinie: nawet kolega Hertzberga, hr. Finkenstein, nie został przypuszczony do tajemnicy.

Gdyby tej jedynej w swoim rodzaju korespondencji dyplomatycznej nie dochowały się dotąd oryginalne akta, możnaby nie wierzyć w jej autentyczność.¹⁾ Tyle chciwości i prostoduszności zarazem, tyle wyrafinowania i niepojętej łatwości, tyle ostrożności aby się w niczem nie skompromitować obok pewności, że w danej chwili wszystko ulegnie przed samą pogrózką miecza pruskiego, nie łatwo spotkać w głowie jednego i tegoż samego dyplomaty; i chyba plan ten urodzić się musiał (i w istocie się urodził) pod wrażeniem zbyt łatwych holenderskich tryumfów i w złudzeniu, że i na wschodzie Europy szwadrony pruskie spotkają tylko *przeciw sobie* strwożoną gwardyą mieszczańską. W każdym razie, epizod to ważny, bo daje nam próbkę przyjaźni pruskiej, na którą nasi mężowie stanu tak wiele później liczyli, a której jednak Turcy nie zupełnie dowierzali. Król pruski nie chce narazić się Dwo-

¹⁾ Korespondencya Hertzberga z Dietzem znajduje się w *Archiwum tajnem* pruskiem; papiery Dietza są w Bibliotece berlińskiej. Ponieważ z tej korespondencji, obszernie wyciągi i do przedmiotu naszego odnoszące się, ogłosił Zinkeisen (*Geschichte des Osmanischen Reiches*, Gotha 1859), więc ją według tego dzieła podajemy (T. VI, 673 *et seqq.*)

rom cesarskim i, jak mówi instrukcja, „Don Kiszotem tureckim robić się nie myśli,“ a wmawiając Turkom, że tylko jemu ufać mogą i na jego potęgę polegać, udziela im takich rad, że i najzaciętszy nieprzyjaciół gorszych by dać nie mógł; a jeśli tych rad nie przyjmą, gotów jest z ich nieprzyjaciołmi połączyć się. Najprzód, niechaj wojna trwa jak najdłużej, bo to wszystkich osłabi; jeżeli Turek, przyjaciel, będzie pobity, to bardzo dobrze; jeżeli zmuszony będzie odstąpić najpiękniejszych prowincyj, to jeszcze lepiej: tylko oddając je, niechże położy za warunek, aby Król pruski był *za to* wynagrodzony; bo interes Porty tego przedewszystkiem wymaga, aby Prusy były mocne; w nagrodę zaś takich strat i usług, Król pruski ofiaruje Turkom wspaniałomyślnie traktat odporny — po zakończeniu wojny!

Trzeba oddać sprawiedliwość Dietzowi, że ta polityka „żydowsko-Hertzbergowska“ jak ją nazywał Stanisław August, wcale mu nie przypadała do smaku. Od lat 25, Turcy byli przekonani, że Prusy pospieszą wszystkimi siły uderzyć na Austryę, w chwili gdy ta wojnę turecką będzie zajęta, i tego właśnie teraz oczekiwali. Tego i Dietz pragnął gorąco. „Jeżeli Dwory cesarskie (pisze on 8 marca i 8 kwietnia 1788) zgniotą Turcyę, tyle im siły przez to przybędzie, że wszystkiego dla Prus należy się obawiać. Zatem powinny z największą usilnością starać się o swoje powiększenie, a ku temu alians ze Szwecyą, Polską i Anglią najodpowiedniejszym byłby środkiem. Możnaby podburzyć Węgry i utworzyć z nich niezawisłe od Austryi królestwo. Jestto jedyna chwila, by Prusy zmieniły się w pierwsze mocarstwo europejskie. Choćby to wymagało kilku lat wojny, byłby to kapitał przezornie wyłożony, któryby się opłacił stuletnim pokojem i przeważną Prus potęgą“. „Jeżeli WKMość (pisze on w końcu) nie dla Turków w tej chwili nie uczyni, wrażenie jakie to na nich sprawi, będzie tego rodzaju, że oni tego nie zapomną i zaufania ich do WKMści ani dziś nie będzie można utrzymać ani w przyszłości odzyskać.“ — Nie było to zdanie jednego tylko Dietza. Z innych stolic Europy, od reprezentantów pruskich dochodziły Króla w tym samym duchu memoriały. Nalegano aby korzystać z chwili i śmiało podnieść oręż na Rosyą i Austryę. Przeciwi Rosyi wystarczy przymierze szwedzko-polsko-tureckie, a

jego zadaniem odeprzeć Rosyą od morza Czarnego i przywrócić Szwedom prowincye nadbałtyckie; Prusy zaś z całą swoją potęgą uderzyć powinny na Austryą, i jest nadzieja, że w trzech kampaniach zmusiłyby ją do pokoju i do odstąpienia reszty Szląska, oraz części Moraw i Czech. ¹⁾

Hertzberg uchodził w Wiedniu za najzaciętszego nieprzyjaciela Austrii, ale do tak śmiałych przedsięwzięć nie miał wcale ochoty. On lubił projektować, kombinować, układać się, w potrzebie grozić, ale ryzykować na prawdę nie lubił. Przedstawienia powyższe nie czyniły na nim żadnego wrażenia. „Twoje myśli niepraktyczne (pisze on do Dietza) nie przystają bynajmniej do zamiarów Króla: przymierze Anglii, Szwecyi, Polski i Prus jest właśnie niepodobne. Nie chcesz zrozumieć mojego planu; gdybyś się nie zaciął w swoim uporze, musiałbyś go pochwalić. Potęgę Porty przeceniasz i żądasz by w jej obronie Król uderzył na oba Dwory cesarskie. Byłoby to jedno co całej Europy ściągnąć na siebie naganę i siły jej przeciw sobie, i jeszcze wystawić się na to, że przy pierwszej odmianie, Turcy nas odbiegna. Kadząc Turkom nie usłużysz Królowi; innych trzeba zażywać sposobów aby zdobyć na nich wpływ. Porta która dawniej troszczyła się o przyjaźń Prus, dziś zdaje się nie wiedzieć o ich istnieniu. Zadaniem zręcznego ministra jest podnieść właśnie znaczenie swego Dworu tam, gdzie go uwieńczytelniono.“ Jeszcze mocniej przynaglał go Król: „Zaklinam Cię nie trać czasu słuchając czczych rozumowań i nadziei tureckich; kuj żelazo póki gorące, pracuj z zapalem nad wykonaniem mego planu. W twojem ręku jest, przekonasz się o tem, i wielka dla mnie korzyść i twoja własna najświetniejsza przyszłość. Jeżeli ta sposobność przeminie, gorzko będę żałował, a ty wszystko utracisz. ²⁾“ Po tak przykrych wymówkach i upomnieniach, rad nie rad, zaprzął się i Dietz do Hertzbergowskiego planu i zaczął w tym duchu przemawiać, lecz z jakim skutkiem domyślić się łatwo. Był to właśnie czas, kiedy Turcy najgoręcej rwali się do wojny i odrzucali wszelką myśl o pokoju, cóż dopiero o tak ciężkich ustępstwach! Jakoż i Hertz-

¹⁾ Memoriał Goltza podany w treści u Häüssera, I, 229.

²⁾ *Depesze Hertzberga* z d. 26 kwietnia, 24 maja, 30 czerwca. *Reskrypt królewski* 19 sierpnia 1788.

berg z wielkiem żalem spostrzegął, że Turcy nie tak łatwo ulegną; „*dobry przyjaciel*“ Porty nie dbał on o jej całość i bezpieczeństwo; jemu o to tylko chodziło, by Austrii wydrzeć Galicyą i zamienić ją na zachodnie polskie prowincye. Niepowodzenia Dworów cesarskich burzyły jego plan i zasmucały go głęboko. „Król najzupełniej jest ujęty dla mojego projektu (pisze on do Dietza, 30 sierpnia 1788) i pragnie go przeprowadzić. Ale teraz widzę że niepojęta Rosyi i Austrii nieporadność staje nam na drodze; któż mógł się spodziewać, że z 300,000 regularnego wojska nie potrafią Turków przerzucić za Dunaj! Jestto następstwo błędu, jaki Cesarz popełnił, gdy zaczepiając nieprzyjaciela, obrał wojnę odporną.“ — W tym to czasie, to jest w drugiej połowie 1788, na polu wojennem rzeczy coraz gorzej szły dla Austrii; pod koniec sierpnia, Turcy pobili jej wojsko pod Mehadią i zalegli Banat, pustosząc go straszliwie. Uznał gabinet berliński, że nakłaniać zwyciężkich Turków do ofiar, byłoby to wszystko zepsuć. „Zdaje się (pisze Król do Ministra) że plan nasz wypadnie całkiem inaczej obrócić, jeżeli Dwory cesarskie tak nieszczęśliwie prowadzić będą wojnę, a mianowicie jeżeli Cesarz przegra bitwę ¹⁾.“ Bezprzykładny w dziejach wojennych popłoch i rozsypka armii austriackiej pod Lugocz (21 września) ziściły te przypuszczenia. Ale tego wypadku nie przewidywały instrukcye przesłane Dietzowi; Hertzberg zabrał się więc do nowych, na przypadek że już nie Turcy, lecz Dwory cesarskie, będą zmuszone żądać pokoju. Warunkiem nowych instrukcyj ma być, iżby Turcy nie wprzód oddali Austrii zdobycze poczynione w Węgrzech, dopóki ta nie zobowiąże się przywrócić Polsce Galicyi, o Galicyą zaś Król ułoży się z Rzpltą. „Trzeba Turków przekonać, (pisze Król), o korzyściach jakie odniosą z' oddania Galicyi Polakom, nie nie wspominając o moich przytem dogodnościach, bo by to mogło zaszkodzić mi w Polsce i niepotrzebnie przed czasem zaniepokoić inne mocarstwa. Nie można liczyć że Turcy dochowają tajemnicy ²⁾“.

Tak więc, ktokolwiek będzie zwycięzcą, zawsze w tem dla Prus wygrana; nie dla siebie on zwycięży, ale dla tego

¹⁾ Król do Hertzberga 11 września.

²⁾ Uwaga króla na raporcie Hertzberga 7 paźdz. 1788.

Dworu, który z daleka oblicza, jaki z cudzych zwycięstw procent dla siebie odtrącić. Czy Turcy pobiją czy będą pobici, zawsze na stół musi powrócić Galicya, Austria musi jej odstąpić, by Prusy na tem coś zyskały. Mógł Hertzberg czuć się dumnym ze swej spekulacyi, w której inni swą krew leją, on zbiera gotowe talary; a spekulacya ta tak się królowi podobiała, że długo jeszcze później, mimo zmienionych okoliczności, nosić się z nią będzie i proponować wszystkim z kolei. Ale na tę chwilę, w sposób najmniej spodziewany, zawikłały się stosunki. Z początkiem września (1788), Dwór berliński otrzymał bardzo nieprzyjemną wiadomość, że Rosya pragnie zawrzeć z Polską przymierze odporne; to przymierze zastępowało drogę planom Hertzberga. Trzeba było jemu bądź co bądź przeszkodzić i tego dokazać, by je Polacy sami odrzucili. Nastała dla Prus konieczność pozyskania ufności Polaków; przekonania ich o przyjacielskich i bezinteresownych Dworu berlińskiego uczuciach. W takim stanie, najmniejsza niedyskrecya, najmniejsza wzmianka o zamierzonym handelku Galicyą i zaokrągleniach od strony Polski, musiałyby w Rzpltej nader szkodliwie oddziaływać. Dietz otrzymał, jak widzieliśmy, rozkaz, by o dogodnościach pruskich przed Turkami wcale nie wspominać.

Tymczasem, owa tajemnica, tak pilnie przez Dwór pruski strzeżona, nie była bynajmniej sekretem dla tych, przed którymi naprzód strzedz jej należało. Ks. Kaunitz przejął depesze Hertzberga przesyłane tak dobrze do Dietza jak do Jacobiego posła pruskiego w Wiedniu. Można sobie wyobrazić jakie wrażenie wywarły one na umyśle Kanclerza austriackiego i z jaką przyjemnością posyłał je do Petersburga; a że ten traf szczęśliwy, który dozwolił poznać pruskie zamiary, służył mu i następnie, przez czas dłuższy, przeto każdy kuryer jadący z Wiednia do Petersburga, zawoził razem z depeszami austriackimi, i spory pakiet korespondencyi Hertzberga dla wiadomości Imperatorowej. Wszystkie plany gabinetu berlińskiego i wszystkie odmiany, jakim one w skutku wypadków na polu wojennem ulegały, były dokładnie znajome i w Wiedniu i w Petersburgu. Katarzyna dziwiła się skwapliwości, z jaką Fryderyk Wilhelm przyjął propozycje swego ministra. „Trzeba być takim głupcem (rzekła do Bezborodki)

jakim jest pan tego długiego Kellera (ministra pruskiego w Petersburgu) aby wierzyć we wszystkie brednie, którym uwierzył.“ Ks. Kaunitz nie przestał na tej pogardliwej uwadze. „Oto jest nowy dowód (pisze on do hr. Cobentzla, ambasadora austriackiego w Petersburgu) że Dwór pruski zamierza skorzystać z pierwszej okazji, by zaspokoić swą żądzę nabytków kosztem polskich posiadłości, które przecież poręczono są przez Dwory cesarskie i przez samże Dwór berliński. Mam wyraźny rozkaz Cesarza polecić ci, abyś zwrócił na ten przedmiot najpełniejszą uwagę ministrów Imperatorowej. Bez wątpienia, i my podzielamy życzenia Rosyi, aby obecna wojna z Turkami nie wywołała przeciw nam żadnego innego mocarstwa; ale obok tego powiedzieć muszę, że żadna korzyść, którąbyśmy odnieść mogli na Porcie, nie zrównoważy choćby najmniejszych nabytków, jakie Król pruski ma na widoku. W żaden sposób, w żadnym razie, Cesarz Jmć nie przyzwoli na jakiekolwiek powiększenie państwa pruskiego. Wprawdzie traktat nasz przewiduje dywersyą pruską; projekta gabinetu berlińskiego przeciwnie są naszemu zaręczeniu posiadłości polskich i oba Dwory musiałyby im oprzeć się z bronią w ręku; lecz że w sprawie tak ważnej, wszystko zależy od pośpiechu w działaniu, koniecznem jest umówić się już teraz w największej tajemnicy o środki, któreby przedsięwziąć należało na wypadek rzeczony; musimy nadto wiedzieć dokładnie, jakie siły Imperatorowa przeznacza w tym celu. Jeżeli projekt Hertzberga nie przyjdzie do skutku, natedy wszystko, o co się umówimy, jakby niebyłe pozostanie; jeżeli zaś przeciwnie, i jak to jest we zwyczaju na Dworze berlińskim, przystąpi on niespodzianie do wykonania swych zamiarów, wtedy będzie już zapóźno zaczynać porozumienie o to, coby już czynić należało ¹⁾.“ W tym celu, Kanclerz anstryacki polecił Cobentzlowi zaproponować w Petersburgu przymierze warunkowe, wymierzone przeciw Prusom, wciągnąć do niego Polskę i zaręczyć tej ostatniej odzyskanie Prus zachodnich.

Propozycja ta nie podobala się Imperatorowej, a było do tego wiele powodów. Katarzyna miała na widoku osobne

¹⁾ *Depesza Kaunitza do Cobentzla, d. 6 stycznia 1788 r.*
Archiwum państwa wiedeńskie.

przymierze z Polską i wcale nie była rada, by Austria do niego wchodziła. Polska, w myśli gabinetu petersburskiego, nie powinna się łączyć traktatem z żadnemi innemi mocarstwami, prócz Rosyi. Nadto, nie życzyła sobie Imperatorowa powiększenia Polski, a najmniej tak ważną prowincją jak Prusy zachodnie, któreby Rzeczypospolitej otworzyły znowu przystęp do morza; nie chciała też Polakom otwierać nadziei, by oni kiedykolwiek powrócić mogli do utraconych w pierwszym rozbiórze ziem. Nie zdradzając atoli swych istotnych pobudek, poleciła Bezborodce dać odpowiedź ambasadorowi austriackiemu, „że wszelki układ tajemny z Rzecząpospolitą jest zgoła niepodobny; że gdyby dało się Polakom nadzieję odzyskania ziem zabranych przez Prusy, wnetby to doszło do wiadomości Króla pruskiego. Że w ten sposób monarcha ten zaniepokojony o swe własne kraje, tem skłonniejszymby się stał do chwycenia się gwałtownych środków, którychby może nie przedsięwziął bez takowej pobudki. Że wkońcu, głównym warunkiem przymierza, które Imperatorowa ma zawrzeć z Rzecząpospolitą, jest właśnie poręczenie wszystkich jej posiadłości ¹⁾,” że więc przymierze, jakie kanclerz austriacki proponuje, i niepotrzebne jest, i niepodobne. — Ks. Kaunitz odpowiedział że niema mowy, aby Polskę wprowadzać zaraz do traktatu przeciw Prusom, ale nie mniej dlatego przygotować go trzeba. Że uważa za nieodbite ubezpieczyć Polskę, i że jeżeli przyjdzie do przymierza z Francją, trzeba żeby i ona zobowiązała się bronić nietylko Dworów cesarskich ale i Polski; że wkońcu Cesarz pragnie mieć w rękę wyraźną deklaracyą Imperatorowej, co ona zamierza uczynić dla obrony Polski od Prus ²⁾. — Naleganie Kaunitza nie miłe było Katarzynie. Chcąc zamknąć tę rozprawę z gabinetem wiedeńskim o bezpieczeństwo Polski, kazała wydać żadaną przez kanclerza deklaracyą, zamawiając sobie nawzajem podobny akt ze strony Dworu wiedeńskiego. W deklaracyi tej, którą podpisano w Petersburgu ^{10/21} maja 1788, Imperatorowa „czyniąc zadość troskliwości Cesarza rzymskiego, oświadczając, że gdyby Król pruski chciał zagarnąć w obecnych okolicznościach jakąkolwiek

¹⁾ *Depesza Cobentzla do Kaunitza*, 3 lutego 1788.

²⁾ *Depesza Kaunitza* 6 kwietnia i *Cobentzla* 24 maja 1788.

posiadłość Rzeczypospolitej, Dwór rosyjski połączy się natychmiast z Cesarzem rzymskim i razem z nim zanieś do Berlina najsilniejsze przedstawienia; gdyby zaś te niepomogły, użyje dla powstrzymania Króla pruskiego, siły zbrojnej, o ile na to własne bezpieczeństwo i wojna toczona z Portą pozwoli.“ — Godzi się tutaj nadmienić, że to wzajemne dwu państw zobowiązanie pozostało w najgłębszej tajemnicy, że ani w Berlinie ani w Warszawie nic o niem nie wiadano; nawet Stakelberg żadnego o tem nie otrzymał doniesienia. W Warszawie, jak było dotąd tak i nadal utrzymało się przekonanie, że sama tylko Rosya troszczy się o całość i bezpieczeństwo Polski, że ona jedna i może i chce zasłonić ją od napaści pruskiej.

Kancierz austriacki zażądał bliższych szczegółów o zamierzonym przez Rosyą przymierzu z Polską; to skłoniło Katarzynę do przyspieszenia tej sprawy. Opowiedzmy dzieje tego przymierza, które niebawem tak wielkiego miało nabrać rozgłosu.

X. Waleryan Kalinka C. R.

CESARSTWO NIEMIECKIE.

Dawniejsze i dzisiejsze stronnictwa polityczne.

(Ciąg dalszy).

Dążność podobna, widoczna przedewszystkiem i nasamprzód w *historyografii* niemieckiej. Historycy, jak Haüsser, jak Sybel, jak Droysen, pouczają społeczność niemiecką, iż jedynie *Prusy* tylko zdołały z pośród ruin dawnego cesarstwa niemieckiego wydobyć i uwieźć na bezpieczny brzeg materyał, z którego same własny dom zbudowały a z którego jeszcze i dalsza przyszłość Niemiec korzystaćby mogła. Z książek historycznych przeszła ta dążność do katedr uniwersyteckich. Nie było pewnie uniwersytetu na całym obszarze Niemiec, któryby nie był posiadał w gronie profesorów bądź to historyi, bądź prawa publicznego, bądź ekonomii politycznej, choćby *jednego* wykładającego dogmat nieomylności Prus, jako warunek urzeczywistnienia jedności niemieckiej. Z katedr przechodzi też sama dążność w publicystykę, w broszury, dzienniki, czasopisma, w owe *Weserzeitung*, *Gartenlaube*, *Grenzboten* wnikaące niedostrzegalną siłą istnego płynu chemicznego we wnętrze domów, rodzin i ognisk niemieckich. Odzywają się równocześnie przytem jakieś zachcianki dawniejszej epoki. Gustaw Rasch przypomina „uciśnionych przez Duńczyków braci szlezwicko-holsztyńskich“, pisząc broszurę „*Vom verlassenen Bruderstamm*“; profesor Adolf Schmidt przypomina „uciśnio-

nych również przez Francuzów braci Alzacyi i Lotaryngii“, pisać uczoną rozprawę: „*Wie Elsass und Lothringen dem deutschen Reich verloren gegangen*“. W dalszym stopniu rozwoju owej dążności rozpoczyna się agitacja na rzecz Prus za pomocą stowarzyszeń i zebrań ludowych pod najrozmaitszemi firmami i nazwami.

Rzecz dziwna i ciekawa, hasłem czy datą owej coraz to praktyczniej kształtującej się agitacji jest wojna włoska z r. 1859. Trzeba istotnie dziwnej ironii losu, aby fakt przypominającej się z *tym* rokiem właśnie niepodległości i jedności włoskiej, fakt, który tak potężnem a sympatycznem echem miał oddziaływać na jedność Niemiec, taką, jaka nastąpiła, był wchodził w życie wśród sromów i gniewów nie tylko rządu pruskiego, ale co więcej, całego liberalizmu pruskiego i opinii publicznej niemieckiej. Przywołany do parlamentarnego życia po kilkunastu latach milczenia *staroliberalny* baron Vincke tłómaczył izbie deputowanych sejmu pruskiego, jak strasznym grzechem przeciw przykazom patryotyzmu niemieckiego byłoby chcieć pozwalać Włochom posuwać się ze szkodą austriackiego panowania poza Mincio. Najliberalniejszy z ówczesnych dzienników pruskich *Nationalzeitung*, zyskał natenczas wzbroniony sobie dotąd do Austrii wstęp, dzięki konsekwentnym objawom sympatii na rzecz panowania habsbursko-lotaryńskiego we Włoszech. Liberalny wreszcie sejm pruski zawotował bez zająknienia żadaną przez rząd pożyczkę, której nieprzyjazne dla Włoch i Francyi przeznaczenie nie mogło być wątpliwem. Wśród takich to okoliczności i pod naciskiem takich wydarzeń rodzi się myśl *Nationalvereinu* czyli stowarzyszenia pokrywającego swą siecią cały obszar Niemiec, z dość przezroczystym celem agitowania na rzecz jedności niemieckiej pod egidą pruską. Dostrzegalnym rodzicem *Nationalvereinu* był znany dobrze dzisiaj jako prezes sejmów pruskich i niemieckich, hannowerski baron von Bennigsen. Propaganda pruska ograniczająca się dotąd na książkach, broszurach i dziennikach, przechodzi odtąd w postaci żywego słowa, składek, regularnie powtarzających się zgromadzeń, na *lud*. Nie dość na *Nationalvereinie*, zawiązują się stowarzyszenia „turnerów“, śpiewaków, strzelców z tym samym programem i w tym samym celu. Tak więc rozpoczyna się w czasie tak zwanej *nowej ery*

pruskiej ze strony liberalnych elementów Niemiec znów pewien ruch unitarny, ale na ten raz li i wyłącznie już tylko w interesie *pruskim*. Czas zobaczyć teraz, jaką wobec podobnych objawów ze strony Niemiec zachowują postawę Prusy same, i jak się mają do ponownej edycji swych jednościowych dążeń... Liberalne i staroliberalne elementa reprezentowane w znacznej bardzo większości w sejmie pruskim od roku 1859 pozostają w kwestyach zasadniczych w zgodzie z ministerstwem Schwerina, Schleinitza, Bethmanna-Hollwega, Auerswalda, Patowa, tegoż samego koloru politycznego i próbują, co rzecz najważniejsza, czyby im się może na rzecz *prawdziwego* konstytucjonalizmu i parlamentaryzmu, nie udało zrobić przełomu w dziele „*Manteufflowej ery*“. Próżne jednakże usiłowania. To, co zbudowała, było zbyt potrzebnem dla prawdziwego organizmu politycznego Prus, zbyt koniecznem dla panowania militarystyki i biurokracji, aby, choć uśmiechająca się do liberalizmu *nowa era* była chciała na prawdę cokolwiekbądź zeń poświęcać. Jak już wyżej powiedziano, zyskała tylko prassa pewne ulgi, jak je zyskały również niektóre skompromitowane z roku 1848 osoby. Prócz tego usiłowali ministrowie, wśród interpelacyj liberalnych elementów sejmu, na drodze administracyjnej łagodzić, gdzie im się podobało i udawało, szorstkość dziedzictwa „*Manteufflowej ery*“, ale, co się tyczy samegoż zasadniczego systemu, pozostał nienaruszonym i niekniętym. Trzymały się w takim stanie rzeczy, wśród coraz wyraźniejszych objawów niecierpliwości liberalizmu sejmowego, wśród ciągłych nadziei i oczekiwań, że ministerstwo *nowej ery* potrafi nareszcie obalić dzieło „*Manteufflowe*“ aż do r. 1862. Umarł tymczasem król Fryderyk Wilhelm IV, a brat jego został z regenta królem. Odtąd, mianowicie od chwili koronacji nowego króla w Królewcu, w miesiącu październiku roku 1861, staje się rzeczą coraz widoczniejszą, że przymierze dworu z liberalnymi elementami nie wytrwa i że wkrótce nastąpi zmiana dekoracji.

Wypada nam tu w *tym* właśnie ustępie naszego opowiadania, raz dla zrozumienia zmiany, jaka w kilka miesięcy później nastąpiła, dalej dla ocenienia charakteru i wartości ówczesnej akcji partji pruskiej, zwrócić bliższą nieco uwagę na skład reprezentacji kraju. Izba panów mieści w swem łonie

falangę konserwatystów z rodu i stanowiska lub z urzędu, z jakich ją „*era Manteufflowa*“ złożyła. Tutaj panuje niechętnie usposobienie, nie tylko już, jak bardzo naturalnie dla liberalnych postulatów izby deputowanych, ale co ważniejsza, względem ministerstwa, które nie idąc, bo nie mogąc w koncesjach swych iść tak daleko, jakby izba chciała, wyraźną przecież postulatowi jej pokazuje sympatyą. Co się tyczy izby deputowanych sejmiku pruskiego, gromadzi ona w swym przybytku prócz szczupłego zastępu konserwatystów, prócz liczniejszego nieco dalej zastępu osobistości zależnych w swej pozycji od rządu, w przeważnej większości fuzyą „*staroliberalnych*“ elementów z epoki połączonego sejmiku z liberalizmem nowego autoramentu i szczupłym dodatkiem niedobitków właściwej demokracji z roku 1848. Jeśli baron Vincke, jeśli Simson, jeśli sam minister Schwerin reprezentują *staroliberalizm*, przybawiają mu w pomoc jako liberalne elementa nowszej już daty osobistości, powagi, znaczenia, nauki, jakimi są: profesor Gneist, radzca sądowy Twesten, bracia Reichenspergerzy katolickiej barwy, tyle wsławiony później w annałach parlamentaryzmu prusko-niemieckiego asessor Lasker. Owa wspomniana przez nas co dopiero demokracja z roku 1848, zamienia się naówczas w zastęp parlamentarny tak zwanego *Fortschrittu* (postępu) i ma na swem czele zacząć pod każdym względem i szanowną postać radzcy najwyższego trybunału Waldecka. Obok niego posiada wymownych i świetnych reprezentantów w osobach: braci Sauckenów, doktora i profesora Virchowa, doktora Löwego, publicystów Lünunga i Fresego, wschodniopruskiego barona Hoverbecka, wreszcie owego ponurego, samopas chodzącego, przymiotem niesłychanej odwagi cywilnej i nieskazitelną świecącego solitera o izraelskich rysach, doktora Jana Jacobiego z Królewca. Są bez wątpienia między *staroliberalizmem*, *nowoliberalizmem*, *Fortschrittem* a wyznawcami nieokreślonych, z pewnością daleko sięgających programów, jak np. Fresem i Jacobim wielkie różnice. Na tymczasem jednakże, poczynawszy od roku 1859 przedstawiają w parlamentarno-politycznym życiu Prus, mniej lub więcej szczerze zorganizowaną koalicję żywiołów *prawdziwie* liberalnych, które sobie stawiają zadanie, drogą konsekwentnej akcji zrobić wyłom w politycznej budowie „*ery Manteufflowej*“ i zamienić po-

lityczny Prus organizm na konstytucyjny i parlamentarny w rzeczywistym i istotnym tego wyrazu znaczeniu.

Wyżej nieco staraliśmy się sformułować numer po numerze wszystkie zasadnicze tezy politycznego dzieła *Manteufflowej ery*. Są one, jak się zaprzeczyć nie da, tyluż negacyami parlamentarnego i konstytucyjnego życia. Naturalnie więc streszcza się akcyja liberalnej koalicji sejmowej około ich obalenia w interesie konstytucyjnym. Z jednej strony staje zbrojna w militarno-biurokratyczny, wiernie i tradycyjnie pruski organizm, monarchia absolutna, z drugiej aspiracyja liberalnych partyj usiłująca zdobyć sobie stanowisko, na któremby się istotnie dopiero politycznymi partyjami stać i zwać mogły. Zatarg wyraźny, jasny i zrozumiały, rozwiązalny jedynie tylko apelacyą do instancyi materyjalnej siły, trwający, postępując *crescendo*, siedm lat, zdolny doprowadzić w razie przedłużonego trwania, bądź to znów do gwałtownego wybuchu, bądź do pożegnania się w Prusach, choćby nawet z maską czy marą dotychczasowego konstytucjonalizmu. Była to epoka, w której znów widzimy chęć przynajmniej jakiejś samodzielnej akcyi stronnictw prusko-niemieckich, pewną żądzę zdobycia sobie warunków prawdziwego konstytucjonalizmu, sytuacyą dalej, która przedłużona a nie skrzyżowana nadzwyczajnymi wypadkami, mogła powołać do samodzielnego życia partye niemieckie, choćby ten żywot był żywotem wojującego i cierpiącego Kościoła. Podobnie jednakże, jak Napoleon przekazuje w swym testamencie politycznym sukcesorom naukę: „nie pytajcie we Francyi o partye, opierajcie się na massach“, tak i władzcy monarchii Fryderykowej mogą sobie sukcesyjnie przekazywać prawdę: „nie pytajcie o stronnictwa, żartujcie sobie z wszelkich wołań i krzyków, opierajcie się na wojsku i biurokracyi, bo to jedynym u nas warunkiem i elementem siły, bo to jedynym jądrem atrakcyi, około którego prędzej czy później nawiną się uległe, choćby nawet żywioły opozycyi!“

Skreśliśmy teraz w kilku słowach przebieg owej kilkoletniej walki polityczno-parlamentarnej między koalicją liberalną bardzo umiarkowanego zresztą koloru i programu a naturalnymi obrońcami dzieła *Manteufflowej ery*. Walka ta nosi charakter łagodny, raczej przyjacielskiego jakoby nieporozumienia tylko, dopóki ministerstwo *nowej ery* pozostaje u steru. Coraz

widoczniejszą jednakże rzeczą po koronacyi królewskiej, zwłaszcza, że miodowe miesiące *nowej ery* minęły, a że dni złożonego ze staroliberalnych elementów gabinetu policzone. Ciągnął on jeszcze żywot przez kilka miesięcy, aż hasło narreszcie do zmiany rzeczy i do pochowania systemu *nowej ery* na wieczne czasy dał przyjęty przez izbę deputowanych sejmu pruskiego wniosek Hagena o „*specjalizowanie budżetu*.“ Ministerstwo Schwerina nie poczuwało się z jednej strony do obowiązku zastosowania się do uchwały izby; z drugiej przyznało się królowi do niemożności podołania wzrastającemu z każdym dniem wyżej nurtowi opozycyjnemu. Otóż, czego królowi było trzeba, by się pozbyć niewygodnych doradców. Dekret króla Wilhelma I z dnia 13 marca 1862 pogrzebał uroczyście „*nową erę*,“ dał odprawę staroliberalnemu ministerstwu, tworząc nowy gabinet pod prezydencją barona Bismarka z teką ministerstwa spraw zagranicznych, powierzając ministerstwo spraw wewnętrznych panu von Jagow, później hrabiemu Eulenburgowi, wychowania publicznego mężowi *ery Manteufflowej* p. Mühlerowi, sprawiedliwości hrabiemu Lippe, wojny generałowi Roon. Na ministra skarbu powrócił von der Heydt, członek rodziny hollendersko-nadreńskich bankierów, długoletni zawiadowca finansów pruskich w *erze Manteuffla*. Równocześnie rozwiązywał król oporną izbę deputowanych, odraczał izbę panów, nakazując konstytucyjnie nowe wybory w przeciągu czterech tygodni. Byłoby ze strony korony, jak wyraźniej być nie mogło, aktem *noli me tangere*, rzuconym w oczy reprezentacyi kraju, która kusiła się obalić budowę *ery Manteufflowej* na rzecz prawdziwego konstytucjonalizmu.

Akt podobny, właśnie dla tego, że się obraca w błędnem kole formułek konstytucyjnych, dalekim jest od położenia końca zatargowi; przeciwnie, daje hasło rozpoczynającej się na dobre parlamentarno-politycznej walce, inauguruje tak zwaną nową *erę konfliktu*. Jestto czas wzajemnych szykan, drobiazgowej wojny, prześladowań a byłby się mógł stać czasem istotnej stagnacyi we funkcyonowaniu maszyny państwa, gdyby ustawa konstytucyjna *ery Manteufflowej* była ją uczyniła według przykazów *prawdziwego* konstytucjonalizmu zależną od postawy i uchwał reprezentacyi kraju. Tymczasem ciągnie dalej zegarkowy swój żywot państwo Hohenzollernów z zegarkową regu-

larnością wśród nietkniętej w niczem roboty bióra i koszar, kiedy nowy prezes gabinetu baron Bismark w połączeniu ze swymi, na ten raz już wcale nieliberalnymi kolegami, podejmuje ową walkę i gonitwy z coraz to oporniejszą reprezentacją krajową. Jej skład wewnętrzny, jej fizyonomia zewnętrzna pozostają te same, jak to wskazaliśmy wyżej. W szczupłej liczbie *konserwatystów*, w przeważnej liczbie zastęp *liberalny* nowego autoramentu, wreszcie *postęp* (*Fortschritt*), wszystko to razem przesiane pewną kwotą żywiołów, jakie *każdy* rząd wśród wszelkich okoliczności ma zawsze na swe zawołanie, nie dość silnych jednakże, by zrównoważyć wpływ i znaczenie koalicji pierwiastków opozycyjnych.

Wobec niej zarysowuje się nie po raz pierwszy wprawdzie w dziejach parlamentaryzmu pruskiego, ale wyraźniej i wybitniej postać barona Bismarka z Schönhausen, który sądząc z tego, co dotąd zrobił i jak się dotąd manifestował, miał prawo uchodzić i uchodził rzeczywiście za objaw pewnej prowokacyjnej, zaczepnej zachowawczości, negacyi wszelkiego liberalizmu na wewnątrz, wszelkich mogących się pokłócić z istniejącym porządkiem rzeczy dążności unifikacyjnych na zewnątrz. Sądząc z jego wysoce konserwatywnych wystąpień w czasie połączanego sejmku, sądząc z późniejszych jego, obrazających opinią publiczną niemiecką protestów przeciw odbieraniu Danii księstw zaelbiańskich, sądząc z jego postawy na poselstwie petersburgskim i przy *Bundestagu* frankfurtskim, miała go liberalna opinia tak zwanej *ery konfliktowej* za junackiego doktrynera konserwatyzmu raczej, aniżeli za męża stanu, jakim się rzeczywiście później odsłonił. W czym jednakże ani na chwilę zamaskowaną jakąś i zagadkową postacią nie był, to w lekceważeniu i pogardzie objawianej zawsze i konsekwentnie parlamentaryzmowi, jego ludziom i formułkom. Naturalny to zresztą, politycznie i psychologicznie łatwo tłómaczący się pojav. Ludzie tak wybitnej indywidualności, jak dzisiejszy książę-kanclerz Cesarstwa Niemieckiego, nie są skłonni znosić opozycji a zwłaszcza opozycji, która, jak pruska parlamentarna, drażniła doktrynerstwem i nie rozumiała, czy nie chciała rozumieć, jego ostatecznych celów. Ztąd to wywiązuje się między koalicją liberalno-parlamentarną, której pierwiastki składowe już nam znane z powyższego opowiadania, mię-

dzy koalicją usiłującą zdobyć Prusom rzeczywiście stan konstytucyjny a prezesem gabinetu pruskiego owa uporczywa, czteroletnia walka, w której skoalizowane stronnictwa liberalne rozwijają wiele wytrwałości, talentu, jeśli nie politycznego, to parlamentarnego i konsekwencyi, lecz rozbijają się ostatecznie w swej robocie o niedostatek materyalnej siły, w której z drugiej strony naczelnik gabinetu rozwija nie mniej wytrwałości i uporę, ale zarazem ową dozę małej mściwości i prześladowczej drobiazgowości, z której go ani powodzenia, ani wysokie stanowisko uleczyć do tej chwili nie zdołały a która go w dziwnie ujemny charakteryzuje sposób.

Nie od rzeczy przypomnieć sobie niektóre przynajmniej szczegóły owej walki parlamentarnej „*ery konfliktowej*,” choćby dla tego, aby się przekonać, ile to przebaczyć, ile zapomnieć liberalizmowi było trzeba, aby dzisiaj stać się najposłuszniejszym podnóżkiem księcia kanclerza. Czegóż chciał, nie można dość często pytać, liberalizm *ery konfliktowej*, stając w opozycji z koroną i kierownikiem jej polityki? Niczego mniej, niż czego więcej, jak w obrębie najściślejszym konstytucyjnym, przełomu w nienaruszonym dotąd dziele *ery Manteufflowej* na rzecz tego wszystkiego, cò według pojęć zachodnich do definicji konstytucjonalizmu i parlamentaryzmu należy. Chciał zdobyć grunt, na którym dopiero *prawdziwie* o życiu konstytucyjnym narodu i o stronnictwach politycznych mowa być może. Bronił tymczasem dzieła swego dzisiaj tyle zdyskredytowanego poprzednika w obrębie polityki *wewnętrznej* z wytrwałością i zaciętością godną Palafoxa w Saragossie — baron Bismark. Rzeczą wiadomą, że oporna izba deputowanych jest przez ten czas pięć czy sześć razy rozwiązywaną, by za rozporządzeniem nowych wyborów wychodzić z ich urny w tym samym składzie osobistym i partyjnym, który już znamy, z podwojoną tylko dozą rozdrażnienia przeciw panującemu systemowi. Owo *rozwiązywanie* izby deputowanych było przynajmniej środkiem poważnym, konstytucyjnym, którym gabinetowi wolno było każdego czasu posłużyć się przeciw oporności reprezentacji kraju, przekonać się, czy próba nowych, powtarzających się ciągle wyborów, nie potrafi nareszcie wytrząść z urny wyborczej odpowiedniego swym życzeniom, widokom i potrzebom składu. Kończył się jednakże ze strony gabinetu na tym le-

galnym, poważnym, ściśle konstytucyjnym środkiem w walce z reprezentacją kraju? Odpowiedź na to naturalne bardzo zapytanie wprowadza nas w dedal szykan, drobnostkowych przesładowań, szpilkowych ukłuc dowodzących, jak dalece, choćby najwięksi i najznakomitsi ludzie i mężowie stanu, nie są istotami bezwzględnej doskonałości, jak dalece podobni wspaniałym bryłom białego marmuru, mają odpowiednie swej wielkości skazy.

Dzisiejszy książę-kanclerz Cesarstwa Niemieckiego jest i obecnie jeszcze, nawet na terażniejszym szczyble powodzeń, potęgi i osobistego znaczenia nadwyczajnie czułym nie tylko już na każdą opozycją, która mu wobec materyjalnej siły, jaką rozporządza, nie nie szkodzi, ale nawet na każdy drobiazg tracący dlań nibyto obrazą osobistą. Istnieje według przepisów kodeksu karnego niemieckiego osobna kategoria przestępstw ulegających śledztwu i karze jedynie tylko na wniosek dotkniętego czy poszkodowanego (tak zwane *Antragsvergehen*). Do rzędu tych przewinień należą obrazy osobiste, wymierzone przeciw księciu-kanclerzowi. Obraz podobnych dopuszcza się częścią prasa, dopuszczają się nadto w podsłuchanych, donoszonych następnie policji pogadankach, po trzeźwemu i po pijanemu, rozmaite osobistości najniższych często warstw społecznych. Według *naszych* pojęć o podobnych rzeczach, nie ubliżałoby zaiste honorowi i godności księcia-kanclerza, gdyby usłużnym donosicielom zakazał trudzić swoje nerwy i uszy podobnemi małostkami i czuł się nad nie wyższym. Tymczasem nie ma nie tylko już tak pokątnego dzienniczka prowincjonalnego, ale co więcej, niema nawet dość podrzędnej praczki, kucharki, wiejskiego kołodzieja, robotnika, którzyby *dzisiaj* jeszcze na wniosek podpisany *własnoręcznie* przez księcia-kanclerza, figurujący następnie w aktach śledczych, nie byli zmuszeni odpowiadać kryminalnie za pierwsze lepsze słowo, rzucone niebacznie, w chwili niezupełnej trzeźwości lub zapomnienia przeciw pogromcy Europy. *Dawniej* działało się to samo, ale kosztowało tylko, jak sam książę-kanclerz swego czasu nie bez żalu i rozdrażnienia zauważył, winnego „*regularnie tylko 10 talarów*“. *Dzisiaj* opłaca się tenże sam grzech winnemu cięższą pokutą bądź kieszeni, bądź osobistej wolności.

Niechaj szanowni czytelnicy raczą nam wybaczyć powyższy epizod z charakterystyki księcia-kanclerza, ale nie jest on według nas zbyt cennym dla ocenienia stanowiska jego, a mianowicie stósunku, o którym *teraz* właśnie mówimy, stósunku prezesa gabinetu pruskiego do reprezentacji krajowej w tak zwanej *erze konfliktowej*. Należy poznać słabe strony zajmującego tak znamienite stanowisko męża stanu, aby poznać dalej i ocenić charakter i wartość środków, jakimi się w walce z przeciwnikami politycznymi posługuje. Po tem, cośmy powiedzieli, staną one nam w jasnym i naturalnem świetle.

A więc tedy, ponieważ izba deputowanych *ery konfliktowej* składa się przeważnie z urzędników *sprawiedliwości*, jak *ery Mauteufflowej* składała się przeważnie z urzędników *administracji* (dawniej *Landrathskammer*, później *Kreisrichterkammer*), rozpoczyna się istny rój dyscyplinarnych procesów przeciw sędziom skompromitowanym występkiem opozycji. Destytucye, tranzlokacye opornych są na porządku dziennym. Nie dość na tem, praktykuje rozdrażniony prezes gabinetu inny jeszcze środek „*repressaliowy*“ przeciw wierzgającym synom Temidy. Jak wiadomo, mają członkowie izby deputowanych sejmu pruskiego dyety, które deputowani będący urzędnikami *sprawiedliwości* pobierali *obok* swej zwykłej pensyi. Stanowisko deputowanego było więc dla takiego sędziego, zwłaszcza z prowincyi, rzeczą choćby już tylko ze względów materialnych nader pożądaną. Prezes gabinetu popsuł im jednakże uciechę, każąc wszystkim deputowanym będącym urzędnikami *sprawiedliwości* opłacać koszta zastępstwa z własnej kieszeni. Takich wexacyj i prześladowań znalazło się więcej. W roku 1865 wystąpił z mową śmiałą, bezwzględną, przeciw stronnictwu sądownictwa pruskiego w sprawach politycznych i prasowych, zacny radca sądu miejskiego berlińskiego i członek izby Twesten. Mowa jego zwracała się głównie przeciw najwyższemu trybunałowi berlińskiemu, jako ostatecznej instancji, chłoscząc w niesłychanie, prawda, zaczepny, ale świadczący o odwadze cywilnej i miłości prawdy mowcy sposób, postępowanie prezesów przy układaniu komisyj mających sędzić w sprawach politycznych i prasowych, tudzież wyrokowanie jego nacechowane wyraźną stronnictwością. Jakakolwiek treść tej mowy była, zasłaniał mowę samego przeciw wszelkiej odpowiedzial-

ności wobec prawa karnego charakter *deputowanego*, którego słowo wyrzeczone z trybuny sejmowej jest, dzięki gwarancyi konstytucyjnej, nieograniczenie swobodnem. Mimo to rozpoczęły się z tego powodu przeciw owej niezaprzeczenie największej wówczas powadze, co zaś ważniejsza, najzacniejszemu charakterowi liberalnej koalicyi, najrozmaitsze prześladowania, a najwyższy trybunał berliński rozstrzygnął w duchu interpretacyi gabinetowej, iż deputowany *może* mimo gwarancyi konstytucyjnej być pociągany do odpowiedzialności karnej za to, co powie, choćby nawet z wysokości trybuny parlamentarnej. Ów zatarg gabinetu z Twestenem stanowi jedną z najmniej budujących faz walki między gabinetem a opozycją w tak zwanej *erze konfliktowej*.

Nie koniec naturalnie na tem. Prasa z bardzo małym wyjątkiem organów konserwatywnych lub wręcz urzędowych, stała naturalnie po stronie opozycyi. Trzeba ją było powściągnąć, uciszyć. Działalność prokuratury królewskich i sądów nie wystarczała tutaj, bo zawsze znajdował się sposób na sposób a można było opozycyjnie pisać, omijając zręcznie niebezpieczeństwo spotkania z rygiorem prokuratorskim. W czerwcu tedy roku 1863 nastąpił za pomocą niestęchanie szerokiej interpretacyi jednego z artykułów ustawy konstytucyjnej podczas pauzy po niewiadomo już którym rozwiązaniu izby, akt zawierający wolność prasy, oddający ją pod dyskrecyonalny nadzór władzy administracyjnej. Otóż pewna część środków i środeczków, jakimi się gabinet posługiwał przeciw koalicyi liberalnych żywiołów *w erze konfliktowej*. Wszystkich wyliczać nie ma tu ani potrzeby, ani powodu; wyliczone starczą do scharakteryzowania stanu rozdrażnienia panującego między pogniewanymi żywiołami.

Druga zresztą strona, opozycja sejmu, prasy, opinii publicznej, przedstawia ze swej strony podobne widowisko. Z pewnością nie najzacieśszy jeszcze z pośród parlamentarnej opozycyi, znany nam dobrze z epoki *połączonego sejmku* westfalski baron Vincke woła bezceremonialnie z trybuny: „*Weg mit diesem Ministerium!*“ (Precz z tem ministerstwem!); inny opozycjonista woła niemniej donośnie: „*Temu ministerstwu ani grosza!*“ a opozycja odrzuca między innemi projektowaną przez ministerstwo sprawiedliwości subwencyą 1000 talarów

(*risum teneatis!*) dla urzędników zastępujących nieobecnych kolegów, byle tylko istniejącemu gabinetowi żadnych funduszków nie przyznawać. Mnożą się i sypią, jak z rogu obfitości pośród posiedzeń sejmowych sceny wzajemnego rozdrażnienia. Szczytu kulminacyjnego dochodzi ów zatarg w roku 1865 przy sposobności nowelli do prawa o reorganizacji armii, którą izba deputowanych odrzuca, którą król w połączeniu z gabinetem bez względu na uchwały sejmowe przeprowadza.

Zauważmy dodatkowo, że, jakkolwiek sukces rozgrzesza i odkupuje, nie uważano jednakże jeszcze ze strony reprezentacji kraju pruskiej zwycięstwa odniesionego nad Duńczykami w roku 1864 za powodzenie *tego* rodzaju, aby pod wrażeniem jego abdykować i zrezygnować na rzecz autorów tryumfu z pretensyi prawdziwego konstytucjonalizmu i wolności wewnętrznej. Przeciwnie, powiedzielibyśmy, zajątrza owo zwycięstwo może jeszcze więcej zatarg między gabinetem a reprezentacją i opinią publiczną kraju. Opinia owa sympatyzowała najnie-dwuznaczniej z pretensjami państwowej niezależności księstw zaelbiańskich, gorszyła się samowolnem i samowładnem postępowaniem, jakie ze strony okupacji pruskiej ludność tamtejszą w niezliczonych przypadkach dotykało. Mianowicie drażniło prasę, gniewało opinię publiczną pruską uwieszenie i wywiezienie z kraju niejakiego Maya, redaktora wychodzącego we Flensburgu pisma, którego zadaniem było przemawiać za pretensjami księcia Augustenburgskiego..... Wśród podobnych zatargów, drażliwości, kłótni, powtarzających się ciągle rozwiązywań dotychczasowych, zwoływań nowych izb, przeciągnęły się rzeczy aż do pamiętnej daty roku 1866.

Stanowisko obu zasadniczych pierwiastków życia politycznego i państwowego w Prusach zarysowało się nader wyraźnie i charakterystycznie. *Z jednej* strony stary, tradycyjny, uświęcony wiekami organizm monarchii pruskiej, opierający się na bezwzględnej, nieulegającej żadnej dyskusji podstawie królewskości z Bożej łaski, jako zasadniczem *prawie*, — na wojsku i biórokracji jako na niezawodnych zawsze środkach i warunkach *materjalnej siły*, — organizm dopuszczający istnienia ozdóbek i formułek konstytucyjno-parlamentarnych tylko ze względu na charakter i symetrią swojej epoki w nieszkodliwej dla siebie kwocie i dozie; *z drugiej* strony koalicja libe-

ralnych żywiołów, *politycznej* barwy, pragnąca wszelkimi siłami zamienić ów stan pozornego konstytucjonalizmu na prawdziwy, rozbijająca sobie jednakże nadaremno w bezsilnym gniewie głowę o nieprzełamany mur budowy, której Prusy zawdzięczają swój wzrost i wielkość. Jakkolwiek nie ma niewdzięczniejszego zadania, jak kombinować, co by się, było stało, gdyby *nie* było nastąpiło, co później *nastąpiło* rzeczywiście, zdaje nam się wszakże, iż nie popełnimy zbyt wielkiego błędu twierdząc, iż przedłużony bez żadnej przerwy stan ówczesnego konfliktu, byłby doprowadził do jakiego mniej lub więcej zamaskowanego i zabarwionego frazesami i formułkami zamachu stanu, do strącenia koalicji liberalnej i opozycji w ponowne katakumby, w dalszem jeszcze następstwie do podziemnego i nurtującego pod dostrzegalną powierzchnią fermentu, któryby w razie nadarzających się okoliczności był znów może zaciekał świat europejski jaką nową i poprawną edycją wypadków marcowych roku 1848.

Nastąpiła jednakże wśród, jak wiadomo, ogólnej niepopularności, wojna austriacko-niemiecka roku 1866, by z chwilą powodzenia Prus być przyjętą z ogromnym wybuchem radości i tryumfu ze strony *tych* właśnie żywiołów, które w chwili jej rozpoczęcia najgłośniej na samą myśl podjęcia tak niebezpiecznego dzieła piorunowały. „*Rien ne réussit mieux, que le succès,*“ powiedział bardzo trafnie jeden z najznakomitszych pisarzy francuskich, a grom Sadowy staje się dla liberalizmu pruskiego tem samem, czem ów blask światła uderzający oczy świętego Pawła w wyprawie z Jerozolimy do Damaszku. Liberalizm pruski nawraca się pod wrażeniem piorunowego sukcesu na wiarę Bismarkową, wstydzi się niemal swej opozycyjnej przeszłości. Co się zaś tyczy *wrażenia i powodów* owego tryumfu w Niemczech, zapiszmy zaraz tutaj spostrzeżenie nieobojętnej mianowicie wagi dla ocenienia charakteru wyrabiających się z pośród nowego stanu rzeczy stronnictw. W tryumfie tym odgrywają przeważną rolę *względny ekonomiczne*. Czy to Szlezwig i Holsztyn, czy to Hannover, czy Frankfurt, czy Hessa nie witały bynajmniej z zadowoleniem zstępującej im w podobnej postaci jedności wielkiej ojczyzny niemieckiej. Cóż robić jednakże wobec nieuniknionej konieczności? Dzisiejszy zachód europejski urządził sobie dom zbyt elegancko, wygo-

dnie i wytwornie, aby go wystawiać na ruinę, na pastwę bomb i dynamitowych eksplozji. Niemcy pozapruskie mogły wcale nie kochać Prusaków, ale jakże wystawiać Drezno, Hannover, Meiningen czy Frankfurt na los Saguntu czy Saragossy! W cóż się obróćą galerie obrazów, muzea, oszklone galerie, wspa- niałe domy, składy a wspanialsze jeszcze kieszenie *osiadłych* obywateli, bogatego kupiectwa i żydowskich bankierów? W ra- zie prawdziwej chęci obrony, byliby sobie Prusacy mimo wszel- kich powodzeń przeciw Austryakom, mimo doskonałej organi- zacyi armii i wybornej broni rozbili ostatecznie głowę w Niem- czech, *ale* przypominamy raz jeszcze, przyszła im w pomoc *eko- nomia polityczna*, tak, jak miała przyjść później jeszcze w po- moc wewnętrznej polityce księcia Bismarka. Symptom to, po- wtarzamy, nie dość wysoko obliczalnego znaczenia w ocenieniu charakteru 'dzisiejszych stronnictw Cesarstwa Niemieckiego. Pocóż sobie szukać *sławy*, ale i *szkody* w Saragosskiej obro- nie? Ideały naszej młodości z przed roku 1848 pochowane oddawna. Był papież, co powiedział: „Niechaj grzesznik żyje a płaci!“ Opłaćmy się Prusakom, uchronimy nasze domy, ga- lerie, muzea, składy i zwierciadlane szyby od bomb i karta- czy, nasze kieszenie od zbyt grubych ofiar a tymczasem zo- baczmy, jak siebie samych i stan naszych finansów zagospoda- rować w nowym porządku rzeczy! Otóż niezaprzeczenie tajem- nica tłómacząca więcej niż do połowy powodzenia Vogel von Falkensteinów czy Manteufflów w wojnie południowo-niemie- ckiej. Wróćmy jednakże na widownię pruską.

Grom Sadowy zniszczył tedy, obrócił w proch opozycyą, przekreślił od razu egzystencyą aspirujących do swobód we- wnętrzych, do zwalenia dzieła *ery Manteufflowej*, do zbudowania prawdziwego konstytucjonalizmu i parlamentaryzmu stronnictw politycznych. Pozostało kilku oryginałów, odzywały się ze strony tych i owych z pomiędzy nawróconych, od czasu do czasu, jakoby pewne zgryzoty sumienia, jakoby pewne re- miniscencye tęsknoty za minioną bezpowrotnie przeszłością. Natomiast trudnoby nam się już od tej chwili doszukiwać i dopatrywać w składzie parlamentarnym prusko-niemieckim za- stępu o ściśle sformułowanym, *politycznym* programie, któryby wbrew i mimo systemu rządowego chciał wznieść własną bu- dowę *politycznego* charakteru. Będziemy się starali wykazać

niżej, jak pod wpływem zmiany całego stanu rzeczy w Niemczech i charakteru sytuacji, wyrnęły do niespodzianego życia nowe stronnictwa odmiennej najzupełniej genezy, dążności i fizynomii... Pamiętną datą pogrzebu owej ginącej samobójczo pod wrażeniem sukcesu wojennego liberalnej koalicji i opozycji tak zwanej *ery konfliktowej* był dzień 22 sierpnia 1866, kiedy zwołana na nowo, teraz już grzeczna i posłuszna izba deputowanych sejmu pruskiego, radziła w obecności kreowanego co dopiero hrabią prezesa gabinetu Bismarka, nad adresem do tronu. Wypadł naturalnie entuzjastycznie dla korony a wśród wystąpień dotychczasowych chorągów *starego i nowego* liberalizmu skłaniających głowę w obec sukcesu i jego autorów, mogły psychologa i spostrzegacza bawić mowy postępowca Virchowa i katolika Reichenspergera. Łącząc swój głos z głosem i chórem ogólnego uznania byłby, *ale* tylko grzecznie, *ale* tylko bardzo i bardzo ostrożnie, pragnął *pierwszy*, aby w nowej organizacji państwa znalazło się też przecież choćby najskromniejsze jakie miejsce dla swobód wewnętrznych w sensie konstytucyjnym; *drugi*, aby przecież *Austria*, owa katolicka, zajmująca w dziejach i rozwoju Niemiec tak znamienite stanowisko Austryą nie była bezceremonialnie wyrzuconą po za progi urządzającego się na nowo domu niemieckiego. Wśród wszystkich tych głosów, bądź to oddających bezwzględną cześć sukcesowi, bądź to kładących wobec niego pełne oględności i pokory zastrzeżenia, odezwał się *jeden* tylko, psując ową harmonię pogody, z wyraźnem oświadczeniem, że zwycięztwo odniesione co dopiero nie jest odniesione dla *ludu*, lecz *przeciw* ludowi niemieckiemu a że zamiast połączyć Niemcy w jeden bratni węzeł, oddaje je przeciwnie w więzy materialnej siły. Głos ten jedyny, ponuro brzmiący, pokrywany raz po raz szemraniem izby, był głosem sławnego Jana Jacobiego z Królewca, jednego z pionierów ruchu roku 1848, niezłomnego wyznawcy jego zasad i idei, kiedy się ich wszyscy niemal już wyparli.

Zbyteczną byłoby powiadać rzeczą, że adres do tronu *przeszedł* a że przeszedł w formie, jakiej sobie tylko gabinet mógł życzyć. Od tej chwili zakwita różowa istnie zgoda między dotychczasowymi, tak zaciętymi nieprzyjaciołmi, między prezesem gabinetu z jednej, między składającą się niby to

z tychże samych co dotąd osób, ale pozbawioną dotychczasowego ducha reprezentacją kraju z drugiej strony. Krótko po owej dyskusyi adresowej udziela izba deputowanych ministerstwu uroczyste rozgrzeszenie z dotychczasowej, nie zatwierdzonej przez kilka lat przez się administracyi *finansów* państwa. Później nieco wotuje też sama izba projektowaną przez rządy dotacją co zasłużeńszych w wojnie austriacko-niemieckiej generałów. Zawierucha z powodu sprawy Luksemburskiej staje się jeszcze trwalszym cementem podobnej zgody; abdykacya stronnictw liberalnych pruskich z wszelkich pokus *własnej* jakiejś polityki staje się zupełną, coraz bardziej, coraz doskonalej zupełną, im większy sukces w dziedzinie wojny i polityki zagranicznej poczyną towarzyszyć kierownictwu polityki Bismarkowej. Śmierć uprzęta zresztą i głodzi z niezmierną usłużnością drogi podobnemu porozumieniu. Umierają krótko po sobie, jeden po drugim, baron Vincke, hr. Schwerin, następnie charaktery rzeczywistej niepodległości i wielkiego moralnego wpływu, jak Twesten, Waldeck, później dużo zacny baron Hoverbeck. Pozostają na placu nazwy i firmy dawnych *liberalnych* partyj, żadna z nich nie posuwa się ani do samodzielnej akcji politycznej, ani nie wskazuje wybitniejszych, nie ulegających urokowi sukcesu postaci. Jest to między wojną austriacką a francuską wojną mieszczącą się data zupełnej przemiany dotychczasowych stronnictw pruskich, data zarazem narodzenia się i zorganizowania zastępu, który dzisiaj pod nazwą narodowo-liberalnego jest niczem innem, jak sromającą się czasem niby to i maskującą partyą rządową.

Wpatrzywszy się uważniej nieco w oblicze reprezentacyi kraju *przed* wojną francuską, czy to sejmu pruskiego czy parlamentu nowo utworzonej w roku 1867 północno-niemieckiej Rzeszy, czy nawet połączonego całych Niemiec parlamentu celnego, trudno nie przyjść do przekonania, jak dalece z wyjątkiem kilku konserwatystów biorących swe zasady trochę z nadto na seryo, z wyjątkiem dalej kilku partykularystów, wszelka opozycya parlamentarna, wszelkie stronnictwa polityczne w znaczeniu *z przed* roku 1866, znikły i ustąpiły z widowni publicznej. Ówczesny hrabia Bismark, w gruntownej swej pogardzie dla wszystkich stronnictw polityczno-parlamentarnych znajdował istną satysfakcją, bawiąc się pośród nich w osobowy

eklektyzm. Kierując się względami praktycznemi, zrzucając ostatecznie maskę i pozory jakiegobądź doktryneryzmu, brał sobie do pomocy zdolnych ludzi, gdziekolwiek ich znalazł a szukał ich nawet tam często, gdzie mu się ich znaleźć nie powiodło. Czy to destytuowany *ery Manteufflowej* asessor sądowy Michaelis, czy to jeden z bohaterów zgromadzenia narodowego z roku 1848 Lotar Bucher, czy to redaktor rewolucyjnych i zapalnych pism z tegoż samego roku Brass, czy to pierwszy redaktor i wydawca *Gazety Krzyżowej* Wagener, wszystko to znajdowało z istną gościnnością miejsce, często miejsce zaufania i znaczenia w budowie politycznej i przy boku prezesa gabinetu. Owo otaczanie się jego i posługiwanie najrozmaitszymi ludźmi bez względu na ich przeszłość partyjną i przekonania polityczne; owa widoczna dążność jednoczenia Niemiec na jakiegobądź drodze i jakimbądź sposobem, stała się nowym rzutem światła dla liberalizmu prusko-niemieckiego. „*Wilk syty, koza cała.*“ Można było być *liberalnym*, liberalnym jak Bucher, jak Michaelis, jak Treitschke, jak Wehrenpfennig, jak tylu innych rozgrzeszonych winowajców z roku 1848 a iść ręką w rękę ze systemem rządowym, wspierać go, bo *naturalnie* jest liberalnym a zbierać tymczasem, skoro się uda, wszelkie osobiste zyski i korzyści podobnie wygodnej praktyki liberalizmu. Można było być Niemcem goniącym niby to za ideałem jedności z roku 1848 bez wystawienia się na najmniejsze niebezpieczeństwo, gdyż to widoczna przecież dążność samegoż prezesa gabinetu. Ztąd to tworzy się ów „*liberalizm*“ z jednej, „*narodowizm*“ z drugiej strony, jako oblicza zewnętrzne jednego i tego samego medalionu, czyli ów *narodowo-liberalizm*, zastęp pozbawiony najzupełniej samodzielnego znaczenia, nie mający prawa rościć pretensyi do jakiegobądź samodzielnej akcji politycznej, ważny i poważny chyba tylko jako falanga wspierająca rządowy system *quand même*, wygodny zaś bardzo i wynagradzający się swym uczestnikom i wyznawcom choć niekoniecznie zawsze stanowiskiem Bucherów czy Michaelisów, to przecież każdemu według zasług i możliwości w obrębie zakresu, w jakim go Opatrzność postawiła. „*Das Streberthum*,“ „*la passion de parvenir*“ powiedziałyby Francuz, chęć zrobienia kariery w systemie, który się cieszy zewnętrznem powodzeniem, a któremu nie można się opierać,

otóż jeden z genetycznych czynników zastępu narodowo-liberalnego, który teraz jako najliczniejsza i najpokaźniejsza partya polityczna niemiecka świeci na pierwszym planie, którego rzeczywiste znaczenie idzie przecież nie dalej, jak bezwzględna usłużność dla rządu i jego obecnego reprezentanta.

Postępując w naszej chemicznej jakoby analizie części składowych i genetycznych czynników, z jakich się zastęp narodowo-liberalny w czteroletnim przeciągu czasu między wojną austriacką a francuską kształtować począł, nie możemy nie potraścić ponownie o to, czegośmy z lekka dotknęli wyżej, o *przyczyny ekonomiczne*. Nie można dość często przypominać prawdy, że tryumf pruski w roku 1866, nie mniej jak w roku 1870, trafił w moment duchowego wysuszenia i wyczerpnienia narodu niemieckiego. W obu wojnach odniósł zwycięstwo nie jakiś spontaniczny entuzjazm zwycięzców, lecz odniosły je *organizacya i machina*. Ideały polityczne poszły w rupiecie i nie służyły nawet ku zabawie dzieci niemieckich. Pozostało za to na spodzie to, co pozostaje zawsze wszelkim społeczeństwem znużonym i wyczerpnionym, ulegającym rygorowi dyktatury wojskowej i przymusowi biórokratycznemu: namiętność zysku, z bogacenia się i używania. Po cóż starać się o niewykonalne przebicie głową muru, pocóż dobijać się jakichś swobód konstytucyjnych i parlamentarnych przeciw *sile*, potężnej nienaruszalną organizacyą, potężniejszej świeżemi sukcesami! Płynmy nie *przeciw* strumieniowi, ale *ze* strumieniem; zostawmy, strojąc się ciągle w godła *liberalizmu i narodowizmu*, czego nam nikt nie broni a co bezkrytycznej i bezmyślnej gawiedzi wystarcza, dziedzinę *polityczną* panującemu systemowi a *my* zobaczmy tymczasem, co się da zrobić *pod* nim na *polu ekonomicznem*! — I otóż odsłania się nam bez wszelkiej przesady i bez wszelkiego pesymizmu *drugi* czynnik genetyczny narodowo-liberalizmu: *Streberthum i Geldsucht*, chęć karyery, chęć zysku w połączeniu z najzupełniejszą rezygnacyą polityczną. Otóż to czynniki, z których się po roku 1866 rodzi najpotężniejszy *liczebnie* zastęp parlamentarnopolityczny niemiecki. Wskazując mu podobną genezę, nie mamy zamiaru twierdzić, aby się w skład jego nie był miał zamieszać pewien słaby procent osobistości dobrej wiary a nieszczerze gólnie szerokiego horyzontu, przekonanych, że dobro ojczyzny

niemieckiej wymaga pewnych ustępstw z pretensyi wewnętrznej wolności, aby dalej pośród niego nie mieli się znaleźć ludzie, którzy przyznając się do potrzeby podobnej rezygnacyi, którzy poddając się wołaniom ambicyi i nadziei przyjsia do znaczenia i stanowiska w obecnym systemie, doznają przecież raz po raz jakoby pewnych kłopotów sumienia, zatrzymują się niekiedy i przy niektórych okolicznościach na obranej drodze, usiłując podejmować pewne próby samodzielności i opozycyi. Do takich zaliczylibyśmy między innymi aż nazbyt dobrze znanego Laskera, ale nie uprzedzając wypadków, poświęmy jeszcze słów kilka owej genezie i robocie stronnictw politycznych w przededniu wojny francuskiej.

A więc z jednej strony, w dziedzinie politycznej, widzimy wśród bardzo umiarkowanej, ustępującej zawsze w razie nacisku rządowego opozycyi, w gruncie rzeczy najzupełniejszą dla gabinetu uległość; w dziedzinie finansowo-ekonomicznej rozwiązywanie rąk kapitałowi i spekulacyi ze szkodą ziemi, warstw robotniczych i bezpieczeństwa zaoszczędzonego przez publiczność grosza. Z tej to epoki, z lat 1868 i 1870 datuje się owo prawodawstwo akcyjne pruskie, które później nieco miało się upamiętnić we współczesnych dziejach Niemiec tak smutnemi następstwami a które przyszło do skutku dzięki zastępowi spekulantów występujących w sejmie w politycznej szacie narodowo-liberalizmu. Że *obok* tego legalnego otworzenia bram i szluz najryzykowniejszej spekulacyi ów przeciąg czasu między wojną austriacką a francuską, mianowicie zaś rok 1869, jest zarazem datą niektórych użytecznych i dobroczynnych postanowień, jak n. p. nowej ordynacyi procederowej niemieckiej, uwolnienia płacy robotniczej od aresztów egzekucyjnych, prawa pozwalającego wolnych przenosić z jednego miejsca na drugie (*Freizügigkeitsrecht*), jak wreszcie na humanitarnych zasadach opartego kodeksu karnego niemieckiego z roku 1870, nie zmienia w niczem ani charakteru czasu, ani co ważniejsza dla naszego przedmiotu, charakteru stronnictw parlamentarnych zmieniających się i przeinaczających pod wpływem i naciskiem zewnętrznych okoliczności.

Wśród takiego to położenia rzeczy nastąpił w miesiącu lipcu 1870 wybuch wojny francuskiej z wszystkimi niesłychanemi Prus tryumfami, z wszystkimi swemi aż nazbyt dobrze

wiadomemi następstwami. Nie tu naturalnie miejsce wdawać się w szczegółowe opisy tej pamiętnej kampanii wraz z zakończeniem jej w starodawnym zamku Ludwika XIV przez ofiarowanie cesarskiej korony Niemiec zwyciężkiemu królowi Prus Wilhelmowi. Całe to pasmo niesłychanych, pamiętnych wydarzeń może nas do tyła tylko interesować, o ile potrafiło wybić swe piętno na politycznem i duchowem życiu narodu niemieckiego, na jego politycznej reprezentacji i składających ją stronnictwach. Nie dziwny się wrażeniu tego bezprzykładnego tryumfu na wyobraźnię, usposobienie moralne i polityczne Niemców, bo są pewne psychologiczne przyczyny, które u wszystkich ludzi i narodów jedne i te same wywołują psychologiczne skutki. Sukces olśnił, podniósł do najwyższego stopnia dumę głównych bohaterów odniesionego tryumfu, *Prusaków*, zamknął usta wszelkiej możności jakiegobądź opozycji przeciw naczelnemu kierownictwu polityki odnoszącej *takie* powodzenia, rozgrzeszył je za przeszłość, dawał blankiet, mniejsza o to czy zamaskowany lub ubarwiony formułkami konstytucyjno-parlamentarnemi, dowolnej akcyi w dziedzinie politycznej na przyszłość. Dzieło *Manteufflowej ery* mogło stać i trwać teraz bezpiecznie; *polityczna* opozycja abdykowała wobec sukcesu ze swego zadania, mogła co najwięcej, objawiać od czasu do czasu niewysłuchane *życzenia*. Posuwać się aż do śmiałości i zaczepności *ery konfliktowej* nie miała ani chęci, ani możności. Co się tyczy Niemiec właściwych, wtłoczonych w roli przymuszonego ochotnika w mundur nowego cesarstwa Niemieckiego, przyjęły one może tryumf, w którym znalazły się wskazane uczestniczyć, z mniejszym nieco w sercu entuzjazmem, aniżeli Prusy, *ale* sukces nie tylko tych, co go odnieśli i co się nim cieszą, przygniata i podbija a już biblia powiada, „że trudno wierzgać przeciw ościeniowi.“ Tryumfy Napoleona I wywołały we Francyi, po części w tychże samych Niemczech nie inne objawy a patrząc na owe dwory niemieckie, patrząc na ówczesne łączenie się rodów panujących w Bawaryi, Wirtembergii, Badeńskiem z rodziną Bonapartów, nie umielibyśmy doprawdy powiedzieć, czy dewocyjna uległość owych małych dynastów dla cesarza Franków nie była może większą jeszcze, aniżeli dzisiaj dla Cesarza Germanów i czy

zmiana fortuny dzisiaj nie zmieniałaby ich usposobień i postawy, podobnie jak zmieniała je wówczas.

Rok 1871, jak wiadomo, jest datą nowej i ostatecznej reorganizacji Niemiec pod nazwą Cesarstwa z ramienia Prus, z radą związkową (Bundesrath) na czele, w której skład wchodzić mogący być zawsze przegłosowanymi przez Prusy reprezentanci innych rządów niemieckich, ze sejmem (Reichstag) będącym wyrazem życzeń i potrzeb *kraju*. Z góry zaraz jako charakterystyczną uwagę zapisać należy, że tak fizyonomia zewnętrzna, jak usposobienie wewnętrzne *Reichstagu*, sejmu Rzeszy, różni się bardzo niewiele od fizyonomii i wnętrza sejmu pruskiego, że to co powiemy o jednym, jest prawdą przystającą niezawodnie i zupełnie prawie do drugiego, że wreszcie Niemcy *pozapruskie* nie umiając czy nie chcąc sobie stworzyć żadnych osobnych godeł i definicji partyjnych, grupują się po prostu około stronnictw istniejących w łonie reprezentacji pruskiej.

Po tych wstępnych i objaśniających uwagach, zwróćmy się w dalszym ciągu naszego opowiadania do szkicu owej metamorfozy, jaka rozpoczynając się już po wojnie austriackiej zaraz, przyszła obecnie do rozkwitu w dziele ukształtowania się nowych stronnictw niemieckich. Nie zapominajmy więc przede wszystkim, że wobec sukcesu wojennego i politycznego Prus, że wobec nowo zbudowanego porządku rzeczy, nie znalazło się właściwego miejsca dla ludzi i idei nie tylko już roku 1848, ale choćby nawet *ery konfliktowej*. Co z tej starej budowy pozostało do użycia w nowej, wzięł sobie do jej podmurowania i utrwalenia książę kanclerz, pozwalając reszcie jakich bądź partyj czy odcieni, czy to konserwatyście Gerlachowi w izbie deputowanych, czy to demokracie Jacobiemu w Królewcu, czy to republikańskiemu Kinklowi w Szwajcaryi bawić się w nieszkodliwą opozycją. Monopol *praktyki politycznej* pozostał niepodzielnie wśród podobnych okoliczności jedynie tylko *rządowi*, ale pozostał wśród formułek i zastrzeżeń nieustannie prawie funkcjonującego organizmu parlamentarno-konstytucyjnego. Praktyka owego konstytucjonalizmu sprawia bardzo naturalnie, że co pół roku czy częściej nawet może jeszcze zbierają się w Berlinie, bądź to sejm pruski, bądź to sejm Rzeszy, że rozprawiają, radzą, uchwalają, że robią zdala

wrażenie, że mieszczą w swem łonie nazwy i firmy stronnictw i odcieni *politycznych*, kiedy tego wszystkiego przy bliższem opatrzeniu i w gruncie rzeczy wcale *nie ma*. Są w tym składzie, powiedzielibyśmy, *solitery* polityczne, solitery najrozmaitszych przekonań i odcieni, konserwatyści, separatyści, demokraci; *partyi politycznej* za to o ściśle sformułowanym programie treści politycznej, któraby w razie nieprzyjęcia takowego była gotową doprowadzić stósunek swój z rządem aż do konfliktu, szukalibyśmy za to daremnie pośród obecnej reprezentacji Niemiec. Czy się zaś zamiast stronnictw *politycznych* nie wyrodziły na ich miejscu i dawnym gruncie, jak motyl z gąsienicy, nowe, *inne* formacye, byle tylko nie *politycznej* dążności i natury, niechaj będzie rzeczą późniejszego zastanowienia.

Prawda ta nie przeszkadza przecież bynajmniej pojawowi, że począwszy od roku 1871 aż do dnia dzisiejszego, istnieją w składzie reprezentacji niemieckiej, nie inaczej, jak dawniej, te same nazwy, te same firmy, te same godła, może nawet do pewnego stopnia i w pewnej kwocie te same osobistości polityczno-parlamentarne. Istnieje więc nasamprzód tak zwana partya *narodowo-liberalna* najpoważniejsza liczbą, znaczeniem, powagą i stanowiskiem składających ją uczestników. Prócz mnóstwa osobistości *minorum gentium*, po większej części urzędników sprawiedliwości i administracyi, trochę kupców, bankierów i przemysłowców, widzimy pośród niej figurujące nazwiska ludzi, jakimi są słynny Edward Lasker, profesor prawa Gneist, adwokat Braun dzisiaj w Berlinie, dawniej w Wiesbaden, hannowerski baron Benningsen domniemany suksessor księcia Bismarka na urzędzie kanclerskim, dawny nadburmistrz miasta Osnabrücku, obecnie bankier i prezes komisji sprawiedliwości Miquel, historyk i publicysta Sybel, nadburmistrz miasta Wrocławia i kilkakrotnie prezes izby deputowanych Forckenbeck, finansista i ekonom polityczny Bamberger, publicysta i pseudo-historyk, Sas rodem, ze spekulacyi Prusak, profesor uniwersytetu Henryk Treitschke, redaktor czasopisma *Preussische Jahrbücher* Wehrenpffennig, wreszcie sławny romansopisarz Gustaw Freitag. Istnieje dalej choć w smutnym liczebnie zastępie tak zwana falanga demokratyczna czyli *Förtschrittu*, z powagami, jak pogromca trychin

sławny doktor i profesor Virchow, jak nieubłagany prześladowca płatnych z *funduszu płazowego* (Reptilienfond) dziennikarzy Eugeniusz Richter, zacny dr. Eberty z Wrocławia lub profesor Hänel na czele. Jest dalej zastęp także niekoniecznie imponujący liczbą tak zwany *wolno-konserwatywny* (Freiconservative) z hrabią Bethusym Huc i Kardorffem jako przewodcą. Po za temi odcieniami czyli powiedziawszy lepiej *ciężniami* o liberalnych nazwach zapożyczonych z dawniejszych czasów, pokutuje kilku, czterech, jeśli się nie mylimy konserwatystów, niedobitków *ery Manteufflowej*, wyznawców „*des christlich germanischen Staats*“ archeologicznego autoramentu profesora Stahla, których najwymowniejszym rzecznikiem był jeszcze aż do ostatnich czasów sędziwy Gerlach. Patrząc jednakże na tę całą drabinkę parlamentarno-politycznych stronnictw prusko-niemieckich, rozpatrując się w ich parlamentarnej i publicystycznej działalności, poddając ją troskliwej analizie, nie dając się oszukać ani nazwie, ani godłu, do jakichże się przychodzi *prawdziwych* rezultatów?

Otóż, że wszystkie te tak nazwane stronnictwa polityczno-parlamentarne z wyjątkiem najzupełniej bezsilnych konserwatystów wyrażających raczej reminiscencye i aspiracye, aniżeli akcyą polityczną, nie są w rzeczywistości wcale samodzielnemi, politycznemi, do politycznych celów o wyraźnie i stanowczo sformułowanym programie zdążającemi zastępami, lecz że w gruncie rzeczy i na prawdę *rząd sam* jest ową ściśle sformułowaną, świadomą swych celów partya polityczną, której czy to ów *narodowo-liberalizm*, czy ów *postęp*, czy ów *wolno-konserwatyzm* bądź to z wysokości trybuny, bądź to za pomocą propagandy prasowej wśród wypotrzebowania mnóstwa słów i papieru służy. Różnica między niemi jest *ta* tylko, że kiedy *narodowo-liberalizm* kłania się regularnie i wiecznie potakującą gabinetowi i panującemu systemowi, jak pagoda chińska w *Narcyzie Rameau* wobec każdego skinienia czy poruszenia palca bohatera sztuki, *postęp* sroma się czasem i sierzdi wobec niektórych szczegółów polityki rządowej, *ale*, jeżeli jesteśmy dobrymi spostrzegaczami, ani bardzo na seryo, ani w kwestiach istotnej, zasadniczej wagi. Jestto kłótlawsza po prostu tylko odmiana narodowo-liberalizmu, mało niebezpieczna, choćby tylko dla swej szczupłej liczby w składzie krajowej reprezenta-

cyi. Trudnoby istotnie najwprawniejszemu oku odkryć różnicę pozwalającą rozpoznać wśród tego rodzaju *tożsamości* charakterystyczną odmianę *wolno-konserwatystów*. Jest to odcień trzymający środek między *narodowo-liberalizmem* a *postępem*, idący bezwzględnie z rządem, robiący mu nie tyle opozycyą, ile raczej pewne przedstawienia i uwagi w dziedzinie polityki ekonomiczno-finansowej.

Głównym organem prasowym, monitorem narodowo-liberalizmu w Berlinie jest *Nationalzeitung* i organ Laskera *Nationalliberale Correspondenz*; głównymi organami *postępu* również w Berlinie *Volkszeitung* i *Vossische-Zeitung*. W prasie prowincjonalnej przemaga licznie element narodowo-liberalny, choć to nie przeszkadza, aby dla różnaitości prowincjonalne narodowo-liberalne dzienniki nie zamieszczały w swych łamach „*fortschrittlich gefärbte Correspondenzen*,” (korespondencje barwy postępowej). Prasa *postępowa* jest na prowincyi mniej obficie i zasobnie reprezentowaną, posiada jednakże tu i owdzie poważniejsze nieco dzienniki, jak n. p. *Schlesische Zeitung*, jak n. p. niekiedy i wśród pewnych okoliczności *Kolońską Gazetę*. Zresztą nie ma nic pod słońcem jednostajniejszego, jak widowisko, które przedstawia prasa narodowo-liberalna niemiecka. Reprezentuje wybornie jałowość i bezpłodność swej partyi. Kto zna jeden organ, zna wszystkie; jeden jest przedrukiem drugiego. Tajemnicę podobnej tożsamości odkryli i wyłożyli, jak na dłoni postępowiec Eugeniusz Richter z wysokości trybuny sejmowej, profesor uniwersytetu lipskiego Henryk Wuttke w osobnej, studyum nad charakterem publicystyki niemieckiej poświęconej książce, asessor Reuter w świetnie i prawdziwie napisanej broszurze o narodowo-liberalizmie i jego prasie, znakomity publicysta Konstanty Frantz w licznych studiach patologicznych nad obecnym stanem Niemiec, pesymistyczny wreszcie Otto Glagau w poszukiwaniach brudów i mętów spekulacji niemieckiej ostatnich czasów. Wszyscy ci pompejańscy kopacze zasypanych lawą liberalnych westchnień i frazesów tajemnic prasy narodowo-liberalnej przychodzą do tej jednozgodnej prawdy, że prasa ta odbiera jednobrzmiącą komendę (tak zwane *Waschzettel*) z góry, że służy w skutek tego sprawie rządowej a służy niezupełnie bezinteresownie, że wreszcie stopień owej *interesowności* miał się bardzo jaskrawo

objawić w systematycznie ze szkodą publiczności praktykowanych a wybornie płaconych reklamach na rzecz owych niezliczonych spekulacyj akcyjnych z epoki *schwindla* i *gründerstwa*.

Uzupełniając tę charakterystykę działalności parlamentarnej i publicystycznej narodowo-liberalizmu, dodajmy jeszcze dla dokładności, że jeżeli *wolnokonserwatyzm* w ekonomiczno-finansowych, *postęp* w politycznych kwestyach stawia niekiedy rządowi niewinnego i wielce nieszkodliwego marsa, dopuszcza się tejże samej śmiałości w razach bardzo rażących i krzyżujących, nigdy jednakże aż do wywołania konfliktu z panującym systemem, sam narodowo-liberalizm. Podejrzliwość i pesymizm kazałyby się może nawet domyślać, że rządowi taka *niby-opozycja* nie jest wcale niepożądaną w interesie zachowania swemu wiernemu zastępowi pozorów samodzielności wobec budzącego się niekiedy niezadowolenia publicznego.

Po tej ogólnej charakterystyce dzisiejszych stronnictw parlamentarno-politycznych niemieckich, która ze stanowiska chronologicznego stósuje się do epoki od ukończenia wojny francuskiej aż do chwili obecnej, rozpatrzmy się nieco w szczegółach ich akcji ku poparciu i stwierdzeniu prawdy powyższych naszych spostrzeżeń. O niebezpieczeństwo jakiejbądź opozycji politycznej po sukcesach roku 1870 i 1871 mógł książę kanclerz być najzupełniej spokojnym. Puklerzem jego przeciw wszelkim *próbom na seryo* (bo o westchnieniach, życzeniach i aspiracyach nie ma co rozprawiać) zmiany malowanego konstytucjonalizmu *ery Manteufflowej* na prawdziwy i rzeczywisty, nasamprzód był ów *sukces* ubezwładniający wszelką opozycją, obdarzający tryumfatorów wobec kraju i przekonania jego reprezentantów choćby najszerszym zakresem dyktatorskiej władzy. Zresztą miał jeszcze książę kanclerz, mieli Bucher, Wagner, Michaelis, jego akolici i prozelici, nawet wobec dobrej wiary może tych i owych wyznawców narodowo-liberalizmu, wyborny następny argument: Niemcy choć połączone i zjednoczone, były i są dalekiemi jeszcze od *prawdziwej* jedności, która wtedy dopiero będzie zupełną, skoro stanie *jednolite państwo* (Der Einheitsstaat). Najodpowiedniejszą, najkrótszą do tego celu prowadzącą drogą jest jak największa, o ile możności, summa jednolitych dla całego obszaru Niemiec postanowień i urządzeń we wszystkich publicznego życia gałęziach i sferach.

Każda taka, zaprojektowana ze strony kanclerskiej a dlatego pewna sukcesu, mająca być rozciągnięta na całe Niemcy instytucja, przyspiesza o jeden dzień choćby tylko urzeczywistnienie faktu „*des Einheitsstaates*.“ Wspierajmy tedy, mówi rozumowanie narodowo-liberalizmu dobrej wiary, księcia-kanclerza na drodze podobnej unifikacji *quand même*, choćby nawet szczegóły jej były żywym zaprzeczeniem programu, swobody i przeciwieństwem liberalno-konstytucyjnych postulatów! Otóż pierwszy argument zasłaniający politykę kanclerską przeciw wszelkiej poważniejszej nieco próbie opozycyjnej. *Drugim*, nie mniej ważnym i skutecznym był po prostu starodawny, tradycyjny, naruszalny tylko wielką zewnętrzną klęską, ale nie dający się ruszyć z miejsca zefirowym poddmuchem pokornego parlamentaryzmu prusko-niemieckiego organizm-militarno-biurokratyczny pruski. „*Gegen Demokraten helfen nur Soldaten*,“ mówili w roku 1848 konserwatyści barwy krzyżowej. „Gadajcie sobie jak chcecie, ale ruszyć nas z miejsca, *próbujcie*... O niebezpieczeństwo jakiejś poważniejszej opozycji *politycznej*, o zachwianie służącego mu teraz tak wybornie organizmu państwowego *ery Manteufflowej*, mógł więc, powtarzamy raz jeszcze, księżę kaclerz być najzupełniej spokojnym.

Chodziło jednakże o przejście ze stanowiska obronnego do zaczepnego, o zbudowanie dla jednego, *już* istniejącego pasterza, *jednej* owczarni, o wzniesienie wspólnej powagi dla ciał i dusz razem, o postawienie *państwa*, idei jego i racji stanu jako jedynej dla poddanych instancyi, jako głównego dla nich mianownika. Tutaj wchodzimy w dziedzinę *polityki kościelnej* księcia Bismarka i tutaj zarazem przyjdzie nam wpatrzyć się bliżej nieco jeszcze, niż dotąd w oblicze stronnictw polityczno-parlamentarnych prusko-niemieckich, mieniających się liberalnemi. Nie po raz pierwszy w obecnym przypadku i na widowni niemieckiej widzimy stronnictwa polityczne, podobnie jak sekty religijne zadające praktyką swojego postępowania kłam nazwie i godłu, które przyjęły. Dzieje reformy religijnej, rewolucyi francuskiej, wszelkich wreszcie religijnych i politycznych wstrząśnień, licznych tej prawdy a ciągle powtarzających się dostarczają dowodów. Kalwin poseła na stół Serveta w imię religii miłości; święta inkwizycya czyści tylko za pomocą podobnegoż kadzidla powietrze zatrute

heretyckimi wyziewami. Robespierre czy konwencya epoki teroryzmu rewolucyi francuskiej zaludniają więzienia i wydają prawa przeciw podejrzanym w imię wolności. Im zaś więcej praktyka podobnego religijnego czy politycznego obłądu grzeszy przeciw *prawdzie* i *duchowi* swej rzekomej zasady, uważa za rzecz tem potrzebniejszą wywieszać tem okazańiej, podnosić tém głośniej nazwy i firmy zdeptanej i zbeszczeszczonej *zasady*. Nie inaczej stało się z akcją polityczno-parlamentarną koalicyi stronnictw liberalnych prusko-niemieckich *w sprawie kościelnej*, z tą tylko na ich *niekorzyść* różnicą, że, kiedy bohaterowie bojów reformacyjnych i epoki teroryzmu rewolucyi francuskiej mają na swą obronę wobec sądu historii ważny argument, iż działali pod wpływem ponurego, ale szczerzego fanatyzmu, — mężowie liberalizmu prusko-niemieckiego roznamietniają się na zimno a tymczasem spełniają jedynie tylko akt posłuszeństwa, jeżeli nie spekulacyi, zagłuszają głos sumienia wmawianiem w siebie i w łatwowierne massy, że podejmują walkę cywilizacyi i światła przeciw ciemnocie rzymskiej, że rozpoczynają *walkę kultury* przeciw uciskowi dusz i obskurantyzmowi. Jak gdyby na pierwszy rzut oka nie było rzeczą przezroczystą, że *światło* i *kultura* są w *obecnym* przypadku rzeczami podobnym wojownikom najobojętniejszemi w świecie a że jeśli chodzi o co, to o zastąpienie o ile możności jak najobszerniejsze w organizacyi społeczeństwa udziału *Kościła* bezpośrednią działalnością, opieką i nadzorem *państwa*. Prawda ta nie mogła być, powtarzamy raz jeszcze, niedostrzeżalną przy szczypcie dobrej wiary jasnowidzeniu, co bystrzejszych reprezentantów stronnictw liberalnych prusko-niemieckich. Po ułożeniu przecież bilansu „*strat i zysków*,“ postanowiono wspierać księcia kanclerza w jego polityce kościelnej, dopomagać wszechwładztwu państwowemu z kompensatą korzyści na całkiem *innem* polu, rzucić zaś tymczasem łatwowiernej gawiedzi ku zabawie i zaspokojeniu starodawne hasło bojów reformacyjnych! „*Dalejże na Rzym, precz z papizmem!*“

W podobnej taktyce stronnictw liberalnych, — w gruncie rzeczy zaś, jak zobaczymy niżej, nie jest żadne z nich od podobnego zarzutu wolnem, — był niemniej wielki *ich grzech*, jak *grzech* i *błąd* razem w polityce kościelnej samegoż *księcia-kanclerza*. Ideę choćby, *posito sed non concessio*, fałszywą, mo-

zna tylko zwalczyć skutecznie bronią idei przeciwnej. Od chwili, odkąd się wprowadza w grę środki materyalne, rehabilituje się mimowolnie choćby nawet fałszywą ideę, otacza się ją mimowolną sympatją i aureolą męczeństwa. Bez wątpienia reprezentował choćby nawet rozbójniczy Korteż, kładąc w rękę ewangelią biednemu Ince Meksykańskiemu, wyższą prawdę od wyznawanego przezeń bałwochwalstwa. Za kimże przecież bije serce historyi i ludzkości, czy za Inką, który rzuciwszy księgę żywota o ziemię, wołał za swe *błędy* zginąć na stosie, czy za Korteżem, który go na nim za swą *prawdę* położyć kazał? Bez wątpienia reprezentowała rewolucya francuska postęp wobec feudalnej przeszłości. Za kimże przecież odzywa się mimowolnie współczucie dziejów i ludzkiego sumienia, czy za ofiarami ginącemi tłumnie pod gilotyną, reprezentując *błądną* przeszłość, czy za ich katami znajdującymi się w usługach *prawd* przyszłości? *Si parva magnis componere licet*, powtarza się podobne widowisko w tak zwanej „*walce kultury*“ w Niemczech. Państwo wypowiedziało Kościołowi wojnę i prowadzi ją za pomocą żandarma i bagnetu. Rezultat wobec przyszłości łatwy do obliczenia, gdyby go błędy i taktyka prześladowanych nie obracały często na ich własną szkodę... Liberalne stronnictwa nie wahały się, jak co dopiero powiedziano, zrezygnowawszy z wszelkiej własnej i samodzielnej polityki, iść ręką w rękę z rządem.

Rozpoczyna się zaś ta walka tuż prawie z chwilą szczęśliwego ukończenia wojny francuskiej już w lecie w r. 1871 od coraz to widocznieszego głaskania i wspierania tak zwanych „*starych katolików*.“ Był to początek dotyczący pośrednio tylko działalność i organizacyą Kościoła katolickiego w państwie pruskiem, później jednakże zaraz rozpoczyna się cały długi szereg praw, rozporządzeń, postanowień, w których liberalizm prusko-niemiecki stanowczy bierze udział, którym w razie dobrej woli mógłby swoim *veto* konstytucyjnie położyć tamę, które zaś choć pobieżnie tylko pozwolimy sobie przypomnieć czytelnikom naszym, aby mieli sposobność przekonać się, ile to zasadniczych prawd *szczerze* liberalnego katechizmu liberalizm prusko-niemiecki rzucił na pastwę Molochowi racyi stanu. Rzucał je zaś pod pozorem i firmą walki światła przeciw ciemnocie rzymskiej, by tem bezpieczniej i

niepodzielniej zdobywać sobie panowanie na polu finansowo-ekonomicznem, by dla swych wyznawców zyskiwać karyery i stanowiska, by traktować spekulacją polityczną dającą się rozłożyć analitycznie na pierwiastki: „*des Streberthums*“ i „*des Servilismus*“, by, w najlepszym razie nie psuć dzieła, nie gniewać i nie rozdrażniać wielkiego męża stanu, który zbudował jedność ojczyzny niemieckiej, a którego nieopatrna opozycja mogłaby bardzo naturalnie zniechęcić tylko i popsuć mu humor.

Z rokiem 1872 rozpoczyna się owa robota uchwałą odebrania inspektoratu nad szkołami elementarnemi duchowieństwu, zaprowadzenia w ich miejsce inspektorów cywilnych. W te tropy za tą pierwszą próbą pojawił się w łonie sejmu Rzeszy wniosek rady związkowej, rozwiązujący zakon jezuicki w obrębie całych Niemiec i zabraniający członkom jego dalszego w krajach niemieckich pobytu. Kwestya religijnej i moralnej wartości zakonu jezuickiego, stopień sympatii dlań czy antypatii tych i owych sfer i ludzi jest tu rzeczą obojętną. Najważniejszą i essencyonalną ze stanowiska kodexu konstytucyjno-liberalnego pozostaje, że rozwiązanie zakonu jezuickiego było nadwergężeniem konstytucyjnie zagwarantowanego prawa swobody stowarzyszeń; że nakaz wypędzenia ich po za granice kraju był złamaniem również konstytucyjnie zaręczonego prawa wolności i nienaruszalności osobistej. *Dzisiaj* byli i są racyi stanu na zawadzie *Jezuici*; *jutro* mogą wręcz przeciwnie stać się takąż samą zawadą wyznawcy wyobrażeń, uczestnicy czy zwolennicy stronnictw odmiennego rodzaju i kierunku. *Hodie mihi, cras tibi...* Gdzież i na kim zatrzyma się prąd wszechwładztwa państwowego, któremu zła wola, spekulacya czy nieopatrność stróżów samychże konstytucjonalizmu z obaleniem *zasady* otworzyły wyłom? Rachuby tej nie zrobiły sobie czy nie chciały zrobić *liberalne* stronnictwa prusko-niemieckie, a Jezuici znaleźli się rozwiązanymi i wypędzonymi z całego obszaru Niemieckiej Rzeszy. Odtąd i po tych pierwszych, szczęśliwym skutkiem uwieńczonych próbach, rozpoczyna się dopiero na dobre kampania księcia-kanclerza przeciw Kościołowi katolickiemu wśród nieuniknionej assekuracyi stronnictw liberalnych. Znana jest treść, znana dążność tak zwanych praw majowych, których pierwszą datą jest miesiąc maj roku

1873. Nie może być naszym zadaniem i nie jest też zamiarem poddawać rozbiorowi szczegółowe postanowienia pomienionych praw. Krytyka ich może nas do tyła tylko obchodzić, o ile ich zatwierdzona i uświęcona głosami stronnictw liberalnych prusko-niemieckich dążność dostarcza materiału do ocenienia konstytucyjnej szczerości i stopnia szacunku tegoż liberalizmu dla swobód konstytucyjnych. Mniejsza, że prawa owe wprowadziły w życie instytucją cywilnych małżeństw; mniejsza, że czyniły zależną kwalifikacją duchowną od zwiedzania instytutów naukowych państwa i od składania egzaminów państwowych, stawały już przecież w wyraźnej sprzeczności z tolerancją religijną, z której się Prusy oddawna słusznie szczyciły, co więcej z literą ustawy konstytucyjnej, zaręczającej każdemu kościołowi w Prusach swobodę rządzenia się swemi wewnętrznymi sprawami, postanowienia nowego prawodawstwa majowego, nakazujące biskupom odnosić się z nominacją każdego proboszcza, każdego wikaryusza nawet do zatwierdzenia rządowego, zagrażające karą pieniężną i więzieniem przekroczenie tych rozporządzeń, ustanawiające trybunał kościelny z kompetencją destytucyi osób duchownych, któreby się w jakibądź sposób przekroczenia przepisów owych dopuściły. Czynny protest Rzymu i duchowieństwa katolickiego przeciw podobnym postanowieniom wywołał konieczność nowego nakładu prawodawstwa majowego, w roku 1874, które mimo wszelkich zarzekań i protestów publicystyki oficjalnej i narodowo-liberalnej zaczęło coraz widoczniej, coraz dotkliwiej nosić cechę wprost już prześladowania religijnego. Kryminalnem, kilkoletniem więzieniem zagrożonem przestępstwem stawało się wykonywanie obowiązków duchownych po destytucyi przez tak zwany trybunał kościelny. Kryminalnem, kryminalnie karanem przestępstwem stawało się słuchać ze strony podwładnego duchowieństwa rozporządzeń destytuowanych w ten sposób przełożonych. Kryminalnem, kryminalnie karanem przestępstwem osób duchownych stawało się według tegoż samego prawodawstwa odprawiać funkcje duchowne, chrzty, śluby, pogrzeby, miewać kazania czy msze nawet, uczestniczyć w odpustach parafij osieroconych bądź to przez zgon, bądź przez destytucją swych dotyczących pasterzy. Majątek kościelny uległ administracyi rządowej w dyecezyach, których

biskupi czy arcybiskupi zostali pozbawieni swych stanowisk wyrokami trybunału kościelnego; dyskrecyjnalna władza dyscyplinarnego przymusu została nadana instancjom administracyjnym przeciw osobom czy to duchownym, czy świeckim, któreby się w sprawie wydania majątku kościelnego nowemu zarządowi okazały w jakibądź sposób opornymi. W dalszej już konsekwencji pomienionego prawodawstwa zniesiono po szkołach wykład nauki religii katolickiej przez księży trzymających się dyscypliny kościelnej, powierzając go, przymusowo dla uczniów, osobistościom nie posiadającym tak zwanej missey kanonicznej.

Odkąd jednakże konsekwencye praw majowych tak z roku 1873, jak z roku 1874, stawały się dla swobody sumień a z obrazą tolerancyi religijnej, świętej i nienaruszalnej dla każdego niekłamanego liberalizmu, najwięcej rażącemi, to w dziedzinie obsadzania wakujących probostw w parafiach, gdzie, bądź to rząd sam, bądź oddane mu osoby miały prawo prezenty i patronatu. Parafiom takim narzucano często, działało się to zaś mianowicie w różnych miejscowościach Prus Zachodnich i W. Księstwa Poznańskiego, osobistości wstrętne, więcej niż wątpliwej moralności, idące za głosem pieniężnej spekulacyi i materyalnej korzyści, polecające się jedynie przez fakt uległości i gotowości służenia panującemu systemowi. Gminy protestowały często czynnie przeciw podobnym intruzom, wprowadzanym na swe stanowiska w wielu miejscach przez żandarmów, policyą i wojsko. Gwałtowne sceny, procesy kryminalne, liczne uwięzienia, mniej lub więcej surowe wyroki sądów kryminalnych były tego następstwem, nie mówiąc już o procesach, więzieniach i karach spadających istnym gradem na osoby duchowne za najrozmaitsze „majowe przestępstwa.“ W razie trwania konfliktu między Kuryą Rzymską a stanem wywołanym przez „prawodawstwo majowe,“ czeka ludność katolicką Niemiec, reprezentowaną przez poważną cyfrę ośmiu milionów w obrębie granic samychże Prus, albo zupełna utrata kapłanów swej wiary, albo co gorsza jeszcze przymus poślugiwania się pomocą duchowną z rąk osobistości, których ufnością i miłością należną pasterzom dusz, obdarzać nie może. Niechaj teraz, kto bezstronny, powie mimo wszelkich zaręczeń i oświadczeń publicystyki oficjalnej i narodowo-liberal-

nej, bez względu na różnicę stanowiska i przekonania religijnego lub politycznego wobec tego wszystkiego, czy państwo nie myśli prześladować Kościoła katolickiego, czy tylko za pomocą prawodawstwa majowego chce wejść poprostu w posiadanie praw przynależnych sobie oddawna, czy stan podobny nie zawiera istoty czynu ucisku religijnego, czy nie jest pogwałceniem sumień a zarazem grzechem przeciw *tolerancyi religijnej*, pierwszemu *palladium* wszelkiej wolności, grzechem spełnionym przeciw pierwszej literze konstytucyjno-liberalnego abecadła ze strony tych, co godło liberalizmu wywieszają a mianem jego pokaźnie się stroją!

Nietylko jednakże przeciw *tolerancyi religijnej*, ale wprost już przeciw wolności osobistej, przeciw prawu własności, przeciw swobodzie stowarzyszeń, przeciw całej summie przykazań i dogmatów wszelkiego konstytucjonalizmu i liberalizmu politycznego obracały się owe konsekwencye „praw majowych“, wprowadzonych w życie tak szczęśliwie przez usłużną koalicją *teraźniejszych* stronnictw liberalnych niemieckich. „*Von Stufe zu Stufe*“ jest tytuł ludowej, popularnej niemieckiej komedyi, przedstawiającej w różnych fazach dramatycznych stopniowy upadek dziewczyny berlińskiej, której się poślizgnęła noga w trudnych próbach i przeprawach życia. *Von Stufe zu Stufe*, od stopnia do stopnia zstępował liberalizm prusko-niemiecki w swej koncesyjności dla panującego systemu, poświęcając bez żalu i sromu jedną po drugiej z najważniejszych, najesencjonalniejszych pozycji wolności politycznej. Jedno z praw majowych oddawało wolność osobistą opornego duchownego pod dyskrecyonalną władzę administracyi cywilnej, pozwalało jej wypędzać go na dłuższy lub krótszy czas całkiem z obrębu całego kraju lub pewnych jego części, pozbawiać nawet prawa obywatelstwa. Późniejsze jeszcze prawo z roku 1875 znosiło klasztory i stowarzyszenia klasztorne. Był to znów nowy zamach przeciw swobodzie asocyacyi, ale nie dość i na tem jeszcze, nastąpił równoczesny zamach przeciw wyrażnemu artykułowi ustawy konstytucyjnej, który zastrzegał kościołowi z jednej strony zupełną wolność zawiadowania własnymi sprawami, z drugiej uznawał nietykalność stowarzyszeń kościelnych. Trzeba więc było, chcąc znieść stowarzyszenia zakonne, uczynić wyłom w samejże konstytucyi. Na to trzeba

było znów, mniejsza już iż niezawodnej większości w izbie deputowanych, ale, co trudniejsza i kłopotliwsza, przyzwolenia izby panów, która składając się z żywiołów zachowawczych, nie zapowiadała dla „liberalnego“ projektu rządu tak łatwego zwycięstwa. Aby tedy zwyciężyć konserwatywną opozycją panów Krassauów, Brühlów, Lippów i Manteufflów w izbie pierwszej, nie pozostawało nic innego, jak za pomocą tak zwanego „*Pairsschubu*“ czyli tłumnej kreacyi nowych członków „liberalnej“ barwy, dać powagę liczebną elementowi rządowemu przeciw zastępowi konserwatywno-opozycyjnemu. I stało się rzeczywiście, jak się inaczej stać nie mogło. Fala nowokreowanych członków izby panów uwięczyła ostatecznym rezultatem zwycięstwo, odniesione przez rząd w izbie deputowanych za pomocą liberalizmu sejmowego.

W uzupełnieniu tych praw wreszcie oddawał sejm administracyą majątku zniesionych stowarzyszeń kościelnych i klasztornych, pod zarząd władzy cywilnej. *Wolność osobista, swoboda stowarzyszeń, nienaruszalność własności prywatnej*, wszystko to razem, wszystkie te, jak już wyżej powiedziano, pierwsze litery wszelkiego liberalno-konstytucyjnego abecadła znalazły się tedy od razu przekreślone bądź to pośrednio, bądź bezpośrednio przez tak zwane „*prawodawstwo majowe*,“ czyli przez zatwierdzoną głosami liberalizmu politykę kościelną księcia-kanclerza. Uważamy zaś za rzecz wielce konieczną przypomnieć tutaj, położyć stanowczy przycisk na fakt, że nie myślimy wdawać się niniejszem ani w specjalną krytykę tegoż prawodawstwa, ani w ocenienie jego potrzeby lub zbyteczności, ani roztrząsać kwestyi, o ile podobna polityka państwa względem Kościoła była uzasadniona. Szukamy jedynie tylko w charakterze, dążności i naturalnych rezultatach tego prawodawstwa materiału do ocenienia liberalnej i konstytucyjnej szczerości tak zwanych *liberalnych* stronnictw prusko-niemieckich, usiłujemy zeń wydobyć dotykany i przekonujący dowód, ile z prawd i zasad prawdziwego konstytucjonalizmu i liberalizmu w niem i przez nie poświęciły, o ile samodzielną w dziedzinie tegoż prawodawstwa właśnie była akcyja polityczna i parlametarna owych stronnictw, nie abdykujących, mimo to ciągle przecież jeszcze z godła i miana samozwańczego liberalizmu. Jak gdyby kodex jakiegobądź konstytucjonalizmu

i liberalizmu dopuszczał z jakichbądź powodów przeciw jakiejbądź opozycji w normalnych stosunkach, po za chwilami wewnętrznych zaburzeń lub wojny, rzeczy, jak banicyą obywateli państwa, jak znoszenie swobody stowarzyszeń, jak naruszenie prywatnej własności!

Nie trzeba jednakże było nawet ani walki kultury, ani pojedynku światła z ciemnotą rzymską, aby wykazać szczerość miłości liberalizmu prusko-niemieckiego dla zajzasadniejszych przykazałów i postulatów liberalno-konstytucyjnych. Dowodów tej dalszej prawdy, tego coraz głębszego schodzenia „*von Stufe zu Stufe*“ dostarczają nam w obfitej mierze annale parlamentarne prusko-niemieckie od pokoju frankfurckiego aż do chwili obecnej. Wyliczmy choć kilka przykładów, bo nie kreślimy przecież dziejów polityki prusko-niemieckiej, lecz zestawiamy niniejszem tylko co wydatniejsze szczegóły rysopisu „*liberalnych*“ stronnictw prusko-niemieckich. Nowe prawo prasowe niemieckie jest pierwszym może, choć nie najgorszym podobnej dążności i praktyki parlamentarno-politycznej dowodem. Jedyłą jego korzyścią było zniesienie opłaty stęplowej i kaucyi dla dziennikarstwa. Co się natomiast tyczy odpowiedzialności nakładców, redaktorów i autorów; co się dalej tyczy warunków karygodności płaodów prasowych, jest nowe prawo, mianowicie dla ogromnej większości Niemiec pozapruskich krokiem wstecznym, zwłaszcza, jeżeli zauważymy, że sprawy przestępstw prasowych w Prusach pozostały, jak dotąd, usuniętymi z pod kompetencyi sądów przysięgłych. Postulatu tego najcodzienniejszego konstytucjonalizmu i parlamentaryzmu, nie mającego już na pewne nic wspólnego z „*walką kultury*“ i z wojną światła niemieckiego przeciw ciemnocie rzymskiej, nie ważył się nawet podjąć liberalizm prusko-niemiecki w dyskusyi nad nowem prawem prasowem...

Nie mniej gładko uwinął się liberalizm pruski zawsze, ile razy chodziło tylko o przekreślenie jakiegobądź artykułu ustawy konstytucyjnej, stojącego w czemkolwiek na zawadzie wszechwładztwu państwowemu przez zabezpieczenie wolności osobistej, religijnej lub asocyacyjnej. W takich razach odgrywał narodowo-liberalizm parlamentarny regularnie rolę pioniera, podkładającego ochoczo miny pod skały, kamienie czy tamy przeszkadzające w czemkolwiek bądź gładkiej jeździe

państwowego wozu. Najważniuszem bez wątpienia z wszystkich praw *każdej* reprezentacyi krajowej, jest kompetencya układania budżetu, zatwierdzania lub skreślania rozmaitych jego pozycji. Wobec faktu *septennatu* francuskiego, rzekł się sejm niemiecki, również na siedmioletni przeciąg czasu i *tego* służącego sobie prawa, zatwierdzając ministerstwu wojny budżet jego wydziału, stósownie do żądania rządu na *siedm lat*, abdykując w ten sposób nietylko już z własnej kompetencyi, lecz zaprzeczając jej dwom następującym po sobie kadencyom sejmowym, których stanowisko i intencye mogły być zupełnie inne! Takich faktów dziwnej koncesyjności, abdykacyi z najróżniejszych praw, z najzwyczajniejszych postulatów liberalizmu dałoby się przytoczyć więcej. Ile razy zaś nachodziła, narodowo-liberalizm czy to zbiorowo, czy w jego szczegółowych i indywidualnych odłamach pokusa opozycyi, chęć zatrzymania się na obranej drodze, wystarczało zmarszczenie brwi, wystarczała groźba ustąpienia od steru rządów ze strony księcia-kanclerza, by uciszyć ferment, by przywrócić regulaminową dyscyplinę w szeregach narodowo-liberalizmu.

(Dokończenie nastąpi).

Seweryn Przerowa.

KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI.

(Ciąg dalszy) ¹⁾.

Książę Józef zaraz pojechał do Warszawy. Odjeżdżającemu wręczyło wojsko adres czyli wynurzenie uczuć wdzięczności, przywiązania i szacunku na dniu 6 sierpnia podpisany, naprzód przez generałów, potem przez wszystkie komendy wojska, które służyło pod jego rozkazami, tak że z każdej komendy podpisał dowódzca, wyższy i niższy oficer i żołnierz. Między podpisami temi czytać można wiele imion, które w późniejszych dziejach wojska polskiego były znane; ostatni ten akt wojny 1792 r. o niepodległość łączył się tyłuż ogniwami z późniejszymi dziejami podobnych, a równie nieszczęśliwych usiłowań. Księcia Józefa zaś, który akt ten najwyżej cenił, łączył ostatecznie i stanowczo ze sprawą niepodległości Ojczyzny, której koleje dzielił potem do końca życia. Nic ograniczając się na tym adresie, przesłano matce księcia Józefa mieszkającej naówczas w Pradze, list podpisany przez celnijszych generałów i wojskowych z powinszowaniem i z uszanowaniem tej, która dała tak zacnego syna narodowi polskiemu. Postanowiono zarazem wybić dla niego medal na pamiątkę i uznanie zasługi z napisem: „*Miles Imperatori.*“ W okazaniu całego tego uwielbienia mogła być zapewne i część pewna pochlebstwa, jednakże łatwo pojąć także i popęd uczucia okolicznościami tej chwili spowodowany, tem bardziej, że w od-

¹⁾ W pierwszej części tej pracy, umieszczonej w ostatnim zeszycie, zaszła ważna pomyłka. Na str. 279 zamiast „pułk Mokronowskiego” powinno być: „pułk Malczewskiego.“

znaczeniu wodza sprawy narodowej mieścił się jeden z najmocniejszych możliwych sposobów potępienia strony przeciwniej. Skoro później książę Józef dowiedział się w Wiedniu o mającem nastąpić zniesieniu orderu wojskowego za kampanię 1792 r. i o rzuconej w konfederacyi myśli zniszczenia przez kata stępla medalu, przez wojsko mu przeznaczonego, zawołał w uniesieniu: „Czemuż tego nie zrobiono! piękniejszej chwały nie mogliby mi uczynić. Co do znaku wojskowego za tę wojnę, nie zdejmę go jak razem z życiem; jeśli kiedy mieć będę dzieci, będzie znak ten najpiękniejszą spuścizną, jaką im zostawię, niech im przypomina krzywdę wyrządzoną Ojczyźnie, niech wiedzą, że wśród zdrajców i przemocy można oddychać wolnością i walczyć za szczęście swego kraju.“

Zaledwie książę Józef kilka dni w Warszawie przepełdził, król sam, który spodziewał się być znaleźć pociechę w obecności jego, naglił na to, aby i on i inni dymissyonowani opuścili Warszawę a nawet Polskę, obecność ich bowiem dawała pole do demonstracyj nieprzyjemnych królowi, i oni sami powściągnąć się nie chcieli w objawianiu zdania swego o wypadkach. Wyjechał zatem książę Józef niezwłocznie do Wiednia, zaopatrzony przez stryja należycie w fundusze, drogi temuż stryjowi zawsze, nawet i przez to, że służył za pewien rodzaj tarczy dla niego przed opinią narodu; wyjechał z urządzeniem dalszego pobytu swego za granicą takim, jakiego i w małej części nie miało bardzo wielu z uwolnionych wojskowych, opuszczających wraz ze służbą całkowite swoje utrzymanie.

W Wiedniu, acz w stolicy jednego z mocarstw podziałowych, spotkało księcia Poniatowskiego zaszczytne przyjęcie; z jednej strony składały się na to stosunki w kraju, gdzie przepędził był młodość swoją i pierwsze lata wojskowego zawodu; z drugiej, wypadki w Polsce nadały mu rozgłos, który i piękny świat stolicy austriackiej skłonny był podnosić pochwałami swemi. U dworu nie był, ale zaszczytnie przyjęty przez księcia Kaunitza, uwielbiany przez pewną część młodzieży, która nawet pierścionki z jego portretem modą w Wiedniu zrobiła, nie spieszył się wcale jechać w dalszą drogę do Włoch i Anglii, których nie znał, a do których zwiedzenia bardzo go król namawiał. Mundur zwykle nosił polski oficera

reformowanego, krojem francuskim. W Wiedniu dochodziły go wiadomości o tem, co w Polsce się działo, i wtedy nie wahał się przedstawiać królowi w śmiałych wyrazach, jakie były obowiązki jego, jakie postępowanie byłoby godniejszym króla. Uległość tego króla, przez którą wcale nie ocalał, ale która go czyniła igraszką i pośmiewiskiem obcych i swoich, wstydziła go i gniewała. Odwiedził matkę w Pradze, a potem wrócił do Wiednia, gdy król dozwolić mu nie chciał, i z powodu posła rosyjskiego nie mógł, na powrót do kraju, którego ksiązę pragnął na to, jak mówił, aby z czystem sumieniem i z pogardą patrzeć w oczy zdrajcom. W tym także czasie utracił przyjaciela młodości, z którym żył długo i w ścisłych zostawał związkach, Karola księcia de Ligne, współwojskowego niegdyś w służbie austriackiej i towarzysza młodości. Inny zaś towarzysz młodości i teje służby, Wielhorski Józef generał, który wraz z nim do wojska polskiego wszedł był na brygadiera, i teraz razem kraj opuścił, był najbliższym mu naówczas, i nietylko przyjaźń jego posiadał, ale i udział w utrzymaniu, jakie ksiązę miał od króla.

Dreżyła przywódców nieszczęsnego rokoszu Targowickiego szlachetna niepodległość w postępowaniu księcia Poniatowskiego, nie chciał znosić jej rząd wojskowy konfederacyi i nie znosiła rosyjska przemoc władająca królem. Chcąc dać mu uczuć swoją władzę, wysłał Ożarowski hetman w styczniu 1793 do niego wezwanie wraz z dodaną rotą przysięgi, aby jako po złożeniu dowództwa naczelnego, zostający jeszcze pułkownikiem regimentu gwardyi koronnej, przepisany ten akt uległości przez podpisanie przysięgi wykonał. Odpowiedź *panu* Ożarowskiemu zawierała nietylko oświadczenie, że wszystkich zrzekł się urzędów wojskowych, aby nie być w przypadku odbierania jakichkolwiek ordynansów, ale że to uczynił dla tego, że ordynansów tych za legalne uważać nie może i zostawać nie chce w jakimkolwiek stosunku z odrodnymi obywatelami, którzy pysze swej poświęcili ojczyznę. List ten dyktowało uczucie obrażone honoru i oburzenie, którego powściągnąć nie mógł jak w tym razie tak i w następującej wkrótce potem korespondencyi ze Szczęsnym Potockim, w której dotknięty osobście odezwą wydaną przez Potockiego do wojska polskiego, dał wodze gwałtownemu oburzeniu swemu.

Nastąpiło zatem wyzwanie przez Szczęsnego przysłane, na które odpowiedział książę Józef gotowością stawienia się w oznaczonym miejscu i czasie między Krakowem a Winiarami. Korespondencya ta trwała jeszcze dłużej, gdyż Potocki składając się czynnościami publicznymi i niemożnością znajdowania się gdzieindziej jak w Petersburgu lub w Grodnie, puszczał rzecz w odwołkę. Wszelkie prośby, zakłęcia i wyrażenia najwyraźniejszej woli ze strony króla, nic tu znowu nie skutkowały; książę Józef oświadczył się raczej gotowym z żalem utracić łaskę i przywiązanie stryja, niż uchybić prawom honoru, nie utrzymywać tego, co z całym przekonaniem uczynił i nie odpychać tego, co miał za występek i niesławę. Poseł rosyjski Siewers wdawał się czynnie w tę sprawę, żądając, aby wszelka myśl spotkania się zaniechaną była i groził konfiskatą majątku ks. Józefa. „Pogorszysz moje położenie przez te kroki“, — mówił w utrapieniu swoim król Stanisław. „Nie może być większego utrapienia dla W. K. Mości, odpowiadał książę Józef, jak żyć z takimi ludźmi i przyjmować od nich przyjaźń, nie możesz W. K. Mość być odpowiedzialnym za moje kroki, które do mnie należą, ja zaś dopełnię obowiązku honorowego, choćbym miał wszystko utracić“. Skłonił się wreszcie do milczenia, jeśli znowu zaczepionym nie będzie. Listy księcia Józefa pisane wtenczas do króla, nacechowane są wszystkie exaltowaniem uczuciem honoru i szlachetną wiernością sprawie, której się oddał. Wierność ta odbiła się w całym jego późniejszym życiu. Nieudolny do wyższych zadań umysłowych i do natężenia w pracy, słaby wobec podchlebstwa i ponęt rozkoszy, był rycerzem w boju, wiernym sztandarowi i przepisom honoru, szlachetność miał wrodzoną, której tylko wady wychowania do wyższej jeszcze doskonałości duszy wznieść się nie dozwoliły.

Poseł rosyjski nalegał na króla już przybyłego do Grodna w Kwietniu 1793, aby książę Józef koniecznie Wiedeń opuścił, a odjechał daleko; za cel podróżyznaczono mu Włochy, i król miotany wówczas największą trwogą o wypadki i o swój los, wymagał od synowca koniecznie, aby temu zadość uczynił. Rząd austriacki nie tylko nie przeszkadzał pobytowi jego, ale nawet cesarz najprzyjaźniej dla księcia był usposobionym, jemu zaś samemu pobyt w Wiedniu znanym

doskonale i w rozrywki obfitym, przyjemniejszym był niż szukanie innego. Wzbraniał się więc opuścić Wiedeń, zmuszony wyraźnym rozkazem króla, wyjechał nareszcie nie bez gorzkich złorzeczeń tym, którzy zrobiwszy zakąłę krajowi, jego prześladowali i oświadczając, że na drugiej półkuli świata gotów jest szukać dla siebie oddalenia od nich i nowego zawodu. — Pod Moguncyą przypatrzwszy się oblężeniu tej twierdzy przez Prusaków, gdzie jednak nie chciał przedstawić się królowi, przybył w lipcu do Brukseli odwiedzić tu siostrę Maryą Teresę Tyszkiewiczową, był w niedalekim obozie austriackim, gdzie odwiedził arcyksięcia Karola, od niego nader uprzejmie przyjęty, następnie wraz z siostrą u wód w Spa, w październiku zaś na krótki czas znowu do Wiednia przyjechał; znać, że gdy osiągnięcie celu zamierzonego w Grodnie już się spełniało, nie przywiązywano już wiele wagi do obecności polskiego księcia w Wiedniu, zwłaszcza, że na Lipsk i znajdujące się tam grono patryotów baczną więcej zwróconą była.

W Grodnie dokonał się tymczasem nowy akt politycznej zbrodni połączony ze złamaniem wszelkiej wiary publicznej. Król trzymany w nieustannem oblężeniu przez posła rosyjskiego Siewersa i przez odjęcie sobie wszelkich środków utrzymania, stawiał mdły tylko opór; trwoga, obejmująca zupełnie charakter bez moralnego oparcia, i wzmagające się kłopoty osobiste, pochodzące z ogromnych długów, które dopiero po załatwieniu sprawy rozbiorowej zapłacić przyrzeczono, były w oczach jego usprawiedliwieniem ustępstw, które czynił. Jakkolwiek są smutne dzieje tego ostatniego sejmku, mało brakowało, aby ostateczna zniewaga wyrządzona narodowi, już wtenczas w skażonych nawet lecz niezupełnie wyrodnym sercach, wywołała ostateczne oburzenie i aby dzieło targowickie w gruzy się nie rozpadło, dając czci narodowej na ofiarę resztę nędznie tylko przeciągniętego żywota. Gdyby król mógł być znaleźć w sobie tę energią rozpacz, przenoszącej śmierć nad zniewagę, iskra od niego wywołałaby była mogła skutki odmienne od tych, które uczyniły sejm grodzieński najsmutniejszą kartą historii. Ale król wleczony zawsze na wodzy zależności swej od Moskwy, zepchnięty przez podpisanie aktu targowickiego ze stanowiska, które był zajął chwilowo, niezdolnym był już czuć się inaczej, jak tylko niewolnikiem na łasce cesarzowej

zostającym i wszystkiego od jej spodziewającym się mądrości. Przedostatnia sesja sejmowa wydała zdarzenie, które wstrząsnęło znowu mocno spokojnością jego chwilową, okupioną niekczemnem poddaniem się. Nadspodziewanie stawiony przez jednego z posłów wniosek, aby krzyże wojskowe rozdane przez króla za ostatnią kampanię, utrzymanemi zostały jako nadgroda waleczności wojska wbrew ogłoszeniu konfederacyi, natychmiast i jednomyślnie przyjęty i w uchwałę zamieniony został, a uchwała ta w najwyższym stopniu niezadowolenie posła rosyjskiego a następnie nawet odwołanie Siewersa i gniew niepomiarowany Katarzyny wywołała. Król zmuszony przez Igelstroma, ogłosił od siebie uniwersał żądający złożenia tych oznak wojskowych przez wszystkich, którym je udzielił, a z taką zawziętością żądaniem było ściśle wykonanie tego rozkazu, iż przy każdej okoliczności najważniejszej nawet, tę na pozór tak błahą, jako wolę cesarszej nieustannie z groźbą przypominać. Książę Józef, który do krzyża tego, jako za istotną czynność i służbę w ojczyźnie otrzymanego, szczególną przywiązywał wagę, złożyć go nie chciał, król zatem używał znowu wobec niego zakłęg, jakoby los ojczyzny, jego i jego rodziny od tego złożenia przez ks. Józefa krzyża, zależał. Po długim wstępie, ulegając rozkazowi wyraźnemu uniwersału, odesłał nareszcie książę Józef w lutym 1794 ozdobę krzyża wojskowego, i wraz z nim niektórzy oficerowie blisko niego znajdujący się, jak: Mokronowski, Wielhorski, Bronikowski i inni, lecz odsyłając z wyrażeniem posłuszeństwa i gorzkiego żalu, odesłał też zarazem królowi ozdoby orderów orła białego i św. Stanisława dawniej otrzymane, oświadczając, że gdy oddaje tamten, który był najdroższym i znakiem rzeczywistym uznania zasługi, składa zarazem wszystkie inne, których odtąd bez zakąły nosić nie może. Zwrócił je król wprawdzie, nie chcąc ani zrozumieć powodów, ani przyjąć zrzeczenia się i będąc znowu z tego powodu zagrożonym przez Igelstroma, lecz nie zmieniło to postanowienia księcia i odtąd trwał on w tem, aby bez żadnych oznak orderowych ukazywać się i tych przez siebie odesłanych więcej nie przyjmując.

Cała ta okoliczność poprzedziła na krótko zupełną znowu zmianę położenia, sprawioną krokiem Madalińskiego i podniesieniem powstania przez Kościuszkę w Krakowie. Jakie było

usposobienie księcia Józefa Poniatowskiego wobec wiadomości o tem powstaniu, które go zastały w Brukseli, sprawdzić do-
wodnie trudno; musiało wydawać mu się krokiem rozpacz, żadnego nieobiecującym pomyślnego skutku, i pewno tem mniej zrazu mógł mieć myśli łączenia się z niem, iż ono usuwało na bok zupełnie króla, od którego zawsze zależał, i że odwo-
ływało się do poruszenia ludu, którego krwawe zboczenia we Francyi wstrętnemi mu były. Nie mógł być obojętnym na krok, który czynili jego towarzysze broni ze świeżej wojny, z któ-
rymi sposób myślenia i wygnanie podzielił, lękać się musiał o stryja i boleć zarazem nad położeniem, w jakie tenże a przez niego i on sam postawionym został, gdy podniesione ostateczne usiłowanie wydobywania się z pod przemocy postawiło nad prze-
paścią resztę wspólnego ich i ojczyzny bytu. Wkrótce po oswo-
bodzeniu Warszawy, król sam przeciął wszelkie wątpliwości, wzywając synowca, aby wracał do kraju i jechał wprost do obozu ofiarować usługi swoje naczelnikowi, choćby jako ochot-
nik tylko. Krok ten u króla nie mógł znaczyć w tej chwili chęci poświęcenia i oddania sprawie ojczyzny co miał najdroż-
szego, lecz znaczył tę samą dwóznaczność, której zbyt wiele król ten dał ze siebie dowodów. Ratować chciał siebie i ro-
dzinę swoją od możebnych skutków rozdrażnienia narodu, za-
stawiając się nabytą dobrą sławą księcia Józefa; wreszcie na wszelki przypadek rzecz swoją ubezpieczyć, gdyż początkowe powodzenie powstania, wypędzenie Moskali z Warszawy i z Wil-
na, na wrażliwym jego umyśle wielkie uczyniły wrażenie.

Księżę Józef nie wahał się zadość uczynić woli stryja. Być może, iż nie czuł wiele popędu i nie upatrywał dla sie-
bie miejsca w powstaniu, którego ani przewidywał, ani poj-
mował uprzednio; zawsze jednak szlachetniejszymi były jego pobudki niż pobudki króla, choćby w tem tylko, że na każdy przypadek obecność swoją i poświęcenie przynosił stryjowi, który był przybrany jego ojcem i dobrodziejem. Rycerskie zaś i szlachetne serce nie mogło nie czuć tego, co było pię-
knem i zacnem w tym postępku, w tem bezinteresownem oddaniu się do walki za ojczyznę, od której mu zdala pozo-
stać nie godziło się, a z którą łącząc się, spełniał zarazem i to, czego interes rodziny po nim wymagał.

Jako wódz naczelny w ostatniej wojnie, stawając na te-
rażniejszym polu walki, za najstosowniejsze dla siebie osądził
zupełne zrzeczenie się stopnia i komendy, które wszelako póź-
niej przyjął, zapewniwszy się od Kościuszki samego, że prze-
ciwko osobie i bezpieczeństwu króla żaden krok dopuszczonym
przez niego nie będzie. Dopiero pod koniec maja stanął w o-
bozie naczelnika, spotkawszy go w Jędrzejowie, gdy z pod
Sieczkowa ruszywszy, szedł za korpusem Denisowa, pobitego
pod Raclawicami. Naczelnik przyjął go uprzejmie i pozwolił,
lubo jak się zdaje niechętnie, aby służył jako ochotnik przy
korpusie Mokronowskiego, który w Warszawie dowodził, dla-
tego zapewne, aby znajdował się bliżej osoby króla. Jeśli to
jego życzenie i troskliwość przeważnie się objawiająca, nie
bardzo przemawiały do serca Kościuszki, czyniąc im zadosyć,
okazywał jednakże naczelnik zaufanie swoje w charakterze
księcia, że w Warszawie, w położeniu, w jakim go stosunki
familijne stawiały, obok gorącego usposobienia mieszkańców
stosownie zachować się potrafi. Z tej też strony księżę umiał
utrzymać stanowisko całkowitego wyrzeczenia się swej osobi-
stości; jeżeli zaś postępowanie jego w ciągu tej wojny było mię-
kie i czynność mało znaczna, po części przypisać to należy
temu położeniu, po części pewnej słabości, która w nim wiele
pięknych przymiotów nadwyrężała, niedostatkowi dzielności i
wprawy w wytrwale do celu skierowanem działaniu.

Był więc księżę naprzód przy jenerale Mokronowskim
pod Błoniem stojącym naprzeciw Prusakom, połączonym z nie-
dobitkami Moskali uszłymi z Warszawy; później, gdy Kościu-
szko nadciągnął do stolicy i zaraz potem nieprzyjaciel od po-
łudniowej i zachodniej strony otoczył miasto, otrzymał do-
wództwo jednej części linii obronnej od Powązek do Młocin.
W tej pozycji odpierał napad Prusaków na Marymont w nocy
z 26 na 27 lipca, podjazdami aż pod Sochaczew zapuszczają-
cemi się niepokoił tył wojska pruskiego, zabierając mu trans-
porta i kuryerów. Mając stanowisko warowniami silnie uzbro-
jone, z polecenia naczelnika, około połowy sierpnia, w tej
stronie działania zaczepne rozpoczął. Opanowawszy wzgórek
Opalina, dawne obozowisko Prusaków, i tamże na prędkę usy-
pawszy kilka redut, z kąd armatami sięgał do Górców, z 13
na 14 w nocy atakował to miejsce, spędził z niego nieprzy-

jaciela i pod ogniem swych dział rozpoznawszy położenie głównego jego wojska pod Wola, cofnął się nazad do Opalina. Gdy jednakże Prusacy chcąc powetować tę niepomysłność, 26 sierpnia, zrobiwszy fałszywy napad na Czyste, uderzyli nocą na Opalin przemagającą siłą, Polacy spędzeni zostali z tego miejsca, dwie warownie i 8 dział stracili. Wypadek ten nieogłędności księcia Poniatowskiego przypisywano; jakoż istotnie nie spodziewając się napadu, spuścił on z ostrożności i tej nocy właśnie w Warszawie się zabawiał, tak że goniec z wiadomością o pomienionej stracie zastać go miał przy zabawie i muzyce w gronie nadobnych osób. Tę to słabość swoją dla płci pięknej przypłacał on teraz narażeniem swego honoru, który ze bardzo wielką dla niego zawsze miał cenę, uczuł zdarzenie to bardzo żywo i nawet od dowództwa usunął się chwilowo jako chory, zażądawszy sądu na oficerów których w utraconych bateriach zostawił. Nie była w tej okoliczności księcia Poniatowskiego wina cięższą, niż wielu innych wojskowych, którzy z niedoświadczenia i braku dostatecznego przyłożenia się błędy czynili i rzecz publiczną narażali; w nim atoli jako w dawniejszym wodzu, i z synowca króla, żołnierzu powstania wydatniejsza, powinna być mu tem boleśniejszą, im więcej wyrozumiałości spotykało go od przewładnego wówczas Kościuszki. Ani mężstwo jego ani wierność nie były w podejrzeniu; bodźca tylko wewnętrznego dosyć nie było, któryby mu trudną i wytrwałą pracę stale nad uciechę przenosić dozwolił.

Kościuszko nie obszedł się z nim surowiej, niż z wielu innymi dowódcami oddziałów, którzy przez swoje błędy porażki odnieśli. Wkrótce, po ustąpieniu Prusaków z pod Warszawy, posłał go w 3000 wzdłuż Bzury ku Wielkopolsce, aby z Dąbrowskim tam działającym utrzymywał łączność i zasłaniał od tamtej strony stolicę. Wśród mniejszych potyczek z Prusakami staczanych doczekał się katastrofy Maciejowickiej. Wojsko ściągnięto do Warszawy, a gdy na mocy kapitulacyi zapewnione zostały wolność i życie wszystkich w niej znajdujących się, książę pozostał się w Warszawie i przeciągał pobyt swój tam po wyjeździe króla do Grodna, potem kraj opuścił udając się do Wiednia, gdzie gościnne przyjęcie, niebronny i przyjemny dla siebie pobyt znalazł, i tam już ciągle przez lat blisko cztery zostawał. Z nim razem bawiła siostra rodzo-

na jedyna, Marya Teresa, żona Wincentego Tyszkiewicza, referendarza W. Ks. Litewskiego, nieżyjąca z mężem, i wtedy już ściśle z obojgiem złączona związkami, Francuzka, pani de Vauban.

Marya Teresa z książąt Poniatowskich hr. Tyszkiewiczowa¹⁾, była tak jak młodszy od niej książę Józef, szczególnym przedmiotem pieczołowitości króla Stanisława Augusta; oboje dziećmi swemi adoptowanemi nazywał i na utrzymanie ichłożył zawsze póki żył. Przywiązanie jej szczere do brata było główną cechą jej charakteru, której tu pominąć nie można. Bystra i dowcipna, lubiąca świat według usposobienia ówczesnego towarzystwa i swej rodziny, zajmowała się bratem i interesem jego z żywością serca, lecz nie wywierała na niego wpływu; skłonnościami do niego podobna, w rozmiarach jej właściwych ulegała mu raczej i stosowała się do niego, skoro stałość jego była niewątpliwą, co w niektórych sprawach rzeczywiście się okazywało.

Henrietta de Vauban z domu de Barbantane, była żoną oficera i emigranta francuskiego. Poznała się z księciem Józefem i jego siostrą w Brukselli, gdy oni w r. 1793 tam się znajdowali. Nie zależy na tem aby śledzić, jakie były jej koleje, dość, że nie żyła także z mężem, a przybywszy do Wiednia, nierozłączną stała się towarzyszką p. Tyszkiewiczowej i jej brata, którzy w obcowaniu z nią wielką znajdowali przyjemność. Zawsze chora, nieustannie potrzebująca i wymagająca starań, przywiązywała ich tą cierpiącą swoją istotą i chorowitym wdziękiem swojej osoby, bez wątpienia także i sposobem wzięcia się i obejścia. Żyli razem, mieszkając w Wiedniu lub okolicy, wydając więcej niż mieli, niż nawet względy na króla przynębnego pieniężnemi trudnościami dopuszczać były powinny; rzadko odwiedzając matkę księżną generałową Poniatowską, mieszkającą w Doxau w Czechach; bo pobyt z nią za nadto smutnym, posępnym i suchym im się wydawał. Przy księżnie od dawnego czasu nieustannie był Plunkett, generałem zwany, dawny mentor ks. Józefa, jakby należący do rodziny przyjaciół.

¹⁾ Ur. r. 1761, zm. r. 1834.

Tymczasem los nieszczęśliwego kraju rozstrzygnięty został. Król zmuszony był przenieść się do Grodna i abdykować 25 listopada 1795; dalszy los jego osobisty na samych obietnicach polegał. Jeżeli w różnych kolejach zdarzeń, miotających Polskę w czasie 30-letniego jego panowania, mogą upatrywać niektórzy więcej nieudolności i słabości niż złej woli, to brak podniosłości charakteru występuje najdobitniej w tym właśnie okresie, kiedy przeżywszy Ojczyznę, której był królem, żyć chciał dalej, tak zajęty sobą, losem swej rodziny i tych wszystkich, których bezużytecznie ciągle pieniędzmi zasilął. Upokorzenia których doznał, uczyniły go już były nieczułym na dalsze, na targi, dla których przedłużał istnienie swoje, gdzie z zaszczytu nie już do zachowania nie było; przeciwnie, w jego osobie nieustannie zaszczyt narodowy na nowe narażonym był zniewagi. Dla tych, którzy z niego jeszcze korzyści ciągnęli i do tej nędznej egzystencji jego późniejszej przywiązani byli, ciężarem zaiste powinna była być zależność od losu jego, jeżeli na tym losie jaki pozór blasku jeszcze zostawał.

Spory mocarstw, które Polskę rozebrały, przeciągnęły się prawie aż do śmierci carowej Katarzyny (17 listopada r. 1796) tak, że aż do tego czasu w utrapieniu swoim nie doznał Stanisław ulgi po dwuletniem już blisko oczekiwaniu swoim w Grodnie. Dopiero po wstąpieniu na tron Pawła I, gdy wszystkich Polaków zwolniały więzy i dla niego także nastąpiła zmiana. Paweł zapewniał go o swoim współczuciu, a konwencya z dnia 15/₂₆ stycznia w Petersburgu zawarta przyznała mu główne punkta, dotyczące się dalszej jego egzystencji, co żywym go przejęło ukontentowaniem. Długi jego miały zostać zapłacone, co już Rzplta jeszcze na ostatnim grodzieńskim Sejmie zobowiązała się była uczynić. Oprócz tego zostawał mu wolny zarząd własności majątku posiadanego, oraz 200,000 dukatów rocznej pensyi, przez mocarstwa w odpowiednich częściach wypłacać się mającej. Jednocześnie zaproszonym czyli zniewolonym został udać się na mieszkanie do Petersburga, gdzie odtąd służyć miał za świadectwo zaguby swego narodu i za urągowisko ugrzecznonych światowo i pogardliwych zarazem Moskali, sam w siebie wmawiając zawsze, że jeszcze rodakom i krajowi swemu użytecznym być może.

Z zachowanego i urządnego tym sposobem mienia swego udzielał on ks. Józefowi i p. Tyszkiewiczowej stałe pensye, tak jak innym członkom swej rodziny. Dawno już usiłował utworzyć dla księcia osobny majątek w ziemi; majątek ten tytułem dożywotnim Starostw posiadany na Litwie, przez dzierżawców i plenipotentów zarządzany, niewielkie czynił dochody i był zawsze wątpliwej natury, należąc dożywociem do księżnej Poniatowskiej matki, po której za zgodą króla przechodził dopiero na syna. Teraz imperator Paweł, zaraz po wstąpieniu na tron rozdzielając swoje łaski, w przystępie wspaniałości, rozciągnął, nie bez starań o to króla za pośrednictwem księcia Repnina, którego za dobrego przyjaciela swego uważał, względy swoje i do księcia Józefa, przyznając mu na wieczne czasy dziedzictwo Starostw przez niego dawniej otrzymanych i cessyą przez matkę na niego zrobioną utwierdzonych, t. j. Uszpola, Zyzmor i części Wielony; większa bowiem część tego znacznego Starostwa pod zabór pruski przypadła. Nie poprzestając na tem, mianował zarazem księcia Józefa generałem leitnantem w wojsku rosyjskiem i pułk kirasjerów kazańskich miał mu przeznaczyć. Donosząc ks. Józefowi jeszcze z Grodna do Wiednia o tych dobrodziejstwach, król Stanisław wezwał go, aby jak najspieszniej do niego przyjechał dla korzystania z nich i okazania swej wdzięczności imperatorowi, nie przepominając i tego polecenia, aby nieomieszkiał ukazać się w orderach, których dawniej był się wyrzekł, a włożenie ich jako warunek nieodzowny ze strony rosyjskiej uważanem było. Tu jednakże spotkał się król z tak stanowczym oporem ze strony ks. Józefa, jak wtedy, kiedy po przystąpieniu swojem do konfederacyi Targowickiej zatrzymać go w wojsku usiłował. Ani orderów włożyć, ani do Rosyi księżę jechać nie chciał. stanowczo wzbraniając się uczynić kroki, które przeciwnemi przekonaniu i honorowi swemu mienił. Zmartwiony tą odmową król ponawiał zakłęcia swoje, cały był swój i rodziny na szwank przez tak niedorzeczny postęp narazonym widział. Księżę Józef chorował w Wiedniu; febra, żółtaczka, odnowienie rany dawniej otrzymanej, wszystko stało na przeszkodzie do wyjazdu, i król wreszcie groził wyrzeczeniem się zupełnem człowieka, który do tego stopnia jego dobrodziejstw był niepomny i czczemu wyobrażeniu jego

i rodziny spokojność poświęcał. Nakoniec po długiej walce uległ książę w dwóch punktach: wykonał przysięgę homagialną cesarzowi Pawłowi jak poddany jego z dóbr, które odtąd dziedzicznie miał posiadać, i złożył ją w Wiedniu w poselstwie rosyjskiem, napisał list do cesarza z podziękowaniem za jego łaskę, wymawiając się zarazem od służby wojskowej, królowi zaś przyrzekł za powrotem zdrowia przyjechać do Rosyi i osobiście złożyć uszanowanie cesarzowi, wkładając order, co go niezmiernie wiele kosztowało jako uchybienie raz danemu słowu. Co do służby wojskowej rosyjskiej raz na zawsze i stanowczo oświadczył, że tego nigdy i za żadną cenę nie uczyni, z goryczą zarazem wymawiając królowi, że dla jego widoków politycznych musiał tylokrotnie poświęcać swoje przekonanie. Czyniąc dla króla jedynie, stryja i ojca swego przybranego, aby go mógł jeszcze widzieć przyjeżdżając do niego, to, czegoby nigdy nie zrobił dla własnego swego interesu, munduru rosyjskiego nie włoży, bo przyznaje się do tej winy, iż pamięta jeszcze, że jest Polakiem i chce mieć zapewnienie, że przybycie do Rosyi nie narazi go na żadne nowe łaski i prześladowania; życie swoje raczej oddać gotów, gdyż po tej ofierze, jaką czyni, nic mu już więcej nie zostaje. Król Stanisław miał za największą dla siebie pociechę tę uległość synowca, o której wiadomość otrzymał na samym wyjeździe z Grodna do Petersburga w Lutym 1797 przez p. Tyszkiewiczową, która zjechała, aby go pożegnać i potem w podróży aż na miejsce mu towarzyszyła. Następnie przez Repnina starania czynił o zmianę co do tej łaski cesarskiej stopnia w wojsku rosyjskiem, co też łatwiej poszło niżeli się książę spodziewał. Ugiąwszy do pewnej miary niepodległy charakter, wobec tak stanowczego oporu odstąpiono od reszty i cesarz Paweł mianował księcia Józefa wielkim przeorem Zakonu maltańskiego, dając mu tym sposobem mundur neutralny, w którymby na jego dworze mógł się ukazać. Sądził król, że książę jeszcze na koronację cesarza do Moskwy zjechać będzie mógł, gdzie sam figurował jako trofeum nieszczęśliwej Polski; daremnie jednak oczekiwał go tu i później w Petersburgu; choroba była ciągle na przeszkodzie do jechania, kuracya, wody badeńskie, febra nieustająca, przepisy lekarza — a równie mocno zapewne i wstręt moralny nie dozwoliły mu przez cały

rok wybrać się w tę drogę, i ksiązę Józef nie widział już więcej króla i stryja swego, którego ojcem nazywał i dla którego za dobrodziejstwa odebrane nieograniczoną wdzięczność wyznawał.

Bolesnem być mu to musiało podwójnie, gdy po śmierci jego (12 lutego 1798), konieczność nakazała jednakże jechać do Petersburga, aby dopełnić przyjętego wraz z darem dóbr zobowiązania, i zająć się sprawami spadku, gdzie interesa, trudności zachodzące w uporządkowaniu najpierwszych czynności, i zajęcia etykiety, zatrzymały go do końca sierpnia tegoż roku. Nie sam ksiązę dziedziczyć miał po królu, zmarłym nagle, i bez napisania ostatniego swego rozporządzenia w tym względzie. Żył bowiem jeszcze ksiązę expodkomorzy Kazimierz Poniatowski, jego dzieci Stanisław i Konstancya Tyszkiewiczowa, siostry pani krakowska Branicka, pani Zamoyska Wojewodzina Podolska i jej córka Mniszchowa. Ale jak po zmarłym nagle w r. 1794 Prymasie, ksiązę Józef spadek objął, za układem między członkami rodziny, tak i teraz za układem familijnym, a po części aby dać oparcie tym wszystkim, którzy prawa swoje do majątku króla rościć mogli, ksiązę Józef podjął się przedstawiać głównego spadkobiercę, a nie dopuścić do konkursu, który nastąpić byłby musiał, z niesławą dla obdłużonego króla, skoro wszyscy inni członkowie rodziny urzędowe zrzeczenie się spadku zrobili.

Spadek nie obiecywał wielkich korzyści, w oczach ludzi trudniących się interesami było rzeczą wątpliwą czy nie będzie ciężarem dla spadkobiercy, i byłby może w istocie nie wystarczył na zapłacenie wielkich ciężarów masy, gdyby ta na postępowanie konkursowe oddaną była, liczni zaś pensjonowani dawni słudzy króla czekać byliby musieli aż do uregulowania konkursu i praw swoich dowodzić; gdy biorąc uregulowanie spadku na siebie, ksiązę Józef od razu wedle sił swoich czynił zobowiązaniom tym zadosyć, pobierając również tymczasowo i dochody z własności w Polsce, co do których sądom pruskim rachować się musiał. Gdy ustawy pruskie rządzące w Warszawie pozwalały przyjąć spadek z dobrodziejstwem prawa inwentarza, ksiązę Józef takie przyjęcie uczynił, ale interesa te — w części odnoszące się do posiadanych realności w Warszawie, jak Teatr, Mennica, niektóre zabudowania

zamkowe, Łazienki, Ujazdów itd. częścią do zaległości pensyi królowi przez dwory płaconej, obciążonych długami przez niego zrobionemi na zadośćuczynienie szczodrobliwości bez miary w Moskwie i Petersburgu, częścią z różnych u różnych osób należytości zwrotnych, zahaczające nieustannie o czynności komisyi trzech Dworów, czyli tak zwanej komisyi trylateralnej, mającej likwidować według przyrzeczenia tychże Dworów dawne długi króla — interesa te były tak zawikłane, książę Józef zaś tak mało sam lubiący niemi się zajmować, w skutku czego na rozmaite zdawał się osoby, że przez wiele lat się ciągnąc, ani za pruskiego panowania w Warszawie, ani nawet za Księstwa Warszawskiego, t. j. za życia księcia, do zupełnego nie doszły ukończenia. Majątek zaś jego własny po sprzedaży Starostw w Litwie, które kupili Pusłowscy, nienadto był świetny, i dopiero do większego doszedł rozmiaru, skoro po śmierci matki, zmarłej w r. 1806 połowę spadku po niej odebrał, i skoro najznaczniejsza część Starostwa Wielońskiego stanowiąca dobra Zypie na dożywociu matki będące, a przez rząd pruski skonfiskowane, wspaniałością zwycięzcy nad Prusakami Napoleona zwróconą, albo raczej darowaną księciu Józefowi r. 1807 została.

Upodobawszy sobie Jabłonnę, o dwie mile od Warszawy za Pragę, ze spadku po Prymasie Poniatowskim pochodzącą, i pałacyk pod Blachą zwany przy zamku królewskim w Warszawie położony, tam kolejną latem i zimą przemieszkował, jeszcze w lecie 1798 siostrę swą z p. Vauban do Jabłonny sprowadziwszy. Nie liczył on już wtedy na żadną w przyszłości czynność publiczną, na dalszy zawód wojskowy który lubił, i na sławę której pragnął w pierwszej swej młodości. Lubo dopiero 34 lat mający, rozumiał że równie siła okoliczności, jak i konieczność poddania się losowi, wszystko mu to odjęły. Polska nieistniejąca zamkniętą czyniła tę drogę, która go głośnym już zrobiła i zostawiła niezgasłe wspomnienia. Myśl szukania służby w obcych wojskach, byłaby go może jeszcze pociągnęła, mimo zamieszania ówczesnego w Europie, a pociągnęła w innym zupełnie kierunku, niż ten z jakim się w późniejszym jeszcze spotkał życiu, bo do służby angielskiej, która jedna teraz powab dla niego miała, lecz sądził się już i co do tego związanym przyrzeczeniem, które

go na zupełną nieczynność skazywało. Aby bowiem uniknąć służby rosyjskiej zastawiał się zupełnie skołataniem zdrowiem, i złożył to oświadczenie, iż służby wojskowej w każdym innym wojsku także się wyrzeka. Tak więc bez żadnej już nadziei miał przed sobą życie prywatne, nudnemi przeplatane interesami swemi i rodziny, życie, które w tym wieku najniekorzystniej właśnie wśród takiego spokoju i takiego pozbawienia się wszelkiego ważniejszego celu dążeń, upływać musiało.

Znane są niektórym ze wspomnień ojców i dziadów tak zwane czasy pruskie w Warszawie, i tej części królestwa, która pod pruskiem zostawała panowaniem. Ogarnęła szlachecki naród, rozsprężony, nieczułość na siebie, na los potomnych, zwątpienie o czemś lepszem, i wyrodziła się żądza zabaw, ruchu, lekkomyślność, podniecana obfitością pieniędzy, które rząd pruski do kraju sprowadził. Wszystko w szale zapomnienia, albo gorączkowego jakiegoś uczucia tymczasowości, czas trawiło. A wśród tego mieszkał książę Józef w Warszawie, usunięty od pozorów nawet zajmowania się sprawami publicznymi, mały swój dwór trzymający pod Blachą, uwielbiany i podchlebstwami otaczany od tych co się do niego zbliżali, lubo nie bez sprzeczności, którą spotykał naówczas w opinii ludności miejskiej; w kwiecie wieku, świetny i rodem i przebytymi już kolejami życia, szlachetny, okazały i przystępny; przy nim młodzież najweselsze chwile trawiła, damy zapomniały o godności swej i prawach swoich towarzyskich. Pani Tyszkiewiczowa nie była trudniejszą w wyborze zabaw i zajęć swoich. Pani Vauban, później przedmiot nadszkakiwania tych, którzy pałac pod Blachą odwiedzali, otoczona czułemi staraniami, przywiązaniem szczególnem księcia, rozdawała jego względy, sama wyznając najgłębsze uczucie przyjaźni i uwielbienia dla jego przymiotów i charakteru.

Wiele mówiono i pisano o rozwiążłości obyczajów za czasów pruskich, od którego to zarzutu i książę Józef wolnym nie był. Ta swoboda wojskowa jaką lubił, w nieczynności preradzała się na życie wesołe, które mogło odurzać umysł, przyciśniony smutkiem położenia, ale nie odpowiadało głębszemu pojęciu ogólnego i tak świeżego jeszcze nieszczęścia. Miłostki ks. Józefa były znane, został się ślad ich w testamencie jego; pamiętał o tych, którym opatrzenie był dłużnym. Stosunek

jego z p. de Vauban, nosił cechę stałego długoletniego przywiązania i trwał aż do śmierci księcia. Rażącym musiał być sposób w jaki p. Vauban w domu jego była panią, i nawet po odjeździe pani Tyszkiewiczowej do Paryża, honory robiła; obyczaj tego czasu znosił to, a nawet długo bez szemrania przyjmował, a książę urokiem swojej osoby zniewalając umysły, sam starał się o to i życzył sobie, aby ta jego przyjaciółka szczególnem otaczana była uszanowaniem. Niemniej zastanawia i powab i zmysł osoby, co stałe takie uczucie zjednać sobie potrafiła, o którym sam ten człowiek słaby i miękki ze strony obyczajów, a szlachetny w uczuciu i waleczny w boju, przed śmiercią uroczyście się wyraził, iż ono jako wdzięczność, nawet po za grobem trwać będzie.

Thiers powiedział o księciu Józefie odnosząc się do chwili, kiedy wojska francuskie do Polski wkraczały, że był to niejako bohater w miękkim śnie pogrążony, ale który się miał przebudzić. Nic też innego jak takie życie, taka rola, którą w stolicy dawnej swego kraju odgrywał, spowodować mogła rząd pruski, i w porozumieniu z nim zostający rząd rosyjski do tego, że mu swobodnego pobytu w Warszawie dozwalał. Od Rosyi daleki po sprzedaży dóbr litewskich, starał się sam o pozyskanie życzliwości rządu pruskiego, którego potrzebował dla spokojności swojej i dla interesów nigdy się nie kończących po królu i swoich własnych. Królestwo pruskie przejeżdżające w r. 1798 na stacyi pocztowej przed Warszawą witał, dla królowej w Warszawie bawiącej, zabawy urządził, położeniem i stanowiskiem swoim do tych demonstracyj zmuszony, życiem politycznie w oczach zaborczego rządu nienagannem, pozyskał opinię spokojnego i lojalnego poddanego, względy władzy, a nawet wstęgę orla czarnego; lecz zdjęcia z dóbr Wielońskich sekwestru, położonego na nie jako na Starostwo, uzyskać nie zdołał.

Polak w duszy, żołnierz lubiący ćwiczenia wojskowe i na wojenną sławę nieobojętny, nie mógł bez wzruszenia widzieć rosnącej wielkości i potęgi Napoleona i porażek, które odnosili zaborcy Polski. A jednakże można z wszelkiem prawdopodobieństwem przypuszczać ze wstrętu do rewolucyi francuskiej jaki był okazywał, z sympatyi austriackich, które zachował, że zwycięztwa nad Austryą r. 1805 wcale nie skło-

niły jeszcze umysłu jego ku tej nowej gwiazdzie, która już wielu jego rodaków pociągała. Uczyniła to dopiero zmiana istotna położenia dla Polski; ta stanowczo wyrwała go z prywatnego życia, i do przypasania znów oręża zmusiła. Oczekiwanie było powszechne i gorączkowe w Warszawie, zwłaszcza po bitwie pod Jeną; wśród którego ksiązę Józef, bez dwuznaczności, ze spokojnością prostego swego charakteru, spełnił zadanie publiczne, które mu się dostało jako najznakomitszemu obywatelowi stolicy.

W październiku 1806 Władze pruskie przewidując potrzebę wyprowadzenia wojska i ustąpienia z Warszawy wezwwały mieszkańców do utworzenia straży obywatelskiej dla bezpieczeństwa w mieście. Na zgromadzeniu znaczniejszych mieszkańców wezwany przez obywateli i przez generała Köhlera gubernatora, imieniem króla pruskiego, do objęcia dowództwa tej straży, ksiązę Józef napisał 21 października odezwę do mieszkańców miasta, dopiero 21 listopada w gazetach ogłoszoną, zorganizował straż miejską, która na d. 26 listopada służbę pełnić zaczęła, odprowadził wojsko pruskie i rosyjskie ustępujące na Pragę, a już tego samego wieczora pierwszy szwadron awangardy francuskiej ukazał się oswobodzonym mieszkańcom Warszawy i wywołał uczucia radości nie do opisania.

Już poprzednio w Wielkopolsce zaczęło się powstanie, już niektóre oddziały uzbrojone dostarczoną przez Francuzów bronią ruszały się, już proklamacya Dąbrowskiego i Wybickiego z rozkazu Napoleona wydana wstrząsnęła umysłami zapowiadając odrodzenie Polski; nadeszła chwila w której obowiązek żołnierza, honor i uczucie nakazywały stanąć znowu w szeregu gotowych do walki, i ksiązę Józef nie mógł nie wstąpić na tę nową drogę, którą otwierały wypadki, a przez to wziąć udział w losach, które teraz przechodzić miał jego naród, jeszcze niejako zupełnie, dobrowolniej, bardziej na równi z innymi obywatelami kraju, niż wtedy kiedy związany z królem stryjem swoim, wyjątkowe zawsze poniekąd miał położenie. Dnia 28 listopada rano wyjechał naprzeciwko Francuzom, i przywdziawszy dawny swój mundur generała polskiego, przy boku księcia Murata jadąc konno, wprowadzał zwycięskie wojsko do stolicy, wodzów u siebie przyjmował, oddając wkrótce

potem siebie i swój oręż dla sprawy, którą poświęceniem swoim Polacy w obec Napoleona popierać mieli.

Napoleon nie był bardzo kontent z usposobienia, jakie znalazł w Warszawie, lub też tak udawał, albowiem mimo tej wielkiej siły jaką miał w sobie, trafiało mu się często używać ludzi do swoich celów, łudzając ich lub drażniąc, a wyraz sądu swego o nich zmieniając według obrotów polityki. Mówił że w Warszawie zanadto są wyrachowani, że okazują chęci jakichś rękojmi, i zapewnień z jego strony, kiedy tylko zupełnego poświęcenia się miał prawo żądać. Jeżeli Kościuszkę stałego w swych zasadach i nieufającego mu, obelżywemi mógł nazywać imionami, nie dziwnego, że księcia Poniatowskiego mienił „najlekkomyślniejszym z lekkomyślnych Polaków.“ Zasłyszawszy od Murata, że Poniatowski także był zdania, iż prędko należało dać króla Polakom, i że może księżę Czartoryski byłby najstósowniejszym, co Murat sam pragnący korony, skwapliwie pod tą formą doniósł cesarzowi, zaliczał go z razu także do zbyt przezornych, lecz oszczędzać go i pozyskać uważał za stósowne.

Jeśli przez cesarza traktowanym był według względów politycznych, znajdował sympatyą i uznanie od tych wojowników i wodzów, którzy do Warszawy na czele swych korpusów przybywali i w spotkaniu z nim oceniali i czuli rycerski i wojskowy powab jego osoby i obejścia. Augereau, Lannes, Massena, Davoust, kolejno zajmowali Warszawę w ciągu zimowej kampanii pruskiej. Davoust, który najdłużej później bawił w tem mieście, twardy i wymagający, znał słabości księcia, skoro ich nadużywał, ale go zarazem i poważał. Największe od początku zbliżenie mógł mieć z Muratem, którego z nim równało niejaki podobieństwo usposobienia i fantazyi wojskowej. Murat też przyjęciem swoim w Warszawie był zupełnie zniewolony; w uniesieniu dla sprawy polskiej, może nie bez własnych w tem chwilowo widoków pozyskany, do czego stosunek z księciem niewątpliwie wiele się przyłożył.

Powstanie Sieradzkiego i Poznańskiego Województwa zaraz po oswobodzeniu tej części kraju, zaczęło się. Dąbrowski organizował je w pułki regularne, a po zajęciu Warszawy, tworzenie pułków porządniej prowadzonym było, z pominięciem już pospolitego ruszenia — i księżę Poniatowski ogólnym or-

ganizatorem za wolą cesarza byłznaczony zaraz na początku grudnia 1806 r. Dąbrowski nieprzerwanie dla sprawy narodowej czynny, dowództwem legionów wsławiony, mógł uczuć, że pierwsze miejsce jemu się należało; mając się za zdolniejszego i więcej zasłużonego, ulegał nie bez żalu względem nakazanym patryotycznym obowiązkiem. Mniej sumienny od niego i burzliwszego usposobienia Zajączek, który także po 1794 r. ciągle w wojsku francuskim jako generał nabywał wojennej wprawy i imienia, czuł się także pokrzywdzonym, zawistny już dawniej względem Kościuszki, jakkolwiek podkomendny księcia w 1792, nie był zdolnym stłumić w sobie uczucia niechęci, mianowicie, gdy po stanowczym ukonstytuowaniu rządu nowego księstwa Warszawskiego, ksiązę Józef ministrem wojny zamianowanym został; słowem i czynem nawet to okazał. Zajączek dowodził oddziałami wojska, które w miarę tworzenia się na linię bojową w Prusach zachodnich odsyłane były; Dąbrowskiego oddziały i on sam pod Czczewem, przy oblężeniu Gdańska, wreszcie w bitwie pod Friedlandem chlubnie czynnymi były; ksiązę Poniatowski zaś przez cały ciąg tej kampanii tylko organizacyjnymi pracami się zatrudniał, urządzając pułki, umieszczając w nich wojskowych dawniejszych i nowych, przyjmując ofiary i rozdając stopnie dowódcom często improwizowanym, ale przynoszącym nieraz zapas dobrej woli i środków, na których zbywało, te zaś, których dostarczał Napoleon, nie były dostateczne do takiego rozwoju sił wojskowych, jakiego od Polaków wymagano. Trudności były znaczne, wymagania okoliczności i osób wielkie. Pojedynczy umysł księcia łagodził je, pomagał do łączenia znowu w jedną całość szczątków żołnierzy dawnej Rzeczypospolitej, z legionów i z pruskiej szkoły wojskowych. Osobistość jego, która miała w sobie coś zniewalającego, powaga i niewątpliwa dobra wola przekonywała niechętnych, pociągała pragnących odznaczenia się i pożądanym była pośrednikiem dla niektórych spraw krajowych naprzeciw nowej i ciężącej zwierzchności francuskiej.

Było też w księciu Józefie zaparciem się osobistości niedawno zamiłowanej w spokoju, podjęcie się dyrektorstwa wojny i przewodniczenia tysiącnym czynnościom około stworzenia przyszłego wojska i jego zarządu, ćwiczenia i zaopatrzenia

onego. Rządu tymczasowego odebranych Prusom prowincyj polskich, było to głównem zadaniem, okazać Napoleonowi siłę w narodzie, któremu zrobił nadzieję wskrzeszenia; środki zaś ku temu, w całości kraju, mimo uniesień serc i wielu zacnych usiłowań, nie były wiele większe, jak w 1794 roku. Obok partyotów z owego czasu, widziano wprawdzie wielką część zamężnej szlachty garnącej się do obozów i do ofiar; urok gwiazdy Napoleona, jego potęga i widok jego pułków, obudzone nadzieje, wprawiały wszystko w ruch, rozrzewniały i skupiały ludzi przy powracających znowu narodowych znakach, lecz nie nadawały odrazu ani usposobień fachowych, ani zdolności, wytrwałej siły i skrzętnej pracy dopomagającej na każdym kroku organizacyi z góry nadanej. Miano przykład i oparcie z armii francuskiej, lecz obecność tej ogromnej armii i jej obchodzenie się z mieszkańcami, niezawsze wzorowe, nieustanne rekwizycye i ciężary, ofiary przechodzące siły kraju zubożonego, wszystko to były trudności, które musiały wątplić pierwsze kroki nowego rządu, chociażby do niego znajdowali się byli ludzie gotowi usposobieniem do podjęcia takiego zadania. Pomiedzy nimi książę Józef był jednak na swoim miejscu jednym z więcej odpowiednich. Lubił zawód, znał go w szczegółach, miał dość pięknego uczucia do pogardzania zwyczajnemi przeszkodami, a zdolnego rozniecić się aż do poświęcenia życia za honor i sprawę, przy obowiązku uroczyście na siebie przyjętym.

Wojsko było głównym celem czynności rządu tymczasowego i powołanego niebawem do życia przez traktat tylżycki księstwa Warszawskiego. Utrzymanie i postawienie na stopie należytej tego wojska, było zadaniem trudnem, znajdowało się jednak z jednej strony więcej odrazu sił gotowych do użycia niż w innych gałęziach zarządu publicznego. Był cały zastęp wojskowych, którzy z legionów włoskich, z wojska francuskiego i z innych wojsk zaraz weszli w służbę krajową. Obok nich cisnęły się do stopni nieudolności z czasów Rpltej i wiele ambicyj osobistych. Książę Józef radby był zadość uczynić wszystkim, tej jednak trafności w ocenieniu ludzi, tej wyższości poglądu, aby najdzielniejsze narzędzia na właściwem zawsze postawić miejscu, nie posiadał. Nie miał tej twórczej konsekwencyi, aby obmyśleć potrzebę obecną a gotować odrazu przyszłość i jej kierunek. Znał czego dla służby potrzeba było,

rachował się z okolicznościami obecnymi, uwzględniał położenia jak obywatel kraju i dawny wielu osób protektor, ze szczerobliwością, z przyjacielską chęcią, nie tyle jak wódz przewidujący czyny i zapasy, które jego i jego wojsko czekają.— Słabość serca nieraz stanęła mu na przeszkodzie do spełnienia lepszego wyboru osób; otaczał się ludźmi, których wartości nie przenikał, a którzy przypodobać mu się starali, nie panował nad nimi, lecz ulegał im tak, jak ulegał na zewnątrz mimo świetnego swego stanowiska potędze okoliczności, która go na tę nową drogę pociągnęła.

Mimo tych trudności, usterków i słabości w zarządzie i organizacyi wojska, doszło ono prędko, przed jesienią 1807 roku, do poważnej liczby około 20,000 ludzi zaopatrzonych we wszystkie przybory i o ile było można wyćwiczonych. Po ogłoszeniu pokoju członkowie komisji rządzącej a z nią z pomiędzy dyrektorów, tylko ksiązę Józef Poniatowski, powołanymi zostali do Drezna dla widzenia cesarza Napoleona odjeżdżającego do Francyi i odebrania z jego rąk improwizowanej konstytucyi księstwa. W październiku ministrem wojny zamianowanym został. Szacunek, jakiego doznawał ksiązę Poniatowski w kraju i zagranicą, pochodził z innych jeszcze i ważniejszych względów niż ten stopień, który go z innymi w księstwie równał ministrami. Znakomitsi cnotą ludzie w kraju znali i oceniali charakter jego prawy i pełen uczciwości; naczelnictwo wojska robiło go poniekąd naczelnikiem narodu na chwile stanowcze, jakie przyjść mogły. Wielu upatrywać w nim chciało męża najwięcej ważyć mogącego w losach kraju; on sam tego nie czuł, i w myślach swoich nie wyprzedzał ani przygotowywać się starał wypadków. Miał tę skromność, że nie przeceniał siebie, ambicyą nie zamącał sumienia, miał cnotę tak odwrotną od zaślepienia stryja swego Stanisława, że wielkości za należną sobie nie uważał, lecz z drugiej strony, nie miał przedsiębiorczości ducha, odwagi moralnej, ani tego ognia, który wywołuje twórcze kombinacye za świętem natchnieniem dla sprawy poślubionej. Ksiązę Poniatowski nie prowadził ani myślał prowadzić sprawy narodowej; tego obowiązku nie znalazł w natchnieniu swego ducha i zdolności do tego nie posiadał, był tem, czem go uczyniły wypadki i starał się tem być zacie i uczciwie. Był w konsty-

tucyjnym rządzie przy dobrym i znacnym monarsze, ministrem regularnym, a wobec ciężącej obcej opieki powolnym; ogień miał tylko w boju, rycerski ogień, którego nie osłabiło niebezpieczeństwo, owszem pobudzało umysł jego do świetnej wojskowej zdolności; ogień ten drzemał w pokoju, nie wystarczał do natężonej, twardej i wielkim celem przejętej pracy.

Rok 1809 dodał imieniu ks. Poniatowskiego wiele sławy, a zarazem stanowisko jego w narodzie podniósł i utrwalił, uciszył i zawstydził niechętnych. Napad arcyksięcia Ferdynanda na księstwo Warszawskie był nagłym, a nawet mało przewidzianym. Jakkolwiek bowiem wieści o nowej wojnie Napoleona z Austryą od kilku miesięcy się rozchodziły, a pewna wiadomość o niej, doszła króla Fryderyka Augusta drogą dyplomatyczną już przed odjazdem jego z Warszawy w marcu, nie przewidziano, że Austriacy z wojskiem na granicy gromadzonem, wkroczą tak prędko do księstwa. Całe rozpoczęcie tej wojny, przez Austryą od dawna tajemnie gotowanej i wypadki jej w księstwie były nagłe, a w Warszawie nie zrobiono należytego przygotowania do niej już z tego powodu, że wojsko polskie pod względem operacyj wojennych, należało jeszcze do zakresu działania marszałka Davoust, od którego żaden rozkaz i zawiadomienie o wojnie nie przyszło. Spuszczano się na cesarza, a ten zbyt mało myślał o tym dalekim punkcie, do którego zaniósł swoją potęgę, zajęty urządzeniem głównego swego działania przeciw wojskom austriackim w Niemczech i we Włoszech, może i za wiele licząc na przyjaźń cara Aleksandra, który go miał wspierać; księstwo zostawionem nawet było bez instrukcyi z jego strony, lecz wynikało z natury rzeczy, że obrót walki nad Dunajem rozstrzygał wojnę, a wszelkie działanie nad Wisłą, podrzędne tylko miało znaczenie, a zatem, że zadaniem wojska polskiego w księstwie było jak najdłużej stawiać czoło nieprzyjacielowi, póki Napoleon siłą swego wojska i gieniuszu nie pokona przeciwnika.

Na dopełnienie tego zadania książę Poniatowski jednak znajdował się w trudnem położeniu. Wojska polskiego, którego liczba dochodziła już do 30 tysięcy, znaczna część wojowała w Hiszpanii, część stała w Gdańsku i fortecach pruskich, część rozłożona była po twierdzach krajowych słabo warownych; ledwie 15000 z nieliczną artylerją mogło być użyte do boju,

naprzeciwko arcyksięcia, który w blisko 40,000 wchodził do księstwa. Książę Poniatowski mógł od razu widzieć, że nie oprze mu się w otwartym boju i obronić miejsca tak rozległej przestrzeni jak Warszawa niezdola. Postanowił jednakże przyjąć pod stolicą walkę, która powstrzymać umiała zapęd nieprzyjaciela, a z honorem dla wojska Warszawie lepsze używać warunki.

Dobrze obrona pozycja i waleczność wojska sprawiły, że bitwa pod Raszynem tak szczęśliwie przeciw znacznie przeważającym siłom stoczoną była. Polacy utrzymali się na stanowisku, nazajutrz cofnęli się ku Warszawie, aby nie być od niej odciętymi. Wszyscy generałowie uznali, że, aby ochronić stolicę i wojsko dla skuteczniejszych działań i dłuższego oporu zachować, należało opuścić Warszawę. Książę Poniatowski zatem zawarł z arcyksięciem Ferdynandem konwencją, mocą której wojsko ze wszystkimi swymi zapasami ustąpiło z Warszawy na Pragę. W danych okolicznościach konwencja ta była ze wszech miar korzystną, dawała bowiem wojsku wcale nie pobitemu wolność działania, zostawiała mu prawy brzeg Wisły z większą częścią kraju, z Pragę, Modlinem i Serockiem, możliwość uzupełnienia się powstaniem kraju, arcyksięcia zaś osłabiało zajęcie wielkiego miasta, w którym odpowiedni garnizon trzymać zostawał zmuszony. Taka rozsądna konieczność i płynące z niej korzyści nie były przecież przystępnymi dla pojęcia wszystkich, a opuszczenie stolicy przejęło żalem mieszkańców i wojsko. Z żalem wielkim i książę Józef podpisywał konwencją, lecz był to z jego strony czyn rozsądny, wojskowy i patriotyczny, czyn odwagi, bo dokonanie onego narażało na krzyki i podejrzenia najniesłuszniejsze i bolesne. Nie zapomniano mu tego, że służył w wojsku austriackim, teraz dwukrotnie widział się i układał z arcyksięciem austriackim, śmiano podejrzawać nie tylko dzielność jego lecz i uczciwość. Wojsko nawet choć widziało go świeżo w boju, a raczej niektóre duchy niespokojne w wojsku, wyrzekać głośno na niego zaczęły. Zajączek tegoż wieczora w dzień bitwy raszynskiej przybył do armii; znane jego nieukontentowanie i zawieść nie ukrywały się w tej chwili; podniecią były niechętnym; podobno sam podniecał i patrzył na to jak gromadzili się oficerowie radząc o smutnem jakoby położeniu wojska.

Tymczasem książę Józef dał właśnie dowód energii i sposobu myślenia swego, otrzymując przez stanowcze postępowanie swoje i zręczną negocyacyą nader ważne warunki co do Pragi. Przedmieście Praga na prawym brzegu Wisły zostało w ręku wojska polskiego, lecz z Warszawy łatwo opanowaniem być mogło, a szybkie jego opanowanie obróciłoby się było na największą niekorzyść Polaków. Książę Józef zaproponował arcyksięciu neutralność zbrojną dla Pragi lub 8-dniowy rozejm dla jej ewakuacyi, na co gdy zgodzić się nie chciał, zagrożono mu natychmiastowem bombardowaniem Warszawy, a książę Józef oświadczył, że najprzód na swój pałac pod Blachą strzelać każe. Arcyksiążę wahał się, lecz nakoniec po stanowczem oświadczeniu oficera, któremu te układy powierzone były, lękając się poruszenia licznej i gorącej ludności miasta, skłonił się do konwencyi, mocą której Praga nie miała być atakowaną ze strony Warszawy i nawzajem strzelać nie powinna była na miasto, co na cały bieg tej kampanii korzystny skutek wywarło.

Dopełniwszy obowiązku żołnierza i wojownika i mając organizować na nowo swoje oddziały i służbę, książę Józef czuł jednak mocno przykrość i trudność obecnego położenia, i nie miał myśli ogólnej co do dalszego działania, jakie miał przedsięwziąć. Wiedział o usposobieniu wojska nadwergżonem przez opuszczenie Warszawy; to usposobienie okazujące się już widocznie, doprowadzić mogło do haniebnego rozsprzężenia, jeśliby zaraz nie wprowadzono go w nowe zajęcie, nieujęto w karby i niewskazano mu drogi do czynu. Żołnierz przeczuwa myśl działającą chociaż jej nie pojmuje i aby ufał, potrzebuje widzieć ciąg i związek czynności. Niepewność i słabość w dowódcach osłabia ducha dobrego nawet wojska. Książę Józef był w tej chwili słabym, niepewnym i zbyt mało w sobie ufnym. Tymczasem zbawienie wojska zależało od szybkiego i stanowczego poruszenia. Myśl działania zaczepnego na prawym brzegu Wisły w Galicyi równie jak ruchu natychmiastowego całego wojska dla śledzenia poruszeń nieprzyjaciela, nie była jego; przyjął ją jednakże w tej ważnej chwili (24 kwietnia) i chociaż przy niedostatecznem wykonaniu pomyślnie skutki z niej osiągnął.

Rekonesans ku Pradze i stoczona potyczka z generałem Mohrem 26 kwietnia były pierwszym rozpoczęciem tego działania zaczepnego, którego dalszym ciągiem było wzięcie szczytu przedmostowego Góry na prawym brzegu Wisły w Ostrówku nocą d. 3 maja, działania nieuchronnego po zawieszeniu pierwotnego zamiaru ograniczenia się na obronie linii Bugu z fortecami Modlinem i Serockiem. Zniweczenie zamiaru Austryaków przeprawienia się pod Górą otworzyło Polakom drogę w tamtą część nowej Galicyi, utrzymanie i powiększenie wojska w bratnim kraju.

Iść wtedy już naprzód trzeba było koniecznie i książe Józef rozumiał dobrze, że inaczej czynić nie powinien, jednakże w ciągu dalszym szybkich postępów wojska, zaniepokojonym był nieraz odpowiedzialnością swoją, postępował naglony raczej okolicznościami niż własnem przekonaniem. Atoli uczucie jego szlachetne i trafny sąd o rzeczach przemagały nad niepewnością wynikającą z umysłu nieusposobionego do samodzielnych i śmiałych przedsięwzięć, na radzie wojennej umiał odróżnić najlepsze zdanie i miał chwile, w których stanowcze przyjmował postanowienia. Proklamacya którą wydał wchodząc do Galicyi było bardzo ostrożna, oględna na Napoleona, aby nieprzesądzać dalszym jego postanowieniom co do Polski, bo polecenie nader krótkie od cesarza dotyczące się wejścia do Galicyi, które go doszło dwa dni po wzięciu szczytu Góry, rozkazywało ruch ten jedynie jako działanie strategiczne na tyle nieprzyjaciela w pochodzie armii francuskiej na Wiedeń. Lecz oględność długo utrzymać się nie dała, i książe Józef przekładając cesarzowi położenie swoje i wzywając jego protekcyi dla wyswobodzającego się kraju, widział się zniewolonym otworzyć szerzej ramiona dla braci w Galicyi i nie tylko już spokojnego zachowania się żądać lecz korzystać z ich zapału i do współdziałania powoływać.

Wejście do Lublina było tryumfującym wjazdem, któremu towarzyszyły dziekczynne modły, uroczystości, zjazd szlachty i możnych obywateli ofiarujących swoje usługi ojczyźnie. Książe skracał te chwile, czując ile trudności miał jeszcze do przezwyciężenia z armią austriacką niepokbitą, trzy razy jeszcze silniejszą od swojej, z rosyjską niepewnej postawy gotującą się wejść do księstwa i z tak obszernym krajem, który mu

zająć wypadało. Zapuszczając się w głąb kraju aż do Sanu, pomiędzy Zamościem a Sandomierzem nie mógł zostawiać za sobą dwóch tych miejsc obronnych, szczególnie Sandomierza, pod którym most z szańcem dobrze uzbrojonym na prawym brzegu Wisły nastęrczał Austryakom zwracającym się od Warszawy na wiadomość o postępach Polaków, możliwość uderzenia na nich z boku z większą siłą. Przekonany o koniecznej potrzebie wzięcia jednocześnie prawie szanca przedmostowego Sandomierza i twierdzy Zamościa, lubo małemi siłami rozporządzić mógł na oba te punkta, wydał jednak stanowcze w tym względzie rozkazy. Waleczność i poświęcenie wojska zastąpiły liczbę i obfitość materyałów wojennych, oba punkta wprawdzie nie były przygotowane na dłuższą obronę, lecz wzięcie ich w jednym natarciu było dziełem wielkiej śmiałości i odwagi. Szaniec Sandomierza zdobytym został 17go i jen. Egermann w mieście kapitulował z załogą; Zamość wzięty szturmem 20 maja w nocy. Książę Józef obejrzał zdobyte miejsca, i gdy kawaleryą opanowywał Lwów, sam zajął główną kwaterę w Trześni w środku kąta między wpływem Sanu do Wisły, tuż pod Sandomierzem, wyczekując w tem miejscu ruchu, który teraz arcyksiążę Ferdynand zagrożony z tyłu na lewym brzegu zmuszonym był uczynić.

Wejście Moskali do Galicji, na początku czerwca, na pozór jako sprzymierzeńców Napoleona, utrudniło położenie wojska polskiego, narażało na niepewność wszystkie ich ruchy. Książę Poniatowski długo ludił się co do współdziałania jakie oni przynieść mieli, opierając się na zapewnieniu głównej kwatery francuskiej. Podejrzывая ich ruchy, niestósowność i powolność marszów, starał się wielokrotnie zawiązać porozumienie co do działań. Łudzony wyraźnie, przypuszczał złą wolę generałów wbrew rozkazom cara Aleksandra. Po księciu Górczakowowie, Galiczyń objąwszy dowództwo objawił lepsze chęci, Suwarow komenderujący jedną dywizyą był księcia Józefa dawniejszym znajomym i człowiekiem uczciwszego osobistego charakteru, zetknięcie nawet obu wojsk chwilowo nad Sanem przyszło do skutku, żadne jednakże naleganie, i oczywiste względy wojskowe nie mogły wyprowadzić Moskali z roli biernych widzów wojny, oględnych tylko na własną korzyść, znoszących się tajemnie z Austryakami, ustępujących przed nimi, a zaj-

mujących kraj tylko z uszczerbkiem Polaków i dla przywrócenia władzy austriackiej. W takich okolicznościach nieodbierając pomocy ani wsparcia wtedy gdy tego wsparcia szukał i miał prawo oczekiwać, książę Józef nie mógł obronić pozycji łącznej z zdobytym Sandomierzem. Po walecznej obronie mostu na Sanie pod Czekajem przed przeważającą siłą korpusu Schaurrotta cofnął się za San, a następnie stracił Sandomierz d. 18 czerwca po mężnej jego obronie przez Sokolnickiego, gdy Arcyksiążę opuściwszy Warszawę 2go przeważnie usiłowanie na ten punkt zwrócił, aby w cofaniu się nie został z tej strony niepokojonym.

Już o fałszywym postępowaniu Rosyan wątpić wtedy nie można było; ks. Józef dojechał sam do Galicyna do Lublina i tam ułożył z dowódcą rosyjskim że obie armie oddzielnie poruszać się mają. Sam przejść zamierzył na lewy brzeg Wisły, aby cofającego się Arcyksięcia Ferdynanda ścigać przez Radomskie i Krakowskie, Moskałom zostawił brzeg prawy, zastrzegając tylko aby ustanowione przez niego władze utrzymanemi były, co tylko dla tak zwanej nowej Galicyi, po Bug z Zamościem zostało zachowanem.

Czyniąc to i ustępując ku Puławom łączył się z korpusem Zajęczka na prawym brzegu już po oswobodzeniu Warszawy postępującym na pomoc, a po przeprawieniu się pod Puławami z korpusem Dąbrowskiego idącym od Wielko-Polski i Sokolnickim skutkiem kapitulacyi Sandomierza cofniętym aż za Pilicę; po tych połączeniach rozporządzając już znacznemi do 24 tysięcy siłami, mógł rzeczywiście skutecznie i stanowczo działać. To było bez wątpienia w tej chwili najtrafniejsze działanie, skoro już szybkością poprzednich ruchów i większą działalnością organizacji niezdolano przed wejściem Moskali reszty wysuniętej na wschód Galicyi zupełnie dla siebie ubezpieczyć. Zarzucano ks. Józefowi że opuścił Sandomierz, mając tamtędy przejście na lewy brzeg Wisły do działania przeciw Arcyksięciu idącemu od Warszawy; lecz przejście w tej jeszcze chwili wobec następującej przemagającej siły było nadto ryzykownem, oba zaś brzegi razem utrzymać było niepodobna, po niebacznem z naszej strony zniszczeniu szafca przedmostowego Sandomierza, przed miesiącem zdobytogo. Kiedy na prawym brzegu wypadło walczyć przeciw następującemu korpusowi au-

stryackiemu, a o rosyjskiej pomocy acz nader bliskiej już prawie zwątpiono, raczej należało może wcześniej opuścić Sandomierz, łącząc swoje siły i niepotrzebnego nie dopuszczać rozlewu krwi przy obronie miejsca, które samo obronić się nie mogło.

Dla pamięci księcia w tem miejscu warto jeszcze raz wspomnieć jakie były jego stosunki z wojskiem i jenerałami rosyjskimi, z którymi tak drażliwe spotkanie miał w tej wojnie. Książę mógł nie wierzyć w ostateczne zbawienie Polski przez Francją, mógł wiedzieć i wiedział już wtedy bez wątpienia, co za nadzieje ze strony Aleksandra Polakom przedstawione były. ale zachowanie się jego względem Rosyan było nietylko bez zarzutu, ale zawsze tak stanowcze, tak troskliwe o sławę narodową, jak tylko okoliczności owczesne dozwalały. W naleganiach swych, w wyrzutach, w pogardzie, którą obok form przyzwoitych dawał uczuć przy każdej sposobności dowódcom rosyjskim, dowodził, jak niemogąc uniknąć zetknięcia czułym był na krzywdę, którą oni wyrządzali w oswobodzającym się kraju, i jak wstrętną była jego pojęciom o honorze wojskowym obłudna ich rola,

Po przejściu całego wojska polskiego przez Wisłę pod Puławami na d. 25 czerwca, i gdy już głośnie było zwycięstwo pod Wagram odniesione, a Austriacy w zupełnym odwrocie się znajdowali, postęp Polaków ku Krakowu już nie był trudnym, i dziwić się raczej tylko można że nie był szybszym, bo dopiero 9 lipca pod Pińczowem, 11 pod Żarnowcem, a 13 pod Miechowem wojska się z sobą spotykały. Od Miechowa Roźniecki z całym pośpiechem idąc i naciskając na Kraków, zawarł z jenerałem Mondet, po odjeździe arcyksięcia komenderującym, kapitulacyą, która po 12 godzinach oddawała Kraków Polakom. Zdradliwie wezwani ubiegli go Moskale i jak wiadomo przy wejściu do Krakowa zaledwie nie przyszło do starcia między obudwoma niby sprzymierzonymi wojskami. Książę Poniatowski w oburzeniu rozkazał wojsku polskiemu siłą dokonać wejścia przez bramę Rosyanami obsadzoną. Sam natychmiast był na miejscu, w ulicy Grodzkiej sam z koniem natarł na huzarów rosyjskich zmuszając ich do rozstąpienia się i obrzucił wyrzutami jenerała Siewiersa. Stanowczo dokonano zajęcia bez względu na nich, obejmując rząd i własność publiczną;

przyjąć tymczasowo pobyt ich musiano, a ponieważ generał Suwarow był komendantem dywizyi, towarzyskie stosunki były łatwiejsze, tem bardziej że już nazajutrz 15 lipca, nadeszła z głównej kwatery francuskiej wiadomość o podpisaniu zawieszenia broni w Znaim, które położyło koniec czynnościom wojennym.

Dzieje ogólne tej kampanii mają dla Polaków w ich nieśczęściach urok przemijający sławy i pomyślności, i są w każdym razie zaszczytnem wspomnieniem. Piszący o nich rodacy unoszą się chętnie wyobrażeniem świetnych czynów dokonanych przez tę część narodu zostawioną własnym siłom. Nie ujmuje też zasłudze tych dzielnych ludzi, którzy wiernie spełniali swoją powinność, wyznając, że jak w całym urzędzie księstwa Warszawskiego tak i w sprawach wojennych tej epoki wiele brakowało w usposobieniach, zdolnościach i w wykonaniu. Książę Józef mógł też być nazwanym przedstawicielem usposobień kraju, obok tego co mu ogólne ukształcenie, wprawa i tradycja wojskowa dodawały. Z czystymi i szlachetnymi chęciami dźwigał on mozolnie, nieśmiało i nie dzielnie ciężar organizacji i administracji zajętego kraju, które mu przypadły w udziale. Rządzić i dowodzić było raczej dla niego twardem i mozolnem zadaniem, niż czynnością w której umysł zasoby swoje rozwija i do podniesienia się znajduje podniecie. Jako żołnierz, byłby sam równie śmiało wstępował na szanice, jak ci co jednym zamachem brali twierdze; w rozporządzeniach i układach wojennych był niepewnym i wahającym się. Wojsko polskie okryło się wawrzynem; najpiękniejszym był ten, że w danych okolicznościach dopełniło swego obowiązku, bo że na losy kampanii i odwrót zupełny arcyksięcia wpłynęły głównie zwycięstwa Napoleona nad Dunajem, to każdemu nawet Polakowi było widocznem. Zresztą książę, zawsze piękny wojskowy, dla swoich dobrych, nawet miękkich, dla nieprzyjaciół ludzki, pozyskał serca wszystkich, a godność jego wieńcem zwycięskim i uznaniem Napoleona podniesioną została, na zawstydzenie tych nikczemnych zarzutów, jakie mu dawniej czyniono. Po tej kampanii wielkie krzyże legii honorowej i polski zasługi wojskowej, oraz pałasz honorowy od Napoleona otrzymał.

(Dokończenie nastąpi).

F. P.

SZEKSPIR W POLSCE.

(Ciąg dalszy) ¹⁾.

IV.

Szereg tragedyj i tom drugi otwiera *Romeo i Julia*. Z żalem wyznać trzeba że jest to jedna ze sztuk, których tłómaczenie najmniej się panu Paszkowskiemu udało. Różnica między tą a temi któreśmy dotąd widzieli, i które zobaczymy później, jest znaczna, tak że chcąc ją wyrozumieć, musimy chyba domyślać się, że dramat ten musiał być jedną z pierwszych prób niewprawnego jeszcze tłómacza. Nie trzeba naturalnie mówić, że to tłómaczenie Romea nie może być liczonem pomiędzy te złe i nieudolne które je u nas poprzedziły — (przypominamy tu że nie znamy przekładu pana Korsaka i o nim nie mówimy) —: to nie, ono może nazwać się dobrem, bo jest i wierne, i wykonane porządnym językiem i wierszem, w niektórych ustępach nawet szczęśliwe, a w całości zupełnie przyzwoite: musi oczywiście być najlepszem ze wszystkich jakie posiadamy, skoro na wszystkich teatrach polskich kiedy się Romeo grywa, to w texcie pana Paszkowskiego. Ale na po-

¹⁾ W ostatnim zeszytcie należy sprostować następujące pomyłki drukarskie:

str.	wiersz	zamiast	ma być
229	5 od dołu	daj ebrak	daje brak
230	7 „ „	zamiany	zamiary
234	11 od góry	Jak to będziemy	Jak to będzie

równaniu z innemi przekładami tego samego pióra, ten traci, a dopieroż wystawić sobie ile tracić musi na porównaniu z oryginałem! Tu, gdzie więcej może niż w każdej innej sztuce Szekspira żądałoby się od tłumacza poezyi, tu jak na złość zdaje się on mieć mniej wyobraźni, mniej poezyi w duszy, mniej subtelnych odcieni i „słów rozpłomienionych“ w stylu. Ten ton znizony o którym mówiliśmy wyżej, i który istotnie wy-daje nam się prawie nieodłącznym od każdego tłumaczenia, tu daje się czuć żywiej niż gdzieindziej, a wrażenie jest o tyle mniej przyjemne że to Romeo właśnie, że to nie ludzie prawi-e ale miłość sama! i ona przemawia cokolwiek wymuszenie i ciężko. Jest to kopia starannie i sumiennie wyrysowana, ale bez koloru, jest ten sam kwiat ale jak żeby zasuszony lub naśladowany z materyału w którym nie ma życia, jest to Romeo, ale księżyc świeci w nim blado, słowiki śpiewają jak żeby zmuszone, kwiatu pomarańcz nie czuć w powietrzu, a miłość mówi to samo co w oryginale, ale jej słowa jakoś „w ustach wietrzeją, na powietrzu stygną“, i nie może duszy jaka jest w Szekspirze „prosto w duszę przelać“.

Na tem tle ogólnego i najcięższego zarzutu dają się widzieć liczniejsze niż gdzie indziej poszczególne usterki. Znajdujemy zaraz jeden w samym spisie osób dramatu: spotykamy w nim jakąś nieznaną nikomu i niczem nieusprawiedliwioną Martę. Zkąd tłumacz wiedział że mamce Julii było na imię Marta? Szekspir tego nigdzie nie mówi, nazywa ją zawsze tylko mamką, *nurse*. Jaki był powód, jaka potrzeba ochrzczenia w przekładzie figury która w oryginale doskonale obchodzi się bez imienia i która całemu światu znana jest pod swoim tytułem mamki? Że ta kobieta głupia, gadatliwa, pospolita, z natury może podobna jest do Marty z Fausta, że tak jak tamta gotowaby może „samego djabła złapać za słowo“ — że tamta byłaby tak samo radziła Julii pójść do ślubu z Parysem i cieszyć się obecnym drugim mężem kiedy pierwszy nieobecny, to jeszcze nie uprawniało tłumacza do wyboru tego imienia, ani do nadawania jej imienia jakiegokolwiek, kiedy autor nie dał jej żadnego.

W samym zaś dramacie dużo wyrażeń nieprzyjemnych, albo nie polskich albo zbyt nowoczesnych albo zbyt poto-

cznych, dużo dodanych dla miary lub rymu, dużo zawiłych lub ciężkich a przez to psujących wrażenie.

I tak zaraz po pierwszej zwadzie między służącymi, i po napomnieniu księcia (co jedno i drugie przełożone jest zupełnie dobrze), Romeo ledwo wyszedł na scenę już powiada że miłość jest

. „amalgamem“

Żółcią trawiącą i zbawczym balsamem“ —

Nie będziemy twierdzić żeby te antytezy któremi on w tej scenie sypie jak z rogu obfitości, były szczególnie piękne, przecież w oryginale jest na nich jakaś poetyczna barwa, którą tłumaczenie starło, a do tego ten *amalgam*, który tu jest na to tylko żeby służył za rym *balsamowi*, to wyraz ani polski, ani w poetycznym stylu ani w ustach ludzi z XV wieku właściwy. Prawda że Benvolio odpowiada na to jeszcze gorzej, kiedy przyjacielowi swemu każe:

„nie jęczyć

„tylko mi klucz dać do tego *problemu*“ —

Naprzód „problem“ jest tak zły jak „amalgam“: powtóre Szekspir o problemie i o kluczu nic nie wie, a co więcej nie tylko nie każe zakochanemu „nie jęczyć“ lecz przeciwnie „*smutno*“ powiedzieć w kim się kocha (*sadly tell me who*). Dalej znowu spotykamy *ideał* wyraz który zbyt traci XIX wiekiem, na innym miejscu „*sentymentalnego* szaleńca“ kiedy Szekspir mówi tylko o zakochanym wariacie: nie można dość zważać na to przy pisaniu lub tłumaczeniu poematów lub powieści z dawnych wieków, żeby strzedz się używania wyrazów, których w owych wiekach nie było, wyrazów naszego wynalazku, świeżych, i świecących jeszcze swoją nowością jak pieniądz który tylko co wyszedł z pod stępla.

Rzecz naturalna, że sceny potoczne lub komiczne, rozmowy sług, muzykantów, nieskończone opowiadania mamki, a nawet same żarty Mercutia, z natury rzeczy łatwiejsze były do tłumaczenia od scen i miejsc poetycznych. To też pierwsza rozmowa mamki z Lady Capulet i z Julią wypadła dobrze, chociaż i tej nie możemy przepuścić bez małego zastrzeżenia. Mniejsza o to, czy jest właściwie lub nie, że mamka trzech-

letnią Julię nazywa małym „*urwiszem*,“ kiedy Szekspir nazywa ją co najwięcej „*blazenkiem*“ (pretty fool): ale tłumacz odebrał mamce jedyne słowo sympatyczne, jedyne dowodzące jakiegoś szlachetniejszego uczucia, jakie jest w całej tej roli. Kiedy mamka rozprawiając o wieku Julii, dowodzi, że była ona rówieśniczką jej własnej córki, którą straciła, mówi ona w naszym polskim przekładzie „*Był że to anioł!*“ Wykrzyknik obojętny, którym spłaca się niby należny dług wspomnieniu i przywiązaniu. W oryginale mamka mówi coś nierównie głębszego, i rzewniejszego, mówi, że ta mała Zuzia była dla niej za dobra „*She was too good for me.*“ Oczywiście jest to przypadek, ale przypadek szczęśliwy, i który w przekładzie godzien był zachowania i uwidocznienia: ta natura tak niska, można powiedzieć tak nikczemna, ta głowa tak ciasna, w chwili kiedy myśli o zmarłym dziecku i przez jego miłość ma szlachetniejsze uczucie, ma nie pojęcie ale instynkt swojej małej wartości, a miłość zmarłego dziecka sprawia, że bez jej wiedzy i rozumowania to dziecko wydaje jej się wyższem i szlachetniejszym od niej samej. Małe to ale bardzo ładne słowo, to *she was too good for me*, mały ale bardzo misternie i prawdziwie naznaczony tryumf macierzyńskiego uczucia, że natura nawet tak gruba i po prostu podła, w tem jednym uczuciu wznosi się nad swój zwykły bardzo niski poziom.

Opowiadanie o *królowej Mab* byłoby bardzo dobre, gdyby nie użyte o niej jedno nie każdemu zrozumiałe wyrażenie, że „*babi wieszczkom.*“ Ma to znaczyć, że pielęgnuje samiczki elfów w połogu. Ależ naprzód elf nie był nigdy wieszczem ani jego żona wieszczką, a powtóre trzeba się dobrze namęczyć, zanim człowiek wreszcie zgadnie, że owe *babi* to jest trzecia osoba liczby pojedynczej czasu teraźniejszego od mało znanego i tylko w języku ludowym używanego czasownika *babić*.

Pierwsze spotkanie Romea z Julią na balu, ten bardzo ładny komplement którym on drżący a przecież bardzo śmiały, przeprasza, jeżeli dotknięciem znieważył jej rękę i ślad tego świętokradztwa chce zatrzeć ustami, i cała istotnie zbyt przysypana dowcipami a przeto zawiła rozmowa, w przekładzie nie stała się zrozumialszą, choć się stała cięższą. Scena w ogrodzie.... początku jej, zdaniem naszym, tłumacze nie powinni niby może po swojemu przekładać, tylko przez uszanowanie

dla Mickiewicza przyjąć raz na zawsze jego przekład, a jak w tym razie byłoby się to nawet przydało, bo tym sposobem nie byłoby się znalazło to „*liczko*,” które tak dobrze a tak niezgrabnie rymuje z „*rękawiczką*.” Scena w ogrodzie nie zasługuje niby na żadne zarzuty, a przecież nie jest taka jakby się chciało, czegoś jej brak „*der Spiritus ist entflohen*.” —

Walka Romea i Mercutia na dowcipy, równie jak następująca rozmowa Romea z mamką, niezbyt szczęśliwie wypadły. W tej ostatniej naprzykład Romeo każe Julii oznajmić, że jej daje *rendez-vous*! Po co to nieszczęsne rendez-vous, kiedy u Szekspira on na tem miejscu mówi tylko „*commend me tho thy lady*” — poleć mnie swojej Pani. Za to niecierpliwość Julii, kiedy czeka na powrót mamki i niecierpliwiące tej odpowiedzi, wyglądają w przekładzie doskonale, psuje je tylko znowu jedno słowo, ostatnie słowo Julii „*Adieu złota nianiu*.”

W akcie trzecim scena pojedynku, scena Julii kiedy się dowiedziała o śmierci Tybalta i wygnaniu Romea, są bez zarzutu. W scenie Romea z Lorenzem jest ten niepotrzebny „sentymentalny szaleniec,” o którym wspomnieliśmy wyżej, i również niepotrzebne nieużywane wyrażenie „*fochasz się*,” kiedy inne używane, naprzykład *zżymasz się* albo *rzucasz się* byłoby zupełnie wystarczyło. Monolog, w którym Julia wzywa nocy, zeszpecony jest bardzo wierszem, w którym ona zamiast jej wołać aby przyszła jak stateczna i łagodna matrona, w poważnym stroju, cała w czerni („*sober-suited matron all in black*”) każe jej przejeżdżać „*w ciemnej twojej karocy*!” Oczywiście, gdzieś tam wyżej stało: *nocy*, a rym potrzebował tej niezgrabnej karocy. Za to w tym samym monologu tłumacz miał wielką zasługę; kiedy Julia chce, żeby Romeo po najdłuższem życiu zamieniony w gwiazdy świecił na firmamencie, prosi ona w oryginale nocy, aby go na drobne gwiazdeczki „*pokrajała*” (*cut him*). Ten kochanek posiekany na kawałki, te kawałki ciała przemienione na gwiazdy, to z wszelką rewerencyą dla Szekspira dość wyszukane i niesmaczne, i pan Paszkowski dobrze zrobił, kiedy przynajmniej tego krajanu i siekania unikając, napisał: „*rozsył go w gwiazdki*.”

Scena pożegnania podobna zupełnie do sceny w ogrodzie: żadnych większych zarzutów, brak tego uroku jaki jest w oryginale, i parę drobnych usterków, jak na przykład, że Julia nazywa Romea „*miłutkim*,” albo że mówi „*słowik to a nie skowronek się zrywa*,” kiedy mogła była powiedzieć „*śpiewa*,” albo że Romeo obiecuje iż kiedyś

„wszystkie cierpienia nasze *kwiatem tkaną*
kanwą do słodkich rozmów nam się staną.“

W akcie czwartym i w piątym nie mielibyśmy nic do zarzucenia, owszem wiele do pochwalenia, gdyby nie jedna rzecz, jedna ale nieszczęściem bardzo rażąca, i to jak na finał, na bukiet fajerwerku, w najostatniejszym słowie Julii. Kiedy przebudzona dowiaduje się co zaszło, kiedy słyszy głosy i kroki i chcąc uprzedzić przyjście ludzi, chwyta za sztylet otrutego Romea, Julia mówi:

„Idą; czas kończyć! Zbawczy puginale

„Tu twoja pochwa. (przebija się).

Tkwij w tym *futerał*!!

W oryginale wprawdzie pochwa jest. Julia mówi dosłownie: „Szczęsny (w znaczeniu błogosławiony) sztylcie, tu twoja pochwa — w niej „rdzewiej i daj mi umrzeć.“ Ale ten w przekładzie po pochwie jeszcze dodany *futerał* i to w najtragiczniejszej chwili, wygląda nie patetycznie ale komicznie. Wyobraźmy sobie aktorkę, która w najwyższym podniesieniu uczucia i w ostatnim tchnieniu piersi, ma wymówić słowo „*futerał*“ i tem słowem wywołać efekt tragiczny! Nieszczęśliwa Julia musi skonać wśród stłumionego śmiechu widzów, któremu albo sama musi wtórować albo się rozplakać z żalu, że jeden z najpiękniejszych efektów jej roli i jeszcze ostatni, zepsuto jej tym tonem tak niesłychanie fałszywym. Jest to może największy grzech uczynkowy tłumacza w tej sztuce. Grzech opuszczenia jest stalszy, trudniejszy do naprawienia i zapewne cięższy: jest nim ten brak poetycznego polotu, stylu, i wrażenia, o którym mówiliśmy wyżej. Nie jest to brak zupełny, ale tylko stopień nie dość wysoki. I dlatego, pomimo że nie jest takim jakby się pragnęło, przekład ten jest wy-

starczającym, jest dobrym. Nie brak w nim zaś scen i ustępów zupełnie i bardzo dobrych. Do najlepszych należy monolog Julii w czwartym akcie, który w tłumaczeniu pana Paszkowskiego wydaje nam się i bliższym oryginału i mniej wyszukany, naturalniejszym, a przez to poetyczniejszym, niżeli w sławnem tłumaczeniu Schlegla.

Dobranoc! Bóg wie, kiedy się zobaczymy,
Zimny dreszcz trwogi na wskrósź mię przejmuję,
I jakby mrozi we mnie ciepło życia.
Zawołam na nie, by ochłonać nieco:
Nianiu! I pocóż tu ona? Straszliwy
Ten czyn wymaga właśnie samotności.
Ha! pójdź flakonie!
Gdyby jednakże ten płyn nie skutkował?
Miałabym gwałtem z hrabią być złączona?
Nie, nie; ucieczka w tém: leż tu w odwodzie.

(Kładzie na stole sztylet).

A gdyby też to miała być trucizna,
Którą mi ksiądz ten zręcznie śmierć chce zadać,
By ująć zarzutu, że dał ślub kobiecie,
Którą już pierwej zaślubił z kim innym?
Toby być mogło; ale nie, tak nie jest,
Bo jego świętość jest wypróbowana,
I nawet myśli tej nie chcę przypuszczać.
Lecz gdybym w grobie się ocknęła pierwej,
Nim mię Romeo przyjdzie oswobodzić?
To byłoby okropnie!
Nie udusiłabym się wśród tych sklepień,
Gdzie nigdy zdrowe nie wnika powietrze,
I nie umarłabym wprzód, nim Romeo
Przyjdzie na pomoc? A choćbym i żyła,
Czyliżby straszny wpływ nocy i śmierci,
Którą dokoła będę otoczona,
Obok wrażenia, jakie sprawić musi
Samaż miejscowość tego sklepionego
Starożytnego lochu, w którym kości
Zmarłych mych przodków od lat niepamiętnych

Nagromadzone leżą; kędy świeżo
Złożony Tybalt gnije pod całunem;
I kędy nocą, o pewnych godzinach,
Duchy, jak mówią, odbywają schadzki;
Z kośćmi mych przodków? nie poszła się pieścić
Z trupem Tybalt? i w tem rozstrojeniu
Nie rozbiłażbym sobie rozpaczliwie
Głowy piszczelą którego z pradziadów,
Jak pałą? Patrzcie! patrzcie; zdaje mi się,
Że duch Tybalt widzę ścigający
Romea za to, że go wygnał z ciała.
Niestety! czyliżby prawdopodobnie
To wszystko, gdybym wcześniej się ocknęła —
A potem zapach trupi, krzyk podobny
Do tego, jaki wydaje ów korzeń
Ziela pokrzyku, gdy się go wyrzywa:
Krzyk wprawiający ludzi w obłąkanie, —
Czyliżby wszystko to, w razie ocknienia,
Nie pomieszało mi zmysłów? Czyliżbym
Po szalonemu nie igrała wtedy.
Stój! stój Tybalcie!

(Przytyka flakon do ust).

Do ciebie, mój luby,
Spełniam ten toast zbawienia lub zguby.

Następuje najdoskonalszy z dramatów Szekspira najmniejszerniej zbudowany, najbardziej wykończony, *Othello*. Jeżeli krytyka całego świata bije czołem przed niezrównanem stopniowaniem efektów tragicznych w *Królu Edypie* Sofoklesa, przed tem powolnem a tak naprężającym uwagę i uczucie odchyleniem zasłony ze strasznej tajemnicy, to hołd równy składać ona winna równej doskonałości w *Othellu*, temu stopniowemu wzrostowi zazdrości, od pierwszego ukąszenia żmii, od pierwszych podejrzeń rzuconych mu w duszę przez zdrajcę, przez cały ten zbieg przypadkowych okoliczności i ułożonych podstępów, aż do wściekłości, szału, i zbrodni. Nigdy Szekspir tak się nie ograniczył, nigdy się tak nie zamknął w jednej jasno określonej sytuacji, i nigdy też żadnej tak niero-

zwinął i nie wyczerpał: nigdy może nie wyprowadził na scenę tak mało ludzkich postaci, i nigdy też może tak ich nie wycieniował i nie wykończył. A jeżeli *Romea* z przykrością musieliśmy uważać za jeden ze słabszych przekładów pana Pałszkowskiego, to tym razem z głośnem uznaniem, i ze szczera radością spieszymy oznajmić, że to dzieło artystycznie od *Romea* niewątpliwie doskonalsze, przetłumaczył w sposób godny wielkiego wzoru, i znowu najlepiej może, najświetniej ze wszystkich jakie tłumaczył.

Są małe, drobne usterki, które wyliczamy tylko z obowiązku, przez sumienność za daleko może posuniętą. *Desdemona* mówi gdzieś (Akt I. scena III), że nie może zostać w Wenecyi „naksztalt

„wegetującej w pokoju monady,„ jak żeby była czytała Leibnitza, kiedy w oryginale mówi tylko że nie chce zostać w pokoju jak mól, kiedy *Othello* pójdzie na wojnę. Gdzieindziej znowu ktoś nazwany jest „*pupkę*,“ *Othello* „krwawym capem i bałwanem“ kiedy w oryginale *Emilia* nazywa go „*morderous coxcomb i fool*,“ co brzmi mniej trywialnie i rubasznie. Wreszcie, wolelibyśmy może żeby imię *Jago* odmienianem było po prostu, bez wtrącania *n*, ale przemawia za tem przykład *Hugonów*, *Ottonów*, i innych imion zakończonych na *o*, więc nie śmiemy się ze swoim życzeniem odzywać. Ważniejsze jest to, że w wielkiej scenie trzeciego aktu tłumacz znacznie łagodzi i obwija w bawełnę wyrażenia *Othella*, ale są one tak nieprzyzwoite, że choć lepiej było niezmieniać ich w przekładzie, to w przedstawieniu scenicznem zawsze musiały by być choć cokolwiek zmodyfikowane. Trudniej odgadnąć dla czego ustęp ten, w oryginale napisany prozą, tłumacz przerobił na wiersz. Ale cóż znaczą takie drobiazgi w porównaniu z tem że sztuka cała czyta się nie tylko gładko i dobrze, nie tylko nie utknie się nigdzie na niczem nieprzyjemnem, niesmacznem, rażącym, ale że od początku do końca, przez wszystkie a tak odmienne tak ciągle nowe tony uczucia, miłość, rzewność, szczęście, gorycz, żal, szal, wściekłość, litość, rozpacz, szyderstwo, cynizm, swobodna obojętność, jęk cierpiącego anioła i ryk doprowadzonego do wściekłości tygrysa, przez wszystko to tłumacz przechodzi zwyczajko i wtóruje poecie tak że niema między nimi rozstępu ani rozdźwięku, że

zawsze utrafi w ton potrzebny, wyda i utrzyma go w potrzebnej mierze namiętności, żalu, lub rzewności. Rozkosz to prawdziwa czytać te wspaniałe sceny Othella, to jego opowiadanie o początkach miłości z Desdemoną, albo ich spotkanie na Cyprze, albo te nieustające rozmowy z Jagiem, w których biedny murzyn brany jest na tortury, albo te skargi biednej Desdemony, która nie wie czego od niej chcą i dla czego ją dręczą, albo wreszcie scenę śmierci jej i jego, po polsku, a w dobrym, blizkim oryginału, polskim wierszu i stylu.

Nie wiemy doprawdy co wybrać żeby czytelnikowi dać wyobrażenie o zaletach tego przekładu. Mowa Othella, czy w pierwszych aktach kiedy pełnym, silnym a spokojnym tonem brzmi w niej prosta a wielka czułość męskiego serca, prawość i dzielność żołnierza, czy dalej kiedy się miota w torturach i konwulsjach namiętności, czy kiedy przez zazdrość i wściekłość odzywa się miłość; mowa Jaga czy kiedy szorstka i cyniczna czy złowroga a cicha jak syk węża; mowa Desdemony czy jeszcze spokojnej czy już nieszczęśliwej, czy umierającej — wszystko jest jak być powinno, wszystko się prosi o przytoczenie. Ale że wszystkiego przytoczyć nie podobna, więc choć niektóre przykłady. Oto opowiadanie Othella z trzeciej sceny pierwszego aktu.

Jej ojciec lubił mnie; często, bywało,
W dom mnie zapraszał, badał mnie o dzieje
Mojego życia w tych a w tych epokach;
O bitwy, szturmy, przebyte koleje.
Opowiadałem mu one, począwszy
Od lat chłopięcych, aż do owej chwili,
W której mi one kazał opowiadać;
Prawiłem mu o ciężkich moich przejściach,
Strasznych przygodach na morzu i lądzie;
Jakem to o włos ledwie się wydobył
Z śmiercią ziejących bresz; jak mnie wróg pojmał
I sprzedał w jassyr; jakem z tej niewoli
Wyswobodzony tułał się po świecie;
Przyczem zdarzało mi się wzmiakę czynić
O dzikich stepach, szerokich jaskiniach.
O rafach, skałach, niebotycznych górach,

O ludożercach i o samojedach,
 Co się żrą wzajem, albo też o ludziach,
 Co mają głowę niżej ramion. Rada
 Słuchała tego piękna Desdemona;
 Jeśli ją jaki domowy interes
 Znaglił do wyjścia, jak mogła najprędzej
 Wracła znowu i łakomem uchem
 Chwytała moje słowa. Co spostrzegłszy,
 Razu jednego, w stosowną godzinę,
 Doprowadziłem ją do wynurzenia
 Serdecznej prośby, abym jej opisał
 Cały ciąg mojej tułaczey pielgrzymki,
 Którą dotychczas słyszała częściowó
 I niedokładnie. Zgodziłem się na to
 I nieraz z oczu jej łzy wycisnąłem,
 Mówiąc o różnych żalosnych wypadkach
 Mojej młodości. Gdym skończył mą powieść,
 Obdarzyła mnie hojnie westchnieniami
 I rzekła: — dziwnie to brzmiało, w istocie,
 Nadzwyczaj dziwnie; lubo, dziwnie lubo —
 Że lepiej było jej tego nie słyszeć;
 A jednak, jednak chciałaby się była
 Urodzić takim mężczyzną, i czule
 Podziękowała mi i oświadczyła,
 Że jeżeli kiedy kto z moich przyjaciół
 Kochać ją będzie i pozyskać zechce,
 Niechby się tylko odemnie nauczył
 Tego opisu, a cel go nie minie.
 Taką skazówkę mając, przemówiłem.
 Ona mnie pokochała za przebyte
 Niebezpieczeństwa, a jam ją pokochał
 Za okazane nad niemi współczucie.
 Takichto zaklęć użyłem nie innych.
 Otóż i ona, niech sama zaświadczy.

Przywitanie na Cyprze:

O mój Otello!

OTELLO.

Zdumienie moje, żem cię tu już zastał.
 Równa się mojej radości. O, drogi

Zachwycający skarbie duszy mojej!
 Gdyby po każdej burzy miała taka
 Cisza nastawać, niech szaleją wichry,
 Póki uśpionej śmierci nie przebudzą;
 Niech się na góry fal pnie łódź wędrowna
 Aż po sam Olimp i w głąb' spada nazad
 Aż po kraj piekieł! Gdyby trzeba było
 Umrzeć natychmiast, skonanie w tej chwili
 Błogosławieństwem by mi się wydało,
 Bo rozkosz mojej duszy tak jest wielką,
 Że się obawiam, czy druga podobna
 We mgle przyszłości jest mi zachowaną.

DESDEMONA.

Niechże Bóg broni, aby nasza miłość
 I nasze szczęście nie miało się owszem
 Z liczbą dni zwiększać!

OTELLO.

Święte twe życzenie!

Nie mogę zmieścić mej radości w słowach;
 Oby w harmonii serc naszych nie zaszła
 Inna niezgodność jak obecnie.

A teraz ta scena kiedy Desdemona idzie spać:

DESDEMONA.

U mej matki była

Sługa: Barbara było jej na imie:
 Miała kochanka, a ten był okrutny,
 Bo ją porzucił. Śpiewywała sobie
 Piosnkę o wierzbie: była to pieśń stara,
 Ale stosowna do jej położenia.
 Zmarła nucąc ją. Pieśń ta dziś w wieczór
 Wciąż mi brzmi w uszach, i gwałt sobie czynię,
 Abym tak samo nie zwiesiła głowy
 I nie śpiewała jak biedna Barbara.
 Proszę cię, spiesz się.

EMILIA.

Mamże pani przynieść

Nocne ubranie?

DESDEMONA.

Nie, rozbierz mnie tylko.

Ten Ludowiko jest weale przystojny.

EMILIA.

Piękny mężczyzna.

DESDEMONA.

I miły w rozmowie.

EMILIA.

Znam pewną damę w Wenecyi, co chętnie

Bosoby poszła do Jerozolimy,

Za jedno tknienie jego wargi dolnej.

DESDEMONA (*śpiewa*).

Pod wierzbą płaczącą dziewczyna łzy roni,

I śpiewa: wierzbo! wierzbo!

W dół główkę spuściła, skroń wsparła na dłoni,

I śpiewa: wierzbo! wierzbo!

Zdrój mruczając opodał powtarza jej jękom;

O wierzbo! wierzbo! wierzbo!

Od łez jej gorących kamienie aż miękną;

— Złóż to na boku.

O wierzbo! wierzbo! wierzbo!

— Proszę cię, śpiesz się, on wkrótce powróci.

— Z gałązek ja wierzby splecę sobie wianek,

Nie gańcie mu tego, przyjmuję mój los.

— Nie, to przypada w innej strofie. Słyszysz,

Ktoś zakołatał do drzwi.

EMILIA.

To wiatr, pani.

DESDEMONA.

Nazwałam go zmiennym, a on mi rzekł: ach!

Płacz wierzbo! wierzbo! wierzbo!

Niejeden ci przecie zastąpi mnie gach.

Idź już, dobranoc. Coś mnie oczy swędzą:

Nie zapowiadaż to łez?

I wreszcie ostatnie słowa Otella:

Parę słów tylko. Oddałem Wenecyi

Pewne przysługi: są one wiadome;

Nie mówmy o tem. W doniesieniu, które
 O tych nieszczęsnych sprawach przeslesz, panie,
 Wystaw mię, proszę, takim, jakim jestem;
 Nie ujmij, ani nie dodaj niczego.

Przyjdzie ci przeto mówić o człowieku,
 Co nieroztropnie ale bardzo kochał:
 Co nie był skory do podejrzeń, ale
 Raz je powziąwszy, nie był siebie panem;
 Którego ręka na wzór indyjskiego
 Prostego Parji, odrzuciła perłę,
 Więcej niż całe jego plemie warta;
 Którego oczy dotąd zawsze suche,
 Ronią lzy teraz, jak arabskie drzewa
 Swój balsamiczny sok. Napisz to wszystko:
 A w końcu dodaj, że gdy raz w Alepo
 Zuchwały Turczyn bił Wenecyanina
 I bluźnił państwu waszemu, jam tego
 Psa rzezanego uchwycił za gardło
 I pierś mu przeszył — tak.

Król Lear, Macbeth, Hamlet, Koryolan i Juliusz Cezar
 są także tłómaczenia pana Paszkowskiego.

Nie chcemy za każdym razem wywodzić sporu o pismo-
 wnię, byłoby tego za wiele, nie możemy przecież nie wspo-
 mnieć choćby jednym słowem, że *król Lear* pisze się w tem
 wydaniu z polską: *Lir*. Czytelnik zna już nasze pod tym
 względem zdanie, wstrzymujemy się zatem od uwag: owszem
 przyznamy chętnie, że z dwojga złego wolimy już tego *Lira*
 przez krótkie *i*, aniżeli to *y*, przez które pan Koźmian w pierw-
 szym tomie swoich przekładów usiłował oddać brzmienie an-
 gielskiego *ea*, a któreto *y* ma w sobie ten błąd, że nie jest
 długie jak *ea*, a jest grube. *I* jest w wymawianiu krótkie,
 zatem nie dobre, ale przynajmniej nie jest w brzmieniu gru-
 be, zatem lepsze niż *y*, podobniejsze do angielskiego brzmie-
 nia *ea*.

Co się zaś tyczy rzeczy ważniejszej od nazwiska Leara,
 to jest jego przekładu, to w nim znaleźliśmy usterków więcej
 niż w *Othellu*, a mniej daleko niż w *Romeu*. Żeby je wska-
 zać po porządku, powiedzmy, że w pierwszym akcie scena

króla z trzema córkami, przekleństwo Kordelii, wygnanie Kenta, rozmowa Edmunda z ojcem i z bratem, mogłyby może być przetłómaczone piękniej, ale tak jak są, są dobrze i nie podlegają zarzutom, przynajmniej ważniejszym zarzutom. Dalej dopiero trafiają się miejsca, które ze względu na styl a czasem nawet na polszczyznę potrzebowałyby poprawy. Dla czego na przykład Goneril mówiąc o dziwacznych pomysłach i zachceniach starego ojca nazywa je „*funeberyami*“? Co znaczy to słowo, które nie jest ani polskiem, ani francuskim, ani niemieckim, ani angielskim, ani (jeżeli się nie mylimy) włoskiem? którego niektórzy prawda używają w mowie potocznej, ale które przez to uprawnionem się nie stało a niesmacznem być nie przestało? Gorzej zaś jest, że w ustępie już wysoko patetycznym i wymagającym stylu któryby mógł zrobić wrażenie poetyczne, Goneril się skarży, że rycerze z orszaku króla *bonują* sobie. Wyraz ten, jeżeli jest czemś w polskim języku, to jest czemś trywialnem, ale nie dosadnem i energicznem. Nie lubimy także tego *fidrygansa*, którym Kent nazywa Oswalda. Czy tłumacz pomyślawszy trochę, nie byłby mógł znaleźć wyrażenń innych, i bardziej polskich, i mających znaczenie powszechnie znane, a nie jakieś dowolnie w niektórych miejscach lub kółkach do nich przywiązane? Albo znowu dla czego Kent wypędzając Oswalda, mówi do niego „*allons, marsz*“, kiedy w oryginale żadnych słów nieangielskich nie ma? Król sam mówiąc poufale do swego Błazna, nazywa go „*sercem, duszą*“, nawet *rybeńką* (jak żeby był ojcem księcia Panie Kochanku), kiedy w oryginale jest tylko *lad* albo *boy*. Czy ów *sea monster*, do którego Lear przyrównywa swoją wyrodną córkę, był istotnie w myśli Szekspira *hipopotamem*, mniejsza o to. Ważniejszem wydaje nam się to, że przekleństwo rzucone na nią, nie ma w przekładzie tej straszliwej, przerażającej mocy, która dreszczem przejmuje w oryginale.

Słuchaj, naturo, ukochane bóstwo,
 Słuchaj wezwania mego! Odmień zamiar,
 Jeżeliś chciała potwór ten obdarzyć
 Imieniem matki! uczyn ją niepłodną!
 Zwarz w niej, wyjąków organa rodzajne!
 Niech jej zepsuta krew nie wyda nigdy

Dziecięcia, coby chlubę jej przyniosło!
 Jeśli zaś tak jest już postanowionem,
 Że jej udziałem ma być macierzyństwo,
 Niech jej płód będzie zlewkiem wszelkiej złości
 I dokuczliwem dla niej mąk narzędziem!
 Niechaj wyryje zmarszczki na jej czole,
 Wyciskanemi bezustanku łzami,
 Niech jej zbruzduje lica! za jej trudy,
 Za odebrane od niej dobrodziejstwa;
 Niech jej zapłaci śmiechem i pogardą.
 By mogła nczuć, o ile dotkliwiej,
 Niż ukąszenie zjadliwego gadu,
 Boli niewdzięczność dziecka! — Precz ztąd! precz ztąd!

Dwa ostatnie wiersze kończące ten akt:

„she that is a maid now and laughs at my departure“

„shall not be a maid long unless things be cut shorter“

opuszczone zupełnie z powodu, którego domyśleć się nie możemy. Z tym wyjątkiem rola Błazna i jego śpiewki i przypowieści, tak trudne do tłómaczenia, udały się dobrze. Jedna tylko po polsku brzmi wprawdzie ładnie, ale zbyt po polsku i odstępuje od oryginału.

Taka córka gorsza Turka
 Nabawiłaby mnie sznurka
 Pomimo mego kapturka,
 A więc błazen daje nurka.

Pan Koźmian jest nierównie wierniejszym kiedy pisze:

Liszka gdy się złapie która
 A i taka córa
 Będą wisieć, byłem sznura
 Dostał za mój czub z kaptura
 I tak błazen czmyha. Hura!

Dalej, w akcie drugim i w następnych także nic ważniejszego do zarzucenia, same usterki drobne, usterki w stylu, w wyrażeniach, drobne, bardzo łatwe do uniknięcia lub do poprawienia, ale w proporcji do swojej małości niezmiernie szkodliwe, bo brzmią źle dla polskiego ucha, obniżają ton i prze-

szkadzają poetycznemu wrażeniu. Że w jednym miejscu *taylor* przetłómaczone jest przez *szewc*, mniejsza o to, choć trudno zrozumieć dla czego ta zmiana. Ale kiedy Kent (którego scena z Oswaldem i zakucie w dyby przetłómaczone są zresztą doskonale), nazywa *anormalnym* stan rzeczy, na który patrzy, to gorsze, bo wyraz tak świeży i tak prozaiczny nie przystoi ani czasom, których koloryt w przybliżeniu przecież zachować należy, ani powadze, prostocie i wzniosłości tragedyi.

Scena Leara z córkami udała się ogółem dobrze, a niektóre jej ustępy są istotnie bardzo wymowne i energiczne, tylko znowu takie małe rzeczy rażą tem nieprzyjemniej, im chętniej i szczerzej podziwiałoby się ustęp. Naprzykład kiedy Lear zarzeka się, że nie wróci do córki, która się z nim źle obezsza, pyta z ironią czy ma do niej

„Pójść i z pokorą do niej się odezwać:

„Kochana córko! przyznaję, żem stary

„Starość nie radość.

Aż dotąd dobrze, ale ostatni wiersz psuje to dobre wrażenie:

„Na kolanach błagam

„Abyś mi dała karm, odzież i *schronę*“.

Dla czego ta karm, a zwłaszcza ta nigdy nigdzie niewidziana *ad hoc* wymyślona *schrona*? Czemu nie tłómaczyć wyrazami najprostszemi, najnaturalniejszymi, które zawsze są i znaczeniem najbliższe i tragedyi najgodniejsze? Nie dla rymu, bo go tu nie ma; nie dla liczby zgłosek lub brzmienia, bo inne wyrazy byłyby dały te same warunki wiersza. I gdyby tłómacz zamiast kuć nowe wyrazy, zrozumiałe prawda, ale nientarte i niezgrabne, był powiedział:

„Abyś mi dała dach, odzież i strawę“

byłby myśl oryginału oddał równie wiernie, a w lepszym, piękniejszym, polskim języku i stylu.

Ostatnie słowa Leara do córek są pięknie przetłómaczone:

O, nie rozumuj o ścisłej potrzebie.

Ostatni żebrak ma jeszcze w swej nędzy

Coś zbyt kownego. Nie dawaj nikomu
 Więcej, niż tego natura wymaga.
 Życie człowieka takie jak bydlęce,
 Tyś pani; strojnie chodzisz; czyż jedynie
 Dla tego strojnie chodzisz, że strój grzeje?
 Do utrzymania życia czyż potrzeba
 Tych strojów, które ciepła dać nie mogą?
 O, co się tyczy prawdziwej potrzeby,
 Bogowie, dajcie mi cierpliwość! tej ja
 Przed wszystkim innem potrzebuję. Patrzcie,
 Oto tu stoi biedny starzec, wiekiem
 I cierpieniami równie przygnieciony;
 Dwakroć nieszczęsny. Jeśli to wy serca
 Tych córek przeciw ojcu podniecacie,
 Nie chcecie, abym to łagodnie znosił,
 Słusznym zapalcie mię gniewem; nie dajcie
 Wodnistym kroplom, tej niewieściej broni,
 Mężkich lic moich kazić. Nie, potwory,
 Wywrę ja na was zemstę taką, taką,
 Że się świat cały — zrobię coś takiego,
 Że — nie wiem jeszcze co: będzie to jednak
 Coś okropnego, straszego. Myślicie,
 Że płakać będę, nie, nie będę płakał:
 Mam wprowadzić nadmiar powodów do płaczu,
 Ale to serce zdruzgoce się prędzej
 Na milionowe części, nim zapłacę.
 O, głupiec, bliski jestem oszalenia.

Ale wyżej cokolwiek *those wicked creatures*, przetłómaczone są przez „*tak szpetne monstra*“, ani wiernie, ani pięknie. A co ważniejsza, słowo jedno z najbardziej patetycznych i efektowych, jedno z miejsc klasycznych w Learze i w całym teatrze Szekspira, zatarte jest w tłumaczeniu, nie dość podkreślone, nie dość uwidocznione. Kiedy złe córki żałują królowi tego, co sobie na utrzymanie wyznaczył i wmawiają w niego, że nie potrzebuje stu rycerzy do swojej usługi, dość mu pięćdziesięciu, dwudziestu pięciu, dziesięciu, Lear odpowiada na to w najkrótszy, najwymowniejszy, rozzdzierający sposób, *I gave you all*. Odpowiedź ta zawierająca ogrom poró-

wnań, uwag i cierpień, żeby zrobiła całe wrażenie, jakie zrobić może, potrzebuje pryncisku na słowie *ja*, bo tylko przez to uwydatni się różnica między tem co zrobił ojciec dla dzieci, a co one zrobiły jemu. — Pan Koźmian pisze: „*Jam wam dał wszystko*“ i tylko w ten sposób miejsce to może być dobrze oddanem po polsku. — W przekładzie pana Paszkowskiego: „*Dalem wam wszystko*“, nie ma ani tego pryncisku ani tego wyraźnego porównania, nie zwraca uwagi, i trzeba dopiero szukać, przypominać sobie, do czego się te słowa odnoszą i co znaczą. — W ogóle do tych treściwych a brzemiennych myślą słów i uwag, do tych miejsc klasycznych, których w *Learze* jest kilka, tłumacz nie miał szczęśliwej ręki. — *Take physic pomp* jest przydłużone, osłabione przymiotnikiem, ale można się jeszcze zgodzić na to „*bierz lekarstwo królewski zbytku*“. Ale sławne *the thing itself*, co Niemcy tak wybornie oddają przez *das Ding an sich*, po polsku jakoś udać się nie chce. — Pan Koźmian zapewne najlepiej jeszcze wychodzi z tej trudności, kiedy pisze: „*Tyś jest istota sama*, choć ta *istota* ma pewien zakrój filozoficzny, definicyjny, którego należało może unikać. Ale pan Paszkowski naprzód i nie wiernie i nie najlepiej po polsku tłumaczy frazes poprzedni „*three of us are sophisticated*“, *my* trzech jesteśmy zamalgowani (!) *on* jest czystym metalem: a potem tę odrębną, samoistną refleksyą *thou art the thing itself*, opuszcza zupełnie, i tylko w następным zdaniu zachowuje jakiś jej ślad, kiedy *unaccommodated man* tłumaczy przez *człowiek właściwy niczem więcej nie jest, jak takim biednym nagiem zwierzęciem*. *I have one part in my heart that is sorry yet for thee*, co pan Koźmian oddaje zdaniem naszym niedostatecznie przez *mam cząstkę w sercu co cierpi nad tobą*, a pana Paszkowskiego bliższem jest oryginału, bo wyraźniej daje do zrozumienia, że w strzaskanem sercu króla jeszcze jedna tylko część pozostała cała.

Jeszcze mi cząstka serca pozostała

I ta boleje nad tobą.

choć i tu jeszcze czuć brak określenia *jedna*, które w tem miejscu bardzo jest potrzebne. Najgorzej wypadło sławne *every*

inch a king, które brzmi prawie komicznie „*król z tyłu i z przodu*“.

Akt trzeci, najtrudniejszy może ze wszystkich, i przez patetyczność posuniętą do najdalszych granic, i przez dziwaczne mowy Edgara udającego obłąkanie, i wreszcie przez smutne ironiczne a nie jasne przypowieści i śpiewki Błazna, ogółem wzięwszy przełożony jest bardzo dobrze. Wolelibyśmy zapewne żeby buda w której chroni się *biedny Tomek* nazwana była po prostu budą, a nie *schroną* lub *klétką*, żeby w śpiewce Błazna która w całości brzmi doskonale, *cod piece* nie było przetłómaczone przez *serce*, żeby *holy water* nie było się zamieniło w *jałowcówkę*, ale z małemi wyjątkami sceny te najwspanialsze z całego dramatu udały się tłumaczowi dobrze. Sądzymy że czytelnik rad będzie własnemi oczyma porównać różne przekłady polskie niektórych ustępów:

Oto na przykład początek drugiej sceny IIIgo aktu u pana Paszkowskiego:

KRÓL LIR.

Dmijcie wicherzyska, aż wam miechy pękną!
 Dmijcie, wściekajcie się! Plujcie powodzią
 Wy, katarakty, i wy, uragany,
 Aż zatopicie wieże po szczyt kopuł!
 Wy, siarką tehnące, jak myśl chyże błyski,
 Zwiastuny dęby druzgocących bełtów,
 Osmalcie biały mój włos! a ty, gromie
 Wszystkoniszczący, spłaszcz twardy krąg świata,
 Zgnieć wszelkie kształty przyrodzenia, zniwecz
 Wszelkie zarody niewdzięcznej ludzkości!

BŁAZEN.

O, wujaszku, jałowcówka we dworze lepsza niż deszczówka na dworze. Kochany wujaszku, wejdź do izby i proś córek o błogosławieństwo: jestto jedna z tych nocy, co ani nad mędrceem, ani nad głupcem nie mają litości.

KRÓL LIR.

Grzmijcie pioruny! lej dżdżu! pryskaj ogniu!
 Deszcz, wiatr, grom, ogień, to nie moje córki.

Ja was, żywioły, nie winię o srogość:
 Nie wam nie dałem, nie zwałem was dziećmi;
 Wy obowiązków względem mnie nie macie:
 Ciągnijcie dalej swe straszne igrzyska.
 Oto tu stoję, jako wasz niewolnik,
 Ja, starzec biedny, słaby i wzgardzony;
 A przecież wręcz was mienię służalcami,
 Bo pomagając dwom wyrodnym córkom
 Zastępy swoje z górnych sfer wiedzione,
 Zwracacie przeciw takiej jak ta głowie,
 Starej i siwej. O! o! to niegodnie!

Gdyby nie *wichrzyska*, nie *miechy*, i nie te cokolwiek niezrozumiałe „*zwiadstuny dęby druzgocących „beltów“*“, byłoby zupełnie pięknie.

A teraz to samo w przekładzie pana Koźmiana:

LYR.

Dmij aż pysk przewiesz, dmij, wściekaj się, wicherze!
 Wy trąby wodne, orkany pękajcie,
 Aż topiąc wieże pochłonicie szczyty!
 Wy, wy siarczyste, ręce jak myśl, ognie,
 Butne przesłańce dębołomnych gromów,
 Siwą mą głowę osmalcie! Ty groźny
 Piorunie, zwięzłą spłaszcz okragłość świata,
 Zniszcz kształty ziemi, rozmieć zaród wszelki,
 Z którego człowiek niewdzięczny powstaje!

BŁAZEN.

O wujku, święcona woda u drzwi suchego domku lepszą jest od tej deszczowej na dworze. Dobry wujku, wejdz, proś twych córek o błogosławieństwo. Oto noc co niema litości ani nad mądrym ani nad głupim.

LYR.

Grzmij co się zmieści! pluj ogniu! lej deszczu!
 Deszcz, wiatr, grom, ogień, nie są moje córki;
 Ja was, żywioły, nie skarzę o srogość,
 Ja wam państw nie dał, jam was nie zwał dziećmi,
 Mnieście nie winny nic. Więc straszną rozkosz
 Waszą wyrzycie, — tu stoję, wasz jeniec,

Nędzny, mdły, chory i wzgardzony starzec.
 Lecz was podłemi zwę posługaczami,
 Że z nienawiścią dwóch córek łączycie
 Wysoko-rodne walki, przeciw głowie
 Starej i siwej jak ta. To szkaradnie.

Dziwnie to powiedzieć, ale czy w tym jednym razie, w tym jedynym ustępie, Kefaliński nie miał jakiegoś szczęśliwego natchnienia, czy nie włożył w te słowa więcej rzewności, uczucia, smutku, siły, od późniejszych tłómaczów Leara:

LEAR.

Wyj, co siła! płyńcie, ognia z deszczem zdroje!
 Deszcz, wiatr, ogień i grom nie są córki moje:
 Was żywioły nie śmiem skarżyć o niewdzięczność,
 Kraju wam nie dałem, dziećmi was nie zwałem,
 Ni powinność macie słuchać mojej woli;
 Więc wyrzycie na mnie straszną roskosz swoją,
 Oto wasz niewolnik opuszczony stoję,
 Starzec pogardzony, chory i w niedoli: —
 Lecz podłemi sługi nazwać was wypadnie,
 Bo z córkami dwiema złemi będąc w zмовie,
 Broń zrodzoną w górze szlecie przeciw głowie
 Starej, białej, jak ta. — O! o! to szkaradnie!

W czwartej scenie tego samego aktu wytknęlibyśmy ten deszcz który Leara *przemacza*, bo przemoczyć jest słowo w znaczeniu i w formach dokonane a zatem w niedokonanych czasach używać się nie powinno: także *zbatwane morze*, i *bezstrzeszną biedę*, — scenę tę stanowczo wolimy o wiele w tłómaczeniu pana Koźmiana.

W czwartym akcie Goneril może zbyt trywialnie nazywa męża *capem*, ktoś inny dostaje przydomek *gnojka*, przebrany Edgar kiedy udaje wieśniaka może niepotrzebnie mówi z mazurem, może słowo *dyskretya* (kiedy otwiera list Gonerili do Edmunda) nie jest zupełnie właściwe w jego ustach, za świeże, ale wszystko to usterki drobne, a jedynym większym jaki zwrócił naszą uwagę jest w tym akcie ów wyżej wspomniany, złe

przetłómaczony, klassyczny *król od stóp do głów* (every inch a king).

Jedno tylko jeszcze przy tym akcie zapytanie do wszystkich nowszych tłumaczy Leara. Dla czego tłumaczą sami to co Edgar mówi patrząc niby ze skały na morze? Ustęp ten jest przełożony tak pięknie, że piękniej nikt go już nie przełoży, jest każdemu znany, bo każdy czytał i pamięta *Kordyana*. Przepisać zatem i przytoczyć Słowackiego, byłoby ze wszech miar dobrze: bo byłoby i słusznem uznaniem dla wielkiego poety a niezrównanego tłumacza, i korzyścią dla przekładów. Czytelnik bowiem pamiętając ten ustęp z Słowackiego, musi porównywać z nim tekst który właśnie czyta, i zawsze odbierze z niego wrażenie słabsze niż z tamtego.

W akcie ostatnim, oddając wszelką sprawiedliwość innym scenom, musimy zganić w ostatniej niektóre wyrażenia niesmaczne, jak naprzykład „*wszechprzemiany w nicłość*“ albo *ani zipnie*, to ostatnie zwłaszcza niestósowne w ustach ojca próbującego czy córka jeszcze oddycha: dalej to że wspomnienie Leara o wiernym słudze, o Błaźnie, (and my poor fool is hang'd) opuszczone jest zupełnie, a wreszcie, że ostatnie cztery wiersze tragedyi, które w oryginale mówi książę Albany, są i w znaczeniu cokolwiek zmienione, i włożone, nie możemy zgadnąć dla czego, w usta Edgara.

Od tego Leara wyższy jest znowu o wiele przekład Macbetha. Zbliżony nieco do przekładu Andrzej. Edw. Koźmiana. Pan Paszkowski także, nie odstępując od oryginału, nie zmieniając myśli, rozwija niekiedy jak jego poprzednik, zdanie zbyt ściśle i zbite, a tym sposobem, jeżeli przekład jego traci cokolwiek na dosłownej wierności, to zyskuje znowu na piękności wiersza, albo i na jasności okresu. Cały akt pierwszy naprzykład przetłómaczony jest pięknie, a niektóre jego ustępy, naprzykład pierwszy monolog Lady Macbeth, jej pierwsza rozmowa z mężem, i znowu ostatnia po przybyciu Duncana do zamku, zdaniem naszym byłyby doskonałe w całości, gdyby nie jeden dziwny błąd. Kiedy Macbeth utwierdzony przez żonę w zamiarze zabójstwa mówi jej, że powinna rodzić samych synów, objaśnia to zaraz powodem: „*thy undaunted mettle should compose nothing but males*. Dla czego w przekładzie myśl ta zmieniona jest w ten sposób, że nie żony niezlomna natura

ale męża hart odbijać się ma w płci potomstwa, tego nie umiemy zgadnąć, ale to widzimy wyraźnie że myśl jest zupełnie zmieniona i daleko mniej stósowna od oryginalnej, kiedy Macbeth mówi:

Rodź mi samych chłopców,
Bo mężstwa mego nieugięty kruszec
Nie niewieściego od dziś dnia nie spłodzi.“

Wielki monolog na początku drugiego aktu, przed zabójstwem wydaje nam się przetłómaczonym lepiej niż we wszystkich dotychczasowych przekładach.

Jestli to sztylet, co przed sobą widzę,
Z zwróconą ku mej dłoni rękojeścią?
Pójdź, niech cię ujmę! Nie mam cię, a jednak
Ciągłe cię widzę. Fatalne widziadło!
Nie jestżeś ty dla zmysłu dotykania,
Tylko dla zmysłu widzenia dostępnym?
Jestżeś sztyletem tylko wyobraźni?
Rozpalonego tylko mózgu tworem?
Widzę cię jednak tak samo wyraźnie,
Jako ten, który właśnie wydobywam.
Ty mi wskazujesz, jak przewodnik drogę,
Którą iść miałem; takiego też miałem
Użyć narzędzia. Albo mój wzrok błaznem
Jest w porównaniu z resztą moich zmysłów
Albo jest więcej wart niż wszystkie razem.
Ciągłe cię widzę, a na twojej klindze
I rękojeści znamiona krwi, których
Pierwej nie było. Niema ich w istocie:
Moja to krwawa myśl jawi je oczom.
Na całym teraz półobszarze świata
Natura zdaje się martwą i straszne
Marzenia szarpiań snu cichą zasłonę.
Terazto władza czarodziejska święci
Ofiary bladej Hekacie i dziki
Mord podniesiony z legowiska wyciem
Czujnego swego czatownika, wilka,
Którego odgłos jest dlań excytarzem,

Chyłkiem jak złodziej lub duch mknie do celu.

O, ty spokojna, niewzruszona w swoich
Posadach, ziemio, nie słysz moich kroków,

Aby kamienie nie wypowiedziały,
Gdzie idę, i nie zdradziły alarmem

Tej zgrozy, co ma nastąpić.

Ja się odgrażam, a on jeszcze żyje:

Żar czynu ziębią słów jałowe chryje.

(*Odgłos dzwonka słyszeć się daje*).

Dalej! czas nagli; już dzwonka wezwanie

Daje mi sygnał. Nie słysz go, Dunkanie:

Bo tego dzwonka melodya straszliwa,

Do nieba ciebie lub do piekła wzywa.

(*Wychodzi*).

Gdyby nie te *chryje* i ta „dzwonka melodya straszliwa“, a niewłaściwa, bo dzwon może wydawać dźwięk ale nie melodyą, byłoby to i bardzo wierne, i piękne jako styl i wiersz polski. U Andr. Edw. Koźmiana ustęp ten brzmi może dźwięczniej, łatwiej dałby się deklamować, ale nie jest ani tak energicznym ani tak blizkim oryginału.

Czyż to sztylet — co ku mej dłoni się obraca?

Pójdź, tu, niechaj cię schwyce. — Nadaremna praca,

Znikłeś przed ręką, jednak ścigam cię spojrzeniem,

Istotąś jest dla oka, a dla ręki cieniem. —

Lub tyś myśli sztyletem i łudzisz pozorem,

Tyś błędnym rozgorzałej wyobraźni tworem.

Jednak tak mi wyraźnie stajesz tu na oczy,

Jak ten który dobywam, który krew wytoczy.

Tam właśnie gdzie wskazuje, tam miałem pospieszyć.

I taką właśnie bronią serce jego przeszyć. —

Lub wzrok mój wszystkie razem zmysły moje zwodzi,

Albo je wszystkie razem swą siłą przechodzi,

Widzę cię — nawet w pierwszym nie widziane razie,

Teraz i krwi spostrzegam krople na żelazie. —

Lecz to tylko błąd zmysłów, to mara zwodnicza,

Narzuca ją przed oczy moja myśl zbrodnicza;

Teraz jakby umarłym zdaje się pół świata,
 Teraz hołd od czarownicy odbiera Hekata;
 Sny okropne spoczynek zakłócają ludzi,
 I teraz z wyschlą twarzą zabójca się budzi
 Na hasło stróża swego — w puszczy wilka wycie.
 Jak gwałciciel Tarkwiniusz tajemnie i skrycie,
 Tak i on ciemnej nocy otoczony mrokiem,
 Posuwa się ku zbrodni — jak duch cichym krokiem.
 Ziemio! Ty się stań głuchą i gdzie stąpie nogą,
 Nie słysz — nie przemów — nie zdradź którą pójde drogą —
 Niech kamienie, na których stopy moje stawię,
 Nie zdradzą mnie swym dźwiękiem w tej straszhliwej sprawie.
 Niech ich odgłos milczenia tego nie przerywa,
 Z którym dobrze się zgodzi ta czynność straszhliwa
 Lecz gdy grozę — on żyje. — Próżna mowa nasza
 Ozięblem technieniem zapal działania przygasza.

(Dzwon uderza.)

Spieszę więc i czyn zaraz spełniony zostanie.
 Dzwon mnie wzywa — ach ty go nie usłysz Dunkanie,
 Bo to twój dzwon żałobny, który woła ciebie,
 Byś zeszedł w ciemność piekieł albo zasiadł w niebie.

(Wychodzi).

Dalej zarzutów bardzo mało i zarzuty małej wagi. Wier-
 ności może zawiele tam, gdzie Banko mówi do Macduffa;
 „kochany Duffie,“ trzeba wiedzieć, że w oryginale stoi *dear*
Duff, żeby się to dziwnem nie wydawało, ale w oryginale tak
 jest, więc i w przekładzie być może, choć zdaniem naszym
 mogłoby nie być. Podczas uczty, kiedy Lady Macbeth napo-
 mina męża, żeby grzecznie bawił gości, on ją nazywa „*lubą*
mentorką“; dziwnie to zapewne, że tłumacz tak zdolny i wpra-
 wny nie czuł tych drobnych ale nieprzyjemnych usterków i nie
 poprawił ich; ale w porównaniu do zalet, do szczęśliwie prze-
 łożonej całości, są to usterki nieskończenie małe. Do świe-
 tniejszych zaś ustępów przekładu należy początek aktu czwar-
 tego, kilka wierszy Macbetha o śmierci żony i jego pojedynek
 z Macduffem.

A wielki Hamlet? Ten przynosi zaszczyt swemu tłómaczowi. Spierać się można nieraz, czy to lub owo miejsce nie byłoby się dało przetłómaczyć lepiej lub piękniej, ale częściej trzeba się z tłómaczem godzić i trzeba mu przyznać, że jeżeli pomylił się tu i owdzie w szczegółach, to całości zachował jej właściwy charakter. Pierwsza scena na szanłcach zamkowych, opowiadanie straży, zjawienie się ducha, mają już ten koloryt ponury, na którym zawisło w wielkiej części wrażenie. Raz wprowadzie ktoś pozwala sobie powiedzieć *Horac*, zamiast Horacy, Horacijo lub Horacijusz, ale mniejsza o to, kiedy ten Horac dobrze ducha zaklina, żeby powiedział, po co przychodzi.

Pierwszy monolog tak niezmiernie ważny, bo w nim Hamlet odsłania swoją duszę jak nigdy, i bez udania, bez ogródek, nawet bez ironii wypowiada, co ma na sercu, monolog nie najważniejszy może, ale najbardziej uczuciowy w całej roli, wytłómaczenie tej roli, przetłómaczony jest z całym staraniem i uszanowaniem, na jakie zasługiwał; tylko jedno sławne *frailty thy name is woman* należało oddać przez *płochosć* lub *zmiennosć*, jak pisze pan Ostrowski, raczej niż przez *słabość*.

W następnych scenach wytknęlibyśmy to jedno chyba że „*zgalareceni przerażeniem*“ (Horacy scena II) jest wprawdzie przetłómaczone dosłownie, ale nieładnie. Rozmowy Polonijusza z synem i z córką, jak w ogóle cała jego rola, bardzo dobre, a w scenie ostatniej pierwszego aktu, w zjawieniu ducha i w jego rozmowie z Hamletem, do zarzucenia jest tylko naprzód przymiotnik *kompletny*, kiedy można było użyć innego lepszego („nie masz w Danii nikczemuika, któryby nie był kompletnym ladaco“) — a powtóre że znane „*something rotten in Denmark*“ oddane jest i nie dosłownie i blade przez, „*jest coś chorobliwego w duńskim państwie*.“ I jedno jeszcze, kiedy Duch odzywa się z pod ziemi, Hamlet pyta towarzyszy: „*słyszycie tego kipra tam w piwnicy*.“ Wprawdzie poszukawszy dobrze, można znaleźć, że w handlach winnych człowiek, co ściąga wino do butelek, nazywany bywa kiprem, ale wolelibyśmy na tem miejscu coś zrozumialszego i wierniejszego. Szekspir mówi: „*fellow in the cellerage*,“ co Schlegel zupełnie oddaje przez „*Geselle im Keller*,“ bo *fellow* stoi tu

w znaczeniu towarzysza, koleżki, a nie człowieka. Pan Ostrowski nazywa go dość dowolnie gościem w ciemnicy; Kefaliński najbardziej zbliża się do oryginału, kiedy pisze: „*stłyszycie w lochu tego kamrata?*“

Akt drugi, tak pełen trudności w scenach udanego szaleństwa, wypadł bardzo dobrze, tylko w jego najpiękniejszej scenie, w monologu o Hekubie, jest parę wyrażeń bądź miejscowych, bądź zbyt specyficznie polskich, które psują nieco wrażenie. I tak zaraz na początku „*o what a rogue and peasant slave am I*, brzmi po polsku: o *jakiż ze mnie głąb, jaki ciemięga*. Ten *głąb* nie jest powszechnie zrozumiały ani używany, i ma chyba jakieś miejscowe dowolnie sobie nadane znaczenie. Dalej *John a dreams*, co w angielskim jest lub przynajmniej było za czasów Szekspira bardzo określone, powszechnie znam, indywidualne, jeżeli się można tak wyrazić, oddane jest przez polskiego *Maćka*, który jest i zanadto polski i zanadto ogólny. Pan Ostrowski lepiej podobno w tym razie postąpił, kiedy pomijając imię własne, oddał wiernie jego znaczenie i napisał „*ja gnuśny nędznik*“ Mniej także szczególnie jest pytanie:

„Cóżby

„Ten człowiek czynił gdyby miał podobny

„Mojemu powód i *bodziec do wrzenia*.“

Pomińmy rzeczy drobne, jak naprzykład to dosłownie prawda z angielskiego przetłumaczone „*pocukrzamy samego djabła*“ (*we do sugar over the devil himself*) (Polonijusz, akt III scena I) wierne, ale nie dobre, bo po polsku można *pocukrzyć*, ale nie można *pocukrzać*, a spieszymy do tego co ważniejsze.

Monolog *to be or not to be* jest niezmiernie wierny, prawie słowo w słowo, tylko na początku zamiast trzymać się oryginału i napisać *oto jest pytanie*, tłumacz mówi „*To wielkie pytanie*.“ Dlaczego ten dodatek? dlaczego zwłaszcza w tem, co stało się własnością powszechną, przysłowiem, zmieniać choćby o włos jeden, o jeden niedostrzeżony półtonik ten ton, jaki autor nadał swojej myśli? Nie tłumaczy tego żadna trudność, żadna potrzeba, żaden wzgląd na budowę wiersza, nic zgoła. Dziwna rzecz, dlaczego oba nasi tłumacze Hamleta

nie chcieli tych słów tak prostych oddać poprostu, dosłownie. Pan Ostrowski bowiem zmienia cały wiersz i pyta: „Czy żyć czy umrzeć? oto jest zadanie.“ Z tym wyjątkiem jednak oba przetłómaczyli monolog doskonale, pan Ostrowski może świetniej pod względem formy, ale i pan Paszkowski tak, że możemy tylko cieszyć się i podziwiać:

Być albo nie być, to wielkie pytanie.
 Jestli w istocie szlachetniejszą rzeczą
 Znosić pociski zawistnego losu,
 Czy też stawiawszy czoło morzu nędzy,
 Przez opór wybrnąć z niego? — Umrzeć, — zasnąć.
 I na tem koniec. — Gdybyśmy wiedzieli,
 Że raz zasnąwszy, zakończym na zawsze
 Boleści serca i owe tysiączne
 Właściwe naszej naturze wstrząśnienia,
 Kres taki byłby celem na tej ziemi
 Najpożądalszym. Umrzeć, — zasnąć. — Zasnąć!
 Może śnić! — w tem sęk cały; jakie bowiem
 W tym śnie śmiertelnym marzenia przyjąć mogą,
 Kiedy zrzucimy z siebie więzy ciała,
 To zastanawia nas: i toć to czyni
 Tak długowieczną niedolę; bo któżby
 Ścierpieł pogardę i zniewagi świata,
 Krzywdy ciemiezcy, obelgi dumnego,
 Lekceważonej miłości męczarnie,
 Odwłokę prawa, butę władz i owe
 Upokorzenia, które nieustannie
 Cichej zasługi stają się udziałem,
 Gdyby od tego kawałkiem żelaza
 Mógł się uwolnić? Któżby dźwigał ciężar
 Nudnego życia i pocił się pod nim,
 Gdyby obawa czegoś po za grobem,
 Obawa tego obcego nam kraju,
 Zkąd nikt nie wraca, nie wątlila woli,
 I nie kazała nam pędzić dni raczej
 W złem już wiadomem, niż uchodząc przed niem,
 Popadać w inne, którego nie znamy.
 Tak to rozważa czyni nas tehórzami;

Przedsięwzięcia hoża cera blednie
 Pod wpływem wahań i zamiary pełne
 Jędrności, zbite z wytkniętej kolei,
 Tracą nazwisko czynu. —

To samo zaś u pana Ostrowskiego brzmi:

Czy żyć, czy umrzeć; oto jest zadanie: —
 Co z dwójga jest wznioślejszem, czy wytrzymać
 Zawistnych losów ciosy lub zniewagi;
 Czy przeciw morzu cierpień się uzbroić,
 I siłą je pokonać? — Umrzeć, — zasnąć, —
 To jedno; — gdybyśmy, w tym śnie, rzucili
 Męczarnie serca, łzy, tysiączne troski,
 Przyrodni dział ludzkości, taki koniec
 Byłby dla nas najlepszym. Umrzeć; — zasnąć: —
 Zasnąwszy, może śnić! — tu myśl przepada;
 Bo gdybyśmy zdarli te śmiertelne więzy,
 Uśpionych w trumnie jakie sny zwiedzają?
 Kto wie, kto zgłębi! Ta zagadka groźna
 Nużące pasmo długich lat przeciąga:
 Bo któżby ścierpiął braci swych sromotę,
 Tyranów ucisk, możnych wzrok zelżywy,
 Miłości zdradę, ludzkich praw odwłokę,
 Urzędu pychę, i te wstępy jakie
 Zasluga cicha od nikczemnych znosi,
 Któżby wytrzymał, mówię, te katusze,
 *Gdyby mógł sam podpisać kwit zwolnienia
 Stalowym rylcem? któżby pod ohydny
 Ciężarem życia znoił się do końca,*
 Gdyby ten przestach czegoś po za grobem, --
 *Zamkniętej wiecznie strefy, bo z jej brzegów
 Nikt nie powrócił, nie krępował woli,*
 Nie zmuszał raczej trwać w obecnej męce,
 Niż chronić się do innej, nam nieznanej?
 Ta jedna trwoga w tchórze nas przerabia;
 *Bo zamiar zmienia swą pierwotną barwę,
 Gdy rozmyślania blade ją powlecze;*
 Bo przedsięwzięcie śmiałe i stanowcze,

Przed progiem tym swój prąd na wspak odwraca,
I traci nazwę czynu. —

Do najpiękniejszych ustępów przekładu należy scena Hamleta z Horacym, w akcie trzecim przed przedstawieniem teatralnem :

Nie myśl, że ci chcę pochlebiać.
Czegożbym mógł się spodziewać od ciebie,
Który nic nie masz, krom rzeźkości ducha,
Ku wyżywieniu się i ku okryciu?
Któżby pochlebiał biednym? Niechaj w cukrze
Smażony język liże głupią pychę,
Niech się zawiasy kolan uginają,
Tam, gdzie łaszenie się zdobywa korzyść.
Słuchaj: od chwili, kiedy dusza moja
Mogła być panią swojego wyboru
I ludzi jednych przenosić nad drugich,
Od owej chwili już cię ona sobie
Upodobala: boś ty, wiele cierpiąc,
Takim był zawsze, jakbyś nie nie cierpiał;
Boś ty fortunie zarówno był wdzięczny
Za jej umizgi i prześladowania;
A błogosławion, w kim krew z przekonaniem
Tak są zmieszane, iż on palcom losu
Nie służy za flet do wydania dźwięków,
Wedle kaprysu. O, daj mi człowieka,
Niebędnącego żądz swych niewolnikiem,
A w głębi mego serca go umieszczę.
W sercu samegoż serca, tak jak ciebie.

Dalej, z wyjątkiem niepewności, czy po pantominie na zapytanie Ofelii *co to było*, Hamlet dobrze odpowiada „*to był kultajski bigrs*“ (Schlegel mówi „spitzbübische Munkelley“ — Ostrowski pomija zupełnie niezrozumiałe angielskie *miching mallecho*), nie mamy nic do zarzucenia, owszem wiele do pochwalenia, przedewszystkiem zaś monolog króla. Obok niego postawilibyśmy śmiało scenę Hamleta z matką, gdyby nie to, że zbyt wiernie znowu przełożone jest pytanie:

what devil was—it

that thus has cozen'd you at hoodman-blind.

„Jakiż u licha bies przy ciuciubabce

„Tak cię oślepił?

Pan Ostrowski unika tej trywialnej i niezgrabnej „*ciuciubabki*“, a przecież myśl oddaje zupełnie, kiedy mówi:

„Jakież lichy

„Jak w grze dziecinnej wzrok ci zawiązało?

W akcie czwartym znajdujemy znowu znaczną niedokładność w monologu Hamleta (sc. IV). W oryginale jest:

„from this time forth

my thoughts be bloody or be nothing worth.“

(odtąd niech moje myśli będą krwawe albo nie będą nic warte). W przekładzie Hamlet mówi coś, co się może do niego lepiej stosuje, ale mówi co innego, i to jeszcze mówi dość niezrozumiale:

„bądź odtąd *dowodną*

O wolo moja, albo wzgardy godną“ —

dłaczego zamiast *krwawych myśli* mamy *wolę* i to jeszcze *dowodną*, i co znaczy wola dowodna? zrozumieć nie możemy.

Zato sceny Ofelii, jej śpiewki, opowiadanie o jej śmierci, są bardzo ładne, Oto próbka:

OFELIJA (*do króla*).

Oto koper dla was i orliki.

(*do królowej*)

Oto ruta: część jej wam daję, a część sobie zachowam; możemy ją nosić obie, tylko z pewną różnicą. Oto stokrótki. Radabym wam dać i fijołków, ale mi wszystkie ze śmiercią ojca powiędły. Mówią, że szczęśliwie skończył.

(*Śpiewa*)

Bo luby mój Jasio to mój skarb jedyny.

LAERTES.

Tęsknotę, smutek, boleść, piekło samo
Zamienia ona w wdzięk i lubość.

OFELIJA (*śpiewa*).

Czyliż on już nie powróci?

Czyliż on już nie powróci?

Nie, nie, on śpi w grobie:

Zaśnij i ty sobie.

Już on nigdy nie powróci.

Śnieżną była jego broda,

Włos na głowie cały mleczny:

Już po nim, już po nim,

Naprawdę łączy ronim.

Boże, daj mu pokój wieczny!

I wszystkim dobrym chrześcijanom! Będę się za was modliła. Bóg z wami!

I znowu nieszczęściem scenę tę bardzo ładnie przełożoną psuje dwa razy Laertes. Raz, kiedy widząc siostrę w obłąkaniu woła „*Solo łez* staw mi zmysł wzroku!“ Trzeba się dobrze namysleć zanim się zgadnie co znaczy to *Solo*. Gdyby *vocativus* od sól był używanym to gramatycznie musiałby brzmieć o *Soli*, a nie o *Solo*! że zaś używanym nie jest, i od czasu jak jest język polski, pewnie sól po raz pierwszy w tym przypadku figuruje, więc czytelnik musi sobie mózg suszyć zanim rozwiąże zagadkę. Oryginał nie był powodem tego niesmacznego zwrotu, bo gdyby tłumacz był się go wierniej trzymał, i *łzy słone* a nie sól położył w piątym przypadku, byłby tego całego niezgrabnego i niesmacznego zwrotu uniknął.

Drugi raz znowu Laertes psuje harmonią fałszywym tonem, kiedy widząc rozumną myśl płaczącą się w słowach obłąkanej mówi: *ten bezsens* więcej wart *niż sensowność*.”

U pana Ostrowskiego scena ta, choć mniej wierna bo cała przełożona wierszem (jak i cały Hamlet), jest bardzo ładna: ale chyba zakłęcie jakieś sprawia, że zawsze coś ją zepsuć musi. Pan Ostrowski psuje jednym z tych dodatków których sobie pozwala.

OFELIA (*śpiewa*).

Już nad skronią piasek ronią;

Panie duszy świeć!

W raj ulata z kwiatów wonią: —
 Leć mój gołąbku leć!

LAERTES.

Przy zdrowym zmyśle,
 Wymowniej byś nie mogła, jak tym jękiem,
 Do zemsty mię rozpalić.

OFELIA

Zaśpiewajcie,
 Już po nim, po nim, jemu też zadzwonim.
 Jak się to składa, wiersze, spiewy i kwiaty!
 Niecnota wójt, co panu córkę kradnie!

LAERTES.

To nic jest więcej warte niż świat cały.

OFELIA.

Mam tu rozmaryn, kwiat pamięci szczerej.
 Pamiętaj, luby: to są bratki smętne,
 Myśl o mnie, po mnie.

LAERTES.

Myśl w pamięci ginie:
 To znak ołędu.

OFELIA.

Koper, i orliki: —
 Dla pani ruta; dla mnie też gałązka:
 Niedzieli kwietniej różczką zwać ją mogę,
 I obie nosić — choć z odmienną taśmą. —
 Mam i stokrocie: lecz fiołków brakło;
 Gdy ojciec konał wszystkie mi powiedły. —
 Nabożnie skończył, tak mówiono w niebie, —
 Mój luby Jasiu, listki te dla ciebie. —

LAERTES.

Dziewicza miłość, żal i piekło same,
 W niej wszystko jest urokiem i pieszczotą.

OFELIA *śpiewa*.

On powróci, żale skróci,
 Jasio nigdy cię nie rzuci,
 Z nim cię czeka ślub;
 Nie, tęsknota życie skróci,
 Jasio nigdy nie powróci,
 Patrz, tam jego grób!

Skroń zgrzybiała jak śnieg biała,
 Broda z wiekiem posiwiała;
 Próżny śpiew i płacz:
 Boże, Boże, tobie chwała,
 Ciało ziemia pochowała,
 Duszę przyjąć racz!
 Za dusze w czyszczu, Ojczy nasz. Bóg z wami!

Aż dotąd bardzo ładnie. Ale tu wydało się tłumaczowi że trzeba przypomnieć lub objaśnić powód tego szaleństwa. Wyobraża więc sobie i każe nam wierzyć że scena ta odbywa się w tym samym pokoju, w którym zabity był Poloniusz. Ofelia to poznaje przypomina sobie, i przechodząc koło framugi w której on stał ukryty, mówi „*To tu.... mój ojciec.*“

Że człowiek zdolny tak pięknie Szekspira tłumaczyć, zdolnym był zarazem uzupełniać go własnymi wymysłami, i wyobrażać sobie, że przez taki dodatek Ofelia stanie się rzewniejszą, bardziej wzruszającą, to jest równie trudne do pojęcia jak do odżałowania.

Ale żeby wrócić do przekładu pana Paszkowskiego powiedzmy na zakończenie, że scena grabarzy w akcie piątym doskonale oddaje i ogólny charakter i różne poszczególne zwroty oryginału:

PIERWSZY GRABARZ.

Trafieś w sedno. Ale tem gorzej dla panów dygnitarzy, że większą na tym świecie mają zachętę do topienia się i wieszania, niż ich współbracia w Chrystusie. Podaj mi rydel. Nie ma dawniejszych dygnitarzy, jak ogrodnicy, górnicy i grabarze, bo oni idą w prostej linii od ojca Adama.

DRUGI GRABARZ.

Czy Adam był dygnitarzem?

PIERWSZY GRABARZ.

A jakże? On pierwszy przecie krzyż nosił.

DRUGI GRABARZ.

Ejże, ejże! nie nosił żadnego.

PIERWSZY GRABARZ.

Czyś Waśc poganin? Także pismo rozumiesz? Pismo powiada, że Adam ziemię kopał: kopiąc, musił się schylać, a

jakżeby się mógł schylić, nie mając krzyża? Zadam ci jeszcze jedno pytanie; a jeżeli mi sprytnie nie odpowiesz; to cię nazwę.

DRUGI GRABARZ.

No, no.

PIERWSZY GRABARZ.

Co to za rzemieślnik, co trwalej buduje niż murarz, cieśla i majster okrętowy?

DRUGI GRABARZ.

Szubienicznik, bo jego budowla przetrzyma tysiąc lokatorów.

PIERWSZY GRABARZ.

Podoba mi się twój dowcip. W istocie, szubienica wyświadcza przysługi; ale komu? oto tym, co się źle zasługują: a ponieważ ty źle zasługujesz się Bogu, twierdząc, że szubienica jest trwalszą niż kościół, powinna ci więc szubienica wyświadczyć swoją przysługę. Ale wróćmy do rzeczy.

DRUGI GRABARZ.

Któż buduje trwalej niż murarz, cieśla i majster okrętowy?

PIERWSZY GRABARZ.

O to właśnie idzie.

DRUGI GRABARZ.

Zaraz ci powiem.

PIERWSZY GRABARZ.

Słucham.

DRUGI GRABARZ.

Do licha, nie mogę jakoś.

(Hamlet i Horacy ukazują się w pewnej odległości).

PIERWSZY GRABARZ.

Nie łam sobie już nad tem mózgownicy, osła batem nie popędzisz; a kiedy cię kto o to jeszcze raz zapyta, to mu powiedz: — grabarz. Domy jego roboty przetrwają do dnia sądu. Idź do szynkwasy i przynies mi półkwaterek gorzałki.

(Drugi grabarz wychodzi).

(Pierwszy grabarz kopie i śpiewa).

Za młodu, — o, gdyby ten wiek mógł powrócić!

Miłości mym były żywiołem;

Pokochoać, odkochoać, uściskać, porzucić,

To u mnie zwyczajnem szło kołem.

HAMLET.

Czy ten człowiek nie zna natury swego rzemiosła? Śpiewa przy kopaniu grobu.

HORACY.

Przyzwyczajenie wyrobiło w nim ten rodzaj swobody.

HAMLET.

Tak to bywa we wszystkim; im mniej się do czego ręką przykładą, tem delikatniejsze czucie.

(Pierwszy grabarz śpiewa).

Lecz starość nie radość, napadłszy znienacka,

Zwaliła mię swoim obuchem;

Znikł kuraż i rezon i mina junacka;

Ni śladu, żem kiedyś był zuchem.

Po raz pierwszy podobno zdarza nam się widzieć polski przekład Koriolana. Czy to może powód dla którego sztuka ta mało u nas jest znaną, czy też znana z oryginału i obcych tłumaczeń sama nie zwróciła na siebie uwagi, dość że dotąd nie wiele u nas było słychć o Koriolanie, i nikt go jakoś między wielkimi dziełami Szekspira nie wymienia. A przecież przy wszystkich swoich niedoskonałościach jest on jednym z tych, w których gieniusz poety objawił się w najdziwniejszych najbardziej zdumiewających kształtach i rozmiarach. Że budowa jest zła, jedne akty bez miary długie, inne bez proporcji krótkie, że akcja źle rozłożona, że cały koniec jest pisany jak żeby w pośpiechu i nie rozwinięty, że co ważniejsza, przejście od bohaterstwa do zdrady odbywa się w duszy Koriolana nagle i niewidzialnie, to wszystko prawda. Ale nie ma na świecie dramatu politycznych wypadków i namiętności, któryby temu był równy, niema nigdzie tak głębokiego pojęcia i tak żywego obrazu społecznych nienawiści, nigdzie arystokratyczna pycha nie jest pyszniejszą, nigdzie zazdrość (la passion éminemment démocratique jak mówi Guizot) nie jest zazdrośniejszą, nigdzie ich natura, ich walka, i sposoby waleczenia nie są tak schwythane na uczynku. Pojąć nawet nie można jak Szekspir, który w historyi swego czasu zjawisk takich nie widział, mógł tak na wylot znać ich naturę i ich formy, a nie

mogąc pojąć, trzeba tego Koriolana zaliczyć do najrzadszych w świecie i najświetniejszych intuicij gieniuszu.

Ale zobaczmy to co nas tu obchodzi, to jest przekład.

Sceny ludowe, tu nierównie ważniejsze niż w Cezarze na przykład, bo na nich głównie polega akcja, w nich w całej okazałości występuje i duma Koriolana i zawiesz Trybunów, przetłómaczone są z wielkiem życiem, z wielką naturalnością, z tą rubasznnością dosadną, z tym realizmem jaki jest w oryginalu, a z wyjątkiem niektórych wyrażen jak *głębie*, *gnojki*, *wyniki*, i t. p. które radzibyśmy widzieć odmienionemi nie na bardziej eleganckie ale na powszechniejsze i bardziej używane, czytają się z największą przyjemnością. Dowcip Meneniusza, taki ostry, cięty, a nieco rubaszny, wydaje się także doskonałe. Nawet trudna do oddania gra wyrazów w jego rozmowie z Trybunami (akt II sc. I). polegająca na znaczeniu słowa *ass* (osioł) szczęśliwie jest naśladowana przez użycie łacińskiego *asinus*: („do większej części waszych sylab wchodzi *as* i *nus*).“ Że zaś sceny poetyczne udają się tłumaczowi dobrze, niech dowiedzie jedna z najwspanialszych z całej sztuki, dziewiąta Igo aktu, ta która się odbywa pod bramami zdobytego Corioli, i w której Marcyusz dumny ale na próżność za wielki, szczęśliwy tem co dokonał, jest jeszcze nie tylko prawdziwym i czystym ale prawdziwie idealnym bohaterem:

KOMINIUSZ.

Gdybym ci zaczął opowiadać twoje
Dzisiejsze czyny, sambyś im, Marcyuszu,
Nie chciał dać wiary: ale zdam z nich sprawę
Tam, gdzie słuchając ich senatorowie
Łzy mieszać będą z uśmiechem radości,
Gdzie znakomici patrycyusze, milcząc,
Słuchać mnie będą, wzruszać ramionami,
Wreszcie podziwiać; gdzie kobiety będą
Drżec z przerażenia i w słodkim wzruszeniu
Z uwagą chwytać każde moje słowo;
Gdzie płytkogłowi trybunowie, współ
Z cuchnącą zgrają niesfornych plebejan,
Nienawidzący twej wyższości, będą
Zmuszeni mówić: — *Dziękujemy bogom,*

Że Rzym takiego ma żołnierza!

Aleś ty przyszedł na szczątki biesiady,

Sutą wprzód ucztę spożywwszy.

(Tytus Larcyzus wracając z pogoni za nieprzyjacielem, wchodzi z wojskiem swoim).

LARCYZUS.

O, wodzu!

Oto jest rumak: my tylko czapraki.

Gdybyś był widział!

MARCYZUS.

Przestań! moja matka

Posiadająca szczególny przywilej

Do wynoszenia zalet swego rodu,

Chwaląc mnie, przykróś mi sprawia. Zrobiłem

To, co wy, to jest, co mogłem: jednaki.

Mieliśmy bodziec, to jest myśl, że przez to

Służym ojczyźnie: kto wypełnił tylko

To, czego pragnał, ten w zasłudze stoi

Ze mną na równi.

KOMINIUSZ.

Nie będziesz ty grobem

Twych cnót: Rzym musi znać wartość swych dzieci.

Występkimby to było, i zaprawdę

Gorszym niż kradzież, gorszym niż oszczerstwo,

Kryć czyny twoje i przemilczeć o tem,

Co podniesione do szczytu uwielbień,

Skromnemby jeszcze się zdało: dla tego

Pozwolisz, abym (w celu okazania

Czem jesteś, nie zaś w dank za to, coś zdziałał),

Przemówił do cię przed obliczem wojska.

MARCYZUS.

Rany me, chociaż same przez się błahe,

Bolałyby mnie, gdybym o nich słyszał.

KOMINIUSZ.

Gdyby je raczej milczeniem pokryto,

Wtedyby słusznie mogły się rozgnoić

I zgangrenować; byłaby to bowiem

Niewdzięczność gorsza niż drażniący plaster.

Z wszystkich tych koni (którychśmy wzięli
 Niemalą ilość, i to dobrej rasy),
 Z wszystkich tych skarbów, których nam dostarczył
 Ich gród i obóz, wolno ci dziesiątą
 Część wziąć na własność: oddaję ją tobie
 Przed uczynieniem ogólnego działu,
 I zostawiamy ci wybór.

MARCYUSZ.

Dziękując,
 Wodzu! nie mogę jednak w żaden sposób
 Na sercu mojem wymóżyć przyzwolenia,
 Lżbym zapłatę przyjął za usługi
 Miecza mojego. Uchylam się przeto
 Od tej korzyści, i pragnę pozostać
 Na równej stopie z tymi, którzy byli
 Świadkami moich usiłowań.

*(Przeciągły odgłos trąb. Wszyscy wykrzykują: Marcyusz!
 Marcyusz! rzucają w górę czapki i włócznie. Kominiusz i
 Larcyusz stoją z odkrytymi głowami).*

Oby

Te instrumenta, które znieważacie,
 Nigdy już więcej nie zabrzmiąły! Kiedy
 Trąby i kotły na polu Bellony
 Mogą się zniżać do dworaczych pochlebstw,
 Dwory i miasta powinnyby w tysiąc
 Barw się przyodzierać. Kiedy się stał może
 Stawać tak miękką, jak jedwab gnuśnika,
 Niechże z niej szyją kołdry wojownikom!
 Przestańcie. Toż więc za to, żem jak baba
 Nie otarł nosa, gdy mi krew szła z niego;
 Żem kilku słabych powalił charłaków,
 Co i niejeden z obecnych tu zrobił,
 Chociaż nikt tego nie pamięta: za to
 Hyperboliczne odbieram oklaski;
 Jak gdybym lubił karmić moją małość
 Mdlą karmią pochwał zaprawionych kłamstwem.

KOMINIUSZ.

Za skromny jesteś, Marcyuszu: surowszy
 Dla swoich zasług, niż uprzejmy dla nas,
 Którzy cześć prawdzie oddajemy. Wybacz,
 Ale ponieważ sam chcesz krzywdzić siebie,
 Musim cię pierwej, (jak kogoś, co godzi
 Na własne zdrowie), ująć w pęta, zanim
 Będziem się mogli lepiej porozumieć. —
 Niech więc wiadomo będzie nam i światu,
 Że Kajus Marcyusz zasłużył w tej wojnie
 Na bohaterski wieniec; w dowód czego
 Daję mu mego dziarskiego rumaka,
 Wychowanego w obozach, z wszelkiemi
 Należącemi do niego przybory;
 Za to zaś, co pod Koryolami zdziałał,
 Niechaj nazwany będzie uroczyście,
 Wśród wiwatowych ogólnych okrzyków:
Kajem, Marcyuszem, Koryolanem. —
 Noś ten dodatek godnie aż do śmierci!
(Odgłos trąb i kotłów).

WSZYSCY.

Niech żyje Kajus Marcyusz Koryolanus!

KORYOLAN.

Idę twarz obmyć: zobaczycie potem,
 Czy mnie ta nazwa rumieni. Przyjmijcie
 Dzięki tymczasem.

Równie pięknie przełożone są sceny aktu drugiego, zwłaszcza ta w której Koriolan wzbrania się wyjść na Forum, opowiadać o swoich zasługach i prosić ludu o konsulat. W trzecim, kiedy burza wybucha, kiedy lud poduszczony przez Trybunów cofa głosy już Koriolanowi dane, kiedy on wpada w wściekłość i tem sam psuje swoją sprawę, w ogólności tłómacz był bardzo szczęśliwym. Tylko ostatnia a właśnie najświetniejsza część tego wybuchu, choć zarzucić jej nic nie można, jest słabsza i od oryginału i od innych ustępów przekładu.

Dlatego wzywam was, — którym przystoi
 Nie lękliwymi być lecz przezornymi,

Którzy podstawy egzystencyi państwa
 Bardziej kochacie, niż się domyślacie
 Jak mało braknie im, żeby runęły;
 Którzy szlachetny żywot przekładacie
 Nad długowieczny, i wolicie raczej
 Heroicznemi drjakwiami chore
 Przesadzić ciało, niż oddać je śmierci
 Na pewną pastwę, wyrwicie od razu
 Ten język paszczy pospólstwa, nie dajcie
 Im lizać miodu, który jest dlań jadem.
 Uszczerbek waszej powagi przynosi
 Uszczerbek zdrowej loice, odbiera
 Właściwą godność państwu, przyprawiając
 Je o niemożność świadczenia dobrodziejstw
 Wśród złego, które śmie je kontrolować.

Ta *logika*, ta *egzystencja*, to *kontrolowanie*, to wszystko dobre w stylu polemicznym. ale nie w ustach człowieka rozpalonego do najgorętszej namiętności, i najnamiętniejszej wymowy.

Wytknąć także trzeba małe słówko *w-orujem się*, które trzeba aż króską przedzielić żeby czytelnika naprowadzić na domysł co ono znaczy. Ale to jedyne w tym akcie usterki. Mianowicie przepyszna scena z matką w której ona wyrzuca Koryolanowi hardość, a on się wkońcu poddaje i obiecuje lud przeprosić, ma wielką energią i robi w przekładzie wrażenie prawie takie jak w oryginale. Równie silne są i ostatnie słowa wychodzącego na wygnanie Koriolana.

KORYOLAN.

Podła, wrzaskliwa psiarnio, której technienie
 Jest dla mnie tem, czem wyziew zgniłych bagien;
 Której przychylność tyle u mnie warta,
 Ile pobliżkość ścierni niepogrzebionych,
 Zarażająca mi powietrze: ja to,
 Ja ci powiadam: precz odemnie! Zostań,
 Marnij tu w swoim niedołęztwie! Niech was
 Najmniejszy szelest wskrósł przejmując dreszczem!

Widok wiejących piór nieprzyjacielskich,
 Niechaj was w rozpacz wprawia! Używajcie
 Z całą swobodą władzy wypędzania
 Obrońców waszych, aż was wreszcie wasza
 Głupota, która nie widzi, nie czując,
 I niema nawet prostego instynktu
 Własnego dobra, odda w obce ręce,
 Które was w kluby wezmą, jako bydło,
 Nie wydobywszy miecza! Gardząc wami,
 Z wzgardą odwracam się od tego miasta.
 Jesteś gdzieindziej jeszcze świat!

Pożegnanie z matką i żoną, scena z Aufidyuszem (akt IV). Popłoch w Rzymie na wieść o ciągnących Wolskach, wreszcie prośba matki do syna tak wielka surowością i powagą, wszystko oddane jest dobrze, i ogółem wzięwszy *Koryolan* należy do najlepszych pana Paszkowskiego przekładów.

I *Cezar* dobry. Nie będziemy nużyć czytelnika marnem pytaniem i nader trudnem dochodzeniem: w którym przekładzie wygląda on lepiej, pana Paszkowskiego czy pana Pajgerta. Zdaje nam się że raz jeden, drugi raz drugi jest górą. Pierwszy akt naprzykład, a zwłaszcza ironia z jaką Kasyusz mówi o Cezarze, podoba nam się więcej u pana Pajgerta. Za to monolog Brutusa w akcie drugim, kiedy się stanowczo na stronę spisku przechyła, brzmi lepiej w tekście pana Paszkowskiego, z wyjątkiem jednego słowa *ukoloryzować*, które razi bardzo i niezupełnie wiernie oddaje myśl zawartą w słowach oryginału. Mowa Antoniusza może znowu przeważałaby szalę na stronę pana Pajgerta, gdyby akt czwarty, mianowicie kłótnia pomiędzy Kasyuszem i Brutusem, a po niej krótka rozmowa ze sługą Lucyuszem i zjawienie się ducha Cezara, nie dowodziły że pan Paszkowski nie był gorszym od swego współzawodnika tłumaczem. W ostatnim akcie tylko używa czasem złych wyrażań, jak naprzykład *junakierya*. Ale ogółem możemy się tylko cieszyć że mamy dwa dobre przekłady Cezara.

Gdybyśmy nawet nie widzieli i nie podziwiali szczerze w tłumaczeniach pana Ulricha wszystkich zalet którymi się odznaczają, to jeszcze w tłumaczu podziwialibyśmy najrzadszą z cnót, abnegacyą. Spędzić wiele lat życia nad Szekspirem,

cenić w nim oczywiście najwięcej to co najpiękniejsze, czuć że się to doskonale po polsku oddać jest zdolnym, a potem wystąpiwszy wreszcie przed czytającą publicznością pokazać jej swoją pracę i swoją zdolność nie na tem co świetne i zdumiewające, co daje najwięcej pola zdolności i najwięcej dać go może chwale, lecz przeciwnie poprzestać na tem co najmniej powabne i upodobane, to doprawdy poświęcenie, dla Szekspira, i dla literatury polskiej, która w ten sposób doszła przecie do Szekspira całego. Cobyśmy powiedzieli o młodej dziewczynie, która mając pierwszy raz pokazać się między ludźmi, włożyłaby sukienkę o której wiedziałyby doskonale, że w niej tak dobrze jak w innej wydać się nie może, dla tego że jakaś jej znajoma czy przyjaciółka ma suknię podobną do tej, którą ona włożyć miałyby ochotę, ale nie kładzie jej żeby nie szkodzić wrażeniu jakie tamta zrobić może? Powiedzielibyśmy że ta panienka musi mieć złote serce, i niezwykły rozum, że po takich rzeczach na pozór małych nieraz poznać można prawdziwą wyższość. A miłość własna autorska, literacka, nie jest podobno mniejszą od kobiecej, i tłumacz Szekspira, który mógłby się dać poznać w *Macbecie*, *Otellu* lub *Ryszardzie*, a występuje z *Henrykiem V*, *Periklesem* i *Andronicusem*, poświęca swoją miłość własną, efekt jakiby mógł zrobić, tak samo jak ta dziewczyna która z umysłu a wesoło, z dobrego serca i z dobrym humorem, włożyła brzydszą suknię zamiast ładniejszej. Robią nam wprawdzie nadzieję że pan Ulrich wyda niebawem osobno całego Szekspira w swoim tłumaczeniu: daj Boże: ale dziś nie możemy wstrzymać się od tego, żeby go choć trochę nie żałować, a nie podziwiać bardzo tego braku miłości własnej, i tego stopnia miłości rzeczy i celu, który sprawił że kolegom swoim ustąpił tego co w Szekspirze najświetniejsze, a dla siebie wziął to co słabsze, obojętniejsze i mniej czytane. W tomie pierwszym jego przekładu były wszystkie wzgardzone Henryki, w tym drugim znowu kto inny zebrał śmietankę, a w trzecim będzie podobnie.

Z wielkich tragedyj jedna tylko została dla pana Ulricha, to jest *Antoniusz i Kleopatra*. Nie przeczymy bynajmniej że w *Troilu* i *Kressydzie* albo w *Cymbelinie* znajdzie się wiele pięknych ustępów, które z przyjemnością tłumaczyć można: że w nienawiści, ironii, w mizantropii *Tymona* jest tyle siły, że

tłómacz ma sposobność popisać się ze swoim talentem. Ale coś z tego, kiedy chociażby najpiękniej przetłómaczył, nie zobaczy nigdy na scenie *Troilusa* ani *Tymona*, nie usłyszy swoich wierszy deklamowanych i robiących wrażenie na słuchaczach, co więcej, rzadko kiedy zobaczy *Tymona* lub *Troilusa* w ręku jakiego czytelnika: i za swoją pracę ma tylko jedną pociechę i nagrodę, to że bez niego nie byłoby całkowitego polskiego przekładu Szekspira. Nie jest to mało, ale nie każdy chciałby na tem poprzestać.

Czy nasi czytelnicy żądają szczegółowego rozbioru wszystkich przełożonych tragedij, i drobiazgowego wytykania wszystkich drobnych pomyłek? Sądźmy że nie, i że przytoczone dotąd wyjątki z przekładów wystarczą na to, żeby dać o nich dostateczne wyobrażenie. Wspomniawszy zatem krótko, że w *Tymonie* jak go pan Ulrich przełożył, jest wielka energia goryczy i szyderstwa, że w *Cymbelinie* z wdziękiem oddane są sceny Imogeny, że w *Kresydzie* znajdujemy zbyt polską, zbyt warszawską, *montową bułeczkę*, przejdziemy do *Antoniusza*. Tylko, jedna przedtem uwaga, oto, że u pana Ulricha jak u pana Paszkowskiego pragnęlibyśmy czasem słów równie dosadnych, równie grubiańskich, ale powszechniej używanych, mniej dowolnie ukutych. Na dowód przytaczamy kilka wierszy z *Tymona*, kiedy bohater oblewa wodą swoich gości:

TYMON.

Bodaj z was żaden, gębni przyjaciele,
Nigdy do lepszej nie zasiadł biesiady!
Naturą waszą dym i ciepła woda.
To pożegnanie Tymona ostatnie;
Umorusany pochlebstw waszych brudem,
Zmywa go teraz i na twarz wam pluska
Podłością waszą dymiące pomyje.

Antoniusz liczyć się może śmiało do sztuk najlepiej przełożonych z całego zbioru. Zdaje nam się że dla tej tragedji czytanie samo nigdy nie wystarczy, że nie tylko żaden przekład ale sam nawet tekst oryginalny całego wrażenia zrobić nie może. Żeby dobrze sobie zdać sprawę ze zmienności i z potęgi Kleopatry, trzebaby widzieć ją graną przez aktorkę

gienialną, któraby umiała połączyć i wyraźnie pokazać wszystko co w tej naturze jest, być razem żmiją, kameleonem, królewską lwicą, podłą suką, boginią, komedyantką, najpierwszą z królowych i ostatnią z zalotnic, syreną, kochanką, zwodnicą, a w tem wszystkim taką, że jej widok, jej ruch, jej chód, atmosfera która ją otacza, jak woń zabójczych równikowych kwiatów, zawraca głowę, upaja, usypia rozkosznie, i truje. Wyobrażenia sama nie wystarcza, potrzebaby koniecznie pomocy oczów: żeby zrozumieć prawdziwie trzeba by widzieć Kleopatę której z czytania, nawet oryginału, domyślamy się tylko.

Drugiej takiej postaci tego co sprowadzone do nieskończenie małych rozmiarów nazywa się w potocznej mowie kokietką, nie ma w całej literaturze świata. Tylko że w tem co w braku lepszego słowa nazwać musimy kokieteryą u niej jest gieniusz, jest wielkość, jest absolutny ideał tej rzeczy.

I Kleopatra, i Antoniusz, i wszystkie otaczające ich figury tak rozmaite a tak żywe i ciekawe, wydają się bardzo dobrze w tłumaczeniu pana Ulricha. Pan Ostrowski ma w swoim takie niepospolite piękności stylu i wiersza, że jego przekład jest zapewne świetniejszym. Ale też trzeba rozróżnić stanowisko i cel obu tych tłumaczy i pamiętać że każdy z nich chciał czego innego, a przeto miał przy tłumaczeniu inne warunki do zachowania. Pan Ostrowski wyjął z dzieł Szekspira tę sztukę, i powiedział sobie że ją przeleje w polski język i wiersz jak tylko zdoła najpiękniejszy. Udało mu się zupełnie, co chciał to zrobił jak już świetniej nie można. Ale tłumacząc z tą myślą, z tym przeważnym względem na piękność formy, on tłumaczy wiernie, ale nie może już trzymać się oryginału tak ściśle, jak ten kto o dokładność tekstu dba więcej niż o piękność formy. Dowodem może być choćby to jedno, że całą sztukę zarówno tłumaczy wierszem.

Zaś w przekładzie całkowitym jak ten który przed sobą mamy chodzi przedewszystkiem o to, żeby on był wierzytelnym autentycznym polskim tekstem Szekspira. I dla tego wszyscy trzej tłumacze mieli zupełną słuszność i robili doskonale, jeżeli zmuszeni wybierać i coś poświęcać, wybierali ścisłość, a poświęcali dźwięk wiersza, ozdobność i elegancją zwrotów. Z tego powodu, choć nie próbujemy przeczyć że *Antoniusz* pana Ostrowskiego jest świetniejszy, nie przestaniemy

wierzyć i dowodzić że przekład pana Ulricha nie jest od tamtego mniej dobry. On jest tylko w innych warunkach, z innemi wymaganiami przedsięwzięty. A że tym warunkom i wymaganiom piękności siły, kolorytu, czyni zadosyć w mierze bardzo jeszcze szerokiej, o tem przekonać mogą każdego następujące wyjątki:

KLEOPATRA.

O, pieśni! pieśni! smutnego pokarmu dla zakochanych.

SŁUGA.

Wołajcie śpiewaka.

(*Wchodzi Mardyan*).

KLEOPATRA.

Nie — wolę teraz grać w bilard; chodź Charmian.

CHARMIAN.

Ręka mnie boli; graj raczej z Mardyanem.

KLEOPATRA.

Toć grać z rzezańcem to jak grać z kobietą.

Czy chcesz grać ze mną?

MARDYAN.

O ile potrafię.

KLEOPATRA.

Przy dobrej woli, mimo niedostatku.

O przebaczenie prosić może aktor.

Lecz to na później. — Przynieście mi wędkę;

Przy słabym dźwięku odległej muzyki

Szaro-płetwiste zwodzić będę ryby,

Lipkie ich szczęki haczykiem przeszywać,

Na łąd je ciągnąc wyobrażę sobie,

Że każda rybka moim jest Antonim,

Krzyknę z radością: złapałam cię przecie!

CHARMIAN.

Pamiętam radość, gdyście szli o zakład,

Kto z was na wędkę więcej ryb ułowi;

A więc twój nurek solonego śledzia

Przyczepił zręcznie do jego haczyka

On tryumfalnie na brzeg go wyciągnął.

KLEOPATRA.

Szczęśliwe czasy! Kiedym mu cierpliwość

Odjęła śmiechem, by ją w nocy śmiechem
Wrócić mu znowu, następnego rana;
Upojonego posłałam do łóżka,
Skrzyłam go w fałdach płaszczy mych i sukni
A przypasałam jego miecz z Filippi.

(*Wchodzi Posłaniec*).

Ha! z Włoch przybywasz? Siej błogie nowiny,
W mojem tak długi czas niepłodnem uchu!

POSŁANIEC.

O, Pani, Pani!

KLEOPATRA.

Co? Umarł Antoni?

Jeśli tak powiesz, panię twą zabiłeś.
Jeśli doniesiesz, że zdrow jest i wolny,
Zabierz to złoto. Widzisz na tej ręce
Niebieskie żyłki? możesz je całować,
A król ich żaden nie dotknął ustami,
Żeby nie zadrżał.

POSŁANIEC.

Dobrze mu się dzieje.

KLEOPATRA.

Weź to w dodatku — ale jest zwyczajem
Mówić o zmarłych; dobrze im się dzieje,
Jeśli twe słowa w takiej były myśli,
Wszystko to złoto każę w ogniu stopić
I wlać stopione w gardło twoje przekłete.

POSŁANIEC.

Słuchaj mnie, Pani.

KLEOPATRA.

Słucham, lecz w twojej twarzy

Złego coś czytam: bo jeśli Antoni
Zdrow jest i wolny, zkąd tak kwaśna mina,
Aby tak słodką przynieść mi wiadomość?
A jeśli chory, czemu nie przychodzisz,
Jak furye piekieł, z węzami na głowie?

POSŁANIEC.

Czyli mnie raczysz wysłuchać, królowo?

KLEOPATRA.

Mam bić cię chętkę, nim usta otworzysz.
 Lecz jeśli powiesz, że Antoni żyje,
 Że zdrow jest, że jest w przyjaźni z Cezarem,
 Za takie słowa deszcz złota, grad pereł
 Spuszczę na ciebie.

POSŁANIEC.

Zdrow jest.

KLEOPATRA.

Drogie słowa!

POSŁANIEC.

I żyje w dobrej z Cezarem przyjaźni.

KLEOPATRA.

Uczciwy z ciebie jak widzę, posłaniec.

POSŁANIEC.

Nigdy w tak dobrej nie żyli przyjaźni.

KLEOPATRA.

Na skarbach moich gruntuj twe bogactwo.

POSŁANIEC.

A jednak, Pani —

KLEOPATRA.

Brzydę się tem *jednak*,

To *jednak* szpeci cały wstęp twój piękny,
 To twoje *jednak* jest jak stróż więzienia,
 Co ma strasznego wprowadzić zbrodniarza.
 Mój przyjacielu, na raz wylej, proszę,
 Cały twój zapas złych i dobrych nowin.
 Mówisz, że żyje w przyjaźni z Cezarem,
 Zdrow jest i wolny.

POSŁANIEC.

Wolny? O, nie, Pani,

Tegom nie mówił; on jeńcem Oktawii.

KLEOPATRA.

Gdzie go zamknęła?

POSŁANIEC.

W małżeńskej komnacie.

KLEOPATRA.

Charmian, umieram!

POŚLANIEC.

Mężem jest Oktawii.

KLEOPATRA.

Niech wszystkie spadną na ciebie zarazy!

(Uderza go).

POŚLANIEC.

Pani, cierpliwość!

KLEOPATRA.

O, precz ztąd, nędzniku!

*(Uderza go znów).*Lub oczy twoje cisnę jak dwie gałki,
Wydrę ci włosy,*(Ciągnie go po scenie).*Każę zaknutować,
Albo w solonej na śmierć smażyć wodzie.

POŚLANIEC.

Małżeństwo, Pani, o którym donoszę,
Nie jam skojarzył.

KLEOPATRA.

Powiedz, że to kłamstwo,
A dam ci powiat mojego królestwa,
Fortuna twoja zbudzi ludzką zazdrość;
Przez wzgląd na razy, które otrzymałeś,
Przebaczę, żeś mnie do wściekłości przywiódł,
W dodatku nawet dam, czego zażadasz.

POŚLANIEC.

On żonę pojął.

KLEOPATRA.

Ha! zbyt długo żyłeś!

(Dobywa sztyletu).

POŚLANIEC.

Co robisz, Pani? Nie moja w tem wina.

(Wybiega).

CHARMIAN.

Miarkuj się, Pani, człowiek ten niewinny.

KLEOPATRA.

Nie raz niewinny zginął od pioruna.
 Cały mój Egipt niech w Nilu zatonie!
 W węże się zmieniają łagodne stworzenia!
 Lecz idź, przywołaj tego niewolnika;
 Choć jestem wściekła, kasać go nie będę.

albo scena kiedy Antoniusz uwiedziony wieścią o śmierci Kleopatry odbiera sobie życie:

ANTONIUSZ.

Czyli mnie jeszcze widzisz?

EROS.

Widzę, Panie.

ANTONIUSZ.

W obłokach nieraz widać obraz smoka,
 Lwa, lub niedźwiedzia, lub fortecznej baszty,
 Skały urwistej, rosochatej góry,
 Modrego, w drzewa strojnego przyładka,
 Które z wiatrami kołysać się zdają,
 Z ócz naszych szydzą powietrzną ułudą;
 Widziałeś pewno podobne zjawiska:
 Są to parady ciemnego Wespera.

EROS.

Widziałem, Panie.

ANTONIUSZ.

To co było koniem,
 Nim okiem mrugniesz, zamazała chmura,
 Zmieszala wszystko jak wodę wśród wody.

EROS.

To prawda.

ANTONIUSZ.

Eros, podobnem zjawiskiem
 Twój wódz jest dzisiaj; jeszcze jest Antonim,
 Lecz kształtu mego zachować nie mogę.
 Dla niej tę wojnę toczyłem jedynie,
 Liczyłem na to, że miałem jej serce.
 Bom dał jej moje; gdybym go był nie dał,
 Serc mógłbym innych miliony pozyskać,
 Którem dziś stracił; a ona z Cezarem

Przeciw mnie chytrze ułożyła karty,
I wrogom honor mój przeszachrowała.
Lecz nie płacz, Eros, sam sobie zostałem,
By koniec moim położyć boleściom.

(*Wchodzi Mardyan*).

Ha! niewolniku, twoja podła pani
Mój miecz mi skradła.

MARDYAN.

O, nie, Antoniuszu,
Moja cię pani kochała, i w jedno
Z twem przeznaczeniem splotła swoje losy.

ANTONIUSZ.

Milcz, podły kłamco, ona mnie zdradziła.
I umrze.

MARDYAN.

Człowiek raz tylko umiera:
Królowa moja dług ten już spłaciła
I już się stało, co pragnąłeś zrobić.
Ostatniem słowem jej było: Antoni!
Lecz krzyk boleści w gardle jej to słowo
Na pół przełamał, i tak pozostanie
Między jej sercem a między ustami,
W umarłym ciele jak w grobie zamknięte.

ANTONIUSZ.

A więc umarła?

MARDYAN.

Umarła.

ANTONIUSZ.

Mój sługo,
Rozbrój mnie, proszę; długiego dnia praca
Już się skończyła i czas już wypocząć.

(*Do Mardyana*).

Twoją fatygę dość płacę ci drogo
Kiedy żywemu wyjść ci ztąd pozwalam.
Precz ztąd.

(*Wychodzi Mardyan*).

Mój Eros, zdejm mi to żelazo;
Nawet Ajaksa tarcza siedmioskórna
Bić mego serca wstrzymałoby nie mogła.

Pęknił ma piersi! a ty, serce moje,
 Bądź raz silniejsze od twojej powłoki
 I słabe twoje rozedrzyj więzienie!
 O, śpiesz się! Już ja nie jestem żołnierzem,
 Żegnaj więc, moja zbrojo posiekana!
 Nie bez honoru długo cię nosiłem.
 Zostaw mnie chwilę.

(*Wychodzi Eros*).

Idę, Kleopatro,
 O przebaczenie ze łzami cię błagać.
 I tak być musi — zwlekać jest to cierpieć.
 Gdy zgasła lampa, czas się już położyć;
 Dziś wszelka praca marną tylko będzie,
 I wysilenie samo łamie siłę.
 Przyłożmy pieczęć — wszystko się skończyło.
 Eros! — królowo, idę. — Eros! — Czekaj!
 A ręka w ręce pośpieszymy razem
 Tam, gdzie na kwiatach spoczywają dusze;
 Widok nasz duchów ciekawość rozbudzi,
 Dydo się ujrzy sama z Eneaszem,
 Bo wszystkie cienie pogonią za nami.
 Eros, przybawaj!

(*Wchodzi Eros*).

EROS.

Co chcesz mi rozkazać?

ANTONIUSZ.

Eros, od czasu śmierci Kleopatry
 W ohydzie żyję, moją nikiemnością
 Bogi się brzydzą. Ja, co mieczem moim
 Świat mogłem kiedyś do woli ćwiertować,
 Com z mych okrętów na niebieskich falach.
 Budował miasta, ja się dziś oskarżam,
 Że nie mam mężstwa tyle co kobieta,
 Która z wznioślejszym odemnie umysłem
 Ginąc, naszemu rzekła Cezarowi:
 „Zwycięzcą moim sama tylko jestem.”
 Wszak mi przysiągłeś, że gdy przyjdzie chwila
 (A przyszła dzisiaj) w której się obaczę
 Na łup wydanym grozie i niesławie,

Śmierć mi na rozkaz bez wahania zadasz;
 Dotrzymaj słowa, bo czas ten już przyszedł,
 Nie mnie uderzysz — zwyciężysz Cezara.
 Nie błednij tylko.

EROS.

Uchowaj mnie Boże!
 Jażbym miał ręką mą dokonać, Panie,
 Czego nie mogły wszystkie Partów strzaly
 Choć wrogów twoich?

ANTONIUSZ.

Wolisz z okien Rzymu
 Z założonemi widzieć mnie rękami,
 Z głową ugiętą pod hańby ciężarem,
 I z twarzą wstydu rumieńcem oblana,
 Za tryumfalnym rydwanem Cezara?

EROS.

O, nigdy! nigdy!

ANTONIUSZ.

Dotrzymaj więc słowa:
 Tylko żelazo wyleczyć mnie zdoła.
 Dobądź więc z pochew wiernej szabli twojej,
 Którą ojczyźnie służyłeś uczciwie.

EROS.

Przebacz mi, Panie!

ANTONIUSZ.

Gdy ci wolność dałem,
 Czy nie przysiągłeś, że na pierwszy rozkaz
 Dokonasz tego? Więc zrób to natychmiast,
 Lub wszystkie twoje minione usługi
 Były jedynie przypadkiem bezwiednym.
 Dobądź i uderz.

EROS.

To wprzódzy odemnie
 Szlachetne odwróć oblicze, na którem
 Całego świata spoczywa majestat.

ANTONIUSZ.

Chętnie.

(*Odwraca się.*)

EROS.

Dobyty już miecz.

ANTONIUSZ.

Bez wahania

Dokonaj czynu.

EROS.

Pozwól, drogi Panie,

Dobry mój wodzu, mój imperatorze,

Niech cię pożegnam, nim cios zadam krwawy.

ANTONIUSZ.

Bądź zdrów! Lecz śpiesz się!

EROS.

Bądź zdrów, wielki wodzu!

Mamże uderzyć?

ANTONIUSZ.

Teraz.

EROS.

Niech tak będzie.

(Przebiją się).

To od wiecznego wyzwoli mnie smutku,

Żem mógł być sprawcą śmierci Antoniusza.

(Umiera).

ANTONIUSZ.

Trzykroć odemnie szlachetniejszy sługo,

Tyś mnie nauczył, co muszę sam zrobić,

Skoro dokonać tego ty nie mogłeś.

Eros, królowa, szlachetnym przykładem

Budzą w mych piersiach godności uczucie.

Więc będę śmierci młodym narzeczonym,

Jak do małżeńskiej pośpieszę komnaty.

Patrz, Eros, pan twój umiera twym uczniem;

Tyś mi pokazał, jak trzeba uderzyć.

(Dokończenie nastąpi). *)

St. Tarnowski.

*) W pierwszej części niniejszej pracy (patrz *Przeegl. Polsk.* wrzesień 1877), gdzie była mowa o napisanych lecz dotąd

drukiem nie ogłoszonych komentarzach hr. Kazimierza Stodnickiego do Szekspira, powiedziano mylnie jakoby jeden tylko rozdział tego dzieła, mianowicie o *Makbecie*, znanym był publiczności. Pomyłkę tę pośpieszamy sprostować. Oprócz *Makbeta* bowiem, wyszedł *Antoniusz i Kleopatra*, *Romeo i Julia* i *Otello*, wszystkie trzy w *Ruchu Literackim*, rok 1875, Nr. 17, 18, 19, 20, 21, 23 i 24, 43, 44, 45. Nadto w *Przeglądzie Lwowskim* rok 1875 poszyt 21, wyszedł tegoż autora rozbiór *Henryka VIII*, a po części *Wet za Wet*, w rozprawie pod tytułem: *Czy Szekspir był katolikiem*. Rozprawa zaś o *Powieści Zimowej* wyszła nie w roku 1875 ale już w 1873, (w *Przeglądzie Lwowskim*).
(Przypisek Autora.)

NASZE KSIĄŻKI SZKOLNE.

II.

Uwagi ogólne¹⁾.

Dziesięć lat już minęło od czasu jak w Galicyi zaprowadzono język polski w szkołach i urzędach, a przecież, sumie to powiedzieć, dotychczas nie mamy książek szkolnych polskich i ratujemy się przeważnie tłumaczeniami, które pod przybraną szatą polską, a często na pół tylko polską, przynoszą myśl obcą, zaciemniającą nieraz młode umysły, wykrzywającą pojęcia, jednym słowem mogącą zwichnąć wychowanie całego pokolenia.

Czem to się dzieje? czyja w tem wina? na to odpowiedzieć stanowczo trudno. Zaprzeczyć się nie da, że napisanie książki szkolnej nie należy do rzeczy łatwych i że wymaga obok znajomości dokładnej przedmiotu, o którym się pisze, także wykształcenia pedagogicznego i że z tego powodu, zda-

¹⁾ Patrz „Przegląd Polski“ z listopada b. r. Wzywamy ponownie uczonych pedagogów o nadsyłanie nam rozbiórów książek szkolnych. Sumienna ich ocena będzie z pożytkiem dla nauki, dla szkół i dla publiczności. (Przyp. Red.)

niem naszym, tylko nauczyciel szkół średnich jest w stanie napisać książkę dla młodzieży stosowną i pod względem dydaktycznym dobrą. Tymczasem nasz świat pedagogiczny jest jeszcze bardzo, bardzo młody, nauczycieli wykształconych teoretycznie i umiejących tę teorią zastosować w szkole niewiele, a co najważniejsza, zdolności pedagogiczne i dydaktyczne niezawsze chodzą w parze z wykształceniem nauczyciela umiejętnem. Można bardzo dobrze uczyć, a samemu nie być uczniem — i odwrotnie, można być wielce uczonym, a nie mieć pojęcia o nauczaniu.

Z tego to powodu łatwo pojąć, dlaczego u nas znajduje się niewiele takich, którzyby mogli napisać książkę szkolną, a i ci nawet, którym Opatrzność nie poskąpiła zdolności, a wytrwała praca pozwoliła wykształcić się pod względem umiejętnym i pedagogicznym, i ci czują wstręt niepowściągnięty do pisania książek szkolnych.

Przyczynę tego zjawiska, na pozór niedającego się wytłumaczyć, należy upatrywać już to w obojętności księgarzy, którzy z pewną, a przynajmy sami, uzasadnioną poniekąd obawą spoglądają na świat nauczycielski i niechętnie ryzykują kapitały na przedsięwzięcie mało obiecujące korzyści; już to w braku inicjatywy ze strony Rady szkolnej krajowej.

Instytucja ta, do której przed laty tak wielkie przywiązywano nadzieje, która miała być niejako dalszym ciągiem słynnej swojego czasu Komisji edukacyjnej, a przynajmniej opierając się na tradycjach epoki Stanisławowskiej, stworzyć nam o ile możności narodowe wychowanie, przedewszystkiem zaś dobre szkoły; instytucja ta po latach dziesięciu blisko swego istnienia nie postarała się o to, aby nasze szkoły średnie posiadały książki, odpowiadające i wymaganiom pedagogicznym i warunkom nauki. Dalecy jesteśmy od tego, aby ten ujemny rezultat dziesięcioletniego działania przypisywać wyłącznie Radzie szkolnej krajowej, owszem pojmujemy dobrze, że praca nad wychowaniem publicznem, rozpoczęta wśród takich warunków, jakie były wówczas, wielkie nastroczała trudności i że Rada szkolna musiała się na razie zadowolić jaką taką reorganizacją szkół, a dopiero potem myśleć o książkach. Jakie usiłowania poczyniono w tym kierunku? nie wiemy; to pewna jednak, że pominięto drogę najprostszą

i najlepszą, tj. drogę konkursów. Mógłby nam kto zarzucić, że literatura, nawet gałąź jej pedagogiczna, nie jest płodem sztucznym i na zawołanie stworzyć się nie da; ależ nie chodzi tu o arcydzieła, lecz o znośnie napisane książki szkolne, a na takie, sądząc po ruchu umysłowym w ostatnim lat dziesiątku, społeczeństwo nasze zdobyćby się mogło. Zresztą świeży przykład konkursów dramatycznych powinien być i dla Rady szkolnej wskazówką. Literatura dramatyczna stworzyć się nie da, tak mówiono u nas przed kilku laty; tymczasem znalazło się grono ludzi troskliwych o tę gałąź piśmiennictwa, ofiarność polska przyszła im w pomoc i skromnemi środkami sprawiono tyle, że na scenach naszych zaczęły się ukazywać sztuki nie złe, nawet wcale dobre, a przecież komedyopisarzy z powołania, dramaturgów par excellence nie mieliśmy przedtem. O ileż łatwiej więc dałoby się na tej drodze rozbudzić ruch na polu piśmiennictwa pedagogicznego. Kiedyśmy się z tem zdaniem dali słyszeć wobec osoby, znającej dokładnie stosunki Rady szkolnej kraj., odpowiedziano nam, że brak funduszków stosownych przeszkadza ogłoszeniu konkursów. Przekonywający ten na pozór argument nie jest jednak usprawiedliwieniem, bo przy skromnych nawet środkach dałoby się okroić z budżetu co roku jakie 500 złr. na nagrodę za najlepszą książkę szkolną, i w ten sposób mielibyśmy w ciągu lat 10 np. dziesięć książek oryginalnie napisanych, dziś nie mamy nawet połowy. Ale przypuściwszy, że Rada szkolna krajowa nie może ofiarować nawet tych 500 złr. z wyznaczonych sobie pieniędzy, to i w takim razie pozostają jeszcze dwie drogi, a każda z nich doprowadzi do celu: albo odwołać się do ofiarności ogółu i zebrać w ten sposób odpowiednią kwotę, nie na wydawnictwo ale na nagrody konkursowe; albo też polecić zdolniejszym i fachowo należycie wykształconym nauczycielom, aby w przeciągu pewnego czasu opracowali pewną ilość książek szkolnych. Że zaś praca w gimnazjum mało pozostawia wolnego czasu, wypadłoby więc wezwanym do takiej pracy poczynić pewne ulgi stosowne, co przy znacznej liczbie suplentów i aplikantów w szkołach średnich nie nastęrczałoby wielkich trudności. Ta ostatnia wskazana przez nas droga wydawałaby się nam o tyle odpowiedniejszą, że mogłaby rozbudzić ruch umysłowy pomiędzy nauczycielami szkół średnich i przyczynić

się pośrednio do podniesienia stanu nauczycielskiego. A są to względy zasługujące w wysokim stopniu na uwagę. Bo stan szkół zależy nie od niewolniczego a częstokroć bezdusznego wypełniania przepisów, ale od siły moralnej nauczycieli, od ich wykształcenia pedagogicznego i od zasobów wiedzy, jakimi rozporządzają. — Stawiają nam nieraz za wzór szkoły pruskie i nie bez pewnej słuszności, ale zapominają o tem, że doskonałość niezaprzeczona tych instytucyj polega głównie na nauczycielach, że nauczyciele ci opuszczając uniwersytet, nie zrywają z nauką, że pracują w raz obranym kierunku dalej i że władze wyższe pracę tę im ułatwiają, upatrując w tem słuszenie korzyść dla szkoły i nauki. Tak też a nie inaczej pojmował zadanie nauczycieli J. E. pan minister wyznań i oświaty, wydając owo rozporządzenie, obowiązujące szkoły średnie do wydawania programów. Nie chodziło mu przytem tak dalece o daty statystyczne, jak o to, aby nauczyciele zmuszeni byli niejako do pracy umysłowej, i ogłaszając w programach rozprawy naukowej treści, rozszerzali zakres wiedzy swojej i pracowali w ten sposób dla siebie i dla szkoły zarazem. A gdzie więcej przydałaby się taka zachęta jak nie u nas, gdzie nauczycieli pracujących naukowo policzyćby można na palcach, gdzie każdy prawie, co zdał egzamin, składa w kąt książki jako sprzęt niepotrzebny, a odpoczywając po trudach dotychczasowych, obojętnie i dla nauki i dla powołania swego. Czasby już był wielki pomyśleć nad jaką reformą w tym względzie, byle tylko ta reforma nie była reformą na papierze, byle nie zamykała się w ciasnych ramach rozporządzenia urzędowego, dającego się obejść, ale polegała na dokładnej znajomości stosunków i złe wyrwała z korzeniem.

Jednym ze środków podniesienia stanu nauczycielskiego pod względem moralnym byłyby także droga, którą wskazaliśmy powyżej. Rada szkolna polecając niektórym nauczycielom napisanie książek szkolnych, zachęcałaby tem samem innych do podobnej pracy, dowodziłaby czynem, że na umiejętnem wykształceniu nauczycieli wiele jej zależy, że wykształcenie to jest ważnym czynnikiem wychowania i że praca naukowa nie powinna się kończyć na egzaminie nauczycielskim. Niejeden nauczyciel, który dotychczas uważał zajęcie swoje za rzemio-

sło zwracałby pilniejszą uwagę na potrzeby uczniów powierzonych swej pieczy, pracowałby nad ułatwieniem im nauki, i kto wie czyby na podstawie zebranych doświadczeń nie spróbował ułożyć lepszej książki, widząc, że Rada szkolna pracy tego rodzaju nie odmawia zachęty i opieki. Nie na tem jednak koniec. Chcąc sumiennie i bezstronnie ocenić opracowane z polecenia Rady szkolnej kraj. książki, należałoby nadto jeszcze utworzyć komisję, już to z członków samejże Rady szkolnej złożoną, już to z profesorów lub dyrektorów znanych z wykształcenia pedagogicznego i prac naukowych w tym lub owym przedmiocie, i takiej komisji polecić pracę, że się tak wyrażę, redakcyjną. Komisja ta miałaby obowiązek zbadać wszechstronnie przedłożoną sobie pracę i w porozumieniu z autorem dodać lub ująć to, coby uważała za stosowne, jednym słowem przygotować książkę do druku i uczynić ją o ile możności odpowiadającą wymaganiom pedagogów i ludzi naukowych. Ileby zyskały na tem nasze szkoły, dziś obliczyć się nie da; to pewna jednak, żebyśmy w ten sposób położyli koniec nie-szczęsnemu prowizoryum w zakresie książek szkolnych, żebyśmy uciszyli słuszne nieraz skargi publiczności i młodzieży na brak książek i częste ich zmiany, żebyśmy nareszcie zdobyli sobie trwałą podstawę do skuteczniejszego działania w szkole. Nie ma bowiem trudniejszego zadania, jak uczyć przedmiotu jakiegokolwiek bez książki albo też na podstawie niedokładnego i niejasnego podręcznika. Przypuściwszy nawet, że nauczyciel jest na tyle uzdolnionym, aby brak książki żywym zastąpić wykładem, któż zaręczy, że uczniowie wykład ten zdołają zapamiętać i powtórzyć? któż może spuścić się na notatki uczniów, chociażby one były zapiskami stenograficznymi? A przytem jak rozległe pole dla krytyki otwiera się naszej publiczności, która o szkoły wprawdzie nie dba, o pedagogią się nie troszczy, nauczycieli lekceważy; ale niezmiernie skrzętnie kontroluje to, co się dzieje w szkole i po za szkołą, jak nauczyciel uczy, jakich używa wyrażeń, w jakiej restauracyi jada obiad, jakie jest jego pożyście domowe i t. d. Cóż dziwnego więc, że wobec tego zmysłu krytycznego, tkwiącego głęboko w usposobieniu naszego społeczeństwa, stanowisko nauczycieli wobec młodzieży jest nadzwyczaj utrudnionem; cóż dziwnego, że każdy uczeń, któremu się nie chce praco-

wać, składa winę złego postępu na niejasny wykład profesora, i znajduje natychmiast wiarę u swoich opiekunów; cóż dziwnego, że opiekunowie ci, niemający częstokroć pojęcia o przedmiocie, z notatkami syna, siostrzeńca lub brata w rękę krytykują surowo wrzekomy wykład nauczyciela wobec niedorośliwych młodzieniaszków, lekceważących sobie następnie szkołę i to eo do szkoły należy. Otóż temu wszystkiemu zapobiegłoby się poczęści wtedy, gdybyśmy mieli dobre książki szkolne i gdyby one obowiązywały tak ucznia jak i nauczyciela.

III.

O tłumaczeniach Historji austriackiej.

Takie uwagi nasunęły nam się w chwili, kiedy nas wezwano do ocenienia tłumaczeń Historji austriackiej i kiedy przeglądając te książki, rozważaliśmy w duchu, czy i o ile odpowiadają one wymaganiom pedagogicznym i naukowym. Rezultat naszych badań był przeważnie ujemny, jak to później się okaże; na wstępie jednak zdziwiło nas, że dopiero w roku 1877 ukazały się dwie książki traktujące o historji austriackiej, gdyż przed trzema laty już ogłosiło ministerjum oświaty rozporządzenie, które zapowiadało, że w roku 1877 rozpocznie się nauka historji austr. w klasie VIII. W jaki sposób stać się mogło, że uczniowie gimnazyalni w pierwszych dniach września b. r. ujrzeni się bez podręcznika hist. austr., wtedy gdy tej historji uczyć się trzeba było, nie wiemy. Dość że tak było i że brak książki wpłynąć musiał niekorzystnie na postęp młodzieży w tym przedmiocie. Nareszcie z początkiem września r. b. pojawiło się rozporządzenie Rady szkolnej krajowej, polecające w braku innej książki, „Rys ¹⁾ historyczno-

¹⁾ Dra Emanuela Hannaka Rys historyczno-statystyczny państwa austriackiego dla gimnazyów i szkół realnych. Z języka niemieckiego na polski przełożył Ludwik Sternal. Lwów, 1873.

statystyczny państwa austr. jako podręcznik, mający służyć przy nauce historii austr. Ponieważ zaś książka ta, a raczej polskie jej tłumaczenie jest wiekiem najstarsze i przez najwyższą instytucją szkolną polecone, od niego więc rozpoczniemy nasze uwagi.

Książka Hannaka obejmuje, jak to już widać z tytułu, historię i statystykę państwa austriackiego i jest więcej geografją niż historją, dla historii bowiem przeznaczono zaledwie stronice 50, podczas gdy statystyka zajmuje ich przeszło 80. Co na 25 kartkach da się powiedzieć o przedmiocie takim jak historia austr., pojmie łatwo każdy, kto tylko pobieżnie z dziejami krajów austriackich się obznajomił. Będzie to ni mniej ni więcej jak spis chronologiczny najważniejszych wypadków, połączonych kitem niezbędnych spójników i czasowników z sobą. Autor nie uczynił i tego, bo opowiedziawszy dzieje krajów austr. do r. 1522 na 48 stronicach, umieścił następnie krótki spis, nie najważniejszych wypadków, lecz tylko zmian terytoryalnych w Austrii, tłumacząc się w przedmowie tem, że odtąd historia austriacka łączy się ściśle z powszechną.

Na jakiej drodze autor doszedł do tego przekonania? nie wiemy; naszym zdaniem historia austriacka staje się właśnie od roku 1522 najbardziej austriacką i od tego czasu łącznie z dziejami powszechnemi traktować się nie da. Czyż np. ruch na polu religijnem w krajach austriackich w w. XVI nie jest ważnym czynnikiem w historii dzielnic habsburskich? czyż nie wypada wiedzieć o nim cokolwiek uczniowi opuszczającemu gimnazjum? albo jakim sposobem zdoła zrozumieć przyczyny wojny trzydziestoletniej, nie znając historii Węgier, Czech i rodziny habsburskiej z końca XVIgo i z początku XVII stulecia? A przecież o tem wszystkiem nie ma mowy w historii powszechnej, tak jak ją traktują w gimnazyach. O dziejach najnowszych Austrii nie myślał autor, kierując się zapewne zdaniem utartem niegdyś, że ani uczeń ani profesor gimnazjalny po za rok 1815 wyglądać nie powinni. Dziś, dzięki zmianom, jakie w ostatnim lat dziesiątku się wydarzyły, odstąpiono od tej zasady, i słusznie zupełnie wymagamy teraz od ucznia opuszczającego gimnazjum, aby sobie umiał zdać sprawę z konstytucyjnego rozwoju monarchii, chociaż naturalnie wiadomości te nie mogą być ani wyczerpujące, ani też

zbyt dokładne. — Otóż tego wszystkiego nie ma w książce Hannaka; a i okres do r. 1522 jest zanadto ogólnikowo i po-bieżnie opracowany. Nie wymagamy wcale, aby książka prze-znaczona do użytku młodzieży szkolnej była zbyt obszerną i w sposób zajmujący napisaną. Nauka ogółem, a szczególnie nauka elementarna — a takim musi być wykład historii w szko-łach średnich — nie da się traktować tak, aby uczniów mogła zabawić, pozostanie ona zawsze tem, czem jest, tj. mniej lub więcej mozolną pracą umysłową, a zasada, że młodzież wszyst-kiego, a więc i historii w szkole nauczyć się powinna, nie wyjdzie nigdy z zakresu mrzonek, boć prostem niepodobień-stwem jest, aby człowiek spamiętał odrazu cały łańcuch zda-rzeń powiązanych ogniwami przyczyn i skutków, aby spamiętał główne cechy charakteryzujące tę lub ową wybitną osobistość i aby to wszystko przechował przez czas dłuższy w umyśle.

Z tego to powodu wymagamy, aby podręczna Historia dla klas wyższych gimnazyalnych zawierała materiały gotowy, z któregoby uczeń zdolny i mniej uzdolniony z łatwością mógł korzystać. Że zaś nauka historii w gimnazjum polega nie na tem, aby uczeń zapamiętał sobie jak najwięcej dat, ale aby znał przyczyny i skutki zdarzeń, zapomocą tych przyczyn umiał wypadki powiązać z sobą i stworzyć sobie w ten spo-sób obraz jasny dziejów ludzkości, słowem aby się nauczył przy historii i nad historią myśleć — więc naszym zdaniem powinna mu pod tym względem książka być przewodniczką. Wprawdzie mógłby nam kto odpowiedzieć, że ułożenie zda-rzeń w systematyczną całość jest zadaniem wykładu; ale czyż można żądać, aby młodzież nie nawykła do myślenia, a przy-tem często miernemi tylko obdarzona zdolnościami, zdołała sobie na podstawie raz słyszanego opowiadania odtworzyć pó-źniej taki obraz wypadków, jaki przed jej wyobraźnią rozto-czył w żywym wykładzie nauczyciel? a przecież oceniając ogół uczniów, zwykliśmy i powinniśmy mierzyć ich zdolności miarą bardzo skromną. Naszym zdaniem przeto ma uczeń znaleźć w książce to wszystko, co mu może dać — a przyznajmy sami — niezawsze daje wykład profesora.

Otóż pod tym względem uważamy książkę Hannaka za zupełnie nieodpowiadającą wymaganiom dydaktycznym i pe-dagogicznym. Jest ona suchem zestawieniem faktów i do roz-

jaśnienia pojęć młodzieży niczem przyczynić się nie może. Gdyby tak pisano historią, jak ją pisze Dr Hannak, zaprawdę dziwiłby się nie trzeba obojętności uczniów dla tyle zajmującego i pouczającego przedmiotu.

Ale pominąwszy nawet zewnętrzną szatę historii Dra Hannaka, zauważyć trzeba, że i wartość jej umiejętna nie odpowiada wcale wymaganiom nauki.

Okaze się to najlepiej z przykładów. I tak na str. 19 twierdzi autor, że Władysław IV król węgierski nie cierpiał Kumanów, podczas gdy monarcha ten będąc synem Kumanki Elżbiety, przez dziesięć lat otaczał się Kumanami, był ich największym przyjacielem, i dopiero przy końcu rządów swoich musiał staczać z nimi krwawe walki. Trudno więc z tego wnosić, że król *nie cierpiał* Kumanów.

Na str. 29 opowiada znów Dr H., „że Leopold uważał za pierwszy obowiązek pomścić na mordercy śmierć ojca (Albrechta I). W skutek tego zawikłał się Fryderyk z Bawaryą w wojnę.“ Autor zapomina widocznie, że wojna z Bawaryą nie miała nic wspólnego z ową zemstą, której synowie Albrechta natychmiast po śmierci ojca (1308) dokonali i że bitwa pod Gamelsdorf została stoczona dopiero w r. 1313.

A cóż dopiero powiedzieć o takich usterkach, jak że Kazimierz W. sprowadził żydów do Polski (str. 33); albo też że Czesi Korybuta z Litwy królem obwołali (str. 38)?

Zdaje nam się, że jak na 48 stronice to i tego zawiele. Wartości oryginału odpowiada poniekąd godnie tłumaczenie, chociaż zauważyć trzeba, że nie należy ono jeszcze do najgorszych.

Pan Sternal nie zdołał się ustrzedz licznych germanizmów, które mogą się przyczynić do skażenia języka i tak nie najlepszego niestety u naszej młodzieży, a co najbardziej, zaciemnić myśl i utrudnić zrozumienie rzeczy. Tak np. nie wiemy, co to ma znaczyć, że Karol IV uczynił Pragę miastem *ładunkowem* (str. 36), albo: że Wacław II *za pomocą* żony swojej Ryxy otrzymał koronę polską (str. 34). Równie niepolskie są zwroty, których tłumacz używa bardzo często, jak: *z nim* wymarła linia męska.. (str. 35, 40), albo; synowie Władysława *przyszli do posiadania* Szląska (str. 21, 35).

Czasami wywołują te germanizmy humorystyczne wrażenie: na str. 10 dowiadujemy się, że w skutek zwycięstwa nad rzeką Lechem „*utworzono* dwóch nowych margrabiów: Marchwarda i Burcharda,“ później nieco (na str. 38) opowiada nam tłumacz: Po śmierci Żyszki trwały niepokoje ciągle *pod dowództwem* obu Prokopów. Wszystko to byłoby śmiesznem, gdyby się nie znajdowało w książce mającej służyć za podręcznik młodzieży szkolnej.

Z nazwiskami postępuje sobie tłumacz także dowolnie. Jedne z nich stara się spolszczyć gwałtem, chociaż nie wiemy dlaczego Adalbert I ma się nazywać koniecznie Wojciechem, kiedy Albrecht II, III, IV, V i VI zostają Albrechtami, inne znowu zostawia tak, jak były w szacie germańskiej i pisze: po bitwie *pod Lechfeldem* (str. 16), umarł *pod Wahlstattem* (str. 21), Ludwik nadał *Brandenburg* (str. 35) i t. d.

Czy książka z takimi usterkami i tak przetłumaczona powinna się znajdować w rękach młodzieży szkolnej?

W cztery lata po owem niefortunnnem tłumaczeniu pana Sternala, a więc w chwili kiedy nauka historii austr. w VIII klasie gimnazyów naszych miała się rozpocząć, wyszły dwie nowe publikacye w tym zakresie, niestety także dwa tłumaczenia dzieł niemieckich — jedno z nich ogłosił autor także w języku czeskim — z których każde w odmiennym napisane duchu, reprezentuje wybitny w literaturze historycznej kierunek. I nie dziw, autorem i wydawcą (Pölitz i Lorentz)¹⁾, pierwszego z nich jest Niemiec, drugie wyszło z pod pióra Czecha (Dra Tomka)²⁾, a narodowość autora i jego zapatrywania polityczne nie mogą być obojętne w dziele poświęconem historii austriackiej, szczególnieje jeżeli to dzieło ma być książką szkolną. Szeroko i długo rozpisywano się od dawien dawna

1) K. H. L. Pölitz. *Historia Austrii* z najnowszego wydania 1877 r., spolszczył z zastosowaniem do użytku szkolnego w Galicyi Józef Tretiak. Lwów, księgarnia polska, 1878.

2) Prof. W. W. Tomka *Dzieje monarchii austriacko-węgierskiej dla szkół średnich* przełożył i uzupełnił Michał Markiewicz. W Rzeszowie, nakładem i drukiem J. A. Pelara, 1877.

nad bezstronnością historycznych pisarzy, a mimo to bezstronność ta pozostała i pozostanie teorią, bo polegać ona może jedynie na zaparciu się indywidualności narodowej u autora, na zatarciu wszelkiej barwy politycznej w charakterze piszącego, co ani pożytecznem, ani też pożądanem być nie może. Pojmujemy to dobrze, że każdy historyk, zastanawiając się nad biegiem wydarzeń politycznych i nad pobudkami czynów ludzkich, winien je oceniać *sine ira et studio*; ale żeby się to miało dziać bez przymieszki tych przekonań i zapatrywań, któremi go od młodości karmiono, temu nie uwierzimy nigdy. A jeżeli gdzie, to właśnie w historii austr. odgrywa indywidualność autora niepoślednią rolę, bo byt polityczny Austrii polega na federacyi narodów wchodzących w skład monarchii, i nie można brać tego za złe, jeżeli Niemiec pojmuje cel i dążności Austro-Węgier inaczej niż Czech, Węgier lub Polak. Z tego to względu narodowość autora piszącego historię Austrii nie jest rzeczą obojętną, a podług naszego zdania powinien ją opracować dla szkół naszych Polak. Polacy bowiem, których nikt o brak lojalności w naszych czasach posądzić nie może, wyrobili sobie w skutek ciężkich przejść i zawodów pewne, z wielkością i potęgą monarchii zgodne pojęcia o posłannictwie Austrii dziejowem i o jej przyszłem powołaniu, a te zdobycze, kosztem krwawych doświadczeń poczynione, powinny przejść w młode pokolenie i przygotować je do obywatelskiego życia. Żeby temu zadaniu mogła odpowiedzieć zupełnie książka Pölitza lub Tomka, nie sądzimy.

Pierwsza z nich uwzględnia przeważnie rozwój krajów niemieckich, poświęca obszerny rozdział historii Austrii za czasów Babenbergów, zacieka się w drobnostkowych nieraz, a państwa austriackiego mało dotyczących badaniach nad dziejami posiadłości nadreńskich, słowem autor pisze dla Niemców i o Niemcach. Druga jest więcej wprowadzie słowiańską, ale też za to nawskróś czeską, bliższą nam może w pojęciach politycznych, ale zamało uwzględniającą życie innych narodów, wchodzących w skład monarchii austro-węgierskiej.

Zresztą wartość książki Pölitza polega nie tyle na umiejętnem opracowaniu tekstu, ile na przypiskach, w których autor i wydawca podali ku wygodzie czytelnika bogatą litera-

ture historyczną. Dziś wprawdzie, kiedy się ukazało dzieło Kronesa, przewyższające pod tym względem to, co Pölitz i Lorentz uczynili, straciła na znaczeniu książka przetłómaczona przez p. Tretiaka; każdy bowiem zajmujący się historią austriacką zajrzy prędzej do Kronesa, a podręcznika Lorentzowego używać chyba będzie dla przypomnienia sobie ważniejszych wydarzeń, chociaż i tu potrzebną jest wielka ostrożność ze względu na liczne myłki i uchybienia, których wydawca zaniedbał poprawić. Dla młodzieży gimnazyalnej są te względy obojętne, dla niej pozostaje tylko sam tekst, a ten zadowolnić nas nie może. Odpowiedniejszą z wielu powodów wydawałaby się nam historia Tomka. Autor traktuje dzieje Austrii ze stanowiska bardziej austriackiego, zwraca bowiem uwagę na życie polityczne wszystkich szczepów, zamieszkujących monarchią, a jakkolwiek najlepiej na tem wychodzą Czesi, to znalazło się miejsce i dla innych narodów, nie honorowe wprawdzie, ale uwzględniające jako tako ich byt polityczny i stanowisko dziejowe. Obok tych zalet nie brak jednak i stron ujemnych. Autor zbywa zaledwie krótko dzieje Austrii za Babenbergów, zajmują one w książce Tomka jedną kartkę, a nawet tak ważne chwile, jak wydanie przywileju *mniejszego*, w kilku zaledwie zamyka słowach, co uważamy za rzecz niesłuszną i szkodliwą. W innych miejscach znowu, jak np. opowiadając zatargi Ferdynanda I z Zapolyami, rozwodzi się Dr T. zbyt szeroko, opowiadanie jego staje się nużącym i zawiłem, wątek zdarzeń powikłany, słowem całość sprawia niesmaczne na czytelniku wrażenie, w uczeniu zaś musi budzić wstręt i niechęć do nauki, bo jasność wyrażenia się jest i pozostanie na zawsze najważniejszą zaletą książki szkolnej, jednym z najżywotniejszych czynników dydaktycznych. Od tych usterek stylistycznych, któreby w przyszłym wydaniu można poprawić, odbija korzystnie wartość książki umiejętna i pod tym względem bardzo mało mamy jej do zarzucenia. Przedewszystkiem nie zgadzalibyśmy się z autorem w ocenieniu Jerzego z Podiebradu i jego polityki wobec stolicy apostolskiej; dziś bowiem zdaje się nie ulegać już wątpliwości, że król Jerzy wstępując na tron czeski, przyrzekł papieżowi powrócić na łono Kościoła katolickiego i naród czeski z Kościołem pojednać, a przyrze-

czenie to stwierdził nawet przysięgą ¹⁾. Również niedokładnem i mylnem jest, jeżeli autor na str. 117 twierdzi, że „już po wybuchu zakonu w Czechach uznały stany węgierskie, zgromadzone w Preszburgu, arcyksięcia Ferdynanda królem,“ stało się to bowiem wcześniej, 16 maja 1618, a koronacya jedynie odwlekła się do 1 lipca.

Takie to są te dwie książki, na których przetłómaczenie zdobyliśmy się w roku bieżącym, obie pod względem naukowym dobre: pierwsza atoli nieodpowiadająca zupełnie, druga po części tylko naszym potrzebom. Inaczej ma się rzecz z tłómaczeniem, tu różnica jest jeszcze bardziej rażącą i przemawia stanowczo na niekorzyść p. Tretiaka.

Pomijamy już tę okoliczność, że tłómacz postępuje sobie dowolnie, że wyrzuca niektóre ustępy, jak na str. 184 i 219, a wtrąca takie, bez którychby się książka obeszła, jak na str. 157; ale jeżeli p. T. w tytule oświadcza, że dziełko Pölitza zastosował do użytku szkolnego, to wypadało w przedmowie uwydatnić dokładnie, w jaki sposób to uczynił, a już w każdym razie trzeba było poprawić błędy oryginału i nie nazywać np. Batorego Stefanem, kiedy mu na imię było Gabryel (str. 131), albo też powtarzać za Pölitzem w dobre wierze, że Ferdynand z *Solimanem* zawarł układ w Waradynie wielkim w r. 1538, podczas gdy załatwił on tam spór długoletni z Janem Zapolyą. Takich poprawek wymagała książka Pölitza wiele, jeżeli miała w szkołach naszych uzyskać prawo obywatelstwa. Wymagała ona nadto jeszcze czegoś więcej, mianowicie zaś polskiego stylu, a po polsku nie nazywa się *Reichstag*, *sejmem państwa* (str. 24), *Residenz des Landes*, *rezydencyą kraju* (str. 25), albo też *Erbschaftsstreit* sporem dziedzicznym (str. 128) i t. d. W języku polskim nie używa się zwrotów takich, jak: Z talentem i przezornością *prowadził* hrabia Turn dzieło uzbrojenia współwyznawców (str. 132), Panowanie Ferdynanda II tak w krajach austr. jak w państwie niemieckiem *sprowadziło* najważniejsze zmiany w ustawodawstwie (132), Kłeska pod Lutter a. Barenberge . . . spro-

¹⁾ Porówn. rozpr. *Bachmanna*: Ein Jahr böhm. Gesch., Georgs v. Podiebrad Wahl, Krönung und Anerkennung w 54 t. Arch. f. oest. Gesch. z r. 1876.

wadziła pokój (136), *Osoba* Leopolda budziła wszędzie w Niemczech ufność i nadzieję (180) — a niestety jest tego w książce przetłómaczonej przez p. T. wiele, bardzo wiele.

Nieskończenie lepszem jest tłumaczenie prof. Markiewicza, a jakkolwiek i tu napotykamy od czasu do czasu germanizmy, niemile uderzające ucho polskie, to są one i mniej liczne i bardziej dające się wytłómaczyć i nie gwałcące tak dalece kardynalnych zasad składni i szyku polskiego, jak uchybienia pp. Sternala i Tretiaka. Prof. Markiewicz nie trzymał się też niewolniczo oryginału, ale mając na uwadze potrzeby szkoły, starał się książkę Dra Tomka zastosować o ile możliwości do użytku młodzieży gimnazyalnej i poczynił poprawki, które podług naszego mniemania wartość książki podnoszą. Z tych też powodów uważalibyśmy tłumaczenie jego za najstósowniejszy podręcznik dla szkół gimnazjalnych, dokąd chwila szczęśliwsza nie obdarzy nas książką oryginalnie napisaną i odpowiadającą w zupełności wymaganiom nauki i szkoły.

Dr August Sokołowski.

Przegląd Literacki.

Rzym, jego kościoły i pomniki. Upominek pielgrzymom polskim, napisał X. Dr. Wincenty Smoczyński. Kraków 1877. W drukarni Czasu. Z planem miasta str. 477.

Pierwszy ten przewodnik po wiecznem mieście ukazał się bardzo na czasie przed samą pielgrzymką polską z dnia 6 czerwca b. r. Nie jest to tylko upominek dla pielgrzymów, lecz przewodnik po Rzymie, który zastąpić może używanie przewodników w obcych językach. Plan miasta jest wprawdzie niedostateczny i tym tylko służyć może, którzy ulice Rzymu dobrze znają, gdyż nazwiska ulic nie są na planie podane, lecz zaradzić temu łatwo, kupując sobie w Rzymie plan najnowszej edycji, co jest tem potrzebniejsze, że obecnie powstały i powstają ciągle nowe ulice przerzynające dawne uliczki. Brakuje także planu starożytnego Rzymu, chociaż opisowi dawnych świątyń, bram, termów, cyrków itd. poświęcił autor 84 stronic, i nawet wiele takich podał szczegółów, których nie ma w innych przewodnikach. Sprostować wypada pochodzenie nazwy pagórka Palatyńskiego. Przewodnik nasz pisze: „nazwa tej góry poszła od Palatium to jest domu Augusta tutaj zbudowanego i tak nazywanego.“ (str. 2). Zdawałoby się że ten pagórek przed Augustem inaczej się nazywał, lub żadnego nie miał nazwiska. Livius pisząc o początkach Rzymu, wspomina ciągle o Palatium, gdzie Romulus miał już świątynię wystawić i mówi (lib. I. c. V.) że nazwisko tego pagórka pochodzi od miasta Arkadyjskiego *Pallanteum* i góra była zwana naprzód *Pallantium* a następnie *Palatium*. Kiedy zaś Livius używa słowa *mons*, wtedy jako przymiotnik występuje *mons Palatinus*. Livius

używa jednak częściej słowa Palatium i tak pisze, że Romulus na Palatium był wychowany i Palatium obwarował. Resztki tych murów tufowych stanowiących dawną *Roma quadrata*, jeszcze pozostały. Tak więc nie nazwa góry od pałacu czyli domu Augusta, lecz słowo pałac pochodzi od pagórka, na którym mieszkać mieli najprzód Evander Faustulus i Romulus. Etymologia słowa pałac sięga aż do Arkadyi. Ze słów naszego przewodnika (str. 5) wnosićby można, że mury Serviusa Tulliusa i te, które postawił cesarz Aurelius, stoją na tem samym miejscu. Tak nie jest i dość spojrzeć na plan Rzymu starożytnego, aby widzieć, że te mury w żadnym się nawet punkcie nie stykały. Dzisiejsze mury na lewym brzegu Tybru, zaczęte przez cesarzy, restaurowane były przez Belizara i przez wielu papieży.

Autor z wielką starannością zbierał wszystkie pamiątki polskie, jednakowoż niektóre uszły jego uwagi i te chcemy dopełnić w nadziei, że oprócz naszych dopełnień znajdują się jeszcze inne, które uskuteczniają rodacy w Rzymie bawiący. Na str. 167 wspomina autor o Seminarium Rzymskiem Śgo Apollinarego, lecz mógłby był dodać, że znajduje się tam wspinała sala z portretami, między którymi są i portrety polskich Biskupów jak Sołtyka i innych, którzy w tym gmachu nauki pobierali. Mówiąc (str. 191) o uroczej kapliczce N. M. Panny zwanej *Madonna della Strada* mógł być dodać, że w niej przechowuje się ręka błog. Andrzeja Boboli i że w niej lubił się modlić Adam Mickiewicz i, jak opisuje O. Kajsiwicz w niej uczuł raz powołanie do stanu duchownego. Przy tej sposobności przypomnieć można słowa Mickiewicza, że Rzym dla każdego potrafi być drugą ojczyzną, że nikt nie czuje się tam obcym.

Moralisci naszych czasów zaczawszy od Stefana Witwickiego tyle już i słusznie napisali przeciwko tym, którzy bez potrzeby zagranicą siedzą i pieniądź polski zagranicą wydają, że zgadzając się z nimi zupełnie, dla jednego chyba Rzymu zrobilibyśmy wyjątek. Jednak oprócz kilkunastu księży, kilku artystów, kilku Polek, które są za Włochami, których rodziny są czysto włoskie, jedna jest tylko rodzina polska stale w Rzymie mieszkająca. Podróżujący na kilka lub kilkanaście dni się zatrzymują, bojąc się widać powagi świętego miasta, gdyż w innych miastach włoskich liczne rodziny polskie zimują, chociaż ich klimat nie jest lepszy niż rzymski. Zrobiwszy tę wycieczkę z kościoła XX. Jezuitów trudno nie dodać, że zakonników tam już nie ma, gdyż autor ignorując zupełnie wszystko co rząd włoski uczynił, zostawia czytelnika w złudzeniu, że wszystko jest na swoim miejscu jak dawniej za rządów papieskich. W ogromnym domu generalskim obok kościoła al Gesu, gdzie jest owa kapliczka z relikwiami Bł. Boboli,

znajduje się już tylko jeden braciszek, jako stróż pokojów św. Ignacego, o których nasz autor wspomina (str. 192), lecz zapomina dodać, że w nich św. Franciszek Borgiasz przyjmował Śgo Stanisława Kostkę.

Mówiąc o kościele N. P. Maryi *in Aquiro* dodaćby można, że znajduje się tam pomnik ś. p. Michaliny z Grochol-skich Orłowskiej, której ostatnie chwile opisał O. Kajsiewicz (Tom II). Na str. 272, pisząc o Bazyliankach założonych przez Matkę Makrynę Mieczysławską, mówi że niewiadomo co się stało ze zwłokami Makryny przy zburzeniu kościoła Bazylianek. Możemy tu dodać, że księżna Zofia z hr. Branickich Odescalchi zakupiła osobny grób na cmentarzu ogólnym dla Bazylianek polskich i tam jako ich dobrodziejka i opiekunka przenieść kazała zwłoki Matki Makryny.

Mówiąc o cmentarzu wspomina, że pochowany tam jest Stefan Witwicki, lecz poświęca mu tylko dwa słowa: zacna dusza, nie dodając, że to był poeta, autor tak wielce wpływowych „Wieczorów Pielgrzyma.“ Nie wiem dla czego utwory *Giotta i Fra Angelico* do bizantyjskich malowideł policzone zostały (stron. 396), gdy sala mieszcząca te obrazy w Watykanie w innych opisach nazywa się salą obrazów starożytnych.

W żadnym opisie Rzymu nie widzieliśmy nazwy pałacu Sobieskich, chociaż nad bramą są herby Polski i Litwy a w pośrodku Janina. Dom ten zowie się w Rzymie *casa Zuccari*, gdyż należał do tej rodziny malarzy; dom ten zwiedza się nawet z powodu fresków w nim się znajdujących, które odgrywają pewną rolę w historii odrodzenia się malarstwa niemieckiego. Konsul pruski Bartholdy zaprosił Overbecka, Korneliusa, Veita i Schadowa do wymalowania na początku bieżącego wieku historii Józefa Biblijnego.

Trafiają się czasem pomyłki raczej *lapsus calami* np. (str. 69), przy napisie Fryderyka syna Augusta III z r. 1728, kiedy ówczasie żył jeszcze August II. Jest to oczywista pomyłka i przy Kapitolu (str. 422) jest znowu mowa o pobycie tegoż królewicza i wtedy podana jest data prawdziwa tj. 1738. Niektóre omyłki poprawiono na końcu jak np. że prokuratorą Bazylianów polskich utworzono w r. 1822, co powinno być 1622. Niektóre jednak nie są poprawione np. że w Watykanie jest manuskrypt Dantego z XIgo wieku lub zamiast Aleksander VI położone jest Aleksander IV, którą to omyłkę za pomocą daty obok położonej łatwo jest sprostować. Podobnie jak nie ma mowy o wspaniałym grobie Bł. Jana Bergmansa z *lapis lazuli* i srebra w kościele Śgo Ignacego przed kilku laty wykończonym, tak też i nie ma wzmianki o odkryciu świątyni Mitry pod dolną bazyliką Śgo Klemensa obok izb tegoż Papieża. O bazylice tej trzechpiętrowej, na którą

składały się wszystkie epoki rzymskie, piszą ogromne tomy. Przełożony Dominikanów Irlandzkich ten kościół obsługujących, który opisał wszystkie skarby archeologiczne swojego kościoła, oprowadza cudzoziemców z wielkiem poświęceniem po tym kościele. Mielśmy szczęście uczestniczyć w takim oprowadzaniu Anglików, między którymi było dwóch uczonych pastorów anglikańskich. O. Przeor rozwijał całą gorliwość i uczoność, która przekonywała innowierców, że dogmata katolickie są tak stare jak Kościół. W kościele Śgo Ludwika nad drzwiami prowadzącymi z kościoła do zakrystyi jest pomnik królowej Maryi Kazimiry żony Sobieskiego. Popiersie z białego marmuru odznacza się szczególnie mistrzowskiem wykonaniem ogromnej peruki. Co do kościoła Śgo Stanisława i hospicium polskiego, dodamy, że pałacyk ten z kościołem w środku jest nader gustowny a tak wspaniałych orłów białych nigdzie już nie ma. Biedni pielgrzymi mający pasporta rosyjskie są tu zawsze przyjmowani i przez pierwsze ośm dni dostają po 1 franku na żywność. Mogą i dłużej pozostać lecz nic już nie dostają na żywność. Dla pielgrzymów z Galicyi i Wielkopolski nie ma osobnego hospicium, przyjmuje ich czasem z łaski austriacki dom przy kościele del Anima. W galeryi Akademii sztuk pięknych są także polskie pamiątki, dar księcia Prymasa Poniatowskiego i jego portret we wspaniałych ramach brązowych złożonych.

Przewodnik polski po Rzymie mógł być także dać adresy pracowni polskich artystów jak hr. Oskara Sosnowskiego, bezpośrednio za tyłami pałacu Konsulty stojącego obok Kwirynału. Pracownia Wiktora Brodzkiego Via S. Nicolo di Tolentino 46 o kilkanaście kroków od placu Barberini. Pracownia Siemiradzkiego, z której wyszły Pochodnie Nerona, i malarza Kazimierza Szolca jest na Via Margutta N. 5 bardzo blisko Piazza del Popolo. Mają w Rzymie pracownie polscy malarze Wilhelm Kotarbiński, Via S. Basilio; Bolesław Łaszczyński Vicolo S. Nicolo de Tolentino 20 i inni artyści, o których najłatwiej u uprzejmego O. Eustachego Skrochowskiego przy kościele polskim św. Klaudyusza dowiedzieć się można. Dziwna jest także obojętność pod tym względem rodaków naszych; czynią czasem obstalunki, a wielu nie pomyśli nawet o rodakach artystach. Obecnie nic może tak u nas nie kwitnie jak malarstwo i stosunkowo nigdzie może nie ma tyle wyższych zdolności i zapału w tym zawodzie, lecz jakże ten polot rozwinać się potrafi, jeżeli możni nie będą protegować sztuki i jej wybrańców. Nigdzie sztuka nie zakwitła bez mecenasów. Szczycimy się Siemiradzkim, lecz Rosyanie nie bez przyczyny szczycą się nim także, gdyż dali mu stypendyum sute na kilkoletni pobyt we Włoszech i pierwszy wielki obraz Siemiradzkiego: „Jawnogrzesznica i Chrystus“ zamówiony był przez Rosyan.

Przewodnik nasz nie umieścił także planu do zwiedzania miasta w przeciągu 8 lub 10 dni, któryby wskazywał jakie w bliskości siebie znajdują się pomniki, które jednego poranku lub popołudnia razem zwiedzane być mogą. Dla tych, którzy krótki czas mają na zwiedzanie, taki rozkład jest nader potrzebny ¹⁾. Autor bez potrzeby wylicza wszystkie obrazy jakie się znajdują po kościołach, dostatecznem by było wskazać jakie w każdym kościele znajdują się znakomitsze obrazy artystów pierwszo i drugorzędnych, lecz nie wszystkich kopij i artystów zupełnie nieznanych, trzeciorzędnych, w czem np. *przewodnik malarza* Witmera i ks. Molitora napisany według myśli uczonego kardynała Reisacha mógł być bardzo pomocnym. Przewodniki podają zwykle krótkie wiadomości o hotelach i inne adresy, które obchodzić mogą podróżujących i tych co na zimę do Włoch przyjeżdżają. Kontrakty np o mieszkania robią się na piśmie dla uniknienia nieprzyjemności, a co do mieszkania najważniejsza rzecz mieć okna na południe, gdyż tam gdzie nie wchodzi słońce, wchodzi febra. Krótka wiadomość o przestrobach higienicznych mających się zachować w czasie pobytu we Włoszech nie byłaby zbyteczną np. że w lecie o zachodzie słońca jest tak gwałtowna zmiana temperatury że bardzo łatwo zaziębić się można, podobnież przechodząc z ulicy ogrzanej słońcem na ulicę bez słońca. W lecie szczególnie mięsa wiele jeść nie należy i w godzinach południowych nie wychodzić i t. d.

Nie ma nareszcie wzmianki osobnej o instytucjach dobroczynnych, w które Rzym obfituje i możnaby czasem powiedzieć, że instytucje są raczej zachowane dla pełniących miłosierdzie niż dla przyjmujących. Szpitale np. w których w czasie febrы tyśiące leży ludzi, odwiedzane są przez liczne stowarzyszenia świeckich osób rozmaitych stanów, często bardzo wysokie zajmujących stanowisko, które w oznaczonych dniach i godzinach przychodzą na sale i ubrawszy się w fartuchy są na zawołanie chorych.

Należałoby także dać wiadomość o audyencyach u Ojca Świętego ażeby oszczędzić podróżnym straty czasu.

Uwagi te podaliśmy z obowiązku sprawodawcy, ale nie zamierzaliśmy bynajmniej uwłaczać rzeczywistej wartości książki, za którą tem większą winniśmy autorowi wdzięczność, że jest pierwsza w tym rodzaju i tak na czasie napisaną została.

X. Jan Siemieński.

¹⁾ Dowiadujemy się, że autor przygotował taki plan, który do egzemplarzy dotąd jeszcze nie rozprzedanych przyłączonym będzie.

Przegląd polityczny.

Kraków 29 listopada.

Księciu Bismarkowi przypisują powszechnie autorstwo wyrażenia: „siła przed prawem.“ Użył on wprawdzie raz w Izbie tych słów, jako definicyi swojej polityki, ale sama rzecz jest stara jak świat i główny stanowi powód wszelakich krzywd czy to osób pojedynczych, czy społeczeństw. Kanclerz niemiecki miał tylko odwagę nie wyprzeć się tej doktryny, nie obwijać czynów swoich w bawełnę humanitarnych pobudek, lecz z podniesionem czołem poddał się bezsilnym pociskom tych, którzy mu zarzucają, że doktryną tą uzbroił się. Innym razem rzekł on o sobie również w Izbie, że jest człowiekiem najbardziej znienawidzonym i z uśmiechem szyderstwa a pewnym rodzajem dumy przyjął na siebie brzemień tego uczucia. Oba te wyrażenia charakteryzują cały system polityki tegoczesnej, która wzięła rozbrat z słusnością, zostawiając ją słabym, co nie mają innej podstawy dla czynów swoich prócz zasad sprawiedliwości. Potężni mogą się bez nich obyć, nie potrzebują tłumaczyć się z swoich kroków, usprawiedliwiać swoich czynów, osłaniać powodzeń swoich jakimi wyższymi moralnemi pobudkami. Z pomocą tej metody idą oni na przebój, nie cofają się przed niczem, albowiem wiedzą, że fakt dokonany jest patentem legalności.

Taką cechę nosi na sobie polityka wyzwolona z obowiązków chrześcijańskiej moralności, takowe poczytując za krępujące ją więzy. Historia Rzymu starożytnego takimi samemi szła torami, na sile opierając swoje wrzekome prawa i zmie-

rzała też do uniwersalnego panowania. Barbarzyńskimi przeważnie wieki średnie, przedstawiają obraz łamania się takiej bezwzględnej siły materyjalnej z powagą moralną Kościoła, która sama jedna stawiać mogła zapory niepohamowanym żądom przemocy. Zobojeźnić też, jeśli nie złamać władzę Kościoła, zamierzili sobie zarówno twórcy nowoczesnego państwa, jak i twórcy nowoczesnego porządku społecznego, i w tem szukać należy przyczyn walki państwa z Kościołem i walki z nim socjalizmu. Najwybitniejszy reprezentant idei państwa militarnie zorganizowanego, to jest opartego na sile, Prusy, podjęły tę walkę z jednej strony, gdy z drugiej prowadzą ją apostołowie socjalizmu i arcykapłani świata finansowego, tej drugiej obok militaryzmu siły materyjalnej w organizmie społecznym tych czasów.

Odmiennej na pozór drogą i niejako wprost przeciwną prowadzi tę samą politykę wszechwładztwa Rosya. Używa ona na Wschodzie moralnych pobudek, popierając je atoli siłą, aby roszczeniom swoim nadać cechę prawa. Nie dla tego Europa przyznała jej te mniemane prawa, aby o legalności lub przynajmniej słuszności ich była przeświadczoną, lecz nie miała po części możliwości oparcia się jej, gdy na ich straży stanęły armie pruskie. Kampania przeciw Kościołowi i przeciw Turcyi nie z jednych wyszły pobudek, ale cel ich jest ten sam: panowanie wielowładne. Podobieństwo i w tem leży, że wyznaczenie służy zarówno Prusom jak Rosyi za środek do rozpostarcia zwierzchnictwa swojego. Zarówno w Prusach, jak w Rosyi kościół jest w ręku państwa narzędziem i służą; w obu tych krajach w cesaropapizmie skupiła się wszelka władza, więc każda wiara nie uznająca ich zwierzchnictwa i każdy lud nie poddający się temu zwierzchnictwu, siłą ma być do posłannictwa zagnany.

Wszystkie też sprawy europejskie skupiają się dziś bądź w walce wyznaniowej, bądź w kwestyi wschodniej, a i ta zachodzi tu łączność, że między Rosyą a Prusami panuje ściśle przymierze z wybitnem dążeniem do podzielenia się panowaniem świata, na podstawie dwóch cech odrębnych w każdym z tych państw: germańskiej i słowiańskiej, protestanckiej i schizmatycznej. Wszystko inne, co się dzieje w Europie, albo służy dla tych dwóch interesów, albo w bezsilności nie może stawiać przeszkód tym interesom. Dwaj nawet najbardziej zagrożeni przeciwnicy ich, Francya i Anglia, zostały nieudolną polityką swych rządów rozdzielone i ubezwładnione, lubo uzupełniając się nawzajem, mogły być stać się ogniskiem wszystkich w Europie przeciwnych Rosyi i Prusom interesów i potrzeb.

Ten ogólny pogląd na położenie Europy, może służyć do rozjaśnienia względnie tak kierunków, jak samychże faktów i li-

cznych zjawisk na polu politycznem. Nie można twierdzić, aby wszystko działało się według planu z góry nakreślonego, bo żaden mistrz nie byłby zdolny przewidzieć wypadków i ich następstw, ale nie da się zaprzeczyć, że z dziwną zręcznością umiano korzystać z okoliczności i cudze błędy wyzyskiwać.

Przechodząc zaś do poszczególnych faktów obecnych, dwa głównie zapisać przedewszystkiem należy: upadek we Francji gabinetu Broglie-Fourtou i zdobycie Karsu w Armenii tureckiej; reszta wypadków ma znaczenie raczej epizodów, bez wpływu bezpośredniego na całość działania politycznego.

Wybory nowe do Izby deputowanych we Francji po rozwiązaniu dawnej Izby, małą sprowadziły różnicę liczebną w dwóch głównych obozach: rządowym i opozycyjnym, czyli konserwatywnym i rewolucyjnym, bo pod te nazwy dają się podciągnąć rozmaite odcienia nie dość niezawisłe, aby już teraz mogły stać oddzielnie i aby się z nimi liczone. Rójaliści wszelkiej barwy po jednej stoją stronie; republikanie, począwszy od wielbicieli konstytucji amerykańskiej albo szwajcarskiej i od idealistów, a skończywszy na radykałach i socyalistach, stoją po drugiej stronie. Między temi odcieniami istnieje nie raz cała przepaść zasad, pojęć i interesów; nie są to przeto stronnictwa, ale tylko koalicje skonfederowane w celach walki. Już poprzednia Izba przedstawiała taki obraz, a pierwszym krokiem opozycji w nowej Izbie było utworzenie komitetu wykonawczego, który miał za całą opozycyjną większość myśleć i działać, nie tylko pisać programy, ale oraz wykonywać je, sprowadzając całą lewicę do roli prostej maszyny głosującej. Wielkie było zaślepienie umiarkowanych ludzi z obozu republikańskiego, że się poddali przywódzcom skrajnym, zrzekając się własnego zdania. Komitet ten wykonawczy wystąpił zaraz odpowiednio swej nazwie, nie już jako organ prawodawczy, lecz jako obdarzony przywilejem egzekutywy. Pod jego wpływem uchwaliła większość Izby komisją śledczą, mającą z góry przyznane sobie atrybucje nie tylko sprawdzania wyborów, ale oraz dochodzenia na administracyjnej drodze, o ile wpływ czynności rządowych był w grze podczas wyborów. Agitacja więc wyborcza w duchu i interesie opozycji miała być dozwoloną i uprawnioną; przeciwnie zaś agitacja w duchu rządowym, jeśli w niej brały udział wpływy rządowe, miała być poczytana za występłą i służyć za powód do unieważnienia wyboru. Z góry nawet uchylano sprawdzanie wyborów aż do relacji komisji śledczej, a zatem, zanim można było wiedzieć, czy okaże się według zapatrywań komisji nadużycie wpływu rządowego.

Nie mógł wobec takiej głośno wypowiedzianej walki ostać się gabinet i usunął się. Następca jego, gabinet z charakterem nie tyle politycznym, co administracyjnym, objął ster rządu.

Jest to gabinet generała Rochebouet, w którego skład wchodzi ludzie fachowi, specyjalni, a ich nazwiska są: Rochebouet, prezes gabinetu i minister wojny; Banneville, minister spraw zagranicznych; Welche spraw wewnętrznych; Lepelletier, sprawiedliwości; du Tilleul, skarbu; Ozenne, handlu; Graeff, robót publicznych; Faye, oświaty; Roussin, marynarki. Charakter administracyjny tego gabinetu opiera się jedynie na własnem jego w Izbie i w senacie oświadczeniu, iż pragnie pozostać obcym wszelkim sporom parlamentarnym, ograniczając się na uchwaleniu budżetu i załatwianiu spraw bieżących, a to w celu ekonomicznego ratunku kraju i zabezpieczenia przyszłorocznej wystawy przemysłowej. Sam rząd przeto sprowadził kwestyę zasadniczą do kwestyi osób i do kwestyi utylitaryzmu, w mniemaniu, że rozbroi opór opozycyi, zwłaszcza, gdy gabinet przyrzekł szanować konstytucyę i republikańską formę rządu.

Nie tego jednak żądali radykaliści, aby się dać rozbroić i dla miłości dobra publicznego poświęcić interes partyi, lub ambicyę osobistą. Uważają się już przewodnicy lewicy za kandydatów przyszłego rządu, za naczelników Francyi, mając zresztą bardzo pochlebne z Niemiec raporta o przychylności ze strony pruskiej dla reprezentowanego przez nich kierunku politycznego. Mieliz na tę zachętę pruską odpowiedzieć zapomnianem już hasłem „*Revanche!*“ Zostawiają to szowinistom bonapartystowskim, albo książętom Orleańskim, co pod sztandarem czy napoleońskiej, czy też republikańskiej Francyi walczyli z wrogiem, wiedząc, że walczą za ojczyznę. Poszli więc raczej za przykładem pokrewnych sobie proletaryuszów z Belleville i Montmartre, co w obliczu stojącego pod murami Paryża nieprzyjaciela zwrócili broń nie przeciw niemu, lecz przeciw żołnierzom francuskim, przeciw tak zwanemu wojsku wersalskiemu.

Jest też pewna wspólność dążeń i solidarność interesów między rządem kanclerskim w Niemczech a pp. Ferry, Floquet, Louis Blanc, itd. Solidarność ta polega nietylko na zdeorganizowaniu Francyi, lecz oraz na zwróceniu wspólnej broni przeciw Watykanowi, którego wprawdzie nie broni dzisiejsza Francya, ale którego miałyby prawo bronić, gdyby parlament włoski zniósł ostatnie szczątki owego listu żelaznego, który się zowie „ustawą o rękojmjach papiestwa,“ a o którego zniesieniu myśli p. Depretis. Kwestya papieska jest owym łącznikiem między radykałami i socyalistami wersalskimi a rządem pruskim, a lubo w Berlinie wsadzają do więzienia swoich socyalistów, wszelako z zagranicznymi znoszą się i konspirują.

Nowy gabinet francuski nie znalazł w Izbie deputowanych lepszego przyjęcia od poprzednika swego. Izba bowiem uchwaliła rezolucyę w tych słowach: „Zważywszy, iż ministerjum 23go listopada ze względu na swój skład i na swoje źródło, jest

zaprzeczeniem praw narodu i praw parlamentu a tylko utrudnić może kryzys, która od 16go maja ciąży na kraju, Izba oświadcza, że nie może wdawać się w stosunki z tem ministerstwem i przechodzi do porządku dziennego.“ Gdyby we Francyi istniała, jak w Anglii, instytucya prawników Korony, czyli tłumaczy i komentatorów prawa publicznego, a nadto, gdyby instytucje były we Francyi szanowane, jak są w Anglii, takim prawnikom należałoby poddać do rozstrzygnięcia pytanie prawności i legalności tej rezolucyi, która niezajdując w oświadczeniu ministrów żadnego przekroczenia ustaw, owszem mając z ich strony dane zapewnienie szanowania konstytucyi i instytucyj ich formy rządu istniejącej, bezwzględnie odpycha oraz i odmawia traktowania z nimi spraw publicznych. Ale o prawność i legalność nie idzie we Francyi. I tu bowiem przeważa axiomat: siła przed prawem. Izba czuje się być silniejszą od rządu, a raczej większość opozycyjna tej Izby, jako liczniejsza od mniejszości konserwatywnej; zatem całe pytanie schodzi do tego, czy rząd ma środki po temu, aby dać poznać Izbie swoje siłę, nie zaś swoje prawo, którego Izba nie uznaje, skoro odmawia naczelnikowi kraju atrybucyi mianowania ministrów i odmawiać jej chce dopóty, dopóki by nie był zmuszony albo usunąć się i zostawić miejsce komitetowi wykonawczemu, albo powołać ten komitet do władzy.

Dla tego też jedyne pytanie, jakie teraz pozostaje do rozstrzygnięcia, jest: kto silniejszy, nie zaś, kto ma po sobie prawo. Któż więc silniejszy? Odpowiedź na to pytanie może dać tylko armia. Tak bowiem rzeczy stoją, że Francya wystawioną jest na alternatywę: albo zamach stanu, albo ustąpienie Mac-Mahona i objęcie rządów kraju przez radykalistów, czy to bez wstrząśnienia, lub za pomocą rewolucyi. Jeśli Mac-Mahon nie chce, albo nie ma dostatecznej siły do zrobienia zamachu stanu, nie pozostaje mu nic innego, jak ustąpić. Droga pośrednia, rozwiązanie ponowne Izby jeszcze nie rozstrzega kwestyi. Powtarzać się bowiem może jeszcze raz to, co się stało w pierwszej Izbie i co się stało w drugiej.

Któreż państwo w Europie zechce się liczyć teraz z Francją, któreż może się na nią powołać, któreż szukać z nią jakiegokolwiek zbliżenia? Bezsilna i rozdarta wewnątrzniemi waśniami, bez znaczenia i powagi, nie może ona żadnego wywierać wpływu na bieg spraw europejskich. Ustąpił więc na pewien czas ten ważny niegdyś czynnik polityczny, jakim była Francya, ów nowoczesny Samson, któremu podstępna Dalila odjęła siłę, bo postrzygłszy go jak niewolnika, oddała w ręce Filistynów. A tą Dalilą są właśni synowie Francyi.

Podczas kiedy Rosya wyteżyła wszystkie siły, aby złać Turcyę, zadaniem polityki pruskiej było, dyplomatycznie i militarnie zasłonić Rosyę, rozbroić część jej przeciwników

wciągnięciem ich we wspólny interes, jak Austryę, albo trzymać ich pod groźbą, postarać się, aby Francya nie miała czasu opamiętać się i aby zmarnowała siły swoje w wewnętrznych zatargach, ująć Włochy widokami czy to odzyskania na Francyi, Nicei i Sabaudyi, czy innemi korzyściami na Wschodzie, budząc nadzieję powrotu do przeszłej wielkości handlowej republik włoskich w Lewancie a równocześnie odciągając od Anglii domniemanych sprzymierzeńców. Prusy w sojuszu z Włochami mogą nie tylko trzymać Francję na wodzy, ale równocześnie łudzić Austryę potrójnem przymierzem cesarskiem, układami handlowemi, a nawet obietnicami łupów na półwyspie Bałkańskim.

Długi czas Turcyja trzymając się w Bałkanie groziła Rosyi utratą całej tegorocznej kampanii, a przeto nie tylko stratą w ludziach, pieniądzach, materyale wojennym, ale także moralną klęską, upokorzeniem i poniżeniem Rosyi, okazaniem Europie jej słabości i braku jej sił do tak wielkiego zadania, jak obalenie państwa Ottomańskiego.

Atoli w miarę, jak Rosya mogła zapełniać braki swoich armij i wzmacniać je posiłkami, szala powodzeń przechyliła się a upadek Karsu zdobytego niewielkimi siłami, odsłonił znów słabość Turcyi, a w ogóle pozbawił zaufania w jej zdolność tych, którzy liczyli na wycięczenie sił rosyjskich u stoków Bałkańskich i u murów twierdz azyatyckich. Kampania zimowa jest dalej prowadzoną, a choćby doznała przerwy, już przygotowania czynione na wiosnę i zaprzeczenie wszelkich zamiarów poprzestania na odniesionych już korzyściach, są zapowiedzią dalszej wojny. Rosya musiała też zrzec się przez wzgląd na Niemców swoich dążeń panslawistycznych, dozwoliła Rumunii zająć postawę państwa udzielnego, a więc wbrew idei monarchii uniwersalnej słowiańskiej i wciąga do wspólnego działania Grecję, której musi dać pewne rękojmie zabezpieczenia jej i wzmocnienia terytorialnego. Rozpostarcie zaborów w Armenii także nie stoi w zgodzie z dążeniem panslawistycznym, ale ma służyć do opanowania morza Czarnego i utworzenia siły skonsolidowanej u wrót Azji mniejszej, aby łatwiej dokonać wielkiego planu opanowania całego Turkiestanu i dotarcia do morza perskiego.

Taka wojna, rozpoczęta może bez dostatecznego przygotowania, ale rozwijająca się pod wpływem wypadków na rozległe rozmiary, nie jest wojną zlokalizowaną, jaką miała być; wciąga ona w swój obręb całą monarchię Turecką, interesa Austrii i Anglii, nowe państwo Rumuńskie, a może się stać w ręku Rosyi i pod wpływem kierowniczym Niemiec, czynnikiem rozkładowym wobec Austro-Węgier, jak również takie samo może dać przeznaczenie Serbii, lubo dotychczas nie śmiała Rosya wciągnąć tego księstwa w bezpośredni związek, choć ubocznie kieruje jego postępowaniem.

Nie można przypuszczać, aby Rosya zamierzała zagarnąć całą Turcyę europejską pod panowanie swoje; dość jej na teraz rozbić państwo Tureckie, rozdzielić je między Rumunię, Serbię, Grecyę, obdarzyć częstką jego Austryę i samej otworzyć sobie etapy w głąb półwyspu a zagarnąć Armenię, bo w nowo powstałych udzielnych krajach a dotychczasowych wasalach znajdzie silny czynnik rozkładowy w duchu panslawistycznym i schizmatyckim.

Czyż temu wszystkiemu zdoła zapobiedz sama jedna Anglia, bez pomocy państw stałego ładu? Neutralność jej warunkowa jest tylko osłoną niemożności czynnego wdania się albo zastrzeżeniem zrobionem przeciw azyatyckiej polityce Rosyi oraz przeciw opanowaniu Konstantynopola. Dziś nie liczy już Anglia na wstrzymanie postępów wojska rosyjskiego, bo niema na to dostatecznych środków, ale stara się o takie zainteresowanie Europy, aby Rosya nie mogła za cichem zezwoleniem Prus dokonać rozsadzenia Turcyi. Ślusznie może gabinet angielski mniema, że układy pokojowe prowadzone za udziałem mocarstw ścięsnąć mogą działalność Rosyi, ale nie chcąc okazać trwogi, wypiera się wszelkich kroków pośredniczących. Czeką ona prawdopodobnie na ocknienie się ducha publicznego we Francyi, na osłabienie Rosyi samą długością wojny i na wstrzemięźliwość Austryi, że ta nie zechce zdać się zupełnie na wspańałościwość swych sąsiadów; wreszcie czeka może na nieprzewidziane wypadki, bo innych widoków niema. Potrzeba jej także, aby Austrya załatwiła się wewnątrz z Węgrami pod względem dalszego okresu ugodowego, który przypada w obecnej porze i przed nowym rokiem musi być oparty na stałych podstawach.

A. Szukiewicz.

LUCYAN SIEMIENSKI,

ur. 13 sierpnia 1809 w Magierowie,
† dnia 28 listopada 1877 r. w Krakowie.

Cała Polska płacze dziś nad grobem dzielnego i wiernego syna, i długo nie ukoj się w żalu po stracie tak nagłej i niepowetowanej. Jeden z najznakomitszych pisarzy naszych, który w każdej literaturze byłby sobie zdobył niespożytą chwałę i w każdym społeczeństwie niepospolite stanowisko, jeden z największych mistrzów słowa i najwytrwalszych rycerzy oświaty, którzy urągając trudom i zawodom, bez skargi, bez szemrania i zwątpienia, owszem z uśmiechem na ustach i pogodą w sercu spełniali zaszczytną ale twardą Bożą służbę i zdobywali dla nieszczęśliwego narodu w pomroku niewoli warunki odrodzenia się życia, rozwoju i postępu — poszedł na wezwanie Boga odpocząć, opuścił nas na zawsze, zostawiając próżnię, która zasmuca i która przeraża. Nie wątpimy, że w młodszym pokoleniu znajdą się ludzie bardzo uczeni, zdolni i pożyteczni, ale nie łatwo znaleźć czło-

wieka, któryby jak Siemieński połączył najczystsza poezją z najprawdziwszą sztuką, wysoki polot z najmilszą prostotą, świetność imaginacyi z trzeźwością sądu, swobodę natchnienia z wytrwałością pracy, bogactwo stylu z bogactwem nauki, dowcip najlepszego smaku z najlepszym humorem, wielkie serce z wielkim rozumem, a któryby obdarzony tak świetnie i tak wszechstronnie, najszczytniejsze zadanie i posłannictwo wykonywał z taką skromnością, jak gdyby nie wielkiego nie robił i nie nadzwyczajnego, jakby był prostym robotnikiem, który cegielki znosi, bo nie innego nie umie. Była w jego duchu ateńska wykwinność, była w jego życiu spartańska siła, była w jego sercu polska miłość, była w jego pracy nie polska cierpliwość. Jako poeta, umiał zachować samodzielność i choć był może ptakiem mniejszego lotu od innych i za takiego sam się uważał, wzlatał zawsze o własnych skrzydłach i nie mdlał w tym locie, i szukał dróg nowych. Jako tłumacz, pierwszorzędne zajął stanowisko: przekładu „Krółodworskiego Rękopisu“ zazdroszczą nam Czesi, Odyssei zazdroszczą nam wszyscy. Jako powieściopisarz, nie tworzył rzeczy wielkich i głośnych, ale tworzył prześliczne, pełne prawdy, poezyi i artyzmu obrazki; jako historyk, skrzętnie zbierał materyały i napisał najlepszą książkę, która uczy dziejów i miłości narodu; jako autor Żywotów i Portretów literackich nie miał równego sobie; jako krytyk nareszcie, najbystrzejszą, najrzadszą przenikliwość połączył z mistrzowską wytwornością formy, z delikatnością sposobu, w takim stopniu, jak nikt u nas, jak mało kto gdzieindziej. Gdy nadejdzie pora, która uspokojenie smutkowi przyniesie, zastanowimy się nad rozległą i wielką jego w winnicy na-

rodowej pracy. Dziś nie czas o tém pisać, nie czas pisać i o życiu, które było świadkiem tylu ważnych, tylu bolesnych zdarzeń, uczestnikiem tylu czynów, nadziei i zawodów.

I on

.... długo błędził — i w tułaczce swojej
Siła różnych miast widział; poznał tylu ludów
Zwyczaj; a co przygód doświadczył i trudów!
A co strapień na świecie! gdy przyszło za siebie
Lub za swe towarzysze stawić się w potrzebie,
By im powrót zapewnić. Nad siły on robił.

Wykarmiony w dzieciństwie tradycją Napoleona i legionów, dobył w młodości miecza, który tak rychło miał złamać; poszedł na tułactwo, a gdy można było wrócić do kraju, wrócił tam, gdzie było najciemniej, gdzie on i towarzysze jego szlachetni zapalili kaganiec, bo nie można było jeszcze zapalić pochodni; a gdy daném mu było wrócić po raz drugi i na stałą u nas siedzibę, rozniecił wielkie ognisko i wywiesił sztandar, pod którym do końca, do ostatniego dnia, do ostatniej godziny służył wiernie, wytrwale i dzielnie.

Łzę od serca, szczerą i gorącą rzucamy smutni na mogiłę wielkiego pisarza i mistrza. Młodzieży polska! dumaj nad tą mogiłą i ucz się od tego, który w niej spoczywa, wielkiej nauki życia, poświęconego nie sobie, lecz Ojczyźnie i Prawdzie!

H. Z.

I inne straty poniosła ojczyzna nasza w tym złowrogim miesiącu. Zbrodnicza ręka przecięła nagle pasmo życia pracowitego i niestrudzonego Dra **Polikarpa Girsztowta**, urodzonego 1827 r. na Żmudzi. Znakomity lekarz i uczony, skrzętny wydawca *Gazety Lekarskiej* i *Biblioteki Umiejętności lekarskich*, autor „Chirurgii teoretycznej“, profesor, o którym powiedziała młodzież, że zastąpić go na katedrze można, ale w sercu nczniów nie można, odwołany wśród najgorliwszej czynności i służby, w samej sile wieku, zostawił następcom wielki przykład pracy, która zdobywa, i wytrwałości, która zwycięża.

Waleryan Wróblewski znany powszechnie pod pseudonimem Koronowicza autor „*Słowa dziejów polskich*“, z ziemi kijowskiej, zmarł w Piłkach na Wołyniu. Odznaczywszy się w polemice z Henrykiem Rzewuskim tak, że pozyskał szacunek przeciwnika, poświęcił się pracy nad historią ojczyzną, która jeśli z powodu osamotnienia i oddalenia od świata, na wielkie napotykała trudności, to zawsze wnajczystszej była podejmowaną intencji.

W Warszawie umarł dnia 8 listopada **Karol Beyer**, urodzony w r. 1818, znakomity numizmatyk i archeolog.

Tak coraz bardziej przeredzają się szeregi i to w czasach tak smutnych i ciężkich.

Cześć ich pamięci!

Kronika bibliograficzna.

Kilka uwag o podstawie i granicach filozofii przez Dra *Stefana Pawlickiego*. W Krakowie. Nakładem księgarni S. A. Krzyżanowskiego. W drukarni „Czasu“ pod zarządem Józefa Łakocińskiego 1878 in 4to. Str. 81.

Publication nationale des chefs — d'oeuvre de la littérature *polonaise* au XIX siècle. *Lilla Vénéda*. Tragédie en cinq actes et prologue par *Jules Słowacki*. Traduction en vers avec une notice biographique sur l'auteur par *Jules Mien*. Paris. Libraire *Sandoz et Fischbacher*, rue Seine 33. 1788. Imprimerie du „Czas“. Dawniejsze przekłady p. Miena oceniliśmy w piśmie naszym (w kwietniu 1866) pochlebnie, jak zasługiwały. I o tej pierwszej większej publikacyi zdamy czytelnikom sprawę. Tu nadmieniamy tylko, że wydanie bardzo ładne.

Współudział Adama Mickiewicza w sprawie Andrzeja Towiańskiego. Listy i przemówienia. Paryż. Księgarnia luxemburska, ulica de Tournon, 16. Tom I. Str. 309. Tom II. Str. 342.

Polska pielgrzymka do Rzymu z r. p. 1877 opisana przez ks. *Antoniego Kanteckiego*, filozofii doktora. W Poznaniu. Czcionkami Jarosława Leitgebra. Nakładem autora. 1877. Str. 109.

Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, wydane przez krajowe biuro statystyczne, pod redakcją prof. dra *Tadeusza Pilata*. Rocznik trzeci. Zeszyt III. Lwów. Z I. Związkowej drukarni 1877. Zawiera: Stowarzyszenie zarobkowe i gospodarcze w Belgii w r. 1876/7 przez dra *Alfreda Zgórskiego*.

Mowa żałobna na cześć ś. p. X. Jana Koźmiana etc. miana na nabożeństwie żałobnem w kościele katedralnym poznańskim dnia 29 września b. r. przez ks. *Edwarda Likow-*

skiego. Poznań. Nakładem J. K. Żupańskiego 1877. Str. 28. (Dochód przeznaczony na korzyść domu św. Józefa w Poznaniu).

Dążności rosyjskie prof. Stanisława hr. Tarnowskiego. Lwów. Nakładem i czcienkami drukarni Ludowej. 1877 r. Str. 58.

Um die Erde. *Reisebilder von der Erdumseglung* mit S. M. Corvette „Erzherzog Friedrich“ in den Jahren 1874, 1875, 1876 von *Jos ph Lehnert*, k. k. Linienschiffs-Lieutenant. Wien 1877. Alfred Hölder k. k. Hof- und Universitaets-Buchhändler. 1 und 2 Lieferung. Str. 64. Całość składać się będzie z 30 zeszytów, z 160 ilustracyami. Autor zachęcony powodzeniem swoich poprzedników, zamierzył opowiedzieć dzieje żeglugi naokoło świata i uczynić swą książkę i dla uczonych pełną wartości naukowej i dla zwykłych czytelników zajmującą. Przysnać potrzeba, że opowiada z wdziękiem i prostotą. Wydanie jest ładne, ilustracje dobre.

Vaterländisches Ehrenbuch. Geschickliche Denkwürdigkeiten aus allen Ländern der österreichisch-ungarischen Monarchie. Herausgegeben von Albin Reichsfreiherr von *Teuffenbach*. Wien und Teschen. Druck und Verlag von Karl Prochaska. 1877. 1 Lieferung. (Całość obejmuje 18 zeszytów). — Celem tej książki, złożonej przeważnie z wypisów z najznakomitszych historyków Austrii, jest obudzić u Austryaków zamiłowanie do rzeczy ojczystych i ożywić przywiązanie do ziemi ojczystej. Książka ta dla tych czytelników ma jeszcze i tę dobrą stronę, że obznajamia ich łatwym i przystępnym sposobem z austryacką literaturą historyczną i z najznakomitszymi autorami. Książka przedstawiająca w taki sposób dzieje Polski, byłaby bardzo pożądana.

Przewodnik Naukowy i Literacki. Wychodzi rok V. pod redakcją *Wład. Łozińskiego* jako dodatek miesięczny do Gazety Lwowskiej. Zeszyt 10. Październik 1877. Zawiera: 1) *Kl. Kantecki*. Po zgonie Augusta II. 2) *Szujski*. Anna Jagiellonka i Henryk Walezyusz. 3) *Wł. Zawadzki*. Literatura w Galicyi. (Ustęp z Pamiętników). 4) *W. Nałkowski*. Rzeki Władajsko-Sarmackie. Dalszy ciąg trzech pierwszych artykułów i 4) zarys pierwotnych dziejów ziemi naszej przez *W. Urbańskiego*.

Przegląd Krytyczny. Wychodzi rok III. pod redakcją prof. W. Zakrzewskiego. Nr. IX. Wrzesień 1877. Zawiera recenzją 16 prac; między innemi następujące: 1) *Załęski*. Psychologia samobójstwa. 2) *Straszewski*. Filozofia Spinozy i dzisiejszy panteizm. 3) *Piekosiński*. Liber actorum. *Liske*. Dyaryusz Ulryka Werduma, 14 recenzji i Bibliografią.

Przegląd Lwowski. Wychodzi rok VII pod redakcją X. E. Podolskiego. Poszyt 19 i 20. (Październik). Zawiera: 1) Nuncyusz apostolski przez *L.* hr. *Dębickiego*. 2) Rozkład

cerkwi rosyjskiej przez *Fr. Lutrzykowskiego*. 3) Przegląd literacki. 4) Dyaryusz podróży Nuncjusza. 5) X. Prałat Koźmian przez ks. St. Załęskiego 6) Listy z Wiednia. 7) Kronika. Pozyty XXI i XXII, (listopad). Zawiera oprócz zwykłych rabryk dalszych ciągów: 1) X. Jan Koźmian. 2) Bogorya w Neosparcie, rozbiór ks. M. Morawskiego.

Homer. *Odyseja*. Przekład *L. Siemińskiego*. Warszawa. Nakładem S. Lewentala. 1876. Str. 360. Jestto drugie, tanie wydanie znanego arcydzieła.

Kraszewski J. I. *Bracia rywale*. Obrazy społeczeństwa wiejskiego z VIII wieku. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1877. Str. 229.

— Powieści historyczne IV. *Mastaw*. Powieść z XI wieku. 2 tomy. Str. 220 i 206. Warszawa. Spółka wydawców 1877.

— Powieści historyczne V. *Boleszczyce*. Powieść z czasów Bolesława Szczodrego 2 tomy. Str. 211 i 199 Warszawa. Nakład Spółki wydawców. 1877.

— **Autor Kłopotów Starego Komendanta** (Wilczyński), który od dłuższego czasu zasila stale *Gazetę Lwowską* i inne pisma lwowskie, wydał osobno: *Fotografie społeczne*. Trzy tomy. 1877.

— **Stępniewski Tymoteusz** Dr. *Goethe*, znaczenie jego prac na polu biologii i filozofii przyrody. (Odczyt). Warszawa. 1877. Str. 48. Nakład autora.

Jarochowski K. Opowiadania i studia historyczne. Warszawa. Nakład B. Cassiusa. 1877. Str. 183.

Dzieła Karola Szajnochy. Wydanie zupełne. Tom. VI—VIII Warszawa. Nakład J. Ungra. 1877.

Szlosser F. K. Dzieje powszechne. Tom XIX. Str. 575. Lwów. Nakład księgarni Polskiej. 1877.

Siemiński Lucyan. Erzählungen, aus dem polnischen übertragen von *Ppilipp Löbenstein*. (Universal-Bibliothek Nr. 918 i 919). Leipzig. Reclam jr. 1877. Str. 280 w 16ce.

Wiśłocki Władysław. Katalog rękopisów biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zeszyt I. Nakład Akademii Umiejętności. Druk Uniw. Jag. 8-ka. Str. 104.

Bibliografia polska wydawana przez *Księgarnię polską* we Lwowie. Numera za czerwiec, lipiec i sierpień wydane razem na 1/2 arkusza. Wydawca oświadcza, że nie wydaje Bibliografii co miesiąc *dla braku materiału*.

Księgarnia Karola Wilda we Lwowie tak skrzętnie i niestrudzenie na polu wydawniczym od bardzo dawna pracująca, wydała w tym miesiącu następujące cztery książki

Obrazki geograficzne, napisał *Lucyan Tatomir*. Z 23: ilustracjami. Staraniem Towarzystwa pedagogicznego. Lwów 1878. Str. 302. Polecamy tę książkę rodzicom i młodzieży.— P. Tatomir rzeczy naukowe nmi opowiadać tak zajmująco i nie

sucho, że odpowie najwybredniejszym wymaganiom. Jego wyborna geografia Galicyi, o której pisaliśmy swego czasu, jest książką pożyteczną; obrazki geograficzne są nadto przyjemną lekturą.

O twórczości poetyckiej ze stanowiska psychologii, dwa odczyty publiczne *Juliana Ochrowicza* wypowiedziane w Warszawie i we Lwowie w kwietniu i w maju 1877 roku. Lwów 1877. Str. 105.

Lwów w r. 1809. Ustąpienie Austriaków. Zajęcie miasta przez siedmnastu żołnierzy pruskich. Moskiewskie rządy. Opowieść dzisiejsza spisana na podstawie pamiętnika naocznego świadka, gazet, notatek i dokumentów przez *Stanisława Kunasiwicza*. Lwów 1878. Str. 236.

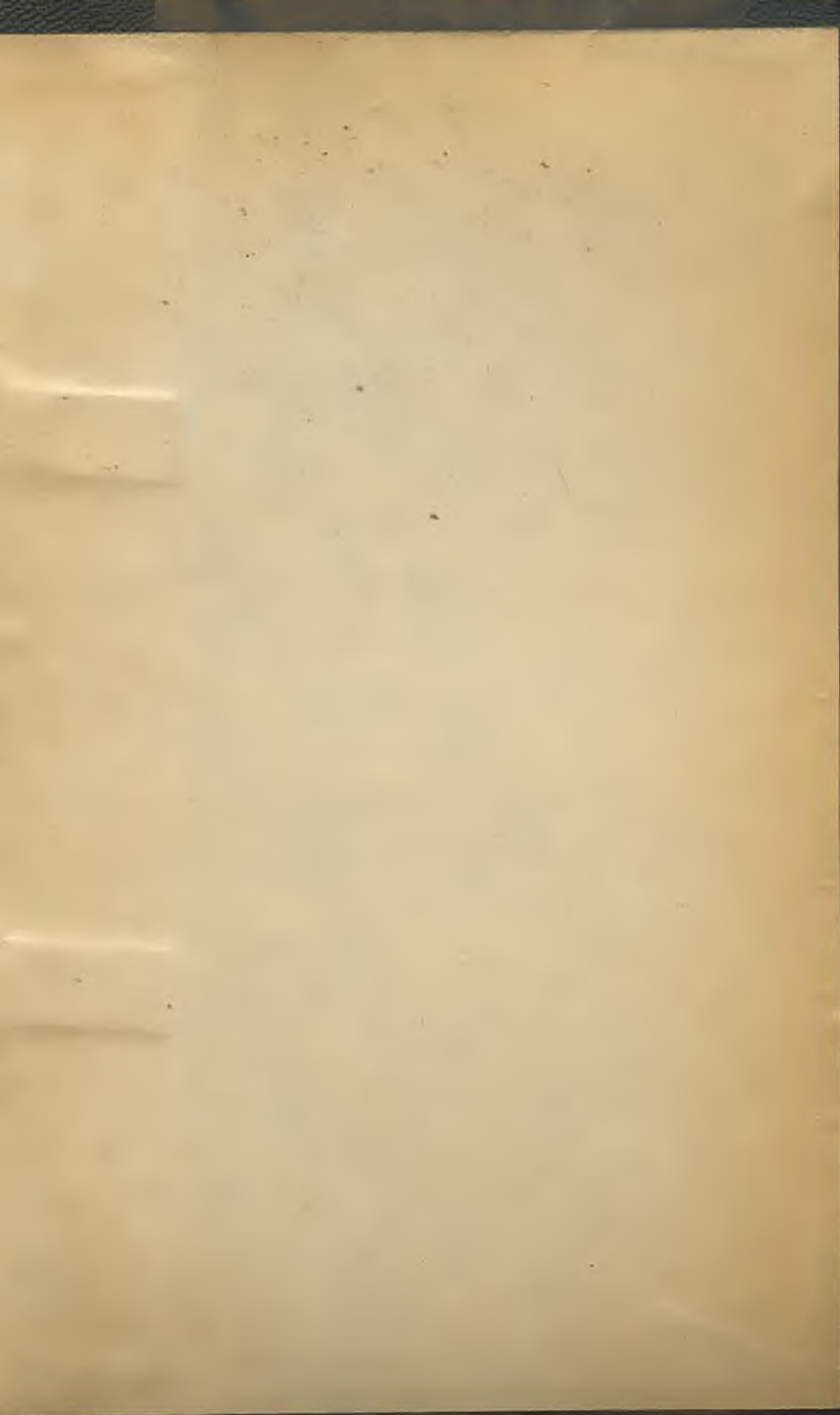
Baronowa Alina. Komedia w 5 aktach Henryka hr. Łączyńskiego. Lwów 1878. Str. 112.

De arte hermeneutica Sancti Isidori Pelusiotae, scripsit *Ludovicus Bober* Consil. H. Consistor. Cracoviensis, Curatus in Chrzanów. Cracoviae, ex Typographia Ephemeridum „Czas“, Provisore Josepho Łakociński. 1878.

OD REDAKCYI.

Redakcja oświadcza, że autorem artykułu drukowanego w zeszycie z miesiąca *maja* roku 1874 pod tytułem „**Żywot św. Wojciecha wobec historii**“ jest pan Dr *A. Kalina*, nie zaś przez pomyłkę podpisany *Zyg. Ch.*





Biblioteka Śląska w Katowicach
ID: 0030002007712



II 4501/12/1-2/1877